

Biblioteka Sejmna Czestochowa

4620

1843 2

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA

WYDZIAŁ  
KSIĄŻEK I PRĘTYŚLONA

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

WARSZAWA

1898

WARSZAWA  
WYDZIAŁ KSIĄŻEK I PRĘTYŚLONA  
1898

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA

PISMO POSWIECONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1843.

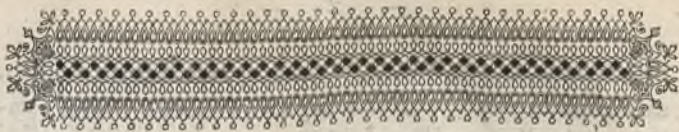
TOM DRUGI.



WARSZAWA

W DRUKARNI JULIANA KACZANOWSKIEGO  
przy ulicy Długiej Nr. 543.

—  
1843.



## POWSTANIE W LA CHIESA

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW MOJEGO OJCA

podany przez

*Ad. Am. Kosińskiego.*

**P**rzygniecionemu wiekiem, złamanemu tysiącem przeciwności i trosków, przebaczcie rodacy! staremu żołnierzowi, iż znowu pióro do ręki ujmuje, w przeszłość myśłą ulata, i z niej jedno zdarzenie odkreślić wam pragnie. Lecz czy jak dla mnie, tak dla wielu z was czytelnicy! przeszłość nie jest wszystkiem, nie jest życiem, kiedy przyszłość, to tylko dni kilka lub kilkanaście, a i to zimnych, kłopotliwych pełnych utrapień i goryczy? — Kiedy kto już stanie na tym strasznym punkcie bytu ziemskiego, że przed nim grób o kilka kroków, za nim cały obszar ufud młodości, roskoszy, wesela, alboż niesłusznie aby się obejrzał, pocieszył wspominkiem tego co kochał, w co wierzył, ku czemu kierował wszystkie swoje nadzieje? Ach! i śmierć wtedy mniej dotkliwą będzie, bo umilona tém przekonaniem: żyłem i chciałem z życia korzystać. Inna jeszcze myśl podaje pióro do ręki. Kreśląc kilka przygód własnej przeszłości, choć błahych i nic nieznaczących może też pobudzę

którego z dawnych towarzyszy, aby poszedł mym śladem, zebrał szczegóły przemienionego, świetnego życia, i zachował je dla współbraci i historii.



Świeżo mianowany podporucznikiem, z rozkazu brata mojego Jenerała Brygady, przeznaczony byłem do osadzenia małego miasteczka La Chiesa, milę od Weroni, w Weneckim Terra firma położonego.

Dumny złocistą szlifą, pyszny dzielny rumakiem, na czele orszaku nie przenoszącego ludzi trzydziestu, blisko południa, w dzień upalny chociaż wiosenny, stanąłem w rzezoném miasteczku.

Cisza w niem była zupełna, sklepy i domy pozamykane, na ulice mało kto się wysuwał, rynek pusty, a gdy posłałem sierżanta do ratusza z rozkazem zawezwania Magistratu, aby nam przeznaczył kwatery, pomieszczenie i furaz dla koni, odebrałem odpowiedź: »Prócz starego woźnego, który Ave Maria na głos wyspiewuje i o Bożém nie wie świecie, żywej duszy tam niema, i pan Podesta i panowie Radni, wszyscy w kościele.« Przymomniałem sobie że to niedziela, a nadto kwietnia, dzień uroczysty w całym Chrześcijaństwie, szczególniej też we Włoszech, skoczyłem więc z konia, oddałem posyłce i rzekłem: — Radzi nie radzi musimy czekać na powrót tych panów; rozkiełznajcie konie zatem, postawcie aby je upałem ochronić pod wystawą domów, sierżant niech na nie daje baczenie, jeżeli zaś który z żołnierzy chce iść do kościoła, może mnie towarzyszyć. — Mało przecież korzystało z pozwolenia tego. Zły przykład wojskowych francuzkich, nie sposób aby potężnego wpływu nie wywarł i na żołnierzy naszych; wszyscy zapomi-

nali rodzinnej pobożności! Prawda, że w upale bitwy, gdy kule nad głowami świszczą, granaty obok trzaśkały, gdy śmierć we wszystkich postaciach wifa się na prawo i lewo, nie jeden sobie gorące modły dawnej młodości przypominał, oddawał się Matce Bożej i wszystkim świętym w opiekę; lecz gdy strach przeszedł, chwilka wytchu po krwawych nastąpiła walkach, zapomniano wkrótce ofiary i przyrzeczenia, i wiedziono życie na wzór towarzyszy Francuzów w wybrydach, niepobożności i całkowitem zabaczeniu obowiązków chrześcianina i człowieka.

W kościele, który w ciasnej uliczce wychodzącej od rynku, wspaniale wybijał swe wieże, górując nad okolnemi gmachami, natłok ludu był wielki, brzmiały organy, mury drżały od huku kotłów, bębnów i śpiewu pobożnych. Przetłoczywszy się z wielkim trudem na środek świątyni, rzuciłem ciekawém okiem na okrag. Nawa kościelna była wspaniała, mury ozdobne tysiącem malunków al fresco, w Niżach marmurowych, drewnianych i gipsowych, świętych bez liku; mało jednakże one zajmowały moje baczenie, więcej lud tłoczący się, popychający lub w ławkach pobożnie wznoszący swe modły do niebios. Wyższe towarzystwo miasteczka: Podesta, Radni, ich żony i dzieci, zapełniali stale przeznaczone dla księży, a po obu stronach umieszczone wielkiego ołtarza. Naprózno przecież chciałem przybliżyć się do nich; tłok przeszkadzał; dopiero po przeżegnaniu kapłana, zachwycony wirem rozchodzących się różnemi wyjściami, gnieciony, tłoczony i popychany na wszystkie strony, pomimo woli ujrzałem się tuż przy wspomnioném miejscu.

Jest zwyczaj we Włoszech, że po nabożeństwie w kwietnią niedzielę, znajomi a nawet niezajomi zmieniają pomiędzy sobą palmy i gałązki kwieciana na ten cel umyślnie przeznaczone. Zaniedbać ten obrzęd, jest to podać się w posądzenie bezbożności i karbonarstwa. Wiedziałem o tém, i chcąc pokazać przytomnym, pomiędzy którymi jakiś czas miałem przepędzić, że dobrym katolikiem jestem, zwróciłem się ku osobie najbliższej mnie w stalach siedzącej, a trzymającej w ręku znacznej objętości bukiet z prośbą aby mi z niego parę udzieliła gałązek. Osoba tak zaczepiona odwróciła się ku mnie. Była to młoda, piękna, a nawet bardzo piękna dziewczyna. Dwoje czarnych ognistych oczu utopiła w moje, widocznie nie wiedząc co czynić, aż gdy powtórzyłem prośbę, dodając niezwykle w ustach francuzkiego officera wyrazy »Sono buono Christiano« z rozpalonym rumieńcem na pięknych licach, drżącą ręką, podała mi część swego bukietu, palmę i kilka gałązek lauru. Rzecz tak prosta z siebie, nie zdawała się przecieź ujść baczności bliższego tłumu. Sto ócz przynajmniej skierowało się ku mnie, wszystkie błyszczały tak groźnie, ponuro, jakbym największą zniewagę popełnił, ubliżył religii albo świątyni. Do drżącej i jeszcze zarumienionej dziewczyny zbliżył się jakiś Włoch, chudy, śniady, lecz nieszpetyny i młody, żwawo ujął jej rękę »spiesznie chodźmy« wyrzekł, i coś jeszcze z cicha do ucha poszeptał. — Piękna Włoszka czém prędzej obrzuciła się czarną wenecką mantylą, przeżegnała pobożnie i milcząc oparta na ramieniu młodziaka, zniknęła w tłumie rozsuwającym się przed nią z uszanowaniem.

Znałem Włochów, szczególnież weneckich z doświadczenia, wiedziałem, że zmuszeni przyjaciele Fran-



cuzów, nienawidzili nas z całej duszy i czekali tylko dogodnej pory, aby pokazać czem są i ile mogą być naszymi wrogami. Nie zdziwiły mnie zatem ani złowieszcze wejrzenia tłumu, ni kłopot pięknej dawczyni poświęconego kwiecia, i już za innemi miałem wyjść z kościoła, gdy zbliżył się jakiś wysoki, pochmurny pół-murzyn Włoch, w czarnym płaszczyku i aksamitnym kaftanie, na którym błyszczał złoty łańcuch z medalem S<sup>o</sup> Marka, zwykła ozdoba Podestów. — Signor! rzekł mi ponuro, należysz zapewne do oddziału armii francuzkiej, który według doniesienia naczelnego rządcy Werony, ma w tym dniu przybyć do naszego miasta. — Tak jest odparłem, jestem nawet jego dowódcą. — Włoch ukłonił się dumnie i mówił — Winienem zatem przeprosić cię Signore! za zwłokę w przyjęciu i udzieleniu kwater. Dzisiejsze uroczyste nabożeństwo, na które jako prawy chrześcianin udać się musiałem, może mi będzie niejaką wymówką. — Zupełną Signore! zwłaszcza że moja służba ani żołnierze wcale na tém nie ucierpieli. — Chciój więc udać się za mną, zwłoka da się wynagrodzić, kwatery będą wygodne, jak się wkrótce o tém przekonasz. — Będzie to szczególne zjawisko we Włoszech, pomyślałem w sobie, i za moim ponurym Podestą poszedłem na ratusz. — W przechodzie przez rynek, zatrzymałem się nieco przed moim oddziałem, i natychmiast obsaczony byłem prozbami. Jeden z żołnierzy chciał oddać się dla wyszukania siana, inny owsa; ten potrzebował cyrulika, tamten krawca; ani jeden nie wspominał o winie, choć wiedziałem, że pokrzepienie się nim, każdy miał i na celu i w chęci. Nierozsądkiem było z mojej strony, ale do wybaczenia w młodym dowódcy, który

sam niedawno z pod rygoru żołnierskiego wyszedł, iż połowie blisko oddziału, pozwoliłem rozejść się po mieście, chociaż z zaleceniem spiesznego powrotu, dla otrzymania kwaterunkowych biletów. Ubiegła jednak cała godzina, zanim Signor Podesta i panowie Radni, namyślili się w którym domu kogo postawić, gdzie umieścić konie i bagaże wojskowe. Kto znał przecież Włochów, a szczególnie poddanych weneckich owego czasu, przyzna, że ten czas nie był długi; częstokroć dzień cały ubiegł a żołnierze i konie, musieli zostawać bez spoczynku i wystawieni na skwar upalnego słońca, zanim zmiłowano się dać im jakie schronienie, brudne i ciasne zazwyczaj. Po zafatwieniu wszystkich ceremonii rozkwaterunku, Podesta rzekł do mnie: — Signor Liejtnatno jeżeli zechce, może znaleźć w mym domu kwaterę; nie będzie ona wykwintna lecz wygodna, co jest pierwszą zaletą w małym miasteczku, i w domu ubożego weneckiego Patrycyusza. — Ta ofiara, zdziwiła mnie wielce, szanowni bowiem Patrycyusze weneccy, nie bardzo chętnie umieszczali w swych domach oficerów francuzkich; w razie potrzeby, nawet, musiem trudno ich było skłonić do tego; przyjąłem jednak zaprosiny, jak to każdy domyślić się może, i odesławszy żołnierzom przez towarzyszącego mi podoficera otrzymane bilety, za gościnnym Podestą udałem się do jego domu.

Ulica którąśmy szli, była brudna i kręta, ale zapełniona wysokimi i pięknymi gmachami, o które nie trudno w najlichszym nawet włoskiem miasteczku. Rozmowa toczyła się o rzeczach w ówczas potocznych, o postępie armii francuzkiej, szczęściu młodego jej dowódcy, popłochu Austryaków, i już jak wspomniał

uprzejmy Włoch, bliscy celu podróży byliśmy, kiedy nagła wrzawa, z zakrętu ulicy pochodząca, doszła ucha naszego.—Podesta zbladł i zadrział, chwilę przysłuchając się hałasowi i krzyknął. »Dla Boga! rozpoznaję głos Don Antonia, głos mojej córki!« — Za minutę byłem na miejscu zamieszania, i poznałem jego powód. Kilku z moich żołnierzy, widocznie trunkiem rozgrzanych, okrążyło dwóch przechodzących, kobietę w czarnej mantyli, i młodego pochmurnego Włocha, w którym poznałem od razu towarzysza mojej pięknej dawczyni bukietu w kościele. Włoch rzucał się w gniewie, groził pięścią, miotał przekleństwami i odpychał jednego z żołnierzy, który objawszy wpół Włoszkę chciał jej wzięść pocałunek. Szamotała się ona w jego ręku, wzywała pomocy głosem płaczącym, twarzy jej przecie rozpoznać nie mogłem, bo ją zakryła grubym weneckim woalem. Na moje przybycie, żołnierze rozstąpili się, stanęli rzędem, opuściwszy napastowanych. Włoszka rzuciła się w objęcia towarzysza — Antonio! ratuj! wołając. Wtedy dopiero mogłem ujrzeć jej twarz: była to moja młoda piękność z kościoła. Z gniewem zapytałem żołnierzy coby znaczyła ich napaść. Jeden z nich śmielszy, prostując się i sięgając ręką do bermycy, taką dał mi odpowiedź. »Ej, to nie panie poruczniku, to tylko mała zabawka, Maciej chciał pocałować tę oto Włoszkę, narobili chałasu jakby na gore!« — Natychmiast na swoje miejsce! krzyknąłem, do koni, na rynek: napastnik cztery godziny dzisiaj stać będzie na warcie, oprócz tego jutro cały dzień, o chlebie i wodzie na odwachu przepędzi.—Żołnierze pomruknęli nieco, występki nie zdawał się im wielkim, kara zbyt surową. W owych czasach dżugoletniej wojny karność była znacznie rozwolniona,

podobne dzisiejszemu bezprawia i cięższe nawet zwykle płazem puszczone. Winny zbliżył się do mnie, czy to chcąc prosić o ułaskawienie, czy też aby swój błąd wytłumaczyć; niepozwoiliem na to, i powtórzyłem wyrok, a gdy odszedł z towarzyszami, zwróciłem się ku napastowanym. Oboje zdawali się być mocno przerażonemi, lecz kiedy młodzieńca oko błyszczało pożarem wściekłego gniewu i zemsty, dziewicy pełne było też i przestachu. Podesta, który nadbiegł w tę chwilę, ujął ją w swoje ramiona, i uspokajając, coś z cicha szeptał do ucha.

Rzekłem wtedy: — smuci mnie mocno Signore! rozpusta moich żołnierzy, ale przyrzekam wam, ukaraną zostanie tak surowo, jak gdyby obelga wam wyrządzona, dotykała mnie osobiście. — Ach! gdybym miał być sztylet, odparł młody Włoch ponuro, sprawiedliwość byłaby pewniejsza i prędsza! — Uspokój się Antonio! pomruknął Podesta, zapominasz co, i z kim mówisz; jeszcze nie czas... — Boże! przybliź go jaknajprędzej! — poszepnął młodzieniec. Mało zważając na wyrazy i utycki rozjątrzonych, rzekłem pięknej znajomej. — Pani! jesteś cała drżąca i osłabiona, może pozwolisz rękę podać sobie, odprowadzę cię do domu! — Nie! Signor! — wtrącił pospiesznie głosem dumnym i stanowczym Antonio. — Signora jest moją narzeczoną, moje tylko bez ubliżenia sobie, może przyjąć ramię, chociaż sam to czuję dobrze, nie jest ono godnym tego szczęścia, gdy przed chwilą nie mogło jej obronić przeciw zuchwałcowi. — Wyrzekłszy te słowa ujął prawie gwałtem rękę towarzyszki i pociągnął za sobą. Pozostałem z Podestą, ten się tak odezwał: — Winienem ci istotne dzięki Signore! o których mój przyszły zięć w gniewie nie pomyślał

wcale, gdyby nie twoja szlachetna pomoc, moja córka byłaby żelżoną.—Nie dziękuj Signore! za to, coby każdy oficer i człowiek honoru na mém miejscu uczynił, owszem jak to już wspomniałem, ja ci winienem wymówki za nadużycie żołnierzy, ależ przyrzekam, że jak pierwsze tak będzie i ostatnie; chciój więc zapewnić obywateli miasta o moim sposobie myślenia i o mocném postanowieniu karania wszelkich wybrzdów mojego oddziału.— Przyjmuję z wdzięcznością obietnicę pańską, chociaż, przebaczysz, wątpię, abys się z niej mógł całkowicie wywiązać. Wojna tyloletnia, zły przykład naczelnych dowódców, rozzuchwaliły żołnierstwo, nie sprzymierzeńców w nich mamy, ale najgroźniejszych wrogów; przecież Bóg zmiłuje się nad rzeczpospolitą, senat Wenecki przypomni sobie, że jego poddanemi jesteśmy; nadejście temu kres i jeżeli nie szczęśliwi zupełnie, to przynajmniej pewni bezpieczeństwa osobistego wkrótce może będziemy.— Znaczenie tych słów Podesty, później dopiero, na własne nieszczęście pojąłem, teraz mało na nie zwracałem uwagi, przypisując je świeżej obeldze i istotnym krzywdom Wenecjan od naszej armii ponoszonym.

Po kilku minutach obojętnej rozmowy, stanęliśmy nareszcie w domu Włocha. Był to gmach dość obszerny, pięknej struktury, jeden z tych zabytków i ostatków dawniej chwały i szczęśliwszych czasów, któremi tak słusznie Italia się szczyci. Kwatera mi wznaczona jakkolwiek na drugim piętrze i odosobniona od innych pomieszczeń, była obszerna i czysta; dwie wygody niezwykłe we Włoszech. Gościnnie Podesta pozostawił mnie w niej, zaprosiwszy poprzednio na obiad, któ-

ry według krajowego zwyczaju, za kilka godzin dopiero a nawet o wieczorze miał mieć miejsce.

Rozgościwszy się jak mogłem w nowym pomieszkaniu, wyszedłem na miasto w celu bliższego jego poznania; mało przecież o niem szczegółów mogę udzielić czytelnikowi. La Chiesa jak wszystkie drobne włoskie miasteczka, skupione w sobie, kiedyś otoczone murem, jest stosem ruder, pamiątek świetności i brudów; mieszkańcy jego oddają się albo handlowi z Weroną i Wenecją, albo i to w większej części, wiodą życie na wzór innych lazaronów włoskich: w głodzie, rozpuście, i szpetném próżniactwie. Takich nędzarzy wszystkie ulice były pełne, każdy gmach z wystawą, zapługawiony od nich; zakładali bowiem swoje legowiska wszędzie, gdzie mniej skwarne dochodziło słońce, lub gdzie znaleźli garść słomy lub śmiecia. Odrażające były wszystkich postacie, odzież licha, raczej fachmany, źle pokrywające nagość, włosy w nieładzie, fizyonomie odpychające, ponure i dzikie, oczy czysto włoskie, iskrzyste, pełne szydu błyszcząły złowieszczą z za gęstych czarnych rzęs, gdy mimo przechodził; kiedy niekiedy mogłem być nawet dosłyszyć przekąsy i obelgi tych panów: »Francesos przeklęty, niedługo panowonia twojego« i tym podobnie. Pozwoliłem im dąsać się i sarkać, bo czyliż to nie była jedyna biednych pociecha, kiedy ni proszeni, ni wzywani, pomimo istniejących traktatów, opanowaliśmy kraj ich, żywili się ich kosztem i z reszty odzierali fachmanów.

Więcej nieco od odkazek lazaronów, dziwiły mnie liczne grupy porządniejszych mieszkańców miasta, po różnych ulicach rozsiane. Osoby składające je rozma-

wiały z sobą żywo, z temi namiętnemi gestami które cechują lud włoski. Na moje zbliżenie, rozchodziły się przecież spokojnie, kiedy niekiedy tylko jeden i drugi, rzucił mi złośliwe i pochmurne spojrzenie. W tych schadzkach odszczególniały się i powtarzały dwie osoby: jedną był znajomy czytelnikowi Don Antonio, drugą Włoch widocznie wenecki, wysoki, ponury i chudy, w czarnym jedwabnym płaszczyku i tegoż koloru i gatunku kaftanie. Gdym się zapytał Don Antonia, co on był za jeden, odpowiedział: że to jego daleki krewny kupiec z Tryestu. Musiałem przestać na odpowiedzi, i choć nie podobała mi się ni postać ni obejście owego Signora Mercanto, nie chciałem badać go o papiery i dowody, już to, aby nie obrazić podejrzeniem zięcia gościnnego Podesty, już aby ludowi nie dać złego wyobrażenia o sobie zbytnią gorliwością w policyjnej służbie; przecież powinienem był to uczynić, duch bowiem zamieszek, coraz się na całym Terra firma rozszerzał, nieukontentowanie wywijało w spory, a nawet między ludem a naszymi żołnierzami do krwawych zaczęło przychodzić utarczek. W La Chiesa przecież sądziłem, że inaczej będzie, gdyż którego tylko z żołnierzy spytałem się, jak przyjętym na kwaterze został? każdy prawie tę mi dawał odpowiedź:

»Ach panie poruczniku! to raj istotny to miasto! Gospodarze nasi choć im źle patrzy z oczu, i w biedzie po uszy, przyjmują nas jak braci rodzonych, nie skąpią jadła i napoju, a wino dają tak wytrawne i czyste, jak nigdzie.«

Słońce skłaniało się już ku zachodowi, gdy do kwatery wróciłem. Podesta jak mówił, oczekiwał mnie z niecierpliwością. Wszedłszy do sali jadalnej znalazłem

w niej kilka osób, miejscowego Abbata, wypasłego, rumianego, lecz zyzowatego niemifosiernie, Don Antonia, jego przyjaciela kupca, kilku znakomitszych obywateli miasta, a nadewszystko piękną moją znajomą Signorę Ottawią, córkę gospodarza. Posadzony na zaszczytném miejscu, częstowany byłem, karmiony i pojony nierównie więcej i chętniej niż to włoskiej hojności przystało; rozmowa przecież nie szła ochoczo, pomimo wszelkich usiłowań Podesty. Abbato zyzował niemifosiernie, Don Antonio szeptał z cicha już to z narzeczoną, już z swym kuzynem, kupcem tryeskim; inni współbiednicy mrukliwi i pochmurni, łacniej uderzali wkielichy, niż swe myśli wywijali w wyrazy. Przy stole dopięro spostrzegłem, że tak Signora Ottawia jak i Podesta nosili żałobę; na moje zapytanie po kim? odpowiedziała Włoszka ze łzą w oku. »Matka moja przed kwartalem umarła«. Te jej wyrazy bolesny w sercu obudziły wspominek, kilka dni temu odebrałem list z rodzinnej ziemi, nie był on mi przyjemny jak wszystkie poprzednie; matka, kochana matka! donosiła o swój niebezpiecznej chorobie. Nie ukrywałem tego Signorze Ottawii, i smętném jakowémś przeczuciem wiedziony dodałem. — Ach pani! pojmujesz ile cierpię! ja tu na obcej odległej ziemi wieść muszę życie, narażać go codziennie na utratę, kiedy ona, tam daleko, opuszczona od wszystkich dzieci, odemnie, którego jako najmłodszego kochała najwięcej, dogorywa w trosce i we łzach. Boże mój! czyliż nigdy mnie jej nie wrócisz, macierzyńskiego nie pocieszysz serca, czyliż jak życie nasze upływa, tak groby mają być daleko! — Niepojęte wzruszenie, smutek nieokrślony, miłość synowska, wyrwały z mego oka łzę, potoczyła się ona po twarzy, nie ukrywałem



jéj ani wstydzilem się, i nie uszła baczności dziewicy. Wspojrzeniu które na mnie rzuciła wtedy, malowała się cała jéj dusza piękna i tkliwa, a zarazem jakaś dziwna mieszanina litości, obawy, współczucia; uważałem nawet, że nieco wzdrygnęła, pohladła, lecz wkrótce górowana dzikiém spojrzeniem narzeczonego i ojca, ukryła piękne lica w drobne ręce, i milcząc dokończyła obiadu. Kiedyśmy wstali od stołu, wino nieco burzyło w méj głowie, a przynajmniej dodało śmiałości i przykre wspomnienia gładziło z serca. Po wzajemnych ceremonialnych podziękowaniach, zbliżyłem się do Włoszki, z niesmacznym dowcipem. — Jestem twoim dłużnikiem Signora, w kściele dzisiaj, byłaś łaskawą, gałązką palmy podzielić się ze mną. — Czy chcesz pan dług zapłacić, odparła pospiesznie, podam mu sposób. — Jest to mój obowiązek Signora! i daję ci słowo honoru oficera, że najświęciej wypełnię wszystko co rozkażesz. — Trwożliwe wtedy rzuciła na okrąg spojrzenie, żywy rumieniec powlekł jéj lica, i poszepnęła tak cicho, że sam zaledwie zrozumieć mogłem te słowa. — »Strzeż się pan wina, a przynajmniej tego wieczoru.« — Nie mogłem pojąć znaczenia przestrogi, a objaśnienia nadaremnie czekałbym, gdyż oddawszy pokłon mnie i wszystkim przytomnym, szybko oddaliła się z sali; kuzyn kupiec tryeski także zabiérł się do wyjścia. — Jak to, Signor Alfonso! zagadnął Podęsta, już w drodze? niezechcesz-że przyjąć jeszcze jednego kieliszka? — Ringrazio mi Signore, przed nocą muszę być w Weronie, wiesz jaki obowiązek mnie czeka. Podęsta zamyślił się chwilę i rzekł. — Kto wie, czy nie lepiej byłoby, gdybym z tobą do Werony pojechał. Antonio tu mnie zastąpi. — Rób jak sądzisz najlepiej. — A więc dobrze, o 11<sup>ej</sup> wieczór zobaczymy

się niezawodnie, kilka jeszcze w La Chiesa muszę załatwić czynności.—Kupiec wyszedł a z nim Don Antonio.—Zagadnąłem Podestę:—cóż za interessa tak nagle wzywają panów do Werony?—Ach bardzo ważne, handlowe, jestem w spółce z mym kuzynem, jutro rano mamy termin sprawy w trybunale. — Chciałem oddalić się do kwatery, wstrzymał mnie gospodarz.—Co znowu? tak wcześniej? dopiero ósma, zatrzymaj się chwilę Signore! oto nowa butelka, a i druga się znajdzie, wino dobre i wytrawne Lacrima Christi.—Ostrzeżenie Ottawii przyszło mi na pamięć, prócz tego z natury nie lubiłem trunków gorących, odparłem: — Jeżeli pozwolisz Signore, chętnie w tém towarzystwie jeszcze jedną godzinę zabawię, lecz co do kielicha, przebaczysz, ani jednego więcej nie wychylę, i tak piłem już nazbyt. — I temu postanowieniu byłem wiernym, ponimo wszystkich próźb gospodarza i zachęt zyzowatego Abbata. Ta moja wstrzeźliwość zdawała się dziwić a nawet niepokoić współbiesiadników, rozmowa nie szła z zajęciem i za małą godzinę wszyscy się rozeszli.

Wróciwszy do kwatery spostrzegłem, że jeźlim miarę zachował w napoju, inna rzecz była z moim służącym, a nawet żołnierzem na posyckę będącym; obadwaj uraczyli się winem tak hojnie, że pomimo mych tajań i gniewu, wkrótce zasnęli snem twardym. Od moich oczu unikał on przecie, dziwra jakaś niepokojność, smutek, niby przecucie jakiegoś bliskiego niebezpieczeństwa, opanowały całego; napróżno im się broniłem, przykre odganiałem myśli, brałem się do książki, do pióra, nie mogłem znaleźć ni spokojności ni odetchu; tak zesza godzina jedna i druga, północ nadchodziła, ja oczu nie zmróżyłem jeszcze; miękkie

łoże gnieźto mnie, uciskało, powietrze komnaty dusiło, wstałem więc, zarzuciłem lekki ubiór na siebie, i usiadłszy w oknie na ulicę wyjrzałem.

Niebo było pogodne jak zwyczajnie włoskie, na ulicy ponuro i smętno, kiedy niekiedy tylko jaki spóźniony obywatel, jaki lazaronne szukając zapewne legowiska przechodził w milczeniu. W pół do dwunastej wybiło, ponury jęk dzwonu, przykre i miłe zarazem pobudził marzenia; rzuciłem się myślą w przeszłość niedawną, a tak przecież odległą i niepowróconą już dla mnie; ta godzina, była kiedyś hasłem do oddalenia się na spoczynek dla nas dzieci w rodzicielskim domu. Matka dawała nam błogostawieństwo, ojciec rady, stary nauczyciel przestrogi i lekcyi przypominek. Ach! czemuż człowiek więcej zawsze szczęśliwy przeszłością nizeli przyszłością? czemuż gdy w pierwszą rzuca swe chęci i pamięć, drugą zaledwie nadzieją śmie tylko osładzać?

Nie wiem jak długo jeszcze byłbym się lubym wspominkom oddawał, gdyby nagły wypadek, nie zwrócił bacności. Zegar ratuszowy wybił dwunastą, lecz zanim ostatni brzęk młota przebrzmiał w powietrzu, gdy oto na wieży kościelnej trzy głucho, przeciągłe, niby pogrzebu zwiastunki uderzenia dzwona zajękły. W tej chwili całe miasto ożywioném być się zdawało, na ulicy różnorodne zachuczały głosy, dom nawet Podyesty wrzawa owładła. Zanim przecież mogłem rozważyć coby to wszystko znaczyło, zebrać w kłębek myśli rozpierzchłe, w mojej własnej komnacie zaszeleło obicie zaszeleściło lekkie stąpanie, i gdy się obejrzałem, stała przedemną piękna Signora Ottawia. Była ona blada i drżąca, oko w obłąkaniu, włos w nie-

ładzie; drzwi któremi weszła ukryte były w ścianie obiciem, a stały teraz do połowy otwarte. — Boże, dzięki ci! szepnęła: mogę więc go ocalić. Pani! rzekła, szybko ujmując mą rękę, jeżeli ci miłe życie, pospieszaj, chodź za mną. — Dla Boga! co to znaczy Signora! jąkałem, niemogąc przyjść do siebie z podziwu. — Nie pytaj, nie badaj, lecz na pamięć matki, zaklinam cię nie trać ni minuty czasu, spiesz się — oni już idą.

Istotnie na schodach posłyszałem szmer jakiś, niby cichych stąpań kilkunastu osób, i nie wiedząc co czynię, bez myśli, bez woli, postąpiłem za piękną dziewczicą. Szliśmy kilka chwil ciemnymi ukrytymi w murze schodami, potem kurytarzem wązkim i niskim, i wkrótce ujrzałem się w komnacie dość obszernej, słabo lampą oświetloną, widocznie w dziewiczym pomieszkaniu Ottawii. — Dla Boga! chciej mnie wyrozumaczyć pani! co to wszystko znaczy? czemu do ucieczki nagliłaś! co to jest? — Cyt! cyt! rzekła mi w przestachu, czy słyszysz? — wskazała palcem ku sufitowi.

Istotnie, o piętro wyżej w komnacie, która była moją kwaterą, rozlegały silne po posadce stąpania, łoskot jakby przerzucanych mebli, gwar kilkunastu osób, a nawet szczęk szabli i innej broni; nagle wszystko ucichło, lekki tylko szept niby pytań i odpowiedzi, baczne ucho mogło pochwycić; lecz w krótko znowu wrzawa powstała, szyby zaszczęły rozbite gwałtownie, i na bruku ulicy, właśnie pod oknem przy którym stanąłem, rozległ się głuchy huk, niby upadek dwóch ciał z wysoka strąconych, a wtorowały mu, okropne wykrzyki, dzikie śmiechy, wycia znacznej massy ludu i na dworze i w górnym piętze mieszkania.

Drżenie wstrząsnęło całym mem ciałem, krew w żyłach ścięła się lodem, gdy na skinienie Ottawii, przez szpary zaluzii na ulicę wyjrzałem, podemną na bruku, tarzały się obryzgane własną krwią, rozbite, roz-tłuczone dwa ciała, poznałem je przecieź, były to zwłoki mojego słuźącego, i żołnierza posytki. — Czy rozumiesz teraz, szepnęła mi Włoszka co to jest powstanie w La Chiesa, powstanie w Weronie, krwawa rzeź na całym Terra firma Weneckim! — Okropna wiadomość, straszny widok dwóch trupów, do reszty pozbawiły mnie władzy myśli i rozwagi, i gdybym nie widział przed sobą pięknej Włoszki, i nie słyszał jęć słów, gdyby serce gwałtownie bijące nie dawało życia skazówce, całe straszliwe zdarzenie poczytałbym raczej za sen dolegliwy i przykry.

W tej chwili cały dom już był w ruchu: »Szu-kają cię« szepnęła Ottawia; jakoź wątpić o tém nie-mógłem, łoskot wrzał na około, na dziedzińcu, po scho-dach, we wszystkich komnatach gmachu. »Nie lękaj się! rzekła znowu Włoszka, nie wejdą tu, Antonio nie zezwoli, a gdyby...« — Czoło jęć grube krople potu pokryły, drżenie obiegło po ciele, oko jęć pałało gdy ujęła mą rękę i tak mó-wiła: »Słuchaj signore! idzie tu o śmierć lub życie dla nas obojga, ocaliłam cię bo zgubić nie mogłam, nie powin-nam; wyrwałś mnie z rąk napastnika dzisiejszego po-tudnia, kochasz matkę, widziałam to, pojęłam, nie mo-żesz więc być złym, ani jednym z katów tej nieszczęsnęj krajiny; krew twoja padłaby na me sumienie na duszę, wołałaby o pomstę, nie dała zbawienia; lecz czy wiesz gdzie cię ukrywam? ta komnata, to moja sypialnia, a jestem narzeczoną Don Antonia! jestem córką czło-wieka, który nigdy, nigdy nieścierpiałby podejrzenia nawet obrazy swoich siwych włosów i starożytnego ro-

du; a on, Antonio! co by rzekł, czyżby zrozumiał moje powody, świętość postępku? Gdyby więc oni tu weszli, odkryli cię — zginąć musisz — ja — powinnam zginąć« — I upadłszy na kolana i załamując ręce dodała — »Signore! na twój honor, na matkę, na zbawienie duszy, błagam cię, zaklinam, jeżeli oni tu wejdą — ja słaba, trwożliwa kobieta, może nie miałabym dość siły, możebym cios omyliła, zlituj się wtedy, patrz, weź ten sztylet, i nim mnie i sobie życie odbierz!»

I istotnie, wcisnęła w moją rękę puginał — krótki, medyolański, o płaskiej a szerokiej głowni, ostry, błyskliwy; spostrzegłem przecież, że sobie zachowała drugi, jego złocista rękojeść złowieszczo błyszczała zanadrem czarniej mantyli. . . .

W tej chwili szmer się rozległ w przyległej komnacie, zadrżałem. Któż mi nie przebaczy tego? kogóż śmierć tak bliska, tak pewną być się zdająca, trwożą by nie przejęła? szalenięc tylko lub hezcelny samochwał dowodzić może, że się jej nigdy nie lękał, nie lękał wtedy nawet, gdy żelazo wroga błyszczało nad jego głową, kiedy śmierć w chłodne kościste ramiona ująć się go zdawała.

Ottawia stanęła na stronie przy drzwiach, blisko mnie, wydobywszy sztylet z zanadrza — jam słuchał. Całe moje życie, wszystkie zmysły skupiły się w uchu; najlżejszy szmer, najdrobniejsze słowo wyrzeczone w przyległej izbie, nie uszły jego bacznosci, odbijały w mém sercu, w méj głowie.

Po kilku chwilach bacznego przeglądu, przerzucaniu, przestawianiu mebli, mordercy zbliżyli się ku drzwiom komnaty w której byłem. — Nie sposób aby mógł ujść z tego domu, aby w nim mógł się ukryć

przed nami, szukajmy! rzekł jeden. — Jeszcze jedne drzwi, wejdźmy — rzekł drugi. — Ujął za klamkę. — Stój! — rozległ się wtedy dumny i nakazujący głos; poznałem, że był Don Antonia. — To komnata Ottawi! sypialnia mojej narzeczonej. — Cóż to szkodzi, rzekł ktoś, jak inne przejść ją musimy. — Per Dio immortale! nie zezwolę na to, nigdy nie zezwolę! — krzyknął Antonio i odepchnąwszy tego co za klamkę ujął, rzucił się między drzwi a morderców. Głuchy szmer niezadowolnienia rozległ się wśród tłumu; ktoś wyrzekł. — Co znowu? Signor Antonio! chcesz nam w poszukiwaniu przeszkadzać? zapomniawsz o twojej przysiędze? śmierć wszystkim Francuzom! — I któż więcej ich krwi wylał odemnie? kto plan ich zguby ułożył? ktoby nawet wieczyste swoje oddał zbawienie, za zgubę jednego z nich najlichszego? lecz to nie sposób! mówię wam, ta komnata święta, nie wejdziecie do niej! — Mordercy przecież nie zdawali się być temi powściągnięti słowami, szmer wzrastał a nawet odkazki. — Kiedy idzie o zbawienie rzeczypospolitej, wołano, o śmierć zbrodniarza Francuza, na bok wszystkie względy światowe odłożyć wypada, zdrajca ten kto opór naszej woli stawia! — Don Antonio szablę wy dobył. — A więc po moim trupie wejdziecie! krzyknął. — Cały tłum wtedy cofnął się o krok, nie wiedząc co czynić. Włoch mówił znowu, lecz już spokojniejszym głosem: — kiedy jednak koniecznie przekonać się chcecie, gdy nie wierzycie w honor najszlachetniejszej z waszych dziewic, pozwólcie niech sam jeden wejdę: znacie mnie, zaufać możecie. — Dobrze, bardzo dobrze! — kilkanaście głosów jednocześnie zabrzmiało — Don Antonio wszedł. Odkreślić tę chwilę niepodobienstwem jest dla mnie, od niej zależało moje życie, życie lub śmierć dwóch osób. Ottawii oko pałało, zarzyło niejako. Zaledwie

narzeczony drzwi przyinknął, stanął w komnacie, już go silnie ujęła za rękę, wskazała ku mnie, i palec położyła na ustach. Don Antonio wzdrygnął, poblądł: jego oko prysnęło guiewem, szydem, rozpaczą: w rękę szabla błysnęła. Wstrzymała ją Włoszka. — Zabijesz go! oddasz wrogom!. klęć ci się zabijesz mnie! — poszepnęła głucho, i pośpiesznie z zanadru wydobywszy puginą, skierowała ku swój piersi. — Gest jój był tak żywy, tak wyraźny, że jak bym już widział krew tryskającą z pięknego jój łona, zadrżałem; silniej jeszcze zadrżał Don Antonio. Postąpił kilka kroków po komnacie, oko jego było w obłąkaniu, czoło blade, głębokimi zrysowane bruzdami; w wściekłej rozpaczy gniótł rękojeść szabli, i zbliżywszy się do Ottawii, szepnął głucho, piersiowo: — nie szczęśna! zwiódłś mnie, zgubiłś! — Nie czekając odpowiedzi wyszedł.

Jakże! jest? — zachuczały okropne głosy w przyległej komnacie. — Nie, — odparł głucho Antonio. — Diavolo! sam go widziałem przed kwandransem w oknie kwatery, szatan się wnięszał widocznie; lecz chodźmy dalej, śpieszmy, szukajmy! — I pobiegli, i w całym domu znowu wrzał rumot i łoskot roztwieranych gwałtownie drzwi, przerzucanych mebli, rozbijanych szaf, brzęk szablic i karabinów.

Ottawia drzwi zasunęła na zasuwkę, na klucz zamknęła; była blada jak trup i cała drżąca, gdy się do mnie zbliżyła. — „Ach Signore! on niewierzy w moją miłość w mój honor, wyrzekła, czy ty to pojmujesz!“ Z jój oczu rzewnych łez potok wytrysnął, łkała głucho, boleśnie, i w ciężkim żalu upadła na przyległe krzesło. Tak przeszedł kwandrans, wydawał on mi się dfu-gim, niby wiek cały utrapień. Nagle głuchy szmer kroków rozległ się w przyległej komnacie, lekko zapuka-



no do drzwi.—Kto tam! zapytała Włoszka ze drżeniem.  
—Jo Sono—odparł głos ponury, posępny.—To on! Don Antonio!—Boże! zmiłuj się nad nim, zmiłuj się nademną!—  
Otworzyła drzwi z pośpiechem, wszedł Włoch. W oku jego wywijają wszystkie cierpienia miotające sercem i duszą: guiew, żal, zawiść i rozpacz. Narzeczona padła do nóg jego, odepchnął ją z lekka, powstała zaraz, silne jakieś postanowienie malowało się w jej oku czarném i pełném, otarła czémprędzej łzy, i rzekła głosem cichym lecz mocnym: — Antonio! posłuchaj chwil kilka: idzie tu o szczęście twoje, o mą przyszłość i życie; jak miałeś być mężem, bądź mym sędzią i katem, lecz słuchaj.— Dobrze, pomruknął rozpacznie.—A więc odpowiedz mi, jakbyś odpowiadał kapłanowi przy świętej spowiedzi: kochałeś mnie? — Czy nie wiesz o tém! czy wątpić możesz? — Tak, wiem, i wierzyłam ci, lecz odpowiedz jeszcze: czy kiedy słowem, myślą, jakimkolwiek najdrobniejszym czynem, postępkim, gestem nawet dałam ci powód do wątpienia o téj miłości, którą ci przysięgłam od roku, którą poprzysięgłam wieczną, niepokalaną, przy łożu konającej matki? — Ottawio! zmiłuj się. — A teraz śmiesz o niej wątpić! teraz kiedy wiedziona litością, wdzięcznością, chciałam ocalić tego nieszczęśliwego, wyrwać śmierci okrutnej, powrócić konającej matce! Antonio! czyś zapomniał, że ja kobietą? czyś zapomniał że jak sam mówiłeś, kochałeś mnie dla tego najwięcej, że jak inne współrodaczki, nie byłam okrutną ni mściwą?..—Ottawio! — krzyknął młodziwiec z zapałem, padając do nóg kochanki i jej ręce oblewając łzami,—przebacz mi, przebacz! chwilę szału, zapomnienia: ale wspomnij że ja Włoch, że trudno wyrwać z serca zazdrość, podejrzenie, które we krwi

burzą, w nią zaszczipione, w nią wpojone od dziecka. Ach! wierzę ci, wierzę! jesteś niewinna, jesteś dobra — Anioł! — to cały twój błąd; lecz któżby go nie wymówił, nie przebaczył? ja ci zaraz dam dowód. — To rzekłszy, nie czekając odpowiedzi narzeczonej, powstał, zbliżył się ku mnie, rękę uściskał i tak rzekł: »Pierwszym jesteś z Francuzów któremu daję uścisk braterski, którego chcę się przyjacielem nazwać, bądź nim jeśli nie z przekonania, nie dla mnie, to z wdzięczności dla swojej pięknej wybawicielki, mojej narzeczonej.« Wzajemnym uściskiem odpowiedziałem na wyrazy szlachetnego młodziana, i teraz dopiero przypominałem sobie, że nie podziękowałem jeszcze Ottawii za ocalone życie; nawzajem z Antoniem upadłem do nóg jej, niosąc wyrazy: ja wdzięczności i uwielbienia, on miłości i nowych przysięg. Po kilku minutach wzajemnych wynurzeń, rzekła dziewica, zwracając się ku narzeczonemu, i wskazując na mnie. — Zrobiłam co mogłam, do ciebie Antonio reszta należy; wyprowadź go z miasta, dopóki tu będzie, życie jego w niebezpieczeństwie. — Czoło Włocha zasępiło się znowu, szeptał ponuro. — Wspomnij Ottawio co żądasz! Na krzyż, na zbawienie duszy, przysięgłem śmierć wszystkim Francuzom: ocalając tego, nie obarczyę sumienia zbrodnią, krzywoprzysięstwem? — Ach! Bóg ci przebaczy, Bóg dobry! czyż litość grzechem u niego, miłosierdzie występkiem? — Tak, wahać się nie mogę, nie powiniennem, wyrzekł zwawo młodzian, chcesz, to dosyć dla mnie: przysięgłem śmierć winnym, lecz na jego sumieniu nie ciąży ni jedna łza téj nieszczęśliwej krainy, wiem to dobrze; nadto on moim bratem, moim przyjacielem, jego krew ciążyłaby wiecznie mojej pamięci, zakałą była potępieniem dla du-

szy.—Uściskałem znowu rękę młodziana. Ottawia rzuciła mu spojrzene pełne niśości i wdzięczności, tak mówił dalej:—kilka chwil zaczekaj tu, przyniosę ci moją odzież, musisz przebrać się i czémprędzej ze mną ucho-  
dzić; znasz zapewne drogę do Balsamo, tam stoi wasz oddział, zamocny abyśmy śmieli natrzeć na niego, lecz pospieszać musimy. —Don Juliano (Podesta) z Wero-  
ny co chwila może powrócić, wtedy—śmierć twoja pe-  
wna, znając tajemne schody któremi ocaliłeś się, do-  
rozumi się wszystkiego, odkryje cię. — Co przyrzekł  
wypełnić; wkrótce byłem przebrany, i ucieszony kiedy  
wyrzekł:—konie stoją gotowe, twój własny będzie niósł  
cię Signore! jeśli cię powstańcy zatrzymają nie zapo-  
mnij, że jesteś weneckim patryciuszem, wysłanym do  
mieszkańców Terra Firma, aby stanąć na ich czele prze-  
ciw Francuzom.

Pożegnania mojego z szlachetną Ottawią nie będę opisywał, nie obyło się bez łez z obu stron. W przejeź-  
dzie przez ciasne miejskie ulice, nieraz wstrzymywały  
kroki nasze zbrojne bandy, szczególniej téż lazaronów;  
ustępowały przecież z drogi natychmiast, gdy im wołał  
Antonio: — spieszmy do Boromeo! ani chwili do stra-  
cenia nie mamy, Viva Santo Marco e illustrissima re-  
publica Veneta! — Viva Santo Marco! — odpowiadały  
chrapliwe wykrzyki. W kilka minut byliśmy za mia-  
stem, wtedy mogliśmy zwolnić koniom i zawiązać roz-  
mowę. — Jeden zapewne jesteś Signore z ocalonych woj-  
skowych francuzkich nie tylko w La Chiesa, ale w We-  
ronie, Salo Wicenzii i Padwie, wyrzekł mi towarzysz;  
wszędzie powstanie, wszędzie rzeź: kieruje nim waleczny  
Patrycyusz Provera, którego pod nazwą trieskiego  
kupca w domu mojego teścia i w mieście wczoraj wi-

działość. Włochy przypominały sobie dawne czasy, senat wenecki ocknął z uśpienia, Doza pojął nareszcie, że aby ocalić Rzeczpospolitą, walczyć potrzeba! — Lecz jakież będzie koniec tego wszystkiego, odparłem, nasza armia liczna, Buonaparte naczelny jej wódz niezwyciężony! — Przyszedł kres szczęściu wyrodnego Korsykana, dzielny Arcy-Książę Karol zamknął go wśród lodowatych gór Karyntyi, musi walczyć i z mężnym żołnierzem i bitnemi Sklawonami, a co nadewszystko z samą przyrodą, zguba jego nieuchronna, i Italia znowu szczęśliwa.

Nie chciałem budzić marzyciela z słodkich snów jego, zamilkłem więc, lubo wątpić nie mogłem, że cała katastrofa jak wszystkie poprzednie, wkrótce uśmierzoną zostanie; a wtedy i on, i wszyscy co w niej udział wzięli, srogiej i słusznój kary nie ujdą. To moje milczenie zrozumiał Don Antonio, bo wyrzekł posepnie:

— Gdyby przecież Bóg nie miał litości nad nami, gdyby utrapienia i tyloletnie krzywdy nie starczyły do zmazania ciężkich win naszych, czyliż sądzisz Signore, że Italia upadła już tak nisko, że jej dzieci o tyle już wyrodne, aby pomiędzy niemi nie znalazł się ni jeden nowy Procida, nowy Brutus, lub Manzaniello? — Lecz przypuściwszy, rzekłem, na co każdy rozsądny człowiek baczyć powinien, że wasze nadzieje omylone będą, nasza armia wyjdzie zwycięzko z tej nowój walki jak z tylu innych, jakież wtedy los twój Signore, los twojój narzeczonej szlachetnej Ottawii? — Ach! co do siebie, nie mam obawy, potomek Cornarich, krewny Morosinich, jeżeli zwyciężyć nie będę mógł, zginąć potrafię! śmierć nie zastrasza mnie wcale, ale masz słusność: Ottawia! Ottawia! — Łza połysnęła w oku młodziana, smutne prze-

czucie wybiło troską na czoło, podałem mu rękę i rękę. — Przez brata mojego, dowódcę w tej chwili legionów, mam niejaki wpływ w rządzie, w każdym zdarzeniu chciej sobie o tém przypomnieć, znajdziesz pomoc braterską i nigdy nie wygasną wdzięczność. — Nawzajem Don Antonio, rękę moją uściskał. — Ach! może to los opiekuńczy kierował twojem zbawieniem wyrzekł, niedościgłe są Boże wyroki, nie zapomnij więc o daném słowie, nie zapomnij o wybawicielce tak dla ciebie poświęconej, gdyby kiedy zażądała twojej opieki. — Nigdy, nigdy! odparłem, przysięgam ci na honor, i na pamięć matki. — Tak rozmawiając ujechaliśmy blisko milę jedną, minęliśmy nawet małą wioskę Boromeo, wtedy zatrzymawszy konia, rzekł mi towarzysz. — Odtąd jesteś bezpieczny, wasz oddział obozuje stąd o pół mili, gdyby przecież jaka banda powstańców napotkać cię miała, nie zapomnij, hasła »Viva Santo Marco.« przepuści cię bez zaczepki: bądź zdrow.

Za kwadrans byłem już w kwaterze francuzkiego generała Dubois, który posłyszawszy mocne strzały od Werony rozlegające się, właśnie wysyłał patrol dla odkrycia powodu: moje przybycie i wiadomości jakie udzieliłem zmieniły plan jego, cały pułk jazdy wyruszył czém prędzej na odsiecz Cytadeli Werońskiej i uskromienie wzburzonych.

Każdy z czytelników moich wie zapewne, jak prędko i smętnie rozchwiejami zostały wszystkie Wenetów nadzieje. Gwiazda Buonapartego, która dopiero co żywym rozjaśniła blaskiem, miała świecić jeszcze daleko i długo młodemu bohaterowi, co imię swoje na ró-

wni z Cezara, Karola, Wielkiego Alexandra i wyżej miał umieścić w dziejach. Kampania włoska była tylko wstępem do innych, jeżeli nie zaszczytniejszych to więcej krwawych, więcej świetnych: w tym czasie jednak jeżeli nie jeden przeczuwał przyszłą jego wielkość i potęgę, nikt ani pomyślał o koronie cesarskiej, cóż dopiero o Świętej Helenie, o tym wulkanie piastującym wulkana, skalistym ustronnym grobie władcy pół Europy, mocarza przed którym drżał świat.

Otóż w miesiąc zaledwie od wypadków które opisywałem, przed chwilą Karyntia co miała być grobem sławy Buonapartego, dołożyła nowy listek do świeżych jego laurów. Arcyksiężę Karól jedyna tarcza austryjackiej monarchii, zwycięzca Jourdan'a, Masseny a nawet i Mora, nie mógł ni szczęściem ni siłą stawić tamy młodemu dowódcy. Wiedeń drżał, odwieczna niemiecka rzesza w swym pierwszym filarze chwiała się i Cezar semper Augustus jenerała musiał błagać o pokój. Wtedy przyszedł kres tej rzeczypospolitej, co winna będąc barbarzyńskiemu Attylli początek, orężowi swoich dzieci świetność, miała upaść na jedno skinienie, na jeden wyraz nowego olbrzyma ucywilizowanego świata — Napoleona. Po rozejmie w Leoben, dowódca armii włoskiej, wydał straszny ale słuszny wyrok śmierci pani morza, sromoty, skrzydlatym lwom świętego Marka. Wyrazy które odrzucił przekupne skarby wyrodných potomków Dandolich, Morosinich, Zenonów, przechowała historia, bo godne były przyszłej wielkości Cesarza Napoleona; na równi stać mogą z najpiękniejszymi tych bohaterów Grecyi i Rzymu, których dzieła potomności podali, Plutarch i Nepos. Rzekł on do posłańców rzeczypospolitej: »Choćbyście

mnie ofiarowali wszystkie skarby Peru, pokryli złotem wszystkie wasze posiadłości, nie okupicie niemi ni jednej kropli krwi francuzkiej zdradziecko przelanej; hańba wam i hańda! nie umiecie walczyć, zginąć powinniście!»

Armia nasza zalała na nowo całe Terra Firma. Powstańcy uleż musieli, każdy ujęty z bronią w rękę ginął rozstrzelany, łaski ni litości nie było. Kilka kompanii wojska naszego osadziło Palma Nuova, małe miasteczko sześć mil od Wenecyi odległe; przednia straż wielkiej armii nadciągnęła także, a jednocześnie dnia następnego, jenerał Serrvier wysłany na poskromienie powstańców Werony pięćdziesiąt ich ujętych w niewolę pod mocną strażą nadesłał i naczelny dowódca wojsk włoskich, z całym swoim sztabem przybył: przecież ani wjazdu młodego bohatera, ani przyprowadzonych jeńców widzieć nie mogłem wysłany w okolice na patrol. Jeńcy obchodzili mnie mało, ależ nie ujrzyć tego człowieka, przed którym Niemcy drżały, całe Włochy biły czołem, który na czele szczupłej i pierwszych potrzeb pozbawionej armii, umiał nieprzeliczone wroga zastępy rozgromić, byłoby dla mnie żołnierza nie do wybaczenia, niedbalstwem, występkiem: nawet. Przywdziałem zatem czempredziej mundur paradny, i pod pozorem odwiedzenia brata, udałem się do głównej kwatery, na drugim końcu miasteczka, w domu Podesty założonej. Odległość drogi nie była wielka, przecież ubiegł kwandrans a zaledwie połowę jej zrobiłem; to zaczepił kolega, to dawny towarzysz, to znowu znajomy, oswobodzony z niewoli; z każdym trzeba się było uściśnąć, pogwarzyć, posłuchać jego przygód, opowiedzieć swoje, pożartować też nieco, a to

wszystko nie przyspiesza drogi. Gdym przechodził obok ratusza, w którym główny odwach obozu urządzono na pędce, wyrzekł mi jeden z kolegów: »wyobraź sobie jaki przykry jutro obowiązek mnie czeka, istotnie Półkownik uwziął się aby mi dokuczać: muszę dowodzić oddziałowi przeznaczonemu na rozstrzelanie tych nędzarzy włoskich, przekłeta służba, wolałbym cały kwadrans stać na grobli arkolskiej, pod austriackimi strzałami, niż tu pełnić kata powinność.« — A więc Naczelnny Wódz podpisał już wyrok wojennego sądu? zagadnął któryś z przytomnych oficerów — Było to jego pierwszą rzeczą po przybyciu, należałem jak wiesz do sądu, a więc mogłem wszystko widzieć i słyszyć: kilku z biedaków do nóg mu upadło, błagając łaski napróżno! Odparł on: »wasza krew tylko, choć w części, może mi wydrzeć z pamięci tę, coście zdradziecko przelali.« Panowie deputowani Weneccy zaczęli go także prozbami, szczególnie jeden z nich, siwy i poważny starzec, ze łzami błagał o życie pokrewnego swojego, ostatniego jak mówił potomka znakomitej i odwiecznej familii: złotój księgi Rzeczypospolitej. Trzeba widzieć było Buonapartego w tej chwili: szczupła jego postać zdawała się przedzierzgnąć w olbrzymią, oko pałało, piekło niejako, głos drżał gdy odrzekł. — »Złota wasza księga nie istnieje, szlachectwo zbutwiało i zgniło, świetne wasze imiona skalane odrodnych potomków niecnemi czynami, nadaremnie pan prosisz, winny zginąć musi! zginąć tém słuszniej, że był pierwszym z podżegaczy mordów, najczynniejszym buntu dowódcą; wszystko co mogę uczynić jest to, że jutro, o wschodzącym słońcu, pierwsza kula pomsty, pierś jego przeszyje.« — Nie-wieszże nazwiska tego Włocha? spytałem bolesném prze-



czuciem wiedziony. — Któżby je pamiętał albo rozróżnił wśród tylu dziwacznych imion na *ni* i *ari*, zdaje mi się przecież, że był rodem i mieszkańcem Werony, czy też którego z miast jój przyległych. — To zapewne o życie tego samego powstańca błagała naczelnika jakaś młoda i dość piękna kobieta, właśnie gdy ukończył przegląd naszej kompanii, wtrącił z oficerów inny. — Młoda kobieta! rzekłem przerażony, bo Don Antonio i Ottawia żywo nasunęli się mojej wyobraźni. — Dziewica lat osiemnastu, brunetka, dobrego wzrostu? — Tak jest, odparł obojętnie towarzysz. — I cóż, cóż jój odpowiedział Buonaparte? — Prawie toż samo, co weneckiemu deputowanemu »*zginąć musi.*« — Zapomniałem o celu przechadzki, o ujrzeniu bohatera włoskiego, pobiegłem na odwach, szczęście mi posłużyło, trzymał na nim wartę, dobry przyjaciel ziomek i towarzysz dzieciństwa, waleczny Michał Potworoski Porucznik. — Pozwól przejrzeć jeńców włoskich, rzekłem mu. — Przed godziną błagało o to jakieś młode i nie szpetne dziewczę, chciało poszukać męża czy kochanka swojego; lecz ty z kimże chcesz się widzieć? — Opowiem ci później, na teraz spiesz się. — Uskutecznił z chęcią co chciałem, a nawet sam mi towarzyszył, we trzech czy czterech izdebkach brudnych, wilgotnych i niskich rozstasowani byli nieszczęśni, grubemi powrozami skrępowani, niektórzy nawet przytwierdzeni silnemi żelazami do murów; pomiędzy temi w osobnej izbie był i Don Antonio. Ottawia blada, drżąca, cała we łzach, z włosami rozpuszczonemi, w odzieży w nieładzie, klęczała u jego stóp. — Zadrżałem — Ach to ty Signore! rzekł jeniec głosem bolesnym, widzimy się więc i to nie w tak odległym czasie, jak w La Chiesa mniemałem. —

Ottawia padła do mych nóg, głucho jęcząc »ratuj go!« — Dla Boga przyjacielu! rzekłem do towarzysza, każ zdjęć z nieszczęśliwego kajdany, zaręczam ci słowem honoru, że niebędzie chciał ratować się ucieczką. — I nie może, odparł porucznik, mury grube, kraty silne, lecz co chcesz, przeciw wyraźnemu rozkazowi Półkownika, ale mniejsza o to, godzina lub dwie areztu nie straszą mnie wcale. — Przywołał jednego z żołnierzy i okowy spadły wkrótce z nóg Wenecyana. — W kilku słowach opowiedział mi swoje przygody. Oni walczyli mężnie, ale ciśnieni przewagą naszej armii, haniebnie opuszczeni, nie mając żadnych zasobów ni amunicyi, ni żywności, uledz musieli. On sam, Don Antonio, przed trzema dniami, w pobliżu Bolonii, otoczony ze wszystkich stron, zdradzony przez własnych żołnierzy dostał się w niewolę, Ottawia towarzyszyła mu pieszo mil kilkanaście. Łzy potoczyły się z oczu szlachetnego młodzieńca »puovera, jakiż jój los, jaka przyszłość!« wyrzekł głucho jęcząc. — Niesmuć się: jeszcze nadzieja całkiem nie zginęła, Buonaparte litość mieć będzie. — Litość! kiedyż ją zwycięzca miał nad zwyciężonemi? dzisiaj w południe rzuciła się ona, biedna, umierająca do jego nóg, błagała ze łzami; wieszże jaka była twojego bohatera odpowiedź, jakie baczenie na rozpacz nieszczęśliwej kobiety?.. odepchnął ją z wzgardą, opuścił bez pociechy »umrzeć musi« wyrzekł. — Nie wiedziałem co odrzec. — Och! mówił dalej Antonio, śmierć nie zastrasza mnie wcale, w dziesięciu walkach widziałem ją zbliżoną, nie drżałem przed nią; lecz zginąć zgonem zbrodniarzy, zginąć i wiedzieć że ona bez rodziny, przyjaciół, schronienia, bo i ojciec jój już w grobie, sama jedna na

obszernym świecie, tułać się musi, ach to okropnie! to piekło! — Oczy włoszki zabłyśły, ujęła dłoń ko-  
chanka, i silnym głosem wyrzekła. — Antonio! czy-  
liż mniemasz że godną ciebie nie będę, że krew Don-  
dolich przestała płynąć w mych żyłach? zginiesz ty,  
zginę i ja, jeżeli serce nie pęknie, to sztylet się znaj-  
dzie. Ach! dodała tonem bolesnej rozpaczki, życie prze-  
cież tak mi pięknie jaśniało, tyle w niém kładłam na-  
dziei, tak w nie wierzyłem: i umrzeć, lecz umrzeć razem  
z tobą, to znowu pociecha. — Nie rozpaczajcie! wyrze-  
kłem im wtedy, nie mogąc scierpieć dłuższych skarg i  
rozpaczki; pójdę do Buonapartego, opowiem mu wszystko,  
opowiem ile wam jestem winien, zmiłuje się, przebaczy  
ci szlachetny Antonio. — Dziewica rzuciła mi spojrze-  
nie pełne zachęty i wdzięczności, Włoch z niedowiar-  
stwem lekko głową skinął — wyszedłem. Waleczny to-  
warzysz Porucznik, rzekł mi przy rozstaniu: — A więc  
to są twoi obrońcy w La Chiesa, o których wspominałeś  
nam zeszłego miesiąca? — Tak jest. — Los ich i mnie  
mocno obchodzi, Włoch jak widzę, jest szlachetnym  
i mężnym młodzieńcem, a żona jego, takie przywiąza-  
nie, taka ofiara, lecz maszże jaką nadzieję? — Pójdę  
do brata, musi mnie Buonapartemu przedstawić. — Niech  
ci Bóg dopomaga i pozwoli wrócić czém prędzej z do-  
brą nowiną. — Zastałem brata w pełnym uniformie,  
właśnie miał wyjść na radę wojenną i kolacją do Naczel-  
nego Dowódcy, opowiedziałem mu całe zdarzenie, pro-  
siłem o pomoc. Smutnie wstrząsnął głową i wyrzekł.  
— Nadaremnie wszystko, znam go, wyrok podpisał, nie  
cofnie już słowa; widzieć go także nie możesz, rada  
wojenna przeszkodzi; lecz ufaj mi, zrobię wszystko co

będę mógł, będę go błagał, może nie wzgardzi prozbą towarzysza broni: odpowiedź nadeślę ci przez Adjutanta.

Godzina przecież ubiegła, nie było jej. Każdy na mojem miejscu, pojmie ile cierpiałem; ledwie na końcu drugiej, przybył Adjutant z karteczką mojego brata; pisał: — »Jenerał ani słucać nie chciał, owszem rozgniewał się, że mu podobną przedstawiłem prośbę. Są to własne jego słowa:« »jeden ocalony, tysiąca poległych wynagrodzić nie może.« — W rozpaczy nie do określenia pobiegłem na odwach. — Jakże, jaka odpowiedź Buonapartego? zapytał przyjaciel. — Pokazałem mu kartkę, odczytał, i rzekł: »Człowiek żelazny, jego serce kula armatnia, ręczę ci będzie kiedyś panem świata.« Porucznik wyrzekłszy w uniesieniu te słowa, ani przeczuwał że one prorocze mi były.

Weszliśmy do izby jeńców, Don Antonio rzucił mi badawcze przenikliwe spojrzenie i gorzko uśmiechnąwszy się, mówił. — »A cóż, nie miałem słusności, trzeba umrzeć?« — Zakryłem twarz dłonią, już to aby ukryć łzę wijącą w oku, już aby nieco ochłodzić czoło: było rozpalone tysiącem różnorodnych uczuć wszystką krew burzących. Ottawia głucho jęknąwszy omdlała. Dwie godziny prawie z nieszczęśliwemi strawiłem, a ile cierpiałem, Bóg to jeden znać może; w człowieku mocy nie sposób opisać: nagle przyszła do mej głowy myśl jedna rozpaczna, jedna z tych, która jak słusznie mówi przysłowie, tonącemu każe chwytać koło młyńskie w ocalenia nadziei. Wspomniałem już, iż z Porucznikiem Potworoskim pierwszą młodość razem spędziłem, i że ciągle przyjaciółmi byliśmy; lecz dwie okoliczności silniej nas jeszcze wiązały, a to, iż kochał moją siostrę i winien mi był życie w bitwie pod Tagliamento. —

Uniesiony wdzięcznością poprzysiągł w ówczas że w każdym zdarzeniu na pomoc jego rachować może, choćby szło nawet o ofiarę życia, o szczęście i honor. Z niebaczonej obietnicy teraz zapragnąłem korzystać; była to straszliwa próba, okrucieństwo: pojmowałem dobrze, wiedziałem, nie wahałem się przecieś, i opuściwszy jeńców, odwiódłem przyjaciela na stronę, i tak mu rzekłem: — Michale! w twoim ręku mój honor, moja przyszłość! Jeżeli Don Antonia nie ocale, zgubiony będę na zawsze, jego zgon nie da sumieniowi spoczynku, zakłóci życie, o rozpacz przywiedzie: zmiłuj się dopomóż mi! — Waleczny towarzysz pobladł na te moje wyrazy i głucho poszepnął: — lecz jak? — Pozwól uprowadzić ich. — Co znowu? człowieku! — Mam twoje słowo honoru, przypomnij sobie bitwę pod Tagliamento: obiecałeś mi pomoc i wdzięczność. — Przeszedł kilka razy po szczupłej komnacie odwachu, na czoło jego grube potu wystąpiły krople. — Nie, to nie sposób! wyjąkał. — A więc łamiesz twe przyrzeczenie? — Oko walecznego młodzieńca zabłysło pożarem obrażonej dumy, — wszystkich świętości serca: — wyrzekł ponuro, posepnie: — chcesz? dobrze — rób co ci się podoba, zginiesz i ja zginę. — Okropna prawda nasunęła się rozsądkowi wtedy! tak, ocalając Don Antonia, alboż nie narażam własnego życia, więcej jeszcze życia kochanego przyjaciela? Prawa wojenne surowe, gniew Buonapartego straszny. On ukaranym zostanie jako dowodzący oficer warty i stróż jeńców, ja jako ich uprowadziciel; ale też przyszła uwaga, nadzieja wątpliwa, lecz zawsze nadzieja... Mój brat ma znakomite wpływy, naczelnik go lubi, złagodzi wyrok; nadto dowódcy, oficerowie, żołnierze nawet nie zezwolą na haniebną śmierć współrodaków, towarzyszy, uczestników

swych prac i przeważnych zwycięstw. Ach! ten promyk, ta wąska nitka zbawienia zagłuszyła porady rozsądku; obawę, niepokój przytłumiła. W uniesieniu wdzięczności przycisnąłem do piersi szlachetnego przyjaciela, jego lica łzami memi zrosiłem i wbiegłem napowrót do więzienia Włocha. — Jesteś, będziesz wolnym za chwilę! krzyknąłem. — Don Antonio zadrżał, Ottawia na kolana upadła, ja mówiłem dalej: — za kwadrans, przebrany opuścisz to straszliwe miejsce, sam was przeprowadzę przez obóz, bądźcie więc gotowi. — Chciałem odejść, wstrzymał mnie Antonio pytaniem: — Ocalając nas, czyż własnego nie narażasz życia? — Alboż myślałeś o niém uprowadzając mnie z La Chiesa? — A więc zostałem odparł ponuro. — Antoni! przeraźliwie krzyknęła Ottawia, ty chcesz zginąć, ty chcesz méj śmierci! — Povera mia! zginieemy oboje i razem, czyż cię to ma o rozpacz przywozдить? — Dziewica przecież łamała ręce i łkała rozpacznie, miłosć samolubną ją uczyniła. Cierpienie i łzy Włoszki silniej jeszcze utwierdziły mnie w postanowieniu, pobudziły do litości; rzekłem jeńcowi: — nieprzeczę temu, iż ocalając cię narażam na niebezpieczeństwo siebie równie jak i komendanta odwachu, od dziecka przyjaciela mojego; lecz my mamy nadzieję: brat mój generał, towarzysze, wreszcie pamięć dawnych zasług, ocalić nas mogą; gdy przeciwnie, jeżeli tu pozostaniesz, nie przyjmiesz mojej ofiary, zguba twoja nieuchronna, zgubisz Ottawię i siebie. — Słuchaj go, słuchaj! błagała ze łzami dziewczica. — Jesteś nierozważny, jesteś zbyt szlachetny młodzian! zbrodnią byłoby korzystać z niedoświadczenia twojego, mówił Weneccyanin. — Lecz w końcu skłoniony dowodami mojemu, łzami kochanki, a może i przywiązaniem do życia wro-

dzonem każdemu z ludzi, przystał na mój projekt.—A więc za kilka minut przyniosę ci ubiór żołnierski, pod jego zastoną przejdziesz obóz cały, dam ci nadto konia równie jak i Ottawii, dojechawszy do pierwszej stacyi pocztowej jesteś bezpieczny, Tyrol niedaleko. — Ależ pieńiądze! nié mam ni cekina. — Podzielę się z tobą szczupłym moim zapasem. —

Padł w moje objęcia, Ottawia silnie uściskała me dłonie... W mały kwadrans byłem z powrotem, miałem służącego równego wzrostu z więźniem: dla niezbudzenia podejrzeń warty, pozostawiłem go na miejscu jeńca, tego wyprowadziłem własnym płaszczem okrywszy, Ottawia wyszła za nami. Gdyśmy opuszczali odwach, szepnął mi Porucznik:—hasło dzisiejsze *Arcole* pamiętaj na to, i bądź zdrow. — Jutrzejszego rana zobaczymy się, odparłem.—Tak! zobaczymy się w więzach lub przed sądem wojennym. — Zadrżałem na te wyrazy, lecz nie chciałem ani już mógłm dać na nie baczenia. Poprzednio rozkazałem służącemu wyprowadzić dwa konie na trakt pocztowy od miasteczka ku Trewwii wiodący: tam więc poprowadziłem oswobodzonych Włochów.

Przechodząc miasto i obóz w okół niego rozłożony, kilkakrotnie od patrolów, pojedynczo idących oficerów i żołnierzy zaczepiany byłem: wszyscy przecieź ujrzawszy mój mundur i odebrawszy hasło, spokojne zostawiali przejście. Już więc cieszyłem się nadzieją prędkiego i niezakłóconego oswobodzenia nieszczęsnych, gdy oto może o trzysta kroków, od ostatniego łańcucha straży, zaszedł nam drogę jakiś oficer francuzki.

Nigdy z pamięci mojej jego obraz nie wyjdzie, liczył najwięcej lat trzydzieści, średniego był wzrostu,

blady, szerokiego czoła, nosa orlego, oko jego czarne, bystre, przenikliwe, zdawało się dozierać spojrzzeniami do głębi méj duszy. Ubiór szczególny, trójgraniasty kapelusz złotem galonem oszyty, mundur bez żadnych ozdób i oznak, palone długie kirassierskie buty, i płaszcz granatowy gruby, jakie cała armia nosiła. — Gdzież to koledzy o tak późnej nocy? zapytał głosem spokojnym lecz mocnym. — W interesie służbowym kolego! — odparłem pospiesznie, chcąc się czempędzniej od natręta uwolnić. — A w którą stronę, jeśli się wolno zapytać? — Jakież masz prawo badania o to, odparłem nieco rozgniewany. — Jestem oficerem głównego sztabu a nadto dzisiaj na służbie — przebacysz więc ciekawości. — Ta odpowiedź przeraziła mnie nieco, wyrzekłem przecież spokojnie: — spieszę z rozkazem generała do trewijskich rogatek. — Rzecz szczególna kolego! na tym punkcie żadna z czat waszych żołnierzy nie stoi; lecz może się mylę, z resztą znana mi jest wierność i dobre chęci Polaków dla Rzeczypospolitej abym was miał kontrolować. Ten pan dodał zwracając się ku Włochowi, także oficerem? — Ależ my do rozmowy wcale czasu nie mamy, rozkaz mój pilny, zwłoki nie cierpi, rzekłem pospiesznie, chcąc się od niebezpiecznego badacza uwolnić i zwrócić jego uwagę od Don Antonia. — Możemy więc rozmawiać idąc, odrzekł spokojnie oficer; kapitan straży trewijskiej mój dobry przyjaciel, mam nawet mały interes do niego.

Zadrżałem na te wyrazy Francuza, bo jeżeli do rogatki jak mówił towarzyszyć nam będzie, czyliż nie odkryje łatwo, że rozkaz generała, którym się zastaniałem, był tylko pretextem, pokrywką jakiegoś szkodliwego może dla armii zamiaru; czyliż na to nie zwróci baczności kapitana? a wtedy jak się przed aresztowaniem



i pewną zgubą ochronić! Przeklinałem więc w duszy niewczesne spotkanie, przeklinałem nawet że Don Antonio albo Ottawia nie mogą użyć zwykłego środka Włochów—sztyletu,—dla pozbycia się natręta. Ach! śmierć jego czułem w tej chwili, roskoszą byłaby dla mnie.

Uszliśmy wspólnie prawie połowę drogi, Francuz ust nie zamykał i choć nikt mu nie odpowiadał, spokojnym miarowym głosem mówił o pięknej pogodzie, o czystym niebie włoskim, rozpytywał o bitwy w których walczyliśmy, nawet o nasze nazwiska. Doszedłszy małego kwadratowego placu, który okrężały namioty batalionów Jenerała Serurier wyrzekł, zatrzymując się nieco. — To miejsce dzisiaj o wschodzie słońca obficie krwią zbluzganem będzie. Naczelny Wódz przeznaczył je do rozstrzelania Włochów w naszym ręku będących.—

Ottawia głucho jęknęła, Don Antonio zadrzał widocznie, oficer nie zdawał się na to uważać i tak dalej mówił: — pierwszy który zginie, będzie Don Antonio Cornari Patrycius wenecki, przywódca rzezi w La Chiesa, jeden z najczynniejszych naczelników powstania; Buonaparte szczególnie jej śmierci pragnie, i nie dał się przebłagać prozbami wielu znakomitych osób: że zaś doszły go wieści, iż pewien z młodych oficerów armii wiedziony wdzięcznością i przyjaźnią dla buntownika chce go ocalić, najsurowszą baczność zalecił komendantom patroli rogatkowych, ja sam nawet rozkaz w tej mierze chcę ponieść dowódcy straży trewjskiej.—

Grom któryby uderzył przy moich nogach, nie przeraziłby mnie tyle, jak wspomniane wyrazy Francuza: Don Antonio pobladał i zadrzał, Ottawia bez zmysłów prawie upadła w jego objęcia.—Ach! niema innej rady,

trzeba mu odkryć wszystko, pomyślałem i pociągnąłem okrutnego Francuza o kilkanaście kroków na stronę. — Pan jesteś człowiekiem honoru! rzekłem mu. — Tak sądzę przynajmniej, odparł spokojnie. — A więc chciój posłuchać chwilkę, tać ci dłużej nie mogę, w twoim ręku jest życie lub śmierć trójga osób. — Ile mnie się zdaje, tak. — Jakto? więc się domyślasz? — Jestem przekonany nawet: towarzysz pański jest Don Antonio Cornari, młoda kobieta jego żona, pan zaś... — Dość, dość! rzekłem, przerywając; lecz czy znasz jakie obowiązki wiążą mój los z losem nieszczęśliwych? czy wiesz czemu chcę ich uwolnić? — Słyszałem wczoraj całą tę historią, Don Antonio ocalił ci życie w czasie rzezi w La Chiesa. — Cóżbyś więc zrobił na mojem miejscu? — Francuz zamyslił się trochę, a potem odparł z lekkim uśmiechem. — Ja? młody mój kolego! istotnie jest to pytanie na które trudno abym ci dał odpowiedź, gdybyś mnie znał nie robiłbyś go nawet wcale; przecież zaręczam ci, chciałbym mieć przyjaciół podobnych tobie, ale podkomendnych... inna rzecz. — Pozwolisz więc abym ich ocalił? — Kiedy tak chcesz koniecznie, sprzeciwiać się nie mogę, jedną tylko zrobię ci uwagę: czy wiesz na co się narażasz, co cię czeka? — O! bardzo dobrze wiem, — śmierć! — I nie lękasz się jój? — Przysięgam ci że nie. — Może masz nadzieję że jój się uchronisz, że wstawienie brata, towarzyszy, dowódców rozbroją gniew Buonapartego? nie rachuj na to, znam go dobrze od dziecka, człowiek to niezachwianej woli, straszny w zemście; jeżeli zapragnie twej kary nic cię nie ocali od niój. — Powtarzam, na wszystko przygotowany jestem: w wyborze pomiędzy hańbą a śmiercią, naturalnie przenoszę śmierć; lecz spieszymy, dla Boga! już i tak tyle czasu straciłem.

—Szalenie! pomruknął oficer, a przecież: ach! jeszcze są ludzie, dla których wdzięczność i honor nie są czczemi słowami.—Ottawia trzeźwiona przez Don Antonia przyszała nieco do sił, za kilka minut stanęliśmy u roгатki, konie już przy niej czekały, komendant żadnej nie robił trudności w przepuszczeniu a tak i nieszczęśliwi Włosi ocalonemi zostali.

Nazajutrz koło południa byłem już przed sądem wojennym.

Gdy przy obluzie warty znaleziono jednym jeńcem mniej, mój szlachetny przyjaciel Porucznik Potworoski aresztowanym został. Chociaż wiedziałem, że raczej zginie niżeli odkryje istotnie winnego, nie wahałem się przecież, i sam się oddałem w ręce sprawiedliwości. Około piątej wieczornej sąd się zebrał, występek nasz był jasny, dowiedziony zeznaniami własnemi, wyrok zatem nie był wątpliwy i ogłosił nam—śmierć. — Czy pojmujesz czytelniku co się działo w mém sercu? czy rozumiesz co to jest usłyszyć wyrok potępienia z ust, które nie znają tego wyrazu: litość? Lecz mniejsza o mnie, ależ przyjaciel towarzysz miał zginąć przez mój błąd przez moją nieroztropność, to było okropnie! Półkownik naczelnik sądu wyrzekł ponuro:—na jutro rano godzinę szóstą, bądźcie gotowemi panowie! — Ja i Porucznik Potworoski, milczeliśmy z razu obadwa; lecz wkrótce żalem, troską, rozpaczą wiedziony, rzuciłem się w objęcia przyjaciela—przebacz! wołając. — Odparł posepnie: —obaj winniśmy a ja więcej jeszcze: jako starszy i więcej doświadczony, niepowinienem był podawać ucha twym prośbom. Ach! śmierć twoja więcej mnie boli niż własna, co powie twa matka? co powie ona!...

Mysłał o méj siostrze a swéj narzeczonéj, łaza potoczyła się z oka walecznego młodzieńca, łaza wifa się i w mojém. Ach! są cierpienia, których jedna chwila stanie za tysiące lat najdotkliwszych utrapień, których nie sposób w słowa wybić a choć od dawna minęły, wspominek ich zawsze boli, dręczy i serce zakrwawia. Półkownik skinął ręką, żandarmy zbliżyli się aby nas do więzienia odwieść, gdy w tém... drzwi zaskrzypnęły otworzone szeroko i w granatowym mundurze, bogato złotem oblamowanym, w jeneralskich szlifach, przepasany jedwabną trójkolorową szarfą, wszedł mój znajomy z dzisiejszej nocy, tajemniczy Francuzki oficer, towarzyszył do rogatek trewijskich. Wszyscy przytomni czémprędzej zrobili mu miejsce, sędziowie powstali z uszanowaniem a gdy zbliżył się do stołu w okrąg którego siedzieli, Półkownik posunął mu papiery dotyczące naszej sprawy. — Jenerał przejrzał je zaraz z uwagą, lecz milcząc; potem wziął wyrok, przeczytał cały i ujawszy pióro coś żwawo kreślić zaczął u spodu. Gdy napisał, zbliżył się do mnie. — Pan mnie poznajesz? wyrzekł. — Tak jest, odparłem boleśnie. — Przeczytaj więc. — Podał mi fatalny papier i wyszedł.

Wielki rum między wszystkimi przytomnemi zrobił się, członkowie nawet wojennego sądu porzuciwszy swe miejsca okrążyli mnie wspołem, ciekawi co napisał ów mnie nieznajomy; czytałem:

»Mając wzgląd na młodość i pobudki występku obwiniionych, wyrok na nich wydany, jakkolwiek słuszny, kassuję: nadto, tak Podporucznika K\*\* jako i Porucznika Potworoskiego, w stopniach przez nich obecnie posiadanych, z oddziału w którym służą, przenoszę do głównego sztabu mojego.«     podpisano: *Napoleone BuonAParte.*

---

## MYŚLI O STATYSTYCE

przez

Wicentego Dawida.

---

Państwa i narody w życiu swoim przechodzą różne koleje, jak ciała niebieskie w swych obrotach pewnym ulegając prawom, a w zależności wzajemnej, w tém połączeniu ożywiającém spośieszność dzisiejszą przedstawiają mądry układ, który z układem planetarnym, najdoskonalej porównać można. Bo jak w tym ciała niebieskie, te osobne światy sprzężone siłą wzajemnego ciężenia w jedną całą cudowną budowę, tak równie państwa i narody sprzężone siłą wzajemnego interesu i pomocy oddzielnie każde zakresła w biegu historycznym pewne łuki, według praw odwiecznych w księdze przeznaczenia zapisanych.

Mam tu na uwadze państwa ukształtowane według cywilizacji europejskiej, gdyż ta jest dzisiaj jedyną, *powszechną*. Ogniskiem jęj Europa, a świetne jęj promienie już to żywcem przedarły się w zamierzcłę lasy Ameryki, już to polaryzując się za wodami oceanu, oświeciły tęczowém światłkiem dokoła krawędzie Afryki, Azyi i pałły ukośnie na śnieżyste płaszczyny Syberyi i Oceanii. Więc jest to cywilizacja przeważna, powszechna. Wszelka inna za jęj będąca obrębem jest wątką, niepewną, przemijającą. Taką jest cywilizacja azyatyckich i afrykańskich ludów, która tak często rozwidniała jaskrawie te ziemie i gasła bez śladu, nie dając z siebie podstawy i żywiołu dla cywilizacji

dalszej, postępniej. O to jest właśnie cechą cywilizacji europejskiej, gdyż każda inna jest świetnym ale ni-  
knącym i nietrwałym meteorem.

Zostawiwszy uzupełnienie tej myśli dalszemu rozwinięciu przedmiotu, uważmy iż jeżeli godną jest rzeczą myślącego człowieka rozpoznawanie łuków, po których toczą się ciała niebieskie, wymierzanie szybkości ich biegu i światła ich własnego lub odbitego, nierównie godniejszą a nawet bliżej obchodzącą nasz byt ziemski jest rozpoznanie dróg, które przebiegają państwa i narody, te gwiazdy społecznego systematu, obrachowanie prędkości ich biegu ku oświacie, poznanie tej oświaty własnej czyli też odbitej, przedewszyst-  
kiem zrozumienie tego cudnego mechanizmu ukrytego w układzie społecznym. Jak żeglarz kieruje się patrząc na gwiazdy, tak każdy członek społeczności w żegludze życia towarzyskiego stara się pojąć system społeczny. Jak pierwszemu pomocą jest astronomia, tak drugi w naukach *historyczno-politycznych* szuka wyjaśnienia i tłumaczeń. Tutaj należy szereg umiejętności bogatych w obrazy i myśli, i tak ściśle z sobą sprzężonych jak ta dziwna, cudnie uorganizowana budowa społeczności europejskiej. Wiele z tych umiejętności są zupełnie nowemi, nieznanemi starożytnym nawet późniejszym tuż przed nami zgasłym pokoleniom, bo też wiele sprzężyn, które zaczęły działać w nowożytniej Europie, wiele nowych rozwinięć, które nową dodały jej energii, nieznanne były owym pokoleniom. Zresztą, ich pojawienie się dawniejsze niż same nauki.

Od trzech wieków z górą, Europa przybrała postać wcale odmienną od tej, w jakiej widziały ją wieki średnie podługiej walce miejscowych żywiołów, demokratycznego

z feudalnym, duchownego ze świeckim, gdy każdy przejawiający się miejscowie, nie mógł wyłącznie sam o władnięć nazbyt jeszcze żywotną i ruchliwą masę społeczeństwa, i tym sposobem zasklepić ją na zawsze pod jedną formą niezmienną w stanie wiecznej stagnacji. Europa gotowała sobie przez całe 15 stulecie dziwną metamorfozę, i weszła na drogę centralizacji. Jest to wyłączny charakter 15go wieku centralizacji, wzajemne łączenie się węzłem polityki, wspólnego interesu. Miejscowe interesa kojarzą się z ogólnymi. Oblicza narodów wśród powikłania średniowiekowego zaczynają rozjaśniać swą fizjonomią, całą, jedną. Znika różnorodność feudalna, zastępuje ją jeden naród. Dość rzucić okiem na kartę Europy 14 i 16 wieku, aby się przekonać jak pojedyncze prowincje zlewają się w całkowite narody. Znika Burgundya, Bretania, Normandya, Akwitania, występuje jedna Francya z jedną narodowością, jedną administracją, jednym ożywionym duchem, kierowana tym samym interesem. Oddzielne prowincje polskie rozdzielono między Piastów, lubo dawniej przechodziły pod jedno berło króla polskiego, również Ziemia Ruskie i Litwa nieco dawniej przyłączyły się, przecież zupełne ich spojenie także w tym prawie dokonało się czasie, ogłoszeniem praw ogólnych dla całej Polski za Alexandra Jagiellończyka i Unią Lubelską 1569 r. za Zygmunta Augusta. Tak również inne słowiańskie ziemie Księstwo Riazzańskie, Nizegrodzkie, Twerskie, Pskowskie i Nowogrodzkie władztwa, jednemu ulegają berłu i składają jedną Rosyją. Od tej epoki każde państwo ukazuje się z obliczem wyrazistym, pewnym. Tu rozwija się różnobarwny szereg narodowości: francuzka, włoska, niemiecka i t. d. Interes naro-

dowy jest jedną z nowych a razem najsilniejszą sprężyną. Na czele państw, u stéru narodowych interesów stojący królowie, przez wzajemne między sobą umowy, nieprzerwane sojusze, alianse, bądź w celu pokoju, bądź wojny, wchodzą w ten system równowagi politycznej, który jest wyrażeniem wzajemnych interesów narodowych i rękojmą cywilizacji europejskiej. Ale zarazem nie trzeba spuszczać z oka, iż interes narodowy, ten egoizm że tak powiem narodów ożywiał i zagrzewał pojedyncze państwa do wzniesienia się nad inne w jakimkolwiek kierunku, czy zawojowawczym, czy ekonomicznym, w celu pomnożenia narodowego bogactwa i potęgi politycznej. A ta miłość własna pojedynczych narodów, która popędza ich po orbitach historycznego życia w układzie społecznym, wywołując życie działalne, energiczniejsze, a razem wielostronniejsze, bo łącznie z całym systemem, dała początek wielu umiejętnościom odpowiednim tym nowym fenomenom, na niebie nowożytnéj społeczności jawiącym się. Tutaj wzięły swój byt, prawo narodów i dyplomacya, ekonomia polityczna i statystyka, z których jedne mają na uwadze państwa w wzajemném ich połączeniu co do ich układów o pokoju, wojnie i t. d.; drugie, państwa uważane oddzielnie same w sobie, pod względem ich potęgi, bogactwa i t. d. W pierwszym razie państwa oddzielne składają razem jedną całość w wielkiej cywilizacji europejskiej; w drugim uważają się osobno, samobytnie same w sobie.

Przedmiotem naszym statystyka: bo téż sfera jéj najrozleglejsza, a razem o tyle wznioslejsza nad inne, o ile filozofii nad umiejętności pojedyncze. Jest ona uwienczeniem wszystkich razem nauk historyczno-politycznych;



lecz również jak filozofii a może mniej nawet rozjaśnione pojęcie statystyki. Wiele najrozmaitszych mniemań i opinii, defnicyji niepewnych i chwiejących się krąży w świecie uczonym i pospolitym; a przejrzenie wszystkich i przedstawienie w całości organicznej, przerys kształtów jakie ta nauka przybiérała z kolejną lat, jak jedne z drzew wyrastały, olbrzymiały w piękne drzewo z kosztownemi owocami wiadomości, byłoby dziełem nie mniej zajmującym, jak Hegla cudnie skreślona historia filozofii. Szkoda, iż dotąd podobnej historii statystyki nie napisano, a nawet nie prędko zapewne na to się zabierze. Przebiegnę jednak pokrótce kolejne jéj rozwijanie się o ile to jest podobne dla rozjaśnienia i pojęcia téj nauki i jéj znaczenia. Bo zaiste, czasby już zrozumieć jéj znaczenie, rozszerzyć zakres, wytknąć granice jéj działalności. Czasby wprowadzić inne do niéj widoki, zamiast karmienia nas cyframi.

W historii statystyki krytyk powinien odróżniać materiały statystyczny od samej nauki. Różnica między jednym a drugim jest nader ważna. A z powodu, iż nie miano na nią względu, wynikły dwa grube błędy. Naprzód: niektórzy pisarze utrzymują, iż statystyka istniała już u starożytnych i cytują miejsca z autorów klasycznych, niezbyt z resztą liczne, mające postać statystyki, wyszczególniające liczbę wojsk, finansów, mieszkańców i t. d. Miejsca te zapewniają stronie u Herodota, Tacyta, nawet u poetów, jeografów, mówców politycznych i innych. I w rzeczy samej Grek i Rzymianin, który działał zarówno na polu boju jak radził na forum, musiał znać siły swego państwa, jak równie potęgę nieprzyjaciół, stan skarbu, sposoby powiększenia

dochodów. Były to umiejętności niezbędne w ich obywatelskiem życiu. Lecz obywatel i wojownik w jaki sposób posiadał tę znajomość? Bez systematu, urywkowo. Zbierał podobne szczegóły, ile mu były potrzebne dla praktycznego użytku w administracji i w działaniach wojennych. Najobfitszy jednak zapas szczegółów i wykazów zebranych z największą dokładnością, nie stanowi jeszcze tego, co zowiemy *nauką*, t. j. pełnej, organicznej całości w której każda część, każdy szczegół, ściśle i nierozłącznie wiąże się z całym budynkiem. Bo wszystkie szczegóły są jako cegła dla budowy przeznaczona, która dopiero przez architekta według twórczych jego pomysłów użyta, przedstawi oczom śmiertelnych dzieło twórczością nieśmiertelnego geniuszu uderzające. Przy największej obfitości szczegółów, sama nauki budowa, trudną jest do wzniesienia: tu potrzeba mistrza. Dla praktycznego użytku tych, którzy postawieni na czele różnych gałęzi zarządu, są wystarczającymi materiały statystyczne, same, oddzielne, nie związane w jedną całość, teorią; lecz z drugiej strony, *teorya* niedostateczną byłaby dla kierunku szczegółowych interessów w państwie, jakkolwiek rozlewa wyższe światło na szczegóły, dodaje sprężystości umysłowi i samodzielności w pojmowaniu ich znaczenia. Z tego to powodu fakta statystyczne, te *ilości dane*, istniały już u starożytnych, nawet u każdego z narodów istnieć musiały, lubo nie zostały dochowane. Bo ostatniemi dopiero wieki, wprowadzono porządniejsze ich zbieranie, większą dokładność w ich obliczaniu, urządzono umyślne statystyczne biura, urzędowe spisy, doniesienia i t. p., które bez wątpienia przyczyniły się wiele do postępu

nauki; lecz nie były wyłącznym działaczem na jej zrodzenie się, jak twierdzą niektórzy, albowiem jedynie zmieniona postać Europy w ostatnich wiekach wywołała potrzebę większej dokładności, tak w danych statystycznych, jako też konieczności wzniesienia ich do godności nauki, podprowadzenia pod pewien porządek, wyvodu prawd ogólniejszych, rozleglejszych, a razem mniej zmiennych.

Drugi błąd, którego początkiem było branie za jedno statystycznych danych i statystyki nauki, jest może ważniejszy od poprzedniego, bo wstrzymujący jej postęp i rozwinięcie. Największa liczba autorów statystyk ograniczyła się jedynie zebraniem w pewien porządek danych statystycznych, którą za samą biorą statystykę, a ztąd jej udoskonalenie zakładają na obfitości szczegółów i ich świeżości. Podobnych szczegółów morze niewyczerpane, a zaledwie nie codzien inną wyrażać by ich należało cyfrą. Ztąd podobni pisarze na cóż olbrzymie podejmują prace, jeśli nie na obracanie tartarowego kamienia, co ciągle nadół się stacza? Bo do czegoż się przydadzą podobne zbiory podręczne, pod tytułem statystyk, że użyję wyrażenia naszego humorysty, »nowiny starożytne.« (1) Te wykazy nie przydadzą się ani urzędnikom administracją krajową zawiadującym, ani fabrykantom, ani inżynierom. Każdy z nich w swym zakresie innych używa wykazów, szczegółowych, bieżących, każdego-dziennych. Ani też w krainie umiejętności z takich zbiorów żadnej korzyści, gdyż teoria od nich daleka, prawdy obszerne, prawa

(1) Au Wi. w Bibl. Warsz.

ogólne, które jedynie zadość czynią potrzebie umysłu ludzkiego, rozświetlają rozum, dodając mu giętkości i sprężystości, uzdolniają do pojmowania odwiecznego porządku i harmonii, w wielkiem dziele stworzenia i ludzkości — tam nie istnieją. Takich my praw szukamy w naukach przyrodzonych; ze szczegółów danych, z faktów przychodzimy do prawd ogólnych, tych wzniosłych wyrażeń przedwiecznej mądrości, bez których najdokładniejsza znajomość szczegółów wszystkich trzech królestw przyrodzenia, niewartaby była setnej części tych trudów, jakie ciągle podejmują badacze od czasów niepamiętnych. Czemużbyśmy do tych prawd ogólnych nie mieli podnieść faktów statystycznych? — Wszak fakta historyczne podobnego nabyły wylegitymowania pod piórem Herderów, Guizotów i t. d. Szkoda iż dzisiaj jeszcze w wielu szkołach naszych i instytucjach, zamiast statystyki nauki wykładają zbiór szczegółów, które jeśli wprawdzie karmią i ostrzą pamięć, to myślenie przytępiają, niedostarczając żywiolu dla rozumu. Jakież ztąd owoc dla młodzieży? zarozumiałość, — bo młodzian mając głowę zapełnioną tłumem drobnostek, tych *wielkich nic*, sądzi iż wiele umie, przeto nie omieszka wszędzie popisywać się ze swemi wiadomościami, wzbija się w dumę. Ale idee wyższe, Bóg, wieczność, prawda, dobre, piękne, to wszystko co wznosi człowieka ku przybytkowi światła i harmonii, dla niego obce; on nie pojmuje tego jak mędrzec, ani téż w to wierzy jak kmiotek: bo więcej widzi jak ostatni, ale nie widzi tępyim umysłem w chaosie wiadomości tego co pierwszy.

Kierując się przeto powyższemi względami w kilku rzutach, odmalujemy wzrost statystyki, jedynie teore-

tycznej, odznaczym wyrazistsze stawowanie tego młocianego krzewu.

Od najdawniejszych czasów opisy narodów różnych i ziem zajmowały pióra najwymowniejszych pisarzy starożytnego i chrześcijańskiego świata. To jednak najpewniejsza, iż namiętny popęd do odkryć, do poznawania narodów nigdy się nie przejawiał tyle co w wiekach średnich, w czasach kiedy chrześcijańska miłość zapalała męstwo w rycerzach wiary, sługach ołtarza niosących słowa życia łupieżczym koczownikom Azji i ludożerczym Indianom Ameryki. Od 12<sup>o</sup> wieku zaczyna się rozwijać szereg malowideł poetycznych, krajów dalekich, tajemniczych, pełnych fantastyczności. Tak opisali swoje podróże, Ascelino, Plano - Karpini, Maundeville, Marco - Polo. W opisach ich żywioł poetyczny, fantazyja przeważa nad dokładnością. Fantazyjność główny ich charakter, który jednak zmienia się w miarę tego, jak zmienia się postać Europy w przejściu od średnich do nowożytnych wieków.

W tym czasie t. j. w 15 i 16 wieku promienie ówczesnej oświaty zbiegają się w państwach i miastach włoskich. Tamże bierze początek i ta nowa, chytra polityka, która tak dobitną stanowi różnicę między średnimi a nowszymi czasami. Wenecya jednoczy w sobie węzły tego nowego żywiołu Europy — polityki. Jój posłowie przebywają po wszystkich dworach europejskich, i dosyłają do archiwów rzeczypospolitej ciągłe *relacye* o sile zbrojnej, duchu mieszkańców, o fabrykach, rolnictwie i handlu. Z tych doniesień ciągną praktyczną korzyść senat i patrycyusze przy kierowaniu spraw polityki i handlu z całą Europą. Tak więc z nową epoką odmienił się

charakter opisów i wiadomości o różnych narodach: poetyczność ustępuje miejsca dokładności. Zamiast krajów dalekich, tajemniczych, zajmują ich miejsce państwa sąsiednie — Europa jedynie.

Lecz to wszystko był materiał, nie sama statystyka. Ślady statystyki nauki pojawiły się w dziele Wenecjanina Sansovino: *O polityce i rządzie starożytnych i nowych państw* 1567. Pierwszy to był autor, który zdaje się przeczuwał w swych pismach przyszły wzrost i losy nowej nauki, nawet pierwszy dał do niej hasło; bo jakkolwiek książka jego jest zbiorem faktów, lecz zbiór ten wykonany podług planu, systematycznie. Już tam się mieszczą główne elementa tej nauki: ziemia, mieszkańcy, granice, rozległość, rzeki, góry, miasta; rząd, król, podział mieszkańców, klasy; siła, bogactwo, władza duchowna, podział kraju, stosunki zewnętrzne, nadto jeszcze historyczne każdego przedmiotu obejrzenie. Godna uwagi, iż autor sam czuł potrzebę wprowadzenia teorii do tej nauki, bo nie w innym zamiarze umieścić między państwami nowszemi opisy państw starożytnych umarłych, tudzież jako wzór doskonałości politycznego i społecznego urządzenia opis *Utopii* Tomasza Morusa załączył. Jest to statystyczne marzenie wyobrażające urojoną rzeczpospolitą, której mieszkańcy rządzą się zasadami idealnemi, wszystko tam wspólne niema różnicy stanów. To pokazuje iż autor instynktem trafiał na tor, którym poszli jego następcy. Nie posiadał jednak tej samodzielności myślenia i siły głębszego badania. Myśl jego była za słabą, by mogła być wydobyć z tysiąca szczegółów jakąś harmonią prawdy. Chwała tego była zachowana synowi ojczyzny myślenia,

który w pół wieku później w naszej umiejętności nowe rozwinął kształty.

Był to *Herman Conring* professor Halbersztackiego Uniwersytetu. Wprawdzie do jego czasu od chwili ukazania dzieła Sansovino w miastach włoskich następnie we Francyi, Holandyi i Niemczech wiele dzieł statystycznych nie bez pewnych zalet było wydanych, gdyż państwa wtedy wstąpiwszy na kolej nowego systemu połączenia, potrzebowały poznać się wzajemnie; lecz my w tym krótkim zarysie, chcemy przedstawić prace mistrzów, którzy dźwignęli części o ważniejszych rozmiarach tego kolosu wiedzy ludzkiej, a Conring do takich liczony być powinien; bo on dał statystyce nowy system dla części jej pojedynczych, równie jak dla całości skreślił formę, która nawet w obecnym czasie mało się w czém zmieniała. A przedewszystkiem zasługa jego zależy na tém, iż nie przestał jedynie na uporządkowaniu pojedynczych części w jakikolwiek system, lecz wszystkich faktów danych zrozumiawszy znaczenie, zasadniczych sięga ich przyczyn i pod ogólne filozoficzne podprowadza wywody, wiążąc w jedną pełną życia ograniczoną całość. Trzeba tu było wielkiej dzielności samorzutnego myślenia, aby spoić martwe fakta ożywczą ideją, którą utworzył ten autor i nazwał: *Methodus quatuor causarum* — materialis ziemia, mieszkańcy; formalis, rząd; efficiens, administracya; finalis dążenie państwa, cel. Trudno tylko pojąć i oznaczyć wyraźne rozgraniczenie między causa formalis i efficiens, gdyż jedno z drugim prawie zupełnie się jednoczy w swém działaniu; wszak rząd wewnątrz jak i zewnątrz działając, nadaje jakąś postać i kierunek państwu; toż i o innych przyczynach.

Raz na właściwą drogę wprowadzona nasza nauka nie przestała z niej schodzić. Już odtąd mistrze jęj — a największych dostarczyła płodna filozoficznym duchem ojczyzna Comringa, nie spuścili z oka teoretycznego obrobienia tęj umiejętności. Wprawdzie główny jęj fundament już był położony, dokonane ważniejsze wymiary, szło tylko o uzupełnienie i rozwinięcie przedmiotu samego teoretycznie. Jakoż rzeczywiście wielkie później dokonane prace, więcej wydoskonalenie wykładu rzeczy, metodę, niż dalsze jęj rozmiary miały na uwadze. *Everard Otto*, po Konryngu piszący zastanawia się i kreśli uwagi nad sposobem postępowania z materyałem statystycznym, w obrębie tylko jednak już przed nim wytkniętym. Pisze więc o metodzie jakiej trzymać się powinni pisarze tęj nauki. Odtąd wydoskonalenie metody wykładu zdaje się mieć pierwszeństwo przed rozwiciem samego przedmiotu. Tak więc forma rzeczy, nie sama rzecz zajmuje uczone pióra. Pisarze we wstępie podają prawidła traktowania statystyki według swego sposobu pojmowania i rozumienia państwa i jego składu. Ztąd swobodne rozwicie przedmiotu nieco wstrzymane rozwiciem i udoskonaleniem formy — o formie rozprawiano jak rozprawiają o stylu i poezyi rodzajach, po jęj odkwitnieniu. Poznanie jednak tego co w tym względzie dokonano jest nader ważnem, bo rozjaśnienia pojęcia naszej nauki, oznaczenie jęj miejsca między innemi z nią spokrewnionemi, wytknięcie szranek jęj działalności, było niezbędnem dla dalszego jęj krzewienia się, swobodnego biegu, tém więcęj, iż podług tych teoryi sama wzrastała nauka, naginając się pod różne przyzwoite tym teoryom kształty.



Taki to właśnie kierunek objawiło dzieło Achenwal-  
l'a, profesora politycznych nauk w Getyndze, 1746.  
W pierwszej jego części *Vorbereitung der Statistik* —  
roztrząsnąwszy co to jest państwo, co wchodzi do jego  
składu *Staatsverfassung*, przystępuje do objaśnienia  
celu i kształtu statystyki. »Poznając państwo mamy o  
niem sąd zdrowy i zdolni do kierunku sprawami jego.  
Inaczej widzieć w niem będziemy to co powierzchowne,  
lecz nie zrozumiemy gruntu rzeczy.« Przy opisie pań-  
stwa radząc wybierać szczegóły *ważniejsze*, o urządzeniu,  
sile, słabości i t. d. nakreśla plan dla statystycznych  
przedmiotów. W drugiej części dzieła opisuje kolejną  
państwa Europy, zamieszczając w opisach elementa  
tęż same co już poprzednicy wprowadzili. Jeśli jest  
co dodanego prócz ulepszenia formy, to chyba zaokrą-  
glenie każdego opisu małym rozdziałem *Staatsinteres*,  
gdzie podaje zbawienne dla mocarstw rady, o co mają  
się starać, czego unikać dla swego wzniesienia się i  
pomyślności. Zresztą podobne rady są zbyt czynnymi,  
gdyż wystawienie stanu państwa jest dostatecznym  
w tym względzie, wykazując na czém zależy jego moc,  
pomyślność, lub słabość.

Lecz prawdziwie olbrzymią zrobił przysługę na  
polu teorii tej nauki, pod względem organicznego po-  
łączenia części oddzielnych, Büsching - *Vorbereitung  
zur Europäischen Länder und Staatenkunde* 1763. —  
Metoda jego ma więcej życia i gruntowności. Przy-  
puszczając iż do statystyki jedynie wybierać należy  
przedmioty *ważniejsze*, za ramy opisów brać każde nie  
państwo jakie pod tém lub owém znane nazwiskiem,  
gdyż granice państw są zbyt zmienne, przypadkowe,  
przeto zasadą podziału być nie mogą, ale gruntuje ten

podział na samych przedmiotach statystycznych na rolnictwie, oświacie i t. d. rozpatrując kolejno każdego z tych przedmiotów stan główny, punkt działalności w szerokim obszarze Europy. Ztąd opisuje Europę pod różnemi względami; całość, w której uważa państwa jako oddzielne części, jeśli słabe pod jednym to silne pod drugim względem. Do opisów wchodzi: fizyczny stan kraju i życie społeczne w różnym stopniu rozwicia. Sposób jego opisywania, w którym wiele szczegółów w najciekawszym przedstawić można kolorycie, nazywa się *porównawczym*, albo *pragmatycznym*, bo zaznajamia nas z stanem *rzeczy* — *πραγμα* — Tak opisał Europę Büsching. Jeśli nauka ma przedstawiać jedną spójną organicznie całość, to w dziele Büsching'a dla organicznego jej ożywienia, brakuje żyjącego, logicznego połączenia między przedmiotami do opisów wchodzącymi. Cóż wprzód postawić, rolnictwo, oświatę czy przemysł? tego nie rozstrzygnął. Dość dokonał wiążąc państwa różne jednością opisywanego przedmiotu.

Miał to na uwadze, obfity w trafne spostrzeżenia Gatterer. W dziele *Ideal der allgemeinen Weltstatistik* 1773, objąwszy nietylko europejskie lecz całego świata znane państwa, uważał na porządek ich w opisywaniu, już to jeograficznie, jak następują po sobie na mapie je biorąc, już systematycznie od najsilniejszego do słabszych przechodząc. Radzi mieć wzgląd na związek między krainą a mieszkańcami i wzajemny wpływ ich na siebie. Za granice które naznacza swym opisem przyjmuje nie przedziały polityczne, lecz naturalne: góry rzeki i t. d. z kąd wynika brak precyzyi w ocenieniu stanu państw, których właściwe granice często inne,

niż te które natura zakreśla. Tak więc lubo pojął to czego brakowało u Büsching'a t. j. zupełnego, organicznego związku i wcale kilka trafnych rzucił uwag, ale ich nie urzeczywistnił w swém dziele.

Gatterer w swém dziele wyrzekł: »niż bardzo wiele można skreślić planów dla statystyki, według tego jakie o niej mamy pojęcie i jaką zakreślamy granicę.« Zdaje się jakby tą myślą kierowali się *Niemann i Schlözer*, którzy według rozumienia i pojmowania państwa budowali swe teorye. Pierwszy bowiem państwo uważa, w dziele *Abriss der Statistik*, nie jako jedynie część ziemi zamkniętą pewnymi granicami z tém wszystkiém co się tam znajduje, lecz jako związek polityczny, zależący na zjednoczeniu sił i woli pojedynczych członków, który wyrażony iest w prawach i instytucjach. Związek ten nie jest martwym formalnym tylko, ale pełen życia, które przejawia się w historii narodu. Ważną więc jest rzeczą upatrzeć połączenie między żywiołami ciągle ożywiającemi go a politycznym ich zjednoczeniem, między szczegółami a ogółem. Prócz tego radzi dochodzić przyczyn między zjawiskami, a ztąd szukać zasad, ogólnych spostrzeżeń, wniosków. Jest to myśl nie znajdująca się w poprzednich, myśl zupełnie nowa, ważne odkrycie dla teoryi statystyki.

Schlözer w swój teoryi statystyki, objaśnia jęj nazwisko, odróżnia ją od innych nauk co do niej wchodzi, roztrząsa jak się obchodzić z jęj materyałem. Nie rozwinął wprawdzie wszystkich kategorii, ale dostarczył planu, który *Melchior Gioja* uskutecznił, wielostronnie rozpatrzywszy każdy do statystyki wchodzący przedmiot. Ten ostatni w dziele: *Filozofia della statistica*, zawarł cały zasób myśli i spostrzeżeń, któ-

remi dotąd mogła się wzbogacić nasza nauka; gdyż wstąpił na nowy obszar od Schlözer'a otworzony, na obszar widniejszy, z którego ten ostatni ukazał nowe jej strony, jej związek, lub graniczenie z innymi naukami.

Takie były losy naszej umiejętności, powoli wzrastały jej latorośle, powoli szerzył się jej zakres. Kto się bacznie zastanowi nad jej chodem historycznym, w wyrazistszych przedstawionym tu rysach, łatwo spostrzeże tę ciągłą oscyllacją teoretycznego jej zgłębienia, a faktycznego według tych teorii przedstawiania państw. Ciągłe szala teorii statystycznych i samej statystyki wahała się; to jednak najwidoczniejsza, iż począwszy od Sansovino aż do naszych czasów, nie przestawano faktów układać w jakiś system, spajać teorią na ogólniejszych opartą zasadach. Te rozmaite teorie, często były tylko dowolnym wybrykiem uczonych. Zasady na których się wspierały, były dowolne, od subiektywnego na rzecz wejrzenia zależące. Nie były wcale wyprowadzane z natury samego przedmiotu, z jego istoty przyrodzonej; bo téż sam przedmiot statystyka musiał się naginać do osobistego sposobu widzenia, tysiącnym ulegać zmianom, z uszczerbkiem swobodnego rozwicia. Wyginały się teorie do miary subiektywnych rozumień państwa, siły, bogactwa i t. d., nabięrały sprężystości, sama rzecz naginając się do teorii długo wzrost miała zatamowany; bo słusznie wyraził się Gatterer względem teorii, w sposób wzmiankowany, i nic prawdziwszego nad jego zdanie — ile uczonych, tyle teorii.

Mimo to jednak nowsi pisarze, co się tycze rozwinęcia pojęć o statystyce, prawie ani kroku nie zrobili, mimo wielką ich liczbę. Wyjaśnili tylko myśli poprzedzających, może uzupełnili je; a prócz tego dzieła ich

zamykają materiały statystyczny nierównie wielostronniejszy, bogatszy. Do czego wiele dopomogły większy porządek, dokładność utrzymywanych w każdym państwie archiwów i usunięcie téj tajemniczości, którą dawniej wszystko w państwach starano się osłonić. — Ztém wszystkiém całe morze statystyk, które dzisiaj zalewa świat uczony, dwa najwyraźniejsze przedstawia kierunki, które dwóch szkół dzielących dzisiaj autorów statystyk, stanowią początek. Jest to szkoła *dynamiczna* i *historyczna*. Niezém one nie są jak rozwinięciem i uzupełnieniem kierunków, których podaliśmy zarysy.

Szkoła dynamiczna tak zwana dla tego, iż ma na celu wymierzenie siły, *δυναμς*, i potęgi państwa, nazywa się jeszcze francuzką, bo francuzcy pisarze na których czele stanął *Peuchet*, jój przyjęli zasadę. Wymierzenie jest zrównanie z inną ilością wziętą za jedność. Ztąd szkołę tę możnaby nazwać *porównawczą*; a to nam przypomina Busching'a i Gatterera. Jeśli potęga państwa zależy od jego obszerności i liczby wojska, potęga handlowa od ilości wywozu, oświata od liczby szkół i dzieł, gdyż i siłę moralną zjawiskami materialnemi tutaj się wymierza, to porównanie tych ilości w różnych państwach, okaże nam wyższy lub niższy stopień ich potęgi pod owemi względami. Sam *Peuchet* powiada, iż nie tyle ma wagi znajomość szczegółowa wszystkich przedmiotów statystycznych, ile ich stosunek do głównego pojęcia. Nie dość wiedzieć jaką przestrzeń zajmuje państwo, jakie jego płody, fabryki, lecz wartość tego wszystkiego ocenia się względnie ile te przedmioty razem brane na powiększenie siły państwa wpływają. Toż mówił i *Gatterer*. Tak więc tutaj jedno pojęcie — *sita*, wiąże wszystkie fenomena jawiące

się w państwie w jedną całość, potęgę i słabość jego w umiejętnym (scientifique) malującą nam obrazie. Czego właśnie w tej nauce brakowało, tutaj się znalazło. Tak przynajmniej się zdaje na pierwsze wejście niewprawnemu oku: gdyż zasada szkoły ma swą słabą stronę. Owo związanie zjawisk statystycznych pojęciem siły jest tylko zewnętrznem, dla tego martwem. Nie stanowi ich duszy, któraby ich przenikała i całą naukę robiła organiczną całością. Pojęcie siły jest jakby narzuconem, obejmującym to tylko co do niego przystaje, a przecie w państwie jest wiele fenomenów, co ani jego siły, ani słabości nie stanowią etnograficzne pochodzenie mieszkańców. Powtóre: to mierzenie siły przez porównanie żywcem jest przeniesione od świata fizycznego do moralnego, do społeczności której siła przed działaniem nie da się obliczyć, dopiero w skutku większy lub mniejszy stopień naprężenia wykrywa się. Jedna ilość rocznego przychodu w dwóch państwach nie dowodzi pod tym względem równości ich siły finansowej, albowiem podatek co nie dał się uczuć dla mieszkańców jednego państwa, z powodu zamożności jego domowej, był może ciężarem dla innego, z powodu nieurodzaju: więc już je osłabił. Albo też siła moralna oświaty, czyż może się dokładnie ocenić liczbą pism wychodzących. Tutaj wewnętrzna wartość wszystko stanowi.

Więcej zdaje się mieć gruntowności szkoła Achenwall'a, którego system dał jej kierunek. Główna jej zasada wypływa z samych przedmiotów statystycznych. One wchodzi do opisów nie z innych powodów, lecz dla tego iż zasługują na uwagę myślącego człowieka. Achenwall sam powiedział iż do statystyki tylko przedmioty *ważniejsze* wejść powinny. Podobnie dzieje się

z historią; zwraca ona uwagę tylko na te wypadki i nadaje im prawo obywatelstwa w swój dziedzinie dla tego iż są niezwykłe, wpływają na losy narodu; pod względem statystycznym wpływają one na szczęście i pomyślność państwa, ztąd zasługują na uwagę. Dla tego szkoła ta nazywa się *historyczną*. W historii wypadki jedne objaśniają się innemi, terażniejszość jest wynikiłością przeszłości. Podobnego téj szkoły pisarze używają sposobu, pragnąc fakta statystyczne, przedstawić nam w swój zależności i związku. Przedstawiając np. handel, wypisują kolumny przywozu i wywozu w różnych po sobie idących epokach. Lecz głębszego wymagają zastanowienia się statystyczne zjawiska, aby dojść ich przyczyn i zależności wzajemnej, niż historyczne: gdyż tu różne okoliczności mogły wpłynąć na upadek handlu, postronne i dalekie, których nie objaśnia cyfry z lat przeszłych; np. iż zawiele wywieziono i zapełniono sklepy, spodziewane zniesienie ceł, i t. p. Tak więc dalsze rozwinięcie myśli Achenwalla znów naprowadziło tę szkołę na teorye sztuczne na subiektywnych pojęciach oparte; lecz dalekie bardzo od istoty i przyrodzonych własności tych zjawisk. Jeśli Achenwall się wyraża, iż tylko przedmioty ważniejsze do statystyki wejść powinny, zapewne nie co innego przez to rozumiał jak zjawiska które stanowią istotę państwa, mają wpływ na jego pomyślność i losy; ztąd wprowadzone do nauki wystawiającej stan państwa, przystawać nawzajem do siebie powinny; albowiem swém znaczeniem, swą istotą rządzić powinny ten kierunek, lub być wypływem tego kierunku, który w swém rozwiciu wyraziło państwo, to zjednoczenie różnych pojedynczych woli i usiłowań w jedném *moralno-jurydyczném pojęciu*

jak je nazywa Niemann, mającém za symbol swój czy to żywioł estetyczny, (Grecya), czy podbojowy, (Rzym), lub klasztorny, (Hiszpania). Wprawdzie Achenwall niezaniedbał wliczyć przedmiotów, które uważa za najważniejsze w państwie, najróżnorodniejsze tu pomieszczając zjawiska, poczynawszy od powierzchni kraju i płodów do świty przydworknej i orderów. Lecz to jest zbyt zbytecznym, a nawet wcale niepotrzebnym. Dość byłoby rozpatrywać te zjawiska, jak same się przedstawiają, jak się łączą, wyrażać to co one wyrażają. Albowiem to co w jednym państwie jest ważnym, w innym jest albo obojętnym, albo wcale nie istnieje nie naruszając pomysłowości tego państwa. W Szwajcaryi jest 22 państw, żadne niema dworu, ani orderów, jednak mają byt polityczny i samobytność.

W tym obrazie naszej umiejętności, skreślonym w kilku rzutach, prawie dorywczo, łatwo odkrywamy kolejne jej rozwijanie się, oglądamy tu jak jedne systemata wyrastały z drugich, jako gałęzie jednego drzewa. Lecz uważaliśmy także, jak pojmowanie i rozumienie statystyki wpływało na charakter tych systematów, jak całe jej losy zawisły od tego pojmowania i rozumienia, które dawały podstawę różnym teoryom tak często aż nazbyt jednostronnym, ścieśniającym, lub naginającym ku tej lub owej stronie swobody, wzrost samej nauki. Lecz dzisiaj czasby już poodejmować ze wszystkich boków te systemata, które jako drabinki podpięrały dotąd drzewo młodej umiejętności i kierunek jego wzrostu razem wytykały. Niech drzewo swobodnie rozrzuci gałęzie, prędnij koronę jego zakwitnie i owoc przyniesie! Wszak nasz wiek, według zdania uczonego Trentowskiego, stojąc na alpach upłynionych wieków, obszerny i



wspaniały ma przed sobą widok. Jeśli to jest prawdziwem, dla czegoż przestarzałemi ma się ograniczać pojęciami względnie także do naszej nauki? Systemata przeżyły, sama umiejętność zawsze powinna być młodą, świeżą, ciągle wzrastającą i pełniejszą, jak samo życie moralnego i fizycznego świata, którego wytłumaczeniem i wyjaśnieniem są różne nauki.

Jakieże strony życia jest wytłumaczeniem nasza umiejętność? Zwyczajną na to odpowiedź, iż statystyka jest nauką mówiącą o stanie państw; jak z jednej strony jest upowszechnioną opinią, tak z drugiej wcale nie objaśnia rzeczy, jako zbyt ogólna. Historia, jeografia, ekonomia polityczna, także stan państwa mają na widoku, lecz z nader rozlicznych stron. Wszakże i ziemia i zdarzenia tak dokonywające się, bogactwo ziemi i pomyślność mieszkańców, wyroby umysłu i wyobraźni, religijne pojęcia, wszystko to wchodzi w skład życia narodu i niejako stan jego formuje. To, czegoż tu statystyka będzie wytłumaczeniem?

Zapewne dać definicyą nauki która dotąd nie istnieje w należytem kształcie, lecz której potrzebę już dawno przeczuwają, jest nader trudno, ani też łatwo ustalić prawdziwe o niej pojęcie. Lecz z ustaleniem tego pojęcia łatwiej sama nauka się rozwinie, w prawdziwem, wspaniałem przedstawi się świetle. To jednak najpewniejsza, iż w samem nazwisku statystyki, które niesłusznie Schlözer o niedokładność pomawia, wyraża się jej przedmiot — *status* bowiem oznacza stan, państwo, etat, Staat. Więc jest to nauka mówiąca o stanie, o charakterze i dążeniu państwa, tego zjednoczenia społeczności jakiej, w danem miejscu i czasie. Lecz to potrzebuje wyjaśnienia.

Cóż to jest państwo? Jest to osoba moralna, która jednak jak i każda osoba fizyczna, ma swoją formę cielesną, fizyczną budowę i duszę ją ożywiającą. Dwa te pierwiastki duch i ciało w swém harmonijném zlianiu się, w tém spojeniu doskonałym, przedstawiają się jako całkowita jedność, oddzielne indywidualum z charakterem mniej lub więcej wyrazistym, z rysami mniej więcej dobitnymi, podług tego jaki stopień samodzielności, posiada duch osoby jakiejś. Dziwnie piękną jest nauka charakterów ludzkich. Lecz charakter człowieka, bynajmniej do jednéj jego połowy tylko nie jest przywiązany. Zdaje się iż bardzo się myli nasz pisarz, który obfitością swych nowych myśli i spostrzeżeń zadziwia współczesnych—J. Kraszewski, utrzymując iż dusza w ciele jak woda w naczyniu układa się do jego kształtu, więcej zdaje się do prawdy podobnym, iż zarówno duch i jego cielesna powłoka nawzajem się układają, działając na siebie równoważą się i stanowią harmonijną jedność. Silne wzruszenia duszy, lub jej spokojność wyciska wyraźne piętno na twarzy, w ruchach, w mowie osoby; a nawzajem te zewnętrzne znaki malują stan duszy i na nią wpływ wywierają. Wprawdzie charaktery ludzkie, usposobienie, kierunek skłonności, i ten że tak powiem zaród przeznaczenia, który noszą w sobie ludzie, trudny do zrozumienia w nauce i bardziej przecuciem, odgadnieniem, niż matematycznie wyłuszczone być może, gdyż ciemno się przedstawia naszym oczom. Jeden może tylko *Lawater*, posiadał ten wielki dar i biegłość w odgadywaniu usposobienia ludzkiego i charakteru, i czasami między prostym ludem, który tak zna się z przyrozeniem, umie tak trafnie czytać jego hieroglify, spo-

tykają się podobni znawcy, co odgadują więcej, niż to co dla wzroku cielesnego dostępne, odgadują ducha, dla którego niema granic czasu, terażniejszości, przyszłości, ale jest wieczność. Ztąd sztuka wróżenia, przepowiadania, nie jest zupełnie bezzasadną, lubo często nadużywa wiary ślepego gminu.

Dokładnie poznać i zrozumieć charakter osoby, duszę skłonności, siłę rozumu inaczej nie można jak w związku z organizmem cielesnym; gdyż i ciało i duch są dwie połowy nierozłączne, od siebie zależące, a znacznie każdej tylko w połączeniu z drugą pojąć się może. Nie napróżno przy pierwszym poznaniu osoby uderza nas jej fizyonomia i przywiązuje lub odstręcza; wtedy choć ciemno i niewyraźnie, już odgadujemy z rysów widzialnych stronę niewidzialną, duszę, jej charakter i wróżymy sobie szczęśliwe lub przykre położenia, jakie wyniknąć mogą z owej znajomości. Zresztą nikt zapewne nie poświęca się nauce psychologii naturalnej jedynie w celu tak rzemieślniczym, dla użytku praktycznego, t. j. dla przepowiadania z wiadomych danych w organizmie i postaci ciała, o tych xx dotyczących się duszy i losów człowieka. Bo wrodzony takt, jakiś zmysł trafny w praktyce wyższy jest nieraz niż najmozolniejsza tego wszystkiego teoria.

Teoria w tej umiejętności ma wcale inny cel niż praktyczne zastosowanie, jest to cel zrozumienia tej harmonii, cudnego złączenia duszy z ciałem, według praw mądrze obmyślanych, ma za cel poznanie tych praw pięknych, które są głoskami piszącymi Imię Najwyższej Istoty

Mamy w naszej literaturze dziełko wymównem napisane piórem, *Charaktery rozumów ludzkich*. Wielka

szkoda, iż autor samą tylko duszę w rozlicznych jęj położeniach, z mnóstwem jęj odcieni, jaskrawemi maluje farbami. Czemuż nie ukazuje razem na widzialne jęj wyrażenie, na rysy zewnętrzne? Czemu nie tłumaczy swych charakterów? Jego opisy przedstawiłyby piękną, zajmującą umiejętność; tak, są tylko malowidłem, obrazowém przedstawieniem różnych postaci duszy.

Od indywiduów fizycznych przejdźmy do indywiduów moralnych, do państw i narodów. Słowo w słowo prawie co o pierwszych, o ostatnich da się powiedzieć. Państwa również mają w sobie duszę, myśl, i postać cielesną, dotykalne rysy będące jęj wyrażeniem. Między temi dwiema połowami ledwie nie wyraźny jest przedział. Kraj i mieszkańcy, o to jest ciało i dusza państwa każdego. Jednakże zupełnie wyraźnej linii, między zewnętrzną stroną państwa a idealną, niema; gdyż przemysł inieszkańców, praca i to wszystko co z ich swobodnej wypływa woli, jest dziełem ich myśli, wyciska swe piętno na martwych żywiołach, na granitowej opoce, na ciężkich massach gór całych i na rozległych dolinach; wszędzie tu myśl inieszkańców przeniknęła, nadała tym martwym żywiołom jakiś wyraz, znaczenie. Lecz z drugiej strony ta myśl potężna człowieka, dzielna jako sam piorun, z którym się mierzy, jakby odbita od materyi, poszła jakowás drogą, pewną, osobną, ugięła się pod ciężką opoką, która wycisnęła na nięj swe znamię, nadała jęj barwę i charakter. Tak więc jest pewna harmonia między krajem i jego inieszkańcem, między miejscowością a narodem, wewnętrzne spojenie mniej lub więcój silne, które się nazywa w zwyczajnej mowie, miłością kraju.

Państwo przeto nic innego nie jest, jak indywiduum moralném, jedną całością łączącą dwie połowy, materialną i duchowną, nawzajem się przenikające, równoważące i nadające mu pewien charakter, oznaczające jego dążenie, cel wytykające, który Niemann symbolem zjednoczenia pojedynczych woli i dążeń nazywa. Każde bowiem państwo zdaje się mieć wyznaczoną część życia dla obrobienia jój, jedno posłannictwo dla wypełnienia. Rozwicie żywiołu religijnego było wydzieloném wybranemu od Boga ludowi Izraelskiemu; wszystko więc u tego ludu jedną przenikniętą myślą religijną; ustawy, zwyczaje i wspomnienia historyczne są kolejnóm jój rozwiciem, uzupełnieniem, wyrażeniem pełnóm. Duszą bytu wybranego ludu była religia. Grecya znowu przed pięknoscią uchyliła zbrojne czoło. Żywioł estetyczny był jój duszą wszystko przenikającą, idealny nadającą wyraz. Spójrzmy na tę Grecyę starożytną w jój chwale, z jój wspomnieniami, mythologią, co jak posąg kobiety wyciosany dławem jednego z jój mistrzów w ogrodzie jesiennym, dziwnie odbija w odległości wieków. Pięknosc w jój życiu całym, w historyi, religii, obrzędach, wyraziła się w pełni blasku, w całej okazałości, wyrobiła się we wszystkich swych kierunkach, harmonijnie, okazałe.

Podobnie każde państwo ma właściwe sobie wydzielone do spełnienia powołanie, jako i człowiek pojedynczy. Działając zaś w tém naznaczonóm kole, spełniając swoje posłannictwo, przybiera właściwą fizyonomią, oddzielny charakter, własną *narodowość*, mniej więcej w dobitne przybierającą się rysy, według tego, jak większy lub mniejszy posiada stopień samodzielności.

Gdzież szukać tego charakteru państwa, téj narodowości, duszy narodu wypełniającej całe jego istnienie? W ogólności, w jego rysach zewnętrznych, widzialnych, w jego nareszcie całym życiu historycznym i domowym. Trudniejsza to praca, niż zbadanie charakteru pojedynczego człowieka z podobnych oznak, przecież najbliższém wyrażeniem, bezpośredniem malowidłem duszy narodu, jego myśli i wyobrażeń, pojęć i skłonności, w ogólności narodowego *umu*, jest literatura i sztuka, nade wszystko poezya. Na ich to tle we wszelkich odcieniach najdelikatniejszych, w różnofarbnych światłkach rysują się dążenia, rozum narodu, jego wspomnienia i nadzieje, wiara, pojęcia moralne, młodzięczość fantazyi, myśl i czucie narodu: a wszystko to razem stanowi jego duszę. Michał Wiszniewski opisał charaktery rozumów pojedynczych ludzi; literatury i sztuki przedstawiają charaktery rozumów różnych narodów, do których należą i położenia, stan ich duszy.

Zwróćmy uwagę na literaturę i sztukę. Jeśli z indywidualów pojedynczych nie można o całego narodu wnosić charakterze, literatura i sztuka, jeśli nie są tylko naśladownicami, w zupełności nam go malują. W nich to wyraża się myśl narodu. Czytajmy podróże, opisy obyczajów, obrzędów, podań; zastanawiajmy się prócz tego nad prawodawstwem, religią i wszystkiém co w składzie narodowego spostrzegamy życia; z resztą spojrzymy na postać historyczną narodu, unoszącą się w przeszłości, a tam wykryjemy rysy, fizyonomią istną każdego państwa i narodu— w tych rysach jego duszę odgadniemy. W ten sposób rozwinie się przed naszymi oczami wspaniały obraz, malowidło państw z ich właściwą fizyonomią, szereg postaci wykształtowanych według idei, jakie

w swém rozwiciu każde z nich wyraża. Powszechnie téż dzisiejsi pisarze statystyk całą swą usilność na ten jedynie cel zwracają, co z samych definicyi, jakie dają o téj nauce, jawnie widać. Statystyka według nich jest systematycznym wystawieniem stanu państwa w danym czasie, jest obrazem państwa w jego wewnętrznym i zewnętrznym składzie, i t. d.—Lüder, Remer, Szubert. Lecz dla nauki jednego malowidła nie dosyć. Nauka jest wyłufumaczeniem jakiegoś zjawiska, wykryciem praw, według których jakieś pojawiają się fenomena. Jest wieść o jakimś matematyku, który patrząc na piękny obraz Madonny Rafaela, miał wyrzec obojętnie: „ten obraz niczego mi nie dowodzi.“ W dziele sztuki kontentować by się był powinien tém żywém wyrażeniem myśli, przerysowaniem boskich rysów Matki-Dziewicy. Tak również statystyka, gdyby była sztuką nie zaś nauką, mogłaby nas zaspokoić, przerysowując państwa we wszelkich ich kształtach i położeniach, kreśląc ich obraz. Tę powinność zdaje się wypełniać *jeografia*. Ona właśnie kreśli nam systematycznie kształt kraju i wszystko co się tam znajduje, wszelkie zdejmując widoki, mieszkańców, sposób ich życia, urzędzeń i t. p. Statystyki téż dzisiejsze nie różnią się od jeografii. Bo na czemże zakładają się te różnice? Oto jedynie na tém, iż statystyka mówi bardzo szczegółowo o tém samém co jeografia; ta ostatnia mówi w ogóle nie wdając się w szczegóły (Balbi). Różnica zbyt niepewna; wszakże jeśli jeografia ma być lepiej wypracowana, dokładniej i na większą skalę obejmie téż wszelkie szczegóły, jakie w skład państwa wchodzi, i kraj, i płody, i mieszkańców, i rząd i t. d. Więc również statystyka w tym razie niczém innym nie będzie, jak sztuką nadobną.

Że tak uważano statystykę dowodzi i to, iż ją *na-uką historyczną* zwano; to jest, iż jest opowiadaniem, czy malowidłem tego na co autor patrzy. Metoda właściwa historyi. Zawód historyka zależy na tém: ażeby zachować święcie i nienaruszenie to wszystko co godne uwagi, co występuje z granic zwykłych wydarzeń; co się nie powtarza ani może się powtórzyć dla tego samego, iż jedyne w swym rodzaju. Wielcy ludzie, wielkie zdarzenia w zupełnej ich czystości i w rysach indywidualnych zachowują się w historyi. To tylko co silnie działa na umysły, na losy narodu ma prawo obywatelstwa w historyi; zdarzenia podrzędne o tyle tylko wchodzą, o ile z pierwszymi mają związek, lub ile dodają nam blasku. W takim razie historyk jest artystą, malarzem rysującym wspaniały obraz przeszłości, mężów i zdarzeń w ich charakterystycznych, indywidualnych rysach — Liwiusz.

Uważmy jednak, iż jest jeszcze inny sposób pisanja historyi. Ostatniemi czasy Vico i Herder podali go uczoneму światu. Wyśledzić dla czego tak było a nie inaczej, zbadać prawa według których następowały zdarzenia, jak jedne wiązały się z innymi, przeszłe określały charakter przyszłych, i przyszłym bohaterom z siebie już jakowys przydawały koloryt, tak iż ci takimi a nie innymi być musieli, i byli tylko wyrażeniem jakowejś prawdy, jakiejś myśli wieku, podobny sposób przedstawiania historyi wymaga głębszego badania, swobodnego działania naszego umysłu. Jest to filozofia historyi. Ludzi zdarzenia czy są ważniejsze lub mniej ważne, o tyle tu wchodzą, o ile służą dla wyjaśnienia praw ogólniejszych, duszy ożywiającej wiek jakiś, daną epokę. Niemann, który najdokładniej może pojmował



potrzebę innego wykładu statystyki, niż proste opisanie, już mówił iż podobny sposób uważania faktów historycznych ma coś w sobie spólnego ze statystyką, która według niego była: »wykazanie idei państwa i stowarzyszenia społecznego.«

Ten podwójny sposób wykładania historyi opiera się na téj myśli, iż każda historyczna osoba i zdarzenie dwie przedstawia strony: jedna ma rysy sobie właściwe, indywidualne; druga przedstawia z innymi zdarzeniami coś wspólnego, ogólnego i dla tego pod jedną niewidzialną da się podciągnąć przyczynę, pod jedno prawo ogólne, utracą swą przypadkowość i z tego powodu jest już przedmiotem *nauki* nie zaś historyi, sztuki. Albowiem historia pod tym względem jak ją uważaliśmy, jako przerysowanie zdarzeń w ich charakterystycznych, indywidualnych rysach, prędjéj *sztuką nadobną* niż nauką nazwać się powinna: bo każdy fakt przedstawia się nie jako przejawienie ogólnego prawa ale jako osobliwość, jako godne uwagi zjawisko. Cała sztuka zależy na tém, aby umieć wybrać między mnóstwem szczegółów, opisów, to co stanowi charakterystykę zdarzenia, lub osoby; w ten sposób jak Walter-Scott opisuje klany szkockie wystawiając figury i typy pełne charakterystyczności miejscowej. Lecz inny ma cel piszący filozofią historyi Guizot np. w dziele podobnego rodzaju, *Historyi cywilizacyi francuzkiej*, wprowadza wzmiankuje o różnych wypadkach, wprowadza osoby: biskup rzymski i cesarz i rycerz występują na scenę, cytuje ich mowy, korespondencye, wyrażenia, lecz to wszystko dla potwierdzenia jakiejś prawdy ogólnej, jakiegoś prawa, które autor wyczytał w fizyonomii wieku. Podobnie rzecz się ma przy opisie państwa,

dla wykrycia i wykazania ożywiającej je idei, dla zbadania praw według których przejawia się.

Jakkolwiek bądź wykrylibyśmy ideę jakiegoś państwa, trzeba pamiętać iż jego mieszkańcy, instytucje i t. d. razem z zewnętrzną jego połową, ziemią, płodami, klimatem, i t. d. jak duch i ciało nawzajem na siebie działają, układają się do pewnej harmonii w ciągłej zostając zależności od siebie. Jeśliby dziełko o *charakterach rozumów ludzkich*, jako szereg pięknych malowideł, miało na uwadze zewnętrzne tych charakterów wyrażenie, skład organizmu cielesnego, jego łączność i stosunek z charakterami, to dziełko dałoby nam nie tylko widzieć w obrazach ale i zrozumieć charaktery, zasadniczo, na pewnych i stałych zasadach. Również gdybyśmy mieli obrazy charakterów narodowych, nie pojmiemy dokładnie i zasadniczo tych narodowości, dopóki się nie zwrócimy ku tej stronie państwa, od której w zależności zostają, z którą się harmonizują, jej ulegając wpływowi. Wysłiedzenie tej wzajemnej harmonii i praw, według których państwo ten a nie inny stan i charakter przyjęło, tym a nie innym poszło torem, naprowadza nas na metodę, której Vico, Herder i Guizot użyli przy objaśnieniu zdarzeń i epok historycznych. Fenomena jawiące się w państwie również jakimś ulegają prawu, jakąś wyrażają prawdę, ukrywając pewną harmonią pośród ich chaosu i nieładu pozornego.

Naród jest duszą państwa, jego ożywczym pierwiastkiem. Jak na charakter osoby, tak na charakter narodu, na myśl państwa i jej rozwinięcie, różne mogą wpływać okoliczności i najrozmaiciiej je ukształtować. Dwa są najdzielniejsze z pomiędzy tych wpływów: miejscowość i życie historyczne narodu, organizmowi ciele-

snemu i wychowaniu w pojedynczym człowieku odpowiadające.

Wpływ miejscowości, lubo zewnętrzny lecz nader potężny, kształt fizyczny kraju, postać jego gór, obraz strumieni, wód i dolin w koło rozrzuconych, oto jest, że tak powiem budowa fizyczna osoby moralnej, państwa, jego kości i ciało. Według fizjonomii kraju ułożył się naród w ciągu licznych wieków, w swęj całej cywilizacyi, w urządzeniach społecznych, w religii, w literaturze i sztuce, w historii, słowem w całej sferze życia moralnego; zdaje się, jak w przezroczystém zwierciadle odbił te rysy kraju, podług tęg zewnętrznej budowy swęj odlał charakter, ułożył się do równowagi z martwą miejscowoscią, lecz zarazem tak się zróśł z nią i spoił, iż jedne odbija rysy, jedną postać. Dość spojrzeć na wzniosłe obrazy Alp, co w tysiącznych rozgałęzieniach czołgają się po ziemi starożytnęj Germanów i tworzą rozlicznych dolin labirynt, a pojmiemy iż mieszkający tu dzieci tych dolin, jest lud od wieków rozdzielony nieskończonemi rozgałęzieniami książęcych dynastyi na mnóstwo osobnych oddziałów politycznych; i mimo wszelkie dawnych cesarzów usiłowania, nie dający się spoić w zupełnie jednorodną masę. Przestrzeń środkowęj Europy podzielona na liczne doliny, jest symbolicznym obrazem społeczności germańskięj, również jak te narodowe Alpy, pocłonkowanęj na tyle księstw, elektorstw, langrafstw i t. d.

Ciekawe jest, w prelekeyach Libelta porównanie obrazu historycznego Niemiec z obrazem narodowęj ich rzeki Renu. (Bibl. Warsz. 1842—Luty str. 278).

Z resztą mógłby kto powiedzieć, iż to tylko fenomena szczegółowe, przypadkowe. Dajmy przeto po-

strzeżeniom zakres obszerniejszy, powszechny, a to więcej je stwierdzi.

*Wschód i Zachód*, oto są dwa wyrazy, które w historii, filozofii, literaturze i t. d. na imiona własne zamieniły się. Oznaczają one nietylko dwie połowy starożytności—Azyą (z Afryką) i Europę, lecz i dwa wielkie działy cywilizacji powszechnej pod nazwiskiem Wschodu i Zachodu są znane. Różnica między nimi jest bardzo wyraźna, jak między samymi częściami świata na których się rozwiły. W cywilizacji europejskiej uderza nas przede wszystkim samodzielność i harmonia, właściwość form i granic, jakiej przybrały wszystkie żywioły społeczności zachodu w swym rozwoju, tak że żaden nie przytłumia innego, jak to widocznie przejawia się w społeczności wschodu. Żywioł religijny istnieje samobytnie obok świeckiego, w właściwych sobie formach harmonizując się między sobą nawzajem. Na Wschodzie jeden z nich panuje wyłącznie z zupełnym przytłumieniem innego. Władza np. teokratyczna przenika we wszelkie gałęzie zarządu państwa; naczelnik religijny jest razem najwyższym władzcą, sędzią—(Kalif, Dalai-Lama). Stany i klasy w Europie, po różnych losach i wzajemnym ucieraniu się, ułożyły się do równowagi, każdy przybrał właściwy sobie zakres, samobytnie rozwija się, mając własne prawa i przywileje; a nawzajem sobie dopomagając, formują jakby oddzielne członki jednej ożywionej ich działalnością, całości europejskiej. Zupełną przeciwność przedstawiają kasty na wschodzie, nie masz między nimi żadnego żywotnego złączenia, przerabują ich od wieków ustawy krzywe i błędnej religii podania. Nie masz między nimi żadnej harmonijnej równowagi, jak u nas między

szlachtą a miastami, jedna kasta rozszerza swe przywileje z ujmą praw innéj, dopuszczając się nad nią postępów niegodnych człowieka.

W politycznym obrazie europejskiej i azyatyckiej społeczności podobne wydają się rysy. Społeczność europejska przedstawia system państw osobnych, z których każde własną rozwinęło narodowość, jedno istnieje obok drugiego w swoich zamkniętych granicach, samobytnie. Te jednak polityczne indywidua nie są od siebie odcięte zupełnie, mają pewne węzły wzajemnie organicznie sprzęgające: — ciągłe stosunki dyplomatyczne i handlowe, podobieństwo obyczajów, jedność religii, pokrewieństwa plemion, upowszechnienie języków różnych między wszystkimi mieszkańcami Europy. Prócz tego panujące familie stojące na czele narodowości europejskich i interesów państw pojedynczych, łącząc się między sobą ciągłymi pokrewieństwami, wzmacniają jeszcze więcej to harmonijne sprzężenie pojedynczych indywiduów politycznych w jedną organiczną całość europejską. Inny jest układ polityczny państw wschodnich. Istnieją one obok siebie nie znając się zupełnie, w żadne nie wchodząc stosunki. Od wieków tamtejsza społeczność na martwe przerabana rozczłonkowana, przez warowne od przyrodzenia góry, lub nieprzebyte pustynie. Jeśli zaś dwa plemiona zajrzą sobie w oczy, śmierć i zniszczenie będzie hasłem ich zbliżenia i zawiązania stosunków. Zbliżają się przebywając warowne od natury granice, aby się zniweczyły, lub nad sobą panować.

Podobne przeciwieństwa dają się spostrzegać w krajinie umiejętności i nauk na wschodzie i zachodzie uprawianych.

Każda gałąź wiedzy ludzkiej przybrała na europejskiej ziemi właściwy sobie zakres, w którym działa niezależnie, rozwija się swobodnie, w pewnej jednak harmonii z innymi. Osobno rozwija się teologia, osobno filozofia, prawodawstwo; osobno sztuki piękne. Żywioły myślenia i czucia, myśl i fantazyja we właściwej działają sferze, — jednak wszystkie wzajem się wspierają, organicznie się wiążą, dopomagając sobie do wspólnego wzrostu i rozwicia. Przeciwnie w oświacie azyatyckiej, wszystkie te działy wiedzy ludzkiej, przedstawiają coś chaotycznego, zmąconego, bez indywidualnej postaci. Żywioł np. estetyczny przeniknął w teologią, filozofią i t. d.; nie masz tam historyi, ale są podania pełne fantastyczności i urojeń.

Tak więc oświata europejska rozwija się swobodnie w najrozmaitszych kierunkach jakie zdolny przybrać umysł ludzki. Wielostronność ile jest jęj cechą, o tyle daje jęj wyższość nad azyatycką oświatą jedno-kierunkową. Ta wielostronność i rozwicie swobodne zapewnia jęj byt trwały, postępnny, i ztąd pochodzącą wyższość nad oświatą azyatycką nie trwałą, nie ruchomą, pozbawioną ożywczego elementu; jest to oświata bez postępu, martwa.

Rzuemy teraz okiem na fizyczną fizyonomię dwóch lądów Europy i Wschodu, na których wyrobiły się owe dwa tak różne działy cywilizacyi powszechnęj. Te same rzucają się nam przed oczy rysy, te same kształty w martwęg materyi, jakie na massie społecznęj wschodu i zachodu upatrzylismy, tak iż ląd Azji i Europy zdają się być plastycznym odciskiem tęg myśli, jaką społecznosc wschodu i zachodu wyraziła w rozwiciu stosunków towarzyskich i oświaty. Europa bowiem jedną przed-

stawia całość złożoną z wielu pojedynczych rozczłonkowań, ukształtowanych przez mnóstwo głęboko w ląd wpływających odnóg. Jako cała ta część świata jest półwyspem, tak równie jej forma półwyspu ciągle się powtarza co raz częściej, postępując od granic Azji ku wodom zachodnim. Rzućmy jeszcze okiem na te pasma gór czołgających się po powierzchni europejskiej, w lekich malowniczych rzutach, fantastycznie ją dzielących na mnóstwo równin. Te jednak części podzielonej powierzchni, niepozbawione połączenia, — tak jak europejska społeczność, pod różnemi względami lubo rozdzielona na wiele działów, — jednak łączą się między sobą.

Inną charakterystykę w swém ukształtowaniu nosi ląd Wschodu (Azja i Afryka). Jest to massa formy ciężkiej, bez żadnych prawie poczłonkowań, prócz kilku dość jednostajnych wrębów zrobionych przez zatoki. Olbrzymie zaś góry w najjednostajniejszych massach zaległy szerokie płaszczyzny; a sama natura massami gór, jak nieprzebytym murem chińskim zda się je rozłączać na wieki. Gdy zaś jedna kraina we wszystkich trzech państwach przyrodzenia, rozwija cały przepych wschodni, w tysiącznych świeci się barwach, tuż nad nią w sąsiedztwie leżąca płaszczyzna, warowném gór odcięta pasmem, rozkrywa szerokie morza piasków, po których wyją szakale i skwarne duszą wiatry, lub mroźne świszczą zawieje; i wszystko zda się mówić iż przyrodzenie o niej zapomniało. Tak więc oddzielne, bez związku zostające działy, na które pocięły Azję nieprzebyte wyniosłości, czyż nie noszą charakteru kast lub obrazu tych państw kilku na wschodzie odciętych od siebie zupełnie, lub rujnujących się bez

powrotnie? Zda się, samo przyrodzenie na postaci łądów martwemi głoskami wyryło przyszłe losy dla społeczności, która je zamieszkała.

Czémże tu da się wytłumaczyć ta harmonia, to prawo? Tego wyjaśnić teraz nie będziem; lecz dla lepszego pojęcia weźmy jeszcze jeden przykład pod uwagę.

Z przeciwnych kierunków Europy leżą dwie ziemie, jakkolwiek różniące się klimatem i ukształtowaniem fizycznym, jednakże mające w charakterze coś wspólnego. Jest to półwysep skandynawski od północy, i półwysep arabski od południa. Jeden obłany obfitością wód, ocieniony borami, drugi jest bezwodną płaszczyną piasków bez różnaitości wegetacyi, gdzie niegdzie zieleniący się oazą palmową z chłodnym źródem, tym klejnotem pustyni. W tém są jednak podobne te krainy, iż natura wystawiła je na ostrość klimatu, na nędzę i liczne niebezpieczeństwa, a przed niemi rozpostarła obszernie oceany, lub piaszczyste przestrzenie pustyni. Tak zbliżone charakterem ziemie, jednakowo ukształtowały narodowego ducha ich mieszkańców, do jednakowych doprowadziły rezultatów.

Przypatrzmy się życiu Beduina. Z samotną karawaną przecina głuche pustynie, walcząc z tysiącem niebezpieczeństw z przyrodzeniem, niedostatkim i nieprzyjaznemi sąsiady. Koń i wielbłąd towarzysze jego losów w nieprzejranych pustyniach, gdzie zdroj rzadszy niż wielkie miasto w Europie, przywiązuje się do pana, z rąk tylko jego czekając paszy i wody; te zwierzęta sprzyjażniają się z nim, gotowe unieść go do najodleglejszych krajin z tych pustyni mieszkania śmierci. Staje na nocleg karawana w samotnej pustyni. Beduin pod bia-



łym namiotem puszcza wodze dumaniom, zagłębia się w marzenia i wspomnienia rodzinne. Wyobraźnia jego wiecznie się zasila, nabiera dzielności. Beduin wzrasta w poezyi, która stanowi cały pokarm jego duszy, historią jego pielgrzymek. Przytém wszystkiem zagłębia wzrok do innego świata, tam szuka zasilenia dla dżugich walk doczesnych. Ztąd religia jest drugim jego po poezyi żywiołem. Zjawia się największy z poetów wschodu Machomet, sam nie umiejący pisać, tém mocniej czujący. On rzekł do Beduinów: »Miecz jest kluczem od nieba i piekła. Kropla krwi przelana w sprawie Boga, noc jedna przeczuwana pod bronią, za więcej będą prawowiernemu policzone jak dwa miesiące postu i modlitwy. Ktokolwiek padnie w bitwie odpuszczają mu się grzechy. W dniu sądu rany jego będą błyszczeć barwami szkarłatów, rozleją wonie piżma i ambrozji, a z ramion które utraci wystrzelą skrzydła Cherubinów.« Takiego tylko hasła czekali Arabowie, wnet przepłynęli oceany piasków na dzielnych koniach i wielbłądach, opasali do koła południową Europę, wdarli się na jej krawędzie, zagrozili obaleniem jeszcze drżącój po wielkich wędrówkach społeczości europejskiej.

Nie długo z przeciwnego końca po europejskich wybrzeżach, rozciągają warowny łańcuch swych druzyn rycerze normañscy i spotkali się z rycerzami wschodu.

Im więcéj zastanawiałem się nad charakterem mieszkańców Skandynawii i Arabii, nad ich poezją, podaniami i obrazami mitologicznemi tém więkşę uderzało mię ich powinowactwo i jednorodność wewnętrzną; bo też jedne były wpływy miejscowe. Mieszkańca

Skandynawii również wystawiło przyrodzenie na okropności głodu na jałowej ziemi, otoczyło burzami, ze wsząd zagroziło śmiercią pośród pustyń śniegu i lodu. Chroniąc się przed zawiejami w samotnej chacie zaprawiał umysł do dumań poetycznych szukając osłody w krainie fantazyi, lub w religijnych podaniach, słuchając szumu borów i świstu wiatrów. W walkach z drapieżnymi zwierzętami wcześniej zbadał użytek żelaza, którego pokładami natura uzbroiła jego góry. Ztąd mitologiczny świat skandynawski cały był zbrojny, a sam bóstw naczelnik Oden jest bogiem wojny. Księga Eddy powiada: iż »kto padnie w boju mężnie walcząc, idzie do Walhalli raj, kędy dostają się bohaterowie waleczni. Tam będzie upajał się pieśnią Sagi, opiewającej ich dzieła wojenne.« Zapaleni podobnym marzeniem z własnego drzewa budują statki, okuci w zbroję licznymi drużyny rozbiegają się po oceanach, dążą ku rokosznym krainom południa, i rychło pod ich władzą wszystkie pobrzeża europejskie. Spójrzeli w oczy, w oczy rycerzom Arabskim, starli się z niemi, później tylko cel zmieniają, łącznie z chrześcijańską Europą idą pod godłem krzyża do Palestyny.

Tak potężny jest wpływ miejscowości; tak on kształtuje charakter narodowy plemienia, jego rodzinnego ducha, z którego później rozwinięta postać państwa, jego instytucye, dążność w cywilizacyi powszechnej, biorą swój kierunek, i tym miejscowym wpływem najlepiej wytłumaczyć się dadzą, wyjaśniają się jego pochodnią rzucającą światło na wszystkie jego dzieje. To nas naprowadza przy rozpatrywaniu państwa, lub jakiejkolwiek społeczności, na potrzebę poznania jej we względzie entnograficznego pochodzenia. Często

bowiem w tym samym klimacie, na tym samym gruncie wzrastające narody różnią się między sobą w narodowym charakterze, z powodu iż zupełnie do innych szczepów należą; jak znowu przeciwnie, mieszkańcy różnej ziemi i klimatu mają z sobą styczność i podobieństwo w charakterze, języku i podaniach, dla tego iż z jednego pochodzą szczepu.

Jeśli więc tak potężnie naród spaja się z miejscowością i według jój charakterystyki ukształca swą fizyonomią, a ten moment nadaje barwę historycznemu jego życiu, i jakby jakieś przeznaczenie wcześniej będzie nad niem ciążyć w przyszłości; to gdzież wolna wola człowieka? życie narodu wечно będzie poddane fatalizmowi? Jest to punkt nad którym zatrzymują się badacze. Człowiek ma tylko wolną wolę, przeto odpowie w zupełności za swe postęпки. Ludzie narodami sążeni nie będą; jeśli narody zbaczają z drogi prawości na drogę zbrodni i zepsucia, na ziemi dochodzą do szczęścia lub upadku i nędzy. W tém życiu kończy się ich nagroda i kara — (Pielgrzym).

Bez wątpienia: jednakże, naród pracą, usilnością może zmienić pierwotny kierunek, same losy pokonać, równie jak pojedynczy człowiek wychowaniem, kształceniem się; zresztą przez różne wypadki życia może uleść odmianom w swym charakterze pierwotnym. Bo też na państwo w ciągu wieków różne mogą wpłynąć zdarzenia. Któż byli owi mężowie historyi, jako me-teory świecące na niebie przeszłości, jako herkulesowie zwodzący boje z potworami swych wieków, z przesądami i dążnością narodu raz przybraną od niego? Karol W. Bolesław Chrobry, Piotr W. Dzieła ich wie-

le wpłynęły na losy narodu. Tak również i inne zjawiska nieskończenie mogą zmieniać postać narodu.

By to przedstawić w przykładzie, zwróćmy się powtórnie do obrazu w którym skreśliśmy fizyonomią wschodu i zachodu. Nie od razu społeczeństwo europejskie przedstawiła taką cywilizacją jaką dziś rozwija. Długie przejście musiała wprzód koleje niepewności, nie raz zachwiały się jej podstawy, staczała uporne walki z Azyą, aby od niej ubezpieczyła swe losy i pewniej rozwinęła swoją przyszłość. Powołanie państw klasycznych szczególnie zdaje się na tym polegać. Cała wielkość starożytnej Grecji w walkach ustawicznych z Persją zdaje się mieć źródło. Wzajemna ich nienawiść z różnorodności opinii bierze początek. To co u Persów zdawało się być rozsądnem, inaczey uważali Grecy; na przykład stan i prawa płci żeńskiej inne były od wieków na Wschodzie, inne w Europie. Nawet Arystoteles tém chce odznaczyć Greków od ich nieprzyjaciół, przewagę Greków nad Azyą tém tłumaczy, mówiąc iż Persowie rodzą się dla niewoli, bo ich matki ciągłemi są niewolnicami. Ztąd długie powstały boje, które kończą się podbiciem Wschodu przez Aleksandra W<sup>o</sup>. Gdy Grecya rozwija oświatę swoją i kładzie zasadę przyszłej cywilizacji europejskiej naprzeciw Wschodu, inne powołanie spełnia Rzym. Orężem ubezpiecza obwód znanego w ówczas świata. Wprawdzie najróżnorodniejsze w tym obwodzie zamyka elementa i narodowości, co już jest przepowiednią przyszłej rozdzielności harmonijnej europejskiego świata. Oręż rzymski był za słaby dla nadania im trwałego zjednoczenia i spójności, tém bardziej iż społeczeństwo przez wędrówki hord azyatyckich wstrząsnioną została. Z po nad Rzy-

mu więc rozwija opiekuńcze skrzydło narodów chrystyanizm, i miłością w Chrystusie dzielniejszą nad legiony rzymskie, najróżnorodniejsze ludy Europy, nie-nawistne między sobą żywioły spaja w europejską jedność. Germanowie i Słowianie przyjmują wiarę Chrystusa. Już w samym charakterze germańskiego szczerpu było jakieś powinowactwo z ideją chrześcijaństwa; szacunek dla płci żeńskiej, uczucie honoru, jednożeństwo. Lecz razem uczucie osobistej niepodległości, przejawione w dzikich jeszcze formach feudalizmu, było zasadą podzielności towarzystwa europejskiego w jedności chrześcijańskiej. Karól W. biorąc tytuł Imperatora ofiarowany mu od Papieża, wskrzesza w środkowej Europie jedność polityczną (rzymską), która jednak trwa niedługo. Do jedności chrześcijańskiej wkrótce przystępują północne i wschodnie plemiona Europy. Tak więc do 11 wieku całej Europy nastąpiło zjednoczenie. Lecz jedynie tylko jedność na chrystyanizmie zasadzająca się, ocaliła młodą Europę od zupełnego jej podbicia przez Arabów z zachodu, Mongołów ze wschodu i Turków z południa. Był to dalszy ciąg walki Europy z Azyą, do której w mglistej starożytności Grecya wyprawą na Troję hasło podała. Różne jej były koleje: w początku wiodły ją narody pojedyncze. Wyprawy dopiero krzyżowe całą poruszają chrześcijańską społeczność. Więc chrześcijaństwo nie był zjawiskiem miejscowym, lecz obejmując całą Europę, wszystkich narodów zarówno zagrzewał serca. Walka wre długo i ciągle ten ma charakter: ostatni bowiem jej bohaterowie, Dymitry Doński zwycięzca Kulikowski, Władysław ginący pod Warną, i Sobieski tryumfujący pod Wiedniem walczą w imieniu całego chrześcijaństwa.

Lecz obok, wszczyna się walka Imperatora i Papieża, w której ginie cały Dom Hohensztaufenów, przedstawiający władzę świecką naprzeciwko duchownej. Gdy między narodami obudziły się prawa rozumu i sumienia, zamiar ograniczenia władzy duchownej daje początek nowym opiniom, Papieże bronią dawnego porządku; lecz z drugiej strony umysły pragną przedrzeć się do źródła samej prawdy, zapuszczają się w krainę krytycyzmu. Powstają wojny o reformę, które kończy pokój Westfalski, przyznający prawa rozumu i sumienia. Tak więc teokracja cofnięta została w obręb właściwy, zostawując miejsce innym żywiołom życia społecznego, które miały się przejawiać. Podobnego zrównoważenia nie widzimy u narodów Azji i Afryki.

Przytoczmy jeszcze inne fakta, równie ważne, wykazujące indywidualizowanie się pojedynczych państw Europy. Dynastye dziedziczne panujące nad tym lub owym krajem i przekazujące go od rodu do rodu, reprezentują indywidualność tych krain w jednej całości europejskiej. Takt ten był powodem, długich często wojen narodów jednych z drugimi dopokąd nieprzyjęto stałych zasad, to prawo dziedziczenia familijnego przepisujących. Wojny Anglii z Francją, Polski ze Szwecją i wiele innych, tutaj mają początek.

Charakteryzują także tę indywidualność pojedynczych państw wojny o granice między sąsiednimi narodami. Długo obwody mocarstw oddzielnych chwiały się; coraz wprawdzie słabiej przychodzą teraz do spoczynku, jednak jeszcze pokój Westfalski i Wiedeński nie zupełnie je umocnił. Jeszcze drgają jak wzruszone struny instrumentu. Ustalenie ich jest epoką zupełnego wyro-

bienia indywidualizmu mass politycznych—państw, ich oddzielności samobytniej, w całości europejskiej.

Prócz tych warunków zasadniczych, na których rozwinęła się indywidualność zewnętrzna mocarstw europejskich, niemniej ważne ułożenie się w jasne oddzielne kształty żywiołów wewnętrznego życia narodów.

Powstawanie class i stanów, które równie jak tyle innych formacyi w wiekach średnich miało miejsce, przedstawia także długie ścieranie się z przeciwnym żywiołem — jednorodności towarzyskiej. Zdawało się bowiem, iż w całej Europie społeczność możliwych będzie jedyną, wyłączną, gdy wtém monarchowie podają rękę pomocy mieszkańcom miast i wsi, licznymi uposażają przywilejami i formują klasę średnią, dla zrównoważenia zbyt już wybujałej potęgi feudalnych władców (świeckich i duchownych).— Tak więc stany, równie jak i inne elementa różne przeszedłszy koleje, ułożyły się do równowagi; przeciwnie, na wschodzie, społeczność składają możni — pan. Niewolnik nie stanowi społeczności.

Jeszcze jeden fenomen tego rodzaju. Gdy państwa wyjaśniły swą fizyonomią narodową i weszły w system równowagi między sobą (w 15 wieku), rządy zwróciły uwagę na wzniesienie potęgi swych dzierżaw przez polepszenie ich hytu, pomnożenie bogactwa narodowego. Tutaj początek ekonomii politycznej. Gdy zaś użyte do tego środki, które razem stanowiły tak zwany *system merkantylny*, miały na celu wzbogacenie swego narodu, nie jeno nie zależnie od państw innych, ale często ich kosztem, ztąd wynikały częste między mocarstwami zatargi. Tu mają początek liczne wojny o kolonie, wojny Ludwika XIV z Holandią.

*Nawigacyjny akt* Kromwela miał na celu zniszczenie potęgi na morzu innych mocarstw, równie jak *system Kontynentalny* Napoleona, który nawet po 1815 roku wszystkie pojedynczo zaprowadzają u siebie mocarstwa. Za cel tu miano podnieść u siebie i przywłaszczyć zupełnie nie raz obce i niewłaściwe gałęzie przemysłu, które kwitnęły gdzieindziej; lecz dla tego mocarstwom mogły więcej stać się szkodliwe jak korzystne, z powodu nie stosowności położenia i klimatu. Za środek do tego poczytano wzbronienie przywozu z zagranicy. Dzisiaj ekonomia polityczna wie dzie spór zacięty w tym przedmiocie, albowiem nowsza teoria odrzuca podobne środki sztuczne, obstając za swobodnym wprowadzaniem i wywozem, w skutek którego właściwy każdemu krajowi rozwinie się przemysł. Twierdzi ta teoria, iż to gwałtowne zaprowadzanie jakiego rodzaju przemysłu nieprzyrodniego krajowi, zapewnią korzyść pojedynczym tylko w małej liczbie będącym indywiduom, mającym w ręku ten przemysłu rodzaj; lecz dla ogółu staje się powodem drożyzny. Niech każdy kraj; mówi ta teoria, doskonali gałęź przemysłu sobie przyrodnią; a wspólna zamiana między państwami płodów własnego przemysłu, ułatwi jego postęp powszechny.

Tak więc tutaj znowu przebiłaby się myśl w powyższych wykazująca się fenomenach. We względzie przemysłowym każde państwo będzie także oddzielnym indywiduum z charakterystycznym przyrodnim sobie rodzajem przemysłowości; lecz zarazem stosunkami wspólną zamiany, będzie należeć do ogólnego systemu handlowego.

Z tego wszystkiego łatwo dostrzegamy, jak w historycznym życiu społeczność różnych doświadcza od-



mian wpływających na jej byt obecny, na fizyonomią państw i charakter narodów. Przeto jakkolwiek silny wpływ miejscowości klimatu i położenia, które zdają się na zawsze zakreślać dla narodów drogi ich życia historycznego, lecz też z drugiej strony dzielna człowieka wola, jego swobodna działalność, jest wstanie wytknąć sobie ten tor historyczny, nadać sobie inną postać; jest to więc tryumf swobodnego ducha nad martwą materią, pierwiastku moralnego nad fizycznym, który lubo zbyt upornie, w przeciągu długich wieków, tamtemu jednak uledez musi.

Nastęcza się tu uwaga, jak obszerne roztwierają się dla cywilizacji europejskiej nadzieje, rozwinać się nawet wśród tych ludów Azji i Afryki, które są od niej wyłączone. Już się ona tam w części przedarła za pośrednictwem to osad, to męźnych wysłańców kościoła.

Z powyższych uwag rzecz widoczna, iż jako kształt kraju, plemienny charakter narodu, historyczne jego życie razem na siebie wpływając, formują jakąś fizyonomią państwa i społecznej cywilizacji; tak z drugiej strony dla zrozumienia tego obojga, rozpatrzenie pod owymi względami jest niezbędne. Ztąd jeografia, etnografia i historia, jako nauki pomocnicze w zakres statystycznych badań wejść muszą; badań, które szukają wynikłości, wypadku, owych wpływów miejscowości, plemienności i zmian historycznych.

Z resztą trudno wytknąć szranki nauce, która po obszarze społecznym jak filozofia po obszarze stworzenia rzuca wzrok badawczy, nic nie wyłączając co tylko objaśnić może jakies zbadane prawo, odkrytą ideę, lub co kiedyś kolwiek na charakter narodowy wpływ

wywrzć mogło. Zatem obszar jćj jak filozofii bardzo obszerny, nieograniczony. Wszędzie niech zapuszcza pilne oko. Otwarty przed nią zakres zapewni jćj wzrost i rozwicie. Botanika czyż może się ograniczyć tym tylko lub owym krajem, temi tylko a nie innymi roślin gromadami? Wszystko co tylko należy do państwa roślinnego, jćj jest własnością; choćby te istoty w najodleglejszych rosły końcach ziemi, czy to wspaniałej dochodzą postawy, czy tćż ledwie dostrzedz się dają, wszystkie mogą posłużyć do wykrycia i rozjaśnienia praw świata roślinnego? Wtedy i statystyka nabędzie prawa zwać się *nauką*, organiczną zupełną całością. A jako życie i myśl narodu, będzie ją ożywiać i przenikać, dla tego ona stanie się *nauką najbardziej narodową*, ztąd i najinteresowniejszą. Bo kiedyż narodowość więcej na siebie zwracała uwagi, jeśli nie dzisiaj po przejściu tćj wielkiej epoki, kiedy bohater wieku »mąż należący do Plutarcha« jak go zowie dziejopis, zaprzęgłszy w zwycięzki rydwan obok złotych, orły wszystkich prawie narodów ciągnął ku gwiazdzie północnej, obalając odwieczne narodowości po całym zachodzie. Ale opatrność gotowała dłuższą epokę dla życia europejskich ludów, o własnym ich żywiole. Zachwiana na chwilę narodowa indywidualność i nihy starta różnobarwność fizynomii ludów, odżyły na nowo: gdyż znalazł się inny bohater, co stracił tamtego z rydwanu, dźwignął obalone potencye, przywrócił harmonijną ich łączność. Życie narodowe nabrało przez to większej energii, uczucie zapromieniało jasnością niezwykłą; a uczeni i wieszczowie zaczęli szczerze krztać się około tych narodowości, jak chore około przywróconego zdrowia.

Szkoda, iż dotąd ta narodowa nauka jest tylko zbieraniną faktów bez związku i myśli, zaledwie w jakiś ułożonych porządek: z których dla rozumu żadna myśl nowa nie przybędzie, dla pamięci chyba nieprzebranego dostarczą obciążenia. Zapewnione jój rozwicie swobodne w zakresie tak obszernym jak wykazujem, ręczy za jój bystre postępy. Przytém wszystkiém żeby lepiej usprawiedliwić naszą myśl o potrzebie rozszerzenia jój zakresu, winniśmy wymienić iż statystyka w podobnym kształcie już nawet istnieje, tylko w dziełach inne mających nazwisko, przynajmniej z niemi porównać się może.

Fr. Aug. Wolf (um. 1824), który oznaczył formę i zakres nauce *starożytności*, stworzył jój ideę, porównywał ją ze statystyką nowożytnych narodów. Równając więc te dwie umiejętności w ich rozwiciu, można nie istnając lub niepełną jeszcze, skreślić plan dla dalszego jój wzrostu, podług drugieć pełniejszój. W dziele swojem — *Alterthumwissenschaften*, — mówi on: iż »celem starożytności jest poznanie starożytnego społeczeństwa, przez zbadanie jego cywilizacji.« Wprawdzie chce on tylko część polityczną porównywać ze statystyką, lecz dla czegoż np. archeologią odłączać, jeśli ta z życiem narodu ściśle się wiąże, jeśli cała działalność niektórych narodów, wszystkie ich dążenia, całe ich życie, ku wyrobieniu żywiołu pięknego były skierowane? Poznanie narodu czemuż jest jeśli nie zbadaniem jego sztuki, praw, obyczajów, religii, od zrozumienia których zrozumienie i życia ich zewnętrznego, politycznego zawisło?

W dalszym ciągu ten uczony powiada: iż nietylko mitologia klassycznych narodów powinna być badana,

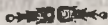
lecz i różnych innych, na jakimkolwiekby znajdowały się stopniu oświaty. Religia Hebrajczyków i wschodnich narodów porównywane z religią Greków, wiele może przedstawić podobieństwa, a ztąd dostarczyć wiele wyjaśnień. Również nauka języków wieleby zyskała poznaniem języków nawet dzikich plemion; to więcéj wyjaśnia prawa języków klassycznych, niż najdokładniejsze rozpatrzenie ich form; albowiem tém może się wyjaśnić przechodzenie jednych wyrażeń na inne pozabawione malowniczości języków pierwotnych. Podobne uwagi stosuje i do wszystkich przedmiotów podlegających badaniu starożytnika.

Również to o naszej da się powiedzieć nauce. Statystyka, jeśli ma być podobną do *Antiquitates*, czyż nie powinna w podobny sposób mieć rozszerzone pole. Wszystko tu powinno nabyć prawa, służyć za wyjaśnienie idei, według których istnieją państwa, i praw które wyrażają swym bytem; czy to dzieje się obecnie w tém lub owém miejscu i społeczności nawet najmniej rozwiniętej, czy działo się w przeszłości. Takie pojmowanie statystyki wzniesie ją do rzędu nauk rozwiniętych, a dla wiedzy ludzkiej jeszcze jeden świat umysłowy odkryty zostanie.



**DO PANI \*\*.**

*w drugą oktawę jej dnia imiennego.*



Sama jesteś... a w około  
każde serce tobie tchnie,  
wszystko każe być wesołą;  
więc nie jesteś sama, nie!  
Tańczy przed tobą życia panorama:  
ty-s nie jest sama!

Samą byłaś, w chwilach owych,  
gdy kwiat serca, zamiast rość  
od spółczucia tchnień majowych,  
drętwiał, bo mroziła czczość,  
i, tuląc, złąkły, swe pieskliwe zwoje,  
sam był — we dwoje! —

O! innego tobie nieba:  
rosy uczuć trzeba ci,  
słońca-ć wyobraźni trzeba,  
tchnienia, jakim lutnia drży.  
Ten świat objęła raz twój duszy rama,  
bezeń — ty-s sama.

Sama?... O! nie,... wszak ci służy  
wiosna wieku, wdzięków kwiat! —  
Miałaby dla pięknej róży  
samą tarń raniącą sad? —  
Gdy prze pion skwaru, gdy wrą wichrów boje,  
śmiej się we dwoje!

Oh! dla dwojga — jaskiń głązy  
zwiążą się w tronowy sklep,

srebrzem zdrojów wśród óazy  
tryśnie numidyjski step;  
a gdy odpłynie wojownik Pryama:  
— Królowa — sama!

Tylko, gdzie ty tchniesz, Miłości!  
więją wonie, dzwoni chór.  
W Raju zamilkł głos lubości:  
wyszła Matka ziemskich cór;  
a i tu Zkłęta znajdzie raje swoje:  
— wyszło ich dwoje.

W lutym 1843 r.

J. D. M.



## USTĘP Z POEMATU LORDA BAJRONA

### DON JUAN

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻONY

przez

*Ig. Barankiewicza.*

Don Żuan m odzieniec cudnej urody i namiętnego serca  
płynął z Kadyxu do Liworno. Po kilkodniowej, spokojnej  
żegludze, burza powstała; obcięte maszty, rzucony w mo-  
rze ładunek nie mogły ocalić okrętu. Podróżni ratowali  
się na szalupę — ale większa część w zamieszaniu potonęła.  
Resztę, do której i Zuan należy, wiatr pędzi bez celu — brze-  
gu nie widać, szczupłe zapasy które się na szalupę przenieść  
zdążyło, wychodzą. Głód, pragnienie, skwar południo-  
wego słońca trapi tułaczów. Po kilkunastu dniach najdo-  
tkliwszych cierpień ukazuje się im brzeg skalisty jakiejś  
Cyklady. Żuan w obawie żeby szalupa pędzona wiatrem nie  
minęła wyspy, wpław się rzuca; kilku z pozostałych przy

życiu towarzyszy idzie za jego przykładem — ale Żuan tylko na brzeg się dostaje, gdzie upada zemdlony. Cyklada była siedliskiem Lambra Korsarza, który się wtenczas na jedną z wypraw swoich oddał. Hajda, córka Lambra, w przechadzce na brzegu, znachodzi rozbitka i ze służebną swoją przenosi go do pieczary przymorskiej, z obawy, żeby ojciec za powrotem znalazłszy go w domu nie sprzedał w niewolą, jak brańców po swoich wyprawach. Dzięki staraniom Hajdy, Żuan wraca do życia i zdrowia i miłością *całkowitą* wypłaca się swojej wybawicielce. Miesiące mijają, Lambro nie wraca — kochankowie śmielsi w swoich wycieczkach — i nareszcie Hajda do mieszkania swego Żuana wprowadza. Śpiew trzeci zamyka opisanie uczy kochanków, którą przepych w wycieczkach Lambra zdobyty i orszak Hajdy uprzyjemniał — po tém idzie ustęp przełożony:

I.

Lecz częściej, miliej, w samotnej parze  
Żuan i Hajda godziny pędzą.  
Czas im jedwabną snuje się przedzą,  
Robakiem w piękne nie wnika twarze  
I tchem z chwil strojnych kwiatu nie pruszy.  
A będąż oni, gościami świata,  
Aż im uroki ulecą z duszy,  
Aż kryształ wrażeń, w mat zetrą lata?

Nie — jakaś wróżba w twarzach jaśniała,  
Ze u nich włos a wiek nie oszroni,  
Ze serc, los w twardej nie pomnie dłoni!  
Byli jak kraje gdzie pora biała  
Nigdy po jasnym nie przyjdzie lecie.  
Piorun ich może w popiół zamieni,  
Ale za wiele w oczach promieni  
Żeby wlec życie — jak wy żyjecie.

Małej Cyklady dzikie ustronie  
Rajem tuliło swobodne stadło.

Nie znali nudów — chyba gdy dłonie  
Chyba gdy usta rozjąć wypadło.  
A wtedy byli jak drzewo owe  
Które z korzeniem dzieli siekięra;  
Albo jak dziecko, co mu odbiera  
Matka po roku zdroje piersiowe.

Ani ich serca tknęło przeczucie  
Że mogą ubiedz lubę godziny...  
Cieszymy się — jeśli w jedynym rzucie  
Serce, kaolin człowieczej gliny,  
Pęka w człowieku — jeśli nie liczęm  
Ciężkich dni po dniach, roku po roku,  
Kiedy już w duszy nie masz uroku  
I świat z uwiędłem widać obliczem.

„Miły niebianom — umiera wcześniej.“  
Od iluż ciosów śmierć go ochrania!  
Nie płakał drogich — i co boleśniej  
Ufności w przyjaźń, w niebo kochania!  
A gdy i drudzy co cierpią tyle  
W objęciach śmierci, jak tamten, posną,  
Możeby trzeba pieśnią radosną  
Żegnać składanych w rannęj mogile.

Żuan o śmierci nie myślał przy niej!  
Żadne im waśnie uciech nie płaczą,  
Jedno nie tęskni, drugie nie wini  
Chyba czas, co im schodził za rąco.  
Jak jedna dusza, dusze ich obie.  
A kiedy oczy — czarne klejnoty —  
Snuły głębokie wzrokiem pieszczoty,  
Rzekłbyś że słońcem rzucają sobie.

Gdy byli razem, dwojeli w krasie.  
A ich spojrzenie, kiedy żegnało  
Mówiło wszystko... jeszcze zamało!  
I mieli słowa. Jak pieśni ptasie  
Tak z piersi powódź płynęła słodka.  
Słowa, co tylko miłość rozumie,



W których muzycznym, zmatwanym tłumie,  
Ten co nie kochał, myśli nie spotka.

Tyle powabów w nich się zespola,  
Takie są jasne duszy promienie,  
Ze to nie dla nich zwyczajna dola:  
„Skrzętnie się zwijać po świata scenie.“  
I taki urok w obojgu mam,  
Jakbyście nimfę z lubym ujrzeli  
Co wiecznie mają igrać muszlami,  
Albo się tarzać w kwiatów pościeli.

Księżyc niejedną przeszedł koleją,  
A rokosz ciągle mieszkała z niemi,  
I taka, którą rzadko umieją  
Wykraść niebianom ludzie na ziemi!  
Rokosz co krzepi, ale nie nuży,  
Co nie jest latem a pieści wiosną;  
I im w rokoszy brodzili dłużej  
Tém im uczucia w potędze rosna.

Chwała miłości! chwała rokoszy!  
One, to drogie cacka pamięci,  
Gdy wiek uroki młode rosproszy  
Zestudzi czucie — przytępi chęci,  
Z pucharu życia pianę odwionie,  
Kiedy już kwiaty duszy nie świeże —  
Gdy żądza twoja skarli się w żonie  
I żona jeszcze czoło ubierze.

Przykra to prawda — tylko się dziwię  
Ze ją najrzadziej znają mężowie.  
A nasza para? nigdy nie powie,  
Ze jej godziny schodzą leniwie.  
Bo to uczucie przyświeca dla niej  
Za którym tęsknim gdy wiek ostudzi,  
Co się nazywa śmieszno u ludzi  
Którego chciałby — ten co je gani.

Oboje w zachód słońca patrzyli.  
I wdowiejące po dniu obszary

Były im lube — bo w takiej chwili  
Poznali pierwsze miłości czary —  
— Z taką potęgą że noc zstąpiła  
Zanim z lubego spojenia wysli.  
O! jak rzecz każda spojrzeń miła,  
Co miłą przeszłość przywodzi myśli!

Iż nie wiem czemu — w owe ustronie  
Pary szczęśliwej — z zachodnią łuną,  
Dreszcz się zabłąkał — po sercach wionie,  
Jakby wiatr ciągnął arfową struną  
Albo rozdmuchnął płomyk w płomienie.  
Pod nim obadwa zadrgnęły ciała,  
Z piersi Żuana wyszło westchnienie,  
I łązka żrenica Hajdy zwiłżała.

Łza się stoczyła — pomysł proroczy  
Czarną żrenicę jej rozprzestrzenia,  
Jakby krąg złoty co się tam toczy  
Brał dzień ostatni z lubych pleńnicia!  
Żuan w niej wzrokiem pomysłu śledzi,  
I czując boleść nie zna powodu,  
Nie może w duszę sięgnąć do spodu;  
Wzrok mu powraca bez odpowiedzi.

Ona uśmiechem usta przegina,  
Nie tym co uśmiech w parę powoła...  
Lecz już pomroka pierzchnęła z czoła  
Uchła na twarzy gorzka drożyna;  
I kiedy Żuan zabawną szatą  
Ubięrał wspólne sercom doznanie,  
Ona mu rzekła: to się nie stanie —  
— Albo nie będę płakała na to.

Żuan chciał pytać — ale mu usta  
Od koralowej milczą pieczęci —  
Tego całunku ogniem przejęci  
Uczuli rychło że trwoga pusta.  
Sposób wyborny, chociaż nie nowy,  
Inni go wolą znajdować w winie —

A mędrcy prawią: że nas nie minie  
Z jednym ból serca, z drugim ból głowy.

Niech sobie prawią! Po waszej woli  
Wybierać bracia czary, dziewczęta;  
Gdy sok zagrzeje, ramię okoli,  
Człowiek obawy, trosk nie pamięta.  
Jak was zatrudni wybór sposobu,  
Żeby się w długim nie plątać sporze,  
Z trwogi, że jeden omylić może  
Najlepiej, bracia! użyjcie obu.

I spojrzeniami w spojrzeniach giną,  
Wzrok ich w rokosznej wilgoci pływa;  
Przyjaźń, braterstwo, miłość matczyną  
Wszystko wyraża postać szczęśliwą!  
W sercach, co świeże w miłość się zleją,  
Zbytek się czuje, ale nie zmniejsza;  
Miłość ich przez to świętsza, piękniejsza,  
Ze jest wieczności strojna nadzieją.

A zapleceni w drżące ramiona  
Czemuż w tej chwili nie rzuca światu?  
Może im przyszłość cyprys uplata  
Może ich czeka z cierni korona!  
Byli namiętni jak śpiew Lezbianki,  
Nie dla tych istot ziemia podnożem;  
My, mdłe stworzenia deptać ją możemy  
One, niech idą w przestrzeń szranki.

Żyliby w puszczy — bez skargi na nią,  
Z kochania swego pieśnią słowiczą,  
Nie dla nich miasto — gdzie podłość panią,  
Gdzie występkami minuty liczą.  
Zacne istoty w ciżbę się nie rwą,  
Spiewnym ptaszynom dosyć na parze,  
Orły w samotnych szlakach żeglarze,  
Tylko kruk stadem leci na ścierwo.

II

Teraz z przylgniętą twarzą do twarzy  
Spi wcielonego grupa kochania.  
Sen nie głęboki — coś się im marzy  
I dreszcz Żuana ciałem przegania;  
Z drobnych ust Hajdy szemrzy muzyka  
Jak źródł w kwieciste pojmany pęta,  
A na jęj twarzy, gdy sen przemyka  
Drży niby róża wianiem muśnięta.

I jak w Alpejskim potok parowie,  
Gdy go szalony wicher dopadnie,  
Takie szalone marzenia składnie  
Snują się teraz po Hajdy głowie.  
Czy we śnie duszy zupełnej niema?  
Czy wtenczas w sile zmęźniała dusza  
Gdy świat zwartemi widzim oczyma,  
I czujem choć nic czucia nie wzrusza?

Hajdzie się zdaje że jest na skale,  
Że z nią ciężkimi skuta łańcuchy;  
W twarz jęj uderza pęd zawieruchy,  
W dali szumiały spienione fale.  
I kiedy Hajda otwiera usta  
Żeby westchnieniem ulżyła łonu,  
Fala się zbliża, urasta, chlusta,  
Dławi ją — ale nie sprawia zgonu!

Gdzie indziej teraz myśl jęj tułacza.  
Krwawią się stopy na ostrym zwirze,  
Za każdym krokiem — usterki świeże.  
Coś zwiniętego przed nią się tacza;  
Hajda z przestraczem widziadło goni,  
Nie może dociec jego postaci,  
Już się zdawało że je ma w dłoni,  
Znowu przekorne z ujęcia traci.

A teraz Hajda stoi w pieczarze.  
Dziwaczna rzeźba ubiera ściany,  
Co ją wygryzły morskie bałwany  
Wieki całując sine skał twarze.

Dwie łzy olbrzymie — to Hajdy oczy;  
Z włosów jój woda kroplami spływa,  
A kiedy kropla na głaz się stoczy  
Jakby czerniała opoka siwa.

W pieczarze Zuan przemokły, zimny,  
U stóp jój leży z poblakłą twarzą.  
Morze gdzieś szumi w żałobne hymny;  
I choć te nuty boleścią rażą,  
Żeby ich uciec — Hajda bez siły!  
Tak majtek Syren miał słyszeć pieśni  
Co tém potężniej ucho pieściły  
Im chciały zdradnie dręczyć boleśniej.

Gdy wytężone Hajda spojrzenia  
Zatapia w przedmiot swego kochania,  
Sen jój, poprzedni obraz zasłania —  
Twarz pół kobiecą Zuana zmienia  
W twarz Lambra, z rzeźbą śmiałą, głębką.  
A nowy widok tak ją przeraża  
Że się przebudza — i Hajdy oko  
Spotkało czarne oczy — korsarza.

Z krzykiem powstała — z krzykiem upadnie.  
Boleść, uciecha sercem jój miota.  
I czemuż Lambro nie został na dnie?  
Bo ojciec spyta gdzie: Hajdy cnota.  
Ojciec kochanka wydrzeć przybywa.  
Nie — to nie było myślą dziewicy  
W straszliwej chwili — która w stolicy  
Trafia się — często — nie tak straszliwa.

Poskoczył Zuan na krzyk kochanej,  
W jego ramiona pada mdlejąca.  
I Zuan bułat zerwał ze ściany  
By skarcieć tego co raj zamaça.  
Lambra nie straszy szablica goła,  
Wzgardy uśmiechem przyjął wyzwanie:  
„Zawieś, powiedział, bułat na ścianie  
„Bo głos mój jeden, sto ich wywoła.

Hajda kochanka w objęciu ścisła  
— To Lambro, woła, klękniemy razem  
On nam przebaczy, on nie jest głazem—  
I Hajda bieży i ojca bliska,  
Kraj szaty chwyta, ze łzami błaga:  
— Kiedy twe ojczce całują szaty,  
Mamże się lękać szczęścia utraty?  
Nie jego winą moja zniewaga.

Pomroka Lambra zamysły chowa,  
Twarz jego martwa, surowe oko,  
Patrzył się w córkę, długo, głęboko,  
Ale nie wyrzekł jednego słowa.  
Teraz się od niej ku niemu zwraca—  
Żuan z bułatem — krew pała w twarzy;  
O! krwawa będzie zuchwalca płaca  
Co się na niego porwać odważy!

— Młodzieńcze, miecz twój! — Lambro powiada.  
— Nie oddam póki ta ręka żywa.  
Zbladła twarz Lambra; nie z trwogi blada.  
Z pasa pistolet długi dobywa,  
Rzekł: niech krew twoja na ciebie spadnie.  
Krzemień obejrzał, zbliższy, spokojnie,  
Bo może stępał w tajemnej wojnie,  
I teraz palec na kurek kładnie.

Choć wola silna, choć serce zucha,  
Jeśliście jeszcze w przygodach młodzi,  
Zawsze niemile wpada do ucha,  
Szczęk z którym ręka kurek odwodzi,  
O dziesięć kroków (miara ta zwykła  
Gdy się we wroga przyjaciół zmienia)  
Żuan drgnął pewnie, lecz ze spojrzenia  
Nie znać by trwoga w serce przenikła.

Lambro wycelił — przedmiot kochania  
Pięknej Greczynki, za chwilę legnie —  
Hajda milcząca, surowa biegnie,  
Kochanka piersią swoją zasłania,

Ani ją straszy gotowość kurka.  
— On jest niewinny! śmiało powiada,  
Burza go wiodła ale nie zdrada,  
Niewinny! ojciec — przestępcą — córka!

A chwilą pierwój była w łzach cała,  
Z czułością dziecka, z trwogą kochanki.  
Teraz jak rycerz co wstąpił w szranki,  
Posągiem, strzału ojca czekała.  
Twarz jej rumieńcem męzkim okryta,  
Z dumą podjęła dorodną kibić,  
I wzrok chce ojcu do duszy przybić —  
Ale za zbrojną rękę nie chwyta.

Patrzą na siebie — jak przeciwniki.  
Też same ognie w oczach błyszcząły  
Mściwemu ojcu, córce zuchwałej,  
Taż moc nie zgięta i zapal dziki.  
A Hajda była jak młoda lwica  
Której napastnik lwiątko pochwyca;  
A krew co Lambra twarz zarumienia  
Jednego z Hajdą dowód plemienia.

Stoją podobni do siebie twarzą,  
I barwą włosów, wzrostem jednacy;  
Nawet ich ręce nie czerstwe z pracy  
O wspólnym rodzie pamiętać każą.  
A oni patrzą wrogów oczami,  
Z kąd łzy radosne trysnąć powinny.  
Nie masz miłości ojca, dziecinniej —  
O! jak namiętność niszczy i plami!

I znowu Lambro dobywa miecza.  
I znowu klingę do pochwy kładzie;  
Kochanka, Hajdy pierś zabezpiecza.  
— Wyrodna córko! stój na zawadzie  
Zawołał Lambro, karze zniewagi!  
Ale niech odda ten bułat nagi,  
Bo choć mu mogę darować życie,  
Nigdy się z sobą już nie ujrzycie.

Niech odda oręż, albo na Boga!  
Posoką jego, zmoknie podłoga —  
Do ust świstaczkę srebrną przykłada,  
Zadał i okrzyk jej odpowiada,  
I nie porządną a tłumną zgrają  
Zbrojni Korsarze w komnacie stają.  
Zgraja milcząca czeka rozkazu.....  
Skinął, pojęli znak ten do razu.

Lambro porywa córkę z przed niego,  
Silném ramieniem zostać zniewala, —  
Jakby na skałę pędziła fala  
Ku Zuanowi korsarze biega.  
Darmo chce zerwać Hajda uściski —  
Choć krew, jej czoło po łuk zrumienia  
A tłum napiera zacięty, bliski —  
I pierwszy z tłumu padł bez ramienia.

Drugi padając, rozwarł objęcia,  
A twarz trzeciemu klinga przecięła.  
Czwarty się lepiej zabrał do dzieła,  
Zsunął po swoim bułacie cięcia,  
I w swoją kolej wroga dosięga.  
Żuan się chwycje, Żuan się skłania,  
Po piersi płynie szkarłatna wstęga —  
— Oto zdrożnego order kochania! —

### III.

Jest kraj gdzie owoc gałęzie zgina,  
Gdzie gwiazdka z niebios zalotniej mruga,  
Gdzie żniwo w polach nie czeka pługa.  
Tam, i zjadliwa pełza gadzina!  
Tam, lew źrenicą krwawą spogląda,  
Tam, taka susza w ziemi i w niebie  
Że nieraz krają żywot wielbłąda;  
Wiater tam w piaskach wędrowców grzebie.

Słońca kochanką — owa kraina.  
A na wzór ziemi ludzkie tam serce,  
Nie długo pożar tleje w iskierce,  
Krew w żyłach z młodu pienieć zaczyna,



Rzadko świadoma dusza pokoju.  
Tam się był Lambro opatrzył żoną  
Z duszą, przy oczach co we łzach toną,  
Jak ze lwem śpiącym przy czystym zdroju.

Hajda — to grunt ów zwilżony rosą.  
Letniej, srebrzystej podobna chmurze  
Bujała Hajda — chociaż się niosą  
W tej srebnój szacie: płomienie, burze.  
Dotąd jej chwile lubo schodziły,  
Dziś się poznała z dziedzictwem świata,  
Żar Maurytański rozsadza żyły,  
I Samum duszę Hajdy zamiata.

A przed oczyma Hajdy czarnemi  
Ostatni widok — to on nieżywy  
I krew płynąca z piersi, po ziemi  
Krótkim pobycie pary szczęśliwej!  
Więcej nie widzi — niema i blada,  
Siły jej mdleją i od tej chwili  
Już się z obięcia Lambra nie sili...  
I ściętém drzewem Hajda upada.

Lecz po upadku drżeniem złowieszczém  
Zostały w ciele: rozpacz i walka,  
Przygięła głowę, jak kwiat — westalka,  
Gdy mu się urna nabierze deszczem;  
Usta otwarła — z przerwanój żyły  
Krew koralowym pucharem bucha —  
Czy to był krwawy kanał dla ducha?  
Bo nie wracają zemdlonój siły.

Już po dniu jednym schodzi dzień świeży  
A córka Lambra zawsze zmartwiała.  
Nie była trupem — choć krew nie bieży —  
I znaków życia choć nie dawała,  
Ale i znaków śmierci nie było.  
A na jej twarzy namiętne burze,  
Z nieruchomością, z potężną siłą,  
Osiały, niby rzeźbą w marmurze.

Budzi się — nic jak budziem się po śnie,  
Niby umarły powstał z mogiły.  
W różne przedmioty oczy patrzyły,  
Lecz ich pojęcie w pamięć nie wrośnie,  
Myślom rządnego braknie wysnucia.  
I choć nie płynie z ust potok krwawy,  
Sercem burzliwe szarpia uczucia —  
Tylko z nich sobie nie zdaje sprawy.

Troskliwe twarze łoża jój strzegą,  
Po twarzach wzrok się niepewny tuła;  
Widzi troskliwość, nie wie dla czego?  
I zawsze leży niema, nieczuła  
Z wewnętrznym tylko światem boleści.  
Darmo godziny w tym stanie liczą,  
Lekki jój oddech jedynie wieści  
Ze jeszcze nie jest śmierci zdobyczą.

Szczebiot gwarliwy i cisza głucha  
Darmo się Hajdę ocknąć starały;  
Ta nie wywabia mowy zmartwiałej,  
Tamten nie sięga nad zakres ucha.  
Darmo ją w pokój z pokoju wiodą,  
Wspomnieniem nic się w duszy nie kryśli,  
Zawsze to okno gromadnych myśli  
Czarne jój oko, nie jest z pogodą.

Ktoś rzekł o arfy tkliwej muzyce,  
Którą tak przedtém Hajda lubiła.  
Przynoszą arfę — i dźwięków siła  
W arfiarza wiedzie Hajdy żrenice.  
Patrzy — i nagle głowę odwraca  
Jakby boleści wydrzec się chciała —  
Przestań arfiarzu — daremna praca!  
Choć treścią twoją: swoboda, chwała!

Teraz osnowę arfiarz odmienia,  
Z dźwiękami struny głos swój jednoczy,  
On nuci słodycz tego płomienia  
Co jój niedawno rozrzewniał oczy.

I kiedy zabrzmiał słowem kochania,  
Z jój oczu łyły się obfite sącza,  
Urok na chwilę bóle odgania —  
To było szczęście — minęło rączo!

Mysł szczęścia w duszę wnikła za żywa!  
Już obłąkaniem mózg jój zakłóca.  
Z łoża się swego Hajda porywa,  
Pędem, z zapalem dzikim się rzuca,  
Jakby widziała nieprzyjaciela  
W każdej osobie co była przy niej:  
Ale nikogo Hajda nie wini  
Bolesć jój, jednym krzykiem nie strzela.

I różnych sprzętów dotknęły dłonie,  
Których pojęcia w myśl się nie wraża!  
Przecież w tej myśli coś światła płonie,  
Bo zawsze z ojca mija się twarzą.  
Niechce pokarmu, ani odzieży —  
Na żadnym miejscu, o żadnej porze,  
Choć biegły lekarz, chociaż czas bieży  
Sen jój pokrzepić zmysłów nie może.

Dwunasta doba tak jój upływa,  
I bez westchnienia, drgnięcia i jęku,  
Już nie na ziemi Hajda szczęśliwa.  
A nie na ojca skonała rękę,  
I nikt z przytomnych nie wiedział pewno  
Kiedy ją śmierci objęły cienie,  
Kiedy zagasło Hajdy spojrzenie  
Z tym niegdyś żarem — z tą mową rzewną!

W grobie spoczęła Hajda nie sama.  
Pod sercem Hajdy leżało dziecko,  
Lepiej że ono nie jest na świecie  
Kiedy mu życie znaczyła plama.  
Umarli — jedna tak zawierucha  
Ułame gałąź, co kwiat rozdmucha;  
Darmo tam rosą płaczesz błękicie,  
Kwiatu, gałęzi, nie wróci życie.

Już i gniew ojca, rozdział, ochyda,  
Cierpienia życiu Hajdy nie przyda.  
Ona nie była stworzona na to  
By długo nosić cierpienia brzemie,  
Rajskie jej chwile przeszły skrzydłato  
Z rajem, jej dusza rzuciła ziemię —  
Ciało gdzieś na tym brzegu spoczywa  
Kędy lubiła brodzić szczęśliwa.

Teraz tej wyspy widok niemiły,  
Pola odłogiem — z domu zwaliska,  
Córki i ojca tu są mogliły,  
Ale nie czytasz nigdzie nazwiska,  
Żadne ci znaki za nie nie ręcą,  
Gdzie oni leżą nikt ci nie powie,  
Tylko pieniści morza synowie  
Czasem na brzegu po Hajdzie jęcą.

I teraz tylko Grecka dziewczyna  
Westchnie gdy Hajdy imię wymawia,  
I wyspiarz w pieśniach swoich wspomina,  
W długie wieczory Lambra bezprawia.  
Hajda tak była w szczęściu daleka  
Że nie pragnęła aniołów doli;  
Umarła z żalu — to los człowieka:  
W miarę rokoszy serce go boli!



## O PODATKU GRUNTOWYM Z DÓBR ZIEMSKICH W KRÓLESTWIE POLSKIM

Jirzoz L.

---

Zaprowadzenie w Królestwie Polskim podatku gruntowego, jest owocem działań prawodawczych z roku 1789.

Zapadłe w dniu 6 kwietnia 1789 r. prawo postanowiło: *iz wszystkie dobra ziemskie dziedziczne, część dziesiątą stałych i pewnych intrat, jako ofiarę do skarbu corocznie opłacać mają.*

Ustanowić po raz pierwszy w kraju podatek gruntowy na czystym dochodzie z ziemi opierać się mający, było tyle ważnym ile trudnym do wykonania dziełem. Następne prawo z dnia 30 maja 1789 r. wskazało do tego dwojakie zasady:

Pierwsze przechodnie, bo stanowiące na raz jeden władze do wykonania tej czynności przeznaczone, i oznaczające dla nich i dla właścicieli dóbr ziemskich sposób postępowania.

Drugie stałe, jako zawierające ogólne przepisy do ustanowienia czystego dochodu z dóbr ziemskich.

Zasady przechodnie ograniczały się na tém, iż do sporządzenia lustracyi dochodów z dóbr ziemskich, wyznaczono oddzielne kommissye z właścicieli dóbr ziemskich złożone, a to po jednej dla każdego powiatu lub ziemi, podług ówczasowego podziału jeograficznego kraju.

Przedwstępniem działaniem delegowanych kommissyi było obwieszczenie terminów, w których właściciele dóbr ziemskich mieli obowiązek stawić się przed kommissją i wykazać ile dobra przynoszą czystego dochodu.

Kommissarze lustracyjni przez Rząd wyznaczeni, przed rozpoczęciem powierzonych im czynności, wykonywali przysięgę na rzetelność dopełnić się mianych działań.

Komplet kommissyi składał się z pięciu kommissarzy. Większość głosów stanowiła, a w razie równości zdań, głos Prezydującego rzecz rozstrzygał. Właściciele dóbr ziemskich, lub w ich niebytności rządcy tychże dóbr obowiązani byli składać kommissyi lustracyjnej inwentarze czyli wyciągi intrat. Na przypadek nieposiadania takowych, powinni byli składać rejestra wszelkich wysiewów lub zbiorów na folwarkach dworskich uskutecznianych, tudzież wykazać posiadaną pańszczyzną i wszelkie inne gotowe dochody, jakie w ostatnich trzech latach 178  $\frac{5}{6}$  pobrane były.

W razie udowodnionej niemożności złożenia trzechletnich rejestrów, takowe już tylko z dwóch ostatnich lat, licząc rok 1787 podane być mogły.

Nakoniec, ci właściciele, którzy w rok przed uchwaleniem prawem nabyli dobra, mieli obowiązek składać rejestra ekonomiczne tylko z czasu swego dziedzictwa.

Po uznaniu przez kommissją lustracyjną dokładności podanych inwentarzy lub rejestrów ekonomicznych, każdy właściciel lub possessor dóbr ziemskich albo stawający w ich nieobecności pełnomocnik, obowiązany był wykonać przysięgę na to:

»że intrata z dóbr rzetelnie podaną została.«

Niestawiający osobiście właściciel, tylko przez pełnomocnika działający, winien był zaprzysiąc:

»jako najrzetelniejsze podanie intraty komu należało polecić«

a rota téj przysięgi, składaną była na poparcie rzetelności, wykonanej przez pełnomocnika przysięgi.

Ten sam obowiązek spływał na właścicieli dóbr ziemskich, którzy w czasie uskutecznionej lustracyi znajdowali się za granicą.

Właściciele lub possessorowie dóbr, którzy w oznaczonym terminie zaniedbali stawić się przed kommissją lustracyjną i złożyć jej inwentarze intrat lub regestrów ekonomicznych, ściągali na siebie zesłanie komissyi z trzech osób złożonej, dla wyprowadzenia na gruncie intraty, którą właściciel podać i zaprzysiąc był obowiązany. Ci zaś, którzy wzbraniali się podać dobrowolnie ciągnionej z dóbr intraty, takiej ulegali karze, iż podwójny prowent z dóbr, przez lat cztery do skarbu wnosić musieli. A za niedopuszczenie zrobienia na gruncie lustracyi dochodów, postanowioną była kara utracenia dóbr i przedaży ich na korzyść rządu.

Zasady stałe. — Nie mała zachodziła trudność w trafnem ich obmyśleniu, przed półwiekiem bowiem (1789 r.) mniej były znane sposoby, jakie nauka finansowa podaje do dochodzenia rzeczywistój z dóbr intraty, która ma być zasadą podatku gruntowego (1).

(1) Sposoby te są.

1. Dobrowolne podania kontrybuentów.

2. Użycie kontraktów dzierżawnych.

3. Ocenienia z ilości wysiewów.

4. Sporządzenie kadastru.

Lecz przeciw każdemu z tych sposobów, jest do zarzucenia.

Rząd wybrał dobrowolne podania właścicieli dóbr ziemskich, a za rękojmieg prawdy nazaczył im wykonanie przysięgi.

Prawo z roku 1789 w tak trudnej części przedsiębranego dzieła, ograniczyło się tylko na wyrzeczeniu ogólnego prawidła:

»Iż oszacowanie intrat z dóbr ziemskich ma nastąpić w każdym powiecie, stosownie do zwyczaju województwa, ziemi lub powiatu, a to przy ścisłym zachowaniu różności cen ziemiopłodów i innych użytków intratę składających i ze względu na wzajemne stosunki powiatów, wynikające z nierównej dobroci gleby ziemi a ztąd odmiennej ich produkcji, i z tym podobnych miejscowych okoliczności, od dokładnego zgłębienia których, zależała trafność, w ustanowieniu zasad ekonomicznych dla każdego powiatu.«

Tak więc najważniejsza czynność ustanowienia czystej intraty z dóbr ziemskich w Królestwie Polskiem pozostawioną była przezorności obywateli powołanych

- Co do 1) Że dobrowolne podania kontrybuentów zwykle poczytane być mogą za mniej prawdziwe, gdyż interes osobisty sprzeczny jest w podatkowaniu z dobrem skarbu.
- Co do 2) Że dochodzenie rzeczywistej intraty według kontraktów jest niedostatecznym środkiem; nie wszystkie bowiem posiadłości gruntowe wydzierżawiane bywają, a dla uniknięcia podatku, kontrakty symulowane być mogą.
- Co do 3) Wysiewy rzadko kiedy dokładnie znane być mogą, i w tedy gdy są znane mylną zasadę podatków składają.
- Co do 4) Sporządzenie kadastru lubo jest najlepszym sposobem ocenienia wartości i przychodu z gruntu, jednakże w praktyce jest trudnym, kosztownym i po pewnym przeciągu czasu niedostatecznym środkiem osiągnięcia tego celu. (Rys ogólny nauki finansowej, przez Fryderyka hrabiego Skarbka. Dzieło wydane w Warszawie 1824).



przez Rząd na bezpłatnych kommissarzy, którzy mając sobie wyznaczone tylko trzy miesiące czasu (2) w tym małym przeciągu, tak wielkiego w dziejach administracyi kraju polskiego dokonali dzieła.

Jakoż każda kommissya lustracyjna ustanowiła dla swojego powiatu zasady ekonomiczne, które w końcu tego pisma, znajdują się wyłożone.

Z zbioru tych zasad, z oryginalnych ksiąg lustracyjnych z roku 1789 sporządzonego okazuje się:

Iż czysty dochód z gruntu w dobrach ziemskich w całym teraźniejszym Królestwie Polskiem jest obliczony: 1) Albo podług wysiewów. — 2) Albo podług zbiorów, lub. — 3) Z pańszczyzny.

Co do 1°. Kommissyje lustracyjne oznaczyły liczbę ziarn na czystą intratę liczyć się mających. — Oznaczenie to było: — największe; ziarn dwa, — średnie: ziarno  $1\frac{1}{2}$ , — najniższe: ziarno 1.

Użyto w roku 1789 téj zasady w najznaczniejszej części kraju, to jest w teraźniejszych guberniach: Kieleckiej (wyłącznie dawnych powiatów, Proszowskiego i Wiślickiego) Sandomierskiej, Płockiej, Mazowieckiej Podlaskiej i Agustowskiej, i w trzech dawnych powiatach: Piotrkowskim, Wieluńskim i Radomskim w Guberni Kaliskiej.

Ziarno na intratę było powszechnie brane z każdego rodzaju wysiewanego zboża, lecz i tę zasadę niektóre kommissyje lustracyjne na korzyść kentrybuentów

(2) Wyznaczeni Kommissarze rozpocząć mieli powierzoną im czynność w dniu 1 lipca 1789, roku, z obowiązkiem ukończenia takowej w dniu ostatnim września tegoż roku; co téż istotnie w całym kraju wykonaniem zostało.

użyły, ograniczywszy się na liczeniu intraty, albo z samej pszenicy i żyta z opuszczeniem innych rodzajów zboża (3), albo oznaczając większą ilość ziarn z oziminy a mniejszą z jarzyny (4).

Samo postępowanie w wyrachowaniu intraty z wysiewów było bardzo proste: właściciele podawali zaprzysiężone z trzech lat wysiewy. Z nich kommissya lustracyjna stanowila średni wysiew podzieleniem przez trzy ogólnej summy trzyletniego z każdego ziarna wysiewu. Z tego brano oznaczoną podług przyjętej zasady ilość ziarn na intratę, a wynikłą ztąd liczbę korcy każdego rodzaju zboża, zamieniano na wartość pieniężną, podług cen ziemiołdów dla powiatu oznaczonych. Otrzymany ztąd wypadek okazywał czystą intratę z gruntu, podatкови ofiary ulegającą.

Co się tyczy wydatków gruntowych, do potrącenia od intraty dozwolonych, takowe ustanowione zostały tak rozmaicie, że pod ogólne prawidło zebrać się nie dają. Wszakże ważny ten szczegół znajduje się wyjaśniony w zasadach lustracyjnych każdego z dawnych powiatów.

Co do 2°. Obliczenie intraty z gruntu podług zbiorów uskuteczniiono:

W małej części Gubernii Kieleckiej, bo tylko w dawnych powiatach: Proszowskim i Wiślickim.

(3) W Gubernii Płockiej, w dawnych Powiatach: Rypińskim, Lipińskim i Dobrzyńskim; w Gubernii Mazowieckiej, w dawnych Powiatach: Radziejowskim i Brzesko-Kujawskim.

(4) W Gubernii Mazowieckiej, w dawnych Powiatach: Mszczonowskim, Sochaczewskim, Czerskim, Beżkim, Inowłodzkim, Brzezińskim, Orłowskim, Łęczyckim, Gombińskim, Przedeckim i Kowalskim.

W Gubernii Podlaskiej, w dawnych ziemiach: Liwskiej, Drochickiej.

W znacznej części Gubernii Kaliskiej, bo z dziesięciu dawnych powiatów też Gubernią dziś składających, użyto tej zasady w siedmiu.

Powiaty te są: Kaliski, Ostrzeszowski, Sieradzki, Szadkowski, Koniński, Gnieźnieński, i Pызdrski. W innych zaś trzech, to jest: Piotrkowskim, Wieluńskim i Radomskim, liczone podług wysiewów, jak to wyżej w punkcie ad i jest już wyjaśnione. Lecz i w tym sposobie obrachowania intraty, dopuszczono korzystnych dla właścicieli dóbr wyłączeń, gdyż w Kaliskiem bez względu na wieloraki rodzaj wysiewanego zboża, ceniono na dochód zbiór tylko z pszenicy, żyta i jęczmienia, z pominięciem wszelkiego innego gatunku zboża wysiewanego.

Przeciwnie zaś w części Krakowskiego wyżej wyrażonej, zbiór wszelkiego ziarna był na intratę rachowany.

Właściciele podawali pod przysięgą trzyletni zbiór, z którego oznaczano średni, który stanowił ilość intraty; z tego jednak potrącano:

W Krakowskiem: wysiew, ordynaryą dla ludzi gruntowych, koszt na utrzymanie narzędzi rolniczych, dziesięciny duchowne i czynsze od summ wieczystych.

W Kaliskiem zaś potrącano tylko dziesięciny pieniężne i prowizye od summ wieczystych, z tej zapewne przyczyny że znaczna część zbieranego zboża nie wchodziła do intraty podatkowi ulegającej.

Co pozostawało po takich strąceniach było wyrazem czystego dochodu z gruntu.

Co do 3°. W całej terazniejszej Gubernii Lubelskiej, którą składają dawne ziemie: Lubelska, Łukowska, Chełmska i Bełzka, tudzież dawne powiaty: Urzę-

dowski i Krasnostawski wyprowadzono intratę z pańszczyzny. W tej części kraju są dwa sposoby prowadzenia gospodarstwa rolnego. W jednych dobrach właściciele zaopatrują włościan w bydło robocze, w innych zaś gospodarze o własnym sprzężaju powinności odbywają; z uwagą więc na to, kommisye lustracyjne postanowiły klasyfikacją dni roboczych, podzieliwszy takowe na ciągłe i piesze, z oznaczeniem wartości pieniężnej pańszczyzny, innej dla dóbr gdzie dwory zapomogę dają, a innej dla dóbr w których włościanie własnym sprzężajem grunta dworskie uprawiają. Rozmaite szczegóły tej klasyfikacji bliżej objaśniają zasady każdego z dawnych powiatów do Gubernii Lubelskiej należących.

Z kolei oznaczenie wysokości ceny na zboże nader było ważnem dla właścicieli dóbr ziemskich, od tego bowiem zależała większa lub mniejsza ilość rocznego dochodu, a ztąd uciążliwszy lub lżejszy do ponoszenia podatek gruntowy. Wszakże i w tej ważnej kategorii, kommisye lustracyjne mocne w doświadczenie i znajomość miejscowego na ziemiopłody odbytu, z wszelką postąpiły przezornością. Z porównania zaś wartości pieniężnej zboża przez rzeczone kommisye szczegółowo postanowionej okazuje się: że w całym kraju cena jednego korca była następująca:

Rodzaj Zboża	Cena Korca					
	najwyższa		średnia		najniższa	
	złote	złote	złote	złote	złote	złote
Pszenvca . . . . .	10	9	8 <sup>1</sup>	7	6	5
Żyto . . . . .	6	5	4	„	3 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	„
Jęczmiev . . . . .	5	„	4	3	2 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>	2
Proso . . . . .	0	8	7	6	4	3
Owies . . . . .	3	„	2 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	„	2	„

Inne zboża w tym samym umiarkowanym stosunku ocenione zostały.

Prócz dochodu z gruntów ornych, kommissye lustracyjne wyprowadzały takowy:

Z łąk, propinacyi, młynów, danin, osepów, rybołówstwa, czynszów, dziesięcin i prowizyi od summ wiezyszców zapisanych (5).

Przy każdym z tych źródeł, kommissye lustracyjne w miejsce stanowiących wydatków do potrącenia przypadających, oznaczały już ze względu na takowe:

jaka część z podanej intraty na czysty dochód zarachowaną być ma.

I tak, na przykład z podanej intraty z młyna, liczone tylko połowę na czysty dochód, przeznaczając drugą na koszt utrzymania i właściwe wydatki.

Wracając do tekstu prawa, znajdujemy w niem:

Że właścicielom dóbr ziemskich mającym obowiązek dawania duchownym dziesięcin i mesznego w naturze, lub gotowiznie, dozwolano potrącać z zaprzysiężonej intraty taką ilość jaką też ciężary wynosiły.

Że przy dobrach obciążonych summami duchownymi, lub innymi w każdym czasie podnieść się mogącymi, potrącenie prowizyi z intraty wzbronionem było.

Że podatek z prowizyi od summ duchownych przy dobrach temież summami obciążonych, był ustanowiony i przez właścicieli wprost do skarbu w zastępstwie duchownych opłacany, z wolnością wszakże po-

(5) Dwa ostatnie źródła dochodu, dotyczące się dóbr i intrat duchowieństwa.

trącania tegoż podatku z prowizyi od summ duchownych przypadającej. (6)

Że dla zapobieżenia, aby przy przejściu z rąk do rąk własności dóbr ziemskich nie nikła wiadomość o przypadającym od nich podatku gruntowym, każdy właściciel dobra swoje prawem spadku, kupna lub darowizny odstępujący, jest obowiązany wyrazić w układzie lub akcie donacyi, ilość podatku dobra ciążącego, a to pod nieważnością aktu lub donacyi. (7)

Że zastawnicy lub dożywotnicy dóbr ziemskich obowiązani są przez czas swojej possessyi ponosić podatek gruntowy, bez żadnego od właścicieli wynagrodzenia. Tam gdzie właściciel intratę jaką dla siebie wyłączył, do proporcjonalnej opłaty podatku od tejże intraty, pociągany być ma.

(6) Atoli sposób ten poboru od czasu zaprowadzenia w kraju Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego (1825 r.) takiej uległ zmianie, że po spłaceniu duchownym kapitałów, ustanowiony pierwotkowo przy gruncie podatek z prowizyi uchylonym, a na właściwo instytutu duchowne przeniesionym został.

(7) Wiadomość ta po zaprowadzeniu w administracyi skarbowej Królestwa systemu kassowego jest obecnie dla skarbu mniej potrzebną; bo istnieją po kassach obwodowych rejestra biercze okazujące ile każde dobra opłacać powinny podatku gruntowego. Atoli życzyliby należało, ażeby w tranzakcyach między prywatnemi o kupno lub odstąpienie dóbr zawieranych wyrażać ilość podatku gruntowego, jaki podług przepisów skarbowych przypada. Często bowiem zdarza się, iż przy podobnych prywatnych czynnościach właściciele dóbr bez udziału władzy skarbowej, dowolnie oznaczają ilość roczną tego podatku; co jednak dla skarbu nie jest obowiązującym, bo nie należność dowolnie oznaczona lecz tylko taka jaka z przepisów przypada, pobieraną być powinna. Każde więc podobne prywatne oznaczenie podatku ulega zmianie, jaka z wykonania przepisów wyniknąć musi. Ztąd zaś powstają nieraz spory, którychby przez zachowanie powyższego prawidła, łatwo uniknąć można.

Gdy zdarza się, że do miast należą oddzielne wsie i folwarki, a prócz tego mieszkańcy posiadając pewną przestrzeń gruntów, użytki z nich ciągną, aby więc podatek gruntowy zarówno wszystkie posiadłości gruntowe dotykał, postanowiono:

iż z wszystkich wsiów do miast należących, z wiółk i półwólczków przez mieszkańców posiadanych, podatek gruntowy na wzór dóbr ziemskich ustanowionym być ma.

W czasie trwania tych czynności, kommissye lustracyjne formowały powiatami księgi intrat z dóbr ziemskich, powszechnie znane dotąd w kraju pod tytułem: Lustracye z roku 1789.

Księgi te powinny były być składane w każdym grodzie. Służące zaś do ich ułożenia inwentarze i rejestra zwracano właścicielom do zachowania, z tém jednak zastrzeżeniem, że takowe w sprawach cywilnych za żaden dowód służyć nie mogą.

Pobór tak ustanowionego podatku gruntowego, zaczął być uskuteczniany od roku 1790; a to w dwóch ratach oznaczonych w miesiącu styczniu i czerwcu, każdego roku. Z tego zaś oznaczenia wynika:

- a) Że rzeczony podatek pobierany jest od kontrybuentów z góry.
- b) Że pierwsza rata jest co do czasu krótszą od drugiej, gdyż pierwsza obejmuje tylko pięć miesięcy wtedy kiedy druga z siedmiu miesięcy składa się.

Od opłaty podatku gruntowego wyłączone były:

- a) Dochody z lasów prywatnych.
- b) Części szlacheckie włościan nie mające, które w roku 1789 nie wysiewały więcej nad 10 korcy

zboża. Inne jednak dochody z tychże części jak na przykład z propinacyi, podatkowi ulegały.

c) Dochody z wszelkich fabryk leśnych, kopalni i z innych handlów i rękodzieł w dobrach ziemskich, wyjąwszy używaną do nich pańszczyznę, której wartość pieniężna do intraty zarachowaną i podatkiem dotkniętą być winna; co również rozciąga się i do dochodu z propinacyi.

Umieszczony niżej zbiór zasad ekonomicznych uzupełnia całość przepisów, jakie za dawnego Rządu Polskiego postanowione były.

Takie były początki ukształcenia dochodu skarbowego w Polsce; wszakże zaszele w roku 1795 zmiany polityczne wpływać zaczęły na nowo zaprowadzony systemat podatkowania. Teraźniejszy bowiem obręb geograficzny Królestwa Polskiego przypadłszy pod panowanie rządów królewsko-pruskiego i cesarsko-austriackiego, już odtąd ulegał odmiennym ustawom skarbowym, szczególnież też rząd pruski w odstąpionéj mu części kraju (8) nowe zaprowadzał urządzenia.

Zwróciły mianowicie jego uwagę zasady podatku gruntowego. Chciał je mieć ściślejszemi i tym środkiem powiększyć pobierany z tego źródła dochód. Jakoż przedsięwziął był oszacowanie dochodów z dóbr ziemskich za pomocą klasyfikacyi i rozmiaru jeometrycznego gruntów; lecz wkrótce nietylko napotykané w wykonaniu tego dzieła trudności, lecz inny przeważny wzgląd nieprzeciążania przemysłu rolniczego ciężkim

(8) Teraźniejsze gubernie Kaliska, Płocka, Augustowska, Mazowiecka, (oprócz Powiatu Stanisławowskiego) okręgi: Lelowski i Piłicki w Gubernii Kieleckiej.



podatkiem, odwoiły rząd pruski od tego zamiaru. W wydaném w tym przedmiocie *Publicandum* z dnia 24 kwietnia 1795 r. czytamy:

»Lubo podatki przez ścisłą klasyfikacją, osobliwie z gruntów szlacheckich, daleko więkšie byłyby wynalezione, wszelako Jego Królewska Mość chcąc szlachtę Pruss południowych (9) do lepszej uprawy gruntów swoich i do łagodniejszego i przyzwoitszego ustanowienia pańszczyzny osiadłych w dobrach rolników zachęcić, jedynie zamiast 10 od sta na przyszłość od raty czerwcowej 1795 roku 24 od sta od szlachty wybierać ustanawia; przeciwnie zaś podatkowanie szelężnego w zupełności znosi.«

Z mocy więc téj ustawy właściciele dóbr ziemskich już nie 10 grosz, lecz 24 od sta od intraty lustracyjnej z r. 1789 do skarbu wnosić obowiązani byli, a zaś księgi intrat z dóbr ziemskich z tegoż roku nie przestały być podstawą podatku gruntowego.

Obok tak znacznej zmiany, rząd pruski po wcieleniu powiatów Pileckiego i Lelowskiego do Szląska, uchylił pobór podatku ofiary, a w jego miejsce zaprowadził w tychże powiatach ustanowioną w prowincjach szląskich opłatę kontrybucyi stałej, którą właściciele dóbr ziemskich w stosunku  $28 \frac{1}{2}$  od sta z intraty podług przepisów klasyfikacyi pruskiej wyprowadzonej, przez czas panowania rządu pruskiego z niejakiem przeciążeniem ponosili.

(9) Tak były nazwane teraźniejsze gubernie Kaliska i Mazowiecka; gubernie zaś Płocka i Augustowska nosiły nazwę „Nowych Wschodnich Pruss.“

W części zaś kraju polskiego rządowi cesarsko-austryjackiemu przypadłej (10) tenże rząd utrzymał pobór podatku gruntowego w pierwotnym jego stanie.

Wszakże w prowincyi polskiej Galicyą Wschodnią zwaną (11) jako jeszcze w roku 1773 przez Austryą zajętą istniał inny co do zasad podatek gruntowy Fassyą Dominikalną zwany, którego stopa oznaczoną była na 12 od sta od podanej intraty z dóbr ziemskich.

Wypadki polityczne utworzyły Księstwo Warszawskie. Rząd tegoż księstwa w chwiejących się swoich zasadach, w pośród odmętu i zawichrzeń wojennych, chwycił się w roku 1809 systemu rządu pruskiego, a między innymi:

Nietylko że utrzymał pobór podatku gruntowego po 24 od sta, w prowincyach przez rząd pruski odstąpionych, ale nadto tak podwyższony podatek gruntowy zaprowadził w roku 1810 do części kraju które Austrya posiadała.

Skutkiem takiego zrównania wszystkich stron do jednostajnego ponoszenia podatku gruntowego, Rząd Księstwa Warszawskiego następujące wydał zarządzenia:

1. Zniósł pobieraną w powiatach Pileckim i Lelowskim *kontrybucyą stałą*, a w jej miejsce przywrócił powszechny podatek gruntowy 24 od sta intraty z r. 1789.

2. Uchylił również pobór Fassyi Dominikalnej w Gallicyi Wschodniej, zaprowadziwszy w jej miejsce powszechny pobór podatku gruntowego, podług takiej zasady: że ilość Fassyi Dominikalnej uważana za podatek ofiary dziesiątego grosza, podniesioną została do 24

(10) Teraźniejsze gubernie Kielecka (prócz okręgów Pileckiego i Lelowskiego) Sandomierska, Lubelska, Podlaska i Powiat Stanisławowski w guberni Mazowieckiej.

(11) Teraźniejsze obwody Zamojski i Hrubieszowski.

od sta, czyli do takiej stopy w jakiej dobra ziemskie podatki ten opłacać są obowiązane.

Nie ograniczył się zaiste na tych urządzeniach, bo ubóstwo skarbu Księstwa Warszawskiego zniewoliło do obciążania tych nawet źródeł, które wówczas ze względu na zniszczenie klęskami wojny już i tak zubożałego kraju przynajmniej w tej krytycznej epoce i tak oszczędzane być były powinny. Właściciele dóbr ziemskich już w końcu roku 1806 zaczęli ponosić wszelkiego rodzaju ciężary wojenne, a mianowicie dostawy żywności w naturze, które kilkoletni dochód z dóbr z góry wyczerpywały.

Taki stan rzeczy nie zdołał jednak wstrzymać władzy prawodawczej od szukania zasiłku dla skarbu w tych właśnie źródłach, które jednocześnie zupełnego doznały zniszczenia. Dochody rolnicze stały się bowiem przedmiotem nowego podatku.

Jakoż prawo z dnia 24 marca 1809 roku pociągnęło do ponoszenia podatku gruntowego nowe użytki właścicielom dóbr ziemskich po roku 1789 do końca roku 1806 przybyłe, ograniczywszy je do czterech źródeł; to jest dochody ciągnięte:

1. Z wsiów i folwarków złożonych z takich części szlacheckich, które nie wysiewając w roku 1789, dziesięciu korcy zboża od podatku wyłączone były.
2. Z samych części szlacheckich, również z przyczyny niewysiewania w roku 1789, dziesięciu korcy podatkiem niedotkniętych.
3. Z karczem, młynów wodnych, wiatraków i tartaków.

4. Z wystawionych na rolach przed rokiem 1789 nieornych, miast, wsiów, folwarków, kolonii, i innych podobnych osad.

Do oszacowania dochodu z tych czterech źródeł, te same wskazano zasady, jakie z mocy prawa r. 1789, przez kommissye lustracyjne postanowione były. Uskutecznienie samego dzieła, wynalezienie nowych użytków i obliczenie z nich dochodu poruczone było w prowincjach po - pruskich radom powiatowym za rządu Księstwa Warszawskiego istniejącym, które po większej części czynność tę w właściwym czasie wykonały; w prowincjach zaś po - austryackich rzecz się przeciągnęła aż do roku 1819, w którym Rząd Królestwa Polskiego wyznaczył do tego oddzielnych kommissarzy. Dobrowolne deklaracje właścicieli dóbr ziemskich o nowo przybyłych użytkach były podstawą samego podatku. Ich zaś sprawdzenie do rad powiatowych i delegowanych kommissarzy należało.

Do podawania tych deklaracji przepisany był wzór na cztery oddziały podzielony.

Dział 1) Tyczy się folwarków złożonych z części szlacheckich, które w r. 1789 nie wysiewając korcy 10 zboża do podatku pociągnięte nie były, i odpowiednio do swego przedmiotu zawiera niżej wyszczególnione punkta, na które właściciel nowe objekta deklarujący zeznania poczynić był obowiązany. Punkta te są następujące:

Wyjaśnienie prawa za jakim dobra są posiadane.

Które części w r. 1789 do podatku ofiary nie klasyfikowane w jedną possessyą złączone zostały?

Ile jest takich części? z wyrażeniem przy każdej nazwiska ostatniego ich właściciela.

Ile korcy miary warszawskiej wysiewa się zboża na tych częściach w jedną possessyą złączonych; jakoto: a) pszenicy, b) żyta, c) jęczmienia, d) owsa, e) tataraki i grochu?

Wiele zbiera się siana: a) fur parokonnych, b) fur jednokonnych?

Jakie są daniny w kapłonach, kurach i gęsiach pobierane?

Wiele na częściach w r. 1789 do podatku ofiary nie klasyfikowanych, a później w jedną posiadłość złączonych, jest osadzonych włościan?

Do jakich powinności ciż włościanie są obowiązani, to jest:

- a) Ile dni odrabiają pańszczyzny pieszej i sprzężajnej?
- b) Jakie daniny w naturze dworowi oddają?
- c) Czyli jakie czynsze pieniężne płacą?

Jaka jest intrata z propinacyi, młynów i tartaków i czy nie znajdują się czynszownicy?

Dział 2) Tyczy się przybyłych karczem, młynów wodnych, wiatraków i tartaków; obejmuje zaś następujące badania:

- a) Czy przyhyła po r. 1789 karczma?
- b) Czy właściciel onej na siebie trzyma propinacyą i szynkarza, lub czy takową wypuścił w dzierżawę?
- c) Wiele dzierżawca lub arendarz płaci rocznej dzierżawy?
- d) Ile przez rok wyszynkowanem być może w téj karczmie aa) beczek piwa, bb) garncy wódki?
- c) Czy przybył po roku 1789 młyn wodny, wiatrak lub tartak?

Dział 3) Obejmuje miasta, wsie, folwarki, kolonie i t. d. nowo wystawione; zawiera następujące pytania:

- a) Jaka jest po roku 1789 erygowana posada? z wymienieniem jój nazwiska.
- b) Ile ma wysiewu rocznego na miarę warszawską: pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa, grochu, tartarki?
- c) Wiele zbiera się siana respective fur parokonnych i jedno-konnych?
- d) Jakie są dochody z danin w naturze? jakoto: z osepów, kapłonów, kur, gęsi, miodu, i t. d.
- e) Jakie są dochody z czynszów pieniężnych?
- f) Czyli po roku 1789 podniósł się wysiew zboża bądź przez karczowanie, lub obrócenie łąk na pola siewne?
- g) Czyli i ile powiększył się zbiór siana przez wycięcie lasu na łąki?

Te są zasady jakie prawo z roku 1789 tudzież zapadłe w rozwinięciu jego dekreta (12) do wynalezienia nowych użytków i ustanowienia z nich intraty wskazały.

Podatek od nowych obiektów był początkowo oddzielnie pobieranym, wszakże od r. 1834 połączonym został z podatkiem gruntowym i łącznie z nim do kass powiatowych w ratach wyżej oznaczonych wnoszonym być winien.

Utrzymanie tego stanu rzeczy i dotychczasowy pobór podatku gruntowego opiera się na art. 15 statutu organicznego z r. 1832, który wyrzekł: iż wszelkie podatki i inne pobory które istniały w Królestwie Polskiem od miesiąca listopada 1830 roku będą pobierane i na przyszłość trybem dawniejszym dopóty, dopóki rodzaj i ilość tych podatków i poborów nie zostaną przejrane

(12) Dekreta królewskie z dnia 25 marca 1809 r. i z dnia 15 marca 1811.

i ustanowione w inny sposób, końcem porównania i ulżenia ile można będzie, tych ogólnych na potrzeby kraju powinności.

Czerpany z tego źródła dochód przynosi skarbowi rocznie złp. 4,840,000, a ta summa jest pobieraną z 11,473 nomenklatur dóbr ziemskich.

Rozbiór powyższego wywodu następcza następujące uwagi:

1. Że do wyprowadzenia czystej intraty z dóbr ziemskich użyto w terażniejszym obrębie Królestwa Polskiego ośmdziesięciu trzech różnych między sobą zasad ekonomicznych.

2. Że zasady te pod względem ilości ziarn na intratę oznaczonych i oszacowania wartości pańszczyzny, tudzież postanowionej ceny ziemio-płodów do ich obliczenia na wartość pieniężną, za mniej uciążliwe a nawet za przezornie umiarkowane sżusnie poczytane być winny.

3. Że Rząd królestwa pobierając podatek gruntowy z intraty od lat 50, podług nader umiarkowanych już wówczas zasad ustanowionej (13), czyni wolne od podatku wszelkie przybytki w dochodach gruntowych, jakie skutkiem poczynionych od pół wieku melioracyi przez właścicieli ziemskich osiągnięte zostały.

4. Że stopa podatku gruntowego po 24 od sta z czystej intraty oznaczona, jest dla kontrybuentów tylko nominalną; gdyż realna stopa tego podatku w stosunku terażniejszej intraty, melioracyami lat 50 znacznie zwiększonej, nie może być w ogólności jak daleko niższą.

(13) Usprawiedliwia to twierdzenie dołączony obraz zasad w każdym oddzielnie powiecie lub ziemi w r. 1789 do oszacowania intraty postanowionych.

5. Że podatek gruntowy przestał być istotnym ciężarem dla tych wszystkich właścicieli, którzy w ciągu ostatnich lat 50 dobra nabyli, gdyż wartość w kapitale tego podatku, zostawszy w summie szacunkowej potrąconą, zostawiła w ręku nabywców potrzebny fundusz na opłacanie tego ciężaru.

6. Że podatek gruntowy na takich oparty zasadach, odpowiada tym wszystkim względom na jakie zasługuje kraj z dotychczasowego swego przemysłu, wyłączenie rolniczy.

---

Widzimy tedy, że podług systemu co do podatku gruntowego przyjętego, skarb królestwa trzymając się oszacowania z r. 1789, pobiera tenże podatek, nie wchodząc w żadne przybytki ani ubytki, jakie w dochodzie w ciągu pół wieku zająć musiały. Wszakże z drugiej strony postęp czasu zmienił stan dóbr, jaki w r. 1789 istniał. Ówczesne bowiem zakresy graniczne majątków ziemskich przez uskuteczniane w ciągu upływnego pół wieku działy familijne, odprzedaże i zmiany zupełnie przetworzone zostały. Ztąd powstała w kraju pewna liczba rozdrobnionych własności stanowiących obecnie nowe nomenklatury składające się z takich realności, które będąc w roku 1789 przyległościami głównych dóbr, już tém samém nie były oddzielnie wykazane z dochodem jaki wówczas przynosiły. Atoli odłączenie takowe od głównych majątności, od których ogół podatku gruntowego był pierwotnie ustanowiony, pociąga także potrzebę odłączenia i téj części podatku jaka z ogółu należności na rzeczzone realności przypada. Do uskutecznienia podobnego rozdziału czyli segregacji podatku służą następujące przepisy.



Tam gdzie lustracya z r. 1789, tabella intrat, lub registra ekonomiczne z tegoż roku wykazują poszczególne ilości czystego dochodu z realności, pod względem podatku rozdzielić się mających, rozdział takowy jest łatwy do uskutecznienia, gdyż wypada tylko przekonać się:

1. Czy stan dóbr od roku 1789 nie został pogorszony? tudzież:

2. Czy granice tychże dóbr są obecnie też same jakie w r. 1789 istniały? a to wszystko z tej głównej przyczyny, że cała zasada podatku gruntowego spoczywa na oszacowaniu intrat i na stanie dóbr z r. 1789.

Wykrycie tych dwóch okoliczności uskutecznia się zwykle za pośrednictwem miejscowego śledztwa; a jeżeli stan dóbr i granice nie uległy zmianie, w tym razie władza skarbową rozdział podatku zarządza.

Mogłaby jednak odmówić takowy:

a) Gdyby skutkiem zupełnie zaniedbanego gospodarstwa dobra takiemu uległy zniszczeniu, iżby obecnie daleko niższy jak w roku 1789 przynosiły dochód,

lub

b) Gdyby odłączyć się mająca realność nie przynosiła bezpośredniego dochodu gruntowego, jak na przykład: propinacya; gdyż w tym razie podatek nie miałby ewikcyi gruntowej, co by zniewalało władzę skarbową trzymania się ogółu dóbr do których podatek jest przywiązany.

Drugi najczęściej zdarzający się przypadek jest ten: gdzie lustracya z r. 1789 będąc ogólnej osnowy, nie wykazuje dochodu z tych części dóbr czyli realności, które z podatkiem odłączone być mają.

Wtém zdarzeniu potrzeba sporządzić:

wywód terażniejszej intraty z każdych oddzielnic dóbr w roku 1789 jedną całość składających, a teraz odrębne stanowiących własności, między którymi rozdział podatku ma być zrobiony.

Đzieło téj nowéj lustracyi dochodów winno być uskutecznione podług następujących przepisów:

1. Intrata czysta wyprowadzoną być ma podług zasad lustracyjnych z r. 1789, tego dawnego powiatu w którym wówczas leżały dobra, pod względem podatku rozdzielić się mające.

2. Nowa lustracya intrat do tych tylko ma się ściągać dóbr, z których dochód był w r. 1789 wyprowadzony; a ztąd, że te tylko źródła dochodu podane być mogą, które w r. 1789 podatkiem dotknięte były, inne zaś tylko dla wiadomości odrębnie wykazane być winny.

3. Lustracya takowa zdziałaną być ma na zasadzie regestrów, inwentarzy i kontraktów z jednoczesnej epoki pochodzących; gdyby zaś dowody takowe dostarczone być nie mogły, w tym razie zarządzić należy miejscowe śledztwo z biegłych i ludzi wiarogodnych i w téj drodze wykryć szczegóły intraty, a na zapewnienie ich rzetelności powołać świadków i biegłych do stwierdzenia przysięgą poczynionych zeznań.

4. Co do dochodu z propinacyi: jeżeli takowy w roku 1789 łącznie z wszystkich realności jedno w ówczas stanowiących dziedzictwo podanym został, w tym razie ogólny dochód rozdzielonym być winien na każdą realność; bądź na podstawie kontraktów lub regestrów, bądź na zasadzie śledztwa z dzierżawców propinacyi

co do rodzaju i ilości wyszynkowanych corocznie trunków odbyć się winnego.

5. Co do dochodu z młynów: jeżeli ten jest rocznie ryczałtowo z kilku młynów wykazany, natenczas po poprzędniem przekonaniu się, czy każdy z nich w roku 1789 exystował, przez zażądanie kontraktów lub gdyby tych nie było, przez wybadanie pod przysięgą młynarzy, o ilości intryty z każdego młyna pobieranej — dochód po szczególe wykazać należy.

6. Wydatki gospodarcze w tej ilości od dochodu potrąconę, być winny, w jakiej teraz są uskuteczniane; lecz tylko na te przedmioty, na które w r. 1789 podług zasad właściwego dawnego powiatu potrącane były; a jeżeli między temi mieści się i dziesięcina, wówczas dochodzić potrzeba z których folwarków takowa pochodzi: a to w celu iżby potrącenie tego ciężaru stosunkowo dopełnione zostało.

7. Wyprowadziwszy podług wyżej wskazanych zasad terażniejszy roczny dochód z każdego oddzielnie dóbr pod względem podatku gruntowego rozłożyć się mających, wykrywa się ile z niego na każdą przypadnie realność, za pomocą następującej proporcji:

Pierwszy wyraz — Summa terażniejszej nowo wprowadzonej z całych dóbr intryty.

Drugi wyraz — Summa podatku gruntowego dotąd łącznie z całych dóbr opłacanego.

Trzeci wyraz — Ilość terażniejszej nowo wprowadzonej intryty z każdej po szczególe realności.

Wypadek czwartego wyrazu okaże: ilość podatku gruntowego, jaka na każde odrębne dobra do poboru przypadać będzie.

Po ukończeniu dzieła nowój lustracyi, strony interesowane powoływane są do składania protokularnej deklaracyi:

Czy na przygotowaném rozrachowaniu poprzestają? lub coby przeciw niemu miały do zarzucenia?

Wszakże opieranie się jednej z stron przeciw dopuszczeniu segregacyi, nie może tamować jej wykonania, jeżeli z przepisów żadna nie zachodzi przeszkoda.

Zdarza się niekiedy, że właściciele dóbr zawierają między sobą układy oznaczające dowolnie ilość podatku, jaką każda strona na siebie przyjęła. Te jednak w niczem władzy skarbowej nie obowiązują i pod względem poboru za żadne uważane być muszą; gdyż taki tylko podatek do registrów bierczych wprowadzonym być może, jaki z zasad przypada.

Rozrachowanie podatku gruntowego łącznie dawniej z kilku realności opłacanego, ułatwia właścicielom dóbr ziemskich wolność bezpośredniego wnoszenia tegoż podatku do kass powiatowych; służy także za podstawę do uzyskania na dobra pożyczki z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, jak niemniej do rozdzielania już pozyskanych pożyczek, jeżeli dobra na których takowe są ubezpieczone, przeszły na kilka odrębnych własności.



## ODPOWIEDŹ

NA ARTYKUŁ UMIESZCZONY W 4<sup>ty</sup>m Nrze PRZEGLĄDU  
NAUKOWEGO POD TYTUŁEM:

„Dostówny przedruk z autografu, podpisanego przez  
W. Lindego o jego Słowniku.“ (\*)

napisana przez

*Jana Papłońskiego.*

Obowiązkiem jest człowieka uznawać zasługę. W miarę jak przysłużył się narodowi, nabiera prawa do jego czci i wdzięczności, staje się ich tém godniejszym, im dłużej krajowi służył bez skazy. I w kimże podobnych uczuć nie wzbudzi widok starca osiwiatego w pracy, który i wiek młodzieńczy i wiek dojrzały i spokojną starość złożył w ofierze miłości ku oświeceniu? Taki mąż może znaleźć nagrodę tylko w sobie samym: bo czuje, że godnie wypełnił swoje posłannictwo, a taką nagrodę ma — Linde. Pięćdziesiąt lat pracował on dla nauki i dla narodu swego! a razem Polakom i sobie wieczysty wzniosł pomnik — Słownik Języka Polskiego. Przeszłe pokolenie umiało cenić tę pracę: bo żyli ci, którzy widzieli jój początek, jój wzrost i ukończenie. Linde zaczął ją w Lipsku pod okiem

(\*) Ażeby zapobiedz dwuznaczności w tém nazwaniu artykuła, czujemy obowiązek objaśnienia, że nim umieszczony został w Przeglądzie, Cenzura baczna, by nikomu nie była wyrządzoną krzywda osobista, nie inaczej zezwoliła na jego ogłoszenie, jak otrzymawszy na to zgodę samego p. Lindego. (przy. Aut.)

Potockich, Kołłątaja i innych znakomitych mężów, dziesięć lat zajmował się nią w Wiedniu w domu Józ. Max. hrabi Ossolińskiego, a ukończył w Warszawie, gdzie całe dzieło w rękopiśmie mieli u siebie: książę Czartoryski generał, professor Bentkowski, i inni. Dziś na tego męża, na cześć którego wdzięczni i światli ziomkowie dwa razy wybijali medale, którego nagradzali monarchowie, dzisiaj na niego rzucono potwarz! Zjawily się pokątne obmowy zaraz po wyjściu na świat całego dzieła, lecz nie śmiały pokazać się publicznie, bo żyli świadkowie całej pracy. A teraz kiedy jedni już nie żyją, a inni zesli ze sceny, też obmowy zaczęły się szerzyć i działać coraz jawniej; a mistrz odpowiedział na nie najdzielniej i najwymowniej — bo wzgardą i milczeniem. Lecz oto pismo naukowe słysząc obmowy, a dbałe o sławę rodaka, położyło na jednej szali potwarz, a na drugiej pięćdziesięcio-letnią nieskalaną zasługę męża, i w obawie aby tamta nieprzemogła, publicznie i uroczyście wyzywa mistrza do obrony. Również publicznie i również uroczyście za mistrza — Jego uczeń — ja odpowiem. Tak jest, położcie punkta obwiniające, a na każdy z nich dam wam odpowiedź. A chociaż obwinienie wasze podajecie nie oparte na żadnej zasadzie, żądacie jednak dowodów, że *praca Lindego jest jego własną*. Jednego tylko dowodu będzie tu dosyć, a tym jednym jest całe jego życie.

Urodzony w r. 1771 w Toruniu nad Wisłą w 18<sup>m</sup> roku życia Linde udał się do Uniwersytetu Lipskiego, gdzie się oddał nauce filozofii i teologii. Tam słuchał wykładu znamienitych owego czasu professorów. Platera, Cezara, Becka, Ernesti, Reiza, Morusa i innych.

Po ukończeniu kursu w uniwersytecie zajął się językami wschodnimi, lecz niespodziewane okoliczności odwiodły go w inną stronę. W tym czasie umarł Lektor języka polskiego w uniwersytecie Lipskim; professor Ernesti, sławny wydawca Liwiusza, Tacyta i innych klasyków, napisał do Drezna, prosząc aby katedra języka polskiego i jego literatury poruczoną była Lindemu. Dowiedziawszy się o tém młody uczoney wymawiał się od przyjęcia na siebie tego obowiązku, nie czując dosyć zdolności do płynnego tłumaczenia się po polsku. Dobry Ernesti ośmielił go przytaczając:

*Ein Knabe sehr viel lernen muss,  
Eh'aus ihm wird ein Dominus.*

Zatwierdzony w stopniu Lektora publicznego, Linde gorliwie się oddał swemu nowemu przeznaczeniu, nie przewidując, że mało warta polska grammatyka Monety i słownik Trotza, nad którymi nieznużenie pracował, będą pierwszemi szczeblami do jego nieśmiertelności. Czyby doszedł do takiej wziętości i czyby przyniósł taką korzyść, gdyby się był dalej zajmował wschodnimi językami — niewiadomo. Lecz sądząc z jego przywiązania do nauk, z zamiłowania pracy, która i teraz w późnej starości służy mu za najprzyjemniejszy środek przepędzenia czasu, można twierdzić, że zawsze i wszędzie byłby on ten sam znakomity i pracowity Linde, i że w każdym zawodzie z swym stałym charakterem i wolą niezmienną zyskałby sławę, jaką dzisiaj się cieszy.

Po otrzymaniu katedry, zdał examen na stopień Magistra, i napisał rozprawę pod tytułem: *De solatiis adversus mortis horrores in Platone et Novo Testamento obviis*, którą gdy obronił publicznie, za-

szczycony został stopniem Doktora Filozofii, a mając prawo wykładania i innych przedmiotów, objaśniał *Quaestiones Tuscullanas*, stale przytém doskonalać się w języku polskim. W krótcie tyle postąpił w swych usiłowaniuach, że przetłumaczył na język niemiecki: *Opisanie Tureckiego Państwa* Mikoszy i *Powrót Pości*. Wówczas to poznał się z autorem tego ostatniego dzieła, z którym go potém najściślejsza przyjaźń łączyła. Było to w roku 1792, kiedy w Lipsku mieszkali najznakomitsi Polacy, z którymi Lindego zaznajomił Niemcewicz. Marszałek Ignacy Potocki, znamienity mówca Stanisław Potocki, podkanclerzy Kołłątaj, Sobolewski, oto są imiona znakomych mężów, którzy znali Lindego, patrzyli na jego pracę, którzy mu potém dopomagali, których świadectwo jest najdzielniejszą odpowiedzią na czynione mu dzisiaj zarzuty. Już wówczas w Lipsku mieszkający, pierwszą myśl powziął ułożenia Słownika Polskiego, którego ostatnia część wyszła we 20 lat później w Warszawie.

Pod okiem tych znakomych mecenasów rozpoczęła się jego praca olbrzymia, oni byli jej świadkami, a w aktach należących do emerytury Lindego zachowane jest stwierdzone własnoręcznemi ich podpisami następujące świadectwo:

»Niżej podpisani poświadczamy terażniejszemu Radcy z Kommissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Prezesowi Jeneralnego Konsystorza Ewangelickiego, Dyrektorowi Biblioteki Publicznej, Rektorowi Liceum, jako ten w roku jeszcze 1793 zaczął pracę koło Słownika Języka Polskiego, który następnie od roku 1807, do roku 1814 przez niego w druku wydanym został. Dan w Warszawie dnia 19 gru-



dnia 1829 r.« Podpisali: Niemcewicz, Walenty Sobolewski, (później prezydujący w Radzie Administracyjnej Królestwa, po śmierci Zajączka), Ks. Kajetan Kamiński Exprowincyał S. P. Jakiegoż innego jeszcze trzeba do wodu? Jeśli tym mężom odmówimy wiary, to któż na nią zasłużyć może?

W ówczas (to jest w r. 1793) przetłumaczył on na język niemiecki Historyą ostatnich urzędzeń polskich, napisaną przez żyjących wtedy w Lipsku Polaków i wydał swe tłumaczenie jednocześnie z oryginałem.

W najburzliwszym czasie, kiedy nikt nie był pewny dnia jutrzejszego, kiedy do koła wrzała najokropniejsza wojna narodowa, Linde uskutecznił pracę, wymagającą dwudziestu lat nieprzerwanéj usilności! Potrzeba było mocną położyć ufność w Opatrzności, stać się miłośnikiem trudu i w niezachwianą cierpliwość się uzbroić. Podczas wypadków w roku 1794 Linde nie znajdując potrzebnej dla swéj pracy spokojności w Warszawie, przeniósł się do Wiednia, gdzie hrabia Józef Ossoliński oddany jedynie nauce, przyjął go do siebie na mieszkanie. Biblioteka hrabiego jakkolwiek nieliczna, dostarczała Lindemu materyałów do jego słownika. Od roku 1801 kiedy ogłosił swój plan w gazetach Literackich, coraz więcej mu źródeł przybywało. Przez lat siedm podróżował po różnych krajach Polski, zbierając rzadkie książki i rękopisma, i zawsze wracał z bogatą zdobyczą tak, że dzisiaj ta Biblioteka (Publiczna we Lwowie) liczy się do najznakomitszych księgozbiorów w Europie. W niej to obaj uczeni przesiadywali, każdy nad swoim dziełem pracując. Ciągnęło się to przez lat dziesięć i praca Lindego była już bliską ukończenia. Dokonałą ona została pod okiem hrabiego Osso-

lińskiego. W przedmowie do drugiego tomu swojego dzieła: *Wiadomości historyczno-krytyczne do dziejów literatury polskiej*, poświęcając tę część Lindemu, tak do niego mowę obraca: »Z tych samych dzieł zbierałeś skarby języka naszego, które w celu politycznej i literackiej historii przebiegałem. Przykład nieporównanej twojej pracowitości pobudzał i zagrzewał moją usilność, nieraz podawałeś mi myśli; nie żałowałeś i osobistych trudów dla zgromadzenia ksiąg obudwom nam przydatnych. Zapusciliśmy się razem w niezmierną, nieutorowaną, tysiącami przeszkód zatrudnioną przestrzeń. Tyś swoją z chwałą odbył. Wykonałeś przedsięwzięcie wdzięcznością współziomków uwieńczone, z którego już obfitą korzyść nauki krajowe odnoszą« I w końcu dodaje: »Najmiliej upłynęły mi te lata, w zaufałem z Tobą obcowaniu przepędzone. Łączył nas smak jeden: udzielaliśmy sobie wzajemnych spostrzeżeń, ulżywaliliśmy jeden drugiego pracy. Nie odmieniłeś dla mnie życzliwości; nawzajem serce moje jest dla ciebie nieodmienne. Miło mi podsycać się twojém oświeceniem, cieszę się, pysznię się z twojej sławy. Dzieli nas odległość — Już od niewidzenia się z tobą, czas okrył głowę moją siwizną. Dochowam ci do mego zgonu szacunku i przychylności, których pragnę, żebyś z tych moich wyrazów brał miarę.« Nie jest że to świadectwo znakomitego mecenasa nauk dostatecznym dowodem, że Linde w przeciągu tych lat dziesięciu niezmordowanie pracował nad słownikiem? W tym celu czytał on polskie księgi, robił z nich wyciągi, wszystkie przyprowadzał do porządku abecedowego, i potem dobiierał znaczenia wyrazów, różne ich odcienia, przechodząc od znaczeń właściwych do przenośnych tak, że niektóre wyrazy ma-

ją po kilkadziesiąt przykładów, a szczególnie takie, które w różnych epokach przybierały i znaczenia różne. Ztąd w jego słowniku każdy wyraz ma swoją historią, do każdego znaczenia dodane przykłady i wymienieni autorowie z których były czerpane. A chociaż pracował w zaciszu biblioteki, nie był jednak nieznanym światu; już w ówczas mówiono o nim głośno i wkrótce był zmuszonym zamienić swe życie prywatne na publiczne naukowe. Rząd Pruski otrzymując zewsząd najchlubniejsze o nim zdania, porucił mu urządzenie i zarząd Liceum, jakie miano założyć w Warszawie.

Ciężko było Lindemu rozstać się ze swemi wiedeńskimi przyjaciółmi; długo się wahał, ale nakoniec usłuchał rady najszczęśliwszego swego przyjaciela Ossolińskiego i ku końcowi 1803 roku przybył do Warszawy, gdzie natychmiast zajął się urządzeniem nowego zakładu. Tu pomimo że był obarczony różnorodnemi pracami, wszystkie wolne chwile poświęcał słownikowi i w roku 1804 druk jego rozpoczął. Rok ten pod względem materyjalnym bardzo mu sprzyjał; w nim bowiem otrzymał wsparcie pieniężne od Cesarza Alexandra. Król Pruski polecił aby wszystkie zakłady naukowe i sądowe, które tylko mogą odnieść jaki pożytek ze słownika, zaprenumerowały to dzieło. Cesarz Austriacki uczynił toż samo dla niektórych zakładów w Austrii. Prócz tego wsparli go datkiem pieniężnym hrabia Ossoliński, Stanisław Zamojski, hrabina z Bielskich Worcell, biskup Kossakowski, a nadewszystko Xże Adam Czartoryski jenerał, który poniósł czwartą część wszystkich kosztów. Linde rozpoczął druk u Pijarów, lecz wkrótce, z przyczyny wielu niedogodności, założył drukarnią

u siebie, robiąc ofiarę ze swych wygod, aby tylko z niecierpliwością oczekiwany Słownik mógł prędzej wyjść na świat. Pierwsza jego część wydrukowana w r. 1807, druga w —8, trzecia w —9; i w trzeciej Linde już podpisany jako członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, Towarzystwa Czeskiego w Pradze, Towarzystwa Getyngskiego i Akademii Wileńskiej. Linde ofiarował trzy części swojego słownika Królowi Saskiemu w ówczas Xiążęciu Warszawskiemu, za co otrzymał od niego wielki złoty medal z napisem: *Virtuti et ingenio*.

Przez ciąg następujących niedługo wojennych czasów, druk słownika przerwę zność musiał. Wysocy opiekunowie tego dzieła nie mogli w ówczas podać ręki; tak, że czwarta część ledwie w r. 1811 wyszła. Ale w najburzliwszym nawet roku 1812 potrafił Linde nową część swojego dzieła wydać. Trudno jednak byłoby wyliczyć przeszkody, jakie musiał zwyciężać, pozbawiony środków do ukończenia druku, bez kapitałów, bez robotników, po wydrukowaniu połowy ostatniego tomu nie widział już sposobu doprowadzenia go do końca. Lecz Opatrzność pamiętała o nim: jeden magnat litewski, hrabia Tyszkiewicz, na przedstawienie Jana Sniadeckiego, dopełnił czego brakowało tak, że i ostatni tom wyszedł na świat w r. 1814.

Już po wyjściu pierwszego tomu zjawiły się w Polsce i za granicą recenzye; z tych jedne wynosiły tę pracę pod niebiosą, inne ubolewały nad niepożytecznym dziełem. Te ostanie pisane były przez osoby nieobeznane z językami słowiańskimi, i dla tego niektóre tylko zasługiwały na odpowiedź; lecz jeśli się w nich znalazły uwagi mające jaką wartość, wnet one były przyjęte przez

autora, który zgodnie z niemi poprawiał dalsze tomy, chociaż jak się łatwo domyślić można, dogodzić wszystkim było rzeczą niepodobną. Po wyjściu piątego tomu Towarzystwo Naukowe w Berlinie i Królewcu i Instytut francuzki w Paryżu przyjęły autora do liczby swoich członków. I otóż cała praca ukończona i oddana pod sąd współczesnych i potomności! Francuzi, Niemcy i Słowianie, wynurzali o niej swoje zdania; pierwsi przyznali, że ten Słownik może służyć za wzór w układzie dzieł podobnego rodzaju; Niemcy i Słowianie w szczególności jego rozbiórce podziwiają olbrzymią pracowitość, oddają należną sprawiedliwość autorowi, chociaż i wytykają niektóre usterki. Jakąkolwiek jest krytyka, zawsze przynosi ona korzyść dla nauki; sumienna wyświeca prawdę bezpośrednio, niesprawiedliwa — wywołuje sprawiedliwą odpowiedź. I o tej pracy wielu już sądziło; lecz niech sądzą wszyscy, a to będzie dowodem, że przynajmniej mieli ją w ręku; i tyle przyniesie korzyści, że oni wytykając wady innych, sami się ich ustrzegą. Lecz cóż powiedzieć, gdy zamiast krytyki zjawi się obmowa, a tej nie uniknął Linde zaraz po wyjściu na świat całego dzieła. Błahe umysły mierzące wiek swój liczbą uczynionych drugim przez siebie zarzutów, nie zaniebąły publicznych pochwał zatruwać. Już wówczas przysyłało Professorowi Bentkowskiemu do umieszczenia w wydawanym przez niego Pamiętniku Warszawskim artykuł takiejże treści, jaką zawiera teraz czytany w Przeglądzie Naukowym. Artykuł został odrzucony, i jakże miał być przyjętym, gdy Słownik był ukończony pod okiem samego Profesora, gdy on całe dzieło miał u siebie, przejrzał, poczynił nie-

które dodatki, co można i dziś jeszcze widzieć w pozostałej części rękopismu (2).

Niema doskonałości w żadnym dziele ludzkim. I autorowi naszemu zarzucali niektórzy nasi pobratymcy, że wyrazy wzięte z ich języków nie zawsze są dokładnymi. Ale Linde korzystał ze źródeł jakie mu oni podali; do nich więc należało oczyścić te źródła przez krytykę, a że tego nie uczynili, wina przeto i na nich spada: do tego też oni sami się przyznają. Są i inne usterki, jak na przykład brak niektórych technicznych wyrazów lub niedokładne ich określenie, ale żeby ten słownik był takim, jakim jest francuski *Dictionnaire des Dictionnaires par Landais*, należy mieć wprzód słowniki dla każdej gałęzi nauk, rzemiosł, słownik handlowy, wojskowy, prawny i inne. W języku polskim wówczas żadnych nie mieliśmy, a ileż ich dzisiaj mamy! Łatwiej zaiste było pracować tam, gdzie nagromadzono tyle zasobów, ile ich widzimy wykazanych na okładce francuskiego Słownika Słowników; i tam taka praca wzbudziłaby podziwienie, a cóż tutaj? Tu autor zmuszony był sam zbierać materiały, sam je oczyszczać, przyprowadzać do porządku, zmuszony był zwyciężać tysiące przeszkód; niema publicznych bibliotek, najrzadsze dzieła rozrzucone: jedne w Petersburgu, inne w Wie-

(2) Linde chociaż głównie sam zajmował się redakcją Słownika, dla pomocy jednak w robieniu wyciągów z dzieł, Książę Czartoryski jenerał dodał mu w Wiedniu jednego pomocnika. — W Warszawie pomagali mu XX. Pijarowie mianowicie podczas drukowania dzieła; co do czeskiego języka niósł mu pomoc X. Dobrowski w Pradze. Co do polskiego profes. Bentkowski i Książę Czartoryski jenerał. Autograf chociaż nie cały, zachował się własnoręczny, mianowicie Litera C z dodatkami Bentkowskiego, Czartoryskiego i Ossolińskiego.

dnia, inne we Lwowie, na Podolu, w Litwie, Poznaniu. Ich posiadacze lub strzegą ich przed sobą samemi, albo może i chętnieby użyczyli ze swoich skarbców naukowych, ale trzeba się do nich udawać osobiście; a czyż podobna jest być wszędzie? Praca jaką dokonał Linde, jest pracą olbrzymią; praca taka zwykle bywa dziełem całych towarzystw, a i wówczas godna podziwienia; cóż dopiero powiedzieć, jeśli ona jest owocem trudów jednego człowieka? Współcześni umieli oceniać zasługę Lindego. Dokończenie Słownika wznieciło największą radość w Warszawie. Wielu pamięta z jaką czcią dla Lindego byłoby Towarzystwo Przyjaciół Nauk obwieściło tę radość. Cesarz Alexander jako Król Polski zaszczycił go orderem. Uniwersytety Krakowski i Kazański przysłały mu swoje dyplomaty, a Cesarska Akademia w Petersburgu pierwszy raz do swojego grona cudzoziemca — Lindego przyjęła. Na popisie uroczystym uczniów w r. 1816 Hrabia Stanisław Potocki wówczas Minister Oświecenia, w mowie swój o języku polskim, pochlebnie przemówił do Lindego, wręczając mu wspaniały exemplarz jego dzieła, a Królewski Namiestnik ofiarował mu w imieniu narodu medal złoty. Rzadko który z uczonych więcej czci za życia doznał.

Linde nie spoczął na laurach, poświęcał się ciągle pracom naukowym, zarządowi Liceum, sprawom Kolegium Ewangelickiego, którego był Prezesem; literackie płody jego często zjawiały się w dziennikach, z nich na szczególniejszą zasługuje uwagę rozprawa o literaturze rosyjskiej, umieszczona w Pamiętniku Warszawskim. Rozprawę tę napisał z powodu ukazania się bibliografii Sopikowa. Godnie on ocenił tę pracę, wskazał zalety

i wady, dopełnić czego brakowało (np. o Skorynie), słowem jego krytyka napisana ze znajomością rzeczy, nie poniża ani samego recenzenta ani pracy Sopikowa, i ma pożyteczny cel oznajomienia współziomków swoich z literaturą narodu spółplemiennego.

Przypadek natchnął go przedsięwzięciem pracy obszerniejszej. Redaktor Pamiętnika Warszawskiego professor Bentkowski odkrył w jednej z prywatnych Bibliotek exemplarz Statutu Litewskiego w języku Białoruskim, i prosił Lindego o umieszczenie kilku słów o tém dziele w jego dzienniku. Linde pilniej wpatrzywszy się w książkę postrzegł, że drukowaną była w Wilnie u Mamoniczów w r. 1588. Polskich wydań tego Statutu było wówczas siedm, sześć w języku polskim, a jedno po polsku i po rusku. Dalsze śledzenie wykryło: że nowsze wydanie coraz się gorszem stawało, bo każde było przedrukiem poprzedzającego, z dodaniem zawsze nowych błędów; że przechodząc stopniowo od nowszych do dawniejszych, można dojść do samych źródeł tych błędów, i że najdokładniejszym wydaniem polskim jest to, które i co do textu i co do czasu wydania najbardziej się zbliża do ruskiego. Tymczasem w Petersburgu w r. 1811 wydano Statut Litewski o textcie polskim przedrukowanym, a rossyjskim przełożonym z ostatniego, a zatem najniedokładniejszego wydania polskiego. Wprawdzie, tłumacz rossyjski przenikliwością wiedziony, wiele poprawił w swoim tłumaczeniu, lecz obeszłoby się i bez poprawek, jeśliby mu było wiadomo, że i pierwsze polskie wydanie, które wyszło w jednym roku z ruskiem, to jest w r. 1588 było tłumaczeniem oryginału ruskiego. Tego dowiódł Linde w swojej rozprawie o Statucie Litewskim. Linde



wydrukował swoją rozprawę w Warszawie w r. 1816, a praca ta przyjętą i nagrodzoną była przez Monarchę. Mimo to jednak w Wilnie wyszło nowe wydanie Statutu Litewskiego, przedrukowane z ostatniego polskiego i zupełnie niepoprawne. To spowodowało, że gdy w r. 1822 Cesarz Alexander urządził Kommissyą do układu praw, rozkazano, aby we względzie Statutu Litewskiego, przyjęta była za podstawę praca Lindego. Kommissya przystępując do wydania Statutu, mianowała Lindego swym Członkiem korrespondentem.

Z założeniem Uniwersytetu w Warszawie, Linde przyjęty został na Członka Kommissyi układającej statut dla nowego zakładu. Wkrótce gdy Professor filozofii przymuszonym był dla poratowania zdrowia udać się za granicę, Linde zajmował jego miejsce i wykładał w języku polskim psychologią empiryczną podług Kisewettera, i powszechną grammatykę filozoficzną podług Sacy, Vattera, Harrisa. Uniwersytet Warszawski, za poradą Lindego już w roku swojego założenia (1818) powziął myśl ustanowienia Katedry dyalektów słowiańskich, myśl którą daleko później wykonały inne narody — Rossyanie, Czesi, Niemcy i Francuzi. Linde mianowany Profesorem dyalektów słowiańskich, gdy tego obowiązku przyjmując nie mógł, ułożył plan dla P. Kucharskiego, który pierwszy w całej Słowiańszczyźnie kosztem Rządu był posłany za granicę, w celu nauczania się różnych narzeczy słowiańskich. Uniwersytetowi więc Warszawskiemu w osobie Lindego, świat winien myśl chwalebna zbliżenia spółplemiennych ludów, którą później tak niesłusznie Czesi sobie przywłaszczyli i za nową podali.

Kiedy w roku 1819 hrabia Ossoliński wydał dwa pierwsze tomy swoich Wiadomości historyczno-kry-

tycznych, Linde przetłumaczył z nich rozprawę o Kadłubku na język Niemiecki; dodał do tego — Prażmowskiego: O najdawniejszych historykach Polskich — Czackiego Rozbiór Gallusa i Kadłubka, rozprawę o Mateuszu herbu Cholewa, i to wszystko wydał w r. 1822 w Warszawie (3), przez co ważną wyrządził przysługę Polakom i Niemcom; pierwszym przez to, że obronił ich od zarzutu cudzoziemców, jakoby Polacy nie mieli żadnych dawnych historyków, drugim, że przełożył na ich język najlepsze rozprawy o historykach, o których wiarogodności, ufając zdaniu Szlecera, oni powątpiewali. W tymże czasie wyszło obwieszczenie o nader ważnym zebraniu rycin Stachowicza litografowanych przez Ditrycha i Sokołowskiego. Było to zebranie pomników Królów Polskich, pod tytułem: *Monumenta Regum Poloniae Cracoviensia*. Owcześnie Kommissya Oświecenia wyznaczyła do ich wydania deputacyą, do której należał i Linde. Członkowie deputacyi gorliwie się wzięli do wskazanej im pracy i w krótkim czasie wydali trzy zeszyty *in folio*. Nie dało się uzupełnić to dzieło: już to z przyczyny śmierci niektórych osób należących do wydania, już w skutek zmian politycznych.

Jako Członek b. Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, Linde umieszczał różne artykuły w jego rocznikach; z nich na szczególniejszą zasługuje uwagę: Wiadomość o dziele Professora Rezy: »Historya Litew-

(3) Przedtém jeszcze wydał *Janociana*, IIIci tom, źródła ważne dla piśmiennictwa polskiego, z dodaniem na czele wybornéj przedmowy, którą napisał w czasie swéj podróży po klasztorach przedsięwziętej jak wiadomo, z pomocą Rządu, dla wykrycia i zebrania do Biblioteki publicznej w Warszawie dawnych ksiązek rzadkich.

skiego tłumaczenia Biblii.« »Litewska epopeja Chrystyana Donalajtysa« wydana przez niego z tłumaczeniem niemieckim i rozbiór dzieła Vatera: »język dawnych Prusaków.«

Lecz ulubioném zajęciem się Lindego były narzecza słowiańskie i ich literatura; one stanowiły główny przedmiot jego badań. Chcąc zaznajomić Słowian z piśmiennictwem różnych ich plemion, powziął on zamiar wydać: »Rys historyczny literatury ludów Słowiańskich« Pierwsza część tego dzieła wyszła w r. 1823 i zawiera tłumaczenie historii literatury M. Grecza, z dodatkiem wyciągów z dzieł niektórych uczonych rossyjskich. Ta praca chociaż nie skończona, ztąd zasługuje na uwagę, że wywołała utwór Szafarzyka — Historią literatury plemion Słowiańskich, mającą jak słychać, wkrótce wyjść w drugim wielce pożądaném wydaniu.

Aż do roku 1833 Linde piastował znakomite w gałęzi oświecenia publicznego urzędy, a wielokrotnie nagradzany od Monarchów, umieszczany w różnych komitetach w sprawie oświecenia krajowego, słowem nieprzerwanie czynny, zapragnął naostatek spokojności, do której bez wątpienia słusznie i oddawna zupełnego prawa nabył. Ale nie myślmy, ażeby od téj epoki i jego literacka czynność spoczęła. Nie;—Linde zajął się znowu swym ulubionym przedmiotem — językami Słowiańskimi, i ułożył sobie plan Słownika porównawczego dyalektów słowiańskich. W tym celu czytał i czytał dzieła rossyjskie wzorowych, miernych i nawet błahych pisarzy; ostatnich tylko dlatego, że w nich znajdują się częstokroć wyrazy, których nie użyją pisarze lepsi, a które w słowniku wymagają przykładów. Z tych autorów wypisuje on krótkie frazesa, zawierające przy-

kłady do różnych znaczeń każdego wyrazu. Takie wyciągi robił przez lat kilka, poczem przystąpił do redakcyi słownika: wszystkie karteczki przyprowadził do porządku abecadłowego (podług alfabetu rossyjskiego) zaczynając od litery W. i zostawiwszy A i B, do dalszego czasu. Mając już przed sobą przykłady do każdego wyrazu, zważał najprzód jego znaczenie fizyczne, przechodząc stopniowo do oderwanego i po otrzymaniu takim sposobem wszystkich jego znaczeń w języku rossyjskim, w drugiej kolumnie pisał podobną historią tego wyrazu w języku polskim. U spodu nakoniec robił uwagi, w których jaśnie pokazywał podobieństwo lub różnicę tych języków, przytaczając przytém znaczenia tych wyrazów we wszystkich innych językach słowiańskich, a nawet w razie potrzeby i wschodnich.

Otrzymawszy doniesienie o tak ważnej Lindego pracy, Ministerjum Oświecenia Publicznego przejęło się całą wartością dzieła, którą i ta okoliczność podniosła, że po połączeniu Akademii Nauk z Akademią Rossyjską w Petersburgu, jednym z głównych celów téj ostatniej jest układ Słownika narzeczy Słowiańskich. Jakóż dodani mu zostali dwaj kandydaci do pomocy w czytaniu dzieł rossyjskich i robieniu z nich wyciągów. Pochlebniem dla nich było takie polecenie i za przybyciem do Warszawy ochoczo wzięli się do przeznaczonéj im pracy, którą wykonywają dotychczas. I któż, przeżywszy lat tyle i położywszy tyle zasług, z dumą i radością nie obejrzy się na swoje życie przepędzone na pracach pożytecznych, szczególnie gdy widzi że światli współcześni Mężowie umieją godnie je oceniać?

Wracam raz jeszcze do artykułu umieszczonego w Przeglądzie Naukowym i pytam się jego autora a

razem tych wszystkich, których on myśl wyraził, nie jest że to nowe dzieło, które co do objętości dwa i więcej razy (da Bóg) będzie obszerniejsze od słownika polskiego, najwymowniejszym dowodem że i pierwsza praca Lindego jest jego własną? Jeśli dzisiaj uległy słabościom właściwym wiekowi, otoczony liczną familią, może z takim zamiłowaniem oddać się pracy tak obszernej, to cóż mógł wówczas kiedy w sile wieku, sam jeden, nie był związany obowiązkami ani względem rodziny ani służby? Wątpić o tem mogą tylko słabe umysły, którym dzieło jakie wymagające więcej czasu, wytrwałości i usposobienia zdaje się być niepodobnem do wykonania, a przynajmniej przez jednego człowieka. Tymczasem widzimy teraz, jak w oczach naszych powstało i wzrasta dzieło, przedmiot przyszłych uwielbień, powód do wdzięczności wszystkich plemion słowiańskich, a może nic dziwnego—przedmiot i do nowej obmowy.

Odpowiadając na odezwę umieszczoną w Przeglądzie naukowym, wypełniam miły obowiązek obronienia sławy męża znakomitego, Patriarchy filologii słowiańskiej i życzę z duszy aby odpowiedź moja była dostateczna dla zbiccia fałszywych wieści, niezdolnych ująć prawdziwej sławy a ubliżających jedynie samym ich rozsiewaczom, jeśli tylko na ubliżenie czułem być mogą.



## KRONIKA LITERACKA.

*Fizyka Józefa Żochowskiego — wydanie Józefa Sapalskiego, w dwóch Tomach in 8° z tablicą.  
Warszawa 1841.*

W 1841 roku nakładem p. Sapalskiego wydane zostały dwa tomy fizyki p. Żochowskiego. — Pochwały tego dziełka po kilkakroć napotykanne w pismach peryodycznych spowodowały nas do powtórnego przeczytania, głębszego nad niem zastanowienia się, a skutkiem tego i udzielenia następujących uwag.

Jak się pokazuje, autor tego dziełka jest pełen uczucia, religijnego uniesienia; tak dalece jest niem przejęty że traktując o wielkich prawdach nauki w ciągu wykładu unosi się myślą do Stwórcy, i ciągle zwraca do niego swą mowę, (str. 173 Tom II). Nie przeczymy, że rozpamiętywanie dzieł natury może natchnąć duszę prawdziwem ubóstwieniem jej Stwórcy, skłonić do korzenia się przed jego Majestatem, lecz te uniesienia, te zwroty, te porównania do dzieł boskich (str. 224) nie bardzo są właściwe w wykładzie ściśle naukowym który wszystko chce mieć empirycznie dowiedzionem lub przynajmniej na silnem rozumowaniu opartem. Co większa, autor w tém nastroszeniu umysłu często zanadto daje się powodować samemu uczuciu, zapomina o tém, że jakkolwiek twórcze mogą być jego pomysły, nie dla wszystkich ludzi będą one zaspokajającemi. Żądamy dowodów na ich poparcie, a tych autor albo nie podaje wcale, albo bardzo powierzchowne. Jednakże nie myślimy wcale rzucać anatematów (jak się autor wyraża) na jego pomysły, bo przekonani jesteśmy, że ludzie niekiedy czuciem dalej sięgają aniżeli zimnym rozsądkiem, i bodajby nasz autor nowym był na to dowodem!

My jednak przystąpimy do rozbioru jego dziełka z czysto naukowego stanowiska, roztrząśniemy jego mniemania, wskażemy ważniejsze niedostatki, sądząc że tém jeżeli nie autorowi to może czytelnikom jego dziełka będziemy pomocni.

Nizeli to jednak nastąpi, zadajmy sobie pytanie dla kogo to dziełko było napisane? jaki cel autor sobie założył?

Jako książka przeznaczona dla początkujących, której głównym warunkiem być powinno treściwe, najdokładniejsze i najsystematyczniejsze wyłożenie zasad tak obszernej nauki, dziełko to służyć nie może. Wypada nam się z tego usprawiedliwić. Wykład nauki wtedy jest treściwym, gdy każdy przedmiot traktowany jest stylem prostym, treściwym, bez wykrzykników, znaków zapytań, a co najważniejsza gdy każdy przedmiot szczegółowy stosownie do swjej ważności, wyłożony jest mniej lub więcej obszernie. W dziełku zaś wspomnianém napotykamy nieraz obszerne ustępy o mniej ważnych rzeczach, a o wielu ważnych i wzmianki nie znajdujemy; długie rozprawiania o przedmiotach wielkiej wprawdzie wagi, które jednak nie powinny mieć miejsca w dziełku przeznaczoném dla początkujących: w nich bowiem autor nie obznajmia czytelnika z prawdami naukowemi, ale usiłuje błahemi dowodami osłabić to co oddawna dowiedzioném, doświadczeniem wspartém i powszechnie przyjętém zostało. Wykład fizyki w tej książce za nadto byłby nużący dla młodzieży; mnóstwo ustępów, rozdziałów często niepotrzebnych (bo rozłączających przedmioty z jednego wypływające stanowiska) utrudniają jój pojęcie.

Wiadomo bowiem, że zbytęczne rozdrabnianie przedmiotów wszędzie a mianowicie téż w fizyce wielce jest szkodliwém, tym sposobem mijamy się z celem jaki mieć powinny dzieła elementarne do fizyki, celem przedstawienia nauki tak obszernej o ile można z jaknajogólniejszego stanowiska; bo młodym a często i starszym najtrudniój jest zchwycić ogół przedmiotu. Wkońcu dla usprawiedliwienia powyższego mniemania nadmienić wypada, że ta książ-

zka nie zaleca się dokładnością: autor używa wyrazów których znaczenia nie określa, męsza znaczenia różnych wyrazów, mówi o faktach których zrozumienie dopiero dalszy ciąg wyjaśnić może i jeżeliby ta książka miała służyć za podręczną dla początkujących, należałoby wprzód nimbyśmy ją do rąk dali, większą część dowodzeń matematycznych wyrzucić, jako błędnych lub zupełnie fałszywych.

Opierając się na przytoczonych niedostatkach (które niżej szczegółowo wskażemy) trudno przypuścić, aby fizyka p. Żochowskiego mogła godnie odpowiedzieć celowi jaki autorowi wypadło założyć sobie t. j. ułożenia fizyki dla początkującej młodzieży; celowi któryby najlepiej odpowiadał naszym teraźniejszym potrzebom, gdyż wyznać z żalem należy, że dotąd żadnej ani oryginalnej ani tłumaczonej nie posiadamy fizyki, któraby dzisiejszy stan tej nauki w zupełności przedstawiała.

Dzieło p. Żochowskiego niewiele korzyści przynieść może osobom obznajomionym z tą nauką: zawiera ono wprawdzie wiele nowszych odkryć, postrzeżeń, lecz te tak są powierzchownie wyłożone, że czytając je zdaje się że to jest spis materii należących do fizyki. Przyczyną tego, o ile nam się zdaje, jest unikanie dowodzeń matematycznych i podstawianie rozumowań (coby było chwalebne) na nieszczęście nie zawsze dobrych; tym sposobem autor mija się z dwoma celami, raz że nie podaje czytającym rozumowań pewnych, najliczniejszych bo opartych na stałych zasadach; drugi raz, że nie obznajamia czytelników z matematyką stosowaną, bez której dziś fizyka nie począć nie może.

Zdaje się że p. Żochowski dla kilku swych myśli śmiałych, nierozwiniętych i niezem niepopartych tu i owdzie rzuconych, postanowił wydać całą fizykę; środek nie zbyt dobry: gdyż daleko stosowniej i więcej korzyści przyniosłaby broszura lub dzieło w którejby szanowny autor zebrał w jedno wszystkie swe pomysły, rozwinął je, poparł dowodami, co bardzo łatwo dałoby się zrobić: o ile bowiem sądzić o tém możemy, wypływają one z jednej głównej



myśli podciągnięcia wszystkich działaczy natury pod jedną siłę elektryczną. Jednakowoż ma to dziełko i swoje zalety: wiadomości historyczne bardzo piękne, każdy prawie rozdział czynią zajmującym; metoda wykładu historycznego jest także wielce godna pochwały, chociaż dodamy że ten sposób wykładu w oddzielnej gałęzi fizyki (elektryczności) niezupełnie szczęśliwie dał się zastosować. Z zadziwieniem prawie w tak szczupłym dziełku napotykalismy wspomnienia o każdym niemal przedmiocie, wiadomości o najnowszych odkryciach i daguerotypie, galwanoplastyce, telegrafach galwanicznych, sposobie dochodzenia temperatury zwierzęcej, etc.

Przystąpmy do szczegółowego rozbioru.

Całą fizykę p. Żochowski podzielił na ksiąg 5 — w pierwszej traktuje o mechanice.

Na str. 10 autor zastanawiając się nad spoczynkiem ciał, dzieli go na względny i bezwzględny. Względny spoczynek wypytywa albo z bezskutecznego działania sił, albo z niedziałania ich wcale — drugi spoczynek jest skutkiem *bezwładności*: a co to jest bezwładność podług autora? P. Żochowski, jak się pokazuje na stronnicy 70, nie poczyna jej za własność ciał i zapewne z tego powodu na początku jej nie określił. Nie należało więc używać tego wyrazu i spoczynek bezwzględny inaczej (?) według myśli autora określić.

Str. 11. Prawo zasadnicze mechaniki, równoległobok sił, tak znajdujemy dowiedzione: „Jeżeli 3 siły działają na punkt pod różnemi kątami, ciało jest w spoczynku, a że ich liczba jest nieparzysta, więc *summa dwóch równa się trzeciej, t. j. summa dwóch promieni w kole równa się trzeciemu...*“ Fałsz, siły w takim będąc przypadku są w równowadze, ale ztąd jedna nie jest równa summie dwóch sił pozostałych, ale równa się wypadkowej z tych dwóch sił; wypadkowa zaś dwóch równych sił działających pod kątem  $120^\circ$  równa się jednej z nich. Zdaje się, że najlepiejby autor uczynił, gdyby jak zwykle w fizykach się dzieje, przyjął za dowiedzione to twierdzenie i z niego wnioski tylko wyprowadził.

Str. 14. Wniosek który autor wyprowadza z prawa momentów statycznych na przypadek gdy siły działają z dwóch stron, jest mylny i niezrozumiały.—Należało wprzódy wspomnieć cokolwiek o wypadkowej sił równoodległych z dwóch pewnych stron, a wówczas powyższy wniosek tyczący się punktu przyłożenia wypadkowej byłby zrozumialszym.

Str. 41. Autor wyprowadzając wyrażenie ogólne dla rzutu jednostajnie przyspieszonego, mylnie twierdzi że droga w czasie  $C$  przebieżona prędkością  $P$  rzutem jednostajnie przyspieszonym, jest  $CP$ ? — wiadomo bowiem, że poprzednie wyrażenie trzeba jeszcze podzielić przez 2. Myłka ta nie jest przypadkową, autor bowiem niżej w kilku miejscach (str. 49, 100, 102), używa tego fałszywego wyrażenia.

Na str. 46 mówiąc o maszynie Atwood'a autor twierdzi: że dodając np.  $\frac{1}{2}$  część ciężaru do wagi, ciężarek spadający naglony jest  $\frac{1}{2}$  częścią siły ciężkości, a więc jego prędkość będzie  $\frac{1}{2}$  zwykłej prędkości ciała spadającego. Twierdzenie to jest mylne. Wiadomo że prędkość ruszających się wag, po dodaniu do jednej z nich małego ciężarku, oznacza się zupełnie według innego prawa, które tu dla krótkości opuścić musimy.

Str. 49. W dowodzeniu, że ciała spadając po równi pochyłej nabywają takiej prędkości jakiejby ciało nabyło puszczone wolno (pionowo) z wysokości równi pochyłej, opierając się na wyżej otrzymanych błędnych wyrażeniach, dla ruchu jednostajnego wyprowadził P. Z. fałszywe wyrażenia dla prędkości; — wiemy bowiem, że prędkość nabyta z wysokości  $h$  nie równa się dwóm pierwiastkom z iloczynu otrzymanego z pomnożenia siły ciężkości  $g$  przez  $h$  ale pierwiastkowi z dwóch powyższych iloczynów.

Na str. 67, w przypisku do mechaniki, według słów autora mającym zawierać „*Axiomata Newtona które same sprzeczności wyrażają i jedne drugimi się zbijają*“ znajdujemy attak na bezwładność ciał, której istnienie usiłuje zbić autor następującym rozumowaniem: „Pierwsze prawo

Newtona że akcyą równą reakcyi każe supponować, że wszystkie ciała są w ustawiczném wzajemném działaniu. W samej rzeczy, ruch w całej naturze w skutku którego wzajemne działanie następuje, jest powszechny i ciągły. Jakże więc to prawo naturalne, które wyraża całą naturę w ruchu, pogodzić z prawem które wyraża samą bierliwość ciał? Tu jest sprzeczność w twierdzeniach Newtona. Każdy widzi, że pierwsze prawo jest rzetelne, drugie więc o bezwładności — jest fałszywe(!) — Odpowiemy na to, że oba te prawa łatwo pogodzić można i że to powierzchowne rozumowanie autora, mające służyć za dowód że Newton zbłądził przypisując ciałom tę własność, pochodzi jedynie ztąd, że autor nie pojął znaczenia tego wyrazu. Wtedy dwa prawa pogodzić się z sobą nie mogą, gdy jednej i téjże samej rzeczy przypisują wprost przeciwne własności; jeżeli więc autor mówi, że téj biernej własności ciał nie można pogodzić z prawem działania i oddziaływania wzajemnego ciał, widać że pod nazwiskiem bezwładności rozumie siłę albo raczej własność ciał, dla której one wzajemnie działać nie mogą — a jednak tak nie jest. Bezwładność nie przeszkadza wcale wzajemnemu działaniu ciał, ona bowiem przedstawia tę własność ciał względem samychże siebie, a nie względem innych. Skutkiem bezwładności, ciała same sobie bez pomocy obcej siły, ani nadać ruchu ani nadanego zmieniać nie mogą. Dla téj to przyczyny ciało uderzone nabywa ruchu jednostajnego po linii prostej, bo nie mamy żadnego powodu przypuszczać, aby ono zwracało się więcej w jedną jak w drugą stronę aby swój bieg opóźniało lub przyspieszało. Nie przyjmując bezwładności, przypuścićby należało że rzut ziemi, będąc tyłu zmianom podległy, jest tylko przypadkowy i że nierówności biegu mogą być dowolnie zmieniane, a jednak widzimy, że są peryodyczne, że je naprzód można przewidzieć, obliczyć — bo są skutkiem działania ciał. Autor mówi, że bezwładność wtedy miałaby miejsce, gdyby ciało działaniu żadnej siły nie ulegało — i to nie prawda. Powyższe i wiele innych przykładów przekonywają nas, że i wtedy bezwładność ma miejsce, gdy siła wywarła swe

działanie. Niżej cokolwiek autor utrzymuje, że przypuszczając bezwładność ciał, wypadłaby potrzeba siły pierwiastkowego rzutu; nie wiemy co by autor w swym układzie świata elektro-magnetycznym w miejsce tego pierwiastkowego uderzenia podstawił. Zdaje nam się że jakkolwiek rozumując, zawsze przypuścić wypadnie początkową siłę wprawiającą w ruch świat cały; — i zarzut P. Z. przeciwko temu przypuszczeniu Newtona „gdzie się utrzymywały i jakim sposobem istniały przed odebraniem popchnięcia?” nie może wcale być uważanym za zarzut, bo to jest pytanie na jakie natrafić musimy, jakąkolwiek siłę utrzymującą w harmonii świat cały przyjmiemy. W ogóle zdaje się nam, że ten przypisek w takim stanie jak jest skreślony, niczego nie dowodzi i w tém dziełku miejsca mieć nie powinien.

Na str. 84, znajdujemy znowu fałszywe wyrażenie dla ciężaru.

Str. 99. Opiérajac się na doświadczeniu Doebereyne-  
r'a, który paląc mieszaninę wodorodu i kwasorodu pod ciśnieniem dwóch atmosfer, otrzymał bardzo silne światło, autor mówi: „błyskawice więc w górze się odbywające muszą się w gęstém powietrzu odbywać“ t. j. że powietrze nie rzadnieje z powiększeniem wysokości. To doświadczenie nie dowodzi jeszcze aby w powietrzu cokolwiek rzadszém błyskawice powstawać nie mogły, i wniosek z niego wyciągniony przez autora zdaje się nam zupełnie mylnym. Wiadomo bowiem, że błyskawice i grzmoty biorą swój początek w wysokościach w jakich się unoszą chmury (od 700 do 12000 metr.). czego wprost dowodzą obserwacye uczonych czynione na wysokich górach w czasie burzy. Widzieli oni błyskawice pod swemi nogami i nad sobą przelatujące znaczne przestrzenie, a jednak w tych wysokościach prawo zmniejszania się gęstości powietrza w zupełności miało miejsce. Co się tycze huku grzmotów, to i te bez przypuszczenia hipotezy P. Z. wprost przeciwnej obserwacyom, wytłumaczyć można. Są błyskawice bez grzmotów co dowodzi, że głos z powodu oddalenia do nas nie doszedł; ale podobny przypadek nie trafia

się w czasie burzy; pokazuje się stąd że chociażby głos z przyczyny wielkiej odległości i rozszerzonego powietrza może i nie doszedł do nas, to okoliczności towarzyszące burzy, to jest skroplone pary wodne łatwością z jaką głos przeprowadzają, wynagradzają zmniejszenie się jego natężenia, z powodu rozrzedzonego powietrza. Mniemanie to tém jest prawdziwsze, że powietrze zawierające tylko pary wodne łatwiej głos przepuszcza aniżeli powietrze suche.

Str. 128. Autor mówi że „powietrze winstrumentach nie zaś instrumenta są przyczyną głosu; przekonywa nas to że z jakiegokolwiek materji czy sprężystej czy niesprężystej będą instrumenta zrobione, *zawsze dźwięk jednakowy wydadzą.*“ Na to się nie zgodzimy: prawda, że powietrze główną gra rolę przy wydawaniu dźwięków, ale i materja z jakiej jest instrument zrobiony, wielki ma na to wpływ. O tém przekonywają nas doświadczenia P. Sawart z rurkami pargaminowemi jednakowych wymiarów; — proste zwilgocenie którejkolwiek z nich dźwięk instrumentu zmniejszyło o całą oktawę; zresztą najlepiej tego dowodzi znany fakt przez robiących organy; — oni zapewniają że dosyć zmienić cokolwiek gatunek i czystość cyny lub drzewa wchodzących do składu organów, aby cały instrument był zły. Ta zmiana głosu nie jest skutkiem zmiany drgającej kolumny powietrza, ale szczególniejszego wpływu materiału instrumentu, co Francuzi wyrazem *timbre* oznaczają; jakim zaś sposobem wywiera się to działanie, — niewiadomo. Pelouze przypuszcza, że to jest skutkiem drgania molekularnych cząstek materiału. Podobnie mylnie autor twierdzi (str. 132), że płuca są narzędziem do wydawania głosu. Wiemy że one stanowią tylko podrzędną funkcją, a główną przyczyną jest krtań, języczek, zęby etc. Przyjmując mniemanie autora, przypuściłoby należało że w kobzie i organach, miechy muzykę sprawiają. Przystąpmy do księgi II traktującej o ciepliku.

W nauce o rozszerzalności gazów, znajdujemy współczynnik rozszerzalności 0,00375; nadmienimy tu, że według najnowszych i bardzo dokładnych doświadczeń Rudberga w Upsalu, Magnus'a i Regnault, ten współczynnik wynosi

0,00366. Przyczynę téj zmiany trudno w terażniejszym stanie fizyki odgadnąć; przypuścić bowiem że Gay-Lussac, Dalton a szczególnie téż sławni ze swych metod robienia doświadczeń i ich dokładności Dulong i Petit, w tak ważnej liczbie zrobili zmyłkę, — niepodobna; — tém bardziej że téż samą liczbę wówczas dwoma różnemi sposobami otrzymano. Również nadmienimy że Gustaw Magnus za pomocą bardzo dokładnych doświadczeń odkrył, że nie wszystkie gazy jednakowo się rozszerzają.

Co się tycze własności wody, która w próżni przy  $-10^{\circ}$  jest jeszcze w stanie płynnym, wspomnieć należy że tę własność posiada woda (jak uczy doświadczenie P. August) nawet przy temp  $-13^{\circ}$ , byle tylko nie podlegała gwałtownym ruchom.

Doświadczenie to łatwo można zrobić napełniając rurkę szklaną w pewnej części wodą, wypędzając z niej powietrze przez silne zagotowanie i raptownie zalutowując; aparacik ten powieszony spokojnie na zimnie nawet przy  $-13^{\circ}$  zawiera wodę w stanie płynnym, przy niższej zaś temperaturzaski i woda natychmiast w lód się zamienia.

W przypisku na str. 171, Autor mówi: „światło samo z siebie nie wydaje ciepła, ale potrzebuje działać na ciało jakim jest powietrze, aby z tego wzajemnego działania ciepło wynikło“ — Zdanie to wspiera autor doświadczeniem, że na kawałek lodu umieszczony pód dzwonem maszyny pneumatycznej, z którego wyciągniono powietrze; kierując promienie słońca przez szkła palące, nie postrzegamy żadnej zmiany; wpuściwszy zaś pod dzwon trochę powietrza, lód natychmiast topnieć zaczyna. Autor to mniemanie wyciągnął wychodząc z przypuszczenia materialności ciepła (str. 138) t. j. zapatrując się na to doświadczenie jednostronnie i natychmiast tworząc teorią.

Na dowód że to mniemanie wprost nie zgadza się z naturą rzeczy, przytoczymy tu kilka rezultatów z pięknych doświadczeń P. Melloni robionych z ciepłikiem promienistym.

Ciała pod względem przepuszczania promieni światła i ciepła, posiadają bardzo rozmaite własności; niektóre z nich np. sól kuchenna, są przezroczyste dla światła i dla

ciepła (t. j. przez nie promienie cieplika przechodzą); inne zaś przepuszczają światło, nie przepuszczając cieplika np. ałun czysty; nakoniec szkło czarne nie przepuszcza najsilniejszych promieni światła, a promienie cieplika przechodzą przez nie z łatwością.

Doświadczenia te czynione były bardzo dokładnie, instrument do tego używany był termomultiplikator Nobilego, którego czułość na zmiany temp. w zadziwienie wprawia; instrument i ciała do doświadczenia używane znajdowały się w powietrzu, więc podług autora promienie światła nie powinny tracić własności nagrzewania. W ogóle nadmienimy, że tak tu jak i w inném jeszcze miejscu autor mylnie wyprowadza wnioski, dlatego jedynie, że opierając się na własności rozszerzania ciał od cieplika i jego odbijania się od zwierciadeł, uważa go za materią nie zaś za siłę, która materialne skutki sprawuje.

Sposób ostatni uważania cieplika, potwierdza się wielu własnościami wspólnemi mu ze światłem tak, iż zdaje się że obu przyczyna jest taż sama. Teorya cieplika daleką jest od téj doskonałości do jakiej dziś teorya światła doprowadzoną została, jednakże fakta dotąd wiadome bardzo prawdopodobną czynią hipotezę, że tak światła jak i ciepła przyczyną, jest ruch wibracyjny płynu sprężystego.

Str. 184. W higrometryi autor powiedziawszy, że nie możemy obrachowywać ilości pary zawartej w powietrzu, ale względną jej tylko ilość, każe się domyślać że wychodząc z tego stanowiska całą tę naukę przedstawi. Jednakże po przeczytaniu dwóch niepotrzebnie rozdzielonych paragrafów, widzimy, że autor inaczej tę naukę pojął; nie określiwszy co to jest wilgotność powietrza w fizyce, zakończył cały traktat wspomnieniem o dwóch mało używanych bo niedokładnych higrometrach Saussura i Deluka. Namby się zdawało, że po tym wstępie wypadało opisać higrometr Daniela i Saussura, psychrometr Augusta i sposoby oznaczania z nich wilgotności powietrza. Tym sposobem uniknąłby autor potrzeby osobnego przypisku i cały traktat o higrometryi daleko uczynił jaśniejszym. Przytém nadmienimy, że higrometrya nie służy do dochodzenia

stanu atmosfery pod względem wilgotności i suchości, ale do dochodzenia sprężystości pary istniejącej w powietrzu: cel ważny w meteorologii. Tom pierwszy swojej fizyki autor zakończy paragrafem „o machinach parowych *zwyższego stanowiska*“ który tu w skróceniu kładziemy:

„Nie będę tu opisywał machin parowych pod względem mechanizmu, ani ich pożytku dla społeczeństwa, ale tylko powiem to, co *mi wyższe natchnienie podało*. Ta ludzka meteorologia (?) jako plód najwyższy powolnych kombinacji i zimnego rozumu, godna jest zaiste, ażeby się stała przedmiotem dla rozumu, żeby ten nad sobą jako prawdziwie wywyższony z rozkoszą się podziwiał. Niech tu serce władające uczuciem natchnie odwagą język, ażeby ten ośmielił się mówić o tak wielkiem i wspaniałem dziele.“

„Gdyby męzny Rzymianin albo Grek uczony wstał z tyśiąc-letniego grobu i zobaczył naszą maszynę parową, nie powiedziałby iż to jest jakiś meteor albo mały świat przez człowieka stworzony? Za prawdę miałby on wielką słuszność, bo skład paromachiny najwięcej naśladuje wielkie uniwersum. Ognisko wielkie dni i nocy trwające nakształt słońca, centru wszystkich ciał niebieskich, rozpalone, tworzy ciągle parę, ową to atmosferę przestrzeń wypełniającą. Koło szalone lata niewypowiedzianym biegiem nakształt owego *rozszalałego Saturna*. Inne koła zębate i walce poruszają się systematycznie, nakształt planet i komet około wspólnego ogniska. A gmach cały przybiera bieg postępujący na lądzie lub morzu, tak jak i słońce które się może porusza ze wszystkimi światłami w przestrzeń nieskończoną. Już to nie są atomy błędzące Leucypa i Demokryta, ani atomy pozazębiane, bieg wirowy mające Dekarta; ale to są gmachy Savarego, Newkomena, Wata.. Wszystko się tu dzieje peryodycznie jak w dziele samego Boga.“

„Ale trwałość jest cechą dzieł wielkiego Boga, a znikomość i przemienność dzieł mądrego człowieka. Powietrze jest po wszystkie czasy powietrzem, kiedy para jest zmienna, znikoma i *niestateczna*. Powietrze jest burzliwe, miota bałwanami wody i sam ocean pod swoją trzyma wodzą — ale



para lęka się jak *wścieklizna* zimnej wody i na *widok jej* cała ją siła natychmiast opuszcza. Ogień słońca jest wieczny i nieprzebrany, ogień ogniska przesila się i ustaje z brakiem *brzydkiego* węgla; kule Stwórcy mają góry i przepaści, które nigdy w równowadze nie szkodzą, koła ludzkie mają zęby regularne które się z czasem psują i wyszczerbiają. Ognie podziemne żywią straszne wulkany, które wybuchają z mocą piekielną, niszczą dziedzinę człowieka, ale w całej naturze szkody nie robią; usypiają się niekiedy przez wieki te *straszydła* i znowuż jeszcze z większą eksplozją wybuchają.“

„Otóż różnica istotna między dziełami Stwórcy a człowieka. Gdyby trwałość była cechą machin parowych, to jeżeli nie pod względem wielkości, to przynajmniej pod względem harmonii byłyby one najtrafniejszém naśladowaniem świata *porządnego*.“

Dwie stronnice takiej gawędy, nastroszonej porównaniami nie zawsze nawet stosownemi! Zamiast tego całego paragrafu, dosyćby było napisać ostatni z niego peryod.

Na końcu tomu znajdujemy tablice Gaussa służące do wymierzania wysokości barometrem i sposób ich użycia. Nie wiadomo dlaczego autor podaje aż trzy formuły dla wyrachowania wysokości barometrem. — Na str. 115 mylnie twierdzi, że Laplace dlatego był dokładniejszym, że uważał i na temperaturę: wiemy bowiem, że wspomniany autor wprowadził poprawki nietylko na temperaturę, ale i na zmianę siły ciężkości z przyczyny powiększającej się odległości od środka ziemi, z przyczyny różnej szerokości miejsca, na zmianę wysokości merkuryusza w barometrze, z przyczyny różnej temperatury samego merkuryusza i t. d. Na str. 224 jest formuła w którą należy podstawiać wysokości barometru sprowadzone do 0°; a nakoniec na str. 225 są dokładne tablice Gaussa. Zdaje się, że w tak szczupłym dziełku przedmiot ten zbyt obszernie został wyłożonym, a tém gorzej, że niedokładnie. Lepiejby autor uczynił, gdyby zamiast powtarzania trzykrotnego, podał jedną tylko formułę w przypisku, a natomiast opisał przyczyny dla których w tej formule uważamy na szerokość, etc.

Przystąpmy do tomu II. Traktuje on o optyce, elektryczności i magnetyzmie. Autor naukę optyki rozbił na 20 rozdziałów, lecz jaką w tém przyjął zasadę, trudno odgadnąć. Wiele rozdziałów możnaby śmiało pozłączać, i zyskałby na tém wykład; np. 12 i 14 jako traktujące o oku, podobnie 15 i 16. Przedmiot o teleskopach i narzędziach optycznych obszernie jest wyłożonym, ale nie znajdujemy tu najważniejszej prawie rzeczy: co stanowi powiększanie teleskopu? jak się ono mierzy? — W katoptryce niema wzmianki o aberacyi; w dyoptryce o aberacyi, granicy kąta załamania etc. przedmioty które prosto i łatwo w krótkości dają się wyłożyć. W ogóle dyoptryka bardzo niedokładnie jest wyłożona. Lecz za to autor umieścił obszerny ustęp o dagerotypie, który bardzo wygodnie mógłby znaleźć miejsce w przypisku.

Co się tycze przypisku na str. 45 w którym autor wraz z Dr. Jarockim twierdzi: „że 3 tylko są kolory zasadnicze tęczy: czerwony, żółty i błękitny“ nadmienić nam wypada, że sposób uważania światła jako złożonego z 3 kolorów należy się P. Brewster fizykowi szkockiemu, który oddawna prowadząc polemikę z J. Herszlem, rozwinął tę teorią i poparł pięknymi i przekonywającymi doświadczeniami tak, że fizycy wahają się którą z tych dwóch teoryj przyjąć, czy 7 kolorów Newtona, czy 3 Brewstera. Dodamy tu jednak że nie tak jak Dr. Jarocki twierdzi, 7 kolorów łącząc się z sobą dają biały, ale dosyć jest trzech tylko; Brewster przepuszczając kolory widma słonecznego przez różne kolorowe płyny, zdołał z każdego koloru widma (spectre) biały kolor otrzymać, który przepuszczany przez pryzmat nie dawał więcej kolorów tęczowych.

Str. 91. „Reszta fenomenów świetlnych których zastosowania nie masz żadnego, a istoty ich nie dadzą poznać, ani ci co długo, ani ci co krótko piszą; ale wszyscy jakby zmęczeni długim błąkaniem, chodząc po bezdrożach tém kończą wyznaniem: „światło wszystko objaśnia wyjąwszy nasz umysł, gdy przyczyny tego światła nie jesteśmy w stanie dociec.“ Zdanie to wyrzekł autor o obrączkach kolorowych Newtona, polaryzacyi Malusa i dyfrakcyi Grymal-

diego; zdanie to i jeszcze dwa znaki zapytania, a nakoniec porównanie tej części optyki z przelewaniem wody przez sitko, mają być dowodami nieważności tej tak pięknej i zajmującej części fizyki! Usprawiedliwiając się p. Ż. z tego że o nich nie wspomniał, mówi że szkoda czasu na ich wyłożenie, bo ich wyłożyć niepodobna (?).

Niktby zapewne za złe autorowi tego nie wziął, gdyby o tych fenomenach przemilczał, (wszakże i wielu innych tam niema); ale lekceważenie i wyrzeczenie takiego zdania autorowi fizyki nie przystoi. Tém p. Żochowski dowiódł, że poświęcając się fizyce, nie umie czić jej piękności. Dla umysłu badawczego, człowieka pracującego z zapałem każdy cierń napotykaný w nauce, jako dający pochop do nowych myśli, doświadczeń, jest przeciwnie, wielce interesującym. Co by to było gdyby wszyscy fizycy podzielali zdanie; wówczas ta nauka ograniczyłaby się na domysłach, marzeniach, a wiele jej części nie przedstawiających pola do podobnych wniosków, lub nie dających wprost zastosowania do życia społecznego, leżałyby odłogiem.

Na następującej stronnicy znajdujemy wątpliwości przeciw systematowi undulacyjnemu Dekarta. Piérwszy zarzut brzmi tak: „Czy można w wieku który zamiłował doświadczenia, opierać naukę na płynie urojonym, którego bytność przez samych stronników nie jest uznana, ale tylko przypuszczona?“ Na to odpowimy, że autor nie chciał pojąć znaczenia teoryi; prawda że teorye a więc i hipotezy we wszystkich niemal umiejętnościach noszą na sobie piętno dążeń wieku; lecz w naukach fizycznych teorya najmniej jest od tego wpływu zależna. Hypotezy w tych umiejętnościach mają ten tylko cel, abysprowadzić do jednego źródła różne fenomena, połączyć je prawami wyprowadzonymi z doświadczeń i tym sposobem zaprowadzić między różnorodnymi na pozór zjawiskami, pewien porządek, harmonią. Dobrze jest jeżeli zasada teoryizgadzania się z wyobrażeniami i dążnością wieku, wówczas łatwiej ona przystaje do nas; lecz w przeciwnym razie odrzucać jej dlatego jedynie nie należy. Wszakże ona w przy-

szłości może być urzeczywistnioną (str. 149 T. II). I jakkolwiek jest zasada teoryi, jeżeli tylko ona odpowiada warunkom wymaganym od każdej hipotezy, taka teorya zasługuje na uwagę i powinna być przyjętą, póki nowe doświadczenia jej nie zwałą, lub innéj lepszej geniusz nie wymyśli. Teorya ondulacyjna (nie zaś systemat) Younga i Fresnela przedstawia nam wprawdzie miejsca ciemne, ale to pochodzi po części ztąd, że teorya matematyczna, rozprzestrzeniania się ruchu w płynach sprężystych, nie jest jeszcze dobrze obrobiona; i chociaż ona z pierwszego rzutu nie zaleca się swą prostotą, zawsze jednak będzie najpiękniejszym pomysłem, jaki tylko umysł ludzki mógł wynaleść, dla zgrupowania tylu i tak różnych zjawisk. Często najstraszniejsze na pozór zarzuty, które przedstawiają trafunkowe odkrycia w optyce, zamiast ją osłabić przykładają się po ich gruntowném zbadaniu, do jej utrwalenia do tego stopnia, że nawet matematyczne odkrycia w przypuszczeniu téj hipotezy wyprowadzone, dały powód do nowych doświadczeń, które je prawie dotykalnie sprawdziły. I słusznie powtórzmy z Herszlem, że „jeżeli ta teorya nie jest prawdziwą, to zasługuje na to aby nią była.“

Zarzut drugi jest następujący: „czybyśmy mieli według tego systematu cień?“ Newton czyniąc ten zarzut stronnikom teoryi ondulacyjnej, uważał go za punkt o który się roztrąci cały utwór Dekarta. Przedstawił go tym sposobem: jeżeli głos przechodzi swobodnie naokoło ciał wystających, dlaczegóżby światło nie mogło przechodzić za przedmioty leżące na jego kierunku? Jeżeli wibracye płynu sprężystego wstrzymane przeszkodą mającą w swym środku otwór, przechodzą przez ten otwór na drugą stronę przeszkody, dlaczegóżby światło przecięte w swym kierunku podobną przeszkodą, nie mogło rozrzucać swych promieni z tego otworu, jak z nowego punktu świecącego? Na to odpowiedziano: że nie jest wcale dowiedzioném aby drgania płynu sprężystego z témże samém natężeniem we wszystkich kierunkach udzielały się otaczającym cząstkom, my więc *a priori* nie powinniśmy przypuszczać

aby wibracje za otworem były jednakowe we wszystkich kierunkach. To zresztą, że wibracje nie rozprzestrzeniają się we wszystkich kierunkach, dowodzi nam fakt że głos, chociaż jest skutkiem drgania płynu sprężystego (powietrza), przecięty w swym kierunku, zmienia swe natężenie; wszak łoskot pojazdu przy zakręcie na drugą ulicę znacznie się zmniejsza, dyapazon (po uderzeniu) obracany, różne tony wydaje, które są pauzami bezdźwiękowymi przedzielane etc. Jednakowoż, jak głos nie zupełnie ginie przy zawrocie pojazdu w drugą ulicę, tak i światło nie niknie zupełnie będąc przecięte w swym kierunku. Ztądto pochodzą fenomena dyfrakcyi, interferencyi, które autor tak lekceważy a które jednak tak pięknym są dowodem prawdziwości teorii Yunga — a ciosem dla teorii Newtona.

Cień według téj teorii, łatwo daje się wytłumaczyć, wychodząc z powyższego bardzo prawdziwego przypuszczenia, że wibracje w płynach sprężystych nie udzielają się we wszystkich kierunkach z jednakowym natężeniem. Na téj zasadzie jeszcze Huyghens wytłumaczył rozprzestrzenianie się światła po liniach prostych.

Na trzeci zarzut odpowiadamy to, że wytłumaczywszy prostolinijny kierunek światła, odbicie, złamanie się promieni i cała teorya instrumentów optycznych; będzie takąż samą jak w teorii Newtona; ten zaś punkt łatwo i wykreśleniem i rachunkiem daje się dowieść.

Czwarty zarzut jest czczym wykrzyknikiem.

W piątym znajdujemy oddawna istniejące pytanie: jak według téj teorii wytłumaczyć chromatyzm? Odpowiedź przed niedawnymi czasy dał Cauchy swym pięknym analitycznym rachunkiem; wypadki otrzymane z tego rachunku zgodne są zupełnie z doświadczeniami.

Na pytanie: czy skład anatomiczny oka jest taki jak ucha, aby funkcją tych części jednakowo tłumaczyć? możemy to tylko odpowiedzieć, że ucha z okiem co do wrażeń odbieranych zewnątrz za pomocą oscylacji płynów sprężystych, porównywać nie możemy; w pierwszym bowiem

przypadku wrażenia pochodzą od powietrza, płynu ciężkie  
So, w drugim od materji nieważkiej, jaką jest dotąd światło.

Przystąpmy teraz do najinteresowniejszej dziś części  
fizyki t. j. elektryczności i magnetyzmu. W tej części  
autor przyjmuje metodę wykładu historycznego i tym spo-  
sobem mięsza straszliwie przedmioty.

Pierwszy peryod do wynalezienia maszyny pneuma-  
tycznej, zawiera ogólne jej własności, i traktuje o instru-  
mentach do jej mierzenia, wzbudzania etc.; peryod drugi  
mówi o elektryczności przez wpływ (natchnienie P. Radwań-  
skiego); oba zaś te peryody podzielone są nie wiadomo dla  
czego, dwoma ustępami o magnetyzmie. Wszak dziś je-  
szcze nauka o magnetyzmie jest oddzielną od elektryczno-  
ści, chociaż z nią ma wielki związek w zjawiskach elek-  
tro-magnetycznych i magneto-elektrycznych. Jeszcze raz  
powtarzamy, że sposób historyczny do całej gałęzi „elek-  
tryczności“ nie da się zastosować, jeżeli chcemy nasz wy-  
kład dokładnym uczynić. — Dowiódł nam tego autor, mó-  
wiąc o kondensatorze, elektroforze, butelce lejdejskiej  
wprzód, nim trzymającemu się ciągu historycznego(?) wypa-  
dło mówić o elektryczności przez wpływ; — a czémże się utrzy-  
muje elektryczność na bokach butelki i w kondensatorze  
jeżeli nie przez wpływ?

Zrobimy tu także uwagę, że rozdział 12 o wpływie, jaki  
wywarł piorun uderzający w maszty okrętu angielskiego,  
na igły magnesowe, stosowniejszeby znalazł miejsce w elek-  
tro-magnetyzmie, jako dowodzący wpływu elektryczności  
na magnesy.

Rozdział 14 poświęca autor działaniu światła na ma-  
gnesy i dowodzi w nim, że działanie światła a szczególnie  
koloru fioletowego może magnesować igły. Fakt ten  
zupełnie dziś jest zaprzeczony; bo chociaż doświadczenia  
Morychiniego, Zante-deschi i Lady Somerville, dały powód  
do tego mniemania, jednak bardzo dokładne doświadczenia  
Moser'a i Riess'a zupełnie mu przeciwnie nakazały.

Na str. 179 mylnie autor twierdzi, że siły magnesów  
można porównywać z liczby oscylacyj w tymże samym  
czasie dokonanych; wiadomo bowiem że siły magnesów są  
w stosunku prostym kwadratów z liczby oscylacyj w pew-

nym czasie odbytych, lub w odwrotnym kwadratów z czasów potrzebnych na wykonanie jednego wahania. Na str. 185 autor mówi, że dotychczas biegunów magnetycznych nikt nie natrafił i że wszystkich jest 4. — Nadmienimy tu, że podróżując w stronach morza lodowego, Ross znalazł miejsce w którym kierunek igły magnesowej był pionowy pod szerokością  $70^{\circ} 5' 17''$ , długością zaś  $96^{\circ} 45' 18''$  na zachód od Greenwich — co zgadza się z dawniejszymi obserwacjami kapitana Parry. Inne trzy (jeżeli tylko istnieją dwa bieguny północne i południowe) nie są dotąd znane.

Traktując o stosie Volty, szkoda że autor zamiast oddzielnie cytowanych doświadczeń, nie wyłożył teorii stosu teraz istniejącej; tym sposobem (nie wiele nadwężając porządek historyczny) mógłby był łatwo wyprowadzić wnioski ważne i wszystkie fakta oddzielne powiązać, np. dlaczego przy rozkładzie chemicznym używać mamy stosu o wielu parach a dla podniesienia temperatury, o jednej parze ale znacznej powierzchni etc. Teorya ta Ohm'a pięknie obrobiona, powszechnie przyjęta i dająca rezultaty zgodne z doświadczeniami, zasługuje na to aby była wspomniana w dziełku, które ma reprezentować stan terażniejszy fizyki.

Elektro-magnetyzm zawiera elektro-dynamikę i termo-elektryczność; a i ta część nie zaleca się wykładem; pomimo licznych podziałów, trudno w niej porządek upatrzeć. Dziwi nas to tém bardziej, że ta część fizyki jest ulubioną autorowi, bo na wypadki z innych doświadczeń przez jęj szkiełko się zapatruje, co często daje powód do wielkich naciągów np. obrączki Newtona i Nobilego.

Czekamy zapowiedzianego przez autora dziełka, które wyłącznie téj części fizyki ma być poświęcone; może ono zdoła nas przekonać o mylności naszych sądów, bo w téj fizyce nie znajdujemy żadnych dowodów popierających mniemania szanownego autora.

Nie możemy tu przemilczéć o języku tego dziełka; wyznać wypada że przebija się w nim zbytni pośpiech, brak dokładności w wysłowieniach, nudna rozwlekłość błahych dowodzeń (str. 35), niefrasność porównań (str. 169

26, 103), mięszanie znaczeń wyrazów (ciepło, ciepłik) a nawet nieokreślanie ważnych terminów (str. 212). Zresztą, niektóre wysłowienia nie właściwe naszemu językowi, np. nie mówi się ciecz spada *przez* wysokość naczynia; *jak każdy przegląda*, zamiast jak każdy widzi, domyśla się; *bez pochiby* zamiast niezaprzeczenie, *ludzie wschodni* zamiast mieszkańcy wschodu; *Księżyc Jowiszów* zamiast Jowisza; *naślednik* zamiast następcza; *kąt niedokończony* zamiast kąt  $0^{\circ}, 180^{\circ}$ .

Wydanie tej fizyki jest bardzo dobre: zaleca się figurami w texcie, ale za to druk matematyczny bardzo niedokładny; co tém mocniej uderza, że przed tylu laty gdy drukowano prace Niemczewskiego, Polińskiego w Wilnie a nawet dawniej w Warszawie, druk ten nie wiele ustępował w dobroci zagranicznemu. A czego to jest skutkiem? Każdy odgadnie, S. P.



*Kobięta w stanie dojrzałości jaką jest i jaką być powinna, przez Juliana Weinberg Lekarza klasy pięrwszej. Część pięrwsza. Warszawa 1842 8vo, stron. 96.*

Żałujemy, że ta kobięta wyszła tak bardzo nie w czas, bo już ubiężona do celu przez inną nieskończenie powabniejszą, nieskończenie lepiej wyposażoną, a o której mówiliśmy w Bib. War. Tom II str. 406 r. 1842 Daruje nam autor iż biorąc, się do jego poważnej książeczki, do tego, jak sam powiedział, *działa we zeh częściach*, przemawiamy tonem, który mu zdać się może płochym. Jeśli błądzimy, to bardzo niewinnie; chcielibyśmy zastosować się do jego własnego humoru. Czy to bowiem nie jest jakieś poigranie z bożkiem wesołości? gdy nam w poważnym dziele stawi niewzruszoną tezę, że *wszystkie córki posiadają gorętszą jak synowie miłość dla rodziców*, [oprócz córek Króla Lyra (str. 75), że *człowiek rozkochany jest zazwyczaj nabożny* (str. 72), że *poeci pod-*



czas swojej weny są w stanie gorączkowym, i że, z Kra-  
szewskim, chcąc myśleć o niebieskich migdałach, trzeba się  
położyć? (str. 52) Alboż i to nie figle jowialności powie-  
dzieć, że miliony wymoczków z oddychalnem powietrzem i  
z najczystsza wodą połykamy? (XXI) że liście przez owad  
zakłóte zwijają się szybko? (str. 21), udawać niewiarę że  
piżmo traci na wadze ulotniając się, twierdzić że niemówię  
dochodzi piersi matki węchem (str. 40), nie umieć zgadnąć  
że woda jest ciałem bez zapachu? (str. 29) i t. d. Ale po-  
rzućmy żarty. Obok nich w dziele uczonego lekarza, jest  
wiele prawd najpoważniejszych. Ogłasza on np. że córki aż  
do wyjścia za mąż zostawać zwykły w domu rodziców (75),  
że grzeczność jest tylko uczynnością w rzeczach mniej-  
szej wagi i odpowiedziach (77), że ciało kobiety jest zu-  
pełnie gładkie, (37) i t. p. Są nawet twierdzenia zawil-  
ze, że kobieta kocha z miłości, mężczyzna z rachuby  
(73), że częsta ma być przyjaźń pomiędzy mężczyznami,  
częstsza od mężczyzny dla kobiety (?) (76). Szkoda że  
niektóre z prawd, jak np. że nauki kształcą rozum, osła-  
biają czucie (75), nie zostały wyłożone nam obszerniej.  
Tém mocniej żałujemy tego, że wykład autora jest oso-  
bliwy i zupełnie nowy. *Duma* (mówi on) *jestto znaj Pana*  
65). *We* wstępie kobiet dostatecznie się potwierdza le  
uste milieu francuzów. (1) *Bon ton* jest szkołą, gdzie nie-  
które kobiety większą część życia swego przepędzają (59) i t. d.  
Mimo to *extremum* usiłowań autora o jasność, nie możemy  
zostawić niektórych miejsc w jego książce, bez zapytań.  
Głównym podług niego znakiem ciała kopalnych jest nie-  
możność odrodzenia (XX). Jeśli przeto chcemy zdetermi-  
nować kamień, jak długo mamy czekać czy on nie wyda  
potomka? Ale najtrudniejszą było dla nas rzeczą zbadać  
dla kogo autor swoje dzieło przeznaczył. Dla kobiet. —  
A cóżto jest kobieta? — *Kobieta*, mówi, *niedochodząc lat*  
15 *jest dzieckiem, po upłynieniu zaś 45 nie jest kobietą.*  
(XXIV) Na inném znowu miejscu czytamy: *tylko podczas*  
*czynności organów swoich... kobieta jest kobietą.* (str. 20)  
Czemże więc jest podczas między-aktów tej dramy? Ale  
unikając tych pytań z pytań, przyjmijmy wreszcie, że  
kobiety są i że dzieło służyć ma dla nich. Któżby się

téż nie zreflektował czytając np. co autor na str. 4 mówi: „przystępuję teraz (są jego słowa) do skreślenia części kobiecie tylko właściwych. Niebędę ich atoli malował,.... ani wskażę tego zadziwiającego cudu przyrody.... dla kobiet opis podobny jest niepotrzebnym i t. d.“ Tu więc dopiero granica niewiedomości naszej, i odkrywamy dla czego to grzeczny autor tak chwali kobiety na str. 72 za to, że *nigdy nie wydawały wojen religijnych*, a w przedmowie wyznając, że *przedmiot o kobietach tak trudny, starał się właśnie dla nich zrozumiałym uczynić*, dodaje: „Nie chcę ja wszakże, płci piękna, tém ostatniém wyrażeniem tobie ubliżyć, owszem jak dowiodę w niniejszém dziele, pojęcie kobiet jest wielkie.“ Nie miałże, przebóg! obawy że to wielkie pojęcie zrozumie jego nieufność gdy dosięgnie końca przedmowy? Co do nas, pragnąc i nie-utrącić praw do *szlachetności i cywilizacyi* i nie chcąc się *złotą zabrudzić*, wyznamy *sine ira et studio*, żeśmy się na téj książce mocno zawiedli. Rozumieliśmy bowiem, że pod tyt. *kobieta jaka być powinna*, da nam autor dobrą obywatelkę, lub dobrą matkę. Co innego tu wcale. „*Piękna kobieta* (mówi) *powinna mieć około 64—66 cali wzrostu* (str. 1) a *wzrok u możniejszych kobiet jest krótki* (32). Dlaboga! wszak to nasze drobne i chudopacholskie piękności, tą natchniętą nauką, każą się brać na dobrowolne tortury i ślepić! Być wszakże może, iż to jeszcze jakies *qui pro quo*, ale kiedy na str. 33 czytamy wyraźnie, że do *powiększenia zgrabności i powabu w ruchach kobiet, nie mało się przyczynia chęć podobania się, a złąd częste przeglądania się w zwierciadłach* (33) hoła! zawołamy, w tém spekulacya nie piśmiennictwa; to jest jawny zakrój na zbałamucenie nam niewiast. Nie damy czytać, i nie chcemy téj zapowiedzianej części drugiej dzieła, (1) w której się ma zjawić coś straszliwszego jeszcze, ten *człowiek jako kobieta...*

X.

(1) Część druga już wyszła z druku.



*Barwinki poezye Maurycego W. Wilno drukiem Józefa Zawadzkiego 1842 8vo, str. 132.*

Zbiór wierszy ulotnych nowego autora którym z grzeszności nadano napis: Poezye. Są to wiersze w zupełnej spokojności serca składane, nie znajdzie w nich czytelnik ani myśli nowych, ani zapału poetycznego, a tém mniej twórczego ducha bez którego niema poezyi. Cała zaleta p. Maurycego W. że dykcya jego dość płynna, wiersze z łatwością składane i czasem obrazkami zręcznie przedstawionemi przyjemność czytelnikowi stara się zrobieć. Niekiedy przebijają w wierszach uczucie, lecz to w najmniejszej dozie i bardzo rzadko. Najlepsze z prac tych poetycznych są tłumaczenia jak naprzykład, wiersz następujący:

### POWRÓT MAJTKA

(Włoskiego).

— „Wstań, wstań Bepitto! — już się na wschodzie,  
Błękitne morze rumieni;  
Już srebrne wieże w sąsiednim grodzie,  
Błyszczą od słońca promieni;  
Już i słowiczek pod twém okienkiem  
Tkliwymi nóci zapoje;  
Róża czarownym zakwita wdziękiem,  
Tulipan rozplotł zawoje.“ —

— Zimne mi słońce, mętne mi morze,  
Nudna mi ta ptasząt radość;  
A tulipany, czarowne róże,  
Czyż skraszają twarzy mej bladeść? —  
Pozwól, o mamó! Beppi strapionej,  
Niech nad niedolą swą szlocha; —  
Mamó! ja wierzę wróżce uczonej  
Już mię Alkary nie kocha!... —

### II.

— „Wyjdz, wyjdz Bepitto! — już lud podróżny  
Do świętej zbiegł się kaplicy; —  
Już ze mszą wyszedł kapłan pobożny,  
Przed ołtarz Boga-rodzicy; —  
A u przystani radzi majtkowie,  
Witają szczęsnej rodzinie;  
Pytaj... a może który ci powie:  
Kiedy twój majtek nadpłynie“ —

— Niéma już dla mnie kaplic ni święta,  
Wszak mię modlitwy zawiodły; —  
A te ładowne złotem okręta,  
Czyż mi Alkara przywiodły?.,.  
Pozwól więc Beppi, mammo kochana,  
Niech się w tęschnocie swój smuci; —  
Mamo! ja wierzę słowom Cygana:  
Już mój Alkary nie wróci!.. —

### III.

— „Ciesz się, Bepitto! — już twój Alkary  
Z zamorskiej powrócił dali;  
Wierny, pamiętny, przywiózł ci dary;  
Z pereł i drogich koralu. —  
Już i u progu družki, młodzieńce,  
Godową nocą piosenkę;  
Pomarańczowe spletają wieńce,  
Słubną ci szyją sukienkę“ —

Ale Bepitta nie odpowiada,  
Słodkiej wieści niesłyszała;  
Jak narcyz zwiedły smutna i blada,  
Zwiesiła głowę; — czy spała?  
Zczeszniej Cyganie, zgiń wróżko płocha!  
Przekleństwo tobie i tobie!... —  
Alkary wrócił, Alkary kocha,  
Ale Bepitta już w grobie!...



### *Pisma peryodyczne w Warszawie w r. 1842.*

W roku zeszłym dwadzieścia trzy pisma peryodyczne, wychodziły w Warszawie: z tych, sześć politycznej treści to jest: 1) Gazeta Rządowa, 2) Kurjer Warszawski, 3) Gazeta Codzienna, 4) Gazeta Warszawska, 5) Gazeta Powszechna i 6) Le Glaneur de Varsovie; — jedenaście treści literackiej i naukowej: 1) Pamiętnik Religijny, 2) Pielrzyń, 3) Jutrzenka, 4) Przegląd Warszawski, 5) Roczniki krytyki, 6) Przegląd Naukowy, 7) Pamiętnik literacki (ndodatek do Gazety Powszechnéj), 8) Kmiotek, 9) Magazyn Mód, 10) Feuilleton du Glaneur (dodatek do dziennika politycznego Le Glaneur de Varsovie), 11) Biblioteka Warszawska; — sześć technicznych poświęconych wybra-

nemu oddziałowi nauk: 1) Rocznik Gospodarstwa krajowego, 2) Sylwan, 3) Ziemianin, 4) Pamiętnik towarzystwa lekarskiego, 5) Gazeta handlowa i przemysłowa (dodatek do Gazety Codziennéj) 6) Korrespondent handlowy, przemysłowy i rolniczy (dodatek do Gazety Warszawskiéj). — Gwiazda pomysłowości nie każdemu z tych pism świeciła, chociaż nadzieja wszystkim była wierną. Największą walkę z losem wytrzymać musiały pisma nowo w tym roku urodzone. Jedne z nich znikły, inne istnieją dotąd i nie ustają w pracy. Każde usiłowanie ku wzniesieniu literatury, nauk i upowszechnieniu wiadomości pożytecznych zasługuje na wzgląd publiczny; a tém większej godną jest pochwały praca podejmowana dla utworzenia dzienników krajowych, tych silnych i tak ważnych organów które podnoszą i kształcą umysł czytelników. Nie można żądać aby pisma peryodyczne za pierwszym zjawieniem się już pod każdym względem zaspokoily żądania czytelników. Sam tylko czas i doświadczenie utworzyć mogą dzienniki odpowiadające w zupełności potrzebie miejscowej i godne wieku w którym żyjemy. Każde więc pismo peryodyczne jakikolwiek jest ono zjawiskiem, pod względem kierunku i zdolności piszących, zawsze pewien przynosi użytek, a nawet upadek jego pozostawia naukę dla wydawców jak w tym zawodzie postępować należy. Podając teraz wiadomość o pismach peryodycznych w roku zeszłym wydawanych w Warszawie, pragniemy zwrócić uwagę publiczną na tę część piśmiennictwa naszego i powołujemy się zarazem na artykuł w Bibliotece Warszawskiej z r. 1841 (tom II. str. 809 — tom III. str. 468) gdzie bliższe szczegóły o niektórych są zamieszczone.

### *Pisma peryodyczne politycznej treści.*

1. *Gazeta Rządowa* jak w pierwszym dniu swéj publikacyi (r. 1839) tak i dotąd zatrzymuje ten sam cel i powierchowność. Jest to dziennik rządowy, poważny, miéści w języku rossyjskim i polskim wiadomości polityczne; a prócz tego wszelkie postanowienia rządowe, obwie-

szczenia sądowe i administracyjne; niekiedy artykuły historyczne i statystyczne.

2. *Kurjer Warszawski*. Dziennik który zdaje się być wyłączną własnością Warszawy, jak od lat dawnych tak w ubiegłym, był ciągłym ulubieńcem miasta, zawsze tak zwanym przez Warszawian *Kurjerkiem*. Zdarzenia polityczne, nowiny ze wszystkich stron, wiadomości wszelkiego rodzaju sypały szczerze dla czytelników; przytęm rzucał anekdoty, dowcipne ucinki, opowiadał wypadki i uwagi z których nauka moralna przylegała do ludu. Kurjerek zawsze gotowy z wszelką dla każdego pomocą, zawsze uprzejmy, a dla dam uprzedzający, unika najmniejszej nawet obrazy i jak zwykle tak w roku zeszłym zachował zawsze ten sam takt sobie właściwy, postępując w granicach raz już oznaczonych. Przy takich przymiotach powodzenie Kurjerka znakomite wzrasta co dzień. Pomnażają mu się pracownicy, których on stworzył lub wywołał. Prawie każdy wypadek w naszym kraju ma naoczego świadka, który go natychmiast jaknajwierniej i po swojemu opisuje; dla przesłania opisu nie gdzieindziej jak do Kurjerka. Lecą więc pocztą i zewsząd artykuły o osobliwościach, o nadzwyczajnych zdarzeniach, co większa same zdarzenia osobiście przed Kurjerkiem stają, jako to: olbrzymia brukiew, kręcone i rozrosłe kartofle i t. p. Wiadomości pisma tego nie tylko obudzają ciekawość lecz stanowią już pewien rodzaj powagi. Tym sposobem Kurjerek już zupełnie przyrósł do swojej publiczności i odrywać go od niej bez bolesnej rany nie podobna. Redakcją Kurjera jak od r. 1821 tak dotąd zajmuje się p. *L. A. Dmuszewski* zasłużony w literaturze naszej.

3. *Gazeta Codzienna*. Dziennik ten polityczny przeznaczony został dla mieszkańców wsi i od nich pospolicie *Gazetką* zwany. Jak przy początkowym zakładzie *Gazety Codziennej* głównym jej celem było przedstawiać w prawdziwem świetle i najtreściwiej wszelkie najważniejsze wypadki polityczne i prowadzić ich wątek rozumowo, tak dotąd redakcyja stara się usilnie odpowiedzieć zamiarowi temu. W roku zeszłym w krótkich obrazach miesięczną gazetę sprawy polityczne, oddając w rozmaitościach

obszerniejsze co do niektórych wypadków wyjaśnienia. Rozmaitości obejmowały nadto artykuły z oddziału literackiego już to przekłady już oryginalnie pisane; z tych niektóre zajmowały mocno czytelników jak np: Skok śmiertelny, Nieznośny stryjaszek, powiastki z życia Napoleona i t. p. Zjawiają się tu także i recenzye a szczególnie o sztukach na scenie naszej przedstawianych, które niewykazują właściwego stanowiska w zawodzie estetycznym a zdania w nich nie odznaczają się trafnością. O dodatku Gazety Codziennej wychodzącym pod tytułem: Gazeta handlowa i przemysłowa, nadmienimy w trzecim oddziale pism peryodycznych.

4. *Gazeta Warszawska*. Najlepszy ze wszystkich dzienników politycznych jakie dziś wychodzą w Warszawie. Najdawniejsze to pismo peryodyczne polskie przed dwoma laty bliskie upadku, staraniem terażniejszego redaktora p. Ant. Lesznowskiego nagle się wzniosło i coraz większego doznaje powodzenia. Powód takowej zmiany był zaraz w początkach widoczny. Pod nowym redaktorem Gazeta przyjęła inne przeznaczenie i stanęła zaraz na wyższym stanowisku. Gazeta Warszawska w obszernych szpaltach swych przedstawia toczące się wypadki i nie tylko opisuje same czyny, lecz razem wykazuje towarzyszące im namiętności i odcienia myśli, która jak wspaniała rzeka płynie przez wszystkie kraje, porywając i unosząc w swym biegu wszelkie zawady. W roku zeszłym Gazeta Warszawska mieściła w części politycznej zdarzenia według wyborowych dzienników niemieckich i francuzkich, w rozmaitościach przedstawiała obszernie artykuły ważniejszych kwestyi politycznych dotyczące, przegląd dzienników francuzkich i wiadomość o osobach znakomite zajmujących miejsce w historii współczesnej. Z artykułów tych przed innemi zwracały uwagę: Odilon Barrot, Maugin, Berryer, Molé, Marszałek Soult, książę Broglie, Chateaubriand, Lord John Russell, Sir Robert Peel, Karol XVI Król Szwedzki (Bernadotte) i t. p. również jak: Francuzka Izba deputowanych, Polityka Francyi od r. 1830, Monarchia Afganów, Grecya i Turcyja, Dziennikarstwo w Szwajcaryi, w Hiszpanii, w Atenach it. p.

W tej formie Gazeta nietylko podaje czytelnikom swoim dokładną wiadomość o wszystkiem co tylko wiek nasz obchodzi, lecz kształci umysły rozumowym wykładem najważniejszych wypadków. Wśród artykułów politycznych napotykamy w dzienniku tym obszernie recenzye sztuk przedstawianych w teatrach warszawskich i wiadomości o artystach, koncertach i t. p. Recenzye te są tylko dowodem pracy zabiegłego wydawcy, lecz nie mają wartości. Żałować przytém należy, że przy takich zaletach dziennika nie widać dotąd artykułów któreby bliżej miejscowość lub kraj nasz dotyczyły i że literatura nasza jest zupełnie w nim pominięta.

Przy Gazecie Warszawskiej jako dodatek wychodzi Korespondent handlowy i przemysłowy. O piśmie tém damy wiadomość mówiąc o dziennikach technicznych.

5. *Gazeta Powszechna* pod redakcją p. K. Witte z d. 1 stycznia r. z. rozpoczęła swe istnienie i z d. 1 paździer. t. r. przestała wychodzić. Dziennik ten nie miał charakteru oddzielnego, obejmował, tak jak inne, wiadomości polityczne, a prócz tego w osobnym oddziale artykuły treści rozmaitej z życia społecznego i z literatury. Przy Gazecie powszechniej wychodził dodatek: Pamiętnik literacki, o którym wspomnimy w właściwem miejscu.

6. *Le Glaneur de Varsovie*. Pismo polityczne w języku francuzkim wydawane przetrwało cztery miesiące: od d. 1 stycznia roku zeszłego do 1 maja. Przedstawiało w części politycznej: rozporządzenia rządowe i wypadki bieżące; prócz tego w rozmaitościach: doniesienia o modach, ucinki, anekdoty szarady i t. p. Dla części literackiej dziennik ten miał osobny dodatek, pod tytułem: Feuilleton du Glaneur o którym damy wiadomość przy piśmie literackich. S.





*Pisma peryodyczne treści literackiej i naukowej.*

7. *Pamiętnik Religijno-moralny, czasopismo ku zbudowaniu i pożytkowi tak duchownych jako i świeckich osób: w Warszawie, w drukarni J. Glücksb erga, in 8vo.*

W przeciągu ostatniego dziesiątka lat, za obudzeniem się ducha religijnego, ukazały się pisma czasowe duchownej treści w języku polskim. Ksiądz Korczyński późniejszy biskup Przemyślski zaczął je chwalebnie w Galicyi wydawaniem w r. 1833 dziennika teologicznego pod tytułem: *Przyjaciel Chrześcijańskiej Prawdy*. Kanonik Jabczyński w r. 1836 wielce się zasłużył duchowienstwu i publiczności katolickiej w Poznaniu, ogłaszając wyborne swoje archiwum teologiczne. Ale żarliwe i przekonywające głosy obu tych uczonych mężów krótko brzmiały. Nie chcemy dochodzić przyczyn dla których umilkły, boby nam przyszedł na myśl brak prenumeratorów, na wspomnienie czego wzdrygamy się, woląc raczej zaniechanie tych pięknych usiłowań przypisać osobistym okolicznościom wydawców. Bacząc na istotną potrzebę wznowienia w języku naszym takiego rodzaju pisma, któreby pasterzy kościołów wiejskich pozbawionych łatwości nabywania ksiąg zbawiennie oświecało, któreby w chwilach spoczynku po pracach w owczarni zbawienną rozrywkę im przynosiło, a świeckich ludzi żądających pokarmu dla uczuć religijnych, pożytecznie zajmowało: wydawca Pamiętnika Religijno-moralnego nie wahał się pomimo trudności i różnych względów pójść w ślady swoich poprzedników. Sama myśl utworzenia takiego czasopisma dla tak licznego duchowienstwa w kraju, i pracowania na polu dotąd zupełnie odłogiem leżącym, jedna już niepospolitą chwałę dla tego który ją powziął; wykonanie dzieła okazuje że przedsięwzięcie nie było nad siły. Cel tego czasopisma i obręb wykładających się w niem przedmiotów, jest widoczny. Sam wydawca wyraża to na końcu przemowy swojej do pierwszego tomu w takich słowach. „Zakres Pamiętnika Religijno-moralnego nie dozwoli nam wprowadzić w obszerne scyentyficzne, dogmatyczne zapuszczać się rozprawy; on ma inne przeznaczenie: przeznaczenie

aby przypominać wielkie i wzniosłe prawdy, odślaniać ich prawdziwą godność, być jakby ciągle na straży i donosić o wszystkiem co obchodzi ludzkość, co przyczynia się do udoskonalenia i uzacnienia człowieka! a wiadomość w tym względzie nietylko we własnych, lecz i w zagranicznych czerpać będzie spostrzeżeniach; samoistne jednak myśli i czucia, mają w nim przeważać.“ Zamiarem więc było wydawcy uczynić pismo swe do powszechniejszego pojęcia przydatnem, a razem nie odrzucając pomocy dzieł obcych, głównie oprzeć się na talentach, nauce i gorliwości krajowych pracowników. Bezwątpienia takim sposobem przyczyniać się do rozkrzewiania prawd religii i zasad moralności u nas, jest to pojąć trafnie prawdziwe usposobienie czytelników krajowych w terażniejszym wieku. Zdaje się jednak że z trudnością przychodzi dla wydawcy na własnej niwie zbierać dojrzałe owoce, i dla tego nie dziwimy się że najobfitszych i najpożywniejszych zasiłków do pracy swojej szuka w bogatym źródle pism czasowych i celniejszych dzieł treści duchownej, które dziś z taką dzielnością powołują Francją na łono wiary i chrześcijańskiej moralności. Najprzedniejsze artykuły Pamiętnika Religijno-moralnego są z nich czerpane, dwojaki pożytek niosąc czytelnikom naszym; jednych bowiem silnie umysł zajmują i podnoszą, drugich zachęcają do szlachetnego naśladowania i spółubiegania się w zawodzie, niestety! tak długo najniešťuszniej u nas zaniedbanym.

Główniejsze podziały przedmiotów pisma o którym mówimy, są: *obrzędy i zwyczaje kościelne, patrologia, wymowa kaznodziejska, literatura czyli piśmiennictwo duchowne, historia kościelna i żywoty świętych, oraz kapłanów.* W pierwszym z wyliczonych oddziałów, który dla świeckiej publiczności jest prawdziwem światłem, odkrywajacem mu początek obrzędów i pamiątek religijnych, piękny jest i poruszający obraz dnia zadusznego, dobrze wytłumaczony z dzieła księdza Gaume: *Catéchisme de Perseverence*; wykład zaś znaczenia litanii przez ks. J. K. Mętlewicza oryginalnie napisany, należy do nader ciekawych i nauczających wiadomości o zwyczajach kościoła katolickiego. W patrologii ks. M. Jeźowski odważył się tłumaczyć

z greckiego przedziwne i wiekopomne dzieła Ojców SS. Jest to niejako hasło dane innym filologom duchownym do większego doskonalenia się w starożytnym i najpiękniejszym języku, a tyle potrzebnym dla uczonych księży: hasło które pobudzić może tych znowu, co wypracowawszy przekłady polskie z oryginału greckiego lub łacińskiego, ociągają się z ich ogłoszeniem. Wymowa kaznodziejska znakomity ma udział w przedmiotach objętych zakresem Pamiętnika. I słusznie, bo możeż co silniej wpływać na poskromienie wad i występków ludzkich, jak wymowny głos żarliwego kaznodziei? Wyznajmy jednak szczerze, że w ogólności ubodzy jesteśmy za naszych czasów w znakomite na tém polu talenta, że działanie kazalnicy dotąd jest bardzo słabe, a wymowa kaznodziejska ta potężna siła i najpiękniejsza prerogatywa ministrów kościoła, nie obudza jeszcze takich uczuć, jakie powinna i jakieby mogła wzniecić w sercach chrześcijańskich. Jednakże i tu usiłowania wydawcy Pamiętnika nie są bezowocne. Z kazań oryginalnych w tém piśmie umieszczonych, najlepsze jest: „o potrzebie i środkach poskromienia namiętności, zastosowane do wieku młodzieńczego.“ Nauka mądra i przekonywająca, silnie i bacznie wyłuszczone. Również kazania ks. Mętlewicza nie gorzące wprawdzie wielkim zapałem kaznodziejskim, niemające może tego zupełnego namaszczenia, jakiego przykład zostawili nam wielcy mówcy kościoła, pełne są jednak pięknych prawd i okazują niepospolity talent pisarski. Z tłumaczonych celuje nad wszystkie inne: „kazanie ks. Muzarelli Teologa Rzymskiego miane na uroczystość SS. Piotra i Pawła“ nacechowane całą dzielnością ducha apostołskiego, okazałem wystawieniem i zgromadzeniem potężnych dowodów na poparcie swego założenia. Po niém, zdaniem naszym, idzie prześliczne „kazanie księdza Boissière na święto Przemienienia Pańskiego, o wielkości Jezusa Chrystusa“ — pełne pociągającej wymowy, wielkich pomysłów i bogate w obrazy prawdziwie wzniosłe. Przekłady obu tych kazań wzorowie są wykonane przez ks. L. T. Tenże sam pracowity i zdolny tłumacz skrócił bardzo pożytecznie, ale zanadto wia-

le; piękne kazanie Bourdaloue na dzień Trzech Królów. W oddziale piśmiennictwa duchownego najwięcej zajmuje czytelnika polskiego wyborna rozprawa prof. Dominika Szulca: „O wieku Bolesławowskim pieśni Bogarodzicy.“ Jest to śmiało możemy powiedzieć, najpiękniejszy krytyczny materiał do pierwiastkowych dziejów chrześcijaństwa w Polsce. Pan Szulc żadnemi marzeniami tak zwykłemi badaczom historyi nie uwodząc się, bystro wniknął w starożytne dzieje słowiańszczyzny zachodniej, i dowody swoje ugruntował na rozważném ich wyczytaniu i pojęciu. Uczony ten współpracownik Pamiętnika, ozdobił go jeszcze inną swojego biegłego pióra rozprawą: „o prawdziwości napisu grobowego Bolesława Chrobrego,“ a chociaż nie we wszystkiém zdanie jego co do tej rzeczy podzielamy, powinniśmy jednak oddać sprawiedliwość ważnym postrzeżeniom, jasnemu wykładowi i głębokiej erudycji autora. Historia kościelna obejmuje bardzo słusznie same tylko wiadomości dotyczące kraju, co bezwątpienia nadać może w przyszłości Pamiętnikowi wartość źródłowego pisma, do którego dziejopisowie będą się odwoływali. Najobszerniejszym artykułem tego oddziału jest: „krótka wzmianka o zgromadzeniach zakonnych w Polsce przez ks. P. S., rzecz niedostatecznie wypracowana i ze znanych nawet źródeł niezupełnie wyczerpana. Najlepiej tu są obróbite wiadomości o Dominikanach, Reformatach i Augustyanach; niedbale o Misyonarzach, Franciszkanach i Bernardynach. Zawsze jednak sam wybór przedmiotu zasługuje na pochwałę. Może autor nieznajując się w przyjaznych do takiej pracy okolicznościach, chciał tylko dla innych ułożyć skazówkę w tak ważnym przedmiocie. Zyczylibyśmy więc, żeby ktokolwiek z miłośników historyi kościelnej krajowej mając już nic, wziął ją za osnowę szczególnego dzieła. Wszakże archiwa klasztorne i dyecezalne nie mogą być nieprzystępne dla gorliwego i wytrwałego dziejopisa. Lepiej się wziął do rzeczy ks. Jakób Piasecki w swoim opisanu klasztorów i kościołów ks. Franciszkanów prowincyi polskiej, gdzie po krótkiej chronologii fundacyj franciszkańskich w Polsce, pracowicie i z wielką dokładnością podał

dotąd ciekawe ich opisy w Krakowie i Zawichoście. Wszakże i ten nie uniknął zarzutów; pomimo bowiem wzmianki na tytule o klasztorze krakowskim, nie znajdujemy wiadomości o nim w samym opisie. Prócz tego wymieniając z taką troskliwością wszystkie szczegóły o kościele, dla czegoż nie było zajrzeć głębiej do archiwum klasztornego i nie powiedzieć coś o nadaniach i funduszach zgromadzenia. Są to wiadomości do składu całej historyi zakonu wchodzące, a do ogólnych dziejów kościoła polskiego konieczne. Autor jako Prowincyał i Naczelnik swojego zgromadzenia łatwo mógł tego dokazać. Niemniej jednak hołd mu należy złożyć jako światłemu kapłanowi, który ośladza sobie samotność klasztornego życia, pracując nad dziejami własnego zakonu i wstępując w ślady Jaroszewicza, Nowomiejskiego, Ostrowskiego, Damalewicza, Szczygielskiego i innych historyków naszego kościoła. Między opisami kościołów celują jeszcze w pamiętniku: Opatów pod względem religijnym przez Tymoteusza Lipińskiego, jako bardzo ciekawa i dokładna wiadomość o dwóch tego miasta świątyniach, i opis kościoła katedralnego w Sandomierzu, przez księdza Melchiora Bulińskiego. W oddziale żywotów kapłanów znajduje się: „wzmianka o życiu Biskupów Mazowieckich czyli Płockich, przez W. H. Gawareckiego.“ Pracowita jest to chociaż bardzo sucha wiadomość, która może być jednak przydatną do ułatwienia poszukiwań dla przyszłych pisarzy historyi kościelnej w Polsce. Znany już autor oddawna z licznych pism swoich podobnego rodzaju, sam wy dobył z pewnych źródeł żywoty piętnastu Biskupów, gdy poprzedzających Stanisław Łubiński był biografem.

Prócz wyżej wymienionych oddziałów, są jeszcze w pamiętniku bardzo ważne wiadomości statystyczno-historyczne kościoła w ogólności i duchowieństwa ty czące się. Tu z upodobaniem każdy przeczyta obraz Rzymu uważanego „pod względem zakładów moralnych i dobroczynnych oraz ich zasady.“ Jest to wyjątek ze wstępu do obszernego dzieła, o zakładach publicznych dobroczynności i początkowej instrukcyi w tém mieście, przez Mo-

*richini* napisanego. Autor odłożywszy na stronę wszystkie osobliwości i pomniki starodawnego Rzymu, postanowił obeznać świat czytający z obecnym stanem tej wiekopomnej stolicy, który jest mniej może znanym niż wszystkie jego starożytności, a godnym ze wszech miar uwagi ludzi myślących. Tłumacz P. A. Zyszkiewicz, którego wszystkie bezimienne przekłady w Pamiętniku odznaczają się wiernością i pięknym językiem, bardzo zręcznie we właściwym sobie sposobie ułożył ten obraz dobroczynności nowego Rzymu, nie pilnując się bynajmniej dosłownie oryginału; czem się nie mało przyczynił do zalety pisma, jako gorliwy współpracownik wydawcy.

Te są przedniejsze pisma zalecające Pamiętnik Religijno-moralny nie tylko duchownej ale i świeckiej publiczności. Z naszego stanowiska nie mogliśmy obszerniej zastanawiać się nad przedmiotami w nim zawartemi, zostawiając właściwszym sędziom dostateczniejszą o nim krytykę. Mamy nadzieję że gorliwy o dobro publiczne wydawca Pamiętnika, oceniając bezstronne zdanie nasze o jego piśmie, i sąd tych co je poprzedzili, nie odrzuci bezwzględnie uwag jakie się nam nastęrczyły, a godząc różne mniemania recenzentów z możliwością zasobów swoich piśmiennych, pomnoży starania ku coraz większemu udoskonaleniu w chwalebnych zamiarach rozpoczętego pisma.

Dotąd wyszło trzy tomy Pamiętnika i trzy poszyty czwarte. Życzymy z serca, żeby liczba ich posuwała się do najodleglejszego kresu.

M. B.



8. *Pielgrzym pismo poświęcone filozofii history i literaturze w Warszawie w drukarni Banku Polskiego 1842.*

Trzy oddziały na tytule Pielgrzyma wymienione nie równe w nim zajęły miejsce. Kiedy zaledwie od czasu do czasu pojawi się w tym piśmie jaki wyciąg z nowego dzieła lub przekład artykułu do historyi odnieść się dają-

cy, to filozofia i literatura w równych częściach prawie podzieliły między sobą karty Pielgrzyma.

W Literaturze nie odznacza się Pielgrzym żadną nową dążnością.

Całą ważność Pielgrzyma stanowi oddział filozoficzny. Według prospektu na rok bieżący zamiarem było Szanownej Redaktorki obznajmić czytelników swoich w pierwszym roku istnienia pisma, z jego zasadami. Cel ten nie zdaje nam się przecież aby był dopięty. Rozwinięcia zasad nadaremnie szukaliśmy w całym piśmie. Numer po numerze przeglądaliśmy Pielgrzyma, ślad w ślad szliśmy zanim: cóżemy ujrzeli w ciągu tej trudnej nie raz i mozolnej wędrówki? Polemikę — wszędzie i zawsze tylko polemikę. Duch polemiki tak owładnął Pielgrzymem, iż nawet w materii w której ustaje spór wyznań i uczucia ludzkie w najpiękniejszej łączą się harmonii, w artykułach o dobroczynności publicznej, pielgrzym znalazł pole do walki, chmurę gorzkich wyrzutów jakby strzały jadem zaprawne, wysypał na przeciwnych swoim widokom, samo uczucie miłości chciał złożyć na stosie ażeby większy pożar rozniecić: ale czy wiatru nie było, czy materiał niepalny, dość że płomienia nie widać i tylko dym czasami czuć się daje.

Ta polemiczna dążność daje powód do tém głębszego zastanowienia, że na samym wstępie Pielgrzym uroczystie oświadczył, iż polemika na jego stanowisku prowadzona „żadnego wpływu wyrzucić a nawet wcale miejsca mieć niemoże“ (str. I i II Nr 1). Cóż więc zwróciło kroki pielgrzyma w stronę przeciwną tej, w którą iść zamierzał? Zaiście nie przeciwnicy. Pielgrzym ciągle zdawał się wyzywać. Nikt wyzwania jego nie przyjął. Pozostaje więc w stanowisku pielgrzyma szukać wytłumaczenia zagadki.

Jeżeli gdziekolwiek polemika przeważać zaczyna i zamiast podrzędnego główne miejsce sobie przywłaszcza, jest to nie mylnym dowodem, że ci co ją prowadzą nie wyszli za obręb dążeń zaprzecznych (negatives) i nie posiadają własnego wyrobionego systematu; w przeciwnym razie woleliby raczej, czas i pracę poświęcić rozwijaniu swoich zasad niż zbijaniu cudzych. Ostatnie to zatrudnienie ni-

komu miśm być nie może. Jleż więc kosztować musiało osobę tylu przymiotów duszy i takiej szlachetności serca co !Szan: Redaktorka nim sobie ten niewdzięczny obrała zawód? Nie brakło jej wszakże po drodze przychylnych i roztropnych doradców.

W artykule pełnym rozwagi i taktu Pan M. Gr: (w Tygod: Petersb. Nr 55. i 56) starał się odwozić Pielgrzyma od zbytecznej polemiki, a głos jego tém więcej do wysłuchania miał prawo, że pochodził od osoby przyjaznej stanowisku Redaktorki. Pomimo to pielgrzym nie przestał być polemicznym bo konieczność która go zmuszała była, powtarzamy, koniecznością stanowiska. Rozpoznamy je bliżej.

W naszych czasach nauka i wiara pozornie przynajmniej nie w jednej się rzeczy różnią; taic to nie zapobiegłoby złemu, zaprzeczać, pogorszyłoby stan i tak dość przykry. Cóż więc zostaje? zostaje piękna i ważna rola dowieść istotnej ich zgodności, wykazać że z sobą sprzeczne być nie mogą, że prawda w prawdzie znajduje sprzymierzeńca, pojedyncze wypadki których pojednać nie możemy zostawić czasowi który sprzeczności na pozór nierozwiązalne w postępie swoim łagodzi i usuwa.

Takie zadanie podjął w końcu 17 stolecia Leibnic. Wielki ten filozof którego Pielgrzym woli chwalić niż naśladować, oświadcza iż rozum nigdy się nie myli, jeżeli tylko pod tym wyrazem rozumiemy nie władzę rozumowania na chybił—trafił, ale rozumowanie ścisłe i na zasadach oparte; mówi on dalej, że w walkach rozumowych, rozum tylko być sędzią i o prawdzie lub fałszu twierdzeń stanowić może, ujmuje się on za jednością tej władzy: według niego rozum dostał się wszystkim w udziale, bo jeśli ma służyć za środek porozumienia się między ludźmi, to musi być u wszystkich jednakowy. Odrzuca wreszcie Leibnic zdanie, które utrzymywał Franciszek Veron: jakoby dochodzenie prawdy rozumem, kończyło się na sceptycyzmie i okazuje świadectwem najślawniejszych teologów (np. Belarmina) jak mylne pod wszelkimi względami jest takie mniemanie.



Leibnic twierdzi jeszcze, że prawda objawiona nie może być przeciwną prawdzie rozumu; a jako człowiek religijny wynurza przekonanie że nikt w świecie téj sprzeczności dowieść nie zdoła (1).

Tak w 17 wieku wielki filozof bronił zgodności wiary i nauki i zaiste [wiara na téj] obronie źle nie wychodziła. Czy takie jest działanie pielgrzyma, czy zamiast ją gasić nie rozpala raczej pochodni niezgody? czy zamiast iść torem Lejbница nie wstępuje w ślady Franciszka Verona? czy nie przyjmuje w brew logice i zdrowej psychologii że są rozumu jakby dwa gatunki, jeden przez pychę obłąkany, drugi pokorą oświecony? czy nie odrzuca sądu rozumu mieniając go stroną w swéj sprawie, nie niszczy węzła między ludźmi odmawiając im możności porozumienia się i ztąd ogłaszając polemikę za nie mogącą mieć miejsca?

Wszystkie te pytania oddajemy pod Sąd czytelników. Z odczytania Pielgrzyma powezmą oni zda nam się to przekonanie, że niema ani jednego prawie ze zdań wyżej przywiedzionych Leibnica, któremuby przeciwnego pielgrzym nie utrzymywał.

Jeżeli pielgrzym na poniżeniu rozumu zwycięstwo swoje zakłada, ciekawą jest rzeczą zbadać powód téj zatargi. W téj materii wyreczył nas pisarz o stronność nie podejrzany, bo przed 2000 lat przeszło żyjący, którego słowa dla wielkiej ich trafności tu umieszczamy: „Nie można mówić Plato, doznać większego nieszczęścia jak kiedy kto znie nawidzi rozum.“ Ta *mizologia* ma te same przyczyny co mizantropia. Mizantropia pochodzi ztąd, że bez znajomości ludzi zbyt niemyśmy im zawierzyli, i tak obrzydząmy ich sobie myśląc że niema w nich uczciwości....

(1) Patrz Leibnic Discours de la Conformité de la foi avec la raison. L. mówi jeszcze: Lorsque la raison detruit quelque thèse elle édifie la Thèse opposée. Et lors qu'il semble qu'elle detruit en même temps les deux thèses opposées c'est alors qu'elle nous promet quelque chose de profond pourvu que nous la suivions aussi loin qu'elle peut aller.

Również kiedy bierzemy za prawdziwe jakie rozumowanie, nie znając sztuki rozumowania, zda się nam potem to samo rozumowanie raz prawdziwe drugi raz fałszywe, a zawsze od siebie odmienne; i kiedy się tak nazwyczaimy do dysputowania za i przeciw, zda się nam żeśmy wysokię doszli mądrości i że przez *szczególniejszą* przenikliwość odkryliśmy iż ani w rzeczach ani w rozumowaniach nie ma nic stałego i prawdziwego, ale że wszystko jest w ciągłym przypływie i odpływie.“

Co tu Plato za główną cechę *Misologów* podaje? Oto że pojmują zasady rozumu który sobie znenawidzili, w ten sposób: iż niema według nich na świecie nic stałego, lecz że wszystko jest w ciągłym przypływie i odpływie.“

A teraz otwórzmy Pielgrzyma np. poszyt marcowy na stron: 245 i czytamy.

„Drugie pojęcie prawdy (na rozumie oparte) wystawia nam ją jako niestałą, zmienną i postępną.

Człowiek *przynajmniej* w porządku nadprzyrodzonym i moralnym nie posiada prawdy bezwzględnej ani zasad i praw niezmiennych. Prawda jest istotnie względną do wieku, do obyczajów, idzie za postępem czasu, za zmianą przestrzeni. Wszystko się zmienia w umyśle ludzkim, i t. d. i t. d. dalej i bez końca.

Może kto powie żeśmy wybrali na umysł to miejsce? ale cały artykuł jest w podobnych tym zdaniach, to samo powiedzieć można o tylu innych<sup>1</sup> w Pielgrzymie zamieszczonych, w reszcie w samym wstępie czytamy: str: 24.

„Prawda jest jedna i nie zmienna, w dziedzinie nauk moralnych nie ma nowości, może być tylko rozwinięcie, wszystko co stanowi podstawę duchowego jestestwa naszego, na czém byt społeczeństwa oparty, jest wyrazem *pierwotnego objawienia* i nigdy się nie zmieni. *Nie masz zapewne zasady przeciwniejszej wyobrażeniom całej współczesności*; lecz też śmiało powiedzieć można, że współczesność pomimo pozoru nauki nie ma żadnej głębokości w odziale badań filozoficznych i t. d.“

Wszystko co na to odpowiemy jest: niechaj Pielgrzym troskliwość swą raczy uspokoić co do dzisiejszej współcze-

ności i lepszej względem jej losów będzie otuchy. Współczesność nie tylko nie zaprzecza „że w dziedzinie nauk moralnych nie masz nowości ale tylko rozwinięcie“ lecz owszem współczesność to dopiero na szczyt wyniosła tę prawdę, że rozwinięcie jest wielkiem prawem ducha którego dziedziną są przecież nauki moralne? Wartoż było zaciętą wypowiadać wojnę rozumowi żeby przyjść do tych co i on zasad? Więcej powiem:

Jeśli Sz. Redaktorka napisała przywiedzione przez nas zdanie winna to jest tylko temu, że nikt wyrzec się nie może swojego wieku, a wpływowi jego Pani Z. uległa więcej niż sama mniema.

Przyjemnie nam było przywieść słowa Sz. Redaktorki, bo zgodni z nią jesteśmy nawet tam gdzie sądzi iż coś najprzeciwiejszego nam wyrzekła. Inaczej się ma z frazami francuzkiemi wyżej przez nas przytoczonymi. Same za siebie składają one dowód że ich autorowi nie znane były pierwsze początkowe zasady djalektyki. Inaczej, nawet tym którzy utrzymują że wszystko jest zmienne, nie śmiałyby pewnie zarzucić że u nich nie ma nic stałego: bo wszak i zmienność może być stałym przymiotem. Ziemia ciągle się obraca a jednak i dla tego samego właśnie układ świata jest stały. Ogólnie mówiąc autor francuzki nie domyślając się nawet że o czczych abstrakcyach mówi, skreślił i na przeciw siebie postawił dwa stanowiska bezwzględnego spoczynku i bezwzględnego ruchu; śnać nie wiedział że ruch i spoczynek umierają zarówno na łonie bezwzględności.

Nie chcemy się rozszerzać nad drugą cechą mizologii wyszczególnianiem się. Cechy tej wszakże nikt nie odmówi pismu które samo o sobie wyrzekło: iż się różni od wszystkich innych dzienników. Raz oznaczywszy to co nam się być zdało [stanowiskiem Pielgrzyma; wolimy raczej przejść do zastosowań. Zakres ich jest dość szczupły, nie mógł się rozwinąć obok polemiki. Piękny ale nie skończony artykuł pani Z. o Bajronie, drugi mniejszej wagi o autorce rozrywek i napomknienia w różnych polemicznych artykułach, w reszcie wstęp, o to wszystko—albo

prawie wszystko co stanowi dodatnią stronę Pielgrzyma. Z artykułów tych najwięcej zasługuje na rozbiór wstęp, pióra samej Redaktorki.

Z trudnością przychodzi w krótkich słowach zawrzeć treść jego. Będziemy się przecież starali nic nie opuścić, co z jakiegokolwiek względu jest ważnem.

Artykuł zaczyna się od rzutu oka na stan obecny i na jego przyczyny. Przyczyny szukać należy według Redaktorki raczej w świecie moralnym niż w intelektualnym, t. j. prosto mówiąc raczej w woli niż w rozumie. Lubo zasada taka postawiona jest na czele, nie widzimy następstw z niej wyciągniętych: owszem przy tłumaczeniu pojedynczych przemian świata zwykle tylko czysto umysłowe sprężyny okazuje nam Pani Z.

Cóżkolwiek bądź, człowiek według niej dwie drogi miał przed sobą dla dojścia do prawdy: jedną moralnej uprawy, drugą umysłowego przekonania. Dla czego obrał raczej ostatnią niż pierwszą, tego Szan. Autorka nam nie powiada. Zapewnia nas tylko, że pochodź jego odbywał się instynktowo, później zaś „gdy nagromadzenie szczegółowych odkryć i postrzeżeń rozerwało duchową rozwagę człowieka“ zmienił się kierunek wiedzy, powstał racjonalizm i przemysłowość.

Jakkolwiek obrać ten kierunek lub nie, było rzeczą zupełnie dowolną, obecnie przecież cofnąć nam się nie podobna; prostota i pragnienie wiary będą dopiero owocem przekonania łaską Boga oświeconego. W słowie chrześcijańskim jest ukryte wyjaśnienie zagadnień wiedzy, a filozofia religijna po wytłumaczeniu prawd moralnych bogate z nich wnioski rozprowadzi na wszystkie zadania umysłowe. Wiedza ludzka dąży do jedności, tej jedności inaczej nie osiągnie, błędy są już zużyte; na polu doświadczenia wszystkie pomysły rozumu od wiary oderwanego wyczerpane.

Po tém zaczęciu Redaktorka podaje krótki rys filozofii nauk—oto celniejsze jej zasady. Prawa moralne nie są dziełem człowieka, „nie można w nich uważać naturalnego skutku rozwagi i doświadczenia, ale wprost trzeba je mieć za objawione. Bóg opatrzył słowem swoim człowieka stwa-

rzając go, a to słowo rozsunęło zaraz przed jego duchowym wzrokiem wszystkie prawa moralne.

Te prawa moralne są *gwałtem* zadanyam prawom natury, są *w sprzeczności* z przyrodzonymi warunkami bytu. Jednakże one to dały człowiekowi pojęcie ogólne prawa, które on zastosował w umiejętnościach ścisłych i przyrodzonych. Z Teologii wynikają zasady wszystkich nauk socialnych i filozoficzne wyjaśnienie dziejowych kolei, z tąd wykład teologii powinien być jednością nauk akademickich.

Pojmując warunki ziemskiego bytu i złożoną swoją naturę człowiek przez antropologią przechodzi do drugiej części nauk, do świata stworzonego, do natury. Tu największe grozi mu niebezpieczeństwo. *Duch* ziemskiej natury zachwyca istotę jego zmysłową i wtedy łatwo zapomina o sferze praw moralnych. Tak się też stało w istocie. Rozum ludzki dążył wyłącznie prawie w kierunku badań natury i teoryi ścisłych; dziś stanawszy na wysokim stopniu swego pochodzenia zapragnął nadać poznaniu przyrody pewne duchowne orzeczenie cofnął się więc w siebie i zakreślił *arbitralnie ontologiczną syntezę* (!). Lecz znikczemniony utworzył dziwne pomieszanie praw moralnych z prawami natury. Gdy to pomieszanie się skończy i nauki moralne na stałych oprą się podstawach, geniusz ludzki będzie miał znowu daleko więcej *wolnych chwil* (!!) do poświęcenia obserwacyi zewnętrznej.

Wreszcie ostatni szereg wyrobów myśli ludzkich — poezya, o tyle jest wielką, genialną, trwałą, o ile wyraża w sobie pojęcie stosunku człowieka do Boga „i ona więc czerpie swój żywioł w prawach moralnych.“ Oto jest mniej więcej wszystko co ma stanowić w krótkim rysie filozofią nauk. Kto na jej łonie nie znajdzie uspokojenia, zaiste musi być wiele wymagającym! Bacznemu dostrzegaczowi nie ujdzie przecież, że rzeczywiście jest ona tylko rozwinięciem ulubionego tematu Demaistre i Bonalda o których jeden młody uczony francuzki tak mówi: „Le caractère propre de ces philosophes n'est pas de se tenir attachés a la foi catholique ce qui leur serait commun avec beaucoup d' au-

tres mais d'admettre une revelation plus comprehensive que la revelation même et de ne rien laisser dans l'acquisition des idées à l'initiative et a la force propre de la raison.

Pytanie o początku naszych idei rozwiązane niedokładnie, jednostronnie, nie naukowo — to więc stanowi cały fundament téj mądrości, którą nam dają za niepożyłą, to wielką myśl owéj filozofii samozwanki, która obiecuje w jedności wiedzę ludzką połączyć, a która jakby przez ironią samej siebie zaczyna od jéj rozdwojenia, od ustanowienia sprzeczności między prawami natury a prawami ducha.

Rozumem tylko rozum poznać można. Działaniem rozumu jest myśl, więc tylko myśl poznaniu ulega. Człowiek nie poznaje téż nic innego w naturze prócz myśli. Okiem swoim widzi kolor, uchem słyszy dźwięk, ale rozumem poznaje prawo, poznaje myśl Twórcy. Rozum jest jeden, więc treść jego jedną być musi; prawo prawu, myśl myśli przeciwie się nie może. Nie masz sprzeczności między prawami natury a prawami ducha! tylko te ostatnie trzeba uznać tak jak uznano już pierwsze; trzeba wydrzeć ducha arbitralności, bo ta jest jego niewolą. Nad tém dziełem pracujmy. Praw ducha nie będziemy stanowić ale poznać je możemy. Kończymy przypomnieniem. Potępiono Galileusza że śmiał twierdzić, iż ziemia jest w ruchu, czyż los podobny czeka tych co utrzymują że duch nie spoczywa?

F. Z.

### 9. *Jutrzenka.*

Jutrzenka powstała w roku 1842. W krótkim wstępie objawił wydawca cel swojego przedsięwzięcia. Twierdzenia i zasady w wstępie tym zawarte nie znalazły w Jutrzence bliższego rozwinięcia, nie są też wyłożone z taką wysokością pojęć aby osobny rozbiór potrzebnym czyniły. Gdy przecież widzimy w nich trzy myśli które są podstawą usiłowań Jutrzenki i pokrewnych z nią dążeń, wypada nam mówiąc o tém piśmie, chociaż pokrótce widoki nasze co do nich wyłożyć.

P. Dubrowski stawia nasamprzód zachodnią Europę naprzeciw słowiańskiej, spajając w całość tę ostatnią. Bogate skarby cywilizacji zachodniej podziwia, ale z chlubą wskazuje na rozwijające się ukształcenie Słowian, a bliżej oznaczając to nowe zjawisko wyraża iż ukształcenie Słowian powinno być słowiańskie rodowe. Za środek wreszcie do tego prowadzący podaje badanie swojego świata i do korzystania z jego skarbów zachęca.

Któżby chętnie nie przyjął wezwania, toby chciał odwrócić oczy lub pozostać obojętnym na widok odnowionego życia ludów Słowiańskich? Jeżeli taka obojętność jeszcze gdzie panuje, ubolewamy nad tém mocno, jakimkolwiek powodem wymówić by ją chciano. Według nas jest to nawet dzisiaj koniecznością poznać i ocenić każdy fenomen, czy to w świecie intelektualnym, czy w zmysłowym zachodzący; inaczej niewątpliwie przeciwko nam się obróci. Wreszcie nie to czego nie wiemy ale czegośmy wiedzieć nie chcieli stanie się dla nas zarzutem.

Bierzemy więc żywy udział w części badań do których zachęca Jutrzenka, lecz na inne widoki jej Redaktora mniej się zgadzamy. Dzieli on Europę na dwie połowy według różnicy plemion. Ale zachodzi pytanie, o ile cecha ta jest dość ważna, aby za podstawę podziału przyjętą być mogła? Tylko rośliny i zwierzęta dzielą się na familie. Ludzi coś innego jednoczy jak wspólność krwi i co innego waśni jak jej różnica. Ogólnie mówiąc, plemię jest tém dla narodu, czém familia dla pojedynczego człowieka; jak familia tylko w czasach patryarchalnych zdoła objąć wszystkłą usilność swoich członków i być dla nich światem, tak też i plemię tylko w czasach odpowiadających patryarchalnemu, względem każdego narodu przedhistorycznych, jest ową wielką całością do której się odnosi naród.

Ale z rodziny występuje człowiek, a im dalej w życie zachodzi, tém samoistniejszym się staje. Raz przestąpiwszy próg rodzinny, już mu się pówrócić nie wolno. Sam sobie oddany, sam próbuje walki z losem, a czy

z niej wyjdzie jako zwycięzca, czy jako zwyciężony, skutki klęsk i tryumfu na niego tylko spadną.

Wspomnienia młodości łączą go z braćmi i krewnymi, cieszy się on ich powodzeniem, bierze udział i dopomaga w przeciwnościach, ale nie poświęci dla nich ani stosunków przyjaźni, ani stanowiska jakie w świecie zająć zdołał i jakie sobie tylko, swęj pracy, swym zasługom jest winien.

Pomimo to są cechy wspólne mu z rodziną, ale mamyż przyjąć jakąś konieczność rassową (fatalité de race) mamyż człowieka cenić po familii — naród po plemieniu? Są którzy tak mniemają: więcej w Niemczech niż we Francyi, więcej w tym ostatnim kraju niż w Anglii, więcej tam gdzie z teoretycznych widoków zapatrują się na świat, niż gdzie się kierują doświadczeniem. Lubią Niemcy mówić o Germanach i nie zdoła ich odwieść od tego ani odosobnienie Szwedów, ani mała sympatya Anglików, ani niechęć Hollendrów, ani jawna zatarga z Duńczykami o Szleswik. Swojemu plemieniu lubią przyznawać pierwszeństwo, siebie uznają za apostołów cywilizacyi, sobie przypisują rozniesienie Chrześcijaństwa po świecie. Uważając się za plemię wybrane, w krótkich i wątych podaniach starożytności, w obrazie który z ich przodków zdjął Tacyt i do którego, może aby wpadł w oczy Rzymowi zbyt żywych użył kolorów, wyszukują oni tytułów do poparcia swych twierdzeń. Mamyż iść w ich ślady? Tak czynią ci co najwięcej samoistność mają na ustach, nie wiedząc lub nie pamiętając, że opinie któreśmy wyłożyli, są już w Niemczech na schyłku. Jak zaś te pretensye cenią gdzie indziej, dość powołać się na dzieło Guizota, który miejsca Tacyta odnoszące się do obyczajów Germanów zebrał osobno, obok nich wydrukował relacye nowszych podróżnych, o dzikich ludach rozmaitych stron świata, i tém okazał, że niema prawie żadnego rysu podanego przez Tacyta o Germanach, któryby nie znalazł się u innych ludów i że cechy dzikości i barbarzyństwa są zawsze jednaki.



Te uwagi najstosowniej przeprowadzą nas do Słowian. Redaktor Jutrzenki troskliwie wyszukuje cech właściwych i wspólnych ich życia umysłowego. Oto co znalazł:

„Niech Zachodnia Europa“ mówi on „spojrzy jak u nas uprawia się pole nauk i z jakim zamiłowaniem badamy pomniki naszych dziejów, niech nakoniec zgłębi ważne znaczenie poezyi gminnej, tego źródła życia, które już oschło na zachodzie.“

Ten obraz lubo krótki, powinienby przecież zawierać główne rysy. Przypatrzwszy się mu bliżej nie wiem czy odejdziemy zadowoleni. Pominiemy wyrażenie o uprawie nauk jako zbyt ogólne, a więc rozbiorowi nieulegające. Lecz co do pieśni gminnych, wątpimy czyli zdanie o nich wyrzeczone opiera się na głębszej znajomości poezyi wszystkich ludów. Przynajmniej wydawca piosennika ludów, któremu nikt zapewne ani znajomości pieśni gminnych, ani uczucia ich piękności nie odmówi, tak się w tej mierze wyraża:

„Zdaniem p. Chateaubriand poezye gminne wszystkich narodów przedstawiają uderzające powinowactwo, co bardzo łatwo pojąć gdyż są obrazem natury, której modła znajduje się wyrytą w głębi obyczajów wszystkich ludów. Chęć odkrycia tego powinowactwa spowodowała mnie do podjęcia tej pracy..“ (1)

Łatwo by nam było poprzeć to zdanie wielą innemi, nie trudnoby wykazać jak zapał i zajęcie się krajowemi dziejami, mniej więcej wszędzie się obudziły. Co do poświęcenia *Csoma de Köros* stanie zaiste obok Chodakowskiego.

Cechy więc właściwość życia Słowian stanowiąc mające okazały się wspólne im z zachodnią Europą. Zachodzi pytanie czyli ukształcenie na rozwinięciu ich i zgłębieniu zasadzone, będzie oryginalném albo jak chce Redaktor Jutrzenki rodowém? Ta dążność jest mu wspólna z dwoma krytykami p. Szewyrew i p. M. Grabowskim, i ztąd zdania ich przywodzi chętnie p. Dubrowski.

(1) Biblioteka Warszawska Sierpień 1842 str. 305.

Nie bez przyczyny stawiliśmy dwóch tych krytyków obok siebie. Dążenia ich są a przynajmniej były podobne, z tą tylko wszakże stanowczą różnicą, że p. Grabowski już stanął u celu i spoczywa na laurach, ciesząc się zwycięstwem, którego nie odniósł, nad literaturą szaloną; p. Szewyrew zaś tego zwycięstwa dopiero w przyszłości się spodziewa, a rzeczywistość zachowała jeszcze tyle praw nad nim, iż nieraz wśród marzeń o tryumfach, niechętnemu wyrwie się głos boleści. „Dopókiż“ mówi on „w każdej rzeczy ostatnia książka na Zachodzie wyszła, ostatni numer zagranicznego dziennika będą działać na nas z jakąś czarodziejską siłą, będą kłaść pęta na własne nasze myśli?“ (Moskwitianin Część I. Tom I. stron. 288—291). (2)

Taki to stan rzeczy okazuje nam fałszywa teoria! Im wyżej nas jej polot na chwilę unosił, tém niżej upadamy przyszedłszy do siebie. W inném miejscu będziemy się starali wyjaśnić na czém jej fałsz polega, dla czego zarzut naśladownictwa uważamy za czczy, bojaźń w tym względzie za bezzasadną, a zachęcenie aby być samemi sobą przynajmniej za niepotrzebne. Według nas każdy człowiek, każdy naród wyraża swoją indywidualność nawet wtenczas, kiedy wpływowi obcemu ulega. Uległość ta dowodzi tylko potrzeby umysłowej, skoro zaś potrzeba zaspokojoną zostanie i umysły ułożą się do równowagi, wpływ sam z siebie ustaje. Chcieć mu wprzódym to nastąpi drogę zagrozić, jest płochém i bezowocném przedsięwzięciem.

Wyłożyliśmy pokrótce nasze uwagi nad punktem widzenia Jutrzenki. taka różnica w widokach wpłynie nie pomału na ocenienie środków. Cóż chciał Redaktor Jutrzenki? Chciał utrzymywać niejako korespondencją, dawać wiadomość członkom rodziny słowiańskiej co się u nich wzajemnie dzieje. Ale familijne listy zwykle mało

(2) Zaspokoilibyśmy sz. krytyka przykładem z fizyki. Ciężar atmosfery przytłacza tylko wypróżnione i szczelnie zatkane naczynia, ale nie daje się uczuwać tym do których powietrze ma przystęp.

mają ogólnego interessu. Jeżeli dwie osoby nie mają sobie nic więcej donieść prócz tego że żyją, że są zdrowe, że im się tak lub inaczej powodzi, jeżeli niema między niemi umysłowych lub uczuciowych stosunków, jeżeli też same przedmioty ich nie zajmują, nie wzbudzają w nich wrażeń ani reflexyi których by sobie wzajemnie udzielać mogły, taka korespondencya świadczy, że osoby ją prowadzące albo mało się znają, albo też że każda z nich zatrzymuje przy sobie co myśli.

Otóż według nas korespondencya której pośrednikiem ma być Jutrzenka, znajduje się w tym przypadku. Można w niej znaleźć jakie dzieło gdzie wyszło, jaki wypadek ważny lub tylko dający o sobie mówić zaszedł na świecie umysłowym lub tylko na literackim; ale znaczenia tego wypadku, reflexyi którąby on wzbudził, na próżno szuka czytelnik. Jutrzenka przypuszcza w swoich czytelnikach interes dla tych wiadomości, które im udziela, ale obudzić go tam gdzie się nie znajduje, albo nie jest w stanie, albo przynajmniej się nie stara. Co do doboru udzielanych wiadomości, moglibyśmy uczynić sz. Redaktorowi ogólną uwagę, że za mało daje baczenia na to co cudzoziemcy piszą o krajach słowiańskich. Boué, Cyprian Robert i inni mogliby z pożytkiem zapełnić nie jedną kolumnę jego pisma, gdyby chciał z nich korzystać. Są nawet ważne zjawiska umysłowe u słowian takie o których daliśmy wiadomość w Bibliotece Warszawskiej, a które Jutrzenka pominała. Jest to brak któremu p. Dubrowski jak najmocniej powinien się starać zaradzić, jeżeli chce uniknąć zarzutu którego dla Jutrzenki od początku się obawiano.

Jutrzenka w roku bieżącym zmieniła format i tytuł, i wychodzi jako Przegląd Słowiański. W tym kształcie wiele doznała ulepszeń.

F. Z.

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

WARSZAWA.

29. *Historia podróży i odkryć dokonanych na morzu i lądzie, od początku XV wieku aż do dni naszych, przełożona z francuzkiego przez Wojciecha Szymanowskiego, z 24 rycinami kolorowanemi i kartą jeograficzną, 8 majori str. 351, w drukarni Banku Polskiego, własność S. H. Merzbacha, Warszawa r. 1843. (Cena rub. 4 kop. 5).*

W książce téj na 50 rozdziałów podzielonej, mieści się opis następnych podróży: Piérwsze odkrycia Portugalczyków, Kolumb i Ameryk Wespucyusz, Odkrycia dokonane przez Hiszpanów, FeranandoKortez, Ferdynand Mendez Pinto, Podróże na północ, Podróże na morzu południowém, Odkrycie Australii, Wyprawy Bukanierów, Podróże Korsarzy, Odkrycia Rossyan, Podróże Byrona, Wallisa, Kartereta, Bougainwilla, Kooka, Laperusa, Parrego, Franklina, Humboldta, Brusego, Mungo-Parka, Denhama, Klaper-tona i t. d.

30. *Przewodnik lekarski dla mężczyzn, czyli zbiór wiadomości i rad dotyczących aktu niłości fizycznej, skutków jój nadużycia, chorób wenerycznych, środków ustrzeżenia się od nich, niemocy męskiej, jój przyczyn i sposobów leczenia, i t. d. podług Hufelanda, Brauna, Albrechta i innych ułożony, przez B. Rosenblum lekarza praktykującego w Warszawie, drugie poprawne i znacznie powiększone wydanie 12 str. 192 w drukarni Kaczanowskiego, nakładem S. Orgelbranda, Warszawa 1843 r. (Cena kop. 75).*

31. *Nowy elementarz Polsko-francuzko-niemiecki podający najłatwiejszy sposób nauczania się w krótkim czasie poprawnie czytać w tych językach, przez autora nowój metody 8vo str. 114 nakładem S. H. Merz-*

bacha w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego, Warszawa r. 1843 (Cena kop. 30).

32. Nowy elementarz Polsko-francuzki podający najłatwiejszy sposób nauczania się w krótkim czasie poprawnie czytać w tych językach, przez autora nowęj metody 8vo str. 85 nakładem S.H. Merzbacha w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego, Warszawa r. 1843 (Cena kop. 22½).

33. Nowy elementarz Polsko-niemiecki podający najłatwiejszy sposób nauczania się w krótkim czasie poprawnie czytać w tych językach, przez autora nowęj metody 8vo str. 70 nakładem S.H. Merzbacha w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego, Warszawa r. 1843 (Cena kop. 22½).

Elementarze te ułożył P. J. M. Elkana oświadczając w przedmowie: „że nie szło mu o zlepianie zwyczajnego elementarza, ale o to, aby przez metodyczne łączenie liter i sylab ułatwić dziecięciu dobre i biegle w trzech językach czytanie — i dla tego starał się o dobór składu zgłosek i stosownych ćwiczeń, przez któreby dziecko od mizolnego tak zwanego syllabizowania uwolnioném być mogło, i do bezpośredniego czytania przyprawioném zostało.

Autor, jako sam pracujący w zawodzie pedagogicznym, o skuteczności podającej się przez niego metody, zaręcza.

#### WROCLAW.

34. P. J. Szafarzyka słowiański narodopis przetoczył z czeskiego Piotr Dahlmann 8vo str. 234 nakładem Zygmunta Schlettera w Wrocławiu r. 1843 (Cena r. 1 kop. 50).

Książka ta jest ogólnym rysem całej słowiańszczyzny: przedstawiając gdzie i jakie szczepy i gałęzie wielkiego plemienia słowiańskiego zamieszkują, na jakie się języki, narzecza i odcienia mowa słowiańska w ustach siedem-

dziesięciu milionów ludzi podziela, — wytyka charektery styczne cechy każdemu narzeczcu właściwe, zapoznaje w ogólności z literaturą każdego narodu słowiańskiego, podaje statystyczny wykaz wszystkich Słowian, tak pod względem języka, jak pod względem wyznania i państwa, do którego są wcielonemi; a w końcu w przytoczonych oryginalnych pieśniach gminnych, daje nam poznać każde narzeczce.

35. *Postylla katolicka mniejsza, to jest krótkie kazania czyli wykłady SS. ewangelii na niedziele i święta całego roku, napisana w r. 1579 przez X. Jakóba Wuyka z Wągrówca Teologa towarzystwa Jezusowego, a teraz na nowo według wydania krakowskiego z 1617 roku przedrukowana, 8vo Część I str. 309. Część II str. 299, nakładem i czcionkami S. Schletera w Wrocławiu r. 1843 (Cena rub. 4 kop. 20).* J. B.

---

Roczników gospodarstwa krajowego Tom II. Nr. 4 wyszedł z druku i zawiera:—Zdanie sprawy o gospodarstwie na folwarku Michałowie w Lubelskiem z mapką przez *A. Hr. Z.* — Krótka wiadomość o wysuszeniu czystem i ciepłem powietrzem rozmaitych przedmiotów, a mianowicie mąki, przez *Józefa Puternickiego*. — Jak wiele należałoby nadać włościaninowi ziemi, aby i on, i właściciel wsi, i krajowe rolnictwo, miały społem zapewnioną, o ile to w mocy naszej należną prawdziwą pomysłność? przez *K. Kruczaję*. — Wyciąg z dziennika podróży po niektórych okolicach Wielkiego Księstwa Meklemburg - Schwerin i Pomeranii niegdyś Szwedzkiej, w sierp. 1838 r. odbytej przez *K. W.* — *W różnaitościach*. — Jaki wpływ kamienie na polach rozrzucone, na wegetacyą i plony wywierają? przez *J. K.* Wiadomości handlowe.

---

# ROZMAITOŚCI.

## GILSOMINA I REMIGIUSZ

*Wierzytelny odpis z oryginalnych listów nadesłany  
przez Au. Wi.*

CZCIGODNY I NAJSZANOWNIEJSZY AUGUŚCIE!

Od siedmiu miesięcy nie zgłaszałem się do ciebie, bom się obawiał twojej nagany, twoich zarzutów; — dzisiaj u wrót wieczności odzywam się do twojego serca, na twojem łonie złożę całe brzemie najokropniejszych cierpień, wyleję zdrojem czarnej rozpacz, — i zanim stargam słabą ziemskiego żywota nić, od ciebie jeszcze pomocy zażądam.

Już lekki posmer jutrzeńki na rozległym błękicie jasny zapowiada dzień, — jam oka nie zmrużył, przedemną narzędzie śmierci, w sercu żrący i palący ogień, w duszy lód, w głowie szum! Sto razy drżąca ręka ujęła pióro aby się z tobą pożegnać, sto razy bezsilna dłoń odrzuciła tę jedyną nad grobem pociechę.

Auguście!... umieram!... samobójczy dotyka mię cios!... zimne żelazo uderzy w pierś... martwe zwłoki obleje krew! Auguście! ciemne widma jawią się przed memi oczyma... moje jestestwo grobowy otoczył kir!... kwiat mojej młodości za chwilę snem wiecznym legnie na mogile wspomnień i nadziei; ty jeden tylko możesz mnie przywołać do życia, — słuchaj w jaki sposób?... opowiem:

Przed dwoma tygodniami przybyłem do ..... z stałym zamiarem, porzucenia mych wad i błędów; postanowiłem gnuśną beczynność zamienić w życie pracy i pożytku — dla dobra ludzkości!

Różne przedsięwzięcia snuły się przez umysł, i po długiej rozwadze zamierzyłem zostać aptekarzem; bo

na tej drodze bezpośredniej — lekarstwami, zdawało mi się, że najskuteczniej wpłynę na ulżenie cierpień ludzkości. Przesady urodzenia odrzuciłem z odwagą i począłem czytać botanikę, chemię. Już umiałem rozróżnić kilkadziesiąt roślin, już poznałem co jest kwasoród; wiadomości moje olbrzymim szły naprzód krokiem, gdy w dzień świąteczny, dla odpoczynku starganym siłom, bez wyraźnego namysłu, udałem się na widowisko sztucznych jeźdźców.

Auguście! nie żądam odemnie wszystkich tajemnic, powiem ci jednem słowem: — ja bez Gilsominy nie mogę żyć! ona jest panią moich myśli, mojego uczucia, mojego jestestwa!... i ona chce być moją!... moją Gilsominą na zawsze!

Słodki hymen miał nas zawczoraj nierozzerwanym zespolić węzłem; obszerne pole szczęśliwej przyszłości wyciągało ku nam ramiona, rokosz wabiła nas swoim tchnieniem, miłość w radosną klasnęła dłoń, powietrze napełniło się dla nas różanym obłokiem nadziei, wszystko ach! wszystko zwiastowało zbawienie!... kiedy srogi Rangifero zażądał niespodzianie od Gilsominy 2000 franków, jako wynagrodzenie za uczyniony mu zawód i tylko po odebraniu tej summy, na rozwiązanie jej kontraktu, i na nasze zaślubienie, zezwolić chce. — Moja gotowizna składa się z 700 franków, Gilsomina w nadmiarze swoich uczuć ofiarowała wszystkie swoje kosztowności; ale niestety! pomimo że je ma w upomniku od książąt i hrabiów, nie są szczerze złote i zaledwo 400 franków dostać za nie możemy. Brakuje nam więc 900 franków!... Tej summy od ciebie Auguście, żądam, i jeżeli mi jej po upływie 15 dni nie prześlesz... duch mój, za zbrodnię samobójstwa na tobie mścić się, cień mój ścigać cię będzie. Jutro odchodzi poczta; za dni 5 pismo moje w twoich będzie rękach; 4 dni pozostaną dla ciebie do zgromadzenia żądanej przezemnie summy: gdybyś jej gotówką w domu nie miał, jeden dzień zostawiam ci na nieprzewidziane wypadki, 5 dni starczy na odwrotną pocztę, więc piętnastego dnia przed wieczorem mógłbym być w posiadaniu 900 franków, ślub nasz mógłby chociaż



wieczorem jeszcze nastąpić, Gilsomina byłaby żoną Remigiusza! — Remigiusz byłby mężem Gilsominy!...

Auguście! w twoje ręce złożyłem śmierć i życie dwójga kochanków! — drżij jeżeli zdradzisz moje zaufanie!. Na kolanach Gilsomina i Ja razem błagamy cię w imię naszej miłości, nie rozłączaj nas, nie dozwól abym krwią swoją zbroczył twoje sumienie!

Auguście! ja tobie zwrócę tę nędzną garść złota, zwrócę ci w najprędszym czasie, każdej chwili kiedy zażadasz, gdyby i jutro, — idzisiaj jeszcze, — tylko mnie uratuj od samobójczej śmierci, przed którą lodowacieję z trwogi i rozpacz.

Nie wątpię że serce twoje zrozumie okropność mojego położenia, że twoja dusza szlachetna pośpieszy na ratunek twójemu szkolnemu przyjacielu; a nim jest szczerze cię kochający Remigiusz.

..... 23 sierpnia 1840 r.

P. S. Gilsomina przesyła ci małeńki splot włosów swoich, naszemu wybawcy pozwala je nosić na sercu.

TYNICA POD RADOMIEM 28 sierpnia 1840 r.

### *Kochany Remigiuszu!*

Za list twój z dnia 23 -- 8 -- 40 zapłaciłem dzisiaj w dniu moich imienin złp. 8 groszy 22 i  $\frac{1}{2}$  Spochmurzyłeś mi wesołą chwilę, gdyż szczególnie drażliwy jestem na ladajakie wydatki.

Boleję nad twojém położeniem, odczuwam że bez Gilsominy żyć nie możesz, poznaję to nawet z jej pięknych włosów, które niepotrzebnie w tak znacznej ilości załączyłeś — zachowam je na pamiątkę — ale cóż powiesz na to? że ci żądanych 900 franków nieposyłam!...

Truchleję na samą myśl że ciebie dotknie samobójczy cios, że zwłoki twoje kochany Remigiuszu obleje krew!... lecz nie ma rady! kiedy ci tak marnie ginąć potrzeba — gin ośle! ja cię ratować nie mam sposobu. Czekam na twójego zapowiedzianego ducha, który mi zapewne powie co się też obecnie w piekle nowego stało. Gilso-

mina gdyby się po twojej śmierci pocieszyć nie mogła, niechaj przyjedzie do Warszawy; znajdzie i tutaj wielbicieli, bo i naszej stolicy na półgłówkach nie zbywa.

Bywaj zdrow i zawierzaj mi że się cieszyć będę, gdy się dowiem żeś nie stchórzył; bo w szkołach jeszcze oskarżaliśmy cię o lekkie serce i o brak piątej kleпки w głowie.

Twój dobry znajomy.

*Au. Wi.*

P. S. Gdybyś raz jeszcze umierać i o takim głupstwie donosić mi chciał, nie zapomnij listu frankować.

---

Ażeby czytelnika powyższych listów w trwodze o życie Remigiusza i w niepewności o losie kochanków, nie zostawiać, upewniam: że Remigiusz zdrow jest i dobrze mu się powodzi, ma nawet nadzieję że zaślubi panią Miętowicz aptekarkę, wdowę, u której od kilku miesięcy jest Prowizorem. Gilsomina zaś rady mojej istotnie usłuchała, znajduje się obecnie w Warszawie, (\*) a wielu z naszych chwatów stara się o jej względy.

Warszawa 2 grudnia 1842 r.

*Au. Wi.*

(\*) Już odjechała!...

---

*Uwagi nad pismem P. Rosta: O prawdopodobieństwie odkrycia soli i solanek w Królestwie Polskiem, przez L. Zejsznera.*

Nad pismem P. Rosta noszącem tytuł: *Beitrag zur Geognosie des südlichen Polens* poczyniłem w Bibliotece Warszawskiej z miesiąca grudnia 1841 uwagi, i okazałem że jest zbiorem bezzasadnych hipotez, usnutych dla okazania, że poszukiwania na sól w Nękanowicach przez nie-szczęśliwy zbieg okoliczności, nie wydały spodziewanego rezultatu. Te uwagi skłoniły P. Rosta do częściowej odpowiedzi wydanej w piśmie pod wiele zapowiadającym tytułem. Wykazałem dawniej szczegółowo, jak mało P. Rost obznajmiony jest ze składem części kraju, nad któ-

rym się zastanawia, i że nie zbiwszy przed nim piszących rozwija swe hipotezy jakby o części świata nad którą nikt dotąd umiejętnie nie myślał. W artykule który tu mam na uwadze, dla zjednania sobie czytelnika wymienia P. Rost szereg swych odkryć, jakie zstąpiwszy na ziemię Królestwa Polskiego poczynił, a zapytuje się: coja uczyniłem? Jakkolwiek te odkrycia mogą być prawdziwemi, P. Rost jednakże dotąd ich nie ogłosił i czyli są odkryciami nie okazał. Że P. Rost niewiele posiada usposobienia do umiejętnych odkryć, najlepiej dowodzą dwa jego często spominane artykuły, w których brak ścisłości i zupełne pomijanie Paleontologii owego najcelniejszego środka do poznania wieku skał warstwowych, na każdej kartce przebija. Mógł przeto P. Rost komu innemu przygotować materiały do umiejętnych badań, ale sam nie udowodnił w tej mierze biegłości. Inna jest rzecz być zdolnym do wykonania poszukiwań we wskazanych punktach, inna umieć je wskazywać.

W poezyi, w filozofii trudno dawać dowody nieulegające pozornym zarzutom, odmiennemu sposobowi uważania rzeczy. Inaczej ma się w umiejętnościach ścisłych. Prawdy ich nie ulegają podwójnemu tłumaczeniu, polemika podobnie jak w pierwszych nie może być nieograniczoną, niemasz otwartego pola do bujania fantazyi. Fałsz utrzymujący łatwo przekona się o swym błędzie, jeśli ma do tego dostateczne usposobienie. Że ciało jakie z tych a nie innych składa się pierwiastków, zapewnić się może codziennie każdy chemik; że ziemi warstwa jedna na drugiej leży, w dogodnie odstępionych miejscach łatwo poznać; że skamieniałość jest pewnym oznaczonym gatunkiem, nawet i nieumiejętnie ukształcony przekona się, mając w znajome gatunki zaopatrzoney gabinet.

Zawiły sposób tłumaczenia się P. Rosta i brak ścisłości był powodem, żem protestował przeciw policzeniu piaskowca z Nękanowic do zielonego piaskowca (Green-sand) mającego się znajdować nad pokładem białej kredy. Wytłumaczył tę zagadkę P. Rost (B. W. T. III z r 1842 str. 357) co za warstwę tam położył. Ma to być zupełnie nowa nieznaną dotąd, przez znakomitej powagi geognostów

aprobowana. Wyjawić raczył mi P. Rost tę tajemnicę, z nadmienieniem: że się później dokładniej o niej dowiem. Wywdzięczając się za to odkrycie, muszę mu z méj strony inną tajemnicę wyjawić,—że tego nowego pokładu niemasz na świecie i jest wymysłem ludzi niezgłębiających przedmiotu: a to dla następujących powodów. Część piaskowców wielickich zawierających sole zielone, uważa P. Rost za odpowiednie piaskowcom z Nękanowic. Ma to być ów nowy pokład formacji krédowej. Rozpoznawając skamieniałości przegradzające wszystkie odmiany soli wielickiej, przekonałem się: że cały ten pokład wraz z częścią nad nim leżących piaskowców, należy do formacji trzecio-rzędnych, zawiera bowiem ich skamieniałości, a mianowicie: *Nucula comta*, *N. striata*, *Pecten cristatus* Bronn. *Pedipes buccinea*. Skamieniałości te porównywałem w znakomitych gabinetach niemieckich, i dlatego względem dokładności w ich oznaczeniu nie może zachodzić wątpliwość. *Nucula pectinata* skamieniałość należąca do formacji krédy, za taką przez P. Puscha podana, nie jest tym gatunkiem, tylko *N. comta*. Przekonałem się o tém w Bonn z professorem Goldfussem.

Do podobnychże rezultatów na innej drodze przyszedł Dr. Philippi z Kassel. Na moją prośbę rozpoznawając mikroskopiczne muszle w soli szybikowej zawarte, znalazł liczne rodzaje w ilach dotąd niepoznane, a właściwe formacyom trzecio-rzędowym; jeden gatunek tylko był w stanie znaleźć, t. j. *Cerithium lima*, nie dający się odróżnić od żyjącego w dzisiejszych morzach.

Wielicki zatem pokład soli, a zapewne i wszystkie karpackie sole, nie należą do piaskowca karpatowego, ale do osadów trzecio-rzędowych, a w szczególności do ich średnich oddziałów, czyli do formacji pod-apeńskiéj. Co przed 30 laty Beudant przeczuwał, co później Boué i Keferstein utrzymywali, teraz okazałem. Nowy pokład P. Rosta mający należyć do wierzchniej części formacji krédowej, jest czystém urojeniem. Co się tycze piaskowca nękanowickiego, ten może należyć do osadów trzecio-rzędowych, jeżeli na to wyjadą się dowody w skamieniało-

ściach, lub inne cechy odróżniające go od piaskowca karpatowego.

W jakim stosunku zostają skały pokładu solnego do piaskowca karpatowego, niema potrzeby tu wytkadać; wytłumaczyłem się o tém obszerniej w moim opisie Wieliczki w tym roku wydanym. Dla jednakowości kierunku i pochyłu warstw, uważałem dawniej pokład solny i piaskowiec karpatowy za jednoczesny osad; znalazłszy niedawno w pokładzie solnym odmienne skamieniałości, zmieniłem zdanie co do jego wieku. Powody są wyrozumowane. Wątpliwości względem znajdowania się siarki przy poszukiwaniach świdrowych w Nękanowicach uważam za usunięte, skoro P. Rost przywodzi że się o tém P. Pusch przekonał, inaczej musielibyśmy powątpiewać. Aż nadto często zdarza się, że autorowie mniej krytyczni zwykli to znajdować, czego sobie życzą; a siebie i innych w błąd wprowadzać.

Co się tycze wapienia muszlowego w zachodnich częściach królestwa, chętnie przystanę że nim nie jest, jeżeli miasto zaręczzeń, będą dowody.

Na tém kończy się odpowiedź P. Rosta. Jak się pokład wielicki na dwie części dzieli, jak jedna ma wchodzić do formacyi Jura, druga do krędy, zapomniał P. Rost odpowiedzieć; sądził bowiem że lepiej uczyni opowiadając swe dorywcze spostrzeżenia z Bukowiny. Chcąc jaki przedmiot zaciemnić, najlepiej przenieść go w nieznaną stronę, a takimi są góry Bukowiny. Najuczucniej popolicie rozprawia się o rzeczach o których niejasne mamy wyobrażenia, jakoto o początku Słowian, o jakości ciała z którego składają się komety, o dawności ziemi i t. d. Nie małą zrobiłby przysługę geognozyi P. Rost, gdyby to co o Bukowinie prawi udowodnił, i nie wydawał wiadomych rzeczy za swe nowe odkrycia. I tak, że na białych wapieniach leży piaskowiec karpatowy, oddawna wiedziano ze Szląska górnego. Pusch, Boué, Keferstein obszernie o tém pisali. Nie wdając się w żadne dowody, oświadcza p. Rost: że biały wapień na Bukowinie leżący pod piaskowcem karpatowym, jest wapieniem Jura, (czy należącym do białych margli, Coralrag, Portlandien, Neocomien?) i na tém

kończy. Z ważnych poszukiwań Prof. Glockera w Morawii i Szląsku austriackim okazuje się, że wapienie białe ze Stramberga i Nesseldorf ze Szląska austriackiego, leżące pod piaskowcem karpatowym, zawierają prawie też same skamieniałości co pokład wapienia ammonitowego, ciągnący się wzdłuż Tatrów przy Czorsztynie, Szaflarach, Rogoźniku, Zamku Orawskim i dalej przez całe prawie Karpaty od wschodu na zachód, następujące odkrył Prof. Glocker (1). *Ammonites tatricus*, *Am. annularis*, *Am. biplex*, *Am. Lambertii*, *Aptychus lamellosus*, *Ap. latus*, *Terebratula lacunosa*, i niektóre inne. Wszystkie prócz *Ammonites Lambertii*, znalazłem w wapieniu Ammonitowym pod Szaflarami i Rogoźnikiem: *Am. Lambertii* właściwy jest średnim ogniwom formacji Jura, do których liczę piaskowiec karpatowy.

Z kilku wyrazów P. Rosta o Bukowinie, pokazuje się że jego białe wapienie Jura odpowiadają Stramberskim i z Nesseldorf; do czego nierównie więcej jest prawdopodobieństwa, aniżeli do krakowskiego Coralrag, który jako młodszy, nie leży pod piaskowcem karpatowym. Gdyby P. Rost popracował w Bukowinie i zebrał dowody na wiek białego wapienia, nie potrzebowałby zaręczać i zrobiłby coś pożytecznego. Sam biały kolor wapienia, nie daje żadnego prawa do oznaczenia formacji. I tu się pokazuje że przebieganie znacznych przestrzeżeń kraju, powiększa tylko gmatwaninę wyobrażeń.

Wypada nam wreszcie zastanowić się nad przedmiotem, który P. Rostowi tytułu dostarczył do ostatniego artykułu. Okazałem wyżej, że pokład solny wielicki należy do osadów trzecio-rzędnych formacji, a zatem nad krędą osadzonych. Czyli formacja solna przenosi się z Galicyi do Królestwa Polskiego, muszą okazać w tym celu robione poszukiwania; że zaś sól nie znajduje się w formacji krędy, ani też Jura, a w których P. Rost ciągle chce jej szukać a mianowicie pod Szerbakowem i w Nę-

(1) Ueber eine neue räthselhafte Versteinerung aus dem thonigen Sphaerosiderit der Karpathensandstein formation im Gebiete der Bieskiden.

kanowicach, największe jest prawdopodobieństwo. W obu dwóch tych formacjach w Niemczech, we Francji i Anglii, krajach pod względem geologicznym najlepiej dotąd poznanych, niemasz i śladu soli. Nie jest to pojedyncza odosobniona obserwacja, ale powszechnie powtarzające się prawidło. Czyli sól kuchenna znajdująca się w Alpach należy do formacji Jura albo kredowej, niemożna dotąd rozstrzygnąć. Te nadzwyczajnie poprzewracane góry, przez liczne krzyżujące się wzniesienia, mają aż nazbyt często według nowszych postrzeżeń, pod spodem nowsze osady, a na wierzchu dawniejsze, i dlatego nie można z pewnością wieku soli alpejskich w tym czasie oznaczyć. Jeżeli kto robi wnioski z Alp do naszych formacji, niema dobrej podstawy.

Pomimo tak małego prawdopodobieństwa ażeby się mogła znaleźć sól w formacjach Jura i krędy; wszelkie szukania u nas soli w nich się odbywały, w nich to głębiej kopiąc, spodziewa się i P. Rost sól znaleźć, nawet głębokość w liczbach podaje. Rozpoznając ze ścisłością od kilkunastu lat skały formacji Jura, w okolicach Krakowa w wielu bardzo punktach, nie dostrzegałem w Corralrag czyli w białym wapieniu Jura i w białych marglach pod nim leżących, najmniejszego śladu szarego itu, a ten zawsze towarzyszy pokładom soli; uważałem spodek tych wapieni i wierzchnie części, a zawsze tylko biały wapień się pokazuje. Czyliż to nie prosty dowód, że nie zawiera soli biały wapień? Aby jakieś prawdopodobieństwo wynaleść, nadaje mu P. Rost nadzwyczajną grubość (str. 560). Ze takiej grubości nie mają te wapienie, również okolica Krakowa rozstrzyga. Porfiry czerwone, wznosząc je przy Sanie i w górze Ponetlicy pod Krzeszowicami, okazują, że grubość ich nie jest zbyt wielką i że 4 do 500 stóp paryzkich nie przenoszą.

Toż samo stosuje się do Ciechocinka. Tam pod ziemią napływową, znajduje się biały wapień Jura. W nim spodziewać się soli, byłoby to samo, co spodziewać się jej w Szczerbakowie, Nękanowicach. Z jakiej formacji tryszcze źródło słone Ciechocinka, wypada zbadać.

O śmiałym podziale piaskowca karpatowego P. Rosta tyle tylko mogę powiedzieć, że może byłby dobrym przed 50 laty; dziś trzeba gruntowniejszych dowodów na to. Kończąc, powtarzam com już raz powiedział, że do rozbierania pism P. Rosta, tylko jego chwalebna troskliwość o odkrycie soli w Królestwie tytuł mi nadała; rozbierać bowiem marzenia, byłoby rzeczywistą stratą czasu.

---

*Odpowiedzi na zarzuty uczynione Kompasowi Polskiemu przez A. P. w Bibliotece Warszawskiej miesiąc marzec r. b. str. 616.*

Zarzut 1. Powiada najprzód p. A. P. że „gdzie nie można kreślić kompasów sposobami matematycznymi, nawet trudnemi i zawiłemi, czyli gdzie niema żadnych danych, tam wypada je kreślić sposobami mechanicznemi. I tu narzędzie p. J. z pożytkiem zastosować można.“

*Odpowiedź.* Narzędzie to służy do kreślenia i budowania kompasów nietylko w tych przypadkach, w których nie wystarczają nawet zawiłe i trudne sposoby matematyczne; ale we wszelkich jakie tylko być mogą; a zatem sposób jego użycia nie jest wyjątkowy i szczególny, jak są dotychczasowe sposoby matematyczne, ale *powszechny*; nie zawiły i trudny, ale *łatwy*; i nie wieloraki ale *jednakowy* na wszystkie przypadki; a przytém *dokładny* i całą gnomonikę sprowadzający do jednego tylko zagadnienia, to jest: *wykreślić i zbudować gdziekolwiek i na jakiegokolwiek powierzchni kompas.* (1) O czém wszystkiém jeżeli jeszcze dotąd wątpi p. A. P. niech wynajdzie najtrudniejszy jaki tylko być może, w gnomonice przypadek, niech go rozwiąże znanemi dotąd sobie sposobami i pozwoli rozwiązać go za pomocą

(1) Kompas pokazujący: 1) czas prawdziwy słoneczny czyli kompasowy, 2) różnice między tym czasem a średnim czyli zegarowym, 3) zmiany roczne położenia słońca na niebie, 4) nareszcie, czas przez który miejsce, w jakim się znajduje tenże kompas, oświecone jest w każdej porze roku od słońca i ocienione od otaczających je przedmiotów.



Kompasu Polskiego, a potem zapyta się znawców i doświadczenia, co z tego dwojga jest dokładniejsze?

Co do tego, że p. A. P. uznaje sposób  *powszechny* kreślenia kompasów za  *mechaniczny*, dlatego że wymaga on użycia jednego narzędzia, odpowiadamy: że to właśnie jest zaszczytem  *mechaniki*, iż może dokazać tego czego nie jest w stanie dopiąć matematyka; a powtóre, że i sposoby  *szczególne*, których dotąd używają matematycy do kreślenia kompasów, są także i to nie pojedynczo, ale  *wielorako mechaniczne*: bo się w nich używa dwóch, trzech albo i większej liczby narzędzi; i nawet policzyćby tu jeszcze wypadało, podług p. A. P. wszelkie działania w geometrii i astronomii praktycznej, gdzie podobnież nie można się obejść bez narzędzi, i tak samo się ich używa, jak Komp. Pol. to jest sposobem wizowania czyli  *optycznym*.

*Zarzut 2. „Gdyby wynalazca poprzestał był na tym jedynie użytku; to jest na kreśleniu kompasów, instrument jego mógłby być prostszy (składa się głównie z dwóch prętów i dwóch kótek). Ale p. J. chcąc użytek jego wielostronnym uczynić, narzędzie skomplikował, przez co cenę jego podwyższył, i nabycie ogółowi utrudnił.“*

*Odpowiedź. P. A. P. zamierzył zdać sprawę przed Publicznością o książce wyszłej z druku r. 1833, a rozszerza się nad narzędziem które zrobione było r. 1810, a zatem które teraz może być o wielekroć prostszém i tańszém (2): albowiem wszystko się z czasem doskonalili, uproszcza, a tem samém tańszém czyni.*

*Zarzut 3. Narzędzie p. J. zupełnie odpowiada swemu przeznaczeniu co do mierzenia czasu i kreślenia kompasów, a mniej co do rozwiązywania zagadnień astronomicznych.*

*Opowiedź. Taką zupełnie jest to prawdą, jak owo: że nóż wybornie może służyć do rżnięcia i krajania, ale nie do siekania i strugania.*

(2) Pierwszy jego exemplarz zrobiony r. 1827 kosztował wynalazcę tylko 150 złp.; a co do innych wiadomo, iż nie starano się wcale o patent swobody na swój wynalazek, zatem! każdy mógł robić narzędzie jak mu się podobało i za jaką chciał cenę.

**Zarzut 4.** „Wszystkie prawie zagadnienia (trzeba je było wskazać), które autor swoim kompasem rozwiązuje, mogą być rozwiązane za pomocą *globu niebieskiego, sfery armilarnéj i ekwatoryału* czyli *machiny paralaktycznéj*.“

**Odpowiedź:** To właśnie jest zaletą Kompasów Polskiego, iż oprócz tego że sam służy za kompas powszechny, oraz za narzędzie do kreślenia i budowania takichże kompasów na wszelkich powierzchniach: może jeszcze w znacznej części zastępować trzy narzędzia astronomiczne, które przynajmniej dwadzieścia razy więcej od niego kosztują, tyleż razy więcej zajmują miejsca, i z których każde w szczególności nie jest mniej skomplikowane od niego; a wszystkie razem nie mogą rzeczywiście służyć do jednych z nim zastosowań, i nie wszędzie można ich gwoli temu, jak jego używać: o czém wszystkiém może się p. A. P. przekonać poszczególne w Obserwatorium Astronomiczném gdzie się też narzędzia znajdują.

**Zarzut 5** „Autor niewłaściwie w swoim piśmie używa wyrazu *ściśle*.“

**Odpowiedź:** Przez *ściłość* rozumie autor dokładność posuniętą najdalej do minuty stopnia; tak jak astronomowie posuwają onę zwyczajnie do sekundy; ależ ich narzędzia tyle razy niemal są większe i kosztowniejsze od Kompasów Polskiego, ile razy minuta większa jest od sekundy: zatem *ściłość* w rozumieniu autora w dosyć proporcjonalnej zostaje względności ze *ściłością* astronomów; o absolutnej zaś niemasz tu żadnej mowy i nigdzie jej być nie może.

**Zarzut 6.** „Opis pana J. byłby nierównie użyteczniejszy, gdyby kilka jego pomysłów narzędzi dokładnie wykonanych u mechanika się znajdowało, (może się znajdować jeżeli kto sobie tego będzie życzył): przez co użycie tego narzędzia stałoby się mogło powszechniejszém i o wiele ułatwiłoby (zapewne dla p. A. P.) zrozumienie teraz wyszłego opisu.“

**Odpowiedź:** Opis ułatwia, a nawet daje całkowicie zrozumieć i poznać użycie każdej rzeczy, a tém samém dopomaga do jej upowszechnienia; nie zaś użycie i upo-

wszechnienie ma poprzedzać i ułatwiać zrozumienie jój opisu.

*Zarzut 7*, jakoby wynalazca Kompasów Polskich twierdził niewłaściwie, iż rozwiązuje za pomocą swego narzędzia zagadnienia bez żadnych danych: nie potrzebuje odpowiedzi: bo go zbił sam p. A. P. w zarzucie swoim pierwszym, mówiąc że narzędzie p. J. może być z korzyścią używane tam gdzie właśnie nie ma żadnych danych.

*Zarzut 8*. „Autor nie trzyma się ścisłości, mówiąc że narzędzie jego służyć może do kreślenia sekcji konicznych na wszelkich powierzchniach.“

*Odpowiedź*: p. A. P. nie trzyma się także ścisłości w czynieniu ciągłych swoich zarzutów: bo kompasy kreślone na wszelkich powierzchniach uznaje za kompasy, chociaż ich dotąd za to nie uznawano, a sekcji konicznych czyli przecięć ostrokągowych, które są *liniami dziennymi* tychże kompasów, nie chce uznać za przecięcia ostrokątowe, nie zaprzeczywszy tego, żeby one nie były niemi rzeczywistości i nie istniały w naturze. O czém wszakże jeżeliby wątpił p. A. P. i tylko przecięcia ostrokągu *płaszczyznowe* uważał za istotne, a wszystkie inne za urojone, niech uważa: jaką linią przebiega na nierównej powierzchni np. ziemskiej, w ciągu dnia, koniec cienia jakiegokolwiek przedmiotu, i niech oznaczy tę linią a przekonana się, azali tylko same przecięcia ostrokągu *płaszczyznowe* istnieją w naturze, i azali to jest grzechem uważać je wszystkie za to czém są i wskazać sposób ich wyznaczenia. Jeżeli zaś p. A. P. idzie o to, żeby przez ten nabytek naukowy nie straciła co matematyka ze swoich dotychczasowych prerogatyw, to niechże przecięcia takowe *niepłaszczyznowe* czyli *bezwzględne* uzna za niematematyczne, jak uznał kreślenie kompasów na powierzchniach nieforemnych, a cała rzecz pięknie i w dobry sposób załatwioną zostanie.

*Zarzut 9*. „Wyrażenie: że słońce obraca się pozornie około osi świata w czasie porównania dnia z nocą, jest niewłaściwe.“

*Odpowiedź*: Dlatego jest niewłaściwe, (o czém się jednak wątpi), że je sam p. A. P. takiem uczynił, a raczé

chciał uczynić, aby miał więcej materyi do zarzutów (Odsyła się w tej mierze czytelnika do opisu Komp. Pol. stron. 28, wiersz 11). Na dowód ile p. A. P. brakowało rzeczywiście materyi do uwag nad niniejszą rzeczą przytaczają się jeszcze następujące zarzuty, z jego ni-  
byto recenzji, z których się ona składa: bo i z czegoż się miała składać?

*Zarzut. 10.* „Nie wiemy co p. J. rozumie przez swoje wyrażenie: *oś świata musi mieć kierunek południowy, dlatego że słońce, wraz z wszystkimi ciałami niebieskimi krąży około niej od wschodu na zachód.*

*Odpowiedź:* Jeżeli rzeczywiście nie jest w stanie zrozumieć p. A. co znaczy to wyrażenie, niech weźmie np. koło wozowe, jak jest osadzone na osi i tak je ustawi, żeby się mogło obracać od wschodu na zachód, a kierunek jego osi pokaże mu to, czego pojąć nie mógł i o co zamiast spytać się kogokolwiek prywatnie, zapytuje się publicznie wszystkich.

*Zarzut 11.* „Objaśnienie, że *oś świata jest to linia leżąca na południku, jest niewłaściwe. Należało raczej południk jako płaszczyznę przez biegun przechodzącą definiować.*“

*Odpowiedź:* Płaszczyzn przechodzących przez biegun, jako przez punkt, jest nieskończona liczba, a południk miejsca tylko jeden.

Prawda jasna razi jak słońce; ten ją tylko dobrze widzieć może, kto nie patrzy na nią gołym okiem albo przez zbyt okopcone szkło....

T.

---

*Wyniesienie miasta Lublina nad poziom morza bałtyckiego wyznaczone z dostrzeżeń barometrycznych. (1)*

Różnicy wysokości miejsc ziemskich dochodzimy: albo przez równoważenie geodetyczne, albo przez równo-

(1) Położenie jeograficzne Lublina jest: szerokość  $51^{\circ}41'$ , długość  $1^{\text{g}}, 23^{\text{m}}, 20^{\text{s}}$  w czasie, na wschód względem południka paryżkiego, albo w łuku  $20^{\circ}50'$ .

ważenie barometryczne. Pierwsze dokładniejsze niż drugie, wymaga kosztownych pomiarów, wiążących jedno miejsce z drugim; ztąd równoważenie barometryczne lubo mniej ściśle, ale nierównie łatwiejsze, więcej używane bywa. To ostatnie polega na porównaniu wysokości barometrów, równocześnie w dwóch lub więcej stanowiskach uważanych. Położenia miejsc ziemskich co do ich wyniesienia odnoszą się zwykle do poziomu morza najbliższego, lub też ogólniej do poziomu oceanu. Jeżeli w umyśle wyobrazimy sobie powierzchnią oceanu oblewającego prawie dwie trzecie części kuli ziemskiej, rozciągniętą pod stałe lądy, w tedy otrzymamy jeden powszechny ocean, nad który wszystkie lądy stałe wznosić się będą. Linia pionowa prowadzona w myśli od któregośkolwiek punktu ziemskiego do powierzchni tego oceanu, będzie wyniesieniem szukaném tego punktu.

Mierzenie barometrem różnicy wyniesienia dwóch miejsc znacznie od siebie odległych, polega na tej samej zasadzie co i mierzenie wysokości góry; jakoż wyobraźmy sobie, jakoby jeden barometr znajdował się w punkcie danym, a drugi na linii pionowej przy samym poziomie przedłużonego oceanu, różnica wysokości dwóch tak umieszczonych barometrów dałaby poznać wyniesienie punktu nad ocean. To drugie stanowisko umysłowe za stępuje miejsce blisko morza położone, lub też inne wiadomego już wyniesienia, gdzie dostrzeżenia barometryczne rzeczywiście się wykonywają: różnica wzniesień między daném a miejscem ostatniém, gdy będzie znaleziona, wtedy mając wiadomą wysokość ostatniego miejsca względem morza, i wyniesienie pierwszego będzie wiadome. W celu dojścia różnicy wysokości miejsc za pomocą barometrów, potrzeba, ażeby w tych miejscach znajdowały się barometry z termometrami i oddzielne termometry zgodne z sobą i poprzednio sprawdzone, których wysokości, w epokach równoczesnych naprzód umówionych, zapisują się; z wielu dostrzeżeń tym sposobem wykonanych, dochodzi się za pomocą rachunku lub tablic w tym celu ułożonych szukana różnica wzniesień. P. Popow sztabs-lekarz przy lazarecie wojskowym w Lublinie, za-

opatrzone w narzędzia meteorologiczne roboty tutejszego mechanika p. Zeisler, które były sprawdzone i porównane z narzędziami tutejszego Obserwatorium, robił przeszłego roku codziennie o godzinie 4 po południu dostrzeżenia z barometrem, termometrem, psychrometrem, i nadto zapisywał stan nieba całodzienny, kierunek wiatru, największy i najmniejszy stan temperatury. Dostrzeżenia te co miesiąc przysyłał w celu ich porównania z odpowiedniami, w Obserwatorium tutejszém robionemi.

Średnie wypadki miesięczne tych dostrzeżeń posłużyły do wyznaczenia różnicy wyniesienia Lublina i Warszawy.

Wysokości barometru i termometrů średnie miesięczne z dostrzeżeń o godzinie 4 po południu otrzymanych, wraz z wyniesieniem Lublina nad Warszawę, zamieszczają się w tabelli następującej.

Rok 1842.	w Warszawie			w Lublinie			Wyniesienie Lublina nad War stop. pa
	Barometr śred. reduk. do 0.		Termo- metr. Reau- mura	Barometr śred. reduk. do 0.		Termo- metr. Reau- mura	
	Cal.	l. p.		Cal.	l. p.		
Styczeń	27	11,43	-4° 08	27	8,62	-5° 28	201,30
Luty	—	11,16	— 0,42	—	8,74	— 1,25	177,34
Marzec	—	6,89	+ 2,09	—	4,43	+ 2,60	185,75
Kwiecień	—	7,93	+ 5,62	—	5,19	+ 5,36	209,09
Maj	—	9,01	+ 15,71	—	6,36	+ 14,20	211,12
Czerwiec	—	7,75	+ 15,85	—	5,32	+ 15,95	195,43
Lipiec	—	7,55	+ 16,18	—	4,85	+ 16,40	217,35
Sierpień	—	9,96	+ 21,40	—	7,10	+ 20,16	225,41
Wrzesień	—	8,09	+ 14,59	—	5,40	+ 14,43	213,73
Październik	—	7,98	+ 6,39	—	5,44	+ 6,10	194,80
Listopad	—	7,21	— 0,39	—	4,25	+ 0,43	221,44
Grudzień	—	10,57	+ 1,66	—	7,94	+ 1,37	195,94
Śred. Rocz.	27c.	8,79.	+ 7° 88	27c.	0,14	+ 7° 55	204,06

Z której wypada, iż Lublin wzniesiony jest nad Warszawę o 204,06 stóp paryzkich, a że Warszawa leży o 351,1 stóp par. nad poziom morza Bałtyckiego, ztąd wyniesienie Lublina nad poziom tegoż morza, wynosi 555,16 stóp paryzkich.

Z powyższych dostrzeżeń widzimy nadto, iż średnia wysokość roczna barometru wyższa jest o 2,65 lin. par., a temperatura o 0°,33 R. w Warszawie, niż w Lublinie.

J. B.

### *Połączenie dwóch Oceanów.*

Północna i południowa Ameryka przytykają do siebie między-morzem Panamą. Od tego punktu ku północy wązki pas ziemi przedstawia kilka miejsc sposobnych do przerznięcia kanałem i tym sposobem połączenia oceanów Atlantyckiego i Spokojnego, któreby w wielu razach znacznie skróciło żeglugę, czyniąc niepotrzebnym opłynięcie Ameryki koło przylądka Horn. Trzy mianowicie punkta zwróciły i jeszcze zwracają uwagę świata przemysłowego.

Najdalej ku północy, w Meksyku leży międzymorze Tehuantepek od zatoki tegoż nazwiska aż do ujścia rzeki Goazacoalko która wpada do morza Meksykańskiego. Poprowadzenie tędy kanału zachwalał T. Giordan w broszurze wydanej w Paryżu w 1838 r. — Według tego autora rzeczka Goazacoalko jest spławna przez 3 części całego międzymorza, dalej zaś na zachód poziom nie przedstawia trudności kanalizacyi. Lecz ani taki stan rzeki nie zgadza się z urzędowem sprawozdaniem Jenerała Orbegoso w samemże broszurce P. Giordan zamieszczonem, ani uskutecznienie kanału nie byłoby tak łatwe. Przytém na zachodniej stronie nie ma portu, a tak pomimo całej ważności jakaby przerznięcie międzymorza miało dla Meksyku i Stanów Zjednoczonych, wątpić należy aby kiedy do skutku doszło. Zawsze jednak jest do życzenia, aby chociaż lądowa droga łatwiła w tym kierunku komunikacją między dwoma morzami.

Dalej ku południowi, w środku między-morza Amerykańskiego znajduje się wielkie jezioro Nicaragua, które wody swoje wlewa do morza Karaibskiego rzeką S. Juan. Jakkolwiek przestrzeń od zachodniego brzegu jeziora Nicaragua aż do zatoki Papagayo jest bardzo wązka, to przecież trudności jakie przedstawia uspławnienie tej linii wymagałyby do przewyciężenia ogromnych nakładów. P.

Macqueen bogaty Australczyk obliczył je na 150 milionów franków, a P. Bailey który z polecenia rządu środkowej Ameryki, dokładny pomiar całej linii uskutečnił, podaje koszt na 20 — 25 mil. piastrow. Wrzeczy samej jezioro Nicaragua jest o 150 stóp wzniesione nad poziom morza; rzeka zaś San Juan będąca jego wód odpływem dla niejednostajnej swojej głębokości i raptownych spadków prawie wcale do żeglugi przydatną byćby nie mogła.

Należałoby równolegle od niej wykopać kanał. Jeszcze większe trudności przedstawia przestrzeń na zachód jeziora ku zatoce Papagayo — trzebaby skały rozbijać aby przez nią kanał przeciągnąć.

Najłatwiejszem do wykonania zdaje się być przerznięcie między -morza Panama od ujścia rzeki Chagres do Karaibskiego morza, aż do ujścia Rio Grande w ocean Spokojny. Obie te rzeki mają 5—6 metrów głębokości, a na 100 metrów są szerokie; bieg ich spokojny. Właściwy kanał byłby tylko na 23 kilometrów (4 mile) długi ponieważ korzystanoby jeszcze z rzeki Séj Trójcy która wpada do Chagres i z jednej małej rzeczki łączącej swe wody z Rio Grande. Baron Thierry (z Nowej Zelandyi) jeszcze w r. 1835 z polecenia P. Salomon i Comp. z Gwadalupy (Pointe à Pitre) zbadał całą linię od Chagres do Panama; w r. 1836 uzyskał dla tego domu handlowego przywilej od rządu Nowej Grenady. Nadto utworzyło się towarzystwo do wybudowania kolei żelaznej; oba te przedsięwzięcia połączyły się w r. 1838. Towarzystwo wzięło się do dzieła, oczyściło koryto rzek Chagres i Stėj Trójcy a nawet w miejscu przez które miał przechodzić kanał zbudowało drogę. Lecz brak funduszów nie dozwolił Towarzystwu przedsięwzięcia swego silnieć popierać; zamieszki zaś wkrótce potem wybuchły w tej części Ameryki kazały dzieła zaniechać. Silna wegetacya podzwrotnikowa okryła zbudowaną drogę i przedsięwzięcie czeka lepszej chwili.

Ta chwila przecież zdaje się że niedługo nadejdzie. Francya szczególniej jest w tém interesowaną, z powodu nowo przyswojonych posiadłości na oceanie Spokojnym, wyspach Marquesas i Towarzyskich.



Jakikolwiek kierunek obranym będzie dla połączenia dwóch oceanów, skutki jego okażą się dla żeglugi europejskiej, szczególniej w skróceniu drogi do zachodnich brzegów Ameryki licznych archipelagów na zachodnie Spokojnym i poczęści zbliżeniem nas do Australii. Jakoż widzieliśmy w rządzie osób interesujących się tym przedmiotem Australczyka p. Macqueen.

Innych następstw kanał przez między-morze dla żeglugi europejskiej, za sobą nie pociągnie. W szczególności mylnem jest mniemanie jakoby przerznięcie między-morza skróciło drogę do Chin. Nawet droga około przylądka Dobrej Nadziei jest krótsza; najprostszą zaś komunikacją z Chinami a szczególnie też z Indjami wschodniemi ma Europa przez Suez.

Inaczej się ma ze Stanami Zjednoczonymi, Meksykiem i t. d. Dla tych zbudowanie kanału stanowi zarazem ułatwienie stosunków ze wschodnią Azyą, a najwygodniejszym w tym względzie byłby kierunek przez Tehuantepek.

W końcu musimy dodać, iż na posiedzeniu Tow. Londyńskiego jeograficznego czytano list konsula ang. z Panamy p. Perrj w którym donosi iż Indyjanie z wysp St Blas bywający w Panamie utrzymują że tę drogę aż do Chepo w swoich czółnach odbywają. A tak istniałaby naturalna komunikacja między obu morzami dotąd nikomu nieznaną.

Z.

### *List do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

*Pani Dobrodziejko!*

Mamy tu zwyczaj na wsi głębokiej, uważać Warszawę za stolicę dobrego smaku, artystycznego powonienia piękności, zgoła za Sybillę pięcią zmysłami hojnie obdarzaną, której wyroki i sąd nie odwołalne. Długo w pokorze i milczeniu przyjmowaliśmy wszystkie jej po rozmaitych pismach ulotnych, peryodycznych, tomowych, zeszytowych i t. p. rymowane i nierymowane rapsody. Aż wreszcie w tych dniach, w jednym z domów tutejszej okolicy, w gronie kilkunastu nas wieśniaczek przy kołowrotkach i krosienkach pracujących, pan Mazgaito zwykły nasz lektor nadesłany Nr 2 Przeglądu Naukowego wzięwszy do ręki, tak nas odczytaniem górnej poezyi p. Anieli D... rozrzewnił, żeśmy jednogłośnie miłą autorkę za arcyznakomitą poetkę uznały, szanownej zaś Redakcyi Przeglądu dziękczynienie publiczne, za ogłoszenie tyle zajmującego utworu złożyć postanowiły. Jedna z nas nawet zdziwiona wzniosłością myśli i czucia w poezyi tej zawartą rzuciła wątpliwość, ażali autorka płci swojej nie ukrywa dla przyczyn nam niewiadomych. Druga zaś zagrzana du-

chem Appollina, zastrugawszy kręzulkę swęj kądzieli, jednym tohem wierszyk tu dołączony napisala. Chcięj, prosimy zacna Redakcyo wierszyk ten zamieścić w swęm piśmie, a dla szanownęj koleżanki Przeglądu, być tłumaczką uczuć wdzięczności i podziwu, jakie w nas wyborem i drukiem tyle wzniosłęj poezyi wszczepila.

Nie pozostaje mi jak zakończyć zapewnieniem najpoddannięjszego wyrokom twoim posłuszeństwa.

Jedna z czytelniczek i przedpłatniczek  
Biblioteki Warszawskięj.

### CO JA LUBIĘ

Wierszyk napisany po przeczytaniu poezyi P. Anieli D.... pod takimże samym tytułem zamieszczony w Nr. 2 Przeglądu Naukowego.

Co ja lubię? — brzask jutrzeński,  
Majowego dnia pogodę,  
Pastuszków ranne piosenki,  
Spokój ziemi, wsi swębobę.

Lubię kwiatów moich wonie,  
Spiew słowika, ptasząt gwary,  
Dzwon, co wita me ustronie  
Dźwiękiem nadziei i wiary.

Lubię dziennych prac porządek —  
Pstrego drobiu głośną wrzawę;  
Chłopków mowy, ich rozsądek,  
I ochoczą świąt zabawę.

Lubię otręć łzę biednemu,  
Skarg wystuchać, żal ukoić,  
Temu datkiem, radą temu,  
Złęj przygody rany goić.

Lubię niebłyszczące cnoty,  
Ciche, domowe zajęcia,  
I pół uśmiech niemowlęcia  
I dziątek moich pieśczoty,

I braci tęszną rozmowę  
Przeszłość gdy wspomnieniem gonią  
Lubię korną codzien głowę  
Pod rodziców składać dłonią.

Lubię przy wieczora końcu,  
Gdy wietrzyk listkiem nie ruszy,  
Światło gwiazd, po zgasłym słońcu;  
Po dniu pracy, spokój duszy.

A gdy chcąc mnie upokorzyć,  
Bóg w rozpacz strąci z wesela,  
Krzyż mój wtenczas lubię złożyć  
U stóp krzyża Zbawiciela.

### *Banki szkockie i różnice ich od angielskich.*

Liczba osób zakładających Bank na wspótkę nie jest w Szkocyi prawem ograniczona: w Anglii i Irlandyi przeciwnie, najwięcej sześć osób do wspótki takiej należyć może. (Od roku 1821 prawo to obowiązuje tylko w okręgu 65 mil ang. na około Londynu). W Anglii banki nie mogą wypuszczać papieru niżej wartości od 5 funt. ster. (200 złp.), w Szkocyi i Irlandyi wielka masa biletów składa się z sztuk 1 funtowych (40 złp.). Banki Londyńskie nie płacą procentu od depozytów, w Szkocyi dają 1 procent niżej od bieżącej stopy procentu. Angielskie prowincjonalne zbliżają się w tem do Szkockich. Szkockie banki przyjmują depozyta od 10 ft szt. Bank angielski odrzuca nawet 50 ft szt. kwoty. Wspólnym tym bankom warunkiem jest: obowiązek płacenia w złocie każdej kwoty wyższej nad dwa fu. sz. skoro to zażądaniem będzie. Angielskie prowincjonalne banki płacą także biletami banku angielskiego, które w każdej chwili w licznych kantorach tegoż banku można na złoto wymienić. W ogólności w Anglii wiele jest złota w obiegu; płacą niemi robotników i uskuteczniają wszystkie drobne wypłaty. W Szkocyi widać tylko szylingi (dwuzłotówki) i papier — sztuka złota rzadko się spotka. Banki Szkockie są razem składowe, żyro i cyrkulacyjne. Wszyscy stowarzyszeni solidarnie całym swoim majątkiem odpowiadają za zobowiązanie banku i ztąd banki Szkockie używają powszechnego i zasłużonego zaufania. Wytrzymały one czasy największych przesilen i od 100 lat zaledwie 2—3 przykłady bankructwa pomiędzy niemi znaleźć można.

Bank Szkocki założony został 1605 r. Bank główny otrzymał przywilej w r. 1727. Odtąd powstało około 30 podobnych zakładów z których British linen company jest jednym z najdawniejszych i najwięcej wziętości używających. Wszystkie te banki mają oprócz kantoru głównego, dwa lub trzy wielkie kantory w Edimburgu i Glasgowie; podbanki (filiacye) nietylko po miastach znacznie-

szych Szkocyi ale wszędzie gdziekolwiek odbywają interesa. Nietrudno spotkać agentów tych banków, jak w lekkim powozie zajeżdżają przed gospodę wioski, która na chwilę w giełdę się zamienia i tam przyjmują oszczędzony grosz rolnika, dyskontują wexle, lub załatwiają inne interesa. Wpół godziny odjeżdża agent w swoim gig a z nim bank do najbliższej wioski się przenosi. Zgoła gdziekolwiek interesa ludzi zgromadzają, czy na jarmarki czy na targi bydła, wszędzie banki szkockie spieszą się ze swoim pośrednictwem: kupujący nie potrzebuje przywożenia z sobą pieniędzy, sprzedającym odebrana kwota ani chwili próżno nie leży. Szkocya jest krajem z natury ubogim, tylko intelligencya i przemysł mieszkańców wyniosły ją do stopnia zamożności na którym się dziś znajduje, a jednym zgłównym środkiem ku temu pomocnych były banki dające przemysłowi możność posuwania się naprzód wszędzie gdzie tylko dostateczną wskazywał ręką.

*Wyjątek z listu z Wilna.*

Wyszedł tu przekład historyi Reformy Religijnej *Cobbett'a*, a chociaż dość mierny, dla ważności jednak przedmiotu czytany jest od wszystkich.

Prócz tego ukazał się i Noworocznik Literacki księdza Krasieńskiego. Jest w nim kilka niezłych kawałków prozy, przy wcale lichéj poezyi. Ogłoszono wreszcie drugą seryą obrazów *Chodźki* i prenumeratę na 5'y Tom tłumaczeń *Odyńca*. Ma być w nim *Mazepa*, *Peri* i *Balady*. W druku jest poezya Panny *Gabryelli Günther* pod tytułem: *Młodzianki*.

Dnia 22 b. m. marca Towarzystwo Lekarskie tutajsze obchodziło pamiątkę zgonu doktora *Józefa Francka* założyciela swego, żałobnym nabożeństwem w kościele *Św. Jana*. Kanonik *Borowski* miał stosowną do okoliczności mowę.



*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

# DOSTRZEŻENIA

## METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

LUTY. — 1843





	milim. czyli c.	l.
Srednia wysokość barometru miesięczna	741,238	27 5,017
Najwyżej barometr dochodził		
d. 8 o 6 g. r.	757,42	27 11,761
Najniżej d. 28 o 4 g. w.	723,78	26 0,735
Srednia zmiana dzienna barometru	3,78	1,08
Najw. zmiana dzien. d. 26—27 o 10 g. w.	11,59	5,14
Srednia wysokość barometru jest niższa o	7,925	3,508
od stanu normal. z 17 lat poprzedz.	(752,163	27 0,425)
Srednia temperatura Lutego jest	† 3,63	† 2,90 R.
i ta jest wyższa o . . . . .	7,22	5,77 "
od stanu norm. z 17 lat poprzedz.	— 3,589	— 2,871 "
Największe ciepło dochodziło		
d. 24 i 28 o 4 g. w.	† 12,9	† 10,3 "
Najmniejsze d. 15 o 10 g. w. . . . .	— 4,6	— 3,7 "
(Termometragraf wskazał min. — 3,8 R. d. 15. — 16 w nocy, max. † 11,5 R. d. 24).		
Srednia zmiana dzienna temperatury	1,95	1,56 "
Największa zmiana dzien. d. 23—24 o 4 g. w.	3,2	6,6 "
Srednia wilgotność powietrza wynosi 91,4 biorąc 100 za zupełne nasycenie, czyli 1, 13 grammów na jednym metrze sześciennym co do wagi.		

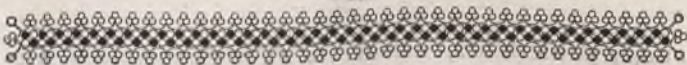
Srednia temperatura miesięczna źródła:  
za pałacem Kazimirowskim † 6°70 R.

Dni pogodnych było 1; na pół pogodnych 7, pochmurnych 20.  
— deszczu 7: (d. 1, 2, 3, 18, 21, 25, 27).  
— śniegu 1: (d. 12).  
— mgły 7: (d. 9, 10, 19, 20, 21, 23, 24).  
— błyskawic bez grzmotów 1: (27).

Wody z deszczu spadło 10,52 milim. czyli 4,66 lin.

Luty r. b. nadzwyczajnie różnił się od stanu normalnego, tak co do stanu barometru, termometru jako też i kierunku wiatru panującego. W żadnym z lat 60 poprzednich miesiąc ten nie był tak ciepły jak w r. b. średnia jego temperatura jest blisko o 6° R. wyższa od stanu normalnego, największe ciepło lat poprzednich w tym miesiącu dochodziło 0° R.; w tym zaś roku d. 14 termometr wskazywał 11°,5 R. ciepła. Luty był niepogodny, mglisty, śniegu prawie niebyło; d. 27 w stronie zachodniej nieba widziano błyskawice, a w okolicy Warszawy słyszano grzmoty przez parę godzin trwające; wiatr zwykle panujący w tym miesiącu Zachodni w r. b. był Południowo-Wschodni — Wegetacja roślinna o dwa miesiące wcześniejszą się okazała niż w stanie zwyczajnym — Murawy się zazieleniły, kwiaty niektóre się rozwijały, drzewa pączki puszczały, owady w powietrzu latały, tak iż życie roślinne okazało się w takim stanie jak zwykle w końcu kwietnia,

Dnia 17 między g. 6 a 8 wieczór widziano światło zodyakalne.  
— 19 w Lipsku było lekkie trzęsienie ziemi.



## WSPOMNIENIE KAWKAZU

przez

*Adama Idzkowskiego.*

Mówić o kraju kaukaskim jest to opisywać samą prawie jego niezaludnioną ziemię, a ziemia bez ręki człowieka zbyt jest dziką, jednostajną, tęskną i bez-owocną. Brakuje téj bryle duszy: jeżeli echa wesółych pasterzy nie rozlegają się po gajach, jeżeli pola nie pokryte są niwami lub rojem żniwiarzy, jeżeli dzika roślinność pokrywa doliny i wzgórze całych widokręgów, a zamach stalowej kosi nigdy jój nie naruszy, jeżeli nie masz budowy i gmachów, drzew i owoców; głucha pustynia smutne nam tylko wzbudzić może wrażenia. A wszakże jest tu jakaś potęga, która bez względu na nasze wymagania zajmuje umysł, rozszera serce, podnosi wyobraźnię i na jój skrzydłach wzbiwszy się do wyższego stanowiska, podziwiać nam każe nowość i oryginalność widoku. Ziemia bowiem nasza siedlisko licznych pokoleń, księga zadziwiającej różnaitości, pomnik wieków, obraz wszechwładnej potęgi i cudu, niedocieczona w swoich pierwiastkach, niezwiędzona na



swojej powierzchni, nicodkryta we wnętrznościach, niepojęta w swym celu; ziemia mówię ten najznakomitszy element wszystkich zjawisk świata w śród niezliczonych swoich odmian różnaitości, zawsze zadziwiać będzie naszą ciekawość, przez nieskończone własności swoich pierwiastków i coraz nowe zjawiska dla uwagi rozumującego człowieka. Otóż przyczyna dla której tyle wieków, tylu uczonych, tylu ciekawych, poświęcało jej w hołdzie swoją naukę, lub raczej szukało w jej łonie tajemniczych bogactw dla umysłu. Lecz niewszystkie okolice świata zostawały już w tej kolei: są ustronia, są kraje gdzie dotąd umysł człowieka form ich nie dostrzegł, własności nie ocenił, cudów nie uwielbił. Ciekawość jednak nasza wzrasta w miarę tychże trudności i każdy z nas chciałby wiedzieć co się znajduje na niedostępnej górze, lub w jej łonie, co się dzieje w niezgruntowanej przepaści krateru, co jest pod bezdennem morzem, słowem wszędzie chcielibyśmy przedrzeć naszą ciekawość, gdzie naszych kroków posunąć nie możemy: ztąd powstały hipotezy, ztąd owe uczone teorye, które chociaż nie zawsze zgodnemi były z rzeczywistością, w każdym jednak razie były i będą zaszczytem umysłu człowieka.

Każdy kraj jeżeli naszą zajmować może wyobraźnią, zwykł się nam przedstawiać w swojej przeszłości, obecności i tworzyć w umyśle następstwa obrazy. Księga przeszłości kraju kaukazkiego zbyt przyćmionemi napisana jest pomnikami, przestrzeń tę równie jak jej przyległe w odległych czasach starożytności, napełniały liczne pokolenia aż do Dniepru, żywiące się pasterstwem wśród czynnej roślinności ziemi. Swobodny ich stan wśród wędrowniki i umiarkowanej temperatury spowo-

dował ich rozplemienie się aż za granicę potęgi roślinności ziemi, ustawiczne ich rozprzestrzenianie się dało im sposobność poznania południowych oświeconych narodów. Cóż więc pozostawało dzikiemu Tatarowi, nie mając na swojej ziemi żadnych owoców własnej działalności, nie dzwignąwszy kamienia na wzniesienie świątyni swojemu bóstwu, nie zrobiwszy sobie dachu dla swobodnego spoczynku i schronienia się od dokuczających ostateczności atmosfery, nie mając nawet innych pomników swego istnienia nad mogiły pogrzebanych. Słowem naród ten wysysający wszystko z dobroczynnej piersi przyrodzenia, a nie dający jej wzajemian żadnego usiłowania, żadnej uprawy, uzbroił rękę morderczém żelazem, i udał się na zagładę oświaty i narodów. Pozazdrościwszy szczęścia oświeconym ludom, nie mogąc go pojąć, nie mogąc mu wyrównać, sprzysiągł się na jego ruinę. Patrzmy więc na te pola z wyobraźnią przeszłości, podziwiamy zjawisko niesłychane niszczącój szarańczy, której liczba była niegdyś tak wielką potęgą, potęgą której świat cały uległ i przez nią zagrzebany został w ruinach. Rozplemiony Góral Kaukazu nie tylko zaległ jego okolice, ale swoją liczbą i srogością gdy wszystko zniszczył, sam zniknął na całej ziemi. Cichość i pustynia napełniła jego rodzinne siedliska, a jeżeli gdzie jeszcze znajduje się dziś jego potomek, to zadumany, zapomniany od ludzi błąka się ze swą trzodą samotny wśród pustyni, jak gdyby skazany na upokorzenie i na doświadczenie tych skutków jakie dzikością swoją przodkowie jego zgotowali. On pozbawiony słodczy towarzyskiego pożycia, żebrze dziś względów przy podwojach téj samej oświaty, której przodek jego tak nielitościwym był mordercą.

Napełniony świat owocami działalności człowieka, został wprawdzie zrównany na czas niejaki z dzikimi pustyniami, lecz zagłębione korzenie uprawianego umysłu wydały nowe latorośle i zapowiedziały nową światu wiosnę; powstały miasta, gmachy, wioski i narody, gdy tymczasem zgładzona bez-owocną nicością nie ukazała więcej swego bytu, i tak w granicach jej przeszłej siedziby widzimy te rozległe przestrzenie wśród smutnych tylko wrażeń z rozmyślenia jej przeszłości.

Historia tego kraju w smutnych kolorach wystawia nam jego obraz; ślady zaś jakie znajdujemy w rozrzuconych po całej przestrzeni mogiłach lub w grubo okrzesanych kamieniach, jawnym są dowodem, do jakiego stopnia narody zalegające jego przestrzeń były ciemnymi i dzikimi. Starożytni a szczególnie Rzymianie także też o nim mieli wyobrażenie. Wirgiliusz w Eneidzie księdze IV mówi: *«Nec tibi diva parens, generis nec Dardanus auctor, — Perfide, sed duris genuit te cautibus horens; — Caucasus Hyrcanaeque admorunt ubera tigres.»* Kiedy tak smutna przeszłość tego kraju nie może nas zająć swojemi wspomnieniami, zwróćmy więc naszą uwagę na stan obecny, okaże on nam szczególniejszą sprzecznosc ze starożytnością co do ludności, co do postępów i usiłowań oświaty. Sama tylko ziemia, to dzieło wyższej potęgi dotąd pozostawszy w swoim pierwotnym stanie, wystawia nam nieprzerwane licznych wieków i zjawisk ogniwo. Gdy więc nie możemy patrzeć z rokoszą serca na jej upłynione wieki, kiedy ona ciekawości naszej upokarzając tylko ludzkość przedstawia wypadki, zwróćmy nasz wzrok na stan dzisiejszy, poznajmy ile możliwości jej bogactwa, powietrze, wody i tę wysoką siłę wegetacji, która bez żadnej pomocy

człowieka, żywi obficie błakające się trzody i pokolenia. Spójrzmy okiem uczucia na te piękne i urozmaicone kształty gór, które wielkością swoją i położeniem tak dziwne sprawują złudzenia.

Kraj kaukazki nie jest wprawdzie dla nas zupełnie nie znanym, wszelako wyobrażenie jego i znajomość ta zbyt mało jeszcze jest posuniętą; wiemy że jest bezludny, wiemy że są stepy i t. p. lecz ogólnego charakteru, lecz całkowitej fizyognomii trudno nam jeszcze sobie wystawić. Przebiegając przestrzeń tych okolic, zwracałem pilną uwagę na wszystkie jego elementa, bawiła mnie jego oryginalność i różnaitość mieszcząca w sobie z jednej strony przyjemne widoki zieloności, bujnej roślinności, umiarkowanej atmosfery — z drugiej niedościgłość dla oka pustych przestrzeni, brak lasów i wody a najbardziej takich istot, których oblicze będąc naszym zwierciadłem, najmiliej nam budzą przyjemne wrażenia i słodycz najdroższej towarzyskości. W kraju tym nie może nas zajmować piękność lub wielkość miast, nie uderzy nas różnaitość siedlisk wiejskich, nie zobaczymy w nim wydoskonalonej uprawy gruntów, ani też tego przemysłu i kunsztów któremi oświecone kraje sprawnie chlubie się zwykły. Wszystko tu spoczywa nie naruszone, ziemia leży w swoim pierwotnym stanie, oczekując spełnienia tych przeznaczeń jakie jej przygotowała nieodstłoniona jeszcze przyszłość. Rzućmy więc okiem bez żadnej przeszkody na ten obszar gruntów okrytych bujną zielonością, dalej i dalej posuwajmy naszą ciekawość, zwracajmy nasz bieg w prawo i lewo, wszędzie bujne trawy i wzgórza rozciągają się za granice naszego widokregu, wszędzie cichość; trzody tylko czasem Kałmuka lub z odległych krajów przyby-

tego kolonisty okażą nam niejaki znaki osiedlonych mieszkańców. Granice tylko znajdziesz zamieszkałe, a raczej uzbrojone w armaty karabiny, pistolety, miecze i noże. Tak opuszczony, tak dziki, tak pełen melancholii, ma jednak ten kraj w sobie tak coś wielkiego, tak interesującego i działającego na wyobraźnię, iż niepodobienstwem jest oprzeć się pewnym wrażeniom jakich doświadcza nasze serce i umysł. Są one odmienne od wszelkich innych, jakich doświadczała kiedy nasza dusza; bo kiedy wszędzie materyalny stan zabićrał naszą całą uwagę, a nagromadzone przedmioty zatrudniały naszą rachubę i pamięć, tu przeciwnie otwarty horyzont sprzyjający nieskończonej myśli, wznosi umysł w krainę odjemnych wyobrażeń, zatrudnia go tylko samemi wielkimi rysami.

Aby mieć obraz kraju kaukazkiego, należy sobie wystawić najprzód niezmierne, okiem niedościgłe, rzadko zamieszkałe rozległości, które powszechnie nazywamy stepem. Po przebyciu rozległych płaszczyzn rozkładają się liczne powały gór, które w miarę zbliżonej odległości do głównego pasma przybierają kształt co raz ostrzejszy i są wynioślejszemi, aż nakoniec horyzont zamyka się kolosami, których wierzchołki okryte wiecznym śniegiem, sięgają najwyższych granic atmosfery. Za temi zaś kolosami znów góry stopniowo zniżają się, aż nakoniec widzieć się dają nowe stopy. Przez step rozumieć należy ziemię dziewiczą, która w tym stanie ma szczególniejsze własności. Kolor jej jest w największej części czarny, warstwy ziemi roślinnej dochodzą częstokroć do kilkunastu stóp. Wielka a raczej zbyt duża ilość próchnicy w niej zawarta, czyni częstokroć ziemię tę za nadto silną dla urodzajów; brak lasów i wody

czyrni step suchym i w przestrzeni jego daleko więcej upał czuć się daje aniżeli w inném miejscu; mróz również więcej tu jest silnym aniżeli w miejscach zaludnionych. W czasie lata w miesiącach lipcu i sierpniu, upały wysuszają trawy tak dalece, iż tylko w niższych miejscach zieloność pozostaje. W ogólności zaś roślinność stepu jest nader silną, na najwyższych górach rosną najpiękniejsze trawy, gdzie zbierają w wielu miejscach znaczą ilość siana. Pomimo licznych właściwych temu krajowi krzewów, kwiatów, ziół i traw aromatycznych lekarskich i t. p., widzieć tu można len i konopie dziko rosnące. Gdzie tylko krzewy między górami ukazują się, wszędzie widać dziką winną lato-rosł snującą się około drzew lub roślin. Ziemia ob- radza obficie rozmaitego rodzaju zboża, dla uprawy jęj do pługą używa się trzech lub najmnieję dwóch par wołów — w całych przestrzeniach nigdzie nie masz kamieni. W miejscach odleglejszych od gór głównych rzeczki są bardzo rzadkimi, a woda w studniach bardzo niedobra; w wielu miejscach pomimo największej głę- bokości dobyć jęj nie można, i tylko z deszczu zbieraną w cysterny częstokroć mieszkańcy kontentować się mu- szą. W czasie posuchy ziemia nabiera nadzwyczajnej twardości i pęka się do znacznej głębokości w rozmaitych kierunkach; w czasie deszczów taż ziemia wydaje się nader tłustą i śliską: tym sposobem w śród pogody drogi są najprzyjemniejszymi dla swojej równości i twardości, lecz w czasie deszczów są bardzo błotnistemi tak, iż koła pojazdu albo zapadają do znacznych głębokości, albo też obciążone wielkimi bryłami ziemi, utrudniają pośpiech dla podróźnego. Owoce w ogrodach pięknie się udają: arbuzy, melony i t. p., rośliny ogrodowe rosną

bez żadnego prawie starania zasiane na otwartych polach. Na miejscach gdzie już był raz grunt uprawiany a później opuszczony, innego rodzaju wyrastają rośliny; bujność ich i żywość różni się zupełnie od roślin stepu, a tak uprawa ręki człowieka chociaż nawet zaniedbana, zostawia jednak nową siłę przyrodzeniu i ułatwia mu rozwinięcie swojej potęgi. Drzewa wielkie są przy wielkich górach miejscami, lecz nigdzie na równinach i w stepach: lub tylko małe krzewy dębów, wiązów, jesionów i t. p. rozkładają się czasem po pagórkach. Mieszkańcy mówią, iż dla słonych przymiotów gruntu drzewa rosnąć nie mogą. W wielu jeziorach woda wysychając w czasie upałów, zostawia po sobie liczne masy soli na brzegach; nie jest ona wprawdzie zdatną do użycia zwyczajnego, będąc gorzką i inne zawierając w sobie części, lecz mieszkańcy zbierają ją i używają dla potrzeb inwentarza lub t. p.; Górale zaś i Tatarzy używają nawet do potraw. Że drzewa nie rosną na równinach, pochodzi to może od alkaliów, siarki, wapna i t. p. będących w wodzie, która niegdyś pokrywała te strony i napoiła ziemię, dostarczana z kraterów których dotąd jeszcze widzimy ślady i działanie aczkolwiek na mniejszą stopę. Widzimy bowiem, iż wody mineralne w górach coraz bardziej zmniejszają się, przestają z czasem formować ogromne masy gór, i tylko małe już tu i owdzie wznoszą się wydatności z cząstkowego wycieku wód wulkanicznych. Tak więc zdaje się iż natura sama usypiając coraz bardziej swoje gwałty i cuda, wzywa człowieka z pomocą jego sztuki aby zajął jej panowanie.

Klimat tego kraju jest nader rozmaitym, w górach zimna i mrozy wcześniej jesienią poczynają się, a na

wiosnę dłużej trwają jak na równinach więcej od gór odległych. Podług dostrzeżeń doktora Konradi, zimno dochodzi do 18, a w roku 1828 do 21 stopni Reaumura, dnia 7 stycznia. Największe upały dochodzą 27, 28, 29, a w roku 1829 dnia 27 czerwca było 32 stopni w cieniu, lecz zdarza się czasem i stopni 39; w czasie największych upałów termometr w nocy okazuje najwięcej 21 stopni  $t$ . Dni deszczowych w roku bywa od 60 do 70, śnieżnych od 15 do 22, dni mglistych 56 do 64, dni jasnych 90 do 120, gwałtownych nawałnic 6 do 12. Osobliwsza, że barometr nie jest tu wierną skazówką odmiany atmosfery: często merkuryusz stoi bardzo wysoko, a tymczasem deszcz pada, lub burza gwałtowna przechodzi, często zaś merkuryusz w barometrze bardzo nisko opadnie, a tymczasem najpiękniejsza bywa pogoda. W czasie dni gorących w lecie wśród największego skwaru słońca, cała atmosfera zdaje się być mglistą, lub raczej jak gdyby najgęstszym napełniona kurzem, co wszakże nie jest ani pierwsze ani ostatnie, tylko pochodzi zupełnie z innej przyczyny której mi na miejscu nikt z obserwujących wytłumaczyć nie potrafił. Widok takiej atmosfery dla podróżnego pierwszy raz ten fenomen spostrzegającego osobliwsze czyni wrażenie, zdaje się bowiem jak gdyby był wypadkiem szczególniejszych przyrodzenia operacji, lub też poprzednikiem nadzwyczajnego jakiego zjawiska. Zadywienie to nieba że tak powiem, pospolicie trwa przez całe upały, zasłaniając odległe przedmioty i niebo przed oczami widza, któremu zdaje się, iż samym tylko oddycha kurzem. Wiosna zaczyna się bardzo wcześnie: jeśli śnieg był nie wielki, to w styczniu okazują się niektóre kwiaty, jak np. *Crocus reticulatus*, *Merendera*



Caucatica, Puschkinia Scilloides i t. p. Wiosna powiększej części bywa wilgotna, kwiecień cieplejszy i jaśniejszy jak początek maja — w kwietniu bywa czasem 23 stopni ciepła, a później zdarza się iż termometr opada aż do zera, a nawet częstokroć mróz niszczy rośliny. Czerwiec, lipiec i część sierpnia bywają najgorętsze. Rzadkie są dni bez wiatru, który od strony wschodniej jest najpospolitszym. Ze zmianą wiatru gorąco natychmiast w jednej chwili zmieniać się zwykło; przy końcu miesiąca czerwca w wielu miejscach widziałem już żniwo, gdy tymczasem w innych nastąpiło w końcu lipca. Jesień pospolicie bywa piękną, lecz później zbliżanie się zimy poprzedzają burze. Zima trwa od sześć do ośmiu tygodni, lecz czasem zdarza się, iż jest znacznie dłuższą. Na wiosnę i w jesieni bywają wielkie mgły, lecz te są miejscowemi do tego stopnia, iż gdy w jedném miejscu o kilka kroków rozpoznanie przedmiotów staje się niepodobnem, w inném słońce najpiękniej oświeca. Podobnie i wśród lata dni dżdżyste i pochmurne nie dla wszystkich okolic są jednakowe, owszem w małych nawet odległościach zupełnie odmienny spostrzegać się daje stan atmosfery, bo gdy w jedném miejscu upał gwałtowny dokucza, w inném nie wiele odległóm, ulewne deszcze pokrywają ziemię. W ogólności im bardziej zbliżamy się ku łańcuchowi gór, tém temperatura jest chłodniejszą, a trwanie upałów daleko mniej gwałtowne i krótsze. Trzęsienia ziemi zdarzają się co lat kilka lecz nie gwałtowne, z dwóch ostatnich jedno było roku 1826, 28 stycznia, drugie 1829 r. d. 25 lutego. W miejscach wynioślejszych powietrze jest zdrowe, lecz za to na równinach a szczególnie przy błotach z powodu gwałtow-

nego działania słońca, staje się bardzo niezdrowém i szkodliwém.

Rzeki tego kraju są to albo strumienie szybkiej wody rozbijającej się po kamieniach, nader przezroczystej w bliskości gór; albo też są to małe że tak powiem rowy zawierające w sobie wodę błotnistą i leniwo płynącą w odległościach znaczniejszych od gór. Rzeki te mniejsze i większe mają nazwiska: Terek, Aradon, Araha, Dida, Kizył, Pfok, Pszuch, Durdur, Kumbeleri, Iref, Archudan, Malkar czyli Balk, Kuraka, Sundza, Oksai Kurza, Kuma Podkumek Kubań. Ludność wynosi 122,500 dusz — mieszkańcy są Rosyianie, Armenicy, Georgijczycy, Kabardyńcy, Osietyńcy, Kistyńcy, Kumiki, Nagajcy, Gruzmeny, Abazyńcy, Kałmuki, Cyganie. Pokolenia Czerkieskie które się podały pod panowanie Rosyi poczynają trudnić się uprawą roli, a tym sposobem ustaje w nich stopniowo chęć do napadów i łupieztw cudzej własności.

Drugim znakomitym Kaukazu przedmiotem są jego góry. Niepodobniestwem jest dać wyobrażenia geognostycznego tych wielkich mass i kolosów, z powodu iż przestrzeń ich zaludniona jest pokoleniami Czerkiesów dzikimi prawie, którzy podróżnemu obcego narodu przystępu łatwego nie pozwalają. Bogactwa więc w nich zawarte zarówno są ukryte dla korzyści człowieka, jak przedmioty ciekawości dla nauki. W roku 1829 wysłani zostali z Petersburga uczeni, do towarzyszenia wyprawie Jenerała Emanuel, lecz groźna zewsząd postawa mieszkańców, trudne przebywanie wąwozów, przepaści i skał, konieczność towarzyszenia licznego oddziału uzbrojonego wojska najmniejszemu poruszeniu pracujących, były powodem, iż zbyt mało postąpiono w po-

znaniu wewnętrznego składu gór Kaukazu. Dowiadujemy się tylko z rapportu Pana Kupffera uczynionego Akademii Petersburskiej umiejętności, iż »piérwszy Łańcuch gór składa się z przestrzeni rozległej wznoszącej się nieznacznie aż do wysokości 8 do 9000 stóp nad powierzchnią morza, porozdzieraną w rozmaitych kierunkach przez wąskie i głębokie przepaści; mieści na sobie rozległe pastwiska stepowe, gdzie wzrok nie natyka żadnego drzewa, żadnego mieszkania. W przepaściach znajdują się niekiedy krzewy, a na ich dnie ze skały na skałę spadają zewsząd małe potoki. Łańcuch ten składa się ze skał wapiennych i piaskowych ułożonych w pokładach poziomych. Żadna z tego szeregu gór nie podnosi się aż do granic wiecznego śniegu, widać tylko tu i owdzie pomiędzy wydrążeniami i w cieniu na największych wysokościach części śniegu, które przez całe lato zostają nienaruszonymi od słońca. Wszystkie te góry mają formę płaską i rozległą na swoim szczycie. Niezmierną ich przestrzeń pokrywają pastwiska, a ponieważ wysokości te zaledwie wśród lata oczyszczone bywają ze śniegów, trawa na nich jest zupełnie jeszcze młodą i świeżą, gdy tymczasem w dolinach skwar słońca zniszczył już całą roślinność. Czerkiesy więc w tej porze przypędzają tu swoje trzody na pastwisko. Widzimy ztąd iż góry te nie są wcale podobne do szwajcarskich i tyrolskich. W Szwajcaryi góry wapienne są częstokroć pokryte wiecznymi śniegami, wznoszą się w kształcie szpiczastym lub ostrokągowym, tak iż jeżeli znajdują się jakie małe rozległości trawy na znaczniejszych wysokościach, nie zajmują one najwyższych wyniosłości. Na szczytach gór nie można odbywać podróży, owszem podróży idzie zawsze dolinami, gdy

tymczasem doliny na Kaukazie będąc nader wązkiemi w kształcie wąwozów, utrudniają podróż swemi przepaściami i gwałtownością potoków. Najdawniejszy piaskowiec formujący część najwynioślejszą pierwszego łańcucha Kaukazu i najwięcej zbliżoną do łańcucha środkowego, o którym zaraz mówić będziemy, spoczywa na konglomeracie kwarcowym bardzo grubym, a spodem tego znajduje się łupek gliniany. Te piaskowce formują przepaści bardzo niedostępne obrócone w stronę łańcucha środkowego, od którego odłączone są głębokimi dolinami. Położenie horyzontalne pokładów, regularność z jaką przeplatane są przez skały wapienne, a nakoniec skorupy szlimaków które się w nich znajdują, widocznym są dowodem iż utworzone zostały przez wodę. Lecz posunąwszy się na ziemię łupków glinianych, kształt gór zmienia się zupełnie, skały niedostępne trachytu wznoszą się nagle z rozpadlin łupków gliny aż do wysokości 12,000 stóp nad pow. morza i wystawiają kształty szpiczaste, których boki są pokryte odwiecznymi śniegami. Trachyty te składają środkowy łańcuch, i z nich sam nawet Elborus jest uformowany. Porfiry trachytowe są widocznie wulkanicznymi tworami, widać nawet wiele takich które miały zupełnie charakter lawy. Skały nie mają żadnej roślinności, czasem tylko tu i owdzie spostrzedz można roślinę alpejską pomiędzy rozwalinami okropnego niegdyś zniszczenia. W dolinach nawet gdzie znaleźć można trawy i czasem niskie drzewka, srogość klimatu z przyczyny wyniosłości tak jest znaczna, iż w środku miesiąca lipca roślinność zaledwie zaczyna się rozwijać, po świeżo roztopionych śniegach.«

Otóż w krótkości obraz gór geognostyczny i malarski określony przez uczonego geologa, który był na czele uczonej wyprawy szczególniej na górę Elborus. Wiadomo bowiem każdemu iż z łańcucha gór kaukaskich, góra ta jest najwyższą i wierzch jej wiecznym jest okryty śniegiem. Dla zimna trudnego i niebezpiecznego wśród rozpadlin i przepaści postępowania, usiłowania uczonych nie mogły dojść swojego celu, jeden tylko Czerkies nazwiskiem Killar doszedł do szczytu góry i powrócił szczęśliwie. Góry oddalone od środkowego łańcucha więcj są przystępnieni, lecz za to ich wyniosłość i rozmaitość nie jest tyle zajmującą. Jednakże jedna z tych okolic szczególniej zasługuje na naszą uwagę. W oddaleniu o sto wiorst od głównego węzła gdzie przyrodzenie wysiliło się na olbrzymie formy dla rozgrodzienia dwóch części różnorodnego świata, w położeniu gdzie góry w miarę oddalenia się od swego głównego ogniska łagodzą swoje zwąły i rozkładają coraz niżej na wszystkie strony rozległe ramiona, okazują się razem liczne góry znacznej wysokości, między którymi leży miasto Pietygorsk znane ze swoich rozmaitych wód mineralnych. Między temi górami najznaczniejsze są Maszuka i Besztowa: pierwsza toczy zdroje wód mineralnych siarczanych, druga obfituje w wody żelazne. Miasto Pietygorsk położone na przedłużonej podstawie góry Maszuki, jest głównym punktem zbioru leczącej się publiczności, mieszcząc w sobie potrzebne wygody dla przybywających, sprzyja ono oraz do miłego zajęcia wzroku, który w miarę wzniesienia stanowiska widza albo gubi się w bałwanach licznych gór, i spoczywa nakoniec na wyniosłych szczytach środkowego łańcucha Kaukazu: albo téż umieszczony w do-

linie, pozbawiony odległych promieni, spostrzega przed sobą skały, grotty, pochyłe drogi, ścieszki i przyozdobione źródła. Urozmaicone to zajęcie oka tém miłszém się wydaje, im obraz z drugiej strony zostawał dotąd dla podróżnego aż nadto nieprzyjemnym, z powodu swojej tóżsamości. Każdy więc stara się zwiedzać te okolice i poznawać te szczególniej punkta w których przyrodzenie zostawiło wiele tajemnic do odgadnienia, a przynajmniej do wyprobowania ciekawości człowieka. Osobliwość tych gór szczególna, iż w nich widocznym jest zupełnie sposób jakim się tworzyły, większa bowiem ich część jest osadem z wód mineralnych, które w licznych wiekach rozmaitemi kierunkami płynęły lub wytryskały. Dotąd nawet płynące żyły tychże wód zastosowane w największej części do kąpeli, podobnież formują masy kamieni których szczególniej zasadą jest wapno, siarka i sole. Starzy mieszkańcy tutejsi opowiadają, jak góra na której znajdują się kąpiele Alexandrowskie i Jermołowskie cała oblewała się wodą lat temu sześćdziesiąt i tym sposobem widocznie formowała się i rosła w oczach żyjących świadków. Z czasem obfitość wód zmniejszała się stopniami, tak iż dziś pozostałe w ziemi żyły formują tylko źródła cienkimi płynące wydrążeniami, a których przyszłość zapewne ulegnie również zmniejszeniu lub odmianie kierunku. Otwory źródeł wypływających z gór są rozmaitej wielkości i kształtu. Ze wszystkich jednak tych otworów, najwięcej godzien jest zastanowienia tak ze względu swojej formy jakoteż wielkości szczególnej, jeden znajdujący się na połowie prawie wysokości góry Maszuki, której wyniosłość ma 1080 stóp. Jest on kształtu podłużnego nieforemnego, powierzchnia jego w przecięciu wynosi około 1200

stóp kwadratowych, głębokość 75 stóp do powierzchni znajdującej się w nim wody, której głębokość dochodzi jeszcze stóp 15, a tym sposobem cała głębokość otworu ma stóp 90.

Otwór ten znajduje się w skale okazującej ostateczne już przekształcenie się tych gór, ściany bowiem jego na około spojone nową siłą z rozdrobnionych i pokruszonych odłamów dawniejszych skał, widocznym są śladem jak olbrzymie wysilenia odbywać musiało przyrodzenie w epokach prac swoich i przekształcenia. Wielkość i forma tego otworu daje pozór do mniemania, iż on był niegdyś kraterem wyrzucającym znaczne masy wody, podobnie jak Gejser w Islandyi. Podobnemi otworami wypłynąć mogły owe ogromne masy wód mineralnych, któremi widocznie cała przestrzeń Kaukazu i innych nawet okolic była zalana, tak iż ziemia przemoczoną została w swojej powierzchni częściami słonemi, dla których dotąd w tych gruntach drzewa rosnąć nie mogą naturalne jak powiedzieliśmy wyżej, a nasadzone sztuką z trudnością się przyjmują. Otwór ten dawno był znany, lecz środek jego dopiero w roku 1837 mógł być widzialnym, za pomocą urządnego mostu, tym sposobem można go teraz obejrzeć, spuszczać się na dno krateru. Na pamiątkę pierwszego jego zwiedzenia, zaproszone było zgromadzenie, gdzie przy licznej muzyce tańczono na moście wesołe kadryle, bez względu na przepaść pod nogami będącą. Wspomnienie potężnych niegdyś rzutów téj otchłani, połączone z gwałtownemi potokami bałwanów wody i potłuczonych kamieni, obok dzisiejszej spokojności wśród której płąsa młodzież nad paszczą przepaści, lub ciekawi spuszcza ją się po linie, stanowi szczególniejszą sprzeczność. Jest ona

dziś jak owa spokojna armata, która wyzionąwszy mordercze pioruny, spoczywa w ustroniu, a w jej otworze snują się swobodne gniazda pajaków, i płąsa rój wesofy skrzydlatych owadów.

Góra Maszuka wysoka 2,000 stóp ma w sobie rozmaite źródła wód gorących, do których z całej Rossyi zjeżdżają się cierpiący: najgorętsze źródła zwane Alexandrowskie gdzie są kąpiele na stopni 38 Reaumura. Inne źródła Elizabetyńskie, Michajłowskie, Sabaniewskie, Kałmuckie, Warwackie i Konstantyńskie są mniej gorące i używają się do picia i kąpiele.

Góra Besztowa ma 3000 stóp wysokości od rzeki Podkumek a 4,000 od powierzchni morza Czarnego; ma ona pięć ostrych końców czyli kształtów oddzielnych gór, co jej nadało imię pięcio-góry po czerkiesku Bechtaw. Okryta jest krzewami i wiele źródeł czystej wody wypływa z jej wyniesienia. Obok niej znajdują się wody żelazne, tudzież góry znaczniejsze Wielbłądów, Lisia góra, i Wężowa. Są tu i inne góry w okolicach znacznej wyniosłości, lecz nie mają nazwisk ani też są zwiedzane przez ciekawych. Połączony widok góry Besztowy i Maszuki jest nader ciekawym i pięknym tém bardziej iż spodnią pomiędzy niemi przestrzeń przyozdabia widok części miasta Piatygorska. W okolicy 40 wiorst około Piatygorska znajduje się kilkadziesiąt źródeł rozmaitych wód mineralnych, z których najśfawniejszém jest woda kwaśno-słono-żelazna zwana Nard-san czyli bochaterską; przewraca się ona w swoim wodobiorze z nadzwyczajną gwałtownością, wyrzuca gaz wielkimi bombami i sama prędko odptywa przyległym kanałem.



Oto są niektóre szczegóły i wrażenia jakie mi w pręd-  
kiej podróży kraj ten szczególniejszy mógł sprawić.  
W ogólności możnaby powiedzieć, iż on jest podobnym  
do nadziei i młodości, który w wieku swojej wiosny  
zapowiadać zdaje się niepospolitą przyszłość. Jakkol-  
wiek bowiem trudnym jest do zaludnienia przez  
kolonie ubogich i nieprzemysłnych ludzi, pewną jest  
jednak rzeczą iż kolonie zamożne wkrótce mogłyby go  
doprowadzić do największej świetności. Praca, usilność  
i gospodarność potrafią z czasem przewyciężyć trudno-  
ści; niedostatek lasów sztuczne zastąpią; brak wody,  
studnie artyzyjskie lub wodociągi usunąć mogą; odle-  
głości, drogi porządne zbliżają. Upały i zimna zła-  
godzą zasadzone drzewa i wybudowane domy. A po  
przewyciężeniu niektórych trudności Kaukaz stać się  
może siedliskiem nader przyjemnym i bogatym, skoro  
pracowita ręka człowieka potrafi wydobyć z jego łona  
te skarby, jakie od wieków ukrywały się w oczach ciem-  
noty i grubej niewiadomości.



## UWAGI

PIOTRA DUBROWSKIEGO

nad artykułem p. Tyszyńskiego: *Rys historyczny oświecenia Słowian, umieszcz. w Bibl. Warsz.*

z r. 1841. (\*)

W obecnym czasie, kiedy ludy słowiańskie szczerze zajęły się szerzeniem u siebie krajowej oświaty, poznały swoje moralne siły i w głębokim zadumaniu schyliły czoła przed świętymi pomnikami przeszłości, pragnąc wyczytać na nich wyroki minionego życia przodków i słowa prorokujące przyszłość swoją, w obecnym czasie mówię, pożądanym jest ogólny obraz naszego umysłowego świata, abyśmy wszyscy razem stanęli przed obliczem historyi, i ażeby każdy z nas oddał drugiemu należytą sprawiedliwość, zapomniawszy o wszystkich przesądach i uprzedzeniach; bo jesteśmy bracia jednego plemienia, jednej krwi, jednego słowa.

W Bibl. Warsz. z r. 1841 umieszczony był artykuł p. Tyszyńskiego pod tytułem: *Rys historyczny oświecenia Słowian*. Powodowani dobrem nauki i godnością tak ważnego przedmiotu, czujemy obowiązek wy-

(\*) Okoliczności zupełnie od Redakcyi Biblioteki Warszawskiej nie zależne, stały się przyczyną, iż ogłoszenie tego ważnego artykułu, jeszcze w przeszłym roku jej nadesłanego, tak opóźnionem zostało. Obok wdzięczności szanownemu Autorowi, iż tém poświęceniem swój pracy Bibliotekę Warszawską zaleca, wyznać oraz musimy i żal, że uczony artykuł historyczny nie mógł być w naszym piśmie umieszczony z zupełnością, z jaką mogłoby go ogłosić którekolwiek z pism zagranicznych. P. R.

znania publicznie, że autor téj rozprawy nie przekonał nas o gruntownej znajomości przedmiotu i nie zrozumiał należycie źródeł z których czerpał. Dalecy od zamiaru kręślenia tu ogólnego obrazu oświaty Słowian, chcemy tylko dowieść tego cośmy wyrzekli; chcemy zdać sprawę z zarzutów naszych przeciwko ścisłości systematu i krytyce, przeciwko niengruntowaniu zdań, słowem przeciwko temu wszystkiemu co się nam wydało w artykule p. Tyszyńskiego błędnem. (1)

### I.

W rozkładzie plemion słowiańskich, które autor przechodzi, nie znajdujemy tego związku i porządku, któryby przed czytelnikiem stopniowo rozwijał cały obraz oświecenia Słowian! Między Bułgarów, Czechów a Illiryjczyków, bez przyczyny wmięszani są Słowianie ruscy; od Słowian illiryjskich bez żadnego stosunku nagłe przejście ku Słowianom leskim; od tych nagły ustęp do Słowaków, po oddzieleniu ich od Morawianów i Czechów.

W 1<sup>ym</sup> paragrafie (nawet i dalej, jak zobaczymy) o plemionach Słowian, prawie wszystko wzięte jest ze znanego dzieła p. Szafarzyka pod tyt. *Słowiańskie starożytności*, chociaż autor bardzo rzadko wspomina o tém, a nawet przenosi cytaty różnych autorów wprost ze Słow. starożytności; jak np. przypisek 2<sup>gi</sup> na k. 8, przypisek 1<sup>szy</sup> na k. 9 i inne. Zaś w wielu miejscach cytuje sam oddział i paragraf (daleko większe od swojego artykułu) np. na k. 7, 8 i 9ej. Bardzo rzadko w cytatach swych wskazuje stronicę. Na k. 13<sup>ej</sup> nie we właściwem miejscu

(1) Będziemy cytowali artykuł p. Tyszyńskiego podług p. rze-  
druku z Biblioteki Warszawskiej.

przytacza 797 k. Słow. star. bo co dalej mówi o książkach Mojmirze i Świętopetku, bez zmiany wzięte jest z Szafarzyka (p. Starożyt. k. 797, 798, 799 i t. d.) Toż samo na k. 14 i dalej.

P. Tyszyński tyle korzystając z dzieła p. Szafarzyka, stara się jednakże zarzucić mu różne uchybienia; tak na przykł. w tymże paragrafie na k. 18 mówi: »P. Szafarzyk autor *Starożytności*, policzywszy Pomorzan do Lechów, nie wiemy dlaczego odłączył od nich *Lutyków* i mieszkańców *Rugii*.« P. Szafarzyk liczy wprawdzie Pomorzan do Lechów, lecz co do *Lutyków* (Lutici) przyłącza owszem tych do Lechów, gdy powiada (na k. 872), że »słowiaństwo Lutyków i pokrewieństwo ich z *Lechami* podług świadectwa nie tylko cudzoziemskich, lecz i krajowych naszych pisarzy, jest rzeczą niewątpliwie rozstrzygnioną.« Toż samo p. Szafarzyk utrzymuje na k. 741 i 884. Czy nie pomięszał p. Tyszyński *Lutyczów* wschodnich, Lendyzów u ziemiopisa Baworskiego, gałęź Słowian ruskich? Mówi o nich p. Szafarzyk na k. 555 i dalej. Co zaś do mieszkańców *Rugii*, p. Tyszyński nie spostrzegł różnicy między *Rugami*, pokoleniem obcym, a *Ranami* (Rugianami, Rujanami) pokoleniem słow. na wyspie *Rany* (Rugia, Ruja). O pierwszych t. j. o *Rugach* p. Szafarzyk powiada na k. 350, licząc ich do obcych pokoleń, że ich potomkowie uciekając od Wenedów, osiedli na wyspie Rügen (po słow. Rana) od nich przezwanéj. Pomieszawszy się z Gotami i Niemcami, a rozproszywszy się po Włoszech i Rhaetii, zupełnie znikli. O drugich zaś to jest *Ranach*, powiada (na k. 891), że są mieszkańcami wyspy *Rany*; że pierwszy raz jest wzmianka o nich w historii w r. 946 w liście cesar. Ottona (mare Rugiano-

rum) i 955 u Witekinda pod nazwą Ruanów. Nakoniec tych Ranów przyłącza p. Szafarzyk do Lutyków.

W przypisku do k. 1éj p. Tyszyński mówi: »Albańczykowie (?) Bulgarowie, Bośniacy, Czechy, Czarnogórcy, Dalmaci, *Kroato*wie, mieszkańcy *Karyntyi*, *Karniolii*, Morawianie, Polacy, Rosyjanie, Serby, Słowacy, Styryjczycy, *Wenedzi* (!) są to główne nazwy plemion słowiańskich.«

Tymczasem Albańczykowie (albo Arnautowie) wcale nie są Słowianami; lecz resztkami pokolenia thrackiego; (2) i nazywają sami siebie *Szkipami* albo *Szkipetarami*. Liczy się ich blisko  $1\frac{1}{2}$  mil. (3) Zamiast *Kroato*wie (niem. Kroat. łac. Croata) lepiej: Horwato-  
wie, Chorwato-  
wie, Charwato-  
wie (po słowiańsku). Dla czego koniecznie mieszkańcy *Karyntyi*, lecz nie Korutanie (niem. Kärthner, łac. Carinthius)? Co za mieszkańcy Karniolii (niem. Krain, Krainland; łac. Carniola, Carnia), czemu nie *Krainczycy* (albo *Kranijacy* po serbo-illirysku)? Nie wiem co by to był za naród słowiański *Wenedzi*! Wiem tylko, że w dawniejszych czasach aż do Jornandesa cudzoziemcy w ogóle Słowian nazywali *Windami*, *Winidami*, *Wenedami*..... Być może pod nazwą Wenedów p. Tyszyński rozumie łużyckich Serbów, których Niemcy nazywają *Wendami*? bo na k. 5 powiada: »Dziś nawet lud prosty niemiecki (nie tylko lud prosty, lecz w ogóle Niemcy!) sąsiednich Słowian (jakich mianowicie?) zwłaszcza ku południowi (?) zwie *Wenedami* (?) a mowę ich *Wenedische Sprache* (?)« (Trzeba *Wendische Sprache*). W innym przypisku (do

(2) Może Epiroty (mieszkańcy Epiru)?

(3) Ob. Słowiańskie Staroż. § 5. k. 31

k. 5) mówi w następujący sposób: »Nazwisko *Wendów* nie było nazwą jednej gałęzi Słowian, *jak to jest dzisiaj.....*« (dopiero powiedział, że lud niemiecki *sąsiednich Słowian* nazywa *Wenedami!*). Jeszcze w inuém miejscu (na k. 28) dodaje: »Jornandes plemiona Słowian wyprowadza od ludu *Wenedów* (!)«. Podług p. Tyszyńskiego (na téjże karcie) *Wenedzi* są pierwotni Słowianie. (!) Lecz o tém, jeszcze powiemy niżej.

Przypisek do k. 18 o bóstwie *Swiętowida* wymaga wielu sprostowań. Kontynuujący Helmolda bezimienny autor słowiańskiej kroniki (Lindeb. Scr. rer. Germ. septentr. I. 5) mówi w następujący sposób: »Ranianie czyli Rugijanie, za czasów Ludwika II. byli nawróceni przez niektórych zakonników z Korbei, wzniesli kaplicę na cześć Pana naszego Jezusa Chrystusa i Św. Wita opiekuna Korbei; ale po pewnym czasie wypędzili księży, odszczepili się od wiary; zaś Św. Wita zaczęli czcić nie tylko jako świętego, lecz jako boga wyższego rzędu, któremu wzniesli świątynię i posąg pod nazwą *Sianthewita*, t. j. najśfawniejszego ze wszystkich bogów, których czciły plemiona słowiańskie. »*Sianthewit quod dicebatur Gloriosissimus* (lepiej *splendidissimus*) *omnium aliarum gentium slavicarum.*« — A więc *splendidus* w języku polabskich Słowian było *sianty*. Polabianie lubili rymezmy: zamiast ros. *miaso* (czesk. *maso*, polsk. *mięso*) mówili *mangsi*; zamiast ros. *desiat'* (czesk. *desat.* polsk. *dziesięć*) — *disant*; zamiast ros. *piat'* (czesk. *pat*, pol. *pięć*) — *pangst* i t. d. i t. d. A więc wypada pisać *Swiętowid* (4). To nie zgadza się z jednostronnym źródłosłowem.

(4) Ten ostatni wniosek, również i przytoczone od nas miejsce z kronikarza, wzięliśmy z dzieła p. Kastorskiego: *Naczerpanije słowianskoj Mifołogi.* S. Petersb. 1841.

wem p. Tyszyńś. od *święty*. Zresztą nie wdajemy się w nową etymologią nazwy Swietowida, jednak dla wyjaśnienia rzeczy powiemy cokolwiek o dźwiękach nosowych, o których p. Tyszyński zdaje się mieć niedostateczne wyobrażenie, wyrzekłszy (na k. 19): »gdy zaś oprócz leskiego żadne inne narzecze zachodnie ani północne niema nosowych dźwięków, narzecze przeto na wyspie Rugii nie inne być musiało jak leskie.« Wiadomo jest, mówi p. Szafarzyk (Staroż. k. 928), że nosowe dźwięki niegdyś w całej słowiańszczyźnie upowszechnione, dotąd zachowały się w całości tylko u Polaków; Czechy i Łużyczanie dawno je utracili.« Sprawiedliwie powiedział Szafarzyk, że utracili; bo niektóre dawne nazwy w Czechach dowodzą, że rynezmus był i u Czechów; np. wyspa *Kampa* na Węftawie w Pradze t. j. kępa. My zaś ze swojej strony dodamy jeszcze, że w staro-słowiańskim języku, na który przełożone jest Pismo Sw., dawniej używana była litera znana pod nazwą *jus* (ж i ѣж), która miała brzmienie polskich *ą*, *ę*, *ią*, *ię*, (5) co najwięcej daje się spostrzedz w najdawniejszych staro-słowiańskich pomnikach, szczególnież z Ewangelii XI wieku pisanéj dla nowogrodzkiego Posadnika na Ostromira. W niéj użyte jest *jus* mianowicie tam, gdzie Polacy używają *ą* lub *ę*; napr. зубь (ząb); мужь (mąż); голубь (gołąb); рыба (gęba), рука (ręka). W zakończeniach 4<sup>go</sup> przypadku; вѣру (wiarę), силу (siłę), руку (rękę); w słowach 1<sup>szej</sup> osoby: иду (idę), буду (będę); w 3<sup>ej</sup> osobie: идуть (idą), пишушь (piszą); w imiesłowach: идуще (idące), пишуще (piszące) i t. d.

(5) Ob. Prace Towarzystwa przyjaciół rossyjskiej liter. rozprawę o języku słowiańskim, Wostokowa. Część XVII. 1820 r.

Z przypisku, który jest na k. 23, 24 i 25 o pochodzeniu nazwy *Russów*, wnieść musimy, iż nieznanne były autorowi nowsze badania względem Rusi. Mówi on np. »inni w nazwaniu *Russów* widzieć chcą barwę włosów (rusy), inni przydomek *ruszania* (na wojnę) (6), inni *rozszania* (Rossyjanie), inni wreszcie i t. d.

Te domysły p. Tyszyńskiemu zdają się być *nader prawdopodobnemi* (!) chociaż sam twierdzi, że »nie mogą być przecież w podstawie swojej istotne, jako zbyt z sobą różne, z najdawniejszém świadectwem niezgodne.« Pokazuje się także, że p. Tyszyński cytaty z Nestora, brał z kądinąd. Powiada: »ze słów latopisarza wnieść można, iż nawet *za czasów jego* nie wszyscy jeszcze Russowie przyszli byli *ze Skandynawii* (?), po opisaniu bowiem pokoleń słowiańskich, przystępuje do skandynawskich oddzielnie; mówi i t. d.« P. Tyszyński robi takie przypuszczenie ze słów bez żadnego związku wyrwanych: *Jafetowo bo i to koleno* i t. d. Potem znowu drugi urywek z Nestora: »jeże *nynie* zowiemaja Rus.« To *nynie* zapewne zdawało się p. Tyszyńskiemu dowodem, że za czasów Nestora nie wszyscy Russowie przyszli byli ze Skandynawii! — lecz jeszcze do czasów Nestora *ziemia ruska* nazywała się *ruską*, bo ten sam latopisarz powiada: »Ruska ziemia zaczęła tak się nazywać za greckiego cesarza Michała, który zaczął panować w r. 852 (w leto 6360 Indikta 15 dzień naczęszu Michaiłu carstwowati, naczasia prozywati ruska zemla). P. Mogilnicki w rozprawie swojej o języku ruskim (umieszcz. w *Czasopiśmie naukowym księgozb. publ. Ossolińskich*, z r. 1829) mówi: »kraj położony po nad Dnieprem,

(6) Po rosyjsku ruszać jest *dwigać*.



którego stolicą był Kijów, najstarszym jest krajem Rusi, którego rozległość po za Dnieprem niezmierna ku północy sięgała; z niej powstało państwo, które *Rusi wielkiej*, a później daleko, Rossyi nazwę wzięło.«

Zbijam także to zdanie, że niby Warjagowie nazwę Rusi tylko do Nowogrodu rozciągnęli. Wiadomo jest, że ziemia ruska z początku nazwana została kijowska czyli polańska ziemia, lecz nie nowogrodzka, ponieważ do czasu opanowania przez Olega Kijowa, podług kronik, w ziemi nowogrodzkiej nie widać Rusi. Jednakowoż Ruś już istniała 18 lat w Kijowie, dlatego też i ziemia ruska niekiedy nazywana była Kijowem, np. »i wziął (Batyj) miasto Pereiasław ruski, który jest w Kijowie.« (Kron. Nikona) (7).

## II.

P. Tyszyński przystępując do oświaty pierwiastkowego plemienia (na k. 26) mówi: »Najnowsi starożytności Słowian badacze wykazując nam pierwotność ludu tego w Europie, nie wykazują nam jednak miejsca pierwiastkowej tu jego siedziby.«

Nie dobrze autor odczytał Szafarzyka (jak to pokażemy w ciągu naszej krytyki); bo ten badacz poświęcił cały rozdział jeograficznemu opisaniu dawniej ojczyzny Słowian (star. k. 392). Mówiąc o górach a zastanawiając się nad wyrazem *Karpaty*, ślady którego zachowały się w najdawniejszych pomnikach, utrzymuje (na k. 394) że nazwa tych gór (Karpat) pochodzi od słów Chrib, Chr'b, t. j. wrch (wierzch) hora (góra), a to jest

(7) Patrz o tém w rozprawie Maksymowicza: Otkuda idiot russkaja zemla. Kijów 1837 k. 47 — 48.

dowodem starodawnéj osiadłości (starobyłości) Słowian w tatrańskiej krainie (w podkrajach Tater).

P. Tyszyński jakoby w mniemaniu, że pierwszy z pomiędzy najnowszych statożytności Słowian badaczy zastanowił się nad tém, dodaje: »Sądzimy jednak, iż przybliżenie krótkie dziejowych świadectw a podań, z ła-twością wykryć je (t. j. siedziby) może.« Jakże p. Ty-szyński przystępuje do rzeczy? Wspomina o Serbach (8) o Chorwatach, sięga powagi Prokopiusza, Jornandes, Konstant. Porfirogenity, Nestora i innych podług p. Sza-farzyka, lubo nie trafnie, bo na karcie 27 mylnie mówi: »pierwszy ukazania się Słowian (już pod tém nazwiskiem) świadek, pisarz od południowej strony Prokopiusz twier-dzi i t. d.« Wiadomo przecież, iż nie tylko Prokopiusz, ale nawet Jornandes jednocześnie wzumiankuje Słowian

(8) W przypisku na k. 27 o Serbach, zrobionym także podług Szafarzyka, lubo niesprawiedliwie go posądza, jednakowoż zdanie jego o przeistoczeniu przez Prokopiusza nazwiska Serbów ( $\Sigma\pi\sigma\sigma\omicron\tau$ ) przywłaszcza sobie, mówiąc iż zmiana *Serboi* ( $\Sigma\epsilon\sigma\beta\omicron\tau$ , -Serbi?) na *Sporoi* u Prokopiusza nie z innej zapewne pochodziła przyczy-ny, jak dla przybliżenia się do tak ulubionego od kronikarzy *ety-mologicznego* wykładu. Nie powiedziały już tego p. Szafarzyk, mówiąc, że u bizantyjskich kronikarzy mnóstwo przykładów natra-fia się, zasadzonych na podobnej nie mającej sensu etymologii? (patrz Staroż. §. 7. n—r. 16). Nie szukajmyż poniżenia tych dzieł, z któ-rych najwięcej czerpamy do naszych! Lecz wracam się znou do wyrazu *Serby*: wyjaśniali go oprócz Dobrowskiego, Pelzel, Monse, Engel, Szlecer, a wszyscy zgadzali się (id. Szafarzyk Star. §: 7 n—r. 16), iż przyczyną zmiany nazwiska *Serbów* była także nie-wiadomość greckich pisarzy w języku słowiańskim, a ztąd trudność wymawiania bez odmiany i przekształcenia na grecki sposób twar-dego, niezwyčajnego dla ust Greka wyrazu: *Srbi, srbli*. Łatwiej może było Pliniuszowi jako Rzymianinowi wymówić Serby, aniżeli Grekowi. Ptolomeusz już pisał:  $\Sigma\epsilon\sigma\beta\omicron\tau$  i  $\Sigma\iota\sigma\beta\omicron\tau$ . Patrz *Staroż.* § 7. n—r. 17.

pod własną ich nazwą. Jakież wnioski wyprowadza p. Tyszyński? Oto iż pierwiastkowa siedziba Słowian nigdzie indziej istnieć nie mogła, jak — *w środku* (!). Powiedziawszy to (na k. 28) mylnie przywodzi Jornandesa i zarzuca mu, jakoby plemiona Słowian wyprowadzał od ludu *Wenedów* (!), a więc *pierwotnych Słowian*, dodaje oraz w nawiasie, iż *opisem siedliska* tych Wenedów Jornandes stwierdza, że to było *środkowe!*

Odczytamy też samego Jornandesa w oryginale: »Introrsus illi (t. j. za Dunajem) Dacia est, ad coronæ speciem arduis alpihus emunita, juxta quorum sinistrum latus, quod in Aquilonem vergit, et ab ortu Vistulæ fluminis per *immensa spatia* Vinidarum natio populosa consedit. Quorum nomina licet nunc per varias familias et loca mutantur, principaliter tamen *Sclavini* et *Antes* nominantur.« (Gdzież tu Jornandes Słowian wyprowadza od ludu *Wenedów*, kiedy w ogóle Słowian nazywa *Winidami*, a powiada że różnie sami się nazywali?) Sclavini a civitate Novietunense et lacu qui appellatur Musianus, usque ad Danostrom et in Boream Vistula tenus, commorantur (środek?). — Hi paludes silvasque pro civitatibus habent. Antes vero qui sunt eorum fortissimi qua Ponticum mare curvatur, a Danostro extenduntur usque ad Danaprum, quae flumina multis mansionibus ab invicem absunt. (środek!) (De Getorum orig. cap. 5).

Zaraz potem czytamy u p. T. (na k. 28, 29) następujące słowa: »Ci którzy za pomocą językowych śledzeń i badań mrok wieków usiłują dziś przedrzeć, wiemy iż twierdzenie przeciwne twierdzeniu obecnemu przynoszą (?), lud Słowian i dawny lud Greków za łączny w starożytności podają, (dalej mówi o Ekonömidesie i Dankow-

skim, którzy porównywali język słowiański z greckim).« Tymczasem język słowiański porównywano nietylko z greckim ale i z łacińskim (9) i z niemieckim (10). Zaś z greckim nie dziś dopiero zaczęto go porównywać, bo Gelenius jeszcze w r. 1557 wydał dzieło: *Lexicon symphonum* Bas. (p. Danica Ilirska 1839, k. 58), w którym robi podobne porównanie. W czasach nowszych oprócz Ekonomidesa robili także porównania Dobrowski, Schloezer, Appendini, Klapproth, Grimm, J. N. Kamiński i wielu innych. Takie porównania są wielkiej wagi dla badań starożytności słowiańskich. Już p. Szafarzyk powiedział (star. § 6 n-r. 8). »Domysły porównywających język słowiański z greckim a innymi, chociaż mają błędne zasady, jednakowoż podają nam jasne świadectwa o widocznym i znacznym pokrewieństwie wymienionych języków (greckiego, łacińskiego, niemieckiego, litewskiego); jakiego pokrewieństwa język słowiański nie ma w takim stopniu z językami azjatyckimi: co jest dowodem, że ukształcił się tu w Europie obok greckiego, łacińskiego, niemieckiego i litewskiego, samoistnie chociaż nie bez wzajemnego wpływu jednego na drugi; a więc naród słowiański w naszej części świata tyleż przynajmniej jest starożytnym, ile grecki, łaciński i niemiecki.« Daléj na k. 30 p. Tyszyński mówi: iż narzecze śród Słowian pierwiastkowie użyte do przekładu Pisma św. było narzeczem plemion zbyt już

(9) Levesque: *Essai sur les rapports de la langue des Slaves avec celle des anciens habitans de Latium*. Ilirjczyk Paw. Solaricz Rimljanj Slavenstwowawszi. U Budimu 1818 a inni.

(10) Szczególniej *W. Whiter* w dziele: *Etymologicon universale*. Cambrige 1811 i *Berndt* w dziele *Verwandschaft der Germ. und Slaw. Sprachen*. Bonn 1822.

pomieszanych z greckimi (!).«— Nam przynajmniej do-  
tąd takiego zdania nie trafiło się czytać. Wiemy że  
Dobrowski, a za nim Fren, język staro-słowiański za  
serbski, Kopytar za kraiński, Blumberg za bułgarski  
uważali. Niżej osobno będziemy mówili o języku sta-  
ro-słowiańskim i jeszcze lepiej udowodnimy, że p. Ty-  
szyński mówi o rzeczach, których należycie nie poznał.

Autor zastanawiając się nad pochodzeniem azyatyc-  
ko-wschodniem Słowian na k. 33, robi następujący przy-  
pisek o p. Szafarzyku: »Autor Starożytności Słowiańskich  
p. Szafarzyk, który tak *pracowicie* wykazał *starożytność*  
Słowian w Europie, przypisuje im tu *pierwobytność* (?)  
i wzbrania wierzyć przyjściu ich od strony wschodniej,  
tém więcej z Indyi. Pokolenie *jednak* słowiańskie nie  
mieści przecież cech w sobie zbyt różniących je od reszty  
pokoleń; na wzór roślin nie mogło być samorodnem (!).  
Sam owszem p. Szafarzyk na czele pisma zalicza je do  
indo-europejskiego plemienia.«

Potwierdzimy przytoczeniem własnych słów autora  
Starożytności słowiańskich, że p. Tyszyński należycie  
go nie przeczytał. Szafarzyk mówi (Star. § 5 n r. 6):  
»Wszyscy najnowsi badacze natury języków i historyi  
rodu ludzkiego, których słowa w tym obrębie wiedzy  
mają wagę, zgadzają się a świadczą, że Słowianie są lu-  
dem pokolenia indo-europejskiego; że oni najbliżej są  
spokrewnieni z Niemcami, Celtami albo Gallami, Li-  
twinami, Latynami i Grekami, a dalej z Indyjczykami,  
Medami, Persami, Afghanami, Kurdami i Ormianami;«  
(Któż tu twierdzi że pokolenie słowiańskie mieści w so-  
bie cechy różniące je od reszty pokoleń, albo jest sa-  
morodne na wzór roślin?). Dalej (na k. 37) p. Szafa-  
rzyk mówiąc o tych, którzy plemie słowiańskie liczą do

plemienia mongolskiego, a język ich spokrewniają z tatarskim, dodaje: »lecz spierać się z takimi nieukami byłoby zbytecznie; z czasem da Bóg więcej naborą rozumu a sprawiedliwiej będą sądzili o nas. My zaś w swoim wstępie przestaniemy na założeniu téj zasady, jako prawdo-podobnej i pewnej, iż ludy słowiańskie są częścią wielkiej gałęzi narodów indo-europejskiego plemienia, narodów zajmujących całą przestrzeń ziemi, począwszy od wysp brytańskich przez cieśninę thracką, aż do samej wschodniej Indyi, a zamykających w sobie prawie wszystkie dawne i nowe narody, które najwięcej wstawiły się i zostawiły po sobie największą chwałę i długo-pamiętne imiona w księdze życia ludzkiego przez swoje dzieje, religią i oświatę, tak w sztukach jak i w umiejętnościach. Dowodów na to ani będziemy przytaczać, ani roztrząsać: całe to dzieło, od początku aż do końca, swoją treścią a wykładem dowodzi téj etnograficznej zasady, tylko w krótkości tu przytoczonéj.«

Takie to wyobrażenie o ludach słowiańskich ma szanowny autor *Starożytności*, a więc nie okazuje ich samorodnymi i oddzielnymi od reszty ludzkości, jak to p. Tyszyński powiedział.

Niesłuszném jest także twierdzenie, jakoby Szafarzyk wzbraniał wierzyć przyjsciu Słowian od strony wschodniej. Czy p. Tyszyński nie wniósł tego z następującego miejsca w *Staroż. Słowiańskich* (p. §6 n-r. 8)? »Jeżeli więc Słowianie tak w późniejszej jak i w dawniej historycznej epoce, *bo innej najdawniejszej nie będziemy tu dotykać* (t. j. kiedy Słowianie przyszli od strony wschodniej, jako z kolebki rodu ludzkiego!), nie mogli przenieść się z Azji do Europy, ani siłą i nawa-

łem, ani potajemnie i skrycie, to potrzeba ich uważać *starodawnemi* mieszkańcami téj części świata, gdyż ten domysł można potwierdzić wielu innemi gruntownemi i oczywistemi dowodami.« Gdy w tymże przypisku na k. 33 p. Tyszyński mówi o indyjskiem pochodzeniu mowy słowiańskiej, nie wiemy dla czego przytoczył czasowanie słowa *jestem* porównywając je z indyjskiem? Tłumaczy się on w następujący sposób; »Lubo więc mowę Słowian za istotnie od indyjskich pochodną narzeczy sądzimy, litewskich jednak nie możemy do słowiańskich załączyć (!). Przytaczamy tu według p. Ejchhoff czasowanie słowa *jestem* (co za związek z tém co dopiero mówi?): *Ind.* Asmi, asi, asti, *Prus.* Asman, assei, ast. *Lit.* Esmi, essi, esti. *Ros.* (raczej staro-słow.) jeśm, jesi, jest! *Czes.* isim (trzeba *jsem!*), jsi, jest.« Lecz czasowanie litewskie chyba uznał za niepodobne do czasowania indyjskiego?.. Nakoniec dodam, że to co p. Tyszyński mówi na k. 284 o znaczeniu głosek *sw, mł, ml, mr*, wzięte jest z Rakowieckiego. (Ob. Tom II jego *Ruskiej Prawdy*).

Gdy już wykazaliśmy tyle miejsc z p. Szafarzyka niezrozumianych i przeistoczonych, mamy prawo teraz zapytać p. Tyszyńskiego, na jakich zasadach napisany jest jego rozbiór *Starożytności Słowiańskich* (umieszczony w lipcowym poszycie Biblioteki Warszawskiej z r. 1841)? Nic nie udowodniwszy, wyraża się względem p. Szafarzyka nawet w sposób niezwykły ludziom uczonym. W jednym miejscu mówi: »źródłem lingwistycznym autor jawno-próżnie *szafuje*, ściąganie zbyteczne cytacyi nieraz nawet *ściągane* (?) krzywo, nieraz jakoby wprost dla popisu, poczytujemy za wadę autorowi i t. d.« (Gdzież na to dowody?)

Księga składająca się z 1000 kart drobnego druku, nakoniec księga tak znakomitej uczoności, potrzebuje koniecznie niezłomnej pracy ze strony krytyka i przygotowawczej erudycji, ażeby wyrzec o nią śmiały sąd. Wszystko zaś co p. Tyszyński powiedział w swoim rozbiorze, jest tylko mniemaniem niczém niepopartém.

Tém zaś więcej zadziwił nas rozbiór p. Tyszyńskiego, że nic podobnego nie zdarzało się nam czytać, że nawet mężowie znani i szacowani ze swoich prac i wiadomości naukowych, tego co on nie powiedzieli. Przeto uroczyście wzywamy tu p. Tyszyńskiego, ażeby na to wszystko, co powiedział w swoim rozbiorze Starożytności Słow. przytoczył dowody, a mianowicie: gdzie p. Szafarzyk przesadził w celu i zamiast dowiedzenia starożytności, twierdzi nawet o pierwotności rodu Słowian w Europie? Gdzie oburza się na wszelki wywód Słowian z Thracyi lub Indyi? Gdzie odrzuca i wysylda wszelki lingwistyczny wzgląd, wszelkie w nim lingwistyczne wywody? Gdzie jawno-przesadnie lub jawno-próżnie *szafuje* źródłem lingwistycznym? Gdzie mianowicie zbytecznie i krzywo *ściąga* cytacye, nieraz jakoby wprost dla popisu? Na jakich zasadach zdaje się być p. Tyszyńskiemu nie wszędzie (a gdzie mianowicie?) sumienną droga, którą przebył autor Starożytności? Gdzie mianowicie groźnie potępia wszystko co mu jest przeszkodą na drodze (i czy istotnie jest to przeszkodą)? Jakim to narodem są podług p. Tyszyńskiego *Ligowie i Jazygowie*? Dla czego wykład ludów i nazwisk ziemiopisu Ptolomeusza wyglądać ma wśród rozdziałów p. Szafarzyka, jako urywek romansu?



III.

Przejdziemy teraz do *Oświaty Szczególnych Plemion*. Wstęp do tego oddziału u p. Tyszyńskiego, mający tytuł: *Wpływ Chrześcijaństwa na stopień i rodowość oświaty wśród Słowian*, zdaje nam się być napisanym powierzchownie i jednostronnie. Nie mamy zamiaru rozwodzić się tutaj o tym wpływie Chrześcijaństwa na Słowian, zasadzając się na historycznych faktach i krytyce, bo ten przedmiot zanadto jest rozwlekły i potrzebuje osobnego zastanowienia się; lecz wskażemy niektóre najgłówniejsze uchybienia w tym ustępie p. Tyszyńskiego, a pokaże się, że autor nie zachował tej w swoim przedmiocie powagi, której on jest godzien.

P. Tyszyński tłumaczy się w następujący sposób (na k. 40): »odprawowanie obrzędów w mowach krajowych, za czasów apostołowania dwóch braci, nie stało się jeszcze było przedmiotem zakazu.«

Wiadomo jest, że sam Papież Jan VIII. pierwotnie zakazał był mszy słowiańskiej, lecz później przystał na to, po wytłumaczeniu się Metodyusza, który być może wskazał Papieżowi na kościół grecki, pozwalający przy wszelkich nabożeństwach razem z językiem greckim użycia innych języków: syryjskiego, koptyckiego, ormiańskiego, słowiańskiego. Z resztą Papież przymuszony będąc zbiegiem okoliczności pozwolić odprawowania obrzędów w mowie słow., nawet niechciał uniżyć i języka łacińskiego (*Et si tibi et iudicibus tuis placet, Missas Latina lingua magis audire, præcipimus, ut Latine Missarum tibi solemnia celebrentur*). Prostuje także tę omyłkę p. Tyszyńskiego, iż cytowany przez niego list Papieża Jana VIII pisany był nie do arcybiskupa Strachoty, lecz do księcia Świętopełka: (p. o tém

w rozprawie Dobrowskiego *Cyrrill. und Method*). Trzeba jednak wiedzieć, że list ten jako i trzy inne, uznane są za fałszywe przez Blumbergera (p. jego uwagę nad rozprawą Dobrowskiego: *Cyrrill und Method* w *Jahrbücher der Literatur*, Wien. Cz. 26, 1824 r. k. 211 — 233), na co przedstawił wiele trafnych dowodów. *Këppen* mówi (*Bibliograficzeskije Listy*, W r. 10, k. 145); iż uczeni, którzy nie zgadzają się z Blumbergerem, powinni przedstawić jasne dowody: 1) że listy Papieża Jana VIII rzeczywiście nie są fałszywe, t. j., że są napisane i odesłane do kogo należało w takim samym kształcie, w jakim do naszych czasów zachowały się, 2) że kopie ich albo są współczesne oryginałom albo przynajmniej pisane daleko wcześniej od r. 1343 i nakoniec, 3) że przynajmniej jeden godny wiary pisarz przed r. 1343 cytuje te listy.

W tymże swoim wstępie p. Tyszyński chce utrzymywać, że użycie języka staro-słowiańskiego u wschodnich Słowian (?), nie było tyle pomyslném dla mowy krajowej, ile użycie języka łacińskiego. Tu, jak pokażemy, autor znajduje się w sprzeczności z samym sobą. Co zaś do języka staro-słowiańskiego, o tym będziemy mówili osobno, kiedy dotkniemy Słowian ruskich. Na k. 46 p. Tyszyński powiada »potrzeba nauki języka dla Słowian zachodnich, wywołała potrzebę zakładów, ksiąg naukowych, pomocy i t. d. które w słowiańszczyźnie zachodniej zbyt wczesnie się postrzegają.« (Pytamy się autora, gdzie są te *zbyt wczesne* u zachodnich Słowian pomniki, księgi naukowe, pomoce i t. p.)?

Cóż działo się w słowiańszczyźnie wschodniej? Owszem sam p. Tyszyński powiedział: »Słowianie wschodni

o wiele wyprzedzili zachodnich posiadaniem pomników piśmiennych, czysto-słowiańskich.« Potém mówi:

»Język staro-słowiański zarówno użyty [był do śpiewów, modłów, nauki, do użytków piśmiennych, podręcznych i t. d. (k. 47).« Dla czegoż mowa piśmienna na wschodzie miałaby potfumić mowy krajowe, będąc tyle zbliżoną do nich? Owszem znacznie ona wpływała na ich ukształcenie się, szczególnież na język rosyjski, który w obecnym czasie może szczyścić się swoim bogactwem i czystością prawdziwie słowiańską, nie skażoną wpływem cudzoziemczyzny. Cóż wielkiego przyniosło w zachodniej słowiańszczyźnie wprowadzenie języka łacińskiego? Czyż nie sam p. Tyszyński powiada na k. 46: »Język duchowieństwa łaciński za piśmienny na zachodzie użyty, gładził zrazu mowy krajowe. Duchowieństwo łacińskie, obce temu co było w żywiole kraju, przytłumiało nie raz rodową obecność i przeszłość.« Chociaż zaraz na k. 48 dodaje: »Wczesne bo w wieku X. wzbronienie na zachodzie pisma zwanego zrazu *kościelném* (?), sprawić musiało przeciwnie, podźwignienie w tych krajach mów ludu.« Nie pojmujemy takiej sprzeczności.

Lecz gdzie są dawniejsze zabytki z tych czasów dźwignienia mów rodowych? Czy pieśń Boga - Rodzicy nie ma owszem cechy cerkiewnego czyli staro-słowiańskiego języka? (11) Nawet sam wyraz *Bogarodzica* wskazuje pierwiastek cerkiewny czyli staro-słowiański, używa-

(11) Nie pojmujemy na jakiej zasadzie Recenzent to utrzymuje. Wiadomo, że Sty Wojciech, który piérwszy tę pieśń śpiewał ludowi polskiemu, był Czechem, i ta pieśń w oryginale ułożona była po czesku, a język czeski w X. wieku był bardzo zbliżony do polskiego.

ny dotąd tak w greckim kościele, jakoteż w ustach ludu zamiast polsk. *Matka Boska*. Legenda o St. Wacławie, i ta pisana jest w języku cerkiewnym (co powtarza i p. Tyszyński na k. 50), nakoniec język w urywku z ewangelii Jana, poczytywany za najdawniejszy pomnik mowy czeskiej, ma także bardzo bliskie podobieństwo do języka cerkiewnego. Nawet sam Królodworski Rękopism zbliża się do tegoż języka, szczególnież sąd Libuszy najdawniejszy (12). Dawnych polskich pieśni nie znamy a ross. jest mnóstwo, nawet sięgających najodleglejszych czasów i zachowujących się dotąd w ustach ludu. Wiemy tylko, że Bielski w kronice swojej mówi, iż lud witał Kazimierza pieśnią. Wiemy że Długosz za swoich czasów słyszał pieśń na śmierć Ludgardy; wiemy, iż Czacki przytacza list Meleciusów do Jerzego Sabiny w r. 1551: gdzie mowa jest o dawnych polskich pieśniach przy pogrzebie; oto i wszystko. Cóż było przyczyną zatarcia w Polsce poezyi narodowej, w której właśnie rozkwita i rozwija się mowa ludu, nie jak w wymuszonych, niemających życia wierszach na wzór klasyków? Oto zawczesne upowszechnienie łaciny i jej literatury między Polakami, do tego stopnia, iż pieśni ludu musiały się zacierać. (13)

(12) W piśmie, przezemnie wydaném: *Jutrzenka*, umieszczę z czasem artykuł, w którym wykażę formy gram. cerkiewno-słowiańskiego języka w języku polskim tylko przechowane. Warto nad tém zastanowić się.

(13) Trudno podobno historycznie wybadać kiedy i jakimi kolejami z języków do najwyższego stopnia wykształconych, jakimi były grecki i łaciński, ich przewagą i siłą udzieliły się skład, giętkość, cecha a razem i typy wielu wyrazów, językom? jednocześnie słabszym od nich i uboższym. Jak w języku rosyjskim widać wiele korzyści, które mu przyniósł starożytny grecki, tak polski nie mało ich winien łacińskiemu. Ale wpływ podobnych badań, a na-

Dodajmy, że p. Mogilnicki na k. 24 robi przypisek następujący: »O pięć wieków wprzód język ruski już był ukształconym, już usposobionym do piśmiennictwa. Nestor Mnich peczarski już w wieku XI dzieje ruskie nim pisał i Rusini w wieku XIX. nie znajdują go tyle odmiennym i tyle niezrozumiałym, ile Polacy język swój z wieku XV. (14) Już w wieku XI Rusini mieli biblią na swój język przełożoną, a jakże później Polacy? Pisarz francuzki książki wydanéj o żydach w r. 1818 wspomina: iż w spisie biblij w Watykanie znajdujących się pod liczbą 300 na k. 228 jest sławne dzieło *Alf Halhory*, które zawiera objaśnienie ksiąg Mojżesza w języku ruskim pod r. 1094.«

Wszystko to nam widocznie pokazuje, jak z biegiem wieków postępowała mowa u Słowian wschodnich i zachodnich, zresztą będziemy to widzieli w dalszym ciągu naszej krytyki, kiedy przejdziemy do Słowian ruskich.

P. Tyszyński wcale nie zadziwił nas, powiedziawszy na k. 48: »O wpływie w tym kierunku obrzędu na wcze-

wet uwag, nie okazały się ważnym w czasie obecnym, w którym nam raczej wypada, tam do świetności Homerów i Demostenesów, tu do sławy Horacyuszów i Cynceronów, każdemu swoją mowę posuwać. Same Cyncerona dzieła nie są jawnym dowodem, o ile Rzymianie mowę Greków szanowali, o ile ona na wydoskonalenie ich mowy wpłynęła? — Język polski, wykształcenie swoje późniejsze w XVI wieku, daleko wyższe nad jednoczesny stan sąsiedniego, wlnien był klasykom łacińskim.

P. R.

(14) Nie możemy co do tego zgodzić się z recenzentem. Język polski z XV wieku, o ile sądzić możemy z niewielu pomników jakie nas doszły, zupełnie jest dla nas zrozumiałym dzisiaj jeśli nie zrozumialszym jeszcze jak Nestor dla Rossyan. Dowodem tego sąpoezyna Jędrzeja Gałki i przekład Statutów Wiślickich. Zdaje się że Rec. odmiennosc pisowni uważa za istotę w roznieniu się języka obu tak odległych epok mowy naszej.

P. R.

sność rodowej uprawy mowy i wkrótce nauk u Słowian zachodnich uczył nas tak pomniki, jako téż dziejowe świadectwa. Już w wieku X św. Wojciech uczył się języka łacińskiego w Dziewinie. Od założenia w 1005 r. szkoły w Smogorzewie, liczne napotykaemy wzmianki po kronikach o ciągłym istnieniu ich u nas.«

My zaś powiemy, że na wschodzie u Słowian ruskich jeszcze za czasów Włodzimierza zaprowadzone były szkoły; że książę Jarosław w XI w. sprowadził uczonych Greków z Carogrodu, kazał tłumaczyć duchowne dzieła na język ruski dla powszechnego użytku, założył w Nowogrodzie narodową szkołę dla 300 chłopców i rozesał księży po różnych miastach dla nauczania ludu. Czyż tu nie potrzebny był język narodowy? Dodajmy jeszcze, iż Włodzimierz Monomach (1113 — 1132) w nauce dla dzieci swoich powiada, że ojciec jego Wszewłod umiał 5 języków. Nie mówię już o Nestorze, który posiadał język grecki. Cóż w porównaniu z tém znaczy, że Wojciech S. w X wieku uczył się języka łacińskiego, i na co było wyraz *uczył się* drukować kursywą.

Co do zachodniej słowiańszczyzny p. Tyszyński mówi, że w XIII wieku kronika Galla tylko miała być przełożoną po polsku, lecz dopiero w XIV wieku ukazuje się przekład praw wiślickich (lecz Ruska prawda, już opisana w XI w., ma cechę narodowej mowy), psalterze, książki do nabożeństwa (dopiero w XIV w.!).

Nie wiem czy z przekonania własnego, czy téż z czynego źródła twierdzi p. Tyszyński (na k. 49), iż z narzeczy wschodnich jeśli jakowe z tych czasów już w skutku potrzeb, już w skutku ogólnej oświaty przechowały ślad swego życia, tedy te tylko które właśnie do składu państw zachodnich wchodziły. Jakież narzecza przy-

tacza p. Tyszyński? 1) *Halickie* niby w przekładzie wiślickiego statutu; 2) *Ukraińskie* — zatrzymajmy się! Cóż to za narzecza? — p. Tyszyński przytacza Jaworskiego, Prokopowicza, Bużyńskiego, Mogiłę! Więc oni mieli pisać tém narzeczem? Przecież wiemy, że Jaworski, Prokopowicz, Bużyński i inni pisali pomięszaném narzeczem, noszącém cechę albo mało-ruskiego albo biało-ruskiego; oprócz tego ci pisarze wychowani na wzorach łacińskich, zaplątali w swój język mnóstwo cudzoziemskich wyrazów i łacińską frazeologią. Dziękujemy za taki wpływ zachodniej oświaty, czyli raczej scholastyki, która zawitała do Rossyi i Polski wtedy, gdy upadła w Europie za czasów wyżej przytoczonych pisarzy. Właśnie wtenczas nastąpiło w Rossyi zepsucie języka. Już w drugiej połowie XVII wieku język rossyjski *książkowy* zaczął powracać do swojej pierwotnej czystości; lecz źródłem jego życia był język staro-słowiański, z którego czerpał silne zwroty i piękność w wyrażeniu. Bo dla języka szkodliwy był wpływ pisarzy, którzy wychowali się w Małorossyi, Litwie i Polsce. Fałszywém także jest zdanie (k. 50), jakoby poznanie naukowe i określenie (!) cerkiewnego *narzecza* (!) pierwotnie powstało na zachodzie, bo grammatyki drukowane we Lwowie i Wilnie są nie więcéj, jak nędzne kompilacye na wzór greckich. Nawet rozprawa dodana do gramm. Smotryckiego: O korzyści Grammatyki, Retoryki i Filozofii, napisana jest przez Maxyma Greka. Pawła Berynda zakonnik kijowski w w. XVII wydał słownik Słowiano-Rossyjski wydrukowany w Kijowie w 1627 roku.

Pomimo tego, że w słowiańszczyźnie wschodniej już oddawna istnieją próby grammatyki (p. Jana Exarcha Bołgarskiego z w. XI); jednak tak poznanie, jak określe-

nie staro-słowiańskiego języka powstało w samej Rosyi, dosyć jest wspomnieć tutaj patriarchę Nikona (1605—1681), który zajął się oczyszczeniem słów kościelnych ksiąg i porównaniem ich z greckimi.

#### IV.

Paragraf o Słowianach czeskich napisany jest podług Jungmana. Nie będę wdawał się w szczegóły i dokładny rozbiór tego paragrafu, jednak muszę powiedzieć, że p. Tyszyński zbyt lekko uważa religijną reformę (patrz u nies. k. 51) która powstała w Czechach, tę swietną i znakomitą epokę w dziejach Europy. Albowiem historia Czechów przedstawia ciągłą walkę z Niemcami, którzy uciskali ich istnienie, niszczyli język, aż nakoniec nadeszła chwila stanowcza — *okropnie być albo nie być.*

Powstała reakcja przeciwko temu, co nie było swojskiem, rodowem, reakcja przeciwko wpływowi Niemiec, a nakoniec przeciwko władzy papieżkiej. Takim sposobem Czechy stali się sędziami rzymsko-katolickiego świata. Grzmiała klątwa Papieżów, szła przeciwko nim prawie cała Europa i siła umysłowa, duchowa musiała ustąpić sile materyalnej..... Stało się.....— Mylnie twierdzi p. Tyszyński (na kar. tejże 51), iż zamieszki religijne zabiły krajowy język. Owszem język czeski rozwijał się i kształcił w religijnych walkach, i właśnie w tym czasie przewyższał ukształceniem wszystkie europejskie języki. Już na początku XV wieku została przetłumaczona biblia po czesku, w tymże wieku język czeski zaprowadzony był do kościołów, stał się dyplomatycznym w Morawii, Szląsku, w części Polski i nakoniec w Węgrzech; w tymże czasie wzniosło się czeskie pra-



wodawstwo (ta miara oświaty ludów) i wywarło wpływ swój na prawodawstwo sąsiednich krajów słowiańskich. Gdzież tu upadek języka i upadek oświaty?..... Powtarzamy, siła umysłowa, duchowa musiała ustąpić sile materyalnej. (11)

P. Tyszyński nadmienając nakoniec o wojnie trzydziestoletniej, wyraz *trzydziestoletnia* (na k. 73) wydrukował kursywem i w nawiasie dodał znak wykrzyknienia.

Dziwi się p. Tyszyński, i my też się dziwimy, niepojmując, co ma znaczyć ten wykrzyknik?

Może p. Tyszyński zapatruje się na trzydziestoletnią wojnę z uprzedzeniem?..... Powiemy że wojna trzydziestoletnia będąc niby dalszym ciągiem wojny hussyckiej i wyzwoliwszy północ Germanii od zależności Rzymu, jest zajmującym epizodem w dziejach zachodniej Europy..... Tylko nagła śmierć Walensztajna rodowitego Czecha, który chciał dać inny kierunek sprawie swojej ojczyzny, wydała Czechów w ręce ich wrogów.

Ma p. Tyszyński jakąś *arrière pensée*, podług której wystawił (na k. 74) czynność Jezuitów w sposób przeczący historii. Nawet z jego słów można wnioskować, że zakon Jezuitów *bardzo mało* zaszkodził Czechom.

(15) Jestto podobno argument, który najtrudniej będzie panu Tyszyńskiemu odeprzeć. Ta oświata wieku XIX, z której się tyle chlubimy, miałażby uznać w tém prawość ażeby bogacz pomnażał swe skarby zagarnieniem ostatniego grosza ubogiemu? Wielu z uczonych Niemców, dobrze już niekiedy podobnej zasady zrozumieli.

P. R.

Przecież wiemy, że za czasów jezuickich wszystkie książki czeskie drukowane od r. 1414 aż do 1635, uznane były za kacerskie; palono je na stosach i po domach, wyrzucano za miasto, albo przybijano do szubienic, i t.d. A takim sposobem płody umysłowe z dwóch wieków skazane były na zaturę!.... Można widziéć z dzieła pragskiego Dekana Peszyny: *Phosphorus Septicornis* (1673), jaka nauka wykładana była natenczas w Czechach.....

Rzecz niewątpliwa, iż ostatni najokropniejszy cios zadali Czechom Jezuici. O tém właśnie p. Tyszyński milczy, lecz gdzie tylko idzie mu o wyłuszczenie *raz przedsięwziętej zasady*, nie omieszka uczynić tego, chociaż i najniesfuszniej: tak np. na k. 51, mówiąc o zamieszkach protestanckich, ni ztąd ni z owąd przywiódł słowa Kollara o wpływie duchowieństwa ewangelickiego i katolickiego na oświatę ludu.

Przytoczymy tu niektóre przykłady, jaki téż jest wpływ duchowieństwa ewangelickiego na Słowian? W Prezburgu, przy liceum ewangelickiem znajduje się jedyna w swoim rodzaju, wyznaczona podług *ustawy* katedra słowiańskich języków i literatury: (Ustaw rzece a literatury czesko-słowanskie). Tu zbiera się kwiat młodzieży słowiańskiej (blisko 60 lub 70 młodych ludzi, wiele obiecujących). Prócz nauki języków słowiańskich słuchają jeszcze lekcyi historyi, statystyki, posiadają bibliotekę z przeszło 600 tomów. Oto drugi przykład: w Peszcie, w uniwersytecie, jest protestanckie słowiańskie towarzystwo, które stanowi punkt połączenia słowiańszczyzny w tak znaczném mieście. Tamtejszym kaznodzieją jest Kollar.

V.

Wszystko co p. Tyszyński napisał o Słowianach ruskich, składa najszabszą część jego rozprawy. Mylnie powiada (na k. 77): »dwa te czasy (epoka do Piotra W. i od Piotra W.), przeciągiem tak różne, tak siebie bliższe, tak przecież są całkowicie odmienną przyrody, iż zdają się być raczej okresami z dziejów dwóch odmiennych ludów wziętymi (!).« — Wiemy, że od czasu wstąpienia na tron domu Romanowych, Rossya zaczęła już wznosić się, a mianowicie za panowania Alexego Michałowicza, kiedy rzeczy przyjęły nowy zupełnie obrót, kiedy wydane było *Ułożenije* (zbiór prawa) wskazujące na epokę powstającej cywilizacji; rozszerzenie szkół (Akademia Mosk.), nowe urządzenie wojska, nakoniec dodajmy, że bez tego świetnego panowania, Piotr W. nie byłby w stanie tyle uczynić dla oświaty, ile uczynił. Prosimy tylko z uwagą rozpatrzeć dzieje.

Niezmiernie dziwiłem się, czytając następujące słowa p. Tyszyńskiego (na k. 8) »*Dzieje, prawo, obyczajowość, poezya*, mają swe z owych czasów pomniki. Pomniki te są świadectwem żywym oświaty zdarzeń w kraju, nie były jednak w *języku kraju*« etc. etc. Jakto? czy język, którym pisał Nestor, nie jest językiem kraju, kiedy najlepiej ze wszystkich Słowian teraz żyjących może go zrozumieć Słowianin ruski? Czy *Prawda* Jarosława nie jest nacechowana mową ludu? czy pomniki poezyi (pieśni, skazki etc.) nie są w języku kraju? »Blask ich, dodaje p. Tyszyński, nie był zapewne blaskiem słabiej niepewnej zorzy; był to blask raczej pięknego i w całej pełni księżyca; obcym jednak światłem jaśniejac nie stworzył dnia, sam owszem pozostać musiał w pół-jasnym«

Wnosząc z tego, że p. Tyszyński nie ma dostatecznego źródła wiadomości o przedmiocie, o którym rozumuje, przytoczę mu wyjątki z nieogłoszonych jeszcze drukiem lekcji literatury rossyjskiej uczonego prof. Szewyrewa, na którego zdanie, jako męża niepospolitąj nauki i talentu, zupełnie się zgadzam.

»Rossya, mówi on, w X wieku po przyjęciu chrześcijaństwa, przeniosła na swoją ziemię nasiona bizanckiej oświaty. W XI wieku stosunki z Grecyą nie ustawały. Carogród zawsze był wzorem nauki chrześcijańskiej i literatury; widać tu myśl zaszczepienia cudzoziemskiej oświaty do własnego życia; przystosować oświatę bizancką do zwyczajów i obyczajów swojejj ziemi. Główna zasada téj oświaty jest religia chrześcijańska. Ona dostaje się wszędzie i do życia politycznego i do życia ludu, daje się postrzedz i w prostej kronice i w poetycznym opowiadaniu Nestora o żywotach Śtych Mężów ziemi ruskiej, i w podaniach i w mithach ludu. Ona się zjawia i w życiu nabożnych zakonników, i w listach biskupów, i w pałacach książąt, i oświeca zwyczaje pogańskie, które tak długo utrzymywały się po przyjęciu chrześcijaństwa. Lecz razem z chrześcijaństwem nie przyjęliśmy skarbów literatury pogańskiej od Bizancjum, jak to na zachodzie uczyniono: ztąd wypływa główna różnica postępu literatury na zachodzie od postępu literatury u nas.«

»Tam świat pogański nie był wykorzenionym przez chrześcijaństwo, lecz z całymi swojemi skarbami daleko sięgał do życia nowego i ściśle się z nié m łączył. Włochy zachowały ten żywioł pogański w samém życiu swojém, a dla nich istnieją jeszcze piękności łacińskiej oświaty. Lecz nie mieliśmy swojej przeszłości, zaś ob-

czyzną odrzuciliśmy, jako niezrozumianą dla nas. Względem literatury spostrzegamy dwa zjawiska: 1) kronikę polityczną, 2) kronikę religijną. Pierwsza wystawia silne rozwinięcie zewnętrznej siły Rossyi. Książęta wzniesli ją we względzie materyalnym, a zakonnicy rozprzestrzénili w niej wewnętrzne religijne ukształcenie. Te dwa dążenia życia narodowego dają się spostrzedz w całej historii literatury naszej. Dla tego żywoty Śtychli u nas przedstawiają coś odrębnego od zjawisk literatury zachodniej. One mają ważne moralne znaczenie względem silnego wpływu na duch ludu. Godnym jest uwagi, iż literatura nasza nie zaczyna, jak w innych, ani od poematu, ani od pieśni, lecz prosto zaczynamy opowiadać nasze życie. Dodajmy jeszcze że nawet same podania ludu mają charakter historycznej powieści, i że w najświetniejszych pomysłach naszej poezyi, fantazyja nie główną rolę odgrywa.«

»Na zachodzie po X wieku, kiedy przesądna obawa o końcu świata była na przeszkodzie wszelkiemu rozwinięciu czynności umysłowej, wiek XI przedstawia obraz rychłego udoskonalenia. Lecz nie widzimy tu ostatecznego rozwinięcia języków. Z walki żywiołu łacińskiego i romańskiego, wprzód od wszystkich powstał język prowansalski. W nim ukazała się lekka poezya Trubadurów — pófrycerzy — półpoetów. Po nich na stopniu literackiego rozwinięcia ukazuje się język hiszpański. Tak w wieku XV dopiero język angielski staje się samoistnym i początek literatury włoskiej należy do końca XIV wieku. W prozie w XI wieku panuje język łaciński nawet w Niemczech. Dzieła historyczne Dytmara, Lamberta, Bruno i Witekinda pisane są po łacinie. *Wille-Har-Duin*, pierwszy francuzki kronikarz, na-

leży do XIII wieku. Tak w wieku XI dzieje pisane były w trzech językach: łacińskim, greckim i słowiańskim. Widzimy, jak szkodliwy był dla samoistności języków świat starożytny, bo przyniósł z sobą bogate skarby greckiej i łacińskiej oświaty. I tak w zawodzie stopniowego historycznego i literackiego rozwinięcia uważamy na samprzód Zachód łaciński, potem Zachód germański i świat słowiański, rozwinięcie się którego jeszcze nie skończone. Środkowym punktem narodowej oświaty było duchowieństwo. Tu rozwijały się dwa żywioły: grecki i narodowy ruski. Metropolici powiększej części byli Grecy; lecz w wiekach XI i XII widać usiłowanie naznaczenia własnych Metropolitów. Trzeba jednak dodać, że Grecy Metropolici zawsze zastosowali się do zwyczajów ruskich: tak Metropolita Nikifor, Greczyn, swoje listy do Włodzimierza Monomacha pisał w jęz. słowiano-ruskim. Duchowieństwo zaś znajdowało się na wysokim stopniu oświaty już w wieku XII, dowodem czego mogą być kazania Cyrylla biskupa turowskiego, które mogłyby stanowić ozdobę jakiegokolwiek literatury europejskiej z tego czasu. Języki łaciński i grecki używane były przez duchowieństwo i książąt. Wsewołód, jak świadczy Simon, bardzo dobrze mówił po łacinie. Oprócz literatury zakonnicy trudnili się nauką lekarską, co pokazuje nam żywot lekarza Agapita. Z innych sztuk szczególnie kwitnęły w tych czasach w Rosyi budownictwo i malarstwo. Od Jarosława do Andrzeja budowanie i upiększanie kościołów zostawiano cudzoziemcom, lecz w r. 1194 biskup włodzimirski Jan, budował kościół z pomocą ruskich majstrów, (patrz Cyrilla Turow. III. 104). Malarstwem trudnił się znakomity *Olimpiusz*, o którym

jest podanie, iż Matka Boska zjawiła mu się i dała swój obraz, i że niedokończonego obrazu tego malarza po jego śmierci dokonał Anioł. W tym czasie malarstwo w Rosyi używane było na papierze i na pergaminie, a odznaczało się trwałością farb.«

Oto mały obraz pierwiastkowej oświaty u Słowian ruskich. Czyż to blask księżycy obcém światłem jaśniejącego? Czy mógł p. Tyszyński utrzymywać, że piśmienne pomniki ruskich Słowian, nie były w języku kraju?...

Niechże p. Tyszyński, zwróci uwagę na piśmienne pomniki zachodniej Europy. Aż do r. 1000 niema tam nic ważnego pod względem wartości. Naprzykład: do pomników języka romańskiego należy tylko jeden poemat: *O niewoli Hoecyusza*, pisany językiem nieokrzesanym i pomieszanym. Pomniki języka niemieckiego z tegoż czasu składają się z przekładów psalmów i kilku powieści o bitwach, lecz język tych pomników więcéj zbliżony jest do języka gockiego, aniżeli do niemieckiego: a pomniki te nie są zrozumiałe dla dzisiejszych Niemców. Czémże są te pomniki w porównaniu z dawnymi pomnikami ruskich Słowian dla których one nawet i dziś są zrozumiane?

P. Tyszyński wyliczając piśmienne pomniki ruskie z czasów wprowadzonego chrześcijaństwa, i przytoczywszy tylko Nestora Prawdę Ruską i Słowo o Pułku Igorowym, nie mówi o innych pomnikach z tychże czasów, jako to: Nauka dla braci Łukasza Zyriaty (z XI w.), listy Metropolity Nikifora (z XI w.), Słowo Daniilla Pałomnika (z początku XII w.), Cyrylla, biskupa turów: (z w. XII), Kazania i inne. Przecież i to są szacowne pomniki piśmiennictwa, nie mówię już o innych, wła-

ściwie bołgarskich, a przechowanych aż do naszych czasów w samej tylko Rusi. Zaś Nestor mylnie policzony jest do w. XII (!), gdyż wiadomo że latopisarz ten urodz. w r. 1056, a umarł r. 1111 lubo rok śmierci jego jest niepewny. Podług twierdzenia niektórych badaczy kronikę swoją skończył w r. 1093. P. Tyszyński na k. 79 mówi że pióru Nestora przypisują (!) niektórzy (?) utwor *Paterykonu*. Paterykon czyli życiopisy świętych Ławry Peczerskiej, składają się z 3 części: 1<sup>sz</sup>a, jak już teraz dowiedziono, niewątpliwie należy do Nestora; 2<sup>ga</sup> do Simona biskupa suzdalskiego (umarł w r. 1226), a 3<sup>cia</sup> do zakonnika Polikarpa (współczesny Simona).

Co zaś do słowa o Pułku Igorowym, już czas lepiej w niem rozpatrzyć się i nieprzywiązywać do niego wielkiej poetycznej wartości. Zupełnie zgadzamy się w tej mierze z p. Szewyrew.

Treścią tego pomnika jest opowiadanie o historycznym wypadku współczesnym, noszące cechę samej prawdy. Godnym jest uwagi, że wszystkie wypadki w nim opisane, zupełnie zgadzają się z kronikami. Autor na początku sam uprzedza, że zacznie swoją powieść zwyczajem tego czasu, lecz nie podług myśli Bojana. Z tych słów pokazuje się, że w powieści swojej chce uniknąć wszelkich poetycznych zmyśleń a zachować bieg czysto - historyczny. Prawdziwość tego opowiadania stwierdza kronika. I tak widzimy, iż w treści tego pomnika *żywiół poetyczny ustępuje historycznemu*. Wypadki opowiedziane są tak, jak były. Lecz niektórzy powiedzą, że płacz Jarosławny jest prawdziwie poetycznym miejscem. Stanowczo można im odpowiedzieć, że i to miejsce nie jest poetyczne: tu nie ma zmyślenia,



wypadek tak opisany, jak się zdarzył: Jarosławna płakała po swoim mężu. Podobne miejsca napotykamy i w kronikach. Tak na prz. płakał Hleb, usłyszawszy o zamordowaniu brata swego Borysa, a więc i to miejsce jest tylko zwrotem poetycznym, a nie zmyśleniem.

Nakoniec jeżeli w tym pomniku żywioł historyczny przewyższa żywioł poetyczny, to dla niego wcale nie stosowna jest nazwa *poematu*, którą mu dają; nawet nie stosowna jest nazwa *pieśni*; dla czego nie *słowo* (mowa, powieść), jaką nazwę ma w samym rękopiśmie? Zdaje się, wcale nie ma potrzeby zmieniać tej nazwy. Ci którzy pomnik ten nazywają *pieśnią*, myślą, że napisany jest dla chwwały czynów Igora? lecz cóż wychwalić, jeżeli czyny Igora wcale nie są sławne!... Sam autor posądza Igora, że stracił mężstwo, *pogrążył wielkość* na dnie rzeki Kajafy. Przeczytawszy pomnik ten możemy spostrzedz, że autor chciał wyrazić nie uczucie chwwały, lecz uczucie smutku, tęsknoty. Gdyby był chciał *wychwalać*, obrałby daleko sławniejsze wypadki, lecz nie te, które bardzo mało są sławne.

Iloczas tego pomnika niektórzy chcieli przystosować do hexametru (za temi poszedł i p. Tyszyński), chociaż nie słusznie to przywłaszcza sobie samemu, dodawszy: *Zdaje się nam!* (p. przypisek na k. 81). Jest to ostateczność. Prędzej napotykamy w tym pomniku iloczias wielko-ruskich pieśni ludu. Autor niby przysłuchiwał się tym pieśniom ludu, poczęści naśladował je, lecz potem znowu wracał do swojej prozy. W ogóle widać w tym pomniku silny wpływ języka narodowego ruskiego; jest w nim dowód, że język piśmienny ruski musiał już kształcić się od najdawniejszych czasów.

Zadziwił nas p. Tyszyński powiedziawszy że pieśń o wyprawie Igora, Prawda Ruska, i Nestor są jedyne pomniki dawniej oświaty Rusi, a nawet całego okresu oświaty Rusi przez wieków siedem (!).

*Rzekliśmy i powtarzamy* (używając zwykłych wyrazów p. Tyszyńskiego), że p. Tyszyński opuścił mnóstwo pomników. (Nauka dla braci, listy Metropolity Nicyfora, Mowa Daniła Pałomnika, kazania Cyrylla, Metr. Turrowsk.) (16)

Czemu p. Tyszyński nie mówi o poezji ludu wielko-ruskiego, tyle bogatej i obfitej, a noszącej cechę dawnych czasów? (17)

Nie w martwych szpargałach trzeba szukać życia narodowego, lecz właśnie w poezji ludu. Tu powtórzmy słowa poety: »O pieśni gminna, ty stoisz na straży narodowego pamiątek kościoła!«

Niżeli przyjdziemy do poezji ludu wielko-ruskiego i okażemy gdzie trzeba szukać dziejów oświaty, zastanówmy się nad następującym p. Tyszyńskiego ustępem (na k. 84): »Tak *rzekliśmy i sądzimy* (!), iż głównym źródłem *tego szeregu rzeczy* (?), tej anti-piśmienności wśród kraju, było użycie pisma *obcego* (!) do piśmiennictwa.....« Bez wątpienia tym obcym językiem mianuje p. Tyszyński język staro-słowiański? — wytłumaczmy to, zasadzając się po większej części na lekcyach Szewyrewa. Na przekład pisma św. najwięcej wpływało narzeczę bołgarskie i sębskie, za pomocą których daje się objaśnić

(16) Teraz Kom. Arch. wygrzebuje dawne liczne pomniki Rusi i ogłasza je drukiem.

(17) W ogóle p. Tyszyński mało zastanawia się nad poezją ludów słowiańskich! Jednakże ona jest przedmiotem, który nader obchodzić powinien.

wiele form staro-słowiańskiego języka; najwięcej zaś wpływał język bołgarski, którego grammatyka wcześniej otrzymała pewne zasady i wpływała na inne narzecza: chociaż później w miarę rozprzestrzenienia wiary a razem i pisma św. każde narzecze wrzucało swoje formy w ten język, jednakowoż skład pierwiastkowy pozostał bołgarski. Narzecze zaś ruskie najwięcej wpływało na jego ukształcenie, inaczej trudno objaśnić sobie ruskie formy, które w niem napotykamy.

Niektórzy przypuszczali, że język staro-słowiański, zupełnie przyjął formy greckie, lecz to mylnie powiedziano, gdyż wiemy, że późniejsi poprawiacze ksiąg kościelnych, począwszy od Maksyma Greka wprowadzili mnóstwo helenizmów; w późniejszych rękopismach XVI. wieku częściej napotykamy greckie zwroty, aniżeli w kodexach X, XII i XIII. wieków. Dobrowski dostatecznie udowodnił, iż Cyryll i Metodyusz wszędzie, gdzie tylko mogli, zachowali duch i własność swojego języka. Im dawniejsze słowiańskie rękopisma Ewangelii, tém więcej obfitują w pierwiastkowe słowiańskie zwroty, w których spostrzegają się i cechy narzecza ruskiego. W Nestorze zaś widzimy silny wpływ ruskiego żywiołu: swoją mowę wkładał on tylko w grammatyczne formy staro-słowiańskiego języka. Co ważniejsza, wszystkie plemiona południowo-wschodniej gałęzi, podług uwagi Dobrowskiego, rozumieją staro-słowiański język lepiej od plemion południowo-zachodniej gałęzi. Dlaczego? Dla tego, że plemiona południowo-wschodnie wpływały na ukształcenie tego języka, bo przyjęły grecki obrządek a razem z nim i tłumaczenie pisma św.— Możemy powiedzieć, że język staro-słowiański jest

*wybrany* kwiatem wszystkich narzeczy, przez które przechodziło tłumaczenie pisma św.

Nakoniec porównawszy np. ewangelią (bolgarską, sérbską i ruską) przekonamy się wprawdzie, iż język staro-słowiański co do form grammatycznych zbliża się do bolgarskiego i sérbskiego, lecz pod względem słów i wyrażeń do języka ruskiego. Rossyanie lepiej mogą zrozumieć tekst staro-słowiański, aniżeli Bolgarowie i Sérbowie; a to dla tego, że 1) język ten od najdawniejszych czasów był językiem wiary i uczoneści Słowian ruskich; 2) że samodzielność ich wiary sprzyjała do zachowania w całej czystości żywiołu słowiańskiego; i 3) że literatura rossyjska ukształciła się pod wpływem języka słowiańskiego.

Piśmienność słowiańska zaczęła się od wyrazów: *Na początku było słowo* etc., bo Nestor podaje, że Apostołowie słowiańscy zaczęli swoje tłumaczenia od ewangelii św. Jana. Czy nie jest to wielki nadzwyczajny fakt, że nieokrzesany język pierwiastkowych plemion mógł wystarczyć na wyrażenie wysokich prawd Pisma św? Rzućmy okiem na to co się działo na zachodzie w IX. wieku. Wiadomo, że Europa na ten czas dzieliła się na łacińską i germańską.

Najprzód spojrzymy na zachodnią łacińską Europę. Wtedy ona jeszcze nie ukształciła swoich języków.

Język romański (*lingua romana, rustica*) był wtedy tylko nieukształconą mieszaniną. Weźmy np. pierwszy pomnik należący do roku 842, to jest: przysięgę między Karolem Łysym i Ludwikiem Germańskim, która przechowała się w kronice Nitgarda. Znajdziemy w nim grubą niekształtną mieszaninę wyrazów włoskich, łacińskich, francuzkich, hiszpańskich. Co się tyczy ję-

zyka piśmiennego, język łaciński był nieoczyszczony i nie miał grammatycznych prawideł, ponieważ duchowni nawet uważali za grzech trudnić się foremnością języka. W Europie germańskiej daje się spostrzedz wcześniejsze rozwinięcie. Już w połowie IV w. widzimy tam gocką biblię i kodex jój w V w. Jeżeli zwrócimy uwagę na urywek z tego wielkiego pomnika, zobaczymy, że język gocki nie może być zrozumiałym dla dzisiejszych Niemców (18). Jeżeli weźmiemy pomnik germański z IX w. z czasów Karola W. przekonamy się, że dla Niemców prawie niepodobna zrozumieć go. U Słowian ruskich przeciwnie. Oto np. *Ojczę nasz* z ewangelii Ostomira z r. 1056 zachowanej w czwartej kopii podług pierwiastkowego. »Otcze nasz iže jesi na nebesech, da swjatitsja imja twoje, da pridet' carstwije twoje, da budet' wolja twoja, jako na nebesi i na zemli, chleb nasz nasuszczenyj dažd' nam dneś i ostawi nam dołgi nasza, jako i my ostawljajem dołżnikom naszim i ne wvedi nas w napast', no izbawi ny ot neprijazni, jako twoje jest' carstwije i siła i sřawa wo wieki, amiń.«

Porównawszy ten pomnik z odpowiedniami mu pomnikami łacińskimi i germańskimi zobaczymy, że dla tych ludów są niezrozumiałe, tymczasem Słowianie ruscy mogą swój zrozumieć dokładnie bez żadnej trudności i znajdują bardzo małe odmiany. Oto tłumaczenie *Ojczę nasz* na dzisiejszą mowę: Otcze nasz, suszczij na nebesach! da światitsja imja twoje; da pridet carstwije twoje, da budet wolja twoja i na ziemi, kak na nebesi; chleb nasz nasuszczenyj daj nam na sej deń, i

(18) Patrz Geschichte des deutschen national Literatur von Hersch.

ostaw' nam dołgi naszi, kak i my ostawljajem dołżnikam naszym, i ne wwedi nas w iskuszenije, no izbaw nas ot łukawaho. Ibo twoje jest' carstwo, i siła, i sła- wa wo wieki, amiń.

Zdaje się, że po naszych dowodach i pod przewo- dnictwem uczonego krytyka Szewyrewa, rzecz cała zo- staje wyjaśnioną należycie.

Jak p. Tyszyński mógł nazwać język słowiański *obcym* dla Rossyan! Wystąpił z takim zdaniem właśnie wtedy, kiedy prace słowiańskich uczonych już utorowały w tym względzie drogę dla następnych badaczy!.....

Słowa, które p. Tyszyński nie dość trafnie wyrzekł o pewnym uczonym, że *fakta na swój sposób opowia- dać umie*,—dają się raczej do niego samego przystosować. Na przykład czytam na karcie 85: »Opór jaki klasy krajowe w całym ciągu okresu tego (oświaty Rusi przez siedm wieków!) stawiały, był tu raczej *następstwem*, nie zaś *przyczyną* (?)« Na czém że się zasadza p. Ty- szyński? Powiada w przypisku, »że dziejopisarze świad- czą, iż matki za Włodzimierza opłakiwały dzieci któ- re wysyłano do szkół....« Mówi wprawdzie o tém Nestor, ale dodaje i te słowa: *matki, które jeszcze nie były utwierdzone w wierze* (jeszcze bo sia ne utwerdili wie- roju). Cóż dziwnego w tém? Wiemy, że wiara chrześci- ańska stanowczo zaprowadzona była za czasów Włodzi- mierza. I wszędzie to samo być mogło w takim razie! P. Tyszyński w swoim przypisku nie poparł niczém zdania, iż *do końca okresu* (!) nauka miana była przez ogół narodu za zgubę duszy. Jeszcze dodaje iż cała ówczesna nauka, nawet szkolna, ograniczała się do zna- jomości czytania i pisania. I to nie prawda. O począt- kowej oświacie już mówiliśmy. Po okropnych czasach

panowania Tatarów, nastąpiły czasy Jana III, który tak gorliwie opiekował się oświatą ludu i zaszczyślał sztuki i mechaniczne kunszta (szczególniej budownictwo i malarstwo). Wnuk jego Jan Groźny wchodził w ścisłe stosunki z cudzoziemcami; wszędzie zaprowadzał szkoły, a zapewne nauka w nich nie ograniczała się tylko na czytaniu i pisaniu; za panowania zaś Borysa Godunowa, który nawet chciał urządzić uniwersytet, sztuki i nauki znacznie się rozszerzyły. Syn jego Borys posyłał za granicę wielu młodych Rossyan dla poznania języków i nauk; po swoim powrocie do kraju zapewne wiadomości ich nie pozostały bez skutku i wpływały na ziomków. Do Rosyi przyjeżdżało wielu cudzoziemców, rozszerzając rzemiosła, sztuki i nauki. Założenie akademii kijowskiej sięga roku 1588. Cóż znowu zatrzymało taki pomyslny bieg oświaty? Oto okropne czasy Samozwańców. Wtedy trzeba było myśleć nie o nauce, lecz o orężul... Przeszła i ta burza! Za panowania Romanowych widzimy znowu rychły postęp oświaty. Za czasów Aleksieja Michałowicza założona była w Moskwie akademie *słowiano - greko - łacińska*; wykładane w niej były: grammatyka, poezya, retoryka, dyalektyka, filozofia, teologia. Pod zarządem téj akademii znajdowali się wszyscy nauczyciele nawet w domach prywatnych i t. d. Czy zatem słusznie p. Tyszyński powiedział, iż przez siedm wieków nauka szkolna ograniczała się do znajomości czytania i pisania?

P. Tyszyński utrzymuje na str. 84, że pieśń Igora, Prawda i Nestor są jedyne pomniki oświaty przez wieków siedm, a o parę wierszy niżej: »opór jaki klasy krajowe w całym ciągu *okresu tego* stawiały i t. d.« I ten okres

obejmujący wieków siedm, podług p. Tyszyńskiego znaczyć ma epokę do Piotra W.!

Takie uchybienie zadziwia mnie tém mocniej, że wiadomość tych faktów przystępna jest każdemu, kto nawet najmniej zna historią.

Lecz nie na tém jeszcze kończą się wycieczki p. Tyszyńskiego w obręb dziejów. Tak np. wyrzekł i sądzi: (na kar. 85). »Wojny i rządy Tatarów być nie mogły czynnikiem naczelnym; rządy Tatarów nad Rusią ograniczały się do ściągania daniny (!)...«

Jakto? wojny i rządy Tatarów przez lat 200?... Te wojny, którym towarzyszyły okropne i krwawe spustoszenia; te wojny, podczas których na zawsze znikwały kwitnące miasta; miliony ludów ginęły albo stawały się niewolnikami dzikich zwycięzców?

Cóż mamy powiedzieć o tém, że p. Tyszyński, który tak troskliwie liczy piśmienne pomniki Rusi, na nieszczęście omylił się w rachunku; chociażby tylko z niedostatecznego Grecza wyczerpał potrzebne tu fakta? Już nie żądamy od niego wiadomości o pracach dzisiejszych ross. uczonych, którzy mnóstwo zrobili odkryć w piśmiennictwie, szczególniejsz komissya archeograficzna, która już tyle odgrzebała pomników, wydała je, a jeszcze gotuje nowe. Nic nie mówię także, ile mogło zaginąć ich podczas panowania Tatarów i innych kłesk. Kopitar mówi, że w Rossyi znajdują się biblioteki słów piśmiennosci. Tóż powtarza Szafarzyk. Szlecer mówi: »Nie wszystkie ludy europejskie posiadają taki skarb, jaki posiada Rossya w swoich kronikach.«

P. Szafarzyk, rozpatrując się w dawnych kronikach, dyplomatach, pracach i t. d., oddaje Rossyanom słuszną, którzy posiadają, jak mówi, najdawniejsze pomniki języka



słowiańskiego we wszystkich rodzajach. Wskazuje tu na ruskie kroniki, mianowicie Nestora. Względem najdawniejszych napisów na monetach pierwszeństwo mają także Słowianie ruscy, jak uważa tenże badacz. P. Tyszyński trzymając się Grecza, wskazuje na okres nazwany przez niego *polskim!* Ależ charakterem tego okresu jest zupełne oddalenie od narodowości i mięszanina różnego rodzaju ukształcenia w kraju. Mięszanina ta daje się spostrzedz i w języku: pisarze jakkolwiek duchowni a przeto starający się zbliżyć do języka kościelnego, prawie wszyscy jednak urodzili się w Małorossyi lub Białorusi, a więc nie mogli zapomnieć swoich krajowych narzeczy i często używali z nich wyrazów; nakoniec wychowani na wzorach łacińskich niewólniecko naśladowali frazeologią łacińską. Język książkowy jeszcze bardziej oddalił się od mowy potocznej, od mowy ludu. Jeden tylko Dymitry Rostowski w tym wieku pisał żywoty świętych językiem jasnym, czystym i poetycznym, a czerpał zasoby dla niego z źródła słowiańskiego. Mylnie p. Tyszyński twierdzi, zasadzając się na Greczu na karcie 86: »Pierwsi mówcy kościoła ruskiego powstali w Kijowie, zwyczaj i sposób mówienia kazań na sposób księży polskich i małorossyjskich dopiero Szymon Potocki upowszechnił w Moskwie.«

Mają ruscy Słowianie znakomity pomnik duchownego krasomówstwa, kazania Cyrylla biskupa turowskiego z w. XIII. Można z pewnością powiedzieć, że kazania oddawna już miały miejsce w kościołach ruskich. Nawet p. Grecz po wyżej przytoczonych wyrazach dodaje: (p. Tyszyński opuścił to): »Dotąd czytowane były przed ludem *nauki* wybrane z Ojców św. a uchwalone przez Patriarchów i Duchowny Sobor.«

Teraz przejdziemy do poezji ludu ruskiego, o której p. Tyszyński powiedział bardzo mało i błędnie. Nie zgłębiwszy ducha ruskiej poezji i nie obeznawszy się z nią należycie, autor widzi w niej fantazyą skandynawską.

Przypuszczenie to sprzeciwiałoby się prawdzie historycznej. Cóż mogła znaczyć garstka Skandynawów w pośród wielolicznych Słowian ruskich?

Pieśni ludu ruskiego mają na sobie piętno samorodne; a wyrażają główne historyczne epoki, już to Włodzimierza W., już to Tatarów, Samozwańców i t. d. Kroniki potwierdzają nam to co opiewa pieśń ludu ruskiego, n. p. w czasach Włodzimierza, jeżeli porównamy k. 89 kroniki podług kopii Ławrząciewskiej, gdzie mówi się o uctach Włodzimierza.— Dobrynja, Aljosza Popowicz, Sołowej Budimirowicz, Ilja Muromec i inne osoby żyjące w poezji ludu ruskiego, są historyczne, a można wzmiankę o nich napotkać w kronikach. Czary, przemiany a inne cuda właściwe są nietylko poezji skandynawskiej, lecz w ogóle wszystkim plemionom słowiańskim. Raczej ta cudowność jest głównym rysem pierwiastkowej poezji każdego ludu.

Nie miejsce tu rozwodzić się w obszerności nad poezją ruską i mówić o innych narodowych jej znamionach, o jej podziale na religijną, dziejową i familijną.

Przestaniemy na wzmiance o pieśniach ruskich religijnych, jako bardzo ważnych ze względu na ich charakter narodowy. Przewodnikiem naszym w tej mierze także będzie p. Szewyrew.— Biblia tłumaczona po słowiańsku wywarła wielki wpływ na narodowość Rusi. Chrześcijaństwo, równie jak na zachodzie, mocno działało na ukształcenie ludu. Tak niewolnictwo (rabstwo)

na Rusi zostało złagodzoném przez chrześcijaństwo, co nawet pokazuje się z wyrazu: *zaduszny człowiek* (zadusznyj człowiek). Herberstein w swoich komentarzach mówi, że ten wyraz oznacza niewolnika (raba), któremu właściciel jego daje swobodę dla zbawienia duszy swojej przez jego modlitwy. Zobaczmy teraz, jak chrześcijaństwo znalazło swój odgłos w poezji ludu. Pieśni duchowne czyli religijne (zebrał je p. Kirejewski) noszą na sobie cechę starożytności; aż dotąd lud je śpiewa; najwięcej dają się słyszeć z ust żebraków po całej Wielkiej-Rossyi. Lud nazywa je *stichami* (wierszami). Można podzielić je na 4 rodzaje: do 1<sup>go</sup> należą pieśni wzięte ze źródeł nam już nie znanych; do 2<sup>go</sup> wzięte ze starego i nowego testamentu; do 3<sup>go</sup> wzięte z legend czyli żywotów Sych. Bez wątpienia żywoty Sw. przeszły z Grecyi, lecz na Rusi nabyły właściwego narodowego charakteru. Takimi są np. o Jerzym Chrobrym, o Elźbiecie pięknej, o Alexandrze bożym człowieku i inne. Do 4<sup>go</sup> rodzaju należą pieśni liryczne, mistyczne i modlitwy.

Zwróćmy szerególną uwagę na tak nazwaną *Księgę Gołębia*, która jest starożytną ruską kosmogonią, katechizmem ludu ruskiego. *Księga Gołębia* jest to część Pisma S<sup>o</sup> zawierająca w sobie opowiadania o stworzeniu świata. Została tak nazwaną dla tego, iż Pismo S<sup>te</sup> pisane jest przez Ducha S<sup>o</sup>, który jak wiadomo wystawia się w postaci gołębia. Oto treść jej: Księga gołębia zchodzi z niebios w przytomności książąt i ludu ruskiego. Ona przed nikim nie otwiera się, oprócz króla Dawida, i oto przed tym królem otwiera się księga i W. Książę Włodzimierz zapytuje go o tajemnicach, które się w niej zawierają; a lud dopiero od Włodzimierza dowiaduje się o tajemnicach świata. Oto niektóre zapytania, któ-

re robi Włodzimierz: »Dla czego mamy księżyc jasny? Dla czego mamy gwiazdy rzęsite? Dla czego mamy wiatry porywcze? Dla czego mamy nocy ciemne? Dla czego mamy zorzę jasną? Dla czego rozum nasz i t. d. i t. d.«

Król Dawid odpowiada: »Mamy słońce błyszczące od oblicza Pana Boga! księżyc jasny od piersi jego; gwiazdy rzęsite od odzienia Chrystusowego; wiatry porywcze od Ducha Sw; nocy ciemne od dumań Pana Boga; zorze jasne od oczu jego; a rozum od samego Chrystusa Króla Niebieskiego i t. d.«

Wszędzie, mówi p. Szew., widać tu znamię Chrześcijaństwa i cały świat objawiony w samym Chrystusie! Jak wyborne jest w téj pieśni następujące miejsce: U nas nocy ciemne od dumań Pana Boga! — Jaka głęhoka, filozoficzna myśl, w duchu chrześcijańskim: U nas rozum od samego Chrystusa Króla Niebieskiego! (19)

Są jeszcze pieśni o zgonie świata, również charakterystyczne jak i poprzednia; a jest ich mnóstwo; dają się słyszeć po różnych miejscach Rossyi w ustach niższej klasy ludu, szczególnież żebraków. Można je nazwać zbiorem rapsodów składających całość w swojej treści. Bez wątpienia są to urywki domorodnego poematu, który niegdys przechowywał się między ludem. Myśl główna téj pieśni wzięta jest z Ewangelii, lud tylko dodał do niej swoje pomysły i obrazy. Ognista rzeka Syon płynie od wschodu do zachodu; Aniołowie,

(6) Bez wątpienia, księgi święte, były piérwszem źródłem mądrości i natchnień każdego ludu, który przyjęciu wiary Chrystusowej początki oświaty był winien. Owe rozprawy Marchołta z królem Salomonem, tyle podobieństwa do tych rozmów Włodzimierza z królem Dawidem mające, a należące do piérwodruków naszych, są niewątpliwie płodem czynnej duszy piérwszych chrześcijańskich generacyi naszych.

P. R.

przynoszą z niebios krzyż pański i stawiają go na miejscu straszego sądu; gwiazdy mają spaść z niebios, jak liście spadają z drzew.

Matka Boska zstępuje z niebios otoczona Aniołami, Archanioł Michał dźwiękiem trąby obudza zmarłych i t. d. Występni błagają tu Matkę Boską, ażeby wstawiła się za nimi do swego Syna, i Ona, mając wzgląd na ułomność ludzką, prosi u Syna litości; lecz Chrystus pyta się Jój: czy chce widzieć Boga, ukrzyżowanego po drugi raz za występnych? a Matka odpowiada: nie mogę widzieć Ciebie ukrzyżowanego po drugi raz!... los występnych był rozstrzygniiony. Oto poetyczne obrazy, które napotykamy w tym poemacie, a z których może szcycić się lud ruski przed poematami zachodu. Opis tego obrazu jest obszerny i obfity w szczegóły; zrobiliśmy tu tylko mały szkic jego. Prócz tego poemat ten ma mnóstwo epizodów, z których na szczególną uwagę zasługuje: *Spotkanie świętobliwego syna z występna matką w dzień sądu*, w którym matka prosi syna, ażeby błagał Boga o przebaczenie dla niej. Zastanawia, że Michał Anioł w swoim obrazie ostatniego sądu, wystawił myśl tęż samą. Teraz powiemy o pieśniach duchownych lirycznych, które po większej części ułożone są na chwałę Jezusa i Matki Boskiej, i głos Józefa królewicza w pustyni; również: Rozmowa duszy z ciałem przy rozstaniu się; w której rozwinięta jest myśl o nieśmiertelności duszy. W pieśni pierwszej, Matka Boska nazwana jest opiekunką i obronicielką rodu ludzkiego; myśl ta często napotyka się i u Słowian ruskich i na zachodzie. Dalej Matka Boska jest nazwana promienistą zorzą, błyszczącą gwiazdą, rosą dobrotliwą; w ogóle pieśń ta składa się z epitetów i porównań.

Wypada także zastanowić się tutaj nad pieśniami zachodu o Madonnie, w które szczególnie obfituje poezya włoska. W znanym wstępie do Matki Boskiej umieszczonym w poemacie Danta, również w kanzonach Petrarcki, znajdujemy mnóstwo porównań, mających podobieństwo z rossyjskimi. Zapewnie wzięli je z ust ludu, i pieśń wprzódym stała się własnością ogółu ucywilizowanego świata, za pośrednictwem dwóch wielkich geniuszów, była wyłączną własnością ludu włoskiego. — Słowianie ruscy mają pociąg do poezyi, jak to pokazuje się z ich pieśni i podań, i już od dawnych czasów posiadają samodzielne utwory poezyi, które pod wielu względami przewyższają narodowe włoskie. (20)

»Główny charakter, mówi p. Szewyrew, naszych dawnych pieśni ludu zależy na tém, że widzimy w nich wyobrażenie chrześcijańskie zastosowane w zupełnej czystości i prawie obce wpływowi pogaństwa, które poprzedzało przyjęcie wiary. W tém różnimy się z narodową poezją zachodu, w utworach której nawet w samej Komedyi Danta, znajdujemy osobliwą mieszaninę wyobrażeń chrześcijańskich z wyobrażeniami pogańskimi. (21) Jakaż przyczyna tak ważnej różnicy? Pogaństwo na zachodzie miało mnóstwo poetycznych podań, zbyt upowszechnionych między ludem, który

(20) Co p. Szew. mówi tutaj jest wiarogodnym, ponieważ sam mieszkając przez długi czas we Włoszech, w całej obszerności zgłębił literaturę i narodowość włoską. Goethe wiedział o nim i uważał go jako głębokiego i uczonego krytyka.

(21) Myli się autor tu i następnie, poddając myśli swoje zbyt czułej zdaniem naszym, przesadzie exaggeracyi. Jeżeli bowiem tego rodzaju, co komedyja Dantego, poezye, uważa za narodowe Zachodu, mieszanina w nich wyobrażeń chrześcijańskich z pogańskimi, nie powstała bynajmniej z przyczyny, że się cywilizowano za wpływem

już miał czas do własnego ukształcenia się, wprzódy nim przyjął Ewangelią, i dla tego niepodobna było to odrzucić, co stanowiło główny rys w charakterze ludu. U nas przeciwnie: rozwinięcie się i ukształcenie ludu powstało w jednym czasie z zaprowadzeniem chrześcijaństwa; grube zaś wyobrażenia pierwotnych dzikich Słowian nie mogły mieć wpływu na ich potomków daleko więcej ukształconych i oświeconych. W skutek tego, podanie pogańskie nie zostawiło żadnych śladów w charakterze i poezyi naszego ludu. Chrześcijaństwo znalazłszy w nim niwę młodością i jeszcze nie uprawioną, przyniosło obfite plody i zachowało się od wszelkiego zepsucia. Któż nie spostrzeże obfitości i głębokości myśli w pieśniach, dopiero przez nas przytoczonych. Głębokość ta jest koniecznym skutkiem jasnego wyobrażenia, które powziął lud o chrześcijaństwie. Głębokość jest właściwa tylko myśli chrześcijańskiej; tylko ona może być nieskończoną. Myśl pogańska może być piękną, lecz prędko staje się wyczerpaną i ostateczną.

Nie nie chcąc ukrywać przed p. Tyszyńskim z tego co mamy na myśli, zrobimy jeszcze kilka uwag, na dalsze miejsca jego rozprawy. Na karcie 87, mówi w następujący sposób: »w tych wiekach, wprowadzoném równie zostało do Rosyi użycie druku, lubo nie rychło (!!)

(albowiem dopiero w 200 lat po jego wynalazku!!)

Pierwsza książka odbitą była w r. 1563, w Moskwie pod napisem: Apostoł. Drukarze posądzeni o czarno-

pogaństwa, lecz że jak powszechnie wiadomo, kształć się na wzorach starożytnych Greków i Rzymian, co było najpiękniejszym w formie ich poezyi, własnej przyswoić chciano. To samo niewątpliwie byłoby nastąpiło i na Wschodzie, gdyby tam w owych wiekach istnieli poeci równi Dantemu.

P. R.

księstwo skryć się wkrótce musieli do Lwowa i Wilna. Okoliczności wynalazku druku, bardzo nam są znane. Wiemy że Faust w r. 1442, pierwszy raz wydrukował w Moguncyi *Doctrinale Alexandri - Galli i Tractatus Petri Hispani*, że dopiero w r. 1457 wydrukowaną została książka: *Psalmorum codex*, w której pierwszy raz wykryto tajemnicę druku. Pytamy się teraz autora, czy dopiero w lat 200 (!) wprowadzone zostało do Rosyi użycie druku?

Nakoniec, cóż jest osobliwego, że drukarze w Rosyi posądzeni o czarnoksięstwo, skryć się musieli? I w zachodniej Europie nie lepiej było. Wiadomo, że Faust udawszy się do Paryża, także posądzony był o czarnoksięstwo: nawet posądzano go że ozdoby czerwono drukowane w jego bibliach, pisane były krwią jego: nakoniec został wtrącony do więzienia (patrz o tém w *Dictionaire de la Conversation et de la lecture* T. 4. Paris, 1839 pod wyrazem: *Typographie*). Dodajmy jeszcze, że w Anglii, kiedy Wiliam Carton w r. 1471, miał zaprowadzić druk, urzędy municypalne z różnych okolic powstały przeciwko temu. Napróżno usiłowano zaprowadzić druk w Norwiczu (Norwich). Mieszkańcy złączyli się i podali prośby, ażeby usunięty został tak *nieużyteczny* i *niebezpieczny* wynalazek (*Palmer History of printing*). Ale trzeba już przybliżyć się do końca naszych uwag, ażeby nie znudzić czytelnika. Wypadałoby napisać nam na nowo Rys Hist. ośw. Śl. a takowy dopiero byłby zupełną odpowiedzią na zawikłany Rys p. Tyszyńskiego. Dla tego też nie zastanawiam się wcale nad tém, co autor dalej mówi o nowszej literaturze, o Słow. Illiryjskich, o Słowianach luzackich (!) i t. d. Co do ogólnych wnios-



ków będziemy czekali, aż zjawi się jaki *badacz* który na nie komentarz napisze, bo my ich nie rozumiemy. Jednakowoż na zakończenie chcemy zrobić kilka uwag co do niektórych przypisków p. Tyszyńskiego, np. na karcie 94: »ze zbioru pieśni illiryjskich korzystał *Stanko Wraz*.« Zkąd p. Tyszyński wyczerpnął tę wiadomość? Przecież sam *Stanko Wraz* w przedmowie do swojego zbioru powiada, iż *Korytko* nie posiadając dobrze narzecza górno-illiryjskiego i jego rozmaitych własności, poprzekręcał i pomieszał mnóstwo pieśni. Dodaje także, że wcale nie wie co się stało z jego zbiorem i domyśla się tylko, że wydane w r. 1839 (w tym samym co i zbiór *Wrza*) w Lublanie: *Pieśni Kraińskiego Narodu*, muszą należeć do zbioru *Korytki*, lecz zbiór ten wydany dawną pisownią na nic się nie zdał, bo pełny jest błędów i mieszaniny. Czyż mógł p. *Wraz* rodowity Illiryjczyk korzystać od *Korytki*, kiedy własny zbiór jego należy do najlepszych zbiorów pieśni słowiańskich? Prócz tego imię *Wrza* zaszczytnie znanem jest w literaturze illiryjskiej. Na k. 104 autor powiada: że w pieśniach czeskich znajdujemy po większej części pentamet.... Jakiż dowód na to. kładzie? Oto przytacza początkowy wiersz z sądu *Libuszy* (z ręk. królowodw:) nie po czesku, lecz tylko w polskiem tłumaczeniu! Czy nie bierze p. Tyszyński wiersza polskiego za czeski?

Uważamy w autorze niezmierną chęć wyszukiwania błędów i uchybień w znakomitych i zasłużonych badaczach słowiańszczyzny, również chęć zarzucania im tego, o czem ani myśleli. Nie pojmujemy jednak z jakiego źródła pochodzą wszystkie wykrzykniki p. Tyszyńskiego i do czego one zmierzają! Nicby nie było dziwnego, jeżeliby to pisał Niemiec; ależ Słowianin, piszący

Rys oświecenia swoich plemion! Tak na k. 136 swojej rozprawy powstaje przeciwko Kollarowi, nawet powiemy w sposób anty-słowiański... »Cel (pomysłów Kollara) i określanie, nie są a przynajmniej nam się nie zdają dokładnie być odznaczone;« — albo: »pomysł Jana Kollara w piśmie *Wechseltigkeit* jest być może pomysłem koniecznym, przechodnim, jednak i "nieostatecznym.« Widać, że p. Tyszyński nie pojął wzniosłej myśli szlachetnego Kollara. Szkoda, że zaraz na początku rozprawy nie wynurzył swego zdania o piśmie Kollara, wtedy czytelnicy od razu widzieliby przynajmniej z jakiego stanowiska autor zapatruje się na Słowiańszczyznę, którą obrał za przedmiot swoich badań..... Szkoda także, że na czele swojej rozprawy nie umieścił następujących myśli: »korzyści, które (Kollar) z takowego połączenia różności wiar, obyczajów, kultury i t. d. wylicza, nieraz nie godne są, że tak powiemy wyższej myśli tego autora. Wskazując np. w szczegółach nowe korzyści, mówi: autorowie mieliby zręczność wydawania wielu exemplarzy, kiedy obecnie zaledwo koszta druku oszczędzić zdołają.« P. Kollar, wskazując różne korzyści jako to umysłowe czyli tyżące się ogólnego ukształcenia, korzyści we względzie językowym i t. d. między innymi mówi o materyalnych, ale wcale w inny sposób tłumaczy myśl swoją jak to wystawia p. Tyszyński. Pan Kollar mówi: Die Schriftsteller gewinnen dadurch ein grosses Lesepublikum, verkaufen viele Exemplare von ihren Schriften, bekommen dadurch Belohnung für ihre Arbeiten, und werden durch Unternehmungen nicht zu Grunde gehen. Ein Schriftsteller, der blos und allein auf seine Mundart beschränkt ist, setzt kaum so viele Exemplare ab, als nöthig ist, die Druckkosten zu decken, so lange die einzelnen slawischen Stämme

in ihrer Unwechselseitigkeit und Entfremdung bleiben, werden sie nie eine blühende und dauernde Literatur besitzten, denn diese ist nur dort, wo viele Bücherabnehmer und Leser sind; viele Leser sind nur dort, wo viele Menschen sind; viele Menschen sind nur dort, wo eine grosse, verträgliche, sich wechselseitig kennende und liebende Nation ist. (Ueber die literarische Wechselseitigkeit. Pesth 1837 str. 94).

Cóż tu jest niegodnego wyższej myśli Kollara? Wszak literaci i uczeni nie karmią się samém powietrzem? Wszak potrzebują zasiłków i źródeł, ażeby w stanie byli i pisać i ogłaszać swoje prace? Czyż nie wiemy wiele to jest nieoszacowanych dzieł, które lub z wielkimi trudnościami wydawane bywają, lub leżą do lepszych czasów? — Dajmy, że p. Tyszyński który powiada, że piśmienność mająca odbyć musi się zmienić w fabryczną, — wydrukuj np. jakie historyczne badanie, zapewne nie zechce rozdawać swojego dzieła wszystkim za darmo, a ciesząc się z wielkiej liczby czytelników, byłby zadowolony jego dobrym odbytem. Jest jeszcze kilka innych przycinków dla Kollara np. »w ciągu wykładu autora po kilkakroć spotykamy myśl, iż celem zesłaniem Słowian jest obejmować ludzkość.« Co p. Tyszyński rozumie przez to urywkowe zdanie?... Pytamy sięgo także, czy sumiennie jest przytoczone przez niego? Zaraz po tych słowach dodaje: »Plemiona jednak Madjarów, Niemców i t. p. zdają się w tym wykładzie być jako wyjątkiem ludzkości.« P. Tyszyński nie udowodni z Kollara podobnej myśli. Niechże szczerze przycisnąwszy rękę do serca wyzna, że dopuścił się wielkiego błędu względem tak znakomitego i szanownego męża jak Kollar.

## SPOJRZENIE

NA

### LITERATURĘ DRAMATYCZNĄ POLSKĄ

przez

*Kaź. Wł. Wojcickiego.*

---

Powiedział Szyller: »Co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości.« (1) Właśnie nasza przeszłość cała gotowa dla poezyi. W naszych oczach przysły te ostatnie ogniwa, które nasze pokolenia w łańcuchu wieków wiązały tak bliskim przypodobnieniem oblicza z przeszłością; odcięci od niej, stargaliśmy wszelki związek; a przeszłość narodu w poważnej postawie, ubielona starością blisko lat tysiąca, strawiwszy w sobie miliony pokoleń, spogląda na nas jak duch matki, czy pomnimy o niej za jej grobem?

Słyszemyż ten gwar przy ogniskach domowych, wrzawy jej dziatwy, co migają w wielkim obrazie starodawnego świata? słyszemyż ten okrzyk lecący na skrzydłach chwały za rozwianemi Tatarów i Turków chorągwiami, a ten okrzyk bije o śniegowe góry, o kurchany w stepach Ukrainy, o ściany seraju w Stambule? Na tej ziemi, co jeżyła warownemi grody, wspaniałemi zamkami, gdzie wzrastały puszcze w wielu miejscach niezające słońca, a w nich rykiem przerażały brodate tury,

(1) „Was unsterblich im Gesang soll leben, muss im Leben untergehen.“

kudłate niedzwiedzie, gdzie łowiec po tygodniach pędził za rączym jeleniem, łosiem; śledził rysie i bobry i słuchał struchlały wycia tysiąca gromady zajadłych wilków: na téj ziemi teraz nagiej gdzie warowne grody, wspaniałe zamki w gruzach nie wszędzie znacznych, w miejsce puszczy odwiecznych gaje liche, albo uprawne niwy, żyły pokolenia naszych ojców, którzy w czynach i charakterach swoich dali nam najwzniosłszą poezją. Ich żywot pełen ruchu gwarneho, rycerskiego, czy ujęci końskiej grzywy w żelazny pancerz i przyłbicą zbrojni — czy w kniei z oszczepem myśliwskim na ramieniu, czy przy domowym ognisku, wszystkiém już mówią do nas poezją; bo ta rzeczywistość w której żyli znikła, a pieśń zmartwychwstania tylko im wieszczę zanócić mogą, aby ze snu zmarłych powstałi w całej sile, krzepkości, i prawdzie.

W téj to grobowej przeszłości spoczywa sztuka dramatyczna polska, tam jój pierwiastek, tam treść jój cała, bogactwo przedmiotów do nieprzebrania, jak rozmaitość wielkich i osobliwych charakterów.

Czy umiano korzystać z tego przepychu zasobów dla sztuki, jak daleko posunęli się w tém nasi pisarze? — zobaczmy.

Głównemi żywiołami starożytnój poezyi naszój, były: pobożność, historia i satyra: te silnie na ducha pisarzy wpłynąć musiały; ztąd literatura nasza przybrała postawy wydatne religijnój, historycznej i satyrycznej.

Pierwsza dała nam mnóstwo duchownych pieśni, które brzmią dotąd w ustach pobożnego narodu, przy każdej uroczystości, czy w kościele, czy w pobożnych pielgrzymkach do miejsc świętych i cudownych, w czasie świąt które lud nasz od wieków jednakowo obchodzi:

wycisnęła ona swe oblicze i na ducha świeckich pieśni ludu, gdzie pomieszano wyobrażenia religijne, ze zwyczajami odwiecznymi. (2) Pobożność dała nam wiele przekładów, psalmów Dawida, tłumaczeń biblii: ona dzieła najznakomitszych poetów swoją cechą ubarwiła.

Historya, gdy jej za ciasno było w drewnianych deskach foliałowych kronik, rozptynęła się w poemata, dyalogi, drobne broszury, i rękopisma: a nieraz ci sami wojownicy co osobiście walczyli, w obronie domowych ognisk śpiewali pieśni chwały i zwycięstwa.

Satyra równie płodna, przejrzała w tysiącu dzieł; i jako poezya *czynu* dała początek Rzeczypospolitej Babińskiej, a w komedyi i intermedyach pluła żółcią prawdy na ciekawych widzów. Ale choć mamy trajedye i komedye od XVI. wieku, nierozwinięty w nich pierwiastek dramatyczny polski, śpi zamarły jak jedwabnik w swojej przędzy. A temu się dziwić nie mogę, gdy przepatrzym powody i czasy.

Żywioł religijny, jako najsilniej na ducha działający, dał nam najprzód widowiska i dyalogi pobożne. Pielgrzymi wracający z Rzymu i Jeruzalem, przygrywając na kobzie dali początek: później w przenośnych teatrach żaki szkolne bawili prostą gawiedź to śmiercią i męką Chrystusa Pana, to skleconemi z dziejów świętych wystawami. Lgnęły do tych widowisk serca pobożnych, i dla tego je ani kłątwy, ani surowe zakazy, zniszczyć nie zdołały, choć do szyderstwa podawały wątek różnowiercom.

(2) Patrzeć pieśni ludu śpiewane na Boże Narodzenie (kolędy) Wielkanoc (kogutek) i t. p.

Jezuici, co tak przebiegle ze wszystkiego korzystac umieli, w widowiskach religijnych znaleźli dzielną pomoc do łowienia młodzieży w swoje szkoły. Okazałość wystawy podnieśli aż do zbytku, niedosyć, pokazali je za murami swoich kolegi, ciągnęli w processyach po ulicach miast naszych: a ta pompa, wspaniałość obrzędów, w których studenci jezuitcy główną mieli rolę, napędzała do ich szkół roje młodzieży, gdzie i rodzice chętnie synów oddawali, nie przewidując, że oddane tam na postawę niewinne, z poczciwem sercem pacholę wróci bez nauki za którą biegło, a wróci w ciemnocie fanatykiem, i złym obywatelem.

W widowiskach więc pobożnych nie było pierwiastku polskiego, bo ani przedmioty, ani charaktery, nie miały nic wspólnego z narodem.

Dwie trajedye jak *Odprawa Posłów Greckich* Jana Kochanowskiego, (r. 1577) i *Jestes* Jana Zawickiego (r. 1587) wyższa pod każdym względem nad *odprawę* poety z Czarnego Lasu: jedna z dziejów greckich, druga z dziejów świętych, tym samym zarzutom podlegają. Trajedyja: »*O Polskim Scylurusie*« (r. 1604). Jurkowskiego więcej ma zarodu polskiego dramatu w sobie, lubo dziwnie zmieszane z mitologią starożytnych.

Teatr dworski królów naszych, Zygmunta III. a szczególnie Władysława IV., dziwiący zręczną maszyneryą, dekoracyami, zgrabnemi tancerkami i śpiewaczkami, był układem, duchem, językiem i muzyką włoski; w niczem przeto nie wywarł wpływu najmniejszego na literaturę dramatyczną polską: bo i widzami byli cudzoziemcy, panowie i magnaci nasi, którzy bili czołem cudzoziemskim śmieciom, nie troszcząc się o nic co jest ojczystego. Jakkolwiek więc lubowali włoskie

widowiska, sprowadzali na dwory swoje włoską kapelę, razem z doktorami: będąc w opozycji z upodobaniem narodowem nie mogli wyrzéc pod tym względem stanowczego wpływu. Królowie nasi mieli najemnych włoskich poetów za rocznym jurgieltem, ci na każdą uroczystość pisali opery, układali balety, licząc zawsze i jedynie na efekt dla oczu i uszu.

Dopiero w dyalogach, komedjach i między-aktowych intermedjach wyjrzał po raz pierwszy pierwiastek dramatyczny polski, mając na obliczu rubaszość, śmiech serdeczny aż łzawy i satyry ostrze.

W inném miejscu dałem obszerniej poszczególnie poznać te pomniki ciekawe (3), tu mi ryczałem zdać o nich sprawę przychodzi.

Pisarze tych komedyi i dyalogów pojęli już w swoich czasach, że w sztuce dramatycznój i narodowe przedmioty mogą wystąpić na deski teatralne i zająć słuchaczy. Pierwsze próby udały się szczęśliwie, a wybrane figury z rozmaitych stanów, trafnie i dowcipnie przedstawione, zostały pokochane od widzów. Tak nasz plebański Klecha wybornie miejsce zajął arlekina, i stał się w widowiskach niezbędną osobą razem z wiejskim sołtysem. W tych prostych na pozór widowiskach, ukrywa się nieraz myśl głęboka i nauka. Gromiono w nich istniejące przesady i zabobony, szydzono z niedbałości rodziców o oświatę dźiatwy, wyśmiewano wiarę w czary, popolitowano straszne diabły, stawiając na scenie, okazując nieraz ich głupotę. Tak raz przywołana śmierć aby zabiła rozpustnika, gdy się nieco spóźniła, powalona od dwóch djabłów została na ziemię i srodze katowana.

(3) Teatr starożytny w Polsce.—T. II. 1841 r.



Jęczał kościsty potwór coraz słabiej pod razami, aż ledwie tchu zostało: już mieli śmierć zabić na śmierć, gdy przecież jednemu szczęśliwa myśl przychodzi, co powie Lucyper, co oni sami robić będą jeśli śmierć zamordują, a ta przestanie ludzi zabijać, i dozwalać brania dusz do piekła. To ich strwożyło wielce, niosą więc śmierć do doktora Niemca, aby ją wyleczył co rychlej.

Wszystkie osoby które widzimy w tych pomnikach sztuki dramatycznej występujące, przystaną i dziś artyście, gdy w przeszłości zaczerpnie pomysłu dla swego dramatu: że zaś nie rozwinęły się dyalogi i komedye późniejszej, ważne stanęły przeszkody.

Właśnie w chwili kiedy najsilniejszy polot wzięły, śmierć Władysława IV. zaburzyła cały naród. Chmielnicki z czernią swoją, Tatarzy, Szwedzi i Rakocy z Siedmiogrodzanami, obleli Polskę krwią i łzami. Grody i zamki warowne padły w gruzy, z dworów i wsiów smutne zgorzeliska zostały. Zwycięztwa Sobieskiego lubo nowe życie wlały narodowi, ale wpływ francuzezyny już przytłumił pierwiastek polski, ani mu dał świetny polot król polak z ubioru i postaci. Bohatyr ten w uniesieniach miłości i czułości małżeńskiej dla *ślicznej* swojej *Marysiénki*, w połowicznie listownie po francuzku wyrażał swoje affekta. Szło tak dalej, bo wojny za Augusta II burzliwe, a pokój za Augusta III w zgubnej ciemnocie cały naród pogrążywszy, nietylko sztukę dramatyczną ale i wszystkie nauki zdeptał. Konarski mąż wielkiego rozumu, w duchu czasu niewinnie dał popęd do sztuk francuzkich, i odtąd wszechwładnie przewaga ich wpłynęła na los sztuki dramatycznej w Polsce.

Królowie nasi lubo mieli urządzone dworskie teatry, czy na zamku Krakowskim czy Warszawskim, były one chwilowe, i otwierane tylko w czasie wielkich uroczystości, czy zjazdów: po kolegiach grywano tylko w zapusty, równie jak w tę dobę żaki na przenośnych teatrach dawali swoje widowiska. August III otworzył wprawdzie stały teatr w Warszawie, gdzie grywano opery niemieckie, i jednej przez pół roku wciąż odegrywanęj, słucał ten monarcha nietęschliwie; a lubo dla wszystkich wolny był przystęp do niego bez żadnej zapłaty, oprócz dworskich którzy towarzyszyli Augustowi, nikt z publiczności nie bywał, bo *figle* jak nazywano niemieckie, trafić do serca narodu nie mogły.

Dopiero za Stanisława Augusta otworzono stały teatr w Warszawie. Król ten dał wyłączny przywilej kamerdynerowi swojemu Ryxowi, a tém monopolem ścięnił nieuważnie polot sceny krajowej; bo przywilejnik tylko chciał zbierać pieniądze, a nie łożyc starania dla sztuki. Wtedy to zjawił się pamiętny w dziejach teatru Wojciech Bogusławski, któremu naród musi zawdzięczyć ustalenie teatru, i podniesienie tęg szlachećnej gałęzi literatury. Żył on w tych czasach kiedy aktor a kuglarz jedno znaczyło (4), kiedy artyście

(4) Bogusławski bywał na tak zwanych obiadach uczonych czwartkowych u króla Stanisława Augusta. Siedział raz u stołu obok dumnego Kasztelana\*\*\* Ten słysząc króla łaskawie do artysty przemawiającego, i zowiącego go po nazwisku, myślał że to jakiś magnat uczony, lub dworzania królewski. Chcąc więc okazać mu grzeczność swoją, korzystał z najpięwszęg przerwy w rozmowie i rzekł do niego.

— Jaka to szkoda Mości Dobrodzieju, że u nas w Polsce taka bywa konfuzyja imion rodowitych.

dramatycznemu odmiawano miejsca na cmentarzu. Życie jego jest ciągłym pasmem walki z przeciwnością, odpieraniem cudzoziemskich teatrów, które panowie sprowadzali aby zgębić scenę własną. Wielcy artyści jakich i teraz nawet scena nasza niema w takiej liczbie (5), wnieśli od razu teatr na znakomitą stopę. Bogusławski gnany losem przeciwnym to otwierał scenę w Warszawie, to we Lwowie, w Kaliszu, w Poznaniu, i sam tłumaczył, przerabiał, pisał oryginalne sztuki: wszystko to chwilowej dogadzało potrzebie, zamifowaniu w scenie krajowej, ale dla sztuki dramatycznej było prawie niczem. Raz tylko szczęśliwym natchnieniem wiedziony, w *Krakowiakach* lud nasz wesofy wprowadził na scenę, a okrzyk z serca widzów, grzmoty oklasków przygłuszyły brzęk stalowych podkówek i kótek od pasa. ~~Pa~~ mimowoli pierwiastek polski wywiódłszy na deski teatru, poznał czém bywały scena, gdyby, w jój życie wlać go można. Ale

— Wczémże to panie kasztelanie i komu szkoda? zapytał artysta.

— Oto samemuż W. P. Dobrodziejowi: chociaż pierwszy raz mam honor go widzieć i słyszyć jego nazwisko, a już mię to obchodzi, że się tak właśnie zowie jakiś tam szerepetka kuglarz, co to Mości Dobr. na teatrze udaje, przedrzeźnia i ludzi śmieszy.

— Właśnie to ja sam nim jestem, odpowie Bogusławski, co czasem książąt, czasem kasztelanów... błaznów udaje Mości Dobr. To mówiąc przybrał zupełnie jego ton i hardą minę.

(5) W dziełach W. Bogusławskiego znajdzie czytelnik ciekawe biografie znamenitszych artystów... Do téj liczby należeli: wielkim talentem Szymanowski, Kudlicz, Werowski, Żółkowski, Zdanowicz, Dmuszewski, Piasecki i Ledóchowska. Nie wspominam tu pani Halpert, która dopiero zaczynała (gdy już opuszczała teatr Ledóchowska) swój zawód, w którym okazuje zawsze najświetniejszy talent i chlubą jest naszej sceny.

ta myśl szczęśliwa, był to błędny ogień, który jak prędko błysnął, zgasł jeszcze prędej.

Pomijam Bielawskiego *Natęty*, któremi otwarto teatr za Stanisława Augusta. Wierszopis lichy pensionowany od króla, cel pocisków dowcipnego Węgierskiego, za ledwie na wspomnienie zasługuje: ale przepomnieć niemożem Fr. Zabłockiego jednego z najznakomitszych pisarzy dramatycznych w literaturze naszej.

Lubo do 80 sztuk zostawił, nie wszystkie noszą cechę talentu tego pisarza na sobie. Zyjąc w stosunkach z ówczesnym teatrem, podobnie wiele sztuk tłumaczył jak Bogusławski, które nagłój zaradzały potrzebie. Ale probował siły do napisania polskiej komedyi, a tego typu w dwóch jego sztukach szukać należy: w *Fircyku* w *Zalotach* i w *Sarmatyzmie*.

Piérwsza wybornie charaktery skreśla właśnie te, które współczesnej epoce poety wydatniały, wraz z wyobrażeniami. Wierny to obraz części społeczeństwa za Stanisława Augusta. Dyalogowanie mistrzowskie i ten język dzielny, pełen życia, siły, w czém mu nie dorównał żaden z współczesnych. Lecz i w téj sztuce wprowadza na wzór zagraniczny zbyt rozumnych lokai: w innych zaś aż nadto rezolutne do nieprawdy mądre i przebiegłe suberetki. Wszakże w charakterze *Fircyka* schwycił szczęśliwie charakterystykę młodzieży warszawskiej, co ton nadawała wszystkiemu. Hulaka, gracz, zarozumiały, chce ożenieniem poprawić sobie losu. Otóż wynurza swe uczucia przed przyjacielem:

Ciężkież to teraz czasy, serce człeka boli,

Kiedy ludzie żyć dobrze umieliby goli.

Żle w Polsce, zewsząd bięda. Minery Olkuskie

Zalane; żupy wpadły w kordony Rakuskie.

Zboże tanie, cło drogie, ojciec mój znów sknóra,  
Stary jak kruk, nie daje nic, i nie umiera.  
Przecię się niezła człeku upiekłaby grzanka,  
Mógłbym jeszcze z rok szumić i grać rolę panka.  
Potembym się ożenił z jaką ciepłą babą,  
Notandum z babą starą, z babą dobrze słabą.  
Ale coż? bab do diabła, łađuj niemi bryki,  
Są i bogate! cóż ztąd? zdrowe gdyby byki:  
Jeszczeby mię trup który mógł przeżyć do licha,  
Nie jeden szczep zielony w starym pniu usycha.

Zobaczmyż jak się przymila młodej i gładkiej wdo-  
wie Podstolinie.

Ach ja taką oziębłość mam za smaku skazę.  
Podstolina bez gustu! chimera! chimera!  
Przecież ujsć za grzecznego mogę kawalera,  
Znam ludzi, i mnie ludzie. Żyjąc w wielkim świecie  
Wiem, jak czcić piękność jak się przymilać kobiécie.—

Pani z domu wyjeżdza: ja za nią w też tropy,  
Drugi wierny Ulisses dla swéj Penelopy.  
Z tą jedynie różnicą, że tamtego nawy,  
Mnie mój Hektor angielszyk unosił cisawy.

Wielkaż to wada ogon! Dzielniejszy koń kusy,  
Widziała pani jego korwety i susy?  
To lekkie nóg zbieranie, to zagięcie karku..  
Nie w polskim téż mój konik schował się folwarku:  
Król Anglów siedział na nim, popisując szyki  
Mające na wyprawę iść do Ameryki.  
Cóż mówisz Podstolino? Albo koń nie sprawny?  
Ani pan jego nudny, jeśli nie zabawny?  
W drodze jak cię bawiłem! Szemrzące strumyki,

Drzewa liściem szumiące, kwilące słowiki,  
Były to wielbiącej cię natury odgłosy....  
Komuż jeśli nie tobie kłaniały się kłosy?  
Komu kwiaty balsamem lubiej tchnęły woni?  
Komu zefir chłód czynił? komu wiał Fawoni?  
Dla kogo wierne echa szły z gór na doliny?  
Dochodziłem ich celu: ho! to Podstoliny.  
Mając humor tak słodki, grzeczny, żartobliwy,  
Żeby cię nudził? nadto byłbym nieszczęśliwy!

Daliej moja Bogini, mieszaj piołun w miody,  
Głaszcz, martw, rzucaj pioruny, i przechódź w pogody,  
Wszystko to gotów jestem z dziwnym rzucić męstwem,  
Stałość będzie mą bronią, pokora zwycięstwem,  
Przebija ona mury, srogie koi zwierze....

— Zląkł się Parys Pallady, przyznał dank Wenerze,  
Jeden słodki rzut oka, i westchnienie drzące,

Zmogło oczy Junony gniewem pałające.

Tyś dla mnie jest Wenera. Jak piękności matka

Dla Parysa, tyś dla mnie jest tak piękność rzadka:

Jak Parys, tamte dla niej porzucił niebianki

Tak ja wszystkie dla ciebie rzucam Warszawianki.

Zabłocki, jak w pół wieku piszący po nim Fredro, tamten *Sarmatyzm*, ten swoją *Zemstę*, na prywacie osnowali: ale Fredro tę prywatę uszlachetnił, i potęgą talentu w cudnym kolorycie oddał. Zabłocki jakkolwiek z wzorów żyjących brał postacie, zbyt w ostrych podaje nam je rysach; nie budzą one śmiechu, ale litości i wzgardę. — W całym *Sarmatyzmie* jest tylko jedna scena dająca widomie poznać i talent i język poety.

Guronos szlachcie dumny i kłótniwy — w sporze o ogrody, w ciągłej nienawiści żyje z sąsiadem Żegotą,

który nie ustępował Guronosowi w kłótności i pysze.—  
Przychodziło do częstych bójek na granicznych miedzach.  
Zacny podkomorzy wysłał Skarbimira, aby załatwił spory i wyjednał zgodę. Zabłocki więc sceną między Guronosem a Skarbimirem rozpoczyna komedię.

GURONOS.

Jakem Guronos szlachcie, z naddziadów Podczaszy,  
Wkrótce dam znać Żegocie, że mnie nie zje w kaszy.  
Dom mój miałby pierwszeństwo dać jego domowi?  
Mnie diabli wezmą, albo tego kto tak powi.

SKARBIMIR.

Ależ.....

GURONOS.

Niech każdy odda co należy komu,  
Ja pytam: ta impreza z kąd Żegotów domu?  
Kościół mówią dla wszystkich...nie zawsze, nie wszędzie;  
Czemuż prosty Kanona Klechę nie podsiędzie?  
Wszystko ma swoje szczeble, jest dalej, jest bliżej,  
Niechże kto wart się wzniesie, kto nie wart niech zniży:  
Przecież żona Żegoty, o co z nami zwada,  
Zawsze mi moją Imość w kościele podsiada.

SKARBIMIR.

Czyż.....

GURONOS (*przerywając*)

Trzeba abyśmy się lepiej zrozumieli  
Co stanowi lustr domów? dawność parenteli:  
Co znowu jój dowodzi? Metryki, herbarze  
Mauzolea: dość naszych nie w jednej jest Farze.  
Daj sobie pracę, czytaj, wszędzie głośna sława,  
Domowi Guronosów aplauzy przyznawa,  
Nie setrym, nie tysięcznym okażę to licem.

SKARBIMIR.

Któż wątpi? jesteś Wac Pan jak trzeba szlachcicem,  
Masz świetne antenaty, jasne ich wywody;  
Lecz czy to do sąsiedzkiej ma przeszkadzać zgody?  
Czemu nie ważyć przyczyn?

GURONOS.

To też to sąsiedzie  
W tym kozyra, kto z nas krwie świetniejszej dowiedzie,  
Ten pierwszy.

SKARBIMIR.

Dom Wac Pana w zacne męże plenny,  
Starożytny.....

GURONOS.

Dodajmy, dom wielki, wojenny,  
A co najradsza równie z kądzieli jak z miecza.

SKARBIMIR.

Wszystko to dawną jego świetność zabezpiecza,

GURONOS.

Jeżeli sławne gdzieś tam imię Fabiuszów,  
I naszych nam nie mafo Tatarzyn wziął uszów,  
Nie pomnę w którym roku, lecz rzecz oczywista,  
Że w téj kłęsce poległo Guronosów trzysta.

SKARBIMIR.

Przystafoćby to na dom Wac Pana tak stary,  
Sławny jassyrem uszu wziętych przez Tatary,  
Ażebyś je wetując w pokoleniu setnym,  
Równą kłęskę gotował, swojskim i szlachetnym.

GURONOS.

Krwie niczyjéj nie chciałbym przelęwać,

SKARBIMIR,

Lecz przecież...



GURONOS.

Próżno mi Waszeć Jes Pan terefery pleciesz,  
Jeden jest dla Żegoty środek — mieć się skromniej,  
A nie? to ten kord cenzor mores mu przypomni.

SKARBIMIR.

Więc rada przyjacielska?

GURONOS.

Przyjaciel i rada,  
Ten kord, co nie jak Wac Pan; bije, choć nie gada.

SKARBIMIR.

A prawo na napastnych.

GURONOS.

O gdyby téż nie te,  
Bałamutne te prawa. Bassateremtete,  
Do tysiąc set kóp djabłów, albo jeszcze górzziej...

SKARBIMIR.

Miałem honor już mówić. Jes Pan Podkomorzy,  
Tyle się tém zasmuca, wstydzi, gniewa wreszcie...

GURONOS.

Czyż dla nas Podkomorzy, to co Burmistrz w mieście,  
Czy mnie na ratusz w sady? Szlachcie na zagrodzie...

SKARBIMIR.

Wiem to, że dawniej bywał równy wojewodzie:  
Ależ pan Podkomorzy nie imperative,  
Lecz jak braterskie radzi, jak serce życzliwe,  
Naszym się opiekując szczególniej powiatem,  
Jako jest przodkującym starszym braci bratem,  
Pisał do mnie dwa razy, znać w nadzieję łaski,  
Waszeć Jes Pana dla mnie, bym wszedł w ich niesnaski,  
I starał się je zgodzić, dając znać w przypisie,  
Że już o tém stolica i wie i gorszy się.

Wiadomo Waszecz Panu, jednakże u dworu  
Takie burdy.....

GURONOS.

Burdaż to interes honoru?

To mnie będzie lada kto szarpał, krzywdził, a ja  
Mam płakać, uniazać się w pokorze mazgaja?

SKARBIMIR.

Toż to jest rzecz honoru, aby z fraszki lada,  
Zbrojno brat brata, sąsiad nachodził sąsiada?  
Ażebym chlubne mężstwa miał czynić popisy,  
Przez szczerby drugim dane, albo wzięte krysy?

GURONOS.

Otoż te polityzmy, te grzeczności wasze,  
Modne rozumowania, sensa! — na pałasze  
Dobrodzieju! to rozum był w dawnym Sarmacie,  
Teraz tylko piszecie pięknie, rozprawiacie,  
A gdy przyjdzie krzyżową machnąć kiedy sztuką,  
Stary popraw! Oj smyki, smyki z tą nauką!

Ta scena określa dobitnie charakter głównej osoby dramatu Guronosa: podobny mu a mało w ciągu sztuki ukazujący się Żegota: — intryga polega na miłości dzieci szlachty kłótliwiej. Wprowadzenie Ryxy żony Guronosa, pijaczki, w niczem niestosownej do rozwiązania dramatu, niesmak tylko sprawia: jak równie subretki rezolucyjnej i gamonia lokaja, widoczna chęć naśladowania francuzkich komedyi, osłabia wrażenie sztuki, której treść mała, rozciągniętą aż na pięć aktów została. Jakkolwiek charakter Guronosa rozwinięty i dosadnie oddany, pokazuje w sobie pierwiastek polski, i niezawodnie z żywego wzroku brany, cały przecież interes już skrzywiony w pomysle. Junactwo w słowach a nie odwaga, bójka o gruntu kawałek, niewiasta pijana, zawa-

dyak i tchórz razem w osobie Burzywoja, nie były dostatecznym materiałem dla napisania polskiej komedyi: a *Sarmatyzm*, wyraz dawniej oznaczający cały charakter szlachty, w którym więcej dobrego niż złego było, wystąpił w fałszywej i zeszkaradzonej karykaturze. Sztuka ta na obiadach czwartkowych króla Stanisława czytana, zyskała poklaski. Nie dziwota! tam tylko z tej strony pan dający ucztę uważał swój naród, a przecież chciał mu zawsze panować, choćby był tak mały jak jego kapelusze.

Za przywdzieniem habita, Zabłocki skruszył pióro ze szkodą literatury dramatycznej. Zaprawdę on sam tylko miał siły po temu, ażeby został twórcą polskiej komedyi. Władając po mistrzowsku językiem, w którym wlał jakąś rzeźwość, życie dotąd dziwiące, dodając mu szczególniej jędrności masą przysłów, które miał na zawołanie, i tak szczęśliwie używał — gdyby był więcej znał dzieje domowe, więcej patrzył w oblicze przeszłości, miasto *Sarmatyzmu*, w którym kał i brudy powlókł na scenę, dałby nam charaktery godne zajmując pióro wielkiego artysty. W tej też to sile dosadności języka, a nie w zostawionych sztukach polega polskość Zabłockiego: i do podziwienia, że gdy nieraz, prawie zawsze, naśladował obce wzory, zdołał przecie w tak narodowej szacie dyalogowanie utrzymać.

Autor czcigodnej pamięci »*Powrotu postać Jana Kochanowskiego w Czarnym Lesie i Zbigniewa*, właśnie w przeciwieństwie stoi z Zabłockim. Ten poznawszy dzieje, brał z nich wątek do sztuk swoich, ale brakło mu talentu i języka Zabłockiego: choć nieraz myśl wielka dramatyczna nie była mu obcą. W Zbigniewie też okazał to najdowodniej. Kiedy otwiera scenę chórem

kapłanów, wśród których Zbigniew zakapturzony, zemstę bratu poprzysięga, gdy uchodzi z klasztoru, i odziany zbroją, szuka przytułku w nieprzyjaciół obozie, których sprowadził na swoją ziemię: gdy w namiocie o nocnej porze pokazuje Bolesława, a później poselstwo Głogowian do niego, schwywanie burzliwego Zbigniewa i śmierć jego; wszystko to daje świadectwo, że genialnego pomysłu dramatycznego, który sam wysnuł, nie zdołał rozwinąć dzielnie. Był wyższym w pomyśle sztuki, szlachetnym, narodowym, w schwytności charakterów, *Powrót téż Posta*, ten wierny wizerunek czasu swego i ludzi, najtrwalszym pomnikiem w dziejach literatury dramatycznej po sobie zostawił; jak i dramat *Kazimierz Wielki*, gdzie na tle historycznym rozwinął z całym urokiem nawet języka, koloryt wieku.

Ze szkoły Bogusławskiego wyszedł Jan Nepomucen Kamiński, mąż potężnego talentu, tłumacz Kalderana i Szyllera, autor dramatyczny, który dzielnością języka zaprawdę nieustąpi Zabłockiemu. W kilku sztukach rozwinął świetnie pierwiastek polski, a jego *Zabobon* czyli *Krakowiaczy* i *Górale*, które są dalszym ciągiem *Krakowiaków* Bogusławskiego, przewyższają wzór swój: nie już myśl, bo ta chwala pierwszemu się należy, ale oddanie. Umiął Kamiński i język zastosować do swych sielskich bohaterów: czyż nie z całą szczerotą, przechwala się Bryndus Góral nie kochany od Basi.

Byłaś u mnie miała wygody rozlicne,

I cienkie kosulecki i sukmany ślicne,

Krasne wstążki na kiermas i drogie korale,

Słowem, ja się psed tobą ani krzty nie chwale

Lec pływałaś w szczęściu jak piéróg w śmietanie,

Widzis we mnie chłópaka i z mięsa i z pieza

Który wprawdzie nie nosi sytego koźnieza,  
Nie wycina w podkówki, ani tsaska z bica,  
Bo takie chłopskie zeczy nie są dla panica;  
Ale zato bogaty, śliczny kieby lala,  
Oj Basiu pozafujes, gdy stracis Gorala.

Wiele ze śpiewek jak: »*W mieście dziwne obycaje. Serce nie sługa*« i wiele innych, poszły w użycie powszechne; a cóż może być dla artysty pochlebniejszego, jak gdy mu własny naród, pieśni jego serca i myśli zaśpiewa? Jest to hymn jego tryumfu!

Pomysł Kamińskiego w wystawieniu, wedle podań ludu *Kuternogę* Twardowskiego, musiał znaleźć poklask, jak niektóre sceny i przyśpiewki.

W małej komedyj »*Któlnia o wiatr*« gdzie wystawił niezgody dwóch sąsiadów: młynarza, który pragnął dla wiatraka wiatru, i dzierżawiącego sad owocowy, który go przeklinał, dosadny wystawił obraz, pełen serdecznej rubasznosci naszej szlachty zagonowej.

To co nam dał ten potężny talent, mogło być świetnym zwiastunem dla sztuki dramatycznej polskiej. Na nieszczęście zwrócił dzielne pióro do tłumaczeń, i te ojczyste szranki, gdzie w męzkim turnieju zwyciężyć mógł każdego, na zawsze porzucił.

Niemożem tu pominąć dwóch poetów z czasów naszej młodości, których sztuki zbierały grzmoty oklasków, sprowadzały licznych słuchaczy i serca szlachetnym poruszały wzruszeniem. Byli to Feliński i Fr. Wężyk; pierwszy w poważnej trajedji, piękny ustęp dziejowy w *Barbarze* wystawił. Cokolwiek o tym pisano — nie wspominam, bo cenię Felińskiego w ramach właściwego mu czasu. Nierozważni krzykacze plwali na jego pamięć, i sądzić go chcieli oczyma mło-

dego pokolenia, w tę właśnie dobę, gdy zmiana gwałtowna wyobrażeń literackich nastąpiła. Zarzucano mu ślepe francuzkich form naśladownictwo, niezrozumienie narodowości. Prawda, ale gdyby ci, co te zarzuty Felińskiemu zrobili, cofnęli się w wyobrażeniach o sztuce w jego czasy, gdyby usłyszeli wielkich artystów sceny ówczesnej, o za prawdę serca ich wrzałyby szlachetnym zapałem.

Pod tąż kłatwą zostaje i Fr. Wężyk niezasłużenie. Obadwa z własnych dziejów wątek do sztuk brali. Feliński jedną *Barbarę* zostawił: Wężyk poszedł z nim w zapasy, z tejsze treści napisał *Barbarę Radziwiłłównę*. Spór o pierwszeństwo sami tak zwani klassycy zostawili nie rozstrzygnięty. Prócz tego zostawił *Glińskiego*, *Bolesława Smiałego* i kilka innych dramatów. Że ci dwaj pisarze dramatyczni (niewspominając L. Kropińskiego, który w *Ludgardzie* równie łzy wyciskał, pomimo zfałszowania dziejów) ściśnięci formą, nie pojawiwszy po naszym dziejów, nie rozwinęli wcale pierwiastku polskiego, niezaprzeczam; bo dziś żądania są wielkie za bliższem rozpatrzeniem się w przeszłości: ale pamięć ich, cześć poczciwa niech zachowa.

Do ostatnich w tej gałęzi literatury należy Al. Hr. Fredro. Główną treścią sztuk jego był *salon polski* naszych lub niedawnych czasów, w malowaniu też charakterów przywiązanych dotego salonu, jest niezrównanym.

» Fredro (mówi jeden z naszych krytyków) maluje nam salon ze wszystkimi jego epizodami, i z tego to znać stanowiska zapatrywać się potrzeba na utwory jego. Jeżeli niekiedy zmienia się scena, i osoby na nią występują, któreby się z przyzwoitością w salonie znajdować nie powinny, dzieje się to tylko dla okazania tembardziej

rażącej sprzeczności, w jakiej świat salonowy, do reszty świata stoi. Wyjąwszy *Damy i Huzary*, gdzie prostota i przyjaźń żołnierska nad drobiazgowym światem kaku-szeryi tryumfuje, gdzie jak się sam autor wyraża, obcho-dzą »powrot rozumu« wyjąwszy *Damy i Huzary*, ten ge-nialny utwór w duchu Moliera, jest we wszystkich ko-medyach Fredra, które zarysy oryginalności na sobie no-szą, pierwszą lub ostatnią kolisą, jednem wielkiem tłem obrazu — salon. Ztąd też jest tam skalą, do której się bohaterowie jego przymiészają, salonowość, grzeczność przyzwoitość, moda wyszukana, wytworność, i pańska bontonia.

«Mówią że wszystkie salony na całym świecie, są tak sobie podobne, jak dwie krople wody. Jeżeli tak jest, dla czegoż zanoszą się nieraz od śmiechu cały teatr, kiedy salonowe sztuki Fredra grają? Podobno czuć się nam daje, że nasz salon nieco odmienny jest od innych. Po owym dwornym dowcipie subrettek, po owiej niezgra-bności maćków w fraki angielskie ubranych, i w burty herbowe obszytych, po owiej zdrowej myśli, która się wśród ucisku niechęć salonowych, mimowolnie nieraz odezwie, po owiej bezzasadnej maskaradzie zlepków ob-czynny i usilnej chęci zacierania cech rodzimych i oka-zania się nie tém, czém się jest: łatwo pono poznać, że to nasz salon, a nie inny, nasz tylko, który jakieś srogie przeznaczenie na to wskazało, aby wiecznie w śmieszność wpadał, a w największą właśnie naówczas, kiedy ideału swego już dochodzić się zdaje. Jakoż istotnie osadził Fredro w tym punkcie salony swoje, w tej indywidualno-ści pod wpływem zupełnie, innych stosunków ukształco-niej, i ona to jest źródłem, z którego konieczność w sztu-kach jego wybija. Cudowniem zaś jest to wyższe prze-

świadczenie, które mu ciągle towarzyszy, kiedy sceny salonu maluje: ta niema ironia, w której widzimy autora jakby za kulisą stojącego: ta satyryczna chłosta życia, która się rzeczywiście w szyderskim zbiegu sprzecznych scen i charakterów objawia. Cel komedyi Fredra jest wykazać olbrzymio-karłowaty interes życia tych ludzi, którzy spoczywając na laurach przeszłości, w magiczném świetle mody wczorajszego żurnalu, samych siebie gorzką są ironią.«

»Wszystko tedy co się tylko napotkać zdarzy w salonach, co tylko salony do nas wniosły, występuje tutaj w całej okazałości na scenę. Zepsucie obyczajów, cudzoziemczyzna, duma spanoszonych tak zwanych *parvenus*, którzy się pod lada co podszyć pragną, byle tylko myszką już trąciło: bankructwo familiantów, marnotrawstwo młodych dziedziców i tak zwanych *bonvivants*, dobry ton, dziwactwo nakoniec różnego rodzaju dziwaków, których dostatek znarowił lub zepsuł, złe wychowanie skrzywiło a świat czy salon, czczości lub drażliwości nabawił: to wszystko razem i z osobna wzięte, w tysiącznych odcieniach, tonach i barwach złamane, stanowi atmosferę komedyi Fredra. Wszystkie charaktery które podobna atmosfera ukształcić mogła, kreśli Fredro pędzlem mistrza, i to jest właśnie co sztukom jego wyższych towarzystw wieku naszego wyraz nadał. Dobry ton i moda jest tam ideałem, do którego wszyscy dążą; ale czém usilniej pracują nad tém, żeby zatrzeć pierwotne swe cechy, a wszystkie sprawy swoje pod jedno podciągnąć prawidło, tém jawniej wybijają właściwość ich charakteru, tém niepodobniejsi stają się do urojonego ideału, a prawda życia mszcząc się swęj zniewagi, wydaje ich na pastwę śmieszności.



Ten sam grzech ciąży na dziwakach Fredry, jest to ów grzech pierworodny, w który towarzystwo popadło, poddając się pod jarzmo salonów: jest to owa niezłomna konieczność, która jak *fatum* starożytne nad ich głowami zawisła: walczą oni z nią, ale stawiając na przeciw jęj sile narowy swoje, własną pobici są bronią, i wpadają podobnie jak tamci w komiczności. Obok podobnych charakterów wprowadza Fredro ludzi niekiedy na scenę, którzy tam jakby w nieswoim żywiole oddychać się zdają: są albowiem jedni, którzy uznanie samych siebie mają i tego co się do koła nich dzieje: w nich to maluje się jakoby reflexya wieku, dążenie do czegoś inszego lepszego; lubo się jeszcze nie mogą otrząść zupełnie z owego nabożeństwa dla salonów, chociaż groza życia, lub przekonanie własne na inną zwraca ich drogę. Te charaktery mężko-czułe, czasami nad obecnym stanem zepsucia bolejące, czasami gorzką ironią całą salonową maskaradę karcące, czasami w zaufaniu własnej dzielności, wszystkie uświęcone prawa bontonii deprecące, a jednak bezkarnie, są pospolicie w komedjach Fredra z największą trafnością oddane. Nie znać tam wysilenia: powiedziałbym raczej że poeta w pełnem uczuciu siły własnej, igra tam z przedmiotem, równie jak jego ostro-kuci gracze salonowi do koła dam i praw salonu na scenie igrają. Charaktery te maluje Fredro z takim zamiłowaniem, iż indywidualność autora, z uszczerbkiem nawet dramatycznego wrażenia, w nich jakby przeze mgłę przebijać się zdaje! Kobiety jego są to albo damy na karnawałach paryzkich i czułych scenach gotowalni kształcone, z których jednak cała systematyczna sztuka zepsucia, zarodu macierzyńskiego wstydu zupełnie wy-

korzeń nie zdołała, i którym tedy ta ścieżka do powrotu na drogę enoty, choćby nawet po 50 latach, pozostaje jeszcze: albo niewinne, naiwne panienki, kochające z całej duszy, i nic więcej, które więcej uczuć w kochankach swoich niż w ludziach wzbudzając, ogólnym wyrazem »przyjemne lub dobre osoby« ochowane być mogą.«

»Arcydziełem wszakże sztuki, koroną tych wszystkich komedyj, w których Fredro delikatność odcieniów towarzyskiego pożycia naszego maluje, do najwyższego ideału posuniętą grą na tej drodze jest: »*Magnetyzm serca*.« Tryumfuje w niej z jednej strony serce nad urojeniem, z drugiej trafność rozumu i obrotności nad światem bontonii.« (6)

Ten sąd zdrowy o komedyach salonowych Fredra przywiódłem całej, bo w nim widzę rzetelne ocenienie talentu i stanowiska dramatycznego tego pisarza. Gdy zaś Fredro niespodzianie dał nam w *Zemście* komedią prawdziwie polską, szerzej się nad nią zastanowić muszę, jako osobliwszemu zjawiskiem w literaturze naszej.

Fredro przeczuł, że przedmiot już salonów swoich do dna wyczerpuje: dla tego nie daremnie przemówił w *Panu Jovialskim* o stanie Ludmira.

»Tak, od dziś dnia porzucam złocone komnaty, przenoszę się pod skromne strzechy: tam jeszcze człowiek jest przejrzystym. Ukształcenie za gęstym już wernixem przeciągnęło wyższe towarzystwa. Wszystkie charaktery jedną powierzchowność wzięły, niema wydatnych zarysów. Co świat powie, to jest teraz duszą

(6) W. P. Kwartalnik naukowy T. I, z roku. 1835.

powszechną. Skąpiec dawniej w przenicowanej chodził sukni, trzymał ręce w kieszeni: teraz sknóra, sknórą tylko w kącie: troskliwość o mniemanie przemogła miłość złota, i ubogiego hojnie obdarzy, byle świat o tém wiedział. Zazdrosny gryzie wargi i milczy. Tchórz mundur przywdziewa. Tyran się pieści: słowem wszystko zlewa się w kształty przyzwoitości, w każdym człowieku dwie osoby, sceny musiałyby być zawsze podwójne, jak medale mieć dwie strony. Komedia Moljera koniecznie wzięła!

Z tak uczutą prawdą napisał: »*Pana Jovialskiego*.« Charakter główny oparł na przysłowiach narodowych, a wątek dramatyczny na prostém przebraniu wędrownika za Sułtana. Treść podobną mamy w komedyi Piotra Baryki z czasów Władysława IV, w której towarzysze Hussarzy, spoczywając po krwawych bitwach z Gustawem Adolfem w mięsopusty wyprawiają sobie tym sposobem krotoczwilę.

Komiczność w niej tak wyborna, wiersz i język tak cudnie płynący, że komedya Baryki, za najpiękniejszy pomnik starożytnej literatury dramatycznej uważać musimy.

Fredro wesołego kontuszowego stawiając starca, w którego usta włożył niemal dykcyonarz przysłów, i przeszło z tuzin bajek: w sprzeczności postawił głupiego szlachcica dziedzica wioski, i dziewczynę z przewróconą głową, o jakie u nas nie trudno. Interes dramatyczny w Jovialskim tak słaby, że go nawet talentem swoim Fredro podnieść nie zdołał: ale komedya ta była zapowiedzią *Zemsty*.

Tu Fredro rozwinął najświetniej pierwiastek dramatyczny polski w charakterze Cześnika i Palestranta

Regenta. Papkin ten bezczelny samochwał nawet jest wiernym typem charakterów z czasów Stanisława Augusta. Cała siła komiki tak jest zabawną, a razem szlachetną, iż przy serdecznym śmiechu z Cześnika, szacunkiem go otaczamy. O! bo ten Cześnik z miny i czupryny, z ruchu i języka prawdziwy nasz kontuszowiec. Posłuchajmy jak się Podstolinie swojej oświadczył.

Tak mi się tam w dobrą chwilę

Nawinęła, snadnie mile,

Dała zézek, umizg taki,

Żem posunął w koperczaki.

Ona dalej w ceregele.

Ni siak ni tak, tędy, siędy,

A ja sobie coraz bliżej

Sród chychotek, sród gawędy,

Bliżej, bliżej, cmok nareście.

(Dobrodusznie).

A zrobiłem wstyd niewieście!

Jak Alkiermes wskroś sponęła:

Mnie konfuzya ogarnęła:

Tak, że wziąwszy zapas nogi,

Chciałem drapnąć za trzy progi.

Wtedy ona Mocium panie,

Zawołała: stój Macieju.

Niech się wola twoja stanie,

Ja przyjmuję ją w pokorze,

Masz ten pierścień, szczęść nam Boże!

Wyzwanie Rejenta na pojedynek, pisanie wraz z Dynalskim listu miłosnego, probowanie do spotkania szabli, która lepiej siecze, schwywanie i ożenienie syna swego wroga z własną synowicą, są to wszystko sceny pełne efektu i komiki. Kiedy nad Rejentem dopełnił zemsty,

a opóźnił się w stawieniu na miejscu pojedynku, i gdy pierwszy raz spostrzega swego wroga, i oko w oko zagłada, jakżeż szlachetne wzruszenie serce jego porusza. W pierwszej chwili chwytą za szablę, ale mimo krwi gorącej, tłumi uczucie wrzącej nienawiści.

— »Nie wódź mnie na pokuszenie,

Ojców moich wielki Boże!

Wszak gdy wstąpił w progi moje,

Włós mu z głowy spaść nie może.«

Sztuka ta na teatrze Lwowskim wystawiana, w szaf uniesienia wprowadzała widzów. Artyści *Nowakowski* i *Smochowski*, pierwszy Cześnika, drugi Rejenta grający, oddali po mistrzowsku swoje role. Kto zapamiętał te postacie naszych ojców, to tu je miał w odbiciu wierném jak w zwierciadle. Cześnik raptus, zuch do szabli, krwie gorącej. Rejent z jezuicką miną, uniżony, z pobożnością w ustach.

»Niech się dzieje wola nieba,

Z nią się zawsze zgadzać trzeba.«

Wtém wierném malowidle upłynionych czasów, *Fredro* zmienił i swój język w komediach salonowych, tak starannie wygładzony, miękki. W *Zemście*, tok mowy tak jędrny, rubaszny, pełen czerstwego życia, że nim dowiódł, iż dobywając z grobu świat staro-polski, umie go natchnąć życiem z całą ufudą i wdziękiem.

Znany *Józef Korzeniowski*, autor wielu dramatów nie małej wartości, unikając dotąd starannie i dziejów własnej ziemi, i charakterów polskich, tworząc ciągle z ideału osoby i zdarzenia, w ostatku nagle i niespodzianie wystąpił z dramatem: »*Karpaccy Górale*.« Wprowadził scenę między góry nasze, a bohaterami są *Huculi*. Choć zdarzenie proste, zajmuje ciągle i przychodzi na

ostatku do najwyższej tragiczności. Antoś Rewizor-  
czuk jest główną osobą. Korzeniowski otwiera swój  
dramat sceną przed karczmą we wsi *Zabie*. Huculi  
siedzą przy stole, kobiety i dziewczki w świątecznych  
strojach, młodzi koło kobiet i dziewcząt różnie ugru-  
powani. Słychać nutę Kołomyjki z odgłosem fleta.

*Jeden głos.*

Gdzieś daleko was pogonią

Z powrozem u szyi,

Już wam więcej nie zadzwonią

Dzwony Kołomyj.

Maxym Tucholczyk stary góral wstaje z za stołu i  
wychodzi na środek.

— »Ej przestańcie! ja téj pieśni nie lubię, ona zawsze  
coś złego przepowiada. Pietnaście lat nosiłem karabin,  
i ubierałem się codzien w czarne kamasze, i jak raz  
wtenczas gdy mię brali, ktoś mi ją za śpiewał, teraz  
gdy mię Niemcy wypuścili, daj im Boże zdrowie! i po-  
zwolili obaczyć swoje jodły i połoniny, nie chcę żeby  
mi się nawet śnił biały mundur. Héj Fedku! chodź  
tu. Ty mi moją piosnkę zagraj, a ja stary wam zaśpie-  
wam po swojemu.«

»Czerwony płaszcz, za pasem broń,

I topor co błyska z dala,

Wesoła myśl, swobodna dłoń,

To strój, to życie górala.

Gdy świeży liść okryje buk,

I Czarnogóra zczernieje,

Niech dzwoni flet, niech ryczy róg,

Ożyły nasze nadzieje.

Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód,

Czeremosz szumi po skale,

Nuż w dobry czas kędziory trzód,

Weseli kępcie górale.

Połoniu step na szczytach gór

Tam trawa w pas się podnosi,

Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,

Tam żaden pan ich nie kosi.

Dla naszych trzód tam paszy dość,

Tam niech się mnożą bogato,

Tam runom ich pozwólcie rość,

Tam idzie na całe lato.

A kiedy mróz posrebrzy las,

Ładujcie ostróżnie konie,

Wy z plonem swym, witajcie nas,

My z czarką podamy dłońie.»

Występuje niedługo na scenę bohater sztuki Rewizorczyk, okazuje swoją siłę i zręczność ścinając gałąź o dwadzieścia kroków rzuceniem topora, i zapowiada brankę rekrutów. Chociaż był jednak, za poszeptami wroga swego Prokopa—schwyty i oddany do wojska. Praxeda kochanka jego wraz z starym Maxymem idą do Lwowa, i właśnie trafiają na Rewizorczyka stojącego na warcie. Góral na ten widok nie wiele się namyśla; rzuca karabin i mundur; a gunią okryty ucieka w góry: tam zabija wroga swego — i zostaje Opryszkiem. Schwyty przez oddział wojska, wyprasza sobie u kommissarza aby mógł swoje zobaczyć domostwo.

Scena przedstawia dom Rewizorczyka: na środku w głębi leży matka jego na tapczanie: zabiła ją wieść o złapaniu syna. W nogach siedzi stara kuma, a w głowach palą się dwie świece. Więzień oparty o ścianę patrzy spokojnie na trupa matki, przy nim dwóch żołnierzy, kommissarz i oficer.

Na widok niemój boleści, przemawia pierwszy:

»My ludzie oświeceni przyznajemy sobie tylko głębokie czucie, i mocno się mylimy. Jak słoje drzewa zacierają się i nikną pod blyszczącym polem, tak i nasze namiętności. Nasza radość, nasz smutek mieszają się z sobą, i zlewają równie, jak cienie ze światłem na dobrém malowidle. Czémże one są w porównaniu z wybuchami radości i rozpaczey téj natury prostéj i nieokrzesanéj?»

Przerywa tę scenę zdarzenie nowe. Maxym stary śpiewak pierwszej pieśni, który był towarzyszem Praxedy w wyszukaniu Antosia, który z nim razem uciekł w góry, teraz sam się oddaje w ręce żołnierzy. Na wieść że Praxeda, która pomieszania zmysłów dostała, wtrącona już na dno Czeremoszu, odzywa się więzién ponuro.

— »Wszyscy już moi w miejscu bezpieczném, czas i mnie za nimi!»

Tak Korzeniowski jak Fredro, gdy wzięli przedmiot narodowy, musieli z samego ducha rzeczy stworzyć że tak powiem poezyę *czynu*. — Działanie w czynach następuje w scenach jedno po drugim, i ztąd one to podnoszą cały efekt sztuki, nadając jéj wyrazistsze oblicze prawdy.

Taki jest zarys sztuki dramatycznój naszéj, w której przebija już silnie pierwiastek duchowy polski. Teraz przychodzi mi spojrzeć na wymagania jakie obecnie do drammatu historycznego przywiązujem.

»Kiedy chwytasz artysto przedmiot, (mówią) poznaj właściwą mu dobę, poznaj niebo i ziemię na której działał się pomysłany drammat: poznaj ludzi i ich serca. Prawda historyczna niech cię wiedzie, ona



nie katem dla sztuki. Zostaw w głowach ich myśli, jak w sercu uczucia, w ustach język, w rękę sięć co żelazo łamała. Spójrzij na ziemię, jój oblicze było inne; zajrzyj w domowe ściany, tam wszystko odmienne od pokarmu ciała do pokarmu duszy. W świątynicy pańskiej modlitwy szczerze, w prostocie; tam na kolanach pan z kmieciem korzy się jednako. Wojownik dla pokuty na gołym ciele nituje żelazny pancerz, aby w nim spał i chodził. — Magnat w włosiennicy ostrój, boso idzie na modlitwę, biczuje do krwi swe ciało. Słowem gdy się w świat staropolski wpatrzysz, poświęcając pochodnią prawdy, odkryjesz oblicze jęgo wierne, widome, czy zapłakane łzami, krwią sposoczone, czy ubarwione śmiechem rubasznym wesela i radości sercowej: wtedy poczujesz i atmosferę co oblewała czas i ludzi wybranych do drammatu; wtedy chwytaj pióro.»

Trudno było poetom przy szczupłych zapasach materiałów dziejowych myśleć o drammatach historycznych, aby z całym urokiem wybrany z przeszłości obraz wysnuli. Dziś więcej ją poznawszy, przy zgromadzonym zasobie wiadomości życia domowego, literatury, sposobu myślenia, pomnikach języka i ducha, te wymagania są słuszne i niezbędne.

Zamknięta księga obrazów przeszłości, — już się otwarła: w niej i domowy żywot, i wizerunki zmarłych pokoleń, wiernie dochowano. (\*) Bohaterowie

(\*) Mamy tu na uwadze prace dla Historji i Literatury W. A. Maciejowskiego, M. Wiszniewskiego, J. Łukaszewicza, J. Kraszewskiego, J. Muczkowskiego, M. Balińskiego, K. Stronczyńskiego, H. Rzewuskiego, Ambr. Grabowskiego, Michała Grabowskiego, A. Przedzieckiego. Wydania z rękopismów E. Raczyńskiego, i St. Przyłęckiego, Lachowicza, T. Hr. Działyńskiego, i. w. i.

dotąd milczący przemawiają do nas swoim językiem, i odkrywają uczucia. (\*) Czyny dzielnej ręki jak myśli głowy nie są tajnikiem. — Badacze dziejów, domowego żywota, literatury, i dawnych pomników, już przełamawszy żelazne zapory, zdarli zasłonę, co kryła krainę duchów przeszłości.

Poetom teraz zostało zakląć te duchy, by przybrały żywot ludzki, ciało i mowę: a formułą potemu, jak niegdys na widma, są talent i praca.

---

## TELEGRAFY GALWANICZNE

przez

S. Przysiańskiego.

---

Trudno naznaczyć epokę, w której rozpoczęto używać znaków do przesyłania wiadomości w oddalone miejsca, i to tylko z pewnością wyrzec możemy, że próby w tym celu czynione sięgają bardzo odległych czasów.

Głos niezawodnie był jednym z pierwszych środków jaki do tego użyto; wzmocnienie jego natężenia przez użycie wielkich dzwonów, huku strzałów, przez wprowadzenie rapportów i t. p. były i są dotąd sposobami, które do téj kategorii odnieść wypada. Światło w skutek wielkiej odległości z jakiej może być spostrzeżonem, daleko korzystniej do tego celu od najdawniejszych czasów służyło; za pierwsze i najnieodkładniejsze użycie téj siły

(\*) Patrzyć Kronikę Paska i żywot Bogusława Radziwiłła.

uważać należy podawanie znaków za pomocą zapalania żerdzi, beczek napełnionych smołą. Sposoby te równie jak i poprzednio na rozprzestrzenianiu się głosu oparte, ważny w tém przedstawiają niedostatek, że są zdolne jedną tylko umówioną wiadomość oznaczać np., niespodziewany napad nieprzyjaciela, gwałtowny wylew wody i t. p. gdyż udzielanie innych myśli połączone jest z wielkimi trudnościami czyniącemi użycie płomienia prawie nie podobnem w praktyce.

Ograniczone użycie powyższych sposobów spowodowało do szukania innych, za pomocą których osoby znacznie oddalone z rozmaicie układanych linii prostych mogłyby wyczytywać myśl i wiadomości, pod temi znakami ukryte. Skutkiem tych usiłowań, posiadamy dziś różne maszyny mniej lub więcej szczęśliwie rozwiązujące to zadanie, maszyny powszechnie znane pod nazwiskiem telegrafów.

Szeregi takich telegrafów, czyli jak nazywają linie telegraficzne, przeryzując w różnych kierunkach całą prawie Europę, przesyłają z szybkością myśli ludzkiej różne wiadomości, obudzają trwogę, smutek, radość, zwiastując o klęskach, śmierci znakomitych osób, zmianach rządów, przybyciu oddawna oczekiwanych okrętów i t. p. Klucze w rozmawianiu telegrafami są tajemnicami rządów i mogą być rozmaicie zmieniane: dla tego téż każdy kraj, każda zapewne linia telegraficzna ma swe oddzielne znaki, lub do tychże samych znaków oddzielne przywiązuje znaczenia.

Zastanówmy się tu w krótkości nad niektórymi aparatami teraz używanymi, i nad dwoma projektami do urządzenia telegrafów, które jednak dotąd nie zostały w praktyce zastosowanymi. W najprostszym te-

legrafie znajduje się jedno ramię obracające się po płaszczyźnie pionowej około osi w jego środku umieszczonej; ramię to w jednym końcu znacznie rozszerzone dla tego aby z dala można było łatwo rozróżnić, który z dwóch jego końców do góry jest zwróconym. Położenie ramienia pionowe; poziome nachylone pod  $45^\circ$  do poziomu, obracanie rozszerzonym końcem do góry lub na dół, dają kilkanaście znaków z których kombinacyi można wyprowadzić wiele innych służących dla wyrażenia liter, nazwisk, lub oddzielnych myśli. W ten sposób urządzona jest linia telegraficzna między Warszawą i Petersburgiem.

Wszystkie prawie telegrafy w różnych kierunkach przerzynające Francją, są składu więcj skomplikowanego; w nich aparat do formowania znaków, oprócz głównego ramienia (regulateur) zawieszzonego w środku na osi poziomej, zawiera jeszcze dwa pomniejszych nazywane skazówkami, które są przymocowane do końców głównego ramienia za pomocą zawiasów. Główne ramię przybiera położenie poziome, pionowe, lub pod  $45^\circ$  do poziomu, każda zaś skazówka ustawiana bywa albo prostopadle do głównego ramienia, albo pod  $45^\circ$ , to jest może przyjmować względem głównego, sześć różnych położeń. Telegrafy tym sposobem urządzone formują wielką liczbę znaków, lecz wymagają za to wielkiej wprawy ze strony osób którym jest powierzona ich straż i kierowanie.

Starano się usunąć tę niedogodność przez takie urządzenie, w którémby główne ramię zachowywało zawsze jedno stałe położenie np. poziome; aby jednak przez to nie zmniejszyć liczby znaków, nad główném ramieniem (regulateur) umieszczono drugie ruchome około osi w je-

go środka będącej; położenia jego poziome, pionowe, lub pod  $45^\circ$  zastępują te kierunki głównego ramienia.

Taki aparat widzimy na jednej z wież  $S^{\circ}$  Sulpiciusza w Paryżu.

Powyższemi sposobami urządzone telegrafy służą do przesyłania wiadomości we dnie w jasną pogodę; chcąc je uczynić czynnymi w nocy, zawieszają na końcach ramion lampy, które zdala widziane oznaczają położenie ramion telegrafu.

Roku 1842 Vilallongue przedstawił Akademii Paryskiej projekt do urządzenia telegrafów, któreby z równą łatwością dniem i nocą mogły być czynnymi, i mających przy tém w swój budowie wielkie przed poprzedniemi pierwszeństwo.

Sposób formowania znaków jest taki jak i w telegrafie umieszczonym na wieży  $S^{\circ}$  Sulpiciusza; budowa ma być następująca.

W ścianie wieży czarno pomalowanej wycięte są trzy otwory okrągłe średnicy 3 — 4 łokci, dwa na jednej linii poziomej a trzeci cokolwiek wyżej; otwory te zakryte są denkami czarnymi, mającemi po jednym promieniu biało wymalowanym szerokim do 6 cali; na koniec środki dwóch denek na jednej linii poziomej będących, połączone są także białą szeroką do 6 cali linią. Ostatnia ta linia służy, ma przedstawiać główne ramię telegrafu; a obracające się denka ze swemi promieniami zastępują miejsce ruchomych skazówek w poprzedniem urządzeniu.

Strażnik czuwający w środku wieży telegraficznej, spostrzegłszy znak na innym telegrafie, naśladuje go od razu na obu ścianach wieży przez stosowne obrócenie denek; a będąc sam w bliskości całego aparatu, ma tę

dogodność, że natychmiast poprawić może trafunkowe zepsucia maszyneryi.

Doświadczenia z tak urządzonym telegrafem w Perpignan były czynione w przytomności p. Mathieu delegowanego ze strony Akademii do złożenia rapportu o tym projekcie. Wspomiony uczony za pomocą lunety 30 razy powiększającej, bardzo dokładnie mógł rozpoznawać wszelkie znaki w odległości  $3\frac{1}{2}$  wiorsty pokazywane — przytém nadmienić tu wypada, że telegraf był zbudowanym na małą skalę, wymiary jego były zaledwie trzecią częścią względem wymiarów używanych przy stawianiu zwykłych telegrafów.

Chcąc powyższym sposobem urządzony telegraf uczynić czynnym i w czasie pogodnej nocy, należy zamiast malowania biało promieni wyciąć je w deskach, a otwory szkłem zasłonić; w ówczas oświecając mocno wewnątrz wieży, bardzo wygodnie pokazywać możemy znaki za pomocą światłych linii. Jednakże próby robione w odległości 7 wiorst przekonały, że lunetą czterdzieści razy powiększającą z trudnością można rozpoznać położenia linii światłych i że dla takich odległości wypada użyć silniejszego oświecenia.

P. Vilallongue zaradził temu przez użycie w otworach telegrafu pewnego rodzaju soczewek używanych pospolicie w latarniach morskich (*lentilles à échelons*); ustawiając w ogniskach tych szkieleł lampy, promienie światła wychodzą z wieży w kierunkach równoodległych; nie zmniejszają więc swego natężenia z odległością. Trzy lampy zapalone w wieży telegrafu wystarczają dla oświecenia wyższego ramienia i dwóch skazówek.

Wspomniemy tu nakoniec o projekcie podanym w 1838 roku przez p. Rowley oficera marynarki angielskiej.

skiej, mającym tę ważną zaletę, że czynności takich telegrafów nie byłyby przerywane przez mgły, pochmurne dni, lub noc.

Zasadą w budowie tych telegrafów ma być nadzwyczajna szybkość, z jaką udziela się kolumnie powietrza w rurach ołowianych zawartej, ruch pierwszym jego cząstkom nadany. (\*)

Gdybyśmy naprzykład w rurę na 10 mil angielskich długą a  $\frac{1}{2}$  cala średnicy mającą, wepchnęli raptem stopę sześcienną powietrza, to w przeciągu minuty na drugim jej końcu otrzymamy stopę sześcienną wypchniętego powietrza. Aby ten szybki rzut powietrza można było w praktyce zastosować, pomiędzy oznaczonymi miejscami należy kilka rur ołowianych przeciągnąć, końce ich połączyć w jedną komunikującą z małym rezerwoarem zawierającym silnie zgęszczone powietrze, drugie zaś ich końce na innej stacyi zanurzyć w butelki szklane napełnione wodą.

Podnoszenie się bulek powietrza w butelkach służy do udzielania różnych znaków, pierwiastkowe zaś pchnięcie kolumny powietrza odbywa się przez otwieranie kruczków dających komunikacyą rezerwoarowi z rurkami.

Rowley urządził taki telegraf na małą skalę, używszy rur ołowianych na 500 stóp długich, i przekonał się że dla przesłania znaku do tej odległości wystarcza szósta część sekundy.

(\*) Prędkość ta wynosi 5 sekund na milę angielską. Ten fakt jest bardzo uderzającym, pomnąc na to, że wicher w czasie najmniejszej burzy tylko 100 mil angielskich w godzinę przebiega i dla wytłumaczenia tego zjawiska zdaje się, że powietrze w rurach zamknięte jak wodę lub inne ciała stałe uważać należy.

Telegrafy powyższe, w których przesyłanie znaków odbywa się za pomocą różnych położeń linii prostych, mają tę wspólną wadę, że dnie pochmurne, mgły, przerywają ich działanie.

Ważny ten niedostatek spowodował uczonych do wyszukania innych sposobów, któreby lepiej odpowiadały warunkom niezbędnym z przeznaczeniem telegrafów. Myśl użycia do tego celu elektryczności sięga połowy przeszłego wieku; lecz jak wszystkie odkrycia naukowe nim zostaną zastosowane w praktyce, wymagają znacznego czasu i wielu doświadczeń, tak i pomysł elektrycznych telegrafów po długim przeciągu czasu i po licznych usiłowaniach zdołano zaledwie w praktyce wykonać.

Przejdziemy tu pokrótce chronologicznie próby i różne sposoby urządzenia telegrafów elektrycznych, przez uczonych projektowane: tym sposobem najlepiej poznamy: jaką drogą umysł ludzki postępował w wykonaniu tak wielkiego pomysłu, jakim jest prowadzenie rozmowy z osobą na sta mil oddaloną z szybkością błyskawicy.

Pominąwszy doświadczenia Winkler'a w Lipsku, który łączył elektryczności na bokach butelki lejdejskiej zgromadzone za pomocą bardzo długiego drutu a częścią i wód rzeki Pleiss, podobne doświadczenia Lemonier w Paryżu z drutami mającemi około 12000 stóp, Watson'a z drutami długimi na 4 mile angielskie, pominąwszy mówię te doświadczenia jako dowodzące szybkiego rzutu elektryczności i możliwości użycia téj siły do telegrafów, — jako pierwszego który użył elektryczności do podawania znaków wspomnieć należy Lomond'a sławnego mechanika paryzkiego.



Arthur Young w dziele swém »Travels in France«  
wydaném 1787 roku tak o nim mówi: »W elektryczno-  
ści wspomniony mechanik interessujące zrobił odkrycie.  
Dwa lub trzy wyrazy na kawałku papieru napisane bierze  
z sobą do innego zabudowania, w którym umieszczona  
jest maszyna elektryczna, a nad nią z małych bżowych  
kulek zrobiony elektrometr; od téj maszyny poprowadzi  
długi drut do innego oddalonego pokoju, w którym  
umieszczony podobny elektrometr; znajdujaca się tam  
żona mechanika jest w stanie z ruchu tych kulek po-  
dane wyrazy odpisać. Zdaje się, że oni z ruchu tych  
kulek musieli cały alfabet ułożyć. Ponieważ długość  
drutu nic tu nie stanowi, to tym sposobem korespon-  
dować można z osobą zostającą w wielkiem oddaleniu  
np. z oblężoną fortecą i t. d.«

W 1794 r. Reiser zbudował telegraf w którym iskra  
elektryczna z maszyny wydobywana oświecała na szkle  
wyłożone cynfolią litery. W tém urządzeniu należało  
poprowadzić do każdej litery osobny drut, a dla odo-  
sobnienia ich w ziemi, zamykać w szklanych rurkach.

Dr. Salma w roku 1798 wspierany przez Infanta  
Don Antonio, urządził związek telegraficzny między  
Madrytem i Aranzues, używając dla pokazania znaków,  
wystrzałów hutelek lejdejskich.

Próby te zważając na trudności z jakimi połączone  
było ciągle wydobywanie elektryczności za pomocą tar-  
cia, nie mogły zrobić znacznego udoskonalenia w téj  
nauce. Pominąwszy tę mało-ważną wiadomość, przy-  
stąpimy teraz do opisanja różnych sposobów urządze-  
nia telegrafów galwanicznych.

Telegraf galwaniczny co do swego składu niczém  
się nie różni od zwyczajnego galwanometru, ho ro-

zmaita długość drutów w obu tych narzędziach, żadnej istotnej różnicy nie stanowi. Jak w pierwszym z tych instrumentów strumień elektryczny przechodząc przez druty umieszczone nad igłą magnesową zbaczają z południka magnetycznego, tak i w telegrafach strumień przebiegający po drutach łączących stacye przez stosowne urządzenie odchyła igielki magnesowe to w jedną to w drugą stronę. Chociaż myśl w urządzeniu telegrafów jest bardzo prosta, jednak wykonanie jej w praktyce połączone jest z wieloma trudnościami. Wiadomo że strumień elektryczny przechodząc nad igłą magnesową może pokazać dwa tylko znaki, zwracając igłę w prawą lub lewą stronę: dla przesłania więc znaków wyrażających np. litery alfabetu wynika potrzeba użycia znacznej liczby drutów: co wielkie za sobą kosztą pociąga. I dla tego można powiedzieć, że zaleta telegrafu galwanicznego tém jest większa, czém mniej drutów potrzebuje do oznaczenia tejże samej liczby znaków, i czém te znaki łatwiej zformowane być mogą.

Alexander, najprostszy urządził telegraf, używszy 30 drutów dla wyrażenia 30 znaków, to jest 26 liter alfabetu angielskiego i 4 dla znaków pisarskich: przecinka, średnika, punktu i tire (mającego rozdzielać wyrazy). Druty te na jednej stacyi umocowane były do klawiszy, na drugiej zaś przechodziły nad 30 igielkami magnesowymi. Chcąc podać znak wyrażający literę *A*, należy uderzyć klawisz oznaczony tą literą, wówczas pod klawiszem umieszczony gruby drut zanurza się w naczynie napełnione merkuryuszem, komunikacja ze stosem się ustanawia, strumień przebiega drut i na

drugiej stacyi swém działaniem odchyła igiełkę magnesową.

Wszystkie druty poprowadzone między stacyami telegraficznymi łączą się w jeden, po którym elektryczność powraca do stosu Volty, i dopiero odkrycie stosu Volty 1800 roku ułatwiło budowę i posunęło znacznie naukę o telegrafach elektrycznych.

Pierwszy Sommering w 8 lat po odkryciu Volty, w gmachu akademii w München urządził telegraf galwaniczny, używszy dla wydobywania ciągłego elektryczności, silnego stosu. Aparat do podawania znaków złożony był z 35 naczyń szklanych przedstawiających litery i oddzielne znaki: pojawienie się gazów z rozkładu wody otrzymanych w jedném naczyniu, oznaczało wymówioną literę lub wyraz do tego naczynia przywiązany.

Urządzenie to miało tę niedogodność, że wymagało wielu drutów, i że aparat do znaków był bardzo złożony, przez co nietylko że znaczne koszty za sobą pociągało, ale nadto mogło być przyczyną częstych pomyłek.

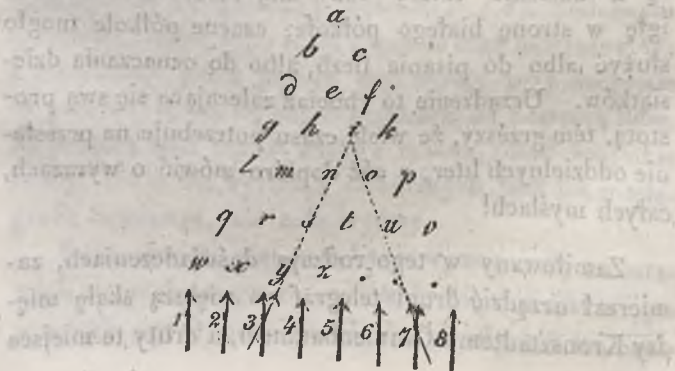
Telegrafy galwaniczne datują prawdziwy swój postęp dopiero od roku 1820, od odkrycia Oerstedta stanowiącego epokę w nauce galwanizmu. Spostrzeżony wpływ elektryczności na magnetyzm, a wkrótce potem magnetyzmu na elektryczność, przez Faraday'a, rozprzestrzenił szczerpły dotąd obręb działań elektryczności, przedstawił niewyczerpane pole do nowych doświadczeń, nowych odkryć. W budowie telegrafów galwanicznych, elektrycznością wydobytą przez tarcie, można było tylko chwilowo widzialne znaki przesyłać; przez wprowadzenie stosu Volty zdołano na wielkiej odległości chemiczne okazywać działania,

a w skutek odkrycia Oerstedta jesteśmy w możności w bardzo wielkich odległościach mechaniczną siłę obudzić.

Zaczęto więc używać dla pokazywania znaków, zbroczenia igły magnesowej. Pomysł ten będący prostym zastosowaniem doświadczenia sławnego duńskiego fizyka, zapewne każdemu zastanawiającemu się nad tym przedmiotem musiał się przedstawić, i dla tego trudno z pewnością wyrzec, kto pierwszy użył go jako środka dla formowania znaków.

W budowie tego telegrafu Alexander nie zwrócił uwagi na ważną okoliczność, która jego telegraf daleko prostszym i mniej kosztownym mogłaby uczynić. Wiemy, że tenże sam strumień elektryczny stosownie do swego kierunku może zwracać igelkę w dwie przeciwne strony; używając więc tylko 16 drutów przy stosownem urządzeniu, można podawać 30 znaków.

Cooke i Wheatston wymyślili bardzo dowcipny sposób dla wyrażenia 28 znaków za pomocą 8 drutów i jednego zwracającego elektryczność. Aby jednak łatwiej można go pojąć, napiszmy litery alfabetu w trójkąt następującym sposobem:



W punktach 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 ustawione są igiełki magnesowe pod 8 drutami prowadzącymi elektryczność. Chcąc pokazać literę np. *i* trzeba zwrócić igłę 3<sup>cia</sup> w prawą, a igłę pod numerem 7 w lewą stronę; wtedy przecięcie podłużnych ich kierunków wskaże nam tę literę. To urządzenie łatwo może być zastosowanem w praktyce, to tylko można mu zarzucić, że osoba czuwająca na stacyi, powinna mocno uwagę natężyć, aby przy szybkim pokazywaniu znaków widząc przed sobą wszystkie litery, nie popełniała omyłek w ich rozpoznawaniu.

Baron Schilling w Petersburgu zbudował telegraf galwaniczny tém się odznaczający, że dwa tylko druty wymagał dla przesłania znaków—jeden prowadzący, drugi zwracający strumień elektryczny. Drut łączący dwa, na kilka wiorst odległe miejsca, przechodził po nad igłą magnesową obracającą się na sztyfcie pionowym umieszczonym w środku kółka papierowego; — połowa koła była czarną, druga zaś białą pociągnięta farbą. Każda litera oznaczona była liczbą, liczby zaś pokazywane były przez odchylenie igiełki: np. chcąc wyrazić literę *d* należało cztery razy siłą strumienia zwrócić igłę w stronę białego półkoła; czarne półkole mogło służyć albo do pisania liczb, albo do oznaczania dziesiątków. Urządzenie to chociaż zalecające się swą prostotą, tém grzeszy, że wiele czasu potrzebuje na przesłanie oddzielnych liter, a cóż dopiero mówić o wyrazach, całych myślach!

Zamiłowany w tego rodzaju doświadczeniach, zamierzał urządzić drugi telegraf na większą skalę między Kronsztadtem i Oranienbaumem, a druty te miejsca

łączące, po dnie odnogi morskiej przeciągnąć; lecz śmierć przedwczesna przeszkodziła wykonaniu tego projektu.

Telegraf galwaniczny mający w swym składzie dwa takie druty, urządzony został w 1836 roku w New-York przez profesora Morse; lecz aparat do pokazywania znaków jest w nim daleko dokładniejszym od poprzedniego. Zasadą w jego budowie jest znany w galwanizmie fenomen, że strumień elektryczny przechodząc po drucie obwijającym żelazo, wzbudza w nim siłę magnetyczną. Pod żelazem kształtu podkowy obwinieciem grubo drutem, umieszczona jest zbroja mogąca się poruszać tylko w kierunku pionowym w fugach stosownie do tego urządzonych, na niej znajduje się przymocowany ołówek lub pióro. Przepuszczając przez drut strumień elektryczny, podkowa żelazna raptem zmienia się w magnes i przyciąga cokolwiek niżej spoczywającą zbroję; w czasie tego ruchu ołówek na pionowo stojącym papierze znaczy pionową kreskę; jeżeli zaś przez stosowny mechanizm papier wprawimy w ruch poziomy, wtedy pionowy kierunek nakreślonej piórem linii zmienia się w pochyły. Tak więc za każdym puszczeniem i przzerwaniem strumienia elektrycznego po drucie, na papierze otrzymujemy linią łamaną kształtu  $\wedge$  ( $A$ ): podobnym sposobem można napisać na papierze znak odwrotny  $\vee$ , a utrzymując przez pewien czas zbroję przy magnesie na przesuwającym się papierze oznaczamy poziomą linią. Za pomocą tych trzech znaków można pisać wszystkie liczby, które nie wyrażają oddzielnych liter jak w telegrafie Schillinga, ale całe wyrazy.

Poprzedzające więc urządzenie wymaga, aby na ostatnich stacyach telegrafu znajdowały się słowniki mające wszystkie wyrazy oznaczone liczbami. Sposób ten ozna-

czenia wyrazów liczbami, może być dobrym dla języka angielskiego; w nim bowiem wyrazy przez przypadkowanie nie zmieniają swych końcówek, do innego zaś języka bardzo trudno byłoby go zastosować.

We wszystkich poprzednio przytoczonych telegrafach, jako źródło do wydobywania elektryczności używano wielkich stosów Volty, co nietylko ciągłe niedo-  
godności ale i wielkie wydatki za sobą pociąga; gdyż wiemy, że stopy galwaniczne po pewnym przeciągu czasu słabną w swém natężeniu, a w końcu zupełnie ich czynność ustaje.

Wielki Gauss pierwszy podał myśl i ją w praktyce urzeczywistnił, aby zamiast stosów używać maszyn magneto-elektrycznych, to jest wzbudzać strumienie elektryczne za pomocą magnesu. Robiąc doświadczenia wraz z Weberem nad siłami magnetyczną i galwaniczną i nad oporem stawianym téj ostatniej sile przez różne ciała, połączył za pomocą drutów na 3000 stóp długi gabinet fizyczny z obserwatoryum w Göttingen. Rezultata tych doświadczeń pokazały, że można podawać znaki za pomocą siły galwanicznej w bardzo znacznych odległościach, i że chcąc prowadzić druty w ziemi do miejsc odległych, należy je bardzo starannie odosobnić; gdyż w przeciwnym razie znaczna część strumienia elektrycznego przelatuje z drutu w drut przez niewielkiej grubości warstwę ziemi.

Ponieważ zaś dobre odosobnienie drutów wiele trudności i kosztów za sobą pociąga, a z drugiej strony obserwacje czynione nad siłą strumieni elektrycznych przebiegających po drutach w powietrzu zawieszonych dowiodły, że te ostatnie nie wymagają żadnego szczególnego odosobnienia, dla tego wspomnieni uczeni w tele-

grafie galwanicznym przez nich urządzonym, druty łączące stacye zawiesili w powietrzu na szczytach domów, wież, drzew lub w niedostatku budowli na wysokich drągach.

Dla formowania znaków użył Gauss zboczenia igiełki magnesowej: z rozmaicie kombinowanych jej kierunków można było cały alfabet ułożyć. Ten telegraf to ma pierwszeństwo przed innemi, że wymaga dwóch tylko drutów—jednego prowadzącego, drugiego zwracającego strumień elektryczny, i że utrzymanie jego nic nie kosztuje; lecz zbywa mu na drugim ważnym punkcie w budowie tych maszyn, na urządzeniu apparatusu, któryby z dokładnością, łatwością i szybkością mógł litery oznaczać. Do rozwiązania tej kwestyi Gauss zachęcił osobście mu znanego proff. Steinheil w München; ten po wielu doświadczeniach, roku 1837 zbudował na wielką skalę telegraf odpowiadający zupełnie wymaganym od podobnych apparatusów przymiotom. Jako źródło do wydobywania elektryczności użył Steinheil maszyn magneto-elektrycznych, składem swym zupełnie podobnych do maszyny Clarke'a powszechnie znaniej. Wspomniemy tu tylko, że magnesy złożone były z 17 podków z hartowanej stali, każdy z nich razem z zbroją ważył 60 funtów, a siła każdego wynosiła 300 funtów; cylindry żelazne obwite były miedzianym drutem, podwójnie jedwabiem okręconym. Takich machin było trzy: jedna w sali doświadczeń gabinetu fizycznego w München, druga w obserwatoryum w Bogenhausen, trzecia w pomieszkaniu Steinheila na ulicy Lerchenstrasse.

Druty łączące gabinet z obserwatoryum miały długości 30,500 stóp paryzkich, druty te miedzia-



ne (1) jeden prowadzący, drugi zwracający strumienie elektryczne w odległości 3 do 10 stóp wyciągnięte były między wieżami, domami miasta, w odstępach do 1200 stóp mających. Odległość ta punktów podpory, jak później się przekonano, była cokolwiek za wielką; w zimie osadzający się lód powiększając ich ciężar i średnicę łatwo druty na zerwanie przy silnym wietrze wystawia.

Druty spoczywały na pilśni, a dla umocowania około balów drewnianych były po kilka razy obwinięte; przypadek przekonał, że tym sposobem zawieszane druty nie dają dobrego odosobnienia. Miało to miejsce dnia 7 lipca 1838 roku w czasie silnej błyskawicy; Steinheil bawiąc wówczas w swém pomieszkaniu, na aparacie przeznaczonym do rysowania znaków spostrzegł bardzo silną iskrę, która z łoskotem podobnym do trzaśnięcia z bicia do ziemi przeleciała.

Wspomnieliśmy wyżej, że Steinheil ważne ulepszenia zrobił w téj części aparatu, która służy dla pokazywania znaków; aby łatwiej pojąć można było to urządzenie, opiszemy tu stacyą telegraficzną w gabinecie fizycznym tak jak ona na pierwsze wejście się przedstawia.

Druty łączące stacye idąc pod podłogą, zakończają się na środku obszernego stołu w miedzianej puszcze,

(1) W praktyce za łączniki elektryczności można używać drutów żelaznych i miedzianych. Użycie żelaza chociaż sześć razy tańsze od miedzi, nie przedstawia żadnych korzyści; bo przewodnictwo drutów żelaznych według doświadczeń Fechnera jest prawie sześć razy gorsze od miedzianych; chcąc więc ten sam opór otrzymać należałoby sześć razy grubszych drutów używać. Miedź jednak daleko stosowniej do tego celu może być użytą, zważając na to że trudniej w powietrzu się rdzą pokrywa.

tam przez stosowne ich pokombinowanie ustanawia się związek między obserwatorium, pomieszkaniem Steinheila, lub warsztatem mechaniki należącym do akademii.

W spodniej części stołu widać rękojeść maszyny magneto-elektrycznej, obracając ją o pół-okręgu w prawą lub lewą stronę, wzbudzamy strumienie elektryczne w różnych kierunkach tenże sam drut przebiegające; w drugim końcu stołu umieszczone są metalowe ramy grubo drutem obwinięte (stanowiące multiplikator) w swym środku mające dwie igły magnesowe. Sztabki te na osiach pionowych osadzone, zakończone są na jednych końcach naczynkami zawierającymi czarną olejną farbę, która przez małe otworki z boku wyciekając, znaczy kropki na papierze poruszającym się ciągle w poziomym kierunku; drugie ich końce opatrzone są sztyfkami, któremi uderzając o blisko stojące płaskie dzwonki (jak w zegarkach), różne dźwięki zdolne są wydawać. Jeżeli obrócimy rękojeść maszyny w prawą stronę o pół koła, natychmiast usłyszymy głos jednego dzwonka i spostrzeżemy na papierze czarną kropkę; obróciwszy jeszcze raz rękojeścią w tę samą stronę, usłyszymy dźwięk tegoż samego dzwonka i znajdziemy drugą kropkę na papierze; im prędzej korbą kręcimy, tém częstsze dźwięki i bliższe kropki na papierze się malują. Poruszając rękojeść o pół koła w lewą stronę, usłyszymy głos drugiego dzwonka, którego ton będzie niższy od poprzedniego i kropka znaleziona na papierze nie będzie w tej samej wysokości co poprzednie, ale niżej cokolwiek. Przyczyną dzwonienia i znaczonych punktów jak każdy się domyśla, jest strumień elektryczny, który przelatując drut multiplikatora odchyła igielki w środku umieszczone to w jedną to w drugą stronę, a te znowu

tony i kropki wydają. Cała teraz trudność polega na tém, jak z tonów i kropek ułożyć alfabet. Steinheil użył alfabetu łacińskiego, i za pomocą kropek naśladuje formę liter: tak np. dla napisania litery A dosyć jest trzy punkta, dwa niżej a jeden wyżej . . .; aby je oznaczyć wypada obrócić korbą w lewą, prawą i znów w lewą stronę, to jest wydać dźwięk niższy, wyższy i znów niższy. Sposób ten oznaczania liter może być zmienianym dowolnie; chcąc jeszcze prędzej przesłać wiadomości, można by używać zamiast punktowania naśladującego każdą literę, różnych skrótów, których wewnętrzne znaczenie tylko osobom na końcach stacyi umieszczonym byłyby znajome.

W tym telegrafie podawanie znaków odbywa się z wielką prędkością: w sekundzie można naznaczyć cztery kropki wystarczające dla oznaczenia jednej litery lub znaku. Więc przesyłanie wiadomości w oddalone miejsca tyle prawie wymaga czasu co kaligraficzne ich napisanie; a odległość miejsc? ta nic nie znaczy. Wheatstone dowiódł, że prędkość elektryczności większą jest od prędkości światła!

Rozważając to cośmy o tym telegrafie powiedzieli, łatwo się zgodzimy, że Steinheil zadanie o urządzeniu telegrafów galwanicznych rozwiązał bardzo dokładnym i nic prawie do życzenia nie pozostawiającym sposobem, tak, że w tym stanie wprost do praktyki może być zastosowaném.

Vorselmann de Heer w dziele swém wydaném 1839 r. usiłuje dowieść, że w telegrafach łączących bardzo odległe miejsca, jako środek do pokazywania znaków, nie można używać zbroczeń igły magesowej, ani też magesowania żelaza za pomocą strumieni ele-

ktrycznych dla tego, że w takim razie należałoby budować nadzwyczaj wielkie stosy lub maszyny magneto-elektryczne, i że jedyny środek jaki z korzyścią w takich przypadkach użyłoby należało, jest działanie fizyologiczne strumieni elektrycznych. Mniemanie to opiera na doświadczeniach p. Pouillet i swych własnych.

Wiadomo, że opór stawiany strumieniom elektrycznym przebiegającym ciało nasze, średnio równa się oporowi jaki okazuje drut długi na 300,000 metrów; używając stosu o 20 parach galwanicznych można sprawić znaczne wstrząśnienie w stawach jednego człowieka, stos więc o 40 parach tenże sam okazałby skutek w ciałach dwóch ludzi trzymających się za ręce, albo też w stawach jednego człowieka zamykającego sobą drut długi na 300,000 metrów. Budując więc stos np. o 100 parach, strumień elektryczny z niego otrzymany zdolnym byłby wstrząsnąć człowieka będącego w odległości 600,000 metrów to jest blisko 600 wiorst, wtedy gdy tenże sam stos mógłby odchylić igiełkę magnesową oddaloną na 100 wiorst. Korzystniejsze jeszcze wypadki dla praktyki daje maszyna Clarke'a, lub połączony z kwanto-mutatorem stós Volty; tak naprzykład: za pomocą stosu o jednej parze i kwanto-mutatora kosztujących niewięcej jak półtora sta złotych, możnaby sprawić wstrząśnienie w stawach człowieka oddalonego o 300 wiorst, za pomocą drutu grubego na  $\frac{1}{3}$  linii. Vorselmam de Heer podaje następujący projekt aparatu do otrzymywania znaków za pomocą działania fizyologicznego: radzi on użyć 10 drutów dla połączenia stacyi, z tych każdy zakończony jest klawiszem metalowym; puszczając strumień elektryczny z jednego drutu do drugiego można podawać

45 różnych znaków. Dla rozróżnienia tych znaków osoba czuwająca na stacyi, na klawisze kładzie 10 swych palców, wówczas stosownie do drutów pokórych puszcza-no strunień wstrząśnienia mają miejsce w palcach dwa po dwa branych. Gdy telegraf nie działa, strażnik wkłada na dwa palce, metalowe pierścienie, za pomocą łańcuszków do dwóch oznaczonych klawiszy przycze-pione. Przed rozpoczęciem czynności telegrafu, dla dania znaku że przesłanie znaków ma nastąpić, po dwóch drutach na których wiszą pierścienie puszcza się stru-mień elektryczny, osoba doznaje wstrząśnienia (które jest dostateczne nawet dla wzbudzenia uspionego czło-wieka), kładzie palce na klawisze i telegraf jest czynnym.

Telegrafy galwaniczne pomimo zalet dających im pierwszeństwo przed innemi, dotąd nigdzie do wielkich odległości nie zostały zastosowane; łatwość ich zniszcze-nia i koszta znaczne na ich pierwiastkowe urządzenie, zdają się główną tego przyczyną. Wiadomo bowiem, że im drut dłuższy tém większy opór stawia strumie-niowi elektrycznemu: chcąc więc bardzo oddalone łą-czyć miejsca, należałoby używać bardzo grubych, ko-sztownych drutów. Ważny ten zarzut przeciw telegra-fom galwanicznym zdaje się że z czasem usuniętym będzie. Steinheil doświadczeniami się przekonał, że ziemia, woda, zmieniać są zdolne funkcją odprawianą przez druty metalowe; dla tego należy tylko stosunkowo powiększyć warstwę wody lub ziemi, aby ona tenże sam opór co drut przedstawiała: np. ponieważ woda prawie 2 miliony razy gorzej przewodzi elektryczność aniżeli miedź, należałoby użyć dla zamienienia drutu szerokiego na  $\frac{1}{2}$  linii kwadratowej, warstwy ziemi śre-dnicy 61 cali kwadrat. Zresztą i relsy kolei żelaznych

za przewodniki elektryczności służyć mogą, i zapewne z małemi przemianami wskazanemi przez praktykę, urządzone koleje żelazne z czasem podwójną funkcją wypełniać będą zdolne. A wtedy telegrafy galwaniczne jako dodatek do kolei żelaznych, bardzo mało kosztować będą.

Z DRAMMATU

Z B I G N I E W

części II. AKTU 2go, SCENA 7.

*Nadbrzeże Gopła — noc — z dala widać tęgą od ognisk obozowych.*

ZBIGNIEW — LUDMILA.

LUDMILA.

Luby Zbigniewie! dla czego tu codzien  
Zdala od ludzi, postacią tajemną  
Świecisz, jak posąg przy księżycu blasku?  
Albo też błędząc po nadbrzeżnym piasku,  
Otaczasz myśli szatą nocy ciemną?...  
Czy ścigasz młodość?... W niej piękne dni wiosny  
Błyszcza tak jasno, jak gwiazdy na niebie:  
Gdy myśl z kolébki na światy rzucona,  
Gdy pierwszy zapal młodzieńczego łona,  
Gdy pierwszy uśmiech, pierwszy wdzięk miłosny  
Otaczał serce i upajał ciebie — .... —  
Może chcesz jedną wykryć z tych tajemnic,  
Które się tają wśród przyszości ciemnic?...  
Zapęd to marny — próżno myśl tam leci  
Gdzie końca niema! — i w marzenie sięga  
Cel niedosięgły. — Słońcu co tam świeci,  
Jeśli poświęcisz urok lubej chwili,  
A omamienia ostygnie potęga,

Łudzająca pewność ogniwa swe skruszy,  
Nawet zawodna nadzieja omyli,  
I zechcesz walczyć z tak dotkliwą zmianą?...  
Wtenczas czczość, niesmak dla wyniosłej duszy,  
A jad i gorycz sercu się dostaną.  
Wielkość mój luby! wielkość!... próżna mara,  
Za której cieniem świat obłądny gonisz,  
Miłości, uczuć i szczęścia ofiara.  
Po latach wielu i po trudach wielu  
Kiedy do życzeń przybliżysz się celu,  
Zamiast pociechy, gorzkie łyzy uronisz.

ZBIGNIEW.

Skąd ci te myśli?... po co te obrazy  
Smutku i nieszczęść — czy chcesz zachwiać dzielność  
Moich poświęceń?... O! przypomnij sobie  
W dawniejszych chwilach, ileż ciebie razy  
Zachwycał wawrzyn pnący się po grobie.  
Z którego listków kwitła — nieśmiertelność.

(wskazując na łąkę)

Patrzaj! czy możesz spojrzeć tam bez zgrozy  
Gdzie niebo krwawą łąką się rumieni?  
Tam mieszka sława, — tam z licznych płomieni  
Poznaj, — jak liczne Sieciecha obozy;  
Jutro.... w dni kilka.... a przeznaczeń ręka  
Węzeł przyszłości zagmatwany — przetnie.

LUDMILA.

O! tej się chwili serce moje lęka,  
Tam widzę przepaść która cię pochłonie,  
Tam nie masz sławy tej — która tak świetnie  
Otacza wieńcem bohatera skronie.  
Tam brat do serca braterskiego zmierzy;  
Syn przeciw ojcu — krwi co się wycoczy  
Z poległych w bratnim zawodzie rycerzy;  
Całej krainy nie opłaczą oczy.  
O! zagaś wcześniej żar domowej wojny,  
Zdała od ludzi i marności świata,  
Znajdziemy przecież w ustronnej pustyni  
Nieznane szczęście — przytułek spokojny;  
Gdzie sama miłość, w najpóźniejsze lata  
Samotną puszcę niebem mém uczyni. —

ZBIGNIEW.

— Co? gdym u kresu młodych mych nadziei,  
 Mamże się szczęściu pewnemu wydierać?  
 Unikać szumu, burzy i zawiei,  
 I żyć bez sławy, bez sławy umierać?  
 Dla czego? — aby gnuśnieć w twém objęciu,  
 Kochanko moja! wzrok twój blisko sięga,  
 Ani to w twojem mieści się pojęciu,  
 Czém mężkie serce? gdy duszy potęga  
 Młodo, w krainy zapału je wzniesie,  
 A duch przeszłości odstłoni imiona,  
 Którym potomność w najdalsze plemiona  
 Cześć z uwielbieniem jak swym Bogom niesie.  
 Już go nie cofniesz — olbrzymie zamiary  
 Dla niego niczém, a choć młodość minie,  
 Zapał ostygnie, choć wiekiem człek stary,  
 Jeszcze się lubi błąkać w tój krainie.  
 I w duszy mojej podobne zapędy,  
 Znasz jej tajniki: ręka przeznaczenia  
 Wiodąc do sławy, prowadzi przez błędy,  
 Lecz żaden mego nie dotknął sumienia.  
 Spójrzuj na liczne wojsk moich szeregi,  
 Ile narodów rozkazy me słuca —  
 Obcy i dumny mieszkaniec Pomorza  
 Zaległ do koła piękne Gopła brzegi,  
 W mojej prawicy ich męztwa otucha,  
 A moja władza dosięga już morza.  
 I kiedy walcząc z zaciętością losu  
 Po wytrwałości idę sięgnąć wianki,  
 Mamże się wstrzymać, abym słucał głosu  
 Na świat i ludzi płaczącej kochanki?  
 Radzisz mi — abym w spokojnem ukryciu  
 Spuścił się na dno ludzkiego żywota,  
 I najpiękniejsze chwile w mojem życiu  
 Zmienił na nudy leniwego czasu;  
 I jako skąpiec, lub zbójca wśród lasu  
 Umierał z żądzy nad zbiorami złota?  
 Chcę ci dać wielkość, chcę okryć twe skronie  
 Koroną przodków — ach! możnaż się bronić  
 Tój lubej myśli, że po naszym zgonie,  
 Zostawim wdzięczność, co przyjdzie łyż ronić.



Zostawim czynów pamiątki nie starte  
I w dziejach kraju, jedną piękną kartę  
Nieśmiertelności....

LUDMIŁA.

A jeśli przed zgonem,  
Łzy te wysączy rozpacz lub przekleństwo,  
I staną matki przed twym krwawym tronem,  
Żądając synów, których oręż zgubił  
Ażebymy twoje uwiecznić zwycięstwo;  
Jeżeli stanie sierota uboga,  
Wskazując, z głodu zmarłe drobne dziatki,  
Którym twój żołnierz wziął chleba ostatki;  
Z czémże się wtenczas, z czémże będziesz chlubił  
Przed sądem ludzi i przed sądem Boga?...

ZBIGNIEW.

O moja luba! próżne twoje słowa;  
Jedno uczucie, którym płonie dusza,  
Wszystkie twe skargi odrzuca, zagłusza  
Chyba je cisza ukoji grobowa.  
Moich zamiarów nie już nie odmieni;  
Powróć na zamek, nikną nocy cienie  
I wschód się ogniem poranku promieni;  
Powróć na zamek — tam łzy i rozpaczę  
Miotaj — na srogie nasze przeznaczenie.

LUDMIŁA.

Nie! — ja bynajmniej na mój los nie płacę,  
Ta kropla życia, którą zefir pieści  
Dopóki czasu listkami szeleści,  
Gdy zagrzmie burza, gdy wicher zaszumi,  
Ta kropla życia rzucona w zawieję,  
Zniknie na zawsze z żądzą i nadzieją;  
Nawet nikt o niej powiedzieć nie umie.  
I czegoż płakać, gdy ta kolej czeka  
Prędzej czy później każdego człowieka?  
Życia mojego piękny był poranek:  
Był tak rokoszny, tak cichy, tak miły,  
I tak uroczę sny go ubarwiły,  
Jak był uroczym ziemski mój kochanek.  
Nie znałam świata, — bo on był mi światem,

Nie znałam ludzi — bo on był mi bratem,  
Kochankiem, mężem, był wszystkiem na ziemi  
I tak przeważne

(wskazując na serce)

odniósł tu zwycięstwo,  
Że były chwile, gdzie przymioty swemi  
Z potężnym Bogiem walczył o pierwszeństwo.

(milczenie)

Pomnisz Zbigniewie? — był to czas szczęśliwy,  
Znikł jak westchnienie i więcej nie wróci;  
Bo uniósł szczęście na dalekie niwy,  
Zostawił gorzyc, która serce smuci;  
Zostawił pamięć, że wszystko przemija,  
Że prawe szczęście — wysoko — daleko,  
Że luba chwila co nam krótko sprzyja,  
Musi być gorzkich łez oblana rzeką.  
O mój Zbigniewie! twój miłości siła  
W tak się błędące barwy przyobleka;  
Może od ciebie i ta myśl ucieka,  
Że kiedyś drogą była ci Ludmiła.  
Że gdy twe czucia stygną — może giną...  
Za tobą jeszcze jej rzewne łzy płyną.

ZBIGNIEW.

Kochanko moja! porzuc łzy i żale:  
Wiem, com ci winien, com winien i sobie;  
Poświęcę wszystko i świat cały tobie,  
A ciebie — muszę poświęcić mój chwale.  
Przebacz mi droga, że od chwil powicia  
Wyosobiony z ludzkości łańcucha,  
Pędzony tylko siłą mego ducha  
Po niebezpiecznym oceanie życia,  
Nie mogę spocząć, ani cofnąć biegu,  
Nie mogę na los żalić się, ni szlochać,  
Lecz mogę śmiało zawinąć do brzegu  
Umierać mężnie, — i jeszcze cię kochać.  
Jeszcze chwil kilka — nim je czas przelicy,  
Chciałbym przy tobie żyć całkiem dla ciebie;  
I z tobą takich kosztować słodyczy,  
Jakich nie znają anieli i w niebie.  
A gdy głos trąby na bój mnie wywoła,  
Gdy płytki oręż zabłyśnie w mój dłoni,

Gdy twardy szyszak przyrośnie do czoła,  
Wtenczas Ludmiła niech łezkę uroni.  
Los walk nie pewny — śmierć, złowrogą kosę  
Zapleta w krwawą swych ofiar nawiązkę,  
Z kurzawy bitwy — szczęście ci przyniosę,  
A może przysię — cyprysu gałązkę.

G. Z.



## WALKA MICHAŁA Z SZATANEM.

Ale rzekł: „Niech cię Pan zgromi.“  
*Juda. Ap. 9.*

W Moabskiej ziemi Pan pogrzebł ciało Mojżesza,  
Przeciw Betfegorowi — ale gdzie? — nie wie rzesza.  
A na polach Moabskich Izrael wśród boleści,  
Zawodził po Proroku żałobnych dni trzydzieści.

A Szatan szedł po ciało i potkał się z Michałem,  
I zwadzili się z sobą pod nad prorockim ciałem.  
Archanioł wiał jasnością, błysnął złotymi pióry:  
Szatan walczył czarnością, skrzydlate rozpiął chmury.  
I dwaj byli — ten wielki cieniem, a tamten brzaskiem,  
Ten ciemnościami jaśniał — a tamten mroczył blaskiem.  
I dwaj byli — a Szatan stanął silnie — jak trzeba —  
Tworzył jasność czarnością — piekłem wysnował nieba;  
A Michał wiejąc światłem w te ciemności bez końca,  
Chciał piekło z niebem rozbić w *jeden* ocean słońca.

I wył Szatan swe prawa, aż zatrzęsła się próżnia,  
Do mnie ciało, co duszę z zgody światów wyróżnia.  
Wpśród chorów Jehowy moją zabrzmiewa chwałą,  
I zamiast Pana wielbić — kto on jest? pyta śmiało.  
To ciało! to jest moje, co pokój przez zgryzoty,  
A wieczność tworzy śmiercią, a przez grzech rodzi cnoty.

Ale Michał zawołał: ciało, jestto naczynie,  
W którym zjadła trucizna lub balsam wonny płynie.  
Z trucizny zabierz puhar i rozkrusz go w kawały,  
Lecz po wonnym balsamie, miło chować kryształę.  
Puszczaj ciało! to Prorok! — on twarz w twarz mówił  
z Panem,  
On Pana chwałę głosił — i Pańskim był Kapłanem,  
I lud Pański wybawił — puszczaj ciało Proroka!

\* \* \*

A Szatan zgrzytnął tylko, i zaśmiał się z pod oka,  
I ryknął: umarł Prorok — a śmierć to moje dzieło,  
W rajum go się dokupił — więc na mojem stanęło.  
On przeszedł przez me prawo — umarł — więc moje ciało,  
On wielki! bo mu z Panem rozmawiać się udało,  
A ja większy, bo Pan sam poszedł po moim szlaku,  
Gdy twarzą w gorejącym wyosobił się krzaku.  
Ty sam w chóry nieczyste, jedno-tonne zapłatan,  
Jesteś czemsiś przezemnie, boś Aniołem, żem Szatan.  
Zamiast być jedną nutą chóralną, nikłolotą,  
Przezemnie ty jaśniejesz i światłością i cnotą.  
Jam świat myślą wyłonił, bom sam silny przez siebie,  
I walczę codzień ciałem z królującym na niebie.  
Ciało jest moją siecią — nad duszą kładę dłonie  
Póki jest samodzielna — nim ją ogół pochłonie,  
Lecz gdy rybak nie złowi, bierze do domu sieci.

\* \* \*

A Michał po nad ciałem złotemi skrzydły świeci,  
I mglisto się rozchodzi, i w ogół się rozlewa,  
Kiedy szatan tak kształtny, jak skały, albo drzewa,  
I tak silny osobą, że z swęj szerokiej głowy  
Przeklina i Jehowę, i Aniołów Jehowy,  
Chwyta ciało — a Michał przekleństw jego nie skromi,  
I bluźnierstw nie podnosząc, mówi: „Niech cię Pan zgromi.“  
Czajkowski.

D. 29 Wrzeź. 1842.

## NEUCHÂTEL

przez \*\*\*

Ze wszystkich miast w Szwajcaryi najspanialsze położenie ma Neuchâtel. Oparte z jednej strony o góry Jura wznoszące się piętrami, ma u spodu rozlane pyszne jezioro, z wodami jak łaża przezroczystemi, łagodnej szmaragdowej zieloności, a na wschodzie odgranicza widok krąg, długi dziko poszarpany łańcuch Alp, ciągnący się od Mont-Blanc aż do Finster Aarhorn. Kiedy przy wypogodzonym niebie słońce zachodzi, jaśniej niewymownie pięknie te szczyty wiecznymi lodami pokryte, tam zupełnie białe, tu ubarwione co chwila zmieniającym się kolorem różowym: niemasz wspanialszego widoku na świecie nad ten. Nawet Kordeliery nie wyskakują tak nagle z równiny jak Alpy, płaszczyny bowiem amerykańskie wznoszą się zwolna kilkaset mil i dla tego nie przedstawiają tak uderzającego widoku jak Alpy szwajcarskie. Klimat Neuchâtelu bardzo jest łagodny, a chociaż mieszkańcy jego spoglądają na wieczne lody, poblizsze wzgórza pokrywają winnice, wyższe zaś lasy bukowe. Pola miasto to otaczające, niepospolitą żyznością odznaczają się, pasające się bydło bujnego wzrostu i rozległe zabudowania wieśniaków porządkiem i czystością mile zajmują oko. To bogactwo płodów przyrodzenia i pełna uroku natura, niewątpliwie wpłynęły na charakter mieszkańców i rozlały na ich sposób życia pewną łagodność i polor, który odróżnia ludzi

mających wyższe potrzeby i szukających zaspokojenia w umysłowych rokoszach, od pogrążonych w używaniu zmysłowych środków do zbudzenia albo raczej przebudzenia wół uszpionej duszy.

W zwyczajach mieszkańców Neuchatelu rozlana jest ujmująca słodycz, obok wielkiej pracy i zabiegłości, co im posłużyło do nagromadzenia znaczniejszych majątków. Liczne do kofa wille otoczone ogrodami, wytwornym smakiem odznaczające się, są niejako odbiciem stanu umysłowego ludzi je zamieszkujących. Umiejętności nie tylko są pielęgnowane przez nich, ale znakomicie rozwijane; i aczkolwiek Neuchatel nie liczy więcej nad 6000 mieszkańców w swych murach, więcej wyrodził nowych pomysłów, aniżeli nie jedno stutysięczne miasto. Najwięcej zajmują się poznaniem praw rządzących w naturze. Pomiędzy uczonemi neuchatelskiemi, pierwsze miejsce trzyma Ludwik Agassiz, jeden z najznakomitszych teraz żyjących badaczy natury. Liczne jego odkrycia odznaczają się śmiałością pomysłów, bystrością właściwą wyższym ludziom i filozoficzną wszechstronnością. Głównie kształcąc się na zoologa, po zgłębieniu téj umiejętności zwrócił się do pozostałości zwierzęcych, znajdujących się w skałach, czyli do skamieniałości. Prace jego zajmujące ogół oświeconego świata, przejdźmy w ogólnych zarysach.

Najcelniejsze dzieło które Agassizowi znakomite imię w świecie uczonym zapewniło, stanowią: poszukiwania nad rybami skamieniałemi (1) twardéj skorupy ziemskiej. Do czasu wyjścia tego dzieła, nie umiano ryb pierw-

(1) Recherches sur les poissons fossiles. Neuchatel 1833. Dotąd wyszło 14 poszytów: piętnasty jeszcze w tym roku wyjdzie.

tnego świata odróżniać: cokolwiek o nich pisano było raczej zbiorem wiadomości, aniżeli poznaniem przedmiotu. Kiedy młody jeszcze Agassiz, po ukończeniu uniwersytetu w Munich i Heidelbergu udał się do Paryża, i gdy w bogatym muzeum nauk przyrodzonych pracował, przejrzał przypadkiem uwagi jego nad rybami skamieniałymi Cuvier, ów twórca umiejętnej zoologii. Uderzony trafnością nowych pomysłów, odstąpił od zamiaru opisanie ryb przedpotopowych; a gdy zwątlonego wiekiem coraz bardziej siły opuszczały, oddał Agassizowi wszystkie tyczące się ich uwagi i notaty zbierane przez całe życie. Godnie odpowiedział Agassiz położonemu w nim zaufaniu. Według własnego podziału opisał ze wzorową ścisłością i krótkością ryby skamieniałe. Podział ten zastosowany do geologii, odkrył nowe prawo rządzące naturą w licznych przemianach ziemi. W każdym bowiem wielkim okresie, w którym się nowe warstwy osadziły, żyły właściwe ryby różniące się od poprzednich. Do wydania tego dzieła przyczyniła się prawie cała Europa: wezwani uczeni nadsyłali Agassizowi zewsząd swe zbiory ryb skamieniałych; wysłani malarze kilka lat rysowali je w Londynie i w innych miastach angielskich; sam wreszcie zwiedził główne zbiory niemieckie, francuzkie, angielskie, szwajcarskie, włoskie. Tym sposobem dzieło to doszło do wysokiego wykończenia, tablice zaś pod okiem Agassiza wykonane osiągnęły najwyższy stopień doskonałości.

Mimo wielkiego w sparcia przez nabywanie dzieła w mowie będącego, gdy nakłady zbyt wielkimi okazały się, przyszło w pomoc Agassizowi zgromadzenie badaczy natury angielskich noszące nazwę *Brittish Association*, po dwa razy znakomitym zasiłkiem 400

funtów szterlingów wynoszącym (1600 zł. pol). Lord Egerton zaś ofiarował Agassizowi 900 funtów szterlingów za rysunki ryb skamieniałych, z których litografie do tego dzieła wykonane zostały, z zezwoleniem aby je do śmierci autor u siebie zachował. Nie mały zasilek przyniósł Al. Humboldt, wszystko wspierający cokolwiek jest wielkiego.

Jako dopełnienie stanowiące drugą część, jest: opis ryb żyjących w wodach słodkich środkowej Europy. (2).

W pierwszych dwóch poszytach opisał Agassiz pstronki i ich embryologią czyli rozwijanie się począwszy od jajka aż do wykształconej ryby. Załączone ryciny do tego dzieła odznaczają się największą wytwornością, obok ścisłości umięjętniej.

Również ważną a nie mniej obszerną jest monografia Echinodermów czyli jeżów morskich żywych i skamieniałych, (3) które Agassiz po zglębieniu dokładniejszym budowy wewnętrznej, właściwym sobie sposobem podzielił. Część anatomiczną tego dzieła wypracował Valentin, znakomity fizyolog, który po dwakroć udawał się na brzegi morza Śródziemnego, dla rozpoznawania budowy wewnętrznej tych zwierząt. Cztery dotąd wydane poszyty tego dzieła powiększyły znakomicie liczbę znanych jeżów morskich, a dokładniejsze onych oznaczenie okazało się wielce pożytecznym w zastosowaniu — w geologii. Jestto nowy środek do oznaczenia warstw

(2) *Histoire naturelle des poissons d'eau douce de l'Europe centrale, où description anatomique et historique des poissons qui habitent les lacs et les fleuves de la chaîne des Alpes et les rivieres, qu'ils reçoivent dans leur cours.*

(3) *Monographie d'Echinodermes vivans et fossiles par L. Agassiz.*



skorupę ziemską składających, a témsamém do poszukiwań pożytecznych mineralów. Tylko ściśle zgłębianie natury wykrywają prawa nią rządzące, i te są tylko pożyteczne.

Płodny umysł Agassiza w nowe pomysły, obrał jeszcze inną część zwierząt do swych poszukiwań. Niektóre rodzaje muszli dwuskorupnych nie były dotąd dokładnie poznane. Nad niemi począł wydawać swe poszukiwania w innéj publikacyi (4), nagromadziwszy poprzednie nadzwyczajnie wielkie zbiory. Jak we wszystkich innych pracach tak i w téj rozpierzchnione części zbiera i porządkuje, a z właściwą sobie krytyką i bystrością roztrząsa i porównywa cechy muszli i nowe środki wynajduje, aby tego oddziału skamieniałych zwierząt własności poznać. Ważne powody skłoniły go do tego nowego zajęcia. W skałach z wód osadzonych, znajdują się obficie odciski muszli dwuskorupnych, których skorupa pospolicie znikła i pozostał tylko odcisk, czyli ziarno wypełniające ich wnętrze, a chociaż liczba ich była bardzo wielką, nie umiano ich oznaczać, i gubiono się w samych domysłach. Agassiz wynalazł środek bardzo prosty odkrycia ich zamku. Namienić mi wypada, że główna cecha muszli dwuskorupnych w téj części się znajduje, w której obie skorupy są spojone, czyli w zawiasach mających nierówności nazywane zębami; na ich znajomości zasadza się rozróżnienie rodzajów. Ziarna mają odciski owych nierówności: na nie nalewając Agassiz gips, otrzymał kształt zawias i ich zębów, a témsamém odgadnął rodzaj do jakiego należały.

(4) *Etudes critiques sur les mollusques fossiles. 1841. poszyt I i II.*

Równe trudności ze skamieniałościami dwuskorupnymi zachodziły, jeżeli ich skorupy są zachowane. Zewnętrzna strona muszli mało daje cech i nie jest dostateczną do poznania rodzaju; nie mając zamku nie można ich ściśle rozpoznać.

I tutaj wynalazł Agassiz środek odkrycia onegoż. Skorupy zwyczajnie mają różny skład chemiczny od ziarn, i na tej wiadomości polega ich zdejmowanie. Włożona podobna skamieniałość w ogień, pewien czas wypalona traci skurupę, a na ziarno nalewa się gips, i tym sposobem otrzymuje zamek.

Dwa poszyty dotąd wydane owej publikacji są poświęcone rodzajom *Trigonia* i *Mya*.

Wysokie Alpy wiecznym śniegiem okryte, majestatycznie przed Neuchatelem rozpostarte nie mogły ująć uwagi Agassiza. Wiele szczytów głośnych po całej Europie, dobrze znanych odwiedzającym turystom, nie dotknęła stopa ludzka. Agassiz ze swojemi towarzyszami naukowemi, śmiałym krokiem wstępuje na szczyty dotychczas uważane za niedostępne, robiąc na nich umiejętne poszukiwania. I tak: w roku 1841 wstąpił na górę Jungfrau w licznym gronie, a mianowicie z prof. Forbes z Edyburga, Keath z Cambrigde, du Chatelier z Nantes, Pury, Desor, Vogt z Neuchatelu.

Ale nierównie ważniejszymi są prace Agassiza nad lodowcami (*Glacier*, *Gletscher*) pokrywającemi znaczne przestrzenie Alpów. Zdaje się na pierwszy rzut, że lody mało co mogą zajmować umysł obuczonego człowieka; martwe i zimne nie pozwalają rozwinąć się ani ubarwionym roślinom, ani bez ciepła niemogącym się obejść zwierzętom. Gdziekolwiek wieczne rozpościérają się lody, skały z niemi stykające się są wygładzone, czę-

sto jakby wypolerowane, a podłużnemi równoodległemi liniami porysowane. Jestto skutek posuwających się lodowców z góry na dół. W dolinach alpejskich, często kilka godzin drogi odległych od terażniejszych lodowców, znajdują się wygładzone skały: nadto odkryto je w nierównie znaczniejszych odległościach. I tak: w górach Jura 8 do 10 mil odległych od terażniejszych lodowców alpejskich, skały ich białego wapienia są w znacznych przestrzeniach porysowane i wygładzone. Prosty wyprowadził Agassiz z tego wniosku, że lody w czasach przedhistorycznych znaczniejszą się rozciągały aniżeli w terażniejszych, i że góry Jura pokrywały. Wniosek ten niemało potwierdzają ułamki granitów i innych skał rozproszonych (blocs erratiques) znajdujących się wszędzie w pobliżu skał wygładzonych. Wieczne lody posuwając się, prowadzą na sobie ułamki granitów zwałające się przy ich końcach w wielkie kupy kamieni, zwane morenami. Doliny szwajcarskie zawałają podobne kamienie, a nawet znajdują się na górach Jura, dosyć obficie rozsiane. Dawniej tłumaczono sobie, że je wielkie pędy wód naniósł, które same doliny miały powydziierać. Teraz nie wątpi nikt, że inne przyczyny dały początek dolinom; i o sposobie przybycia owych błędnych kamieni wszczęto wątpliwości. Ze znacznych odległości pochodząc, nie mogłyby ostrych krawędzi zatrzymać, tymczasem na pasmie Jura rozsiane ostre krawędzie dotąd zachowały. Musiały zatem przybyć na lodach, pokrywających całą dolinę szwajcarską pomiędzy Alpami a Jura. Po zniknięciu ciepłego klimatu panującego kiedyś, nawet w mroźnych krańcach Europy, udowodnione licznymi drzewnymi paproci i kośćciami noso-

roźców i słońi, istot właściwych klimatom podrównikowym, nastąpił czas mroźny, lodowy, który według Agassiza sprawił rozsianie bloków granitowych. Bloki skandynawskie po całej północnej Europie rozrzucone, po Francyi, Niemczech, Polsce, Rosyji tym sposobem miały przybyć. Po tym lodowym czasie nastąpiła dopiero temperatura łagodniejsza, właściwa obecnie krajom europejskim.

Ta śmiała teoria wyprowadzona z niewielu faktów, choćy się nie zupełnie stwierdziła, dała powód do ściślejszego rozpoznania wielu krajów i wynalezienia śladów bytności oddawnych lodów: odkryto je bowiem w Szkocyi, Norwegii, Szwecyi. (5)

Tyłoma gałęziami nauk przyrodzonych zajmując się Agassiz, przy czytaniu licznych dzieł zbiera zarazem wiadomości literackie i w obecnej chwili wydaje dwa wielkie tego rodzaju dzieła. Pierwsze nosi tytuł: *Nomenclator Zoologicus*. Przy nadzwyczajnym nagromadzeniu wiadomości o zwierzętach, ma na celu zaprowadzenie porządku przy wydawaniu nazwisk. Często się bowiem zdarza, że autorowie nowo odkrytym zwierzętom dawne imię rodzajowe nadają, przez kogo innego poprzednio użyte. Rosnące coraz bardziej zamieszanie *Nomenclator* Agassiza wybornie usuwa, kładąc koniec wszelkim wątpliwościom mogącym się wydarzyć.

Powtórę, zamierza wydać *Bibliotekę zoologiczną, mineralogiczną i geologiczną*, w której wyliczy wszystkie dzieła i rozprawy napisane w wymienionych przedmiotach po wszystkie czasy i miejsca (6).

(5) *Etudes sur les Glaciers*. Neuchatel 1842.

(6) *Materiaux pour servir a une Bibliotheque zoologique et paleontologique*.

Do tych wielostronnych prac Agassiza, przyczyniają się Vogt, Desor, Gressly, przyciągnięci jego osobistością do Neuchatelu, i części jego dzieł wypracowują, i tak: Embryologią pstrąga do drugiego poszytu ryb żyjących przygotował Vogt i tłumaczenie niemieckie Poszukiwań nad lodowcami; Desor zaś opisy do dwóch poszytów Echinodermów; a niezmierny w rozpoznawaniu budowy wewnętrznej gór Jura—Gressly, zebrał nadzwyczajnie wiele skamieniałości zdobiących gabinet neuchatelski: położywszy zarazem zasady do ściślejszego oznaczenia pokładów formacji Jura. Rezultaty tych poszukiwań znajdują się w nowych pamiętnikach badaczy natury szwajcarskich. (T. II i IV).

Przy Neuchatelu mieszka teraz Dubois de Montpeureux, mąż w świecie uczonym zaszczytnie znany, zajmujący nas tem więcej, im przedmioty któremi się trudni są nas bliższymi. Długi czas przebywając na Litwie, Podolu, Ukrainie opisał skamieniałości tych krajów; pierwszy zwrócił uwagę na skamieniałości formacji Jurassowej w Popielanach, a potem zwierzęta pierwotnego świata, formacji trzeciorzędowych wołyńskopodolskie opisał. (7) Obecnie zajmuje się wydaniem ostatnich tomów podróży do Kaukazu odbytej. Jestto jedna z najcelniejszych podróży do tych krajów odprawionych, rzucająca wielkie światło na starożytności tych niegościnnych okolic, i przedmioty przyrodzenia. Odprawiając swą podróż właśnie w czasie wojny, często pod osłoną armat badał skład wewnętrzny Kaukazu. Towarzystwo jeograficzne paryzkie ceniąc zalety tego dzieła, wyznaczyło P. Dubois w nagrodzie wielki medal

(7) Conchyologie Volhyni-Podolien.

złoty, a rząd rossyjski dał znaczny zasiłek do wydania atlasu. Za daleko bym się zapuścił wymieniając wszystkich uczonych przebywających w Neuchatelu, a umiejętnościami przyrodzonymi zajętych. Znaczna ich liczba przykłada się swojemi odkryciami do wydania Pamietników neuchatelskich, niezbędnych dla każdego badacza natury. Pyszny gmach z ciosu nad jeziorem, wystawiło miasto dla gymnazyum i zbiorów nauk przyrodzonych: aby zaś ułatwić ich powiększanie, wszelkie koszta pocztowe wzięto na siebie. Przy niezmierniej czynności Agassiza i licznych jego stosunkach, doszły te zbiory do rzadkiej zupełności i uczyniły Neuchatel ogniskiem, z którego rozchodzą się dobroczynnie promienie nowych pomysłów, płodnie na poznanie natury wpływające.



## PRZECISZE W

SZKIC HISTORYCZNY 1701 — 1709.

przez

*Ad. An. Kosińskiego.*

### I.

W obszernej komnacie Przeciszewskiego dworca, przy końcu grudnia 1701 roku, dwóch starców żwawą między sobą prowadziło rozmowę, jednym z nich był właściciel miejsca, Albert Grzymała Przeciszewski Stolnik Płocki, drugim Michał Pobog na Bromierzu dziedzic, Bielski starosta.

— Wiek obu starców był ten sam — też same strony urodzenie ich widziały, od dzieciństwa sąsiadowali i przyjaźnili się z sobą, a przecież niebyło potrzeba biegłego oka badacza, aby dojrzyć między nimi niezmierną różnicę — wywijająca ona w ich postawie i stroju, ryła się na licach i w oku. — Średniego wzrostu, lecz silny, kościsty, o czole latami w fałdy, szablą wrogów w szramy rozrytém, Stolnik Przeciszewski widocznie był jednym z téj szlachty Stefana i Zygmunta Wazy, dla których honor więcej ważył niż życie, w których sercu nie powstała prywata, a cnota hasłem życia była. Inny charakter inny wiek uosobniały się w tłustym chociaż pięknego lica Bielskim staroście, dla jego pulchnej dłoni, utrudzeniem zapewne szabla byłaby, w oku czytałaś obłudę, miłość własną, interest osobisty górujące nad zamiłowaniem dobra ogółu, cnót obywatelskich. Jak wiek siedemnasty wiek silny rycerski wierny Bogu Kró-

lowi i krajowi, wybijał się a może i kończył na Przeciszewskim dziedzicu; tak osiemnasty, słaby, nikiemny, intrydze oddany poczynał się i piętnował w panu na Bromierzu. Lecz posłuchajmy ich rozmowy.

— A więc ostatnie twoje postanowienie panie bracie! jest, kończył rzecz swoją Starosta, Sasa partyzantem pozostać, bronić sprawy króla którego cały naród porzuca, którego samo niebo opuszczać zdaje się?

— Nie Sasa Mospanie partyzantem chcę ja być, ale kraju mojego, odparł brzęcząc po rękojeści swęj szabli dziedzic Przeciszewa: dla mnie wiesz zdawna, Aszmości prywata niema żadnego baczenia, honor i powinność jak były tak pozostaną jedyną skazówką moich postępów.

— Honor i powinności — mruknął nieco szyderczo Starosta i dodał.

— Zważaj przecie Aszeci na co się narażasz, co czynić zamysłasz. Szwedzki Król silny, dwóch już pokonał monarchów i naszemu da radę, a wtedy Mospanie! biada wszystkim co mu jaki opór stawia: niezawodnie w perzynę pójda ich włości, w jassy poddani. Przypomnij sobie co się działo za Jana Kazimierza: przypomnij sobie ile czasu potrzebowaleś sam aby zagoić rany owęj wojny! przyprowadzić do ładu i dobrego stanu twe mienie. Chceszże w jednym dniu nawet niweczyć owoc lat kilkudziesięciu zabiegów i pracy? z zamożnego obywatela przyjść na tułacza, żebraka?

— A choćby i tak się stało, choćbyś nie fałszywym prorokiem był Mospanie Starosto! przekonać mnie jeszcze nie zdołasz. Ja szlachcie staręj daty za morze po naukę nie jeździłem, u Francuzów nie szukałem rozu-



mu; ale w staropolskich cnotach schowany, zejść z niemi do grobu. Strata na majątku niczem mi nie ujmie honoru, a czyżbym go nie skalał idąc w brew przekonaniu memu, łamiąc przysięgi prawemu poniesione monarsze?

Starosta czoło w marszczki sfałdował, słowa Stolnika widocznie do przekonania jego nie szły, może śmiesznemi zdały się nawet. Już chciał szydną i cierpką odpowiedzią wybuchnąć, gdy nagle jakąś nową myślą zabłysnęło oko — znalazł przekonanie jak sądził wyborne, i przysunąwszy krzesło bliżej do kolegi, z cicha, niby w sekrecie, chociaż nikogo nie było w komnacie! tak mu szeptał:

— A jeżeli szkody nie wstrzymują cię panie Albrechcie! to może własny interes podoba: słuchajże mnie pilnie, ho projekt jaki ci podam niezawodne korzyści nietylko tobie, ale całemu domowi przyniesie. Odebrałem dzisiejszego poranka list od księcia Prymasa, wiedz co mi pisze. Detronizacya Augusta jest jak gdyby pewną, Król Jegomość Szwedzki za pierwszy i nieodzowny warunek kładzie ją w traktowaniach z rzecząpospolitą. Panowie Senatorowie, a szczególnież ksiądz Kardynał i nasz ziomek lwowski Arcybiskup (1) zgadzają się na to, idzie tylko o zezwolenie nas szlachty. Otóż ksiądz Prymas obiecuje temu, który pierwszy przeciw Sasowi konfederacyą zawiąże, starostwo, dygnitarstwo lub krzesło do wyboru. Rzecz dalipan piękna, pokusić się warto, masz wpływy i z rodu i z siebie między zagonową tutejszą szlachtą, nie potrzeba ci wiele starań aby ją podburzyć i do ogłoszenia się przeciw

(1) Zieliński Płoczezanin.

Augustowi nakłonić; za twoim przykładem pierwszy pójdę, i wkrótce da Bóg doczekać, ujrzymy się wspołem w senatorskiej izbie. Niebezpieczeństwa niema żadnego; bo czyż w dowódcach szwedzkiej armii silnych protektorów nie znajdziem?

Z oburzeniem z trudnością tajonem, dosłuchał Stolnik projektów sąsiada i odparł na nie:

— Panie bracie! gdyby kto inny nie Aśc, śmiał mi podobne w oczy rady miotać, dobyłbym karabeli pewnie, i krzyżową sztuką posiekałbym mu czerep na części; bo dalipan sądziłbym, że albo śmieszki ze mnie chce stroić, lub doświadczać cnoty starego żołnierza. Lecz z tobą rzecz inna; bo wiem żeś co mówisz, toś mówisz tylko z poduszczenia cudzego, a najwięcej z tych panów, co dla prywaty zabaczywszy najświętsze obowiązki człowieka i szlachcica, gotowi sumieniepoświęcić. Słuchaj innie przecież, a Bóg widzi że szczerą prawdę ci powiem. Przód niżbym złamał przysięgę co dobrowolnie Augustowi poniosłem, przód niżbym frymarką sumienia skalał siwe me włosy, choć jednym groszem, własną hańbą, szkodą powszechną, nabytym powiększył majątek, zezwalam, niech imię moje pójdzie w niesławę, niech kto chce bezkarnie w oczy rzuci sromotę! a ród cały niech się pokrewieństwa ze mną wyprze; bo czyż byłbym go godnym po świętokradzkim czynie?

Nawzajem tłuście policzki Starosty, gniewu powlekl rumieniec.— Piękne to słowa, odparł z nietajonem szyderstwem, lecz nie więcej. Cheesz naśladować koniecnie owych heroów greckich i rzymskich, których dziejami bałamucisz ci głowę w młodości głupi nauczyciel i nierozważny ojciec. Pomnij przecież, że co było kiedyś w uwielbieniu dla świata, dzisiaj obrzucone śmie-

szością od niego! Prima charitas ab ego—mówi przy-  
słowie, a szaleniec kto nań nie daje baczenia: z twojami  
maxymami panie bracie! jak niedaleko zaszedłeś i nie  
zajdziesz daleko. Za Korybuta i Sobieskiego, na Podolu,  
pod Wiedniem, na Wołoszczyźnie i Bóg wie gdzie, lałeś  
krew, na szwank narażałeś życie, a jaką otrzymałeś na-  
grode? powiększyłś choć jedną possessyą mienie? masz-  
że zyskowny jaki urząd, starostwo lub dignitarstwo?  
Honor piękną jest rzeczą, ale i w nim miarę chować  
należy. Nie naśladuj twych przodków, co dla próżnej  
sławy, upor, lub źle zrozumianych powinności, kładli  
gardła na placu boju, tracili fortuny, albo je uszczu-  
plali znacznie. Szczycisz się ich wspomnieniem, wy-  
nosisz w dumę ich zasługami; przeciwnie jabym ich  
przeklinał lub gardził tą przynajmniej ślepotą, co na wła-  
sne dobro zamykała oczy. Tyle familii nowych, tyle  
imion nieznanych przyszło, korzystając z okoliczności, do  
magnacych fortun, buław i krzesel, kiedy wasza od  
wieków na tej ziemi istniejąca, jak była, pozostała szla-  
checko-wioskową. Patrz na mnie: z ojca i połowę nie  
otrzymałem tyle mienia co ty, nie biegałem po świecie  
za Tatarem i Turkiem, a przecież dziś i starostwo mam,  
intratną possessyą jedną i drugą, i nadziei też trochę  
na dalej.

Można było bezkarnie obrazić miłość własną  
Stolnika; lecz biada temu, kto śmiał targnąć się na  
cześć jego przodków, najłżejszym słowem przyniósł  
ujmę ich pamięci! Dłoń starca żwawo upadła na ręko-  
jeść szabli, odsunął ją przecież po chwili rozważi, lecz  
wyrzekł z zapałem:

— Mospanie! ani dawna przyjaźń nasza, ni kole-  
żeństwo półwieczne, nie zasłoniłoby cię od zdania ra-

chunku z słów wyrzeczonych niebacznie, gdyby nie zatrzymało dłoni wspomnienie ześ gościnną w tym domu, że pod jej świętymi prawami zostajesz. Błagam cię jednak nie kalaj bluźnierczym językiem pamięci mych przodków, ani postępkami ich sądź, kiedy ni ich rozumieć ni pojąć nie możesz. Co do mnie — prawdę powiedziałeś: urodziłem się i umrę wioskowym szlachcicem; lecz jak żyłem, umrę poczciwym, frymarką sumienia zyskiwać nie będę dostojnością, intrygą nie zbuduję fortuny. Miěj więc sobie starostwa, bądź Kasztelanem i Wojewodą, depcz honor przodków, ale mnie nie judaszuj, nie odwódź od cnoty. Przysięgam ci! próżna to rzecz jest: bo nie chcę, aby imię moje czyste od wieków, było w przekleństwie i wzgardzie u potomności najdalszej.

Obraza była za nadto silną, nadto wprost w oczy rzuconą, aby nie dobodła miłości własnej starosty. I on ujął za karabelę, i w jego piersi na chwilę żądza pomsty, chęć ukarania obelgi zawrzała; lecz to była przelotna łyskawica dumy i honoru. Stłumiła ją obawa: wiedział że utarczka z Stolnikiem człkiem silnej i wprawnej dłoni, niebezpieczną była. Pozostawił zatem miecz w pochwie, za kapelusz ujął, i głosem drżącym od gniewu, ku drzwiom komnaty oddalając się — wyrzekł:

— Na upór niéma lekarstwa. Kiedyć zdrowa rada nie idzie do przekonania twojego, gdy ją owszem nagradzasz uchybą gościnności, działaj sobie i czyn jak ci się podoba; lecz potem co zaszło, pojmujesz zapewne, że wszystkie związki sąsiedztwa i przyjaźni rozdarte być muszą między nami; rozdarte być muszą i

zobowiązania wzajemne, jakie zawarliśmy we względzie postanowienia przyszłego naszych dzieci.

Po raz pierwszy od mnogich lat dwaj koledzy pożegnali się zimném tylko głowy skinieniem. Po raz pierwszy w sercach obudwu była ku sobie uraza i niechęć: różne wyobrażenia i okoliczności, dwóch serdecznych przyjaciół w zaciętych przemieniły wrogów.

## II.

Długo przecież poczciwy Stolnik, pogłądał za oddalającą się szybko karocą Starosty, i w jego oku łaża wiła, w piersi było duszno, w sercu boleśnie. Chociaż wyobrażeniami i charakterem z sąsiadem różnił się, ależ pierwszą młodość z nim strawił pospołem, od lat pięćdziesięciu związany był ścisłym węzłem przyjaźni i sąsiedztwa, nie jedną gorzką chwilę życia niemi osłodził, nie jedną rokoszną więcej uprzyjemnił jeszcze; że rozerwać je teraz, wydrzyć z pamięci, dla poczciwego serca istotną męczarnią, istném było cierpieniem.

Inna przecież pozostała mu jeszcze próba, inny obowiązek, na którego wspominek drżał cały: dotąd cierpiał on sam, teraz miał przynieść cierpienie najdroższej dla swego serca istocie, — jedynaczce córce.

Z pochmurném czołem, z westchnieniem w piersi, wszedł do jój komnaty.

Piękna dziewczica nie była samą, obok niej drobniawą może, ale zapewne miłą sercu zajęty rozmową stał jój narzeczony — jedynak Starosty, Kazimierz z Bromierza. Czoło Stolnika więcej pochmurzyło się jeszcze. Znał serce dziewczicy, wiedział że ono z dawna biło dla tego komu oddać miała rękę; nadto ta miłość była za jego wolą, za poradą nawet: uświęcić ją węzłem

mażeńskim sam pierwszy zapragnął, lecz wachać się nie mógł. Jakkolwiek wyrok losu był srogi, nad siły jego nie był: skinieniem ręki zawezwał za sobą zdziwionego młodzieńca, i tak mu rzekł gdy się znaleźli w komnacie, którą niedawno Starosta opuścił.

— Panie Kazimierzu! lat ci wkrótce dobiegnie trzydzieści, doszedłeś zatem wieku, w którym zdrowo o rzeczach sądzić winienes, własne, jak na dobrego obywatela przystoi, mieć zdanie. Znasz stan kraju, wiesz że król August opuszczony od najgorliwszych swoich stronników, chwieje się na tronie, że dumny Szwed głośi nową elekcyą i do niej cały naród przyzywa; jakaż tedy chęć twoja? czy pójść za naszym Monarchą, czy liczbę jego przeciwników powiększyć?

Młodzian zarumienił się lekko. Chociaż żył w czasach pełnych zamieszkań, w czasach kiedy każdy szlachcic brał stronę jaką mu własny interes lub powinność nakazywały, on ani pomyślał nawet, aby wśród krzyżujących się zdań wybrać jakowe, w wirze burzliwych rozpraw wynaleść dla siebie skazówkę i bodziec w postępowaniu; jemu miłość tyle zabierała czasu... potem związki rodu, biesiady i łowy sąsiedzkie. Nadto wychowaniec szkół jezuickich, cisniony wolą ojca, mógłże mieć własną? Odparł.

— Sprawa twoja panie Stolniku! czemu niema być i moją? Co uradzicie z panem Starostą przyjmę jak najchętniej, a choćby przyszło do szabli dobytcia, nie ulegnę się wcale: wszakże, dzięki ci, nieźle nią władam.

Starzec lekko głową skinął: może inną, więcej samostną, rad był słyszyć odpowiedź. Wyrzekł posępnie:

— A gdyby drogi nasze całkiem różne były? Gdyby od lat dziecinnych skojarzeni z twym ojcem przyjaźnią,

rozerwać ją teraz mieliśmy, różnych a wrogich sobie stron partyzanci — cóżbyś uczynił?

Młodzieniec pobladł i wzdrygnął, i — to niesposób — wyjąkał.

— Tak jest przecież, rzekł Stolnik. Wsparł czoło na dłoni, kilka chwil milczał pośepnie i dodał:

— Panie Kazimierzu! posłuchaj słów moich, i wierzaj iż co rzeknę, boleśnie dla serca i duszy. Ojciec twój stronę szwedzką ima, ja przeciwnie wiernym Augustowi chcę zostać. Pojmujesz zatem jaka niezmiernona otchłań rozdziela dwa domy, dotąd braterstwem i sąsiedztwem związane; pojmujesz, że kiedy rodzice nieprzyjaciołmi zaciętymi będą, kiedy być może krew swoją muszą na placu boju rozlewać, dzieci ich nie mogą się łączyć, nie mogą w święte śluby małżeńskie wstępować. Powtarzam ci jeszcze: przykro mi jest, boleśnie dla serca rozdzierać ze wszystkimi życzeniami serca: w jednej chwili burzyć gmach pięknej nadziei, pozabawiać własne dziecko szczęścia: bo czemuż taić mam — ona cię kocha; lecz tego chce straszny wyrok losu, honor — uleż im winieniem.

Młodzieniec zadrżał: słowa starca niszczyły wszystkie jego ułudy, rozdzierały serce. Powstał żywo z krzesła, jakby walcząc myśl jakąś, i oko jego zabłysło, twarz rzeźwy powlekł rumieniem, widocznie ocknęła się dusza z uspienia. Młodzian dziecię, silną wołą przedzierzgnął się w człowieka; ujął rękę Stolnika i mówił z zapalem.

— Panie! od dzieciennych lat, od kolebki nawet, nauczyłem się kochać ciebie, szanować twój charakter, iść za radami twojemi. Byłeś mi ojcem i więcej niż nim nawet, bo kształciłeś rozum i serce, wskazałeś cel ży-

cia i powinności dobrego obywatela. Z kilku słów coś wyrzekł, pojąłem całą twą duszę, pojąłem ofiarę. Wiem dla czego stronę Augusta bierzesz? Panie! pozwól mi pójść za twym przykładem, pozwól służyć pod swym przywodem. Sprawa twoja jest sprawą mego serca i przekonania! inną mieć nie chcę! Kocham Jadwigę: przecież nie żeby pozyskać jej rękę, lecz aby godnym być ciebie, godnym obowiązków obywatela, chcę walczyć, chcę bronić naszego monarchę.

Oko starca rozpfłomieniono radością. A więc nie omylił się w wyborze zięcia dla siebie, męża dla jedynaczki swjej córki. Przycisnął szlachetnego młodziana do piersi, odparł mu jednak:

— Bóg widzi panie Kazimierzu! że słowa które wyrzekłeś, miłe są dla serca i duszy, w strapieniu mojem istotną pociechą. Bóg widzi, że kocham cię niby rodzzonego syna, że dać ci tę nazwę, najmilszemu było mojem życzeniem; przyjąć jednak ofiary, zgodzić się na twe postanowienie, jest istotnym dla mnie niepodobieństwem. Masz ojca: on, nie ja o losie twoim stanowić powinien, jego sprawa twoją być winna; to obowiązek chrześcijańskiego poczciwego syna! — O jedno tylko winienem cię prosić. Sprawa którą biorę, czuję sam, zgubną będzie dla mnie, zgubną dla Jadwigi! Bolesne przeczucie gnębi pierś i serce. Panie Kazimierzu! nie zapomnij wtedy, że ona miała być twoją żoną, że ona cię kocha; jeśliś nie mógł być jej mężem, bądź bratem, wspieraj jak siostrę!

Napróżno młodzieniec walczył postanowieniem starca. Niezachwianym był on w swjej woli, pozwolił przecież raz jeszcze widzieć — pożegnać Jadwigę! — Któżby określił cierpienie dziewicy? nie uległa mu jednak. Ka-



zimierz kłął jej niezachwianą i wieczystą miłość. Mogłaż mu nie ufać? — ona! w której sercu tyle było miłości, tyle wiary w cnotę — nieszczęsna!

### III.

Dwa lata ubiegło: straszny to był czas dla Lechii, początek tych kłesk którym koniec stolecia nieodzowne rozwiązanie miał przynieść. Droga od miasteczka Płońska ku Płockowi wiodącą, o chłodnym jesiennym wieczorze, spieszyło dwoje podróżnych: starzec lat pięćdziesięciu i młoda piękna dziewczyna. Oboje w grubych szatach wieśniaczych, oboje znużeni pieszą podróżą, skołatani cierpieniem duszy, więcej jeszcze niż ciała.

Byli to: Stolnik Przeciszewski z swą córką.

Starzec wierny przekonaniu swemu — Augusta wziął stronę, zawiązał na jego korzyść konfederacją i zaciętą walką trapił hufce Karola. Lecz czyliż męstwo zdołało się przewalczyć? co więcej, straszny wyrok Boga! Przed dwoma tygodniami w okolicach Pułtusza okrążony przez Szwedów, po zaciętej bitwie uległ Stolnik; towarzysze jego polegli lub w wszystkie rozpierzchli się strony, on sam przypadkowi tylko winien będąc ocalenie życia, z lubą córką co mu nieodstępna była w niedoli, ścigany bezustannie od szwedzkiej pogoni, ku pruskiej przebieirał się stronie.

Kraj który teraz przechodził, znany mu był dobrze — bo wszakże jego rodzinny, posiadłości jego własne, dziedzictwo rodu od lat niepamiętnych, gdy je opuszczal kilkanaście miesięcy temu, były jeszcze piękne, zamieszane i ludne: a teraz? — teraz rodzinny dworzec leżał w ruderze, wioski opustoszone, pola nie uprawne.

Strata majątku jeśli bolała, więcj jeszcze dotknęła poczciwe serce wiadomość, że pan na Bromierzu, teraz już płocki kasztelan, korzystając z niedoli sąsiada, jego mienie zagarnął, już to na mocy jakichś praw podrobionych, już téż darowizną od Karola dwónastego.

A ten człowiek zwał się przez lat pięćdziesiąt jego przyjacielem, dziecinne lata z nim przeżył pospołem... to boleśnie!

Przeszedłszy mały lasek jodłowy, stanęli podróżni na krzyżowych drogach. Sterczała tam z jednej strony murowana figura—pamiętnik urodzin Jadwigi, z drugiej wyniosły kopiec graniczny.

Stolnik usiadł na nim, w oku łza błysnęła... jeden krok tylko i już miał opuścić rodzinną ziemię, ziemię wspomnień młodości, uroków dojrzałego wieku, i żegnał ją na zawsze—tułaczem, hannitą!

Cierpienie starca pojęła córka, uściśnęła dłoń jego, rzewnemi łzami skropiła, i rzekła:

— Ojczy! porzuć bolesne myśli. Cierpkie próby dopuszcza Bóg na nas, lecz czyliż świętej jego woli niepowinniśmy uleż w pokorze? czyż jego opieka nie jest widoczną nad nami? Ocalił nas niedawno z klęski, w której wszyscy towarzysze twoi ulegli, ocalił z niewoli, przewiódł szczęśliwie wśród szwedzkiego obozu, omylił nieprzyjaciół pogonie.

Tak! — masz słuszność Jadwigo. Bóg dobry, łaska wy—niechaj się święci po wszystkie czasy jego wola. Przecież dziecię moje, przykro to nie być między swemi. Ależ mniejsza o mnie, lecz ty dziecię... Ach! słusznie powiedział kiedyś przed dwoma latami starosta... ty mnie kląć powinnaś, ty przezemnie jesteś żebraczką i tułać się musisz.

— Ojczel! jaż mam cię przeklinać? jaż mam ci wyrzucać postępek, który nakazywał honor, który był obowiązkiem twoim przed Bogiem i ludzmi? Nie jestem Przcziszewską? nie jestem twą córką?

Starzec przycisnął zimne swe usta do bladego czoła dziewczicy, i mówił posępnie:

— Nie sądz przecie droga Jadwigo! że już kres naszych cierpień doszedł; że oswobodziwszy się od szwedzkiej pogoni, znalazłszy bezpieczeństwo w Prussach, będziemy szczęśliwi. Ach dziecię! niepowinięciem ci taić: gorzki to chleb który cudza ręka tułaczowi porzuca, gorzka litość człowieka nieznanego, obcego tobie wyobrażeniami i mową; najgościnniejsza ziemia, najpiękniejsza niebo nie zastąpi własnego choć smętnego kraju! Jadwigo posłuchaj mnie zatém, rozważ co ci powiem! Ja koniecznie muszę uchronić, dla mnie na tej ziemi niema nadziei ocalenia nawet, zacięty wróg Szwedów nie znajdę miłosierdzia u nich; lecz tyś niewinna, ty bez obawy możesz pozostać. Mamy liczną i zamożną familią, u niej znajdziesz opiekę: z chęcią przyjmą cię wszyscy, życie znowu jak dawniej będzie ci lube i piękne, Bóg dwuletnie troski wynagrodzi chojnie; a kto wie, może i on, wiesz o kim chcę mówić, wspomni na dawne przysięgi, pozwolenie ojca otrzyma, zapewni ci szczęście całej przyszłości.

Łzy strumieniem potoczyły się po bladych licach dziewczicy, pojęła kto był ten o którym wspomniał ojciec; pojmowała że przestąpiwszy granice rodzinnego kraju, rozedrze z nim na wieki, rozedrze ze wszystkimi wspomnieniami, najdroższém serca życzeniem; bez wachania się jednak odparła:

— Nie! ojcze, to być nie może, to być nie powinno. Bóg zna, drogą mi ta ziemia, drogim ten o którym wspomniałeś, lecz ty ojcze! droższym mi jesteś nad wszystko. Nie! dodała z wrastającym coraz zapałem: jaż mam jedyną córką opuścić ojca? jaż mam dla własnego szczęścia wyrzec się tego, któremu jedyną tylko troską osłoda być mogę! Ciężką próbę Bóg zsyła, ale też daje dość siły do jęz zniesienia... Tak! nie mogę się wahać... twój los ojcze! mym losem: jakkolwiek on porzuci, jakkolwiek dręczyć będzie, ja twoją towarzyszką na zawsze.

Starzec złożył dłonie niby w modlitwie, wznosił oczy łzami zroszone ku niebu, i po chwili przycisnąwszy Jadwigę do serca, wyrzekł:

— O! niech Bóg ci wynagrodzi ofiarę jaką dla mnie czynisz; niech wynagrodzi, bo nie chcę ci taić, ona mém szczęściem najwyższém, ona jedna da cierpliwie znieść tułactwo i nędzę! Bez ciebie córko! czemże ja byłbym?! Złamany wiekiem, skołatany troską, musiałbym uleść rozpaczy! Lecz śpieszmy się, noc zapada, a my daleką drogą jeszcze odbyć mamy.

Poszli—starzec w milczeniu, dziewczica z łzą w oku. Ile ona cierpiała! Bóg jeden znać mógł. Nieżałowała ofiary jaką swemu ojcu poniosła, śmierć nawet nie byłaby straszną dla niego; lecz ona kochała, ona była kobietą! któżby jęj łez, jęj cierpienia nie przebaczył?!

Późny wieczór ciemnym kirem zaległ już okoliczną krainę, gdy dwaj tułacze doszli niezbyt odległej starożytniej wioski Zagroby. Przed niemi o kilka staj ledwie, wspaniała świątynia wybijała dwoma wiekiem poczernionemi wieżami w obłoki, godło świętej naszej wiary krzyż mchem pokryty sterczał na przyległym smętarzu. Starzec pospiesznie traktem idący już mi-

jał drożynę do kościoła wiodącą, gdy go zatrzymała Jadwiga.

— Ojcze! tam grób mojej matki — głucho szepnęła.

Stolnik wstrzymał się zaraz. — Przypomniałaś mi bolesny obowiązek, wyrzekł: tam groby wszystkich naszych przodków... moje tylko zwłoki nie będą obok nich spoczywać... chodźmy, pożegnajmy je!

Zaledwie jednakże przeszli wrota wioski, okna świątyni jakby cudem jakim, żarkiem światłem zabłysły, wszystkie dzwony zabrzmiały, niby witając lub żegnając tułaczy. Stolnik chciał się cofnąć, wstrzymała go znowu dziewica. Jój oko dziwnie błyszczało: była w niem trwoga, rozpacz, całe serce... Pomimo zmroku wieczora dojrzała ona, że smentarz mnogim napełniony był tłumem, dojrzała gęsty szereg powozów zalegających dziedziniec pobliskiej plebanii; rozróżniała znane sobie barwy dworzan okolicznej szlachty, a nadewszystko dziedziców Bromierza: wszyscy ją noszący pękiem różnokolorowych wstążek i gałązkami mirtu, zdobili swe piersi — a więc to była uroczystość ślubu, co ich o tak późnej porze do świątyni sprowadziła; lecz czyj ten ślub był? O! na samą myśl lodowaciała krew w piersiach dziewicy, serce kołatało trwożliwie!

Stolnik raz jeszcze chciał się cofnąć... nie sposób! odkryją nas, wyrzekł. Dziewica ujęła silnie dłoń jego, walka uczuć miotających sercem przemogła nawet obawę o los kochanego rodzica — jęczała.

— O! na pamięć méj matki, na miłość ku mnie, błagam cię ojcze! — chodźmy!

Świątynia mnogim napełniona była ludem: tłoczył on się, popychał ku wielkiemu ołtarzowi; bo przednim

miejscowy pleban, związkiem słubnym łączył młodą parę. Panny młodej nie widziała, nie chciała widzieć Jadwiga. Cóż ona ją obchodziła? lecz nowożeniec to był jej dawny narzeczony, jej kochanek—Kazimierz z Bro mierza. Na rozdział z nim pozwolić mogła, dwuletnią niedolę zносиła bez szemrania, bez szemrania dłuższą jeszcze mogła łatwo przecierpieć; lecz widzieć tego którego pierwszą miłością kochała, którego przysięgom wierzyła, widzieć mężem inną— to było okropnie! boleśnie, nad siły nieszczęsnej! Upadła zemdlona w objęcia ojca....

Szczęściem nikt z przytomnych nie dał na to baczenia: wszystkich oczy i uwaga na wspaniały obrzęd zwróconemi były, jeden tylko wieśniak w latach podeszłych ulitował się nad cierpieniem Stolnika, dopomógł mu wynieść zemdloną z kościoła i do swojej niezbyt odległej odprowadził chaty.

Dwie godziny ubiegło zanim nieszczęśliwa przyjść do zmysłów zdołała; lecz gwałtowna gorączka paliła jej lica, rozum był w obłąkaniu.

Któż opisze boleść Stolnika? gdzie znaleźć pomoc, gdzie lekarza? a czas upływał, każda chwila zdawała się ujmować coś z życia, niweczyć resztę sił Jadwigi!

Starzec wziął postanowienie: bolesne ono było, dręczyło zarówno duszę jak serce! lecz czegożby nie poświęcił dla ocalenia swą kochaną córkę? Na kawałku papieru skreślił następujące wyrazy:

— Jeżeli w sercu Aszmości nie zatarty do szczeru wspominek owych lat cośmy z sobą przeżyli, jeżeli choć trochę litości istni w niém jeszcze, błagam cię, zmiłuj się! Moja córka umiera, jedna godzina bez pomocy lekarskiej, bez opatrzności starunku, o śmierć

przywiedzie ją pewnie! miej litość, przyjm ją do swego domu, mnie zgubić możesz, lecz ją ocal!

List przez poczciwego wieśniaka odesłał do dziedzica na Bromierzu i wkrótce następną odebrał odpowiedź:

— Znając prawa dzisiejsze, wiedzieć Aść musisz, że pomoc jakakolwiek udzielona bannicie, o niebezpieczeństwo życia naraża. Dla tego, nietylko do jego prośby przychylić się nie mogę, lecz owszem wspominkiem dawnych związków wiedziony, radzę szczerze, abyś czémprędzej te okolice opuścił, gdyż inaczej sam jako wierny poddany, o twojem pobycie musiałbym zawiadomić oddział króla Jmć szwedzkiego w Płocku stojący.

We dwa dni później, prawie o północy, rodzinne groby dziedziców na Przeciszewie jedną zwiększyły się mogiłą: spoczęła w niej nieszczęśliwa Jadwiga. Orszak pogrzebowy dziewicy, której niedawno jeszcze cały kraj niósł hołdy uwielbienia, której cześć piękność i cnoty, trzy tylko osoby składały — poczciwy wieśniak, miejscowy pleban i Stolnik.

Nieszczęsny starzec bez łzy w oku, bez westchnienia w piersi, rzucił pierwszą garść ziemi na trumnę ukochanej córki. Ktoby rzekł, iż on świeżą stratę obojętnie poniósł, gdyby dziwném blaskiem iskrzące oko, gdyby czoło w głębokie bruzdy porznięte jasno nie zdradzały cierpienia duszy, za silnej aby w łzę mogła wywinąć, albo w westchnieniu znaleźć ostodę.

Mogiła wzniosła się już wysoko, ostatnia kropla święconej wody oddawna na nią upadła, Stolnik nie opuszczał jej jeszcze. W bolesném milczeniu pograżony,

skrzyżowawszy na piersiach ramiona, toczył wzrok błędny w około, aż poszepnął mu pleban:

— Panie! czas myśleć o odjeździe... Te strony coraz więcej niebezpiecznymi dla ciebie: we wsi o twojem przebywaniu chodzą pogłoski... Kon i przewodnik już gotowe, jutro możesz być w Prusach... wspomnij że tego pragnęła nieboszka twa córka.

Starzec wzdrygnął na te wyrazy, ocuciły go one niejako, klęknął na mogile, kilka chwil w milczeniu modlił się, a gdy powstał, ujął garstkę ziemi, i chowając w zanadrze mówił głosem ponurój rozpacz:

— Córko! Jadwigo! — żegnam cię! Bóg da — nie nadługo... zobaczymy się tam przed jego tronem; ale nim to nastąpi... lube dziecię! przysięgam na tę ziemię pokrywającą twe zwłoki, na twą pamięć przysięgam! będziesz pomszczoną — on — twój zabójca! zgon mój poprzedzi.

Pobożny kapłan zadrżał usłyszawszy słowa Stolnika, i w cnotliwém oburzeniu głosem wyrzutu przemówił do niego:

— Stolniku! ta, która już teraz przed tronem surowego lecz sprawiedliwego sędziego stanęła, wczorajszego wieczora jeszcze zaklinała cię abyś wyrzucił rozpacz z serca, zemstę z twych chęci. Poprzysięgłeś jój to, a przecie bluźnierczym językiem, bezbożną żądzą krwi bliźniego na jój świeżej mogile śmiesz się odzywać? Czy nie wiesz, nie pojmujesz, że zemsta której łakniesz, której plan może w sercu układasz, jak na twoją głowę, zarówno na jój duszę spadnie, zagrozi nieszczęsnej drogę do wiekuistego zbawienia? Chceszże na wieki wieków zgubić twe jedyne dziecię? Chceszże przy schyłku życia, po raz piérwszy splamić się krzy-



woprzysiężtweim, obrazą honoru przynieść hańbę nie-  
tylko imieniowi swojemu, ale wszystkim przodkom  
którzy oto spoczywają w tych grobach?

— Piękne są rady twoje! — wykrzyknął starzec ponuro, —  
przecież do mego przekonania nie idą: co to jest honor, co  
to jest powinność, kiedy pierwszy niecny człęk, pierwszy  
powiew wrogiego losu zdeptać je mogą i wysmiać? O! Bóg!..  
nie praw mi o nim... on nie miał litości, czemuż ja mam  
baczyć na jego sąd, na jego gniew? Księżel! kiedy zem-  
sta kipi w piersi, kiedy najświętsze twoje uczucia roz-  
targane, rozwiane... piekło jest niczém przy torturach  
żywota. Ale masz słusność: odjeżdżać mi trzeba,  
opuścić ten kraj; bo cóż ja jeden — słaby starzec podo-  
łam? mogeż ponieść grot zemsty otoczonemu tysiącem  
siepaczy pankowi? trzeba mi towarzyszy... mieć ich bę-  
dę, mieć ich muszę! za cenę zbawienia ich kupię!..

Kapłan chciał coś wyrzec, nie słuchał go starzec,  
szybko smentarz opuścił, dosiadł przygotowanego ru-  
maka i tego dnia jeszcze ujrzał się na pruskiej ziemi.

#### IV.

Było to w 1709 roku: August drugi znowu tron Ja-  
gielonów zasiadał; krew przecież szczególnież wówcze-  
sném płockiem województwie nie przestała płynąć po-  
tokiem. Z zwyciężonych zwycięzcy, partyzanci saskiej  
sprawy mścili na Leszczyńskiego stronnikach dawne  
urazy i klęski: straszny to był czas, kiedy zemsta nie  
znała hamulca, kiedy prawo odwetu jedném tylko istnie-  
jącém być się zdawało.

Przed świeżo odbudowanym Preciszewskim dwor-  
cem, orszak jezdnych stanął: dowodził nim starzec  
już siwy, przecież jeszcze dziarski i silny. Hussarska

zbroja pokrywała szeroką pierś jego, szabla dźwięczała u boku, oko młodzieńczym gorzało zapałem, ale po czole rozbiegały głębokie marszczki nagromadzone wiekiem i troską. Tym starcem był znajomy nam Albert Przeciszewski: żwawo z znużonego drogą poskoczył rumaka, i obracając się do towarzyszy wykrzyknął:

— Jeszcze dzień jeden napróżno stracony. Dla Boga! panowie bracia! nie jesteśmy godni nazwiska żołnierzy: kiedy starzec bezsilny, człek bez odwagi i wojennego przebiegu myli nasze pogonie, przed zasłużoną karą uchodzi. Wiecie jednakże jaka sowita nagroda czeka tego z was, który najgorliwszego z stronników szwedzkich, naszemu dostawi monarsze; wiecie, że ja z mojej strony, za głowę zbrodniarza, chętnie oddam połowę majątności mojej.

Żołnierze milczeli, jakby czując słusność wymówek; starzec odbiegł do swjej komnaty, karabelę odpasął, zbroję zrzucił, i już chciał wejść do łoża aby znużonemu ciału dać chwilę wytchu, zebrać siły do nowjej jutrzejszej wycieczki, do ścigania nienawistnego wroga — dziedzica na Bromierzu, który z garstką partyzantów Leszczyńskiego odcięty od Szwedów, tułał się jeszcze po okolicy; gdy przed drzwiami dworca, zabrzmiała trąbka rycerska, zatętnił orszak jezdnych, i wszedł do komnaty kapitan saskich rejtarów.

— Dobra nowina panie Stolniku! wykrzyknął radośnie, od dzisiejszego poranku trop w trop ścigając odział starosty, dopędziłem go wreszcie na granicach posiadłości twoich. Po krótkiej obronie banda we wszystkie rozpierzchła się strony: kilku tylko poległo, między temi jest syn starosty, lecz i ojca wkrótce mieć będziem w ręku naszych, schronił się bowiem w lasek

przyległy dworcowi twojemu. Chciéj więc dodać mnieco ludu pieszego, a za godzinę najdalej, bannita winnej karze ulegnie.

Starzec wzdrygnął na tę wiadomość. A więc zemstę którą od zgonu nieszczęsnej Jadwigi poprzysiągł staroście, dla której przez lat siedm znosił wojenne trudy, tufactwo, niedolę, miał wreszcie ugasić we krwi nienawistnego wroga, mordercy jedyne go swego dziecięcia. Była to chwila co mu nagradzała wszystkie dotychczasowe cierpienia, co mu we snach jaśniała, w jego myśli bezustanku była: śmierć nawet tego, którego synem miał nazwać, którego urodzenie widział, wypiastował na rękę, nie wzruszyła go wcale. — Czyż on świętokradzkim złamaniem przysiąg, pierwszego śmiertelnego ciosu nie poniósł Jadwidze? Lecz na téj jednéj krwi nie dosyć mu było: zgon dziedzica na Bromierzu jeden tylko mógł opłacić Stolnikowi długiolateńskie cierpienia i troski. Bezzwłocznie wydał stosowne rozkazy, co było ludu zbrojnego we dworcu rotmistrzowi oddał, i sam lekkim pancerzem pierś uzbroiwszy, przypasawszy wierną szablę do boku, już chciał za drużyną pobiedz na ściganie starosty, gdy małe drzwi z sypialni wychodzące na ogród zaskrzypnęły z lekka, i w rozdartej odzieży, kałem i pyłem pokrytej, stanął przed nim człowiek jakiś. Stolnik zadrżał... oko jego zabłysło, zaiskrzyło... była w nié m radość, piętnowała się zemsta: nieszczęsny, szukający przytułku ocalenia w jego domu, był to — dziedzic na Bromierzu.

— Litość, zmiłuj się, miéj litość! wołał głosem rozpaczonym.

Wszystka krew burzyła w sercu Stolnika, rokoszą pomsty zakofatało serce! Ach! zabij go, zamorduj,

lub wydaj w ręce mściwych Sasów, wołała ona. Już szabla wydobyta z pochwy błysnęła w ręku starca, gdy myśl przyszła — niech zginie w obliczu téj, której życie wydarł, którą zamordował bez litości. Ujął drżącego starostę za rękę, o kilka kroków gwałtownie w głąb komnaty pociągnął i stawił przed wizerunkiem Jadwigi.

— Litości łakniesz! — urągliwie wykrzyknął wtedy, — lecz czy wiesz gdzie jęj szukasz, w którym domu? Spójrzyj na ten portret, wszak go poznajesz? to moja córka, moje dziecię jedyne, moje szczęście całe! Ona już w grobie, od lat siedmiu w grobie; a kto ją zabił, kto zniweczył jęj szczęście? przypomnij sobie, odpowiedź!.. Starosta głucho jęczał...

— Tak! zgin.. musisz zginąć koniecznie! — wołał Stolnik w rozpaczonym zapale, — musisz zginąć bo śmierć twoją poprzysiągłem na jęj grobie, bo tylko krew twoja może jęj zgon wynagrodzić. Szatan cię sam w me ręce podaje... dzięki mu dzięki! dobądź więc szabli i broń się!

Oko dziedzica na Bromierzu pogrążone w wizerunku dziewicy, straszliwego obłąkania połyskało wyrazem. Nie rozumiał, nie słyszał słów zemstą tchnącego Stolnika; ale pojmował je duszą, pojmował cierpieniem — jęknął...

— Zabij mnie — zabij! nie oszczędzaj... ja winny... zabij!

Było to cierpienie... rozpacz, przed któremi ugięła się nawet zemsta Stolnika. Wydobyta karabelę skłonił ku ziemi. Starosta w obłąkaniu wołał:

— Ja winny, ja zbrodzień, ja morderca! masz słusność... niema dla mnie zmiłowania, niema zbawienia! Nietylko jęj krew na mój głowie cięży, ale i krew

jój narzeczonego, krew mego jedynaka — Kazimierza. On za moim tylko rozkazem, zmuszony moją wolą i przekleństwem — inną nazwał żoną, inną nie ją — i zginął! Zginął! bo sam szedł na śmierć, bo rozpacz była w jego sercu. Ach! czy ty wiesz, czy ty rozumiesz co to jest zabić własnego syna... dziecię — jedyną podporę starości, dziedzica imienia?! — Biada mi biada!

Upadł na kolana przed wizerunkiem dziewicy, wychudłe ręce złożył niby w modlitwie, i szeptał:

— Przebacz mi, przebacz aniele! Wszakżeś ty anioł, ty już tam w niebie z nim razem. Przebaczcie mi... przebaczcie dzieci występnemu ojcu! on tak nieszczęśliwy!...

Wpiersi Stolnika było duszno: wrzała w nich walka różnorodnych uczuć... przeszedł kilka razy po komnacie, lecz już karabela w pochwie spoczęła... już zemsta w poczciwem sercu wygasła. Zabić go, wydać Sasom? nie! to niesposób... On tak nieszczęśliwy! on tyle cierpi! a cierpi bez pociechy: bo jakaż jest dla tego, komu katem sumienie?!

A Starosta wykrzykiwał w rozpacz:

— Zdarłem jego szczęście, a przecież on dla mnie życie położył, własną pierś zasłonił... przyjął bez wzdrygnięcia śmiertelny grot co mnie był przeznaczony! Byłże kto więcej nieszczęśliwy odemnie..? niktże się nie ulituje, nie weźmie mi życia? Stolniku! Albercie! — bracie! przyjacielu! jam zabił twą córkę... ja ci wydarłem ojczysty majątek, półwieczne podeptałem związki, czemu się nie chcesz pomścić? czemu nie dobędziesz szabli, nie wydrzesz z piersi tego serca, które cnoście zamknięte, w zbrodni, w zdradzie, żywił, życie znajdowało tylko?

Tak upłynęło kilka minut... Na dziedzińcu dworca, znów zatętniały rumaki, gwar orężnych rozległ się... Starosta chwilę przysłuchiwał się wrzawie, oko jego błyszczało — było w niém rozpaczne postanowienie jako-weś... szybko poskoczył ku drzwiom komnaty. Zatrzymał go Stolnik.

— Gdzie chcesz uchodzić nieszczęśliwy? tam śmierć twoja pewna, oni czekają na ciebie — moi żołnierze — nie znajdziesz u nich litości.

— Puść! wołał Starosta: ja chcę zginąć.. ty nie chcesz, nie śmiesz mnie zabić — pozwól im!

Ujął za klamkę drzwi — silną dłońią odwiódł go Przciszewski, i mówił głosem drżącym z obawy i sromu.

— Ona mi przebaczy! ona już pomstowaną sowiciel! Twoja krew ciężyłaby wiecznie duszy i sumieniowi mojemu. Bóg cię już karze — ludzie nie powinni.

Lecz w téj chwili drzwi się otworzyły szeroko, wszedł saski rotmistrz... z zdziwieniem ujrzał bannitę obok Stolnika, z zdziwieniem większém jeszcze usłyszał następne wyrazy:

— Starosta Bromierski mym jeńcem: odpowiedzialność jego krwi i bezpieczeństwa biorę na siebie, sam go Najjaśniejszemu Monarsze odstawię.

Jakoż w kilka dni istotnie, wspołem z Starostą do Warszawy pojechał. Przyjęty mile od Augusta, łacno otrzymał nie tylko uwolnienie od kary, ale zwrot dziedzicowi na Bromierzu posiadłości ojczystych.

Kilka lat jeszcze obaj starcy żyli. Codziennie na zagrobskim parafialnym smętarzu widziano obudwu: jeden modlił się na mogile córki, drugi na mogile syna; lecz żyjąc wspomnieniami, umarli dla świata, umar-

li dla siebie. Raz tylko jeden, starosta, a to gdy otrzymał głęjt królewski, zapragnął odświeżenia dawnych związków, błagał o dawną przyjaźń Stolnika; lecz ten mu odparł ponuro:

— Przebaczyć Aszmości powinienem, bo to był obowiązek chrześcianina i człowieka; wrócić przecież do dawniej przyjaźni, dawnego braterstwa, przypomnieć związki... ani chcę, ni mogę. Cios który zadałeś sercu, nazbyt był silny, aby kiedy mógł być zapomnianym. Żyjmy więc i sąsiadujmy jak dawniej, ale bądźmy i pozostańmy obcemi sobie na zawsze.

Ta była jedyna zemsta Alberta Przeciszewskiego.

---

## DO LISZTA

W KRAKOWIE D. 30 MARCA 1843.

Liszcie! cóż ty chcesz zrobić z duszami naszymi?  
Grałeś!... a gdy twe dźwięki w przestrzenie zabrzmiały,  
Widziałem jak chór niebian zstępował ku ziemi,  
Grałeś!... a wszystkie nerwy w piersiach moich drgały.

Cóż znaczą czarodziejskie z pod twych palców dźwięki?  
To śpiew ptaków—to smętne serc wzruszonych jęki —  
To głos dzwonów—ryk burzy—drzew odwiecznych łom...  
To hurgan co górę w kłęby piasków kruszy —  
To z chmur ogniem rozdartych spadający grom —  
Przestań!.. na tyle wzruszeń mało jednej duszy —

Zkądże ty czarodzieju? gdyś się na świat zjawił  
Ssałyż twe pierś kobiecą usta niemowlęce?

Ja wiem, — bo mi głos wieszcy twój pochód objawił,  
Ciebie anioł muzyki wziął z pieluch na ręce  
I póty twe dzieciństwo pieśniami weselił  
Póty pieścił, aż się sam w postać twoją wcielił.

Patrz! jak ziemię przygniotły nędze i niedole!  
Ty co zwiedzasz z twą lutnią najskromniejsze strzechy  
I czołem podniesioném wchodzisz między króle,  
Zabrmij ludom dźwiękami niebieskiej pociechy,  
I póty w sercach wzbudź miłość i nadzieję  
Aż się dusz harmonia w jedną całość zleje.

Gdy zagrasz, bogacz z gmachów, lud wybiega z chaty;  
Tamten złoto pod nogi — ten ci sypie kwiaty. —  
Ja już krócej od ciebie na ziemi pogoszczę  
Gardzę wraz z tobą złotem — kwiatów ci zazdroszczę,  
Nim więc tam, gdzie się z tobą zjednoczyć spodziewam,  
Ty mi zagrasz na duszy, a ja ci odśpiewam —  
Z tysiąca wienców co z gmachów i chatek  
Sypią się ku twój ozdobie,  
Odłam dla mnie jeden kwiatek,  
A z nim wieszcz stary, chętnie legnę w grobie.

*Fr. Wężyk.*





## KRONIKA LITERACKA.

---

*Ojciec i syn, czyli wspomnienia z czasów przeszłych i naszych, przez Franciszka Wiktora Dmóchowskiego majstra krawieckiego w Przemyślu.*

P. Andrzej Ed. Koźmian zajmuje się wydaniem pism Franciszka Wiktora Dmóchowskiego, byłego wachmistrza w pięciu różnych wojskach, dziś majstra krawieckiego w Przemyślu, o którym bliższa wiadomość zamieszczoną była w Bibliotece Warszawskiej z roku zeszłego (zeszyt za grudzień str. 653). Pierwsze dziełko naszego majstra wyjdzie pod tytułem: *Ojciec i syn, czyli wspomnienia z czasów przeszłych i naszych*. W nim zawarł autor opis wszelkich wypadków, które widział, lub które mu opowiadano, i ten ułożył w formie rozmowy. Wiele ciekawych szczegółów zebrał w swém piśmie Dmóchowski, lecz więcej jeszcze zajmuje swoją szczerością, prostotą i właściwym sobie sposobem widzenia. Szanowny wydawca w liście do redakcyi pisany, takie daje zdanie o pismach Dmóchowskiego:

„Pismo to nie powinno być sądzone i uważane jako utwór literacki, lecz jako szczere objawienie wspomnień, uczuć i myśli zacnego i pełnego prostoty człowieka, żołnierza starego okrytego ranami, który wiele widział, wiele doświadczył, wiele ucierpiał; i to wszystko opowiada co cierpiał, co widział i czego doświadczył. Jednakże przebija się w nim niejako instynkt sztuki, umie on czynić dramatycznym opowiadanie swoje, i mam nadzieję, że każdy łatwo dostrzeże jego talent wrodzony, acz surowy i niewykształcony.“

P. Koźmian nadesłał redakcyi kilka rozdziałów z tego dziełka. Dla czytelników naszych zamieszczamy następujący ustęp:

*O zbroi Księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła.*

*Ojciec.* Zaraz służyć będę, tylko niech sobie przypomnę na czém stanąłem. Lecz mam ja tu drugą daleko kosztowniejszą sztukę, która na szczególną uwagę zasługuje. Franus! przynieś z drugiego pokoju tę zbroję, którą dziś z lamusu wydobyłem.

Poszedłem natychmiast, lecz od razu wszystkich sztuk zabrać nie mogłem.

*Podsędek.* Oj! oj! co ja widzę? wszakże to zbroja staroświecka.

*Ojciec.* Tak jest, staroświecka, i bardzo staroświecka; ale patrz wacpan, jak piękna w niej robota. — Co ona kosztować musiała! Te wszystkie sztuki mają swoje właściwe nazwiska: ta blacha, co się z przodu zawiesza, zowie się harnasz; ta zaś z tyłu pancierz; to są naramionniki, co się składają jak raczy ogon; ta duża blacha jest to tarcza, którą się rycerz zasłaniał. Oto jest herb na niej książęcy.

*Podsędek.* Ale tu jest orzeł, tak jak królewski.

*Ojciec.* Tak, — ale pod nim są trzy trąby strzeleckie z armaturą. Oto jest hełm, przy tym to grzebieniu, niegdyś pyszne pióra rycerzom na głowach powiewały. Ta zaś krzywa kratka jestto przyłbica, którą można było spuszczać lub podnosić podług potrzeby. Te zaś żeberka jedno na drugie zachodzące, są to karwasze, co się na udach przypinały. Mój Boże! co też człowiek miał dźwigać! To wszystko było niegdyś polerowane jak lustro. Patrzno wacpan na ten dołeczek na harnaszu, o tym mamy wiele do mówienia.

Przed wieczorem ujrzeliśmy podsędka na podwórzu, zatrzymał się przed gankiem; przy wejściu powitał nas zwyczajnem życzeniem dobrego wieczora, i rzekł: „Otóż jestem dziś wcześniej niż zwykle: bo święto, a jak człowiek nieczynny, to czas się długi zdaje. Ale jak widzę pan cześnik także poeta. Piękne wiersze czytam nad gankiem, prawdziwie tchnące prostotą staroświecką.

Kto chce się w mym domu bawić,

Musi pychę precz zostawić.

*Ojciec.* Te wiersze nie są mojego pióra, lecz mego dobrego przyjaciela.

*Podśątek.* A któż się tym tytułem szczyci?

*Ojciec.* Ksiądz Dąbrowski, ofiiał zambrowski, tu jest więcej jego wierszy nad drzwiami za szkłem w ramach.

Mój miły gościu! tak się wszędzie sprawuj,

Cudzego nie rusz, swego nie zostawuj.

Proszę jeszcze przeczytać i te pod obrazem ś. Piotra, i Maryi Magdaleny.

Płacz gorzki Piotra,

Wzdychanie łotra,

Magdaleny skrucha,

Grzesznym otucha.

U mnie te tylko znajdziesz waćpan wiersze, lecz u księdza ofiiała można je było czytać w każdym kącie pokoju, a wszystkie były do jego stanu stosowne; lecz teraz przystąpmy do dalszego opowiadania.

*Podśątek.* Bardzo proszę: gdyż jestem ciekawy co się dalej stało.

*Ojciec.* Oto tak się stało: rano przyszedł do naszej stancyi pan marszałek i rzekł do mnie: „Panie młody dworzaninie! ubierz się wać gładko, przedstawię cię księciu panu.“ Dreszcz mnie przebiegł; jeszcze nigdy w mém życiu nie miałem tego szczęścia rozmawiać z tak wielkim panem; odezwałem się więc do brata: prawdziwie lękam się! Brat rzekł z uśmiechem: „tego pana nie lękać się, lecz kochać potrzeba; jestto obraz łaskawości; jednakże gdy staniesz przed księciem panem, patrz mu w oczy, mów wyraźnie i zachowaj skromną postawę; jak się masz kłaniać? wiele kroków naprzód zrobić? pan marszałek ci powie.“ Ogarnąłem się prędko; nie byfoto arcygalowo, zwyczajnie jak na nowicyusza, lecz szabla moja najwięcej dawała mi ozdoby. Gorąco mi się zrobiło gdy mnie pan marszałek zaprosił z sobą, zostawiwszy mnie w przedpokoju, szedł mnie zameldować. Czekałem z pół godziny. Wtém otwały się drzwi i rzekł pan marszałek: „Proszę tutaj!“ Natychmiast wszedłem do apartamentu i zrobiłem

głęboki ukłon. Książę pan siedział w bogatém krześle, i rzekł do mnie. „Przystąp waść bliżej!“ Postąpiłem parę kroków i powtórzyłem ukłon. „Prawdziwie ci Dmóchowscy podobni do siebie z twarzy, gdyby ze wszystkiego podobni byli, cieszyłbym się szczerze.“ Skłoniłem się i rzekłem: „Szczęśliwy byłbym, gdybym sobie u waszjej ksjażęcój mości zasłużył na takie łaski jakimi się brat mój szczyci; jak najgorliwiej będę się starał zasługiwać na nie.“ Podniósł się książę z krzesła, i przechadzał się po pokoju, lecz pilnie mierzył mnie okiem. Zbliżywszy się do mnie rzekł: „Jak widzę waść masz piękną szabelkę, a na czole niema jeszcze żadnej kresy, zapewne na pałaszu mało szczerbów!“ Domyśliwszy się że książę chciał widzieć ostrze, stanąłem w postawie żołnierza i uderzywszy w rękojeść dobyłem szabli. Książę spojrział na pismo arabskie i rzekł: „A wiesz waść co tu jest napisano?“ Odpowiedziałem, że nie wiem; „To znaczy Kara Mustafa; było jeden z baszów tureckich pod Wiedniem. Te szczątki błąkające się po naszym kraju winniśmy Janowi III.; ten król umiał szczęśliwie wojować, lecz nie umiał ze zwycięstw korzystać; dołożył książę: „Szauuj waść tę broń, jestto drogie wspomnienie w naszym narodzie, odsiecz wiedeńska!“ Siadłszy potem na krześle, rzekł do pana marszałka: „Panie Danisowicz! Tułoczko wi i Kołysce trzeba obmyślić sposób do dalszego życia; ci stóletni kresowacze wiele już w życiu wytrzymali. Tułoczko był towarzyszem przy Poniatowskim, gdy ten znajdował się przy boku Karola XII. Z nim był pod Pułtawą i w Benderze, z nim się dostał do Sztokolmu, a tak stał się uczestnikiem wszystkich przygód króla szwedzkiego, jednak nie żądał nagrody tam gdzie zasługi położył, lecz wrócił do ojezyny i w niej się zestarzał. Kołysko był przy Stanisławie Leszczyńskim; nie pojechał za nim do Francyi, lecz ranami okryty wrócił do rodzinnego kraju; trzeba im ordynaryą wyznaczyć i wygodne mieszkanie. Dmóchowski tu zostanie dopóki zechce, lub dopóki lepszego losu nie znajdzie.“ Po tych słowach ostatni ukłon zrobiwszy wyszedłem z pokoju. Dopiero to człowiek zaczął próżniacze życie. Trzydziestu nas było dworzan, co tydzień był inny

u księcia na wystawie; tak nazywano tę służbę, do której żadna praca przywiązana nie była. Wieczory schodzili na kartach lub pogadankach. Ci starcy zawsze mieli coś do opowiadania. Samych starych kresowatych było 26. W naszym wieku byli dwaj bracia Oskierkowie. Ja z moim bratem stałem w jednym pokoju. Piętnaście stancyi w kazamatkach zajmowaliśmy, a 30 kozaków mieściło się w ośmiu takich pokojach: gdyż każdy dworzaniin miał jednego kozaka do posług. Skoro ósma wybiła na zamkowej wieży, posyłałiśmy kozaków po śniadanie, które składało się z chleba, sera i wódki; w piątek i w sobotę dawano śledzie. Siadaliśmy do stołu marszałkowskiego. Obiady i kolacje były sute. A gdy książę posyłał list do którego księcia lub wojewody, natenczas jechał dworzaniin z kozakiem; strawnego na siebie i konia dostawał dziennie talara, a kozak złotych. W niedziele na summie musieli wszyscy z księciem w kościele się znajdować. Ja jeszcze nie byłem do niczego używany; dopiero we wtorek po kwietniej niedzieli w czasie objadu rzekł pan marszałek: „Panowie Oskierkowie, Dmóchowscy, pan Bułhak i pan Kulesza! po obiedzie pójdziecie ze mną do skarbcu, ubierzecie się po rycersku na wartę do grobu bożego.“ Skoro się obiad skończył, zaprowadził nas marszałek do magazynu, a pokazawszy w kącie stós staroświeckich pancerzy, powiedział: „Wybierzcie panowie te, które na was zdatne będą: ponieważ są tu większe i mniejsze.“ Jeszczem w życiu nigdy nie widział takiej garderoby! Moi koledzy jakoś prędzej podobierali na siebie tych żelaznych sukien, na mnie każda była za wielka. Ledwie na spodzie znalazłem taką, która się na mnie przydała. Ta wszystkie inne pięknosciami przechodziła, lubo bardzo zardzewiała; lecz łuszczyki, haczyki i gwiazdki były srebrne; od dawności jednak stały się niebieskimi. Długo szukałem i dobierałem wszystkich sztuk; nakoniec przywdziałem tę zbroję; a gdy się już wszyscy poubierali i wyszli z magazynu, żadnegoby z nas rodzona matka nie poznała. Oj nagnali nam pracy! wzięliśmy kilkunastu kozaków do pomocy, pracowaliśmy półtrzecia dnia ciężko lecz ochoczo. Na piątek nasze żelazne suknie tak

czyste były jak lustra. W czasie obiadu chciał nas książe widzieć. Stanęliśmy na sali. Książe mówił do nas: „Mości panowie! zalecam jak najprzyzwoicij sprawować się w kościele: ponieważ obchodzimy w tym dniu najświętsze pamiątki męki i zmartwychwstania zbawiciela naszego; obchodźmyż je uroczyście i z nabożeństwem, ażeby nam kiedyś dozwolił z martwych szczęśliwie powstać.“ Skłoniwszy się wyszliśmy z sali. Pan marszałek zaprowadził nas do księdza kanonika. Zaraz zaciągnęliśmy straż grobową. Grób Chrystusa Pana wspaniale był ubrany. Kurdygardę mieliśmy w zakrystyi; zmiana straży odbywała się co godzina. Tę służbę święcie pełniliśmy do wielkiej niedzieli. O godzinie szóstej zrana zaczęła się rezurekcyja, książe pan, w pół do piątej, z całym dworem znajdował się w kościele. Procesya trzy razy do koła kościoła obeszła i ciągnęła się dłużej niż pół godziny. Po ukończeniu tego świętego obrządku, książe siadł do karety i pojechał do zamku, lubo do kościoła piechotą przybył. Ksiądz kanonik zaprosił nas na święcone; trochę przekąsiwszy udaliśmy się do zamku wiedząc dobrze, że nas tam sute święcone czeka. Ludzie prości wytrzeszczali na nas oczy jak na dziwotwory, a my sobie postępowali jak Ulisses pod Troję. Przed bramą czekał na nas pokojowiec z zaproszeniem do wielkiej sali. Już byliśmy w środku dziedzińca — o nieba! któżby się tego spodziewał? dał się słyszyć mocny wystrzał z okna. Kula uderzyła mnie w piersi; zdało mi się że mnie na wylot przeszła, upadłem bez zmysłów na ziemię.

*Podsędek.* A jakimże cudownym sposobem waćpan żyjesz?

*Ojciec.* Waćpan nie chcesz dziś końca usłyszyć?

*Podsędek.* Już będę milczał jak noc; lecz cóż się dalej stało?

*Ojciec.* Wystrzał był mocny, bliski, każdy się załakt, widząc mnie na ziemię obalonego. Wtém książe wybiega, a widząc że krwi nie było, śmiejąc się rzecze: „nieście tego bohatera na salę, a tam będziemy go święconym lekować. Przyjdzie za kilka minut do zdrowia.“ Wnieśli mnie do sali, a ja jeszcze nie zupełnie zmysły odzyskałem. Zaczęli mnie

olejkami pod nosem kadzić, dopiero cokolwiek przejrzałem, wtenczas dano mi dobrej gorzały kielich, i ta mi wolny oddech przywróciła. A gdym spojrział po sobie, i nigdzie krwi nie ujrzałem, zawstydziłem się i domyśliłem, że kula odbiła się o zbroję, a mnie tylko uderzeniem nastraszyła. Książę wtenczas powiedział ten wierszyk:

Choć rycerz w stalowej zbroi,  
Kiedy ma serce zajęcze,  
Na płacu on nie dostoi,  
Bez sławy broń w jego ręce.

Gdym usłyszał te słowa, wstyd mnie ogarnął, a więcój jeszcze gdym spostrzegł, że mnie każdy oczyma mierzył. Dodał książę: „Chciałem waścię oswoić z kulą; chciałem wiedzieć czy się jej lękasz, nawet w takiej odzieży, lecz jak widzę:

Trudne męstwo człowiekowi,  
Gdy lękliwa jego dusza,  
Strach zajrzał w oczy Piotrowi,  
Wyparł się biedny Chrystusa.

„Takto strach ma wielkie oczy! na pamiątkę tej próby daruję waści tę zbroję.“ Zbliżywszy się spojrział w to miejsce gdzie mierzył, i rzekł: „Jednak to był wystrzał mocny, gdyż się harnasz ugiął. No! dałem słowo, darowałem, nie należy słowa odmienić; ale ta zbroja jest pamiątką po moim pradziadzie księciu Mikołaju Krzysztofie, który był pielgrzymem w Palestynie, w Syryi i Egipcie. Onto widział swojemi oczyma prawdziwy grób Jezusa Chrystusa w Jerozolimie; on zwiedził jej okolice, nocował w tej skale, w której mieszkał Lot z córkami po zniszczeniu Sodom y i Gomory; on to patrzył na odmiany kolorów śmierzdzącego jeziora, które zaległy miasta siarczystym ogniem spalone. On sprowadził z Kairu mumię, z wielkim kosztem wydobytą z piramidy. On był w wielkiem niebezpieczeństwie na morzu podczas burzy; jemuto święty German sprawił, że szczęśliwie wrócił do ojczyzny, sprowadził wiele rzeczy godnych widzenia; jutro po południu pójdziemy do archiwum, tam wszystko pokażę. Dziś przy zmartwychwstaniu zbawiciela naszego, życzę wam wszystkim wesołe-

go alleluja a po śmierci królestwa niebieskiego! dziś jedźcie, pijcie i kochajcie się!“ My wszyscy skłoniwszy się księciu panu, życzyliśmy czerstwego zdrowia, długiego życia i korony w niebie.

*Podsędek.* Przecież, panu Bogu dzięki! doczekałem się zkaąd ta zbroja.

*Ojciec.* Otóżto ten dołeczek na moich piersiach wybity kulą z tureckiego szturmaka. Prawda że byłem wtenczas w strachu, dusza już była na ramieniu. Ale czas już odwilżyć podniebienie, które wyschło od długiego opowiadania. Zdrowie twoje panie podsędku! Zdrowie twoje panie cześniku! i nuż rozmawiać po łacinie. Ojciec rzekł: *Ecce quam bonum et jucundum...* a matka dodała: *habitare fratres in unum!* dopieroto zaczęła się łamać łacina.

*Podsędek.* Ach! prędejbym się spodziewał śmierci niż z kobietą po łacinie rozmawiać; ale proszę, gdzież to waćpani te studia odbywała? W naszej palestrze nie znalazłbym był takiego, co by się równie dobrze w tym języku mógł wysłowić! gdzieżto były tak wysokie szkoły kobiece?

*Ojciec.* Jutro się o tém dowiemy, dzis się posilmy!

*Podsędek.* Przyznam się waćpanu, że w mojem życiu całém nie czułem więcej potrzeb nad te: aby nie być głodnym, nagim i dłużnym; lecz w domu waćpanstwa poznaje że czegoś więcej do szczęścia potrzeba! Widząc tu dobrą żonę, piękne dzieci, wzdycham ciężko, myśląc że ich nie mam.

Tego wieczora zakończyła się na tém rozmowa. Ja sobie życzyłem, ażeby i opowiadania takowe i podwieczorki, przez całą zimę powtarzały się. To czego się uczyłem, nie bardzo trzymało się głowy, lecz to com słyżał, łatwo pojmowałem i długom pamiętał.





*Obraz Świata pod względem jeografii, statystyki i historyi wszystkich krajów skreślony podług najlepszych źródeł, z mappami, herbami wszystkich państw i rycinami. Tom I. str. 644. Tomu II. str. 560, in 8vo, Warszawa, nakładem S. H. Merzbacha, 1843.*

To, czém na polu jeografii obdarzył w początku XIX wieku nauki Malte-Brun, i czemu za naszych czasów olbrzymi prawie zakres nadał uczony i niesłychanie pracowity Karól Ritter: — tém chciał się przysłużyć na małą skalę w ojczystym języku czytelnikom polskim autor dzieła, o którym sprawę zdać zamierzamy. Ale mając tak wyborne wzory przed sobą, starał się on troskliwie wejść w potrzebę kraju dla którego pisał. Niepodobna mu było taką masę faktów zająć pod pióro naszej mowy, bo ci sławni ziemio pisarze układali swoje ogromne obrazy ziemi dla całej Europy, dla uczonych z professyi. Tu zaś szło utworzenie jedynie dla naszego kraju, dla młodzieży kończącej nauki i dla całej publiczności czytającej, książki podręcznej, wystawującej jeografią treściwie a razem dokładnie zebraną, podług wszelkich warunków jakich dzisiejszy stan tej ważnej i pięknej nauki wymaga: słowem o napisanie takiego prawie dzieła, jakiém się Balbi Francuzom przysłużył. Lecz i to jeszcze, mając wzgląd na okoliczności w jakich się piśmiennictwo nasze teraz znajduje, wymagało modyfikacyi i znaczniejszego ścięśnienia ram, w których Balbi zawarł swoją skromną jeografią. Autor więc *Obrazu Świata* nie spuszczał z oka dzieła Balbi'ego, wziął ku pomocy, jak wnieść można z pilnego odczytania tej książki, inne najnowsze prace jeograficzne, które w ostatnich kilku latach znakomicie rozjaśniły i ułatwiły poznanie tej nauki. Za główne źródła służyła bardzo dobra jeografia Gallet'ego przerobiona i wydana przez Cannabich'a; przytém wiele korzystano z kursu jeografii wydanego w Pary-

zu przez Chauchard i Müntz (1). Takimi zasobami otoczywszy się autor, nie pilnował się jednak ślepo swoich przewodników; owszem utworzył odmienny i właściwy sobie układ, wyciągając wszystko z każdego pracy co osądził za pożyteczne i stosowniejsze do swojego obrazu. Z takiego obejrzenia przedmiotu wziętego do opisania, wypadł następny rozkład całego dzieła. Po nazbyt krótkiej przedmowie (przemowie) wydawcy, w której życzylibyśmy coś więcej dowiedzieć się o planie samej książki i o dziełach do jej utworzenia użytych, następuje krótki opis kuli ziemskiej uważanej jako ciało, czyli ogólny rzut oka na jeografią fizyczną ziemi. Dalej mówi autor o najgłówniejszym jej mieszkańcu, o człowieku, co niejako jest zarysem etnograficznym, który się kończy wzmianką historyczną o powstaniu ziemi i o przemianach fizycznych jakim dotąd uległa, a razem o kolejach przez jakie przeszedł człowiek w stanie swoim społecznym, zaczawszy od stworzenia aż do upadku państwa rzymskiego zachodniego. Taki wstęp czyniwszy przechodzi do opisu Europy, której się przypatruje naprzód pod względem samego przestworu ziemi, czyli ładu, powtórę pod względem jego mieszkańców, potrzebie pod względem stanu politycznego, poczwarte przebiega dzieje polityczne tej części ziemi, od upadku państwa zachodniego aż do najnowszych czasów. Co wszystko zakończone jest bardzo dobrym wykazem teraźniejszych państw europejskich, zawierającym w rubrykach, ich podział, rozległość, ludność, dochody, siłę zbrojną, rząd i imiona panujących. Potem wszystkiem idzie dopiero jeografia opisująca szczególne kraje europejskiego ładu. Tu już zachowany jest powszechny dla wszystkich państw znaczniejszych podział; autor uważa naprzód *kraj*, potem jego *mieszkańców*, potrzebie *rząd*, wreszcie podaje treść *historyi* narodu. W takim jednak rozkładzie opisu zacho-

(1) Cours méthodique de géographie à l'usage des établissements d'instruction et des gens du monde etc. par Chauchard et A. Müntz Paris 1830, 8vo edit. illustrée.

dzą różnice w podziałach, z których jedne wynikają z wielkości i mniejszego lub większego znaczenia tych krajów, drugie są zupełnie dowolne i niczem się nie dają usprawiedliwić, jedno tém że są chyba płodem różnych pisarzy. Dla lepszego przekonania się o tém, weźmy do porównania opisy dwóch pierwszego rządu państw europejskich — Wielkiej Brytanii i Francji.

*Wielka Brytania i Irlandya.*

A. Kraj.

1. Położenie jeograficzne.
2. Podział polityczny.
3. Rozległość.
4. Powierzchnia (góry, rzeki, kanały, koleje żelazne, drogi).
5. Klimat.
6. Płody naturalne (ciała kopalne, rośliny, zwierzęta).

B. Mieszkańcy.

1. Liczba (w Anglii i Walii w roku 1831, dalszych prowincyi bez daty. — Tu położona tablica ludności miast znaczniejszych niewiadomo jednak z jakiego roku).

2. Pochodzenie.

3. Przemysł (rękodzieła i fabryki, handel, banki, pieniądze). We wszystkich obrachunkach i porównaniach statystycznych, w tym podziale zawartych daty są nader rozmaite, co przeszkadza jasnemu i dokładnemu pojęciu rzeczy i głównym zasadom statystyki sprzeciwia się.

4. Religia.

5. Nauki i sztuki (literatura, księgarstwo, pisma czasowe, piękne sztuki, zakłady naukowe i uczone).

— Opis szczegółowy Londynu. Str. 92 — str. 97.

*Francya.*

A. Kraj.

1. Położenie.
2. Podział polityczny.
3. Grunt (góry, przylądki, rzeki, kanały).
4. Rozległość.
5. Klimat.
6. Płody naturalne. Artykuł daleko-obszerniej i dokładniej napisany jak pod Anglią.

B. Mieszkańcy.

1. Pochodzenie.

2. Ludność. (Tablica ogólnej ludności departamentów francuzkich w r. 1836, tablica ludności główniejszych miast bez daty).

3. Przemysł, (rękodziełnie i fabryki, handel, środki pomocnicze, porty handlowe i miasta, pieniądze. — W podaniach statystycznych również brak jednostajności dat).

4. Religia.

5. Nauki i sztuki, rzecz traktowana podobnym sposobem jak w opisie Anglii.

— Opis szczegółowy Paryża. Str. 203 — str. 210.

C. Rząd.

1. Forma rządu (władza prawodawcza, administracja, sądownictwo).
2. Król (lista cywilna, rezydencje królewskie, urzędy koronne i dworu, orderzy).
3. Stany.
4. Dochody państwa.
5. Siła zbrojna.

D. Historia.

Do ostatnich czasów doprowadzona.

C. Rząd.

1. Rząd (najwyższe władze państwa i sądownictwo.)
2. Król, rezydencje, lista cywilna, orderzy.
3. Stany.
4. Dochody państwa.
5. Siła zbrojna.

D. Historia.

Podobnie do ostatnich czasów doprowadzona.

Z tego porównania opisów Anglii i Francji, widać na przód: że *Obraz Świata* nie jest płodem jednego pióra, ale że się nań kilku a przynajmniej dwóch składało, co wszakże w książce takiego rodzaju nie jest zupełną przeszkodą do dobrego jej ułożenia, byleby zlewając różnorodne części w całość zachowano względ na harmonią ogółu. Tu jednak pomimo usiłowań redakcyi, wśliznęły się niektóre usterki, jak je sam porównawczy wykaz materji, wyżej umieszczony okazuje. Powtórnie widać, że daleko staranniej i dokładniej przedstawiona jest Francja od W. Brytanii, co ściśle rzeczy biorąc, być nie powinno. Podobnie lekkie różnice usilności w opisie innych państw europejskich postrzegać się dają, wszakże metoda jest wszędzie jednostajna, i porównawszy dwa tylko znaczniejsze kraje, poznajemy łatwo układ całego dzieła co do Europy. A chociażbyśmy przypuścili, że autorowie lepiej zrobili dla nauk nie idąc śladem Balbi'ego: to wszakże jest pewna iż na niektóre przynajmniej rzeczy zgodzić się z niemi znając jeografią czytelnik niemoże. W rozdziale naprzykład mówiącym o *mieszkańcach*, właściwiej byłoby po ludności położyć religią aniżeli przemysł, a oprócz stolic choć kilka słów poświęcić krótkiemu opisowi znakomitszych miejsc w każdym kraju, tak jak się to zachowuje we wszystkich nieco obszerniejszych nad szkolne jeografiach. Pomimo jednak tych kilku zarzutów, któreśmy temu dziełu zrobić musieli, zawsze *Obraz Świata* będzie książką pożyteczną i ze wszystkich względów powabną dla czytelników

szukających przypomnienia znajomej sobie nauki pod przyjemną postacią. Ożywione i obrazowe są opisy Londynu, Paryża, Lizbony i pamiętnego jej zniszczenia przez trzęsienie ziemi, Pompei i Herkulanum, oraz wzmianka o Krymie; krótki ale wyborny zarys przemysłu Holendrów, rzut oka na Szwajcaryą i opis charakteru Hiszpanów, również zręcznie i przyjemnie skreślone. Szkoda że to wszystko jest zanadto krótkie. W podobnym zupełnie sposobie wystawiona jest Azja, z opuszczeniem tylko podań statystycznych po większej części niepodobnych a zawsze niepewnych, i z wyłączeniem historii szczególnych krajów: w zamian czego skreślony jest rys historii tej części świata z bardzo dobrym tabelarycznym wykazem państw azyatyckich. Żałować tu należy że autorowie nic prawie nie powiedzieli o Gruzji i krajach zakaukaskich Rossyi, a nawzajem przyznać wypada, że artykuł o religii Indyjskiej, bardzo dobrze jest napisany. Dla Afryki tak zajmującej części ziemi naszej, zanadto mało kart poświęcono: Egipt zasługiwał na obszerniejsze wspomnienie, a dzieje Afryki tylu odkryciami wędrowników ożywione, na większe wyłuszczenie. Za to Ameryka znalazła w tym obrazie przyzwoite i stosowne do swego znaczenia miejsce. O Australii powiedziano tyle, ile należało w miarę zakresu naznaczonego całemu dziełu. Zdobią je ryte na drzewie bardzo ładnie za granicą, ale niegodziwie odbite w Warszawie herby i niektóre widoki, też same które się znajdują w jeografii Chauchard i Müntz. Mappy są czysto i dokładnie zrobione przez Loewenberga w Berlinie. Nakoniec język czysty wszędzie, wykazy jeograficzne wyborne, opisy historyczne treściwe i ułatwione wyszukanie materji, czynią tę pracę nader pożyteczną dla publiczności, istotną razem zaletę przynosząc autorom i wydawcy.

M. B.



## ODPOWIEDŹ

na rozbiór *Jutrzenki* 1842 r., umieszczony w kwietniowym poszycie *Biblioteki Warszawskiej* 1843 r. (1)

Nie zarozumiałość autorska i nie poziome wyrachowania, które zawsze stoją na przeszkodzie do widzenia prawdy w należyćm świetle, spowodowały moją odpowiedź na uwagi p. F. Z. o *Jutrzence* — *Pereat homo — maneat opus!* — Podnoszę głos mój dla obrony przedmiotu, któremu poświęciłem się z bezinteresownym i niejednostronnym zamiłowaniem. Słowa Redakcyi *Biblioteki*, że „sama ścisnęła się w granicach oznaczonych, na to, aby w jej szrankach różnorodne naukowe widoki do walki z wszelkiem bezpieczeństwem wyzywać się mogły (B. W. 1842 T. I. str. III.)“ — takie słowa również skłoniły mię, że odsyłam

(1) Redakcyja chcąc z jednej strony odpowiedzieć zaufaniu przez P. Dubrowskiego w niej położonemu, z drugiej zaś nie rozszerzać zbyt zakresu polemiki w swém piśmie, udzieliła odpowiedź P. Dubrowskiego panu F. Z. który w następującym liście polemikę zakończył.

Do Redakcyi. — Odpowiedź P. Dubrowskiego nie pociągnie za sobą repliki z mojej strony. Jakkolwiek bowiem pismo P. Dubrowskiego obszernością daleko przechodzi moją recenzją, przecież głównej przezemnie poruszonej kwestyi nie tyka, trzymając się tylko ubocznych twierdzeń, lub rozwodząc się nad materyami wcale przezemnie nie dotkniętymi. W recenzyi mojej starałem się wyjaśnić jak pojmuję stosunek plebienia do narodów. Nie na to nie odrzekł P. Dubrowski, wyjąwszy chyba: „że pojęć moich trudno pogodzić z pojęciami Kollara.“ Rzeczywiście daremnaby to była praca. Również nie widzę potrzeby odpowiadać na zarzuty takie jak np. zarzut hojnie szafowany przez P. Dubrowskiego, że go nie rozumiałem; albo na insynuacyę, że nie trzeba patrzeć na rzeczy przez zakopcone szkielecko filozofii niemieckiej i t. d., któryż to bowiem dotąd autor przyznał, że jest przez swego recenzenta zrozumianym? albo co winna filozofia niemiecka temu, że jej P. Dubrowski poznać nie chciał? Nie chcąc więc nadużywać względności redakcyi upraszam Ją tylko o zamieszczenie kilku z mej strony przypisków do odpowiedzi P. Dubrowskiego.

szanownej Redakcyi moją odpowiedź. Dla czego nie umieszczam jej w mojem piśmie, objaśnić nie jest trudno: *Jutrzenka* ma tylko jeden wyłączny przedmiot — udzielanie wiadomości o literaturach słowiańskich plemion, i nie może dać miejsca obszerniej uczonej polemice.

Objaśnimy więc o co idzie.

P. F. Z. nietylko że nie zrozumiał mię, ale nawet przypisuje mi takie zdania, których *nigdzie nie wyraziłem* np, mówi, iż *dzielę Europę na dwie połowy według różnicy plemion*. Gdzież to wyczytał u mnie p. F. Z.? Uroczyscie wyrzekam się słów jego i odsyłam czytelnika do mojego wstępu w 1szym Nrze *Jutrzenki* 1842 r. Jeżeli wskazuję tam na wyższe, szlachetniejsze rozwinięcie ludzkości i używam przy tém wyrażenia: *Zachodnia Europa*, to nie mogłem *Zachodniej* Europy nazwać *Wschodnią*. Tu punkt mojego widzenia był taki, że koniecznie musiałem użyć wyrażenia: *Zachodnia Europa*. Mogłem być obrać wcale inny punkt zapatrywania, i wtedy wypadłoby użyć albo wyrażenia: *Południowa Europa* lub *Północna*. Lecz wcale inny mam podział, na który, niewiadomo dla czego, p. F. Z. nie zwrócił uwagi: Powiedziałem w rzeczonym wstępie że *rodowość* (lepiej *narodowość*) powinna wznieść się do ideału ludzkości, powinna wskazać każdemu pokoleniu narodów oznaczone i tylko jemu właściwe miejsce w zakresie ukształconej ludzkości. Stąd wynika i rozwinięcie naszej *słowiańskiej rodowości*, w takim samym porządku, z przyczyny teje konieczności, w skutek której rozwijała się *rodowość świata romańskiego i świata germańskiego*. — To jest podział Europy, który przyjmuję i który jest w samej istocie: *świat romański, świat germański i świat słowiański*, z których każdy ma cechę właściwego sobie charakteru, chociaż razem składają i powinny składać jedną harmonijną całość, t. j. *świat europejski*. (2) Takim sposobem nie

(2) P. Dubrowski protestuje i to uroczyscie przeciw wyrzeczeniu memu iż *podzielił Europę na dwie połowy, według różnicy plemion*: ja jednak przy swoim stoję. Powiadam że P. Dubrowski za zasadę podziału przyjął *różnicę plemion*, i to jest do tego sto,

dzielię narody i plemiona, jak się dzielią rośliny i zwierzęta(!). Wymagam tylko od nich *zeznania własnego przeznaczenia i rozumnej samoistności*. P. F. Z., nie zgłębiwszy moich zasad, a zapytując się: „mamyż przyjąć jakąś konieczność rassową (fatalité de race), mamyż człowieka cenić po rodzinie, naród po plemieniu?“ — podnosi rękawicę, której nie rzucałem (1). Właśnie dla tego może myśli p. F. Z., o plemienności nie są wyrażone dokładnie; co nawet sam czuł, gdy odłożył do innego miejsca mówić obszerniej, na czém polega fałsz jakichś tam teoryj. Wtedy i ja szczegółowo rozwiodeę się o tym przedmiocie (2).

pnia prawda, że dziś nawet w swoim nowym podziale inszej zasady niema, rozróżniając świat romański, germański i słowiański, według trzech wielkich plemion zamieszkujących Europę. Powiedziatem dalej, że podzielił Europę na dwie połowy; bo we wstępie do Jutrzenki mówił o zachodniej i wschodniej Europie, rozumiejąc widocznie pod pierwszą to co dzisiaj nazywa światem romańskim i germańskim, pod drugą sam świat słowiański. Podział więc Europy na Wschodnią i Zachodnią lub też na światy romański, germański i słowiański w gruncie swoim jest jeden i ten sam, a zarzut P. Dubrowskiego iżem na ten drugi podział nie zwrócił uwagi, jest mylny. (F. Z.)

(1) Ma się rozumieć, że naród trzeba sądzić podług tego, jak on wysoko wznosił się do ogólnej idei człowieka, w szlachetnym znaczeniu; bo to stanowi prawdziwy jego postęp, ale dąży do niego nie inaczej, jak drogą swojej własnej narodowości i w stosunku do swego plemienia.

*Przyp. autora.*

(2) Tymczasem pamiętajmy, co mówi hr. Thun w swojej rozprawie o terażniejszym stanie czeskiej literatury, której p. F. Z. już przyznał niezaprzeczone zalety i z którą sam jest w dziwnej sprzeczności. Hr. Thun mówi (na str. 58): „Nietylko w sprawie wychowania odosobnienie pojedynczych ludów jest potrzebne, lecz także samo przez się rozwija i ulepsza sprawy ogółu. Tak jak pomysłność narodu wymaga różności indywidualiów, z których się składa, aby w miarę swoich zdolności i skłonności, jeden temu, drugi innemu zatrudnieniu się poświęcał, ażeby jeden tę, drugi owę myśl do skutku doprowadził, ażeby był reprezentantem téj lub owéj sprawy: równie téż dla wszechstronnego rozwinięcia się spraw rodu ludzkiego niezbędną jest różność ludów. Co jest właści-



Muszę uczynić zarzut p. F. Z., że jako krytyk, nie zwrócił należytej uwagi ma moje pismo. Oto przyczyna jego zbyt prędkich wnioskowań o dążności Jutrzenki; bo nie spostrzegł dalszego wykrycia moich myśli, pokrótce wyrażonych we wstępie; lecz proszę go, aby odczytał moje sprawozdanie o *narodopisie słowiańskim*, w 15tym Nrze Jutrzenki 1842 r. Tam mówię, że Słowianie koniecznie powinni być wszech-stronni, że w przyjęciu i przyswojeniu cywilizacyi należy unikać ostateczności, i robię zarzut tym, którzy w przyjmowaniu tej cywilizacyi niewolniczo postępują. Wszak ludzie nie są roślinami, które podlegają wpływowi atmosfery, a nie mają o tém wiedzy! Nakoniec naganiam tych, którzy otoczywszy siebie jakimś zaczarowanym kołem, z zadowoleniem pogrążają myśl swoją w rozpatrywaniu samych siebie, jak chińskie mandaryny. Mówię o nich: „Wystawili sobie, iż większa część ludzkości zatoneła w błędach (w skutek najczynniejszego życia w przeciągu tylu wieków!), i dla tego koniecznie potrzeba wszystko przelać w nową formę, podług nowego wzoru! To błąd,—bądźmy słowianami wyłącznie i *ludźmi w ogóle, w wyższém znaczeniu.*“ Dalej powiedziałem: „będziemy dążyć ku temu, aby naszą narodowość wyjawić *w formach powszechnej cywilizacyi.* Tylko tym sposobem możemy stać się samoistnemi, ponieważ *nic tak nie zabija żywiołu narodowego, jak obojętność w obcowaniu z innymi ludami.*“ Nakoniec mówię wraz z Puszkinem, że przyjdzie czas,

Kiedy ludy zapomniawszy o niezgodach,  
Połączą się w jedną wielką rodzinę!—

wością jednego narodu, co stanowi jego odrębną cechę, to też przeznaczone dla wyświadczenia właściwej odrębnej przysługi ludzkości. Nie na tém więc rzecz zależy, ażeby te cechy nierozsądnie niszczyć, lecz owszem na tém, ażeby je zachować i rozwijać.“ Na str. 59 znowu mówi: „w całym biegu historii każdy naród ma daną zdolność, której żaden inny rozwijać nie zdoła.“ Zasady takie hr. Thun służą do poparcia i moich zasad względem pojęcia plemienności i samoistnego narodowego rozwinięcia tejsz; które to zasady obiawiłem jeszcze wprzód, nim wyszło dziełko hr. Thun.

*Przyp. autora.*

Niech więc rozsądzi bezstronny czytelnik, czy miał słuszość krytyk, gdy powstawał na mnie za jakieś widoki, z któremi sam nie zgadza się?..

Przystępuję teraz do nowych dowodów, że p. F. Z. nie zrozumiał mnie. Kiedy we wstępie napomknąłem o wyższości gminnej poezyi ludów słowiańskich nad poezyą innych ludów europejskich, rozumiałem pod tym ogólnym wyrazem nie same pieśni. P. F. Z., zmieniawszy moje wyrażenie: *gminna poezya* na *pieśni gminne*, mniemał zapewne, iż pojął przedmiot należycie, i że ma słuszość, gdy podciągnął pieśni wszystkich ludów pod jeden mianownik.

— „Co do pieśni gminnych, mówi p. F. Z, wątpimy, czyli zdanie o nich wyrzeczone, opiera się na głębszej znajomości poezyi wszystkich ludów.“ — O ile ta uwaga jest słuszną, zaraz będziemy widzieli. Ja zaś pozostaję przy swoim zdaniu, przenosząc gminną poezyą Słowian nad poezyą innych ludów; — na poparcie czego przytoczę cokolwiek niżej zdania głębokich znawców w tym względzie. — P. F. Z. odwołuje się do wydawcy *Piosiennika*, zaś wydawca *Piosiennika* do Chateaubrianda, który nakoniec mówi tylko o *powinowactwie* poezyi gminnej wszystkich narodów; — to wcale co innego: przez to nie poniża wyższości i zalet jednej poezyi ludu przed drugą. Takie powinowactwo jest owocem wyjawienia ogólnego ducha ludzkości, czemu nikt przeczyć nie zechce; lecz formy i bogactwo wyjawienia tego ducha są rozmaite, nieskończone, i zależą od wpływu natury, pośród której lud zamieszkuje: od zwyczajów i obyczajów miejscowych, od wypadków historycznych, i nakoniec stosownie do wielkości plemienia (3). Mając na uwadze wyżej wspomnianą różnaitość,

(3) Przykładów powinowactwa gminnej poezyi różnych ludów można znaleźć wiele, i nawet przykładów godnych podziwiania; tak jedna szkocka ballada, o śmierci dwojga kochanków, opiewa, jak z mogiły dziewicy wyrosła róża, zaś z mogiły młodzieńca głóg. Na Białej Rusi jest także pieśń podobnej treści z tą różnicą, że z mogiły dziewicy wyrasta brzoza, z mogiły młodzieńca jawor; zaś drzewa wyrosły nad kościół, schyliły się jedno ku drugiemu i złą-

pytam się: dla czego np., w gminnej poezyi plemion germańskich widzimy główną przewagę idealnego, nadziemskiego świata, który zamieszkują jakieś dziwne istoty, i dla czego to nie odbija się w poezyi słowiańskiej? Skąd te Sylfy i Undyny? Dla czego w szkockiej gminnej poezyi nadewszystko widne jest smutne, głębokie zamyślenie? Dla czego w Skandynawii, gdzie człowiek utworzył w swojej wyobraźni olbrzyma *Imera*, z którego trupa powstał świat, że krwi—morze, z kości—skały, z czaszki—niebiosa,— dla czego w tym kraju dają się słyszyć pieśni malujące okropne obrazy, oddychające nieubłaganą zemstą i pragnieniem krwi?... Dla czego poezya ludu hiszpańskiego odznacza się zapachem wschodniego mieszkańca? — Zwróćmy teraz uwagę na poezya plemion słowiańskich i posłuchamy co mówi jeden z głębokich jej znawców, p. *Czelakowski* (w przedmowie do odgłosu Pieśni Czeskich): „Gminna poezya słowiańska w ostatnich latach tylu miłośników znalazła i tyle zbiorów pieśni ludu wydano, że każda prawie gałąź wielkiego słowiańskiego drzewa, mniej więcej obfite oczom naszym przedstawia kwiaty. Zaiste, dziwne a czarodziejskie to drzewo: każda jego gałąź innem a innem obsypana kwieciami — kwieciami rokosznem dla oka i woni, a przytém tyle od siebie różnem, że nic podobnego niemożna znaleźć na całym ziemi naszej obszarze! — W tak urozmaicone kształty rozwinął się po rozlicznych słowiańskich narzeczach śpiew narodowy, że twory jego, uważane by być mogły za owoc najniepodobniejszych do siebie narodów, gdyby jeden i tenże sam dźwięk nie przypominał ich jedności i całości.“

czyły. Porównajcież teraz taką samą krainiską pieśń, unieszoną w Jutrzence b. r. w posz. 2gim, na str. 130. Wskażę tu jeszcze pieśń o sierocie, którą prześladowe zła macocha; znajdujemy ją i w poezyi angielskiej, i szkockiej, i duńskiej, i germańskiej, i nakoniec słowiańskiej. Taż sama myśl, ale odznaczona różną osobną barwą i różnemi odcieniami swojskiej narodowości.

*Przyp. autora.*

Tak to myślą ci, którzy głęboko są obeznani z poezją ludu!

Jeżeli idzie o powagę autorską, co do wyższości poezyi słowiańskiej, gotów jestem przytoczyć uczonych, których gruntownej znajomości w tym względzie trudno jest zaprzeczyć. Już nie mówię, że szczególnej zdolności Słowian do poezyi dowiedziono w najdawniejszych czasach: kogóż Grecy przywoływali do swoich narodowych igrzysk i uroczystości, jeżeli nie Słowian? (ob. *Konst. Porfirogenitę: De Caeremon. Aulae Byzant. L. I. c. 72. Reiskius in Com. ad Const. Porph. Caer. p. 44*). Lecz sami cudzoziemcy przyznają nam wyższość w poezyi przed innemi europejskimi ludami. Wskażę na znakomitego *Jakoba Grimma* który mówi: „Alle slavischen Stämme scheinen von Natur dichterisch begabt, zu Gesang und Reizen aufgelegt.“ (Serb. Gramm. str. 14). Potém *Jakob Glatz* (Freymüthige Bemerkungen eines Ungars über sein Vaterland): „Die ausserordentliche Liebe zum Gesang ist ein Haupt, und ein schöner Zug in dem Charakter der Slaven. Das slavische Frauerzimmer wird man solten stumm antreffen. Es schwatzt oder singt. In deutschen Orten, wo slavische Dienstmägde gehalten werden, ziehen diese, wenn si des Morgens mit Grasbürden, gewöhnlich in einem Zuge zurückkommen, immer singend ein Die Slaven haben in diesem Stücke einen entschiedenen Vorzug vor den Teutschen, die *Raichard* mit Recht sanglose Teutsche heisst.“

Pięknie także zalety słowiańskiej poezyi wyraził *Kollar* w następnych dwóch wierszach:

Wy cudzoziemcy mówicie, że niema oświaty nasz lud:  
Jakto? wy musicie dla ludu śpiewać, dla nas zaś  
śpiewa lud!

Albo drugiczeski poeta (*Suchany*) powiedział:

Czém jest słowik między ptakami,  
Tém jest Słowianin między narodami.

Nie przyznawając wyższości poezyi słowiańskiej gminnej nad poczyą innych ludów, p. F. Z. wyprowadza na-

stępny wniosek: „Cechy więc właściwość życia Słowian stanowić mające, okazały się wspólne im z zachodnią Europą.“ Któż temu zaprzecza?... Przecież Słowianie są Europejczykami nie Chińczykami!! (3)

Dalój p. F. Z. nie słusznie gani zdania pp. Szewyrewa i Grabowskiego. Bez związku wyjął jedno miejsce

(3) W całym tym ustępie o poezyi gminnej P. Dubrowski nagania mi dwie rzeczy: 1. że mylnie zmieniłem wyrażenie gminnej poezyi na pieśni gminnych, 2. że zaprzeczam wyższości poezyi gminnej słowiańskiej nad wszystkie inne, co przecież nawet cudzoziemscy głęboacy znawcy przyznają.

Co do Igo żałuję że P. Dubrowski nie powiedział co też według niego oprócz pieśni stanowi poezją gminu. Czy klechdy, skazki i podania i t. d.? Te mogą mieć w sobie wiele poetycznego ale poezją nie są. Czy przysłowia? Nazwano je trafnie filozofią ludu, niewiem czyby miano poezyi równie im służyło? Co do mnie powtarzam, poezją ludu widzę w pieśni,—pieśń jest pierwotną poezją. Czują to nawet sami poeci kiedy *pieśniami* swoje twory nazywają. I ztąd poezya gminu a pieśni gminu od wszystkich promiscue są używane.

Co do 2go, p. Dubrowski nie zdołał przywieść mimo obietnicy żadnego zdania poważnego zagranicznego pisarza za sobą. Jakim sposobem ze słów Jakóba Grimma „że Słowianie zdają się być z natury poetycznie obdarzeni i do śpiewu pochopni“ wyciągnął P. Dubrowski wniosek iż Grimm przyznaje pierwszeństwo poezyi gminnej słowiańskiej nad wszelkimi innymi, jest rzeczą przynajmniej dla mnie niepojętą. Kto zna Grimma, z góry już temu nieuwierzy. Nie chciałoby zaiste dać wiary w Niemczech iż mógł się znaleźć ktokolwiek utrzymujący podobnie o Grimminie. Jak to? Grimm, ów reprezentant Germanizmu, Grimm co się dotąd alt-deutsch nosi, stary nasz Grimm miałby przyznać pierwszeństwo poezyi innego ludu? To są czyste żarty, powiedzieliby Niemcy. Cóż mówić o innych cytacyach P. Dubrowskiego? Ani wiersze, ani liryczne uniesienia w prozie nie mają naukowej powagi. A P. Glutz mówi tylko że Słowianin lubi śpiewać, ale nie powiada żeby lepiej śpiewał jak drudzy. Szanujmy innych jeżeli chcemy żeby nas szanowano!

Co się tyczy rozprawiań P. Dubrowskiego o poezyi gminnej hiszpańskiej i t. d. te i do rzeczy nie należą i nie nowego nie zawierają. Cały nawet ten spór jest niepotrzebny gdyż nigdzie o wyższości lub niższości poezyi gminnej słowiańskiej nie mówiłem ale tylko zaprzeczyłem zdaniu P. Dubrowskiego, że poezya gminna oschła na Zachodzie — tego zdania już P. Dubrowski nie powtórzył, dość mi natém.

F. Z.

z rozprawy p. Szewyrewa, który uskarżając się na niestateczność ojczyźstėj literatury i nieufność w własne siły, potępia zbyteczny i szkodliwy wpływ lichych utworów literatur zagranicznych (lecz nie oświaty, proszę to uważać!). Przytoczę tu inne słowa p. Szewyrewa, które dostatecznie zbiją obwinienie o jakiś *obskurantyzm*. Mówiąc o szkodliwym wpływie obczyzny we względzie literackim, p. Szewyrew dodaje: „że pomija te świetne wzory wielkiej przeszłości Zachodu, które zawsze powinniśmy badać: one, jako własność całej ludzkości, należą i do nas podług prawa, jako do najbliższych i prostych spadkobierców w kolci ludów, które występują na scenę żyjącego i działającego świata.“ (*Moskwitianin*, 1841 r. Nr. 1szy. str. 287) (4).

Pozostaje mi jeszcze rozebrać, jak krytyk ocenia środki, mojego pisma? „Wyłożyliśmy pokrótce nasze uwagi, mówi p. F. Z. nad punktem widzenia Jutrzenki; taka różnica w widokach, wpłynie nie pomału na ocenienie środków.“ Lecz ponieważ okazało się, że p. F. Z. nie pojął punktu widzenia Jutrzenki, a więc opierając się na jegoż twierdzeniu, powiem, że nie był w stanie ocenić i jej środków. Zapytuje się: „Cóż chciał redaktor Jutrzenki? Chciał utrzy-

(4) Gdzie P. Dubrowski znalazł, że ja obwiniam PP. Szewyrewa i Grabowskiego o obskurantyzm? Czy można dziś być obskurantem? W to nie wierzę; ale wierzę, że można mieć fałszywe pojęcia o stosunku pleńienia do narodów, że można na mylnój drodze szukać rozwinięcia umysłowego swojego kraju. Cytacja P. Dubrowskiego z Szewyrewa nie zbija mojej, ale dodaje jej nowęj siły, okazując że P. Szewyrew widzi na Zachodzie tylko wielką przeszłość i gotuje się obić po nim spadek. Aby być tēj nadziei trzeba spadkodawcę swego uważać bliskim zgonu. Takie też jest w ogóle stanowisko P. Szewyrewa, lecz że stanowisko to jest mylne, więc doprowadza go do mimowolnėj ironii samego siebie; a jeden wybuch tēj gorzkiej ironii zacytowałem w mojej recenzji. Wskazałem znaczenie mojej cytacji; więc niesłusznie mi zarzuca P. Dubrowski, że to jest oderwane bez związku miejsce. Zresztą czemuż nam dotąd nie dał poznać, jakie stanowisko zajmuje P. Szewyrew w literaturze rosyjskiej? (F. Z.)

mywać niejako korespondencyą, dawać wiadomość członkom rodziny słowiańskiej co się u nich wzajemnie dzieje? Ale *familijne listy* (?) zwykle mało mają ogólnego interesu. Jeżeli *dwie osoby* (?) nie mają sobie nic więcej donieść prócz tego, że żyją, że są zdrowe, że im się tak lub inaczej powodzi (!?), jeżeli niema między niemi *umysłowych* lub *uczuciowych stosunków* (?), jeżeli też *same przedmioty ich nie zajmują* (???..), nie wzbudzają w nich wrażeń ani refleksyi, których by sobie wzajemnie udzielać mogły, taka *korespondencya* (?) świadczy, że osoby ją prowadzące albo mało się znają, albo też każda z nich zatrzymuje przy sobie co myśli (!).“ (5)

To zupełnie nowy sposób widzenia. Niepodobna pogodzić z nim wzniosłych pomysłów Kollara o literackiej wzajemności między plemionami słowiańskimi (4). Ja też nie powiem przeciwko wspomnianym zdaniom. Przycoczę tylko co powiedział jeden znakomity poeta polski:

Młodzi! nam podnieść piersią piewców sławnych;

Młodzi! nam podnieść wiarą bogów dawnych.

Gdzie śpi jeszcze w kamieniach, runach, gędźb ukryta,

Nam wydobyć, nam wrócić do Słowian koryta!

Trzeba tylko przejrzeć pisma czeskie i sërbo-ilirskie, aby przekonać się, z jaką uwagą zajmują się tam każdym literackim utworem innych plemion. Oto Czesi swojemi pracami zakładają teraz węgielny kamień wzajemności literackiej. Nakoniec pytam się: co łączy wszystkie ludy słowiańskie na drodze umysłowości?

Cel Jutrzenki właśnie jest, aby pomnożyć umysłowe stosunki i częściej przypominać o nich. Jeżeli zgodnie

(5) Na wykrzykniki i znaki zapytania P. Dubrowskiego odpowiem prośbą do czytelnika: aby po każdym wykrzykniku dodał z méj strony znak zapytania, a po każdym znaku zapytania wykrzyknik. W istocie nie pojmuję dla czego P. Dubrowski się dziwi, a dziwić się dla czego pyta. (F. Z.)

(4) Ueber die literarische Wechselseitigkeit zwischen den verschiedenen Stämmen und Mundarten der slawischen Nation Pesth. 1837

z tym celem choć początek zrobiłem, zawsze będzie to miało swoją wartość; zjawiają się inni i pösuną dalej com zaczął. Tak, mogę otwarcie powiedzieć, że pierwszy wystąpiłem z pismem *wyłącznie* poświęconém literaturze wszystkich Słowian. W znaczniejszych miastach Słowiańszczyzny, w Pradze, Peszcie, Zagrebiu, Lwowie, Wrocławiu, Budyszynie i in. przyjęto moje pismo ze szczerym udziałem; ob. dzienniki czeskie, serbskie, serbo-ilirskie, łużyckie i polskie (wyjąwszy warszawskie); również dowodem tego listy odbierane z różnych słowiańskich krajów i drukowane w Jutrzence. Nie miała ona zaszczytu podobać się tylko warszawskim krytykom.

Wierzę, że między nami znajdują się ludzie, których wcale nie interesują wiadomości o Słowianach; lecz dajmy takim pokój! niech sobie będą zdrowi, niech im dobrze się powodzi i niech zatrzymują przy sobie co myślą. (6) Chcemy wierzyć nawet, że takich ludzi jest coraz mniej, a więc osiemdziesiąt milionowa Słowiańszczyzna nie na tém nie straci.

Lecz wróćmy do naszej krytyki.

P. F. Z. nie widzi w mojem piśmie znaczenia wypadków, ani reflexyi, którą one wzbudziły, jak się sam wyraża. Twierdzenie to zbyt jest ogólne i potrzebowałoby dokładniejszego objaśnienia. P. F. Z. nie rozważył wprzódy co powiedział: nie zastanowił się nad mojem położeniem i nie zgłębił znaczenia *powszechnego słowiańskiego pisma*. Aby objąć w niem całą działalność umysłową plemion słowiańskich, wypadłoby co miesiąc wydawać piosyt, składający się przynajmniej z 30 arkuszy druku.

(6) Ośmielamy się być tu przeciwnego jak Redaktor Jutrzenki zdania. Zdaje się nam z duchem chrześciańskim zgodniej, życzyć aby nasz przeciwnik wyjawiał co myśli. Jeżeli błądzi trzeba go oświecić, jeżeli naprzeciw naszym dowodom stawi inne, trzeba je odeprzeć, jeżeli można co od niego skorzystać, tém lepiej! Ale nigdy, nigdy życzyć nie należy aby milczał. Inaczej moglibyśmy się podać w podejrzenie, że milczenie przeciwnika dla tego nam jest tak przyjemne, iż nie mamy mu co odpowiedzieć. F. Z.



Zastosuję do siebie wyrazy jednego z moich ziomeków: „Między *niepodobieństwem* uczynić to co bym życzył i życzeniem zrobić cokolwiek, zrobiłem *co mogłem*.“ Niema ani środków, ani pomyslnych okoliczności ku temu, ani rychłych i łatwych stosunków do odbierania wszystkich pism i dzieł słowiańskich, na które czasem trzeba czekać rok, półtora, a niekiedy i wcale nie można ich dostać; tymczasem trzeba poprzestać na krótkiej wiadomości o tém, lub owém dziele. Gdzie nakoniec współ-pracownicy obeznani z narzeczami słowiańskimi, którzyby byli w stanie przyjść w pomoc usiłowaniom jednego człowieka przy tak ogromném przedsięwzięciu? W takim przypadku pozostawało po większej części ograniczyć się na małym i utorować drogę dla przyszłych skuteczniejszych usiłowań. Quid potui feci, faciant meliora potentes. Nie trzeba także zapominać, że wzajemność literacka między Słowianami dopiero co się zaczyna, potrzeba jeszcze gromadzić materyały, zbierać fakta, i wtedy dopiero *filozofować*. Gdzie wypadało, a gdzie dozwalały okoliczności, zależące odemnie *bezw warunkowo*, nie zaniedbałem pokazać w należytem świetle i szczegółach, znaczniejszych umysłowych wypadków u Słowian, jak zobaczymy niżej.

Niema nic łatwiejszego, jak budować zamki na lodzie; może dla tego właśnie nikt tyle nie krzyczy o *wyższych widokach*, jak ci, którzy nie, zadali sobie ciężkiej i mozolnej pracy, aby gruntownie zgłębić obrany przedmiot; — zapatrują się na niego powierzchownie, z jednej strony, a do tego przez zakopciałe szkiełko filozofii niemieckiej. Mnie się zdaje, że jednostronność w *praktycznym* badaniu przedmiotu, daleko jest bezpieczniejszą, aniżeli w *urojoném, oderwaném*, które nieokreślone granicami, pokazuje czczość pomysłów i nakoniec niknie jak dym, ponieważ nie ma punktu oparcia. Niech będą fakta, czyny, które najsilnieją mówią za sobą; wyższe zaś abstrakcyjne rozpatrywanie się w nich objawi się samo; — trzeba tylko ze szczerem oddaniem się i z sumiennością zajmować się zbieraniem faktów, trzeba tylko układać je w pewny systemat, a każdy myślący człowiek sam odkryje ich znaczenie i wartość.

I tak p. F. Z. nie przyznaje żadnego interessu dla tych wiadomości, które Jutrzenka udzieliła w z. r.; lecz niema jeszcze dwóch lat, jak moje doniesienia o literaturach słowiańskich umieszczano w każdym poszycie Biblioteki Warszawskiej, a czytelnicy uznawali je za ciekawe, chociaż nie tyle były obszerne jak te, które drukują się teraz w Jutrzence.

Wszystkie niesłuszne zarzuty p. F. Z. tém się tylko dadzą wyjaśnić, że krytyk należycie nie zastanowił się nad mojem pismem. Tak np. mówi, że mało daje baczenia na to, co cudzoziemcy piszą o krajach słowiańskich; lecz odwołuję się do przeszłorocznego wydania Jutrzenki, w której wskazałem wszystkie znaczniejsze zjawiska w tym względzie, a niektóre nawet dość szczegółowo były rozebrane (7). Jeżeli Jutrzenka temu przedmiotowi nie mogła poświęcić większej liczby stronic, wynikało to z powodu, że objętość jej w zeszłym roku była szczupła; jednak koniecznie wypadało dotknąć literatury prawie wszystkich słowiańskich ludów, co było ważniejszem i co też wykonała. Między wielu innemi dziełami w językach obcych; Jutrzenka rozebrała następujące, o których żadne pismo warszawskie nie uczyniło wzmianki: Urządzenia i Prawa Dalmackie w wiekach średnich przez Reutza — Niedrukowany list Matyldy Szwabki (dziełko ważne dla historii polskiej) i — o Pierwotnych mieszkańcach Łużyc, przez Schelta.

P. F. Z. czyni mi jeszcze zarzut, że „są nawet ważne zjawiska umysłowe u Słowian, o których dała wiadomość Biblioteka Warszawska, a które niby Jutrzenka pominęła.“ Nie mało tém byłem zdziwiony, bo ciągle dawałem baczenie na wszystko, co się działo w literaturze Słowian. Przejrzałem Bibliotekę z 1842 r. i znalazłem w niej krótki rozbiór rozprawy hr. Thun o *teraźniejszym stanie literatury czeskiej*, — mówię *krótki* bo nie obejmuje głównej treści tej rozprawy, nie przedstawia wszystkich pomysłów, stanowiących jej tło. Dwa razy była wzmianka w Jutrzence

(7) Czyż zawsze wiadomości o Słowiańszczyźnie mamy czerpać u cudzoziemców??...

o wyjściu tego dziełka: raz w liście p. Hanki (w 5tym Nrze Jutrzenki 1842 r.), drugi raz w liście p. Parkiniego (w 6ym Nrze). Wreszcie rozprawa ta prawie całkiem była umieszczona w rosyjskiem piśmie p. t. *Moskwitianin* 1842 r. (8)

Nakoniec uznaję za rzecz konieczną wskazać tu artykuły, które stanowią istotną wartość Jutrzenki z r. z.

Obudzenie życia umysłowego w Łużycach (po niem. *Lausitz*), zapewne powinno zajmować każdego Słowianina. Kraj ten, jak mała wysepka oderwana od wielkiej dziedziny słowiańskiej i otoczona morzem obczyzny, germanizmu, jest siedliskiem ludu nielicznego w prawdzie, lecz mówiącego jednym z narzeczy słowiańskich, w którym najwięcej zachowało się cech, bez wątpienia należących do odległych czasów. Lud ten sam siebie nazywa *Serbami*. Obowiązkiem naszym jest zachować te drogie resztki, mogąc służyć do wyjaśnienia naszych dziejów, naszego języka, naszej poezyi; szczególnież ta puścizna ważną jest dla Polaków, którzy w tym małym, prawie zapomnianym kraju, mogliby usłyszeć nie jedną pieśń, którą niegdyś śpiewali ich ojcowie, nie jeden dźwięk, nie jeden wyraz ich rodzinnej mowy. Nikt dotąd bliżej nie zapoznał Polaków z tym krajem utraconym niegdyś przez nich; i dziś słyszą o nim tylko pod zniemczonem i przekreconem nazwiskiem *Lużaci* (Łużycę—*Lušitz*!!). Dopiero Jutrzenka pierwsza umieszciała piękny opis podróży do Łużyc, gdzie czytelnik powziął wyobrażenie nie tylko o samym kraju, ale zwyczajach ludu, ich literaturze i t. d. Pójdźmy dalej: wydano nowe zbiory pieśni czeskich, łużyckich i serbskich, — i Jutrzenka nie omieszkała natychmiast zapoznać z nimi swoich czytelników. Zrobiła z nich wybór w oryginale i przekładzie, z czego można powziąć wyobrażenie o duchu plemienia, charakterze jego poezyi, odcieniu ich języka, porównywając je z sobą. Nadto podała Jutrzenka dokładny

(8) Więc *Moskwitianin* przetłumaczył rozprawę Hr. Thun, *Gazeta Rządowa Pruska* poświęciła jój pół kolumny w swoim piśmie, a Jutrzenka pismo poświęcone Słowiańszczyźnie, przestała na dwóch nawiasowych wzmiankach o jój wyjściu! *F. Z.*

przegląd literatury czeskiej, poczynawszy od r. 1836 aż do 1840, napisany przez znanego czeskiego literata Winarzyckiego. W celu obznajmienia z miejscowością i mieszkańcami krajów słowiańskich, Jutrzenka poddała zajmującą podróż po halickiej i węgierskiej Rusi. Zwrócono także uwagę na to co się dzieje w piśmienności mało-ruskiej; — artykuł o najnowszej łużycko-serbskiej literaturze (Jordana) i przegląd tejże literatury z dawnych czasów, napisany dla Jutrzenki przez znanego uczonego i wydawcę łużyckich pieśni p. Smolerja, — dopełnia tegoż zamiaru. Powiedziało dosyć obszernie o Ilirach, jak u nich odradza się życie umysłowe, kto stoi na czele ludu w sprawie oświaty; znowu w innym artykule: *Wiadomości z Zagabria*, dokładnie opisano urządzenie towarzystwa dla czytania (czytelni), nowe literackie usiłowania i t. p. Szafarzyk, jeden z pierwszychuczonych słowiańskich, znany całemu uczoneму światu Europy, zaszczycił swoim współdziałaniem moje pismo i nadesłał dla niego artykuł, w którym opisuje zapomnianą gałąź naszej wielkiej rodziny, naszych braci, Rezyanów i Furlańskich Słowianów, zachowujących jeszcze swój język, swoje zwyczaje i obyczaje, na dalekim krańcu Europy, na ziemi włoskiej. Znowu drugi znakomity uczonec Czech i badacz natury, professor uniwersytetu wrocławskiego J. K. Purkinie, który przy pracach wyłącznie naukowych, pokłada zasługi tak dla literatury czeskiej, jak dla polskiej, wspierając tę ostatnią w Szlązku i zachęcając do literatury młodzież zamieszkałą w Wrocławiu (9), — ozdobił swoją pracę Jutrzenkę, umieściwszy w niej artykuł, w którym wykrywa głębokie myśli o potrzebie jedności literackiej między plemionami słowiańskimi, i przedstawia charakterystykę każdej

(9) P. Purkinie założył w Wrocławiu literackie towarzystwo, bibliotekę bogatą w polskie dzieła; wydał swoim kosztem polski przekład przez Szukiewicza *Odgłosu pieśni Czeskich*; przetłumaczył na czeski język *Maryę* Malczewskiego. Któreż z pism warszawskich zwróciło uwagę na pomieniony przekład *Odgłosu pieśni Czeskich*? Jutrzenka dawno ogłosiła tę wiadomość.

*Przyp. autora.*

gałęzi oddzielnie. Dodajmy, że i nasz szanowny badacz dziejów W. A. Maciejowski objaśnił ważne znaczenie pieśni, przysłów i podań polskich. Nie pominęła Jutrzenka i literatury polskiej, umieściwszy jej przegląd z 1840 r; co do literatury rosyjskiej, podała obszerny artykuł p. Szewyrewa; wskazano także umysłowe i moralne odrodzenie Bołgarów; zdano sprawę o nowém dziele p. Szafarzyka *Słowiański Narodopis*, i wyjęto z niego porównawczą tabelę ludności Słowian. Do bardzo ważnych artykułów można jeszcze zaliczyć — przegląd bibliograficzny zbiorów pieśni słowiańskich przez p. Szafarzyka, nieoszacowany dla każdego miłośnika naszej poczyi ludu.

Nie mówię nic o wielu innych artykułach, umieszczonych w Jutrzence, już to w głównym oddziale pisma, już to w rozmaiłościach; również o listach, które odbierałem z różnych słowiańskich krajów (od p. Hanki z Czech, od p. Purkiniego z Szląska, od p. Wraza z Kroacyi, od p. Smolerja z Łużyc, od p. W. Z. i L. z Galicyi i in.), a w których zawsze się zawierały najnowsze literackie wiadomości.

Przyjąwszy za zasadę mojego pisma wszechstronność słowiańską, śmiało mogę powiedzieć, że nie uchybiłem tej zasadzie. Szczerze życzę Słowianom, aby wyrabiając swój własny żywioł, jednocześnie okazywali współludzkie dla powszechnego życia ukształconej ludzkości.

P. Dubrowski.

Redaktor Przeglądu Słowiańskiego: *Jutrzenka*.

*Trzeci tom Biblioteki Zagranicznej wyszedł z druku i obejmuje ekonomią przemysłową Blanquiego, kurs w szkole paryzkiej sztuk i rzemiołst miany w latach 1837 i 1838. Prelekcyi w tym tomie zamieszczonych jest 13. Następny tom już jest w druku i bliski ukończenia; zawiera prace estetyczne Szyllera.*

## KRONIKA BIBLOGRAFICZNA

WARSZAWA.

36. *Poezye Brunona hrabi Kicińskiego, częścią przekładane, częścią oryginalne w XII tomach, oddział II. 12. Tom V str. 324. Tom VI str. 288. Tom VII str. 292. Tom VIII str. 294, nakładem autora, w drukarni Banku Polskiego. Warszawa r. 1843 (cena r. sr. 3 czyli złp. 20).*

Oddział ten ze czterech tomów składający się, obejmuje: w V. Antologią grecką, a mianowicie poezye Solona, Pitagoresa, Anakreona, Safony, Alceusza, korynny, Bakchylidesa, Arystotelesa, Bijona, Moscha, oraz Batrachomachią Homera, w VI. Antologii niemieckiej część druga, a mianowicie Poezye Langbeina, Kastellego, Vossa, i dzisiejszych Poetów Gruena, Zedlica, Szwaba, Ulilanda, Eberta, hrabi Wirtenberga, barona Gaudy, Szenkendorfa, Czabusznika, Kenera, Zeidla i Chamisso; tom VII i VIII mieszczą w sobie Przemiany Owidyusza do księgi 10. Przy Antologii greckiej zamieszczony jest text oryginalny tych autorów, których dzieła nie znajdują się w handlu księgarskim.

37. *Gra Namiętności, dramat w trzech porach i pięciu aktach z prologiem, oryginalnie napisany, przez Kajetana Niepowie, 8vo. str. 338, drukiem J. Glüksberga księgarza szkół publicznych w Królestwie Polskim. Warszawa r. 1843. (cena r. sr. 1 kop. 20 czyli złp. 8).*

Jest to dramat w rozwinięciu swoim budzący silny interes, treść jego i stanowisko w zakresie sztuki, znajdują miejsce w kronice literackiej.

38. *Wykład praktyczny miernictwa i niwellacyi z wszelkimi zastosowaniami do potrzeb gospodarzy wiejskich, tak pod względem urządzenia i podziału pól, jako też zaprowadzenia gospodarstwa leśnego, osusza-*

nia i zwilgotniania łąk i t. d. z przydaniem najprostszycb obrachowań tyczących się leśnictwa, gorzelnictwa, gospodarstwa rolnego i tabel redukcyjnych miar i wag obcych na polskie, przez Wincentego Jozefowicza magistra filozofii, profesora geometryi stosowanej i miernictwa w Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie, z siedmiu tablicami, 8vo. str. 243, nakładem S. H. Merzbacha w drukarni M. Chmielewskiego. Warszawa r. 1843, (cena r. sr. 1 kop. 80 czyli złp. 12).

Oprócz wstępu, książka ta na pięć rozdziałów podzielona, obejmuje: w I. wiadomości potrzebne w miernictwie o miarach długości i narzędziach do tego służących; własności wielokątów, równość ich i podobność, kreślenie obliczanie wielokątów, obliczanie brył; w II. wykład miernictwa z opisaniem i użyciem do tego wszelkich narzędzi; w III. miary powierzchni, podział i rozgraniczanie gruntów; w IV. niwellacya, jej cel i potrzebne narzędzia; w V. nakoniec mieszczą się gospodarskie obrachowania np. ilości siana w stogu, zboża w stercie lub stodole, objętości naczyń, oszacowanie lasów i t. d.

39. *Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym opisana przez Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego. Tom. 1 8vo. poszyt 1, nakładem S. Orgelbranda, w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego. Warszawa r. 1843 (cena całego dzieła r. sr. 6).*

Trzy tomy składać mają dzieło wedle podziału dawnej Polski na trzy prowincye: t. j. Wielko-Polskę, Mało-Polskę i Litwę. Opisy szczególne każdej, poprzedzone ogólnym rzutem oka na cywilizacyą narodu w tej epoce, tudzież treść dziejów narodu litewskiego na czele 3go tomu, stanowią wątek dzieła. Wszystkich zaś opisów ostatecznym kresem jest rok 1794, jako epoka skończonego bytu starożytnej Polski.

40. *Bajki i powiastki dla dzieci, Tymoteusza Rodziszewskiego 12 str. 90, w drukarni Baryckiej. Warszawa r. 1843, (cena kop. 22½ czyli złp. 1 gr. 15).*

Sześćdziesiąt bajeczek lub powiastek dla wieku dzieciennego obejmuje obecny zbiorek; dla przykładu przytaczamy 39,

*Nędzarz i dzieci.*

W czasie obiedniej godziny  
U chłopczyka i dziewczyny,  
Ubogi starzec łzami oczy rosi  
O kawałek chleba prosi,  
A gdy dziewczę bez litości  
Pieskowi z mięsem odrzucało kości,  
Chłopca nieludzkość oburzyła taka,  
Rzekł: czy nie widzisz żebraka?  
Gdy sami mamy dosyć, jesteśmy szczęśliwi,  
Niechaj i biedny przy nas się, pożywi.

41. *Dawne ścieszki czyli porównanie zasad i nauk dzisiejszego Judaizmu a religią Mojżesza i proroków przez Alexandra M'Caule D. T. w kollegium S. Trójcy w Dublinie napisane, a teraz nakładem XX. Missyonarzy angielskich, po polsku wydane, w drukarni XX. Missyonarzy angielskich. Warszawa r. 1843, zeszyt 1. O ważności prawa ustnego jako zasadzie Judaizmu, w Sce str. 63.*

KRAKÓW.

42. *Listy z Krakowa napisał Józef Kremer, Tom pierwszy Svo. str. 412, w drukarni Uniwersyteckiej nakład autora. Kraków r. 1843, (cena r. sr. 1 kop. 80 czyli złp. 12).*

Autor w dziesięciu listach składających książkę o której mówimy, rozwija przedmioty następującej treści: Ogólny widok na sztukę, — o prawidłach i ustawach w sztuce, — sztuka nie jest naśladowaniem natury, — stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu — stosunek sztuki do uczuć, istota sztuki, — sztuka, — wiara, — filozofia, — o ideale, — świat właściwy dla ideału, sytuacja, kollizya, działanie, Pathos, charakter.



POZNAŃ.

43. *Wykład na lament Jeremiasza proroka, przez Ks. W. Kuczborskiego kanonika krakowskiego, Svo. str. 396, nakładem Zupańskiego, w drukarni W. Stefańskiego. Poznań r. 1843 (cena r. sr. 1. kop. 50 czyli złp. 10).*

Ks. Kuczborski należy do sławnych pisarzy złotego wieku naszej literatury, był sekretarzem Zygmunta Augusta, używany do korespondencyi z dworami zagranicznymi, umarł w Krakowie r. 1573 i pochowany w katedrze tamtejszej. Obecny wykład lamentu Jeremiasza z komentarzem, wydobyty z półtrzecia wiekowego ukrycia jest wzbogaceniem naszej teologicznej literatury.

44. *Mowa miana przy pochowaniu zwłok s. p. JW. Marcina Dunin Arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, Legata s. Stolicy Apostolskiej i Kawalera orderu orła czerwonego klasy II z gwiazdą, w. d. 2 stycznia r. 1843, przez ks. Jabczyńskiego kanonika i kaznodzieję metropol. poznańskiego, Svo. str. 24, nakładem Zupańskiego. Poznań r. 1843, (cena kok. 37½ czyli złp. 2 gr. 15).*

WILNO.

45 *Obrazy litewskie, przez Ignacego Chodźkę serya druga, tom pierwszy Svo. str. 132, wydanie Adama Zawadzkiego, w drukarni tegoż. Wilno r. 1843 (cena kop. 90 czyli złp. 6).*

Tomik obecny poświęcony jest opisowi brzegów *Wili* „Przejdźmy, powiada autor, po brzegach rzeki naszej ojczystej *Wili*; połączmy jej nurtem jak wstęgą miłej pamięci, kilka wspomnień i podań dawnych z nad jej brzegów i kilka obrazów wiosny życia naszego także nad jej brzegami spędzonej, młodości szczęśliwej, pogodnej, żywej, obfitej w uczucia, z uczuć w troski, z trosk w rokosze, gdy ostatki prostoty domowej i towarzyskiej szczeroty naszej stykały się w dobiegających już, pasmach z nową, terazniejszą z egoizmu, chciwości i zbytków szczególniejszą tkaniną, mieniącą się obłudnie jak mora, i błyszcząca jak szych fałszywy, w którąśmy się oblekli. A gdy w takiej obyczajów i życia naszego przemianie, szczęście i wesołość ojców naszych nam znikły, niechże przynajmniej zostaną w pamięci sposoby, któremi oni to szczęście i tę wesołość obudzali.“ Oto jest tresć i cel *obrazów litewskich.*

J. B.

# ROZMAITOŚCI.

## O DOMACH OCHRONY

W STANACH ZJEDNOCZONYCH AMERYKI. (\*)

Jak pomysł tak i urządzenie Domów Ochrony w Stanach Zjednoczonych Ameryki, należy całkiem do kilku prywatnych osób Nowego Jorku, które zdjęte litością, na widok mnóstwa dzieci i nieletniej młodzieży, zamkniętych w więzieniach wspólnie z zatwardziałymi zbrodniarzami, jakoteż tułających się po ulicach miasta bez żadnej opieki, widoku na przyszłość i moralnego wsparcia, umyśliły tamę złemu położyć, przez urządzenie dla nieszczęśliwych Instytutu, w którymby zamieszczeni, pod czułym dozorem kształceni i zatrudnieni moralnie i fizycznie, mogli nietylko drogę występku porzucić, ale nawet stać się pożytecznymi społeczeństwu, którego zakłąą być mieli.

Wtrop tej szlachetnej myśli, naprzód licznymi odezwami zamieszczanymi w pismach publicznych, starano się zwrócić bacność współrodaków na ową opuszczoną młodzież; później zaś otworzono składki, a te w krótkim czasie wzrosły do sumy takich, że już w 1825 w Nowym Jorku, rok później w Bostonie, a w 1828 Filadelfii stanęły pierwsze Domy Ochrony. Domy te zrazu, jako utworzone przez prywatnych, całkiem prywatnymi Instytutami były: a nawet i teraz chociaż rząd je zatwierdził, dorocznem wsparciem zapomaga, nie wyszły z pod opieki założycieli i pod ich kierunkiem i całkowitym zarządem zostają.

(\*) Artykuł niniejszy wyjęty jest z dzieła pp. Beaumont i Tocqueville, pod tytułem: System karny w Stanach Zjednoczonych z sprawozdań Domów ochrony w Nowym Jorku i Gazetyj stanu Bostońskiej.

Pierwotni założyciele, jako też osoby które w późniejszym czasie złożyły jakie bądź summy na korzyść Instytutu, lub dowolnemi peryodycznemi składkami zapomagają go, zbierają się raz do roku na główną sessyą — na tej wybierają dyrektorów (Managers), którym powierzają całkowity zarząd zakładu, i obrót funduszów.

Dyrektorzy znowu mianują urzędników Instytutu, jako też z pośród siebie Radę stałą, której obowiązkiem jest czuwanie bliższe nad wykonaniem uchwał głównej sessyi, postępowaniem urzędników, odbieraniem od nich rachunków i sprawozdań, wreszcie dozór nad młodzieżą, bliższe wglądanie w ich czynności, jednym słowem administracya zewnętrzna i wewnętrzna zakładu.

Pomiędzy urzędnikami, Nad-Intendent jest pierwszym, i jako głowa administracyi wewnętrznej, zostaje pod szczególniejszym dozorem komitetu. Moralne zasady, nieposzlakowane w niczem obyczaje, i gruntowna nauka, dają tylko prawo do tego stopnia.

Tak pozostawione samym sobie Domy Ochrony kwitną przecież, a nawet rok w rok wznagają się w fundusze i zasoby. Nie było przykładowo od czasu ich założenia, aby choć grosz uronionym został, lub napróżno użytym. Opinia publiczna, chociaż jedyny stróż spraw komitetu, jest też surowym sędzią. Nikt w tak ucywilizowanym i wysoko w moralności posunionym kraju, jak Stany Zjednoczone Ameryki, nie śnie pogardzić jej głosem, ani na pociski narazić się.

Domy Ochrony przyjmują młodzież dwóch klas: to jest tę, która dla złych obyczajów lub występków skazaną została na karę więzienia, i tę, która lubo nie przekonana o żadnym występku, daje obawę, że dla braku opieki, niedostatku, lub innych powodów, skłoni się do niego.

Nikt zapewne nie zamierza umieszczaniu występnej młodzieży w Domach Ochrony. Więzienie zwyczajne dla niej i niebezpiecznym jest i niesprawiedliwym. Niesprawiedliwym — bo jakże karać z całą surowością prawa, dziecię, które często nie zna i nie czuje ogromu błędu jaki popełniło, które było doń skłonione namową, nierozwagą lub też musem nędzy? Jest niebezpiecznym, bo zmieszanie

niedoświadczonej młodzieży z zakamieniałymi zbrodniarzami, alboż nie zepsuje jej do szczeru, nie schañbi, w otchłań zbrodni nie popchnie?

Ale też czy sposób zostawiać występki bez kary? Nie byłoby to zachętą do niego, a przynajmniej litość niezdalałaby się słabością, dla lekkomyślnych obojętnością? — Czy także baczność rządu niema stawiać tamy złemu, choćby tylko był pozór do niego? Z pierwszego i drugiego powodu, Domy ochrony, jak były nieodzownej potrzeby wypadkiem, tak też najtrafniej pomyślanym karnym zakładem; gdyż ich system, ani jest zbyt surowym dla niewinnych jeszcze, ani zbyt łagodnym dla winnych już. Celem ich jest uchronienie od występków jednej młodzieży, innej zasłonięcie od hańbiącej i niebezpiecznej kary.

Indywidualnie nie przekonane o występku, a które policja (Police Officers) jest upoważniona przesyłać pod opiekę Domów Ochrony, są młodzi ludzie obojęj płci do lat 20, znajdujący się z powodu straty rodziców, opuszczenia od nich, nędzy, braku opieki, lub t. p. w stanie zatrważającym dla społeczeństwa, trudniący się żebractwem, tułaczce, i tacy, którzy dla złych skłonności, wybredów lekkich, lecz łatwo w gorsze przejść mogących, zwracają na siebie oko policji.

Aby przecież uniknąć pozorów nawet sądu, indagacyi, wyroków, przesyłanie młodzieży do Domów Ochrony odbywa się bez żadnych formalności, używanych zwykle przy karaniu lub osadzeniu w więzieniu doroślejszych winnych: czas nadto zatrzymania oznaczonym nie jest. Jeżeli Indywiduum poprawę okazuje, dobrą postępowaniem zaleca się, może być w każdym czasie uwolnione: do skończenia przecież 20 roku życia, zawsze pod opieką Instytutu zostaje, który mocny go wezwać, a nawet użyć siły prawem używanej, gdy postępowaniem swym nie odpowiada oczekiwaniu jego, a tém więcéj, jeżeli dla nowego występków zasłuży na karę.

Każde Indywiduum zaś z 21 rokiem życia, wychodzi z pod dozoru i murów Instytutu, i jako pełnoletnie ulga karze zwykłej prawnej, jeżeli na nią zasłuży.

Podobna opieka, nadana Domom Ochrony, nie tylko nad winną lecz i podejrzaną na przyszłość młodzieżą, wzbudziła zrazu podejrzenie, a nawet utyski niektórych, zbytek na swe osobiste prerogatywy baczących obywateli, szczególnież też w Pensylwanii.

Główne zasady administracyi Domów Ochrony są bardzo proste. Młodzież w nich umieszczona pobiera nauki zwykle w szkołach elementarnych udzielane, i uczy się rzemiosł odpowiednich swym siłom, a często stosownie do chęci i naturalnego popędu.

Jeżeli Indywiduum szczególniejszą zdatność w naukach, lub obranym kunszcie pokazuje, na przedstawienie dyrektorów Instytutu, podane mu są środki do doskonalenia się wyższego, i obmyślony fundusz stosowny na przyszłość, to jest: nawet na parę i kilka lat po dojsciu do pełnoletności, a więc wyjściu z opieki Domu Ochrony.

Na wyuczenie rzemiosł, jako pewniejszy sposób do życia biednej młodzieży zapewnających, więcej też zwraca uwagi dyrekcyja i więcej czasu w rozkładzie dnia poświęca.

Nad karami i nagrodami używanemi w Domach Ochrony amerykańskich zastanówmy się nieco.

Co do kar: tych użycie różni się w trzech pierwotnych zakładach. W Nowym Jorku i Filadelfii są one następujące:

- 1) Pozbawienie rekreacyi.
- 2) Zamknięcie samotne w izbie na to przeznaczonój.
- 3) Areszt o chlebie i wodzie.
- 4) Kara cielesna discipliną.

W Nowym Jorku ta ostatnia kara jest zaleconą, w Filadelfii dozwoloną tylko.

Wymierzanie kar i ich gatunkowanie, należy wyjątkownie i bezodwołalnie do Nad-Intendenta.

W Instytucie Bostońskim plagi są najsurowiej zakazane: młodzież w nim umieszczona wychowaną jest na zasadach najczystszej filozofii.

Instytut przyjął za prawidło wychowania: kształcenie duszy, wznoszenie umysłu, obudzanie uczuć osobistej godności młodzieży powierzonój sobie.

Aby dojsć tego celu, nie obchodzą się tam z wychowaniami jak z dziećmi, lecz jak z dorosłemi ludźmi: za-

дне nie może być karane za błąd nieprzewidziany prawem Boskiem lub ludzkim, a szczególnie przepisami zakładu.

Z tych przepisów przytoczę jeden, co się tycze uchybień w nabożeństwie i służbie Bożej, jako próbę zasad Instytutu.

„Ponieważ przechodzi moc ludzką karać uchybienia i brak uszanowania dla religii i Boga, temu który się dopuści tej okropnej winy, wzbronionym będzie wstęp do świątyni i udział jaki bądź w obrzędach religijnych; surowsza kara zostawia się Bogu i przyszłości.“

To mądre postanowienie, wyobrazić sobie trudno, jak wielki wpływ na młodzież wywiera: indywiduum odłączone od społeczeństwa chrześcian, staje się wzgardzone od towarzyszy, przeklętem na wieki w ich rozumieniu, a nawet i własnym. Przyznającemu się dobrowolnie do winy, kara odpuszczoną bywa. Każdy wychowaniec instytutu, co wieczór w książce, umyślnie na to ustanowionej, wpisuje całodzienne swoje postępowanie; prawie nie było przykładu, aby który kłamliwie podał je, lub zataił występki przeciw ustawom zakładu.

Wykraczający, sam na siebie karę naznaczyć musi; zwykle jest ona surowa, surowsza nawet, niżby ją naznaczyła zwierzchność.

W niektórych razach sędzenie winnego powierzone jest towarzyszom; biada mu wtedy! bo te jury 10 letnie nie mają litości.

Monitorów czyli dozorców porządku, jako też naczelników klass, wybierają same dzieci: nie było przykładu, aby wybór ich padł na niegodnego.

Kary używane w Inst. są następujące:

Utracenie na jakiś czas prawa wyboru kandydatury na monitora.

Zabronienie rozmowy z Nad-Intendentem, zbliżenia się nawet do jego osoby.

Wzbronienie rozmowy z młodszymi towarzyszami, a niekiedy całodzienne zupełne milczenie.

Nakoniec, gdy przekroczenie cięższe jest, lub winny nie poprawiony— dyby, zawiązanie oczu, albo też zamknięcie w osobnej celi.

Nagrody powszechnie używane są te:

Umieszczenie w klasie dobrych i oznaka honorowa na sukni noszona.

Podwójny głos przy obiorze monitorów.

Powierzenie kluczy i wolność wyjścia o każdym czasie, bez opowiedzenia się zwierzchnikom, z zakładu na godzinę 1 lub 2, zupełna wiara na słowo.

Wreszcie, a to największa już nagroda — obchodzenie uroczyste dnia ich urodzin.

Co się tycze fizycznych potrzeb wychowañców, te są zaspakajane przez Dyrekcyą oszczędnie lecz bez skąpstwa i regularnie.

Potrawy na śniadanie, obiad, podwieczorek i kolacyą, są udzielane smaczne i zdrowe: na obiad dają zupę, mięso i jarzynę; w dni uroczyste racya mięsa jest hojniejsza niż w powszednie.

Ubjór jest ciepły, dostatni, jednostajnego kroju, gatunku i barwy.

Stancye wygodne, opalane i przewietrzane w razie potrzeby. W Nowym Jorku i Filadelfii każdy z młodzieży śpi w osobnej celi; w Bostonie, po kilku wychowañców, rozłączonych tylko co do płci, w jednej izbie.

Apteka i lekarz są miejscowe, staranie dla chorych osobne, usługa i dozór dla nich przyzwoity.

Służba Boża odbywaną bywa w niedzielę w kościele — w dniu powszednim.

Obrządki i powinności chrześcianina ściśle są przestrzegane. W niedzielę w świątyni, w dzień powszedni w zakładzie, każde z dzieci ciężko słabych przytomne jest odprawianemu nabożeństwu podług anglikańskiej liturgii.

Rozwżywszy system przyjęty przez Domy Ochr. St. Zjed. Amer. łatwo poznamy, iż jako oparty na moralności i człokolubności, zależy też w szczęśliwym rezultacie, od podobnych cnot w Dyrektorach i Nad-Intendentach Instytutu.

Dokąd przecież Domy Och. St. Zj. Am. celują pod każdym względem w administr. i pomyślności i nad Eur. system ich przyjęć by należało, bez obawy nieudania się. Wszakże i u nas są ludzie nie poścignieni w moralności,

czysto filantropicznych zasad, i oświeconej filozofii; wszakże i u nas opinia publiczna, nie jest częzą nazwą: jak nagradzać tak i karać umie. K.

*O sposobie obtaskawienia bawotów i koni dzikich u Indyan w Ameryce północnej.*

W dziele Catlin'a, o zwyczajach i obyczajach Indyan, znajduje się następujące ciekawe podanie.

„Często, mówi tenże, naśladując Indyan, bawolemu cielcowi zakrywwszy ręką oczy, dmuchnąłem parę razy mocno w nozdrza: poczem z moimi towarzyszami łowówjechałem kilka mil do naszego stanowiska, a mały jeniec biegł za moim koniem, jakby tenże był jego matką. Jest to jedną z największych dziwności, które mi się w tych dziczyznach widzieć nadarzyły. Wprawdzie nie raz mówiono mi o tém, ale uważałem tę rzecz za tak niepodobną do wiary, iż ją raczej za bajeczną powiastkę poczytywałem. Teraz jednak z własnego po kilkakroć powtórnego doświadczenia mogę to sam przyświadczyć. Bawiąc w tych okolicach, uczęszczałem na wiosnę po wielekroć na łowy przez towarzystwa łowieckie skór i futer tamże wyprawiane; a korzystając z tych sposobności sprowadziłem opisanym powyżej sposobem o sześć mil, około dwunastu cielców bawolich aż do obozu, a nawet do folwarku wspomnionego towarzystwa i do samej stajni.“

Podobnym sposobem utaskawiają się dzikie konie; Indyanin złapawszy konia na arkan i spętawszy mu nogi, zbliża się do niego powoli, aż mu rękę naprzód na chrap, potem na oczy położy, i następnie w nozdrza nadmucha. Zwierzę wnet staje się tak uległym i posłusznym, że więzy z niego zdjęte być mogą i daje się prowadzić, a nawet wsiadać na siebie.

Pan Ellis, który wydał pisemko o ujeżdżaniu koni, będąc w Jorkshiecie czytał przypadkowo powyższy opis, i postanowił natychmiast zrobić doświadczenie. On sam i jego towarzysze mocno wątpili o skutku, ale po dwakroć powtarzana próba najzupełniej się udała. Przy pierwszej opisał okoliczność następującą: „W sobotę [d. 12



lutego 1842 podczas kiedy właśnie robiono doświadczenie z rocznym źrebcom, postrzegł W. wiejskiego gospodarza i dzierżawcę B. jak tenże przy pomocy kilku ludzi na pobliskiem polu daremnie się mozolił, chcąc znarowionego konia zwykłym sposobem przyprowadzić do posłuszeństwa. W. pośpieszył opowiedzieć tym ludziom, z jak dobrym skutkiem użyto opisanego wyżej sposobu na rocznego źrebca.

Tymczasem B. uwiązał był swojego konia bardzo krótko do drzewa w kącie między murem i ogrodzeniem. W: namawiał go, aby podobnie postępował; lecz B. znając narowy swego konia, ostrzegł, iżby się do niego nie zbliżano, bo zaraz dęba staje i przednimi nogami bije; jakoż sam właśnie od niego skaleczony został w nogę. W., mimo to postanowił zrobić próbę. Z wielką przy tém postępując ostrożnością wlaź na mur, a z tego na drzewo, u którego koń był uwiązany.

Ledwo się dotknął uźdźienicy, koń dziko się nasrożył i całą siłą w tył się pociągnął. Z téj chwili korzystał W. a trzymając się ciągle prawą ręką za drzewo, przegiął się tak, że mu się udało dmuchać w nozdrze koniowi; nie zdołał jednak położyć mu lewej ręki na oczach. Od tego momentu miał już łatwą z nim sprawę. W. który w obchodzeniu się z końmi miał wiele doświadczenia, głośkał go potem po łbie, od czasu do czasu chuchał mu w nozdrza, na co wszystko koń spokojnie zezwalał. Po dziesięciu minutach oświadczył W., że według jego mniemania uprzejmość konia została zupełnie pokonana; odwiązał go i z największym podziwieniem B, który cały ranek bezskutecznie się z nim biedził, poprowadził go na samą uźdźienicy.

Wśród pola zatrzymał się, przystąpił do niego, położył jedną rękę na prawem, drugą na lewem oku, i znowu mu w nozdrza dmuchał. Ciekawą było rzeczą patrzeć, jaką przyjemność w tém koń zdawał się uczuwać: podnosił bowiem chrap do góry dla przyjęcia ludzkiego chuchu. Potem W. zaprowadził go do stajni gdzie mu podnosił i oglądał przednie i tylne nogi: czemu koń najmniejszego nie czynił oporu.

Gdy W. tylne nogi oglądał, koń wykręcił szyję i obwąchiwał go. Nareszcie W. włożył nań siodło, za-

piąt popregi i włożył mu w pysk kawałek powrozu zamiast wędzidła.

Wszystko to koń znosił i przyjął cierpliwie.

P. Ellis miał tylko dwa razy sposobność widzieć to postępowanie w użyciu. Gdy jednak w obudwóch razach tak doskonale się powiodło, a sam nie jest w tém położeniu, aby mógł dalsze robić próby, przeto postanowił ogłosić je publicznie, aby gospodarze i ujeżdżacze koni tak łatwy i skuteczny sposób wypróbowali.

Wreszcie, to doświadczenie każe się domyślać, że nie na czém inném polega tajemnica głośnych czarowników irlandzkich, sztukę ugłaskiwania znarwionych koni posiadających. Jakoż postrzegano, że ci w wielu zdarzeniach w których sztuka ich z najlepszym skutkiem się powiodła, udawali, jakoby musieli koniowi coś do ucha szeptać i w ogólności wiele ze łbem końskim mieli do czynienia; przyczem zapewne dmuchali mu w nozdrza.

---

(Nadesłano).

*Uwagi nad recenzjami Pseudonima Kostrowca umieszczonemi w Tygodniku Peters. z 1842 r.*

Jeżeli nowo wychodzące dzieła i dziełka ściągają na siebie uwagi krytyków, nie mniej też muszą zwrócić na się baczną krytycy ze swemi uwagami i recenzjami. Z tego względu chcemy kilka słów powiedzieć o krytyce *Familii Przenajświętszej* poematu B. Zaleskiego. Przedmiot jego będąc czysto religijnym, wystawiać powinien i wystawia rzecz zgodną z zasadami wiary naszej, w niczem nie mijającą się z duchem prawd ewangelicznych. Gdyby kto Klopsztokowi mającemu pisać *Messiadę* był powiedział: „Pamiętaj abyś w niczem od textu ewangelii nie odstępował, abyś nic ze swojej imaginacji tworzyć nie śmiał“ na to Klopsztok albo by wziął ostrzegającego za grubego nieświadomca i wzruszył ramionami, alhoby się rozśmiał i powiedział: „Nie myślę słowo w słowo tłumaczyć Nowy Testament, nie tłumaczę ewangelii, ale tylko piszę w duchu ewangelicznym.“ Podobną odpowiedź dałby Milton, Lamartine i inni.

Jeżeli śmieją zarzucać polskiemu poecie słowa, które włożył w usta młodego Jezusa do swojej Matki, a których niema w Piśmie; podobnie możnaby zarzucić autorowi Raju Utraconego—słowa, które włożył w usta Boga Ojca do Syna. Poezya nie cierpi tych więzów, w które ją monarchalizm chce kępować.

Nikt jeszcze z kilku lub z kilkunastu piosnek lub dumek, pięknie a nawet bardzo pięknie napisanych, nie został wzięty za geniusz pierwszego rzędu. Tym wiele znaczącym wyrazem ostrożnie szafować należy. Jeżeli w autorze dumek ukraińskich, naród ujrzał niepospolity wielki talent; ten talent nie stanął jeszcze na tej granicy, gdzie geniusz swoje panowanie zaczyna. Ale ten talent przedziera się do niej mocną wolą umysłową, potęgą myśli i rozumu; ten talent obiecuje geniusz. Zaleski w swoim nowym poemacie wznosił się nad autora dumek ukraińskich, a byłby wcześniej i dzielniej polot swój poetyczny rozwinął, gdyby go studia ukraińskie do *niepoetycznej koczowniczej* były nie przykuły. Wprawdzie rzetelny talent każdemu przedmiotowi umie nadać barwę poetyczną; tak twarz szpetna wyda się na teatrze pod piększydłami gładką i rumianą.

Pisarze dawniejsi traktując w swoich poematach o kozakach, wybierali przynajmniej przedmioty ważniejsze, ogólnego interesu; dzisiejsi miłują się w drobnych, mało lub nic nie znaczących, po większej części treści zbojeckiej; malują pompatycznie swoich kańczukowych Rynaldynich, puszczają nam jak dzieciom bańki mydlane, na przemian to w poematach, to w powieściach to w roman-sach. Tak piękny talent Oliżarowskiego rozbija się nad Wernyhorą wartym najwyższej sosny.

Szkoła ukraińska chybiła swego celu, skrzywiono piękną dążność bozkiej poezyi, użyto ją na malowanie brzydost społeczných. Jeden może Zaleski najmniej z tego nieczystego źródła zaczerpnął i pędzel jego niepokalany jał się do malowania *Familii Przenajświętszej*. Uczeni francuzcy którym to poema znane najwięcej z tłumaczenia, z innego stanowiska widząc rzeczy, inaczej polskiego po-

etę ocenili, jak recenzent w Tygodniku Peters. (1). Nie uważali oni na poezję naszą, której ocenić nie mogli, ale na rzecz i myśli poematu w dobrém tłumaczeniu oddane i powiedzieli: że co Manzoni dla dramatu to poeta polski zrobił dla Epopei religijnej.

Idziemy za ich zdaniem. W ożywionym dziś popędzie do nauk i roztrząsań, mamy tylko poprzestać na prozaice teologicznej, wywołanych studiach scholastycznych, kazaniach, rozprawach czasowych, lub pismach peryodycznych, które raz przeczytawszy, nikt później do ręki nie weźmie.

Szczęśliwemu swemu pomysłowi Zaleski żywszą, dzielniejszą dążność nadał. Życie ziemskie Zbawiciela świata przybrał w nową ewangeliczną togę i nową męczeńską koronę na nietykalną głowę położył. Tę nową żywą harmonijną pieśń wydobył z duszy pałającej ewangelią, wdziękiem lutni Dawida wyśpiewuje młodocianność nowego prawodawcy świata, a zimny recenzent chce, aby poeta niebacznym, niedbałym na swe natchnienie, tłumaczył, tak dobrze jak słowo w słowo ewangelią.

Słusznie przecież p. Kostrowiec zauważył, że w niektórych wierszach *Familii Przenajświętszej* odbija się barwa ukraińskiego śpiewaka; tak rubaszność kozacka uwija się w zupełnie nawet jej obce przedmioty, tak maniera ukraińska przenikła w najpiękniejsze dzieła sztuki. Nie chciałbym też widzieć tworzonych nowych, nieznaczających, lub ciemno rzecz malujących wyrazów. Autor *Mnicha* nie kuje, nie wodzi potrzeby kucia nowych słów; a co za język w jego pismach!

Z niewielką też przyjemnością dają się dziś czytać niektóre pisma treści poważnej, dydaktycznej, napełnione tłumem scyentyficznych łacińskich słów, jak gdyby tylko dla professorów pisane.

W innym artykule umieszczonym w 82 Nrze Tygod. Peters. z r. 1842 tenże recenzent robiąc swoje uwagi nad *poezjami Ludwikade Perthées* wydanemi w 1842 r. rozwiódł

(1) w N. 81 na rok 1842.

się nad niebacznym i przedwczesnym zapalem młodzieży do rymowania. Chciał wskazać źródło złego, i stanął mu zaraz na pogotowiu Krzemieniec, o którym dziś rozmaicie pisać lubią (2), a imaginacya (może romantyczna) wskazuje mu roje młodzieży snującej się po *górach i jarach zarosłych* w zadumaniu i zapale kreślącej ballady o *pięknym oczach i stalowych rycerzach*. Odkopując dobrze źródło złego, natrafia na Felińskiego i w niego godzi jako wsprawcę klęski powszechniej.

Wszystkim wiadomo, że Aloizy Feliński był nie tylko dyrektorem liceum wołyńskiego, lecz nadto nauczycielem literatury polskiej. Pisarz gruntowny, przyjemny i słodki, zamknął on szereg poetów klasycznych, którzy acz niechętnie bijąc czołem, ustąpili pole nowemu horyfuszowi romantycznemu. Cztery tylko miesiące (3) Feliński na czele tego instytutu i nauczycielem: śmierć niespodziewana, nagle, wydarła go krajowi. W czasie jego nauczycielstwa w Krzemieńcu jeden tylko mierny wierszopis J. O. i to bez żadnej pretensyi do laurowego wieńca, pisał wiersze.

Co tylko ze znakomitszych do poezyi talentów wyszło z Krzemieńca, wszystko to było przed Felińskim. Poprzedzili go: Antoni Malczewski, Karól Sieńkiewicz, Juliusz Słowacki, Szymon Zaborowski, Józef Korzeniowski, Stefan

(2) Autor *Miészanin obyczajowych* w każdym nieledwo pisinie, do którego lubi mięszać rozprawę o powinnościach chrześciańskich, rzuca potwarz lub na szkołę, lub na osoby dawniej w Krzemieńcu mieszkające: u niego nawet siedmdziesięcioletni starzec Kropiński (autor *Emroda i Ludgardy*) dziś pozbawiony wzroku, zasługuje na szyderstwo. Czytaliśmy drugi tom *Miészanin* i widzimy, że są tylko dalszym rozwinięciem, myśli i pojęć pierwszego. Wyrażenie pana F. Z. (w krytyce *Miészanin* umieszczonej w Bibliotece War.) że autor nie jest odrodzony w nauce, przyjmujemy w takiem znaczeniu w jakim sam Bejła zaraz się domyślał, i do którego obiecał żadnej nie mieć urazy, świadkiem kartka 8 i 9 jego przemowy.

(3) Cztery miesiące zimowe — to wcale nie pora do takich promenad po *górach i jarach zarosłych*, jakie nam recenzent p. Perthées wystawia.

Witwicki, Tomasz Padurra; a takie imiona przynoszą nie tylko zaszczyt swojej szkole, ale i literaturze krajowej. Prócz tego, znany jest z pięknego pióra Gosławski; Franciszek Kowalski odznaczył się jako tłumacz wszystkich dzieł Moliera—a w ostatnich czasach Hr. Gustaw Olizar wydał swoje poezye pełne myśli oryginalnych, wdzięku i smaku. W kilka lat po Felińskim, Olizarowski już był uczniem Józefa Korzeniowskiego (4) i godnym tak znakomitego mistrza, a współpracownikiem jego był Michał Budzyński.

Pierwszy raz od p. Kostrowca słyszymy, że w Krzemieńcu poformowały się były *towarzystwa poetyczne*. Niech się pozwoli wyprowadzić z błędu. Dwa były jednocześnie towarzystwa w Krzemieńcu: *jedno* uczniów ćwiczących się w porządnym mówieniu i pisaniu, zatwierdzone przez najwyższą władzę szkolną, i to odbywało dwa razy do roku publiczne sessye, na których czytane były rozprawy w różnych naukowych przedmiotach; i *drugie*, na wzór wileńskiego towarzystwa szubrawców, które swoje artykuły posyłało do mających wielką wziętość *Wiadomości brukowych*: a wiadomo zapewne każdemu, że w nich nie poetycznymi płodami szafowano, i że celem składających towarzystwo było—karcieć nałogi, wady i przesady, dobrą prozą, bronią rozsądku i szyderstwa. Na czele tego drugiego towarzystwa był obywatel Worcel światły i pracowity, lecz który w życiu swoim dwóch wierszów nie napisał. Po dwudziestu i dwa leciech od czasu gdy to piszę, pewnie się za prawdę słów moich nie obrazi. To drugie towarzystwo trwało tylko kilka miesięcy. Możemy zapewnić p. recenzenta, że w niem nie myślano o *stalowych rycerzach na siwych koniach*, nie poetyzowano też i westchnień.

Co za sprzeczność myśleć, aby Feliński klasyk, filolog, zamienił *wszystko co żyło z małym wyjątkiem* (5) na zapaleńców, zapominających o głównym swém powołaniu,

(4) Naówczas nauczyciela literatury polskiej w Krzemieńcu.

(5) To jest wyrażenie p. Kostrowca któremu się najwięcej dziwiny.

a lecących po górze królowej Bony, za urojeniami młodéj, niesfornej imaginacyi. Taka satyra nie przystoi dla pisarza, który się zabiera do powołania krytyka pism literackich. Wreszcie klasykowi przypisywać tworzenie baladystów i romantyków, byłoby jedno co autorowi Walenroda lub Mnicha przyznawać ukształcenie pisarza tragedyi — Zolkiewski pod Cecorą, lub Pantei. Takie sprzeczności zdrowy rozsądek odrzuca.

Gdyby szkoła krzemieniecka przez krótki czas swego istnienia, wydała tylko trzech takich poetów jak Malczewski, Siemkiewicz i Korzeniowski, już przez to samo zasługiwałyby na wdzięczną pamięć u potomnych. Lecz wyszli z niej ludzie zasłużeni w różnych nauk gałęziach i wnet nastrecza mi się kilkanaście imion do wspomnienia. Znani są z gruntownych wiadomości i pism: Franciszek Skomorowski, Teodozy Sierociński, Grzegorz Hreczyna matematyk, Karól Kaczkowski doktor medycyny, członek różnych uczonych towarzystw, Michał Kaczkowski, Antoni Andrzejowski botanik, Antoni Tyłman, Piotr Chlebowski, Karól Drzewiecki, Okraszewski, Jan Siemkiewicz tłumacz Herrona i Büssa, Michał Fryczyński agronom, PP. Przędzieccy, Hipolit Błotnicki, Jan Januszewski, Karól Jentz professor fizyki, Hilary Łukaszewski professor literatury łacińskiej w uniwersytecie kazańskim, Tytus Szczeniowski, Bonawentura Klembowski i Kaniowski utalentowani malarze, Wojciech Zbożewski mineralog, który wynalazł kilkanaście nieznanych dotąd rodzajów w królestwie kopalném, rozdzielił je na gatunki, i od swego wyboru, ponadawał im nazwiska. Własny jego gabinet kruszców krajowych, był jednym z najrzadszych, podziwiał mu się i umiał z niego korzystać uczony Eichwald. Pan Zborzewski iest członkiem towarzystwa naturalistów w Moskwie. W *Bulletynie* przez to towarzystwo wydawanym pod r. 1834 — czytać można ciekawe jego: *Recherches physiques rationnelles sur les nouvelles curiosités Podolie-Volhyniennes et sur leurs rapports géologiques avec les autres localités*, z rysunkami wyobrażającemi własne jego odkrycia.

A cóż p. Kostrowiec rzeknie na to, gdy mu powiemy, że sławny Michał Wiszniewski jest uczniem szkoły Czaackiego? Mistrzem jego był Euzebiusz Słowacki, później prof. lit. pol. w uniwersytecie wileńskim. Dość wspomnieć czcigodne imię autora *Historji Literatury Polskiej*, aby zawstydzić tych co poniewierają pamięć tego instytutu i téj młodzieży chciwój oświaty, garnącej się do nauk, odznaczającej się niepospolitemi talentami.

Nieraz gruntowną nauką daleko pożyteczniejszym być można krajowi, niż drukowaniem dziełkiem, dającym patent autorowi do umieszczenia go w spisie bibliograficznym. Na ten zaszczyt użyteczności zasłużyli u nas X. Hr. Ożarowski, Jan Kozaczyński, Eligi Piotrowski, Maryan Piasecki, Karól Hr. Mniszech (6), Adolf Dobrowolski, Dariusz Poniatowski i inni.

P. Kostrowiec (pseudonim) może być śmiało pewny że wszyscy ci których wymieniłem, (a przepraszam najmocniej jeżeli którego z nich skromność obraził), że wszyscy ci, na górze Bony nie liczyli gwiazd na niebie. Ten wymysł imaginacyi recenzenta dowodzi jak mało jój ufać może. Krytyka nie jest marzeniem, wymaga ona sądu bez lekceważenia, prawdy bez obraży. Nieraz się zdarza, że chcący kierować opinią w literaturze przyjmuje kierunek, który opinia powszechna odrzuca. Czasem się to i u nas teraz przytrafia. Niekiedy krytycy są jak te słupy na zbiegających się drogach, gdzie na ramionach przez onytkę przeciwne napisy umieszczono.

I w rzeczy samej cóż mogą mieć wspólnego poezye p. Perthées wydane w 1842, z czteromiesięcznym dyrektorem liceum wołyńskiego, zmarłym przed dwudziestodwoma laty? Szanowne jego popioły już oddawna zastygły, nikt nie pomyślał okryć szyderstwem grób tego zasłużonego w literaturze męża. Lepiej byłoby gdyby ten fatalny zaszczyt nikogo nie spotkał.

Było jeszcze czas niejaki w modzie, zarzucać uczniom szkoły krzemienieckiej zarozumiałość, i ci najwięcej o tém

(6) Właściciel pięknej biblioteki, jeden z lepszych znawców dziejów krajowych.



prawili co, ich nieznali. I tak naprzykład: przypisywano zarozumiałość i galanterią salonową Antoniemu Malczeskiemu, a Malczeski napisał Maryą!! — Gdzież Ukraina, gdzie Podole przez czas istnienia szkoły krzemienieckiej czerpały światło i cywilizacją, jeśli nie w Krzemieńcu? Dwóch synów Ordynata Zamojskiego tu brało edukacją wtenczas, gdy uniwersytet i liceum warszawskie pełne były młodzieży krajowej i postronnej.

Wymieniwszy znakomitych poetów, którzy swoje ukształcenie winni byli głównej szkole wołyńskiej, możeby nam wypadało obszerniej o nich pomówić, lecz uwalnia nas od tego rozciągłość artykułu dziennikarskiego. Wszakże zostawiamy sobie dopełnić w potrzebie tu zagajonej materji, jeśli tego wymagać będzie polemika opozycyjna.

Kiedy pamiętny w dziejach Cesarz Aleksander I wyrzekł: *zaufanie moje w Czackim ani się zachwiało ani zachwiać może*; maż ten którego można śmiało nazwać upersonifikowaną o dobro nauk gorliwością, poświęcał się z odpowiedniem Monarszemu zaufaniu usiłowaniem, ku wzniesieniu i ulepszeniu organicznemu ulubionego swego instytutu. Pięciu nauczycieli matematyki dowodzą, jaka gałęź umiejętności doznawała szczególniejszej pieczy założyciela szkoły. Ten kurs nauk utrzymał się do jej rozwiązania.

Kiedy po zmarłym Józefie Łuczyńskim, uczeń jego Karól Jentz zajął katedrę fizyki, agruntownością, gładkością, płynnością i słodyczą swego wykładu zostawiwszy daleko za sobą swego poprzednika, ledwo że nie powiem czarował swoich słuchaczów, kiedy w tymże czasie uczony Miechowicz wykładał wyższą mechanikę i architekturę, obie na rachunkach matematycznych zasadzone, a Zienowicz nauczał nowego swego systematu w chemiz zapałem godnym wynalazcy; wtenczas, wierz mi panie Kostrowiec! młodzież nasza nie myślała po szalonomu błąkać się po jarach i górach z marzeniami, które jej przy pisujesz, i wierz mi, że to nie były promenady, prędeżby za treść do jakiej ballady posłużyły, niż za materją do recenzji nieznanomego nam wierszopisa. *J. Sowiński.*

Sławuta. Luty 1834.

*Kilka słów do P. Edwarda Tarszy. (\*)*

W pierwszym tomie drugiego oddziału Athenaeum są rzucone o szkole Krzemienieckiej myśli p. Edwarda Tarszy, na które mam w krótkości odpowiedzieć. Mówiąc o T. Czackim, życzy on: „żeby przynajmniej pojedynczy ludzie zachowali na sobie wierniej piętno mistrza, niż mu się wycisnąć je udało na ogóle.“ Czacki nie był mistrzem ani w Porycku ani w Krzemieńcu: wcale więc bezzasadne p. Tarszy życzenie, aby przez wspomnianego badacza piętnowany był ogół; bo tenże rozwijał się i kształcił podług utwierdzonego planu zasad i ustaw instrukcyi publicznej, odpowiedniego potrzebom wieku i społecznosci a T. Czacki w tymże duchu pracował. Następnny okres w którym niby Kościesza o osobie Czackiego ciężko rozprawia nie ma znaczenia, nawet obrót jego wyrażen niemiecko-francuzki wymaga aby po polsku był przełożony. Figuruje w nim owa: „kreacya z muślinu kolorowego, jaką był Krzemieniec.“ Nowy i dziwny pomysł, w sztuce przejawiony, w którym miasto bądź zakład naukowy tak nazwano. Ktoby chciał uważać *Koliszczyznę i Stepy* za jedno z autorem tego pisma, pytam coby o takim człowieku można powiedzieć? Utwor a indywidualność, to przedmioty zupełnie różne i na dowiedzenie tego wysilać dowcipu, туманных wystawień i mglistej metafizyki nie potrzeba; bo są rzeczy które wprost trafiają do pojęcia i przekonania wszystkich, stawszy się już zwyczajnymi pewnikami. Zrozumiałże autor przygód Kościeszy całą bezzasadność powyższego swojego twierdzenia, i jeżeli tylko nad niem się zastanowi, wtedy ją pojmie w zupełności. Cywilizacya heleńska a szczególnie attycka, dla czegoż tak świetnie i w pełni rozwinęła się, jeżeli nie dla tego właśnie, że się rozwijała rozmaicie, wszechstronnie, różno-kształtnie? Zresztą, nikt nie obwini naukowego za-

(\*) Redakcyja jednocześnie otrzymała drugi ten artykuł, obejmujący odpowiedź na zarzuty czynione Szkole Krzemienieckiej, i zamieszcza w tém przekonaniu, iż chociaż odpowiedź ta jest w części powtórzeniem artykułu p. Sowińskiego, są w niej jednak nowe szczegóły które zasługują na uwagę czytelników naszych (P. R.)

kładu w którym p. Tarsza uczył się, że wychowawcy tegoż nie okazują się z podobnemiż cechami umysłowości, jakie z siebie autor przygód Kościeszki przedstawia. Po diatribie o Krzemieńcu, następuje rapsodia, w której p. Tarsza z pewnym rodzajem strategii literackiej odzywa się o professorach, a potem jakby chcąc siłę rozdwoić mówi o działaniach i *wyrobach* (uczniach) przez szkołę Krzemieniecką, czyli podług niego przez *machinę* wydawanych. Nie wiedział zapewne zacny autor, że w gronie szanownych jej professorów byli dawniejsi jej uczniowie. Nie ubliżamy z nim zaletom p. Olszańskiego, że kształcił wprawnych jeźdźców: jazda konna tak przydatna do zdrowia, do podróży, do wojska i t. d. Jeżeli zaś p. Tarsza spotykał tylko dobrych z tegoż ręki jeźdźców, to dla tego jedynie, że innych ludzi którzy w liceum wołyńskim uczyli się, spotkać nie życzył. Wymienimy tu żądanych od niego matematyków, fizyków i prawników, trzymając się jedynie źródeł pierwszej noty i wiadomości, jakie nastroczyła poznana miejscowość; a dla uniknienia powtarzań, oświadcza się, że wszystkie osoby które wspomniemy były uczniami szkoły Krzemienieckiej. Od r. 1807 ustanowiona przy tym naukowym zakładzie jedyna szkoła teoryczno - praktycznych skarbowych jeometrów, dostarczyła całemu krajowi znaczną liczbę ludzi dobrze usposobionych do publicznych i prywatnych tego rodzaju zatrudnień. Po nich wzmiankować należy tych, którzy nauk fizyczno-matematycznych w całej rozległości wykładanych w Krzemieńcu słuchali. Z nich pp. Piotr Chlebowski i Antoni Tylman przysłużyli się powszechności trudnym do wykonania przełożeniem ważnego i nader jej pożytecznego dzieła: *Jeometrya i mechanika sztuk i rzemiosł*, które przez p. Dupin napisane, zjednało liczne korzyści dla postępów krajowego we Francyi przemysłu. Onufry Lewocki napisał *Jeometrią dla szkół wydziałowych*, w Królestwie Polskiem przeznaczoną; tenże dobrym wykładem *Statyki Monge'a*, nauki wzbogacił; a ta jego praca także była przez Kommissyą Oświecenia Publicznego przeznaczona do użytku szkół Królestwa Polskiego. Franciszek Miechowicz ogłosił swoje dzieło: *Na-*

uka machin; Grzegorz Hreczyna, Jeometrią wykreślną (tłóm.), Algebrę uznaną za elementarną i Wyobrażenie skutków kapillarnych, rozprawę nie obcą twórczym i rozległym w fizyce pomysłom wspartym rachunkami wyższej matematyki. Franciszek Skomorowski wydał swój pięknie wykonany przekład astronomii Lalande'a, i rozprawę: Podział nauk fizycznych i matematycznych, zalecającą się nowością ważnych dostrzeżeń. Jego zaś przemowa (raczej rozprawa) na czele wzmiankowanego przekładu umieszczona, godna pióra samegoż autora. Wspomnieliby tu należało o Mikołaju Czarnockim, który był uczniem a potem professorem algebry w szkole Krzemienieckiej, lecz pozostały po nim a dokładnie wypracowany zupełny jej traktat, nie ogłoszony. Karól Podczaszyński ważnem dziełem architekturze poświęconém, ozdobił literaturę; Michał Fryczyński rozumowanemi pismami agronomią wzbogaca; Tadeusz Hreczyna z krzemienieckiego instytutu skarbowych jeometrów, wysłany w takimże obowiązku do Syberyi, swoje postrzeżenia fizyczne o tym kraju ogłosił w Dzienniku wileńskim; Jan Krynicki łącznie ze St. Jundziłłem zwiedził i opisał okolice Litwy we względzie botaniki; tenże podał w dzienniku wspomnianym: Spis owadów w okolicach Charkowa znajdujących się. Antoni Andrzejowski ogłosił swój słownik botaniczny, Rys podróży między Bohem i Dnieprem i inne pisma o naukach przyrodzonych, które go stawiają na czele słowiańskich botaników. Wojciech Zborzewski zgromadził i ułożył obfity zbiór krajowych, szczególnie włońskich minerałów, który wraz z systematycznym ich opisem przesał Moskiewskiemu towarzystwu badaczów natury. P. Eichwald prof. wysłany do południowych prowincyi w widokach geologicznych, korzystał w Krzemieńcu z tej jego pracy. Jeżeli p. Edward Tarsza chce więcej zasięgnąć wiadomości o pismiennych w tym rodzaju pracach, niech sumiennie przejrzy ćwiczenia naukowe i Pamiętnik naukowy wydawane przez uczniów ze szkoły Krzemienieckiej w Warszawie, a przekona się czy mieli rozległe w naukach fizyczno-matematycznych widoki. Młodź też z niej wyszła i

w służbie wojskowej a mianowicie w artylerji i inżynierach okazała należyte w tychże naukach usposobienie.

Zakonne zgromadzenia na Wołyniu, Podolu, i w Ukrainie, miały w powiatowych szkołach przez siebie utrzymywanych, nauczycielów uzdatnionych, którzy w liceum wołyńskim do fizyczno-matematycznych przedmiotów z usilnością przykładali się. Aby się o tém p. Tarsza przekonał, dość było zajechać np. do Humania. Toż samo działo się i jest w niejednej ze świeckich powiatowych szkół wzmiankowanych prowincyi: w niejednej też z wydziałowych szkół Królestwa Polskiego, nauczyciele z Krzemieńca publicznie wykładali matematykę i fizykę. Uczniowie z Liceum wołyńskiego którzy w Banku Polskim i w biurze Ministra finansów zostawali, okazali się zdolni do pełnienia poruczeń i posiadający rachunkowość. Wymienimy wreszcie fizyków i matematyków ze szkoły Krzemienieckiej, z których choć jednego może uda się spotkać p. Edwardowi Tarszy: może też obaczy ich dzieła. Ci są: Grzegorz Hreczyna w liceum wołyńskim i w uniwersytecie kijowskim—algebry, w uniwersytecie charkowskim wyższej matematyki professor, — Franciszek Miechowicz w pierwszych dwóch naukowych zakładach professor mechaniki i architektury, — Karól Jentz fizyki doświadczalnej w liceum wołyńskim professor, od uniwersytetu wileńskiego wezwany na katedrę technologii, której słuchał w Krzemieńcu od prof. p. Stef. Zienowicza, twórcy teoryi chemicznej, o której autor teoryi jestestw organicznych zaletne w swój korespondencyi dał zdanie, — Karól Kaczkowski professor uniw. warsz. nietylko z dzieł o medycynie lecz i z odkryć w botanice znany, — Antoni Andrzejowski adjunkt zoologii i botaniki w liceum wołyńskim, prof. adjunkt zoologii w uniw. kijowskim. Mąż ten, jak ważnemi wynalazkami i odkryciami wzbogacił nauki przyrodzenia, ile dla Flory krajowej uczynił, ile uczonych dzieł ogłosił, to wiadomo chcącym wiedzieć. — Jan Krynicki prof. botaniki w uniw. charkowskim, — Karól Podczaszyński w uniw. wileńskim prof. architektury, — Michał Fryczyński, w liceum wołyńskim teoryczno - praktycznej agronomii professor, instytutu agronomicznego przy uniw. wileń. dy-

rektor. W. lic. woł., — Aleks. Sawicki jeom. prakt. i topografii prof., — Wojciech Zbożewski w gimn. pułtawskim, — Michał Kulikowski w rowieńskim, — Ignacy Drzewiecki w wileńskim, — Jan Witanowski w Łucku, — Michał Grzesiecki w Międzyborzu, — Xawery Pasiutewicz w szkol. wydz. zamojskiej w Szczepreszynie, — matematyki profesorowie. Józef Jasiński, Jan Czerwiński w liceum wołyńskim pomocnicy prof. chemii, mineralogii i technologii — Paweł Bielecki nauczyciel fizyki w gimnazjum podolskiem w Winnicy, — P. Sienkiewicz, Mikołaj Herczakiewicz, a po nim Jan Chlebowski pomocnicy profesora experimentalnej fizyki w liceum wołyńskim, — Józef Osieczkowski także pomocnik prof. mechaniki i architektury. Józef Milewski b. uczeń szkoły Krzemienieckiej, pożytecznie zajmował się lasowem gospodarstwem na Podolu. Mógłbym ten szanowny poczet pracowników uczonych obszerniejszym uczynić, ale krótkość pisma nie dozwala: wspomnę tylko, że między wzmiankowanemi wyżej ich dziełami, śnać znajdują się i europejską wziętość osiągnące. Wolą najwyższą ustanowione także przy gimnazjum, potem liceum wołyńskim, oddzielne — szkoła mechaniki i szkoła architektury, dostarczyły krajowi liczbę dobrze usposobionych ludzi, którzy otrzymawszy w niem attestata, pożytecznie zajmują się zatrudnieniami swego powołania. Ile zaś ich wyszło z Krzemieńca, należałoby pilnie przejrzeć urzędowe liceum wołyńskiego protokoły, o czém p. Tarsza nie pomyślił.

Członek paryzkiego towarzystwa zachęcania do przemysłu professor mechaniki i architektury Franciszek Michowicz otworzył w Krzemieńcu kompanią dobywania studni artezyjskich; tenże na piśmie dawał ziemianom żądane objaśnienia, które z pytaniami wciągał do osobnego na to protokołu przez cały czas trwania liceum. Różne wyroby uczniów szkoły mechaniki, potrzebne w gospodarstwie, rolnictwie, rękodzielach, rzemiosłach i sztukach są u obywatelów znane. W Kijowie: w fizycznym i mechanicznym gabinetach uniwersytetu są maszyny i narzędzia przez tychże uczniów sporządzone.

Rzućmy jeszcze oko na wioski Wołynia, Podola i Ukrainy: gdzie ułatwione środki w otrzymywaniu większej

od uprzedniej korzyści z ziemi, zaprowadzanie i utrzymanie fabryk i rękodzielni, polepszony byt, osłodzona dola wieśniaków, murowane lub drewniane ich chaty mające już wyprowadzone kominy, gdzie widoczna ludzkość ziemianów, ułagodzenie ich obyczajów, przejrzanie w miejscowości, pożyteczne prace odbywane za pomocą technologii i innych umiejętności gospodarzom potrzebnych, — tam owoce, słusznie przez P. Tarszę nazwanego, — rozsadnika nauk, które religia miłość bliźniego i gruntowna oświata, wszczępione przez wspólne tyłu uczonych usiłowania i przykłady, zjednały społeczności. Oddaje powszechność należną sprawiedliwość szkole Krzemienieckiej. Lecz p. Tarsza, tyle i tak ważnych dla dobra społeczeństwa, dla dobra ludzkości prac jej, nazywa zmarnowaniem jej przeznaczenia; idzie torem postępuku Gniewosza względem pięknej królowej Jadwigi; sarka na ten przybytek nauk, który ukraińscy jego przodkowie nazwali szkołą nadziei swych dzieci! Gniewoszów i Kościuszów świat peten: ale sprawiedliwi ludzie to rzadsi. Gniewa się p. Tarsza, że szkoła krzemieniecka nie przeobraziła, nie ulepszyła rolnictwa, rzemiosł, przemysłu! I któraż szkoła, nawet z większym pieniężnym zasobem w zupełności toż zdziałała? Która z nich najwięcej dobrego dla sprawy oświecenia zrobiła, o tém wszystkie historyczne materiały jako dokumenta lub dowody niezaprzeczone zebrawszy potomność dopiero bezstronnie osądzi, a autor nie przygodnych przygód Kościuszy zawczasie pokwapił się z ferowaniem dekretu, wprzód nie wysłuchawszy strony obżałowanej. Nic go też nie obchodzi, że powód sędzią być nie może, co tylko pozywa jużci sam wyrokuję. Agromiczny Instytut przy liceum wołyńskim, dopiero na 3 lata przed r. 1830 zaprowadzony; katedra agronomii teoretycznej i praktycznej w tak krótkim czasie żądanych cudów zdziałać nie mogła. Katedra technologii dawniej otwarta i uczniowie szczególnie nie majątni, niegdyś jej słuchający w Krzemieńcu, nie w jednym miejscu korzystnie i zaletnie w fabrykach i rękodzielniach krajowych pracują teraz. Wspomnieć tu jeszcze należy, że p. czas bytu gimnazjum, potem liceum wołyńskiego, w obserwatorium

tegóż, trzy razy na dzień bardzo pilnie były czynione i starannie do księgi zapisywane przez profesora fizyki lub pomocnika obserwacye metereologiczne P. Tarsza nie mógł także dowiedzieć się o prawnikach od prawników, — praktycznych szukać raczy pomiędzy urzędnikami i rzecznikami w jurysdykcjach powiatowych, guberskich i w stolicy; teoretyków w spisie dzieł drukiem ogłoszanych. Znajomość nie tylko poezyi i wymowy, lecz powszechniej krajowej literatury, to jest literatury każdego naukowego przedmiotu, nieodbita potrzebna do sążenia o tém. Kto wie? może kiedyż tedyż uda się autorowi przygód Kościeszy odkryć starannych uczniów Ignacego Oldakowskiego, Antoniego i Wojciecha Jarkowskich, Jozefa Jaroszewicza, Aleksandra Mickiewicza i Michała Chońskiego. Z nich, między praktycznemi prawnikami znajdzie on *bezsronnych* sędziów, sumiennych adwokatów; w liczbie teoretyków — pisarzy, których prace drukiem ogłoszone, lub znajome publiczne wykłady prawa. Liceum wołyńskiego professor Aleksander Sawicki uczniom instytutu skarbowych geometrów wykładał rosyjskie graniczne prawo. Są też drukowane pisma: Elig. Piotrowskiego o prawie polsko-litewskim; W. W. Trzetrzewińskiego o polskim, Erazma Rykaczewskiego o publicznem, Karola Sienkiewicza o ekonomii politycznej. O Statucie litewskim badania tegóż, uczony Linde tak ważnemi osądził, że je przy pracy Oldakowskiego pomieścić w swojej, której piękną część stanowią. A. P. ogłosił w dzienniku wileńskim własne o tymże statucie uwagi, w których rozjaśnić jego bibliografią usiłował i nowy na stronę przeczących dołączył dowód: czy prawo rzymskie było zasadą polskich i litewskich. Michała Wiszniewskiego jagiellońskiego uniwersytetu w Krakowie profesora — *Historya literatury polskiej* okazuje niepospolitym badaczem dziejów i ustaw. Ołóż matematycy od matematyków, fizycy od fizyków, prawnicy od prawników. Że żadnego z takich ludzi p. Tarsza nie spotkał, tém bardziej nie należało mu tylko z jeźdźców i bezsatlnych domysłów oceniać duch naukowego zakładu, a jego dzieje wysnowywać w grze wyobraźni lub charakter ich przekształcać. Z przytoczonych zaś dowodów pokazuje się, że



nie sam tylko p. Olszański umiał w uczniów przelać swą umiejętność. Szkole Krzemienieckiej nie chodziło tylko o to, aby kilku arcy-doktorów otrzymać, ale aby masa najpotrzebniejszych społeczności światła po ogóle rozlała się. Biegłość też i niespracowalność jej professorów, znanych z głębokich i pociągających wykładów, odpowiednich postępom nauk w Europie, traktaty przez nich ogłoszone, zasilana przez nich i przez uczniów peryodyczna krajowa literatura, wyższe umysłowe życie objawiająca—godne zaiste rozwagi myśliciela; przez nie bowiem równie jak przez naukowe podróże i stosunki z uczonemi, szkoła Krzemieniecka okazała działalność w naukach, jakiej wzrost tychże i obecne potrzeby cywilizacji wymagają. Bessera i Andrzejewskiego naukowe z najznakomitszemi naturalistami korespondencye ułatwiane nakładem rządu dały poznać liceum wołyńskie i Krzemieniec na różnych punktach kuli.

Jeżeli zaś p. Tarsza spotykał tylko parafialnych z Krzemieńca poetów, rozumiem że tym epitetem nie uracza Maurycyego Gosławskiego, (który znamiona i cechy poetycznej szkoły ukraińskiej najwydatniej rozwinął w swoich utworach), Tomasza Padury, Tymona Zaborowskiego, Karola Sienkiewicza, Franciszka Kowalskiego, Józefa Korzeniowskiego, Tomasza Olizarowskiego, Edwarda Marjana i Karola Drzewieckiego. Co się tycze zdybanych mówców wyborowych, niech się nie gniewa na nich autor przygód Kościeszcy, gdy zechcą choć króciuchno odzywać się do spółziemianów, w celu nakłonienia ich do zamiłowania prawdy, porządku i sprawiedliwości; są to Fryczowie, Modrzewscy swojej sfery. Niech przemawiają o tém co jest, czyli co zdrożnego w nich widzą; gdy p. Tarsza odzywa się o tém, czego nie było. Dla uniknienia rozwlekłości pisma, pomijam przezeń wzmiankowane czuby, nie mające żadnego związku i stosunku z dziejami szkoły Krzemienieckiej. Czemu zaś autor przygód Kościeszcy wspomina o zabawach, gdy na tychże dozwalało bywać uczniom w Wilnie, w Warszawie, a nietylko w Krzemieńcu samym? Tadeusz Czacki pragnął, ażeby obok nauk w szkole pobieranych, młodź razem sposobiała się do nabycia znajomości świata. Drukowane przepisy ówczesnego Kuratora

wydziału wileńskiego takiemu jedynie pozwalają uczniowi być raz na tydzień wieczorem w sobotę na zabawie, który przez cały tydzień podług świadectwa profesorów i prefekta dobrze uczył się i sprawował. Autor opisaną szkołę Krzemienieckiej umieszczonego przy pochwałę T. Czackiego tak mówi: „Jest dom osobny, gdzie zimą dawne są baletki: bywają na nich obywatele, obywatelki, panny z pensyów i tacy uczniowie, którzy w ciągu tygodnia na najmniejszą nie zasłużyli naganę. Bawiono się niewinnie pod okiem gospodarza, gospodyni i władzy szkolnej; wszędzie przystojność, obyczajność połączone, powaga sędziwych z wesołością młodych. I to nawet szkołę nazwać można, szkołą przygotowującą młodzież do tego świata, na którym w krótko ma się okazać. Temu wczesnemu obeznaniu się z społeczeństwem przypisać należy tę szykowność, tę grzeczną swobodność i łatwość, które w wychodzącej na świat krzemienieckiej młodzieży postrzegać się dają.“

Kościeszka tłumaczy *dobrze wysmiewane* rozłargnienie Czackiego, dowodząc niemi że ten mąż nie mógł wystarczyć wszystkiemu. Przy dobytciu Syrakuz Archimedes tak był głęboko zatopiony w badaniach matematycznych, że nawet nie pamiętał i nie zważał na to, co się działo dokoła. Wszakże to jego roztargnienie nie dowodzi wcale aby on nie mógł sprostać w ulubionej mu fizyce i matematyce, a pokazuje tylko silne skoncentrowanie i energiczne zajęcie się przedmiotem. Jakiegokolwiek nawet *dobre* wysmiewanie wad, daje niekorzystne wyobrażenie o wychowaniu wysmiewawców: Kościeszka takowe wydwarzanie tłumaczy uniewinnia, a jednakże przemawia do religijnego gruntownego przeświadczenia serc o cnotach i przyniotach! P. Edward Tarsza tak mocno był zaprzętniony wystawieniem w powieści swojej wizerunku epoki dzwignienia u nas oświaty, że na jej reprezentanta wybrał nie kogo innego tylko Kościeszę, który z pewnym rodzajem idiotyzmu nie wie nawet co począć z rękopisem słowiańskim! I takiemu to reprezentantowi „poeta malarz ukraiński“ powierza pędzel do skreślenia obrazu tej epoki tak ważnej dla naszych prowincyi i tyle

swoim przedmiotem obchodzącej powszechność Obrany kompozytor, nie oswojony z miejscowością, nieznający historycznych źródeł pierwszej noty, *maluje* szlachetne usiłowania Tadeusza Czackiego, dobrem spółziemków zajętego, o którym życzylibyśmy aby p. Tarsza sądził sprawiedliwiej, a przysłużył się naukom dziełem przynajmniej podobnym temu, jakim jest — o litewskich i polskich prawach. W pomnikowych T. Czackiego pismach — o dziejach i ustawach, bez wątpienia krytyka dla postępu wiadomości ma pełnić swoją powinność; lecz jego prace i zasługi, w sprawie oświecenia już zyskały sankcją władzy i czasu. Oddajmy rzadkiemu poświęceniu się i pamiętce tego niepospolitego człowieka należną wdzięczność, choćby i znaleźli się tacy co wierząc w obcą znakomitość, nie wierzyliby w tę, która na ziemi naszej zjawiła się i wśród nas jaśniała. Od niego więc dla nas p. Tarsza nie zrobi.

Gimnazjum, potem liceum wołyńskie, zrobiło tyle ile tylko mogło zrobić dla nauk. Jakich wydawało uczniów, o tem wyżej. Wymagane od niego, czego autor od innych edukacyjnych zakładów nie żąda, jest zbyt duża. Młodzież w niem kształcąca się, jedynie samą miłością nauk powodowana, do nich usilnie przykładada się: indziej miała widoki osiągnięcia stopni naukowych. Jego dzieje stanowiąc ważną część dziejów oświecenia krajowego powinny być traktowane rylcem historycznym, który utrwali prace Wiszniewskiego i Jochera.

Błogosławionej pamięci Cesarz Aleksander I. ceniąc zasługi i usiłowania Tadeusza Czackiego w instrukcyi publicznej, najmiłościwiej dozwolił marmurowe jego popiersie wystawić w bibliotecznej sali tej szkoły, dla której Minister narodowego oświecenia Piotr hr. Zawadowski zwak Krzemieniec Atenami wołyńskimi.

*Adam Słowikowski.*

Pisałem d. 17 Marca 1843 r.

*Porównanie pór zimowych lat poprzednich z zimą tegoroczną pod względem temperatury.*

Początek pór rocznych dwojako uważać można: astronomicznie i fizycznie. Ziemia biegiem swoim rzeczywistym, albo słońce biegiem pozornym, wymierza nam długość roku; cztery położenia słońca względem równika niebieskiego, dają początek tyluż porom astronomicznym. Pory te dla mieszkańców półkuli północnej zaczynają się:

Wiosna	d. 21	marca.
Lato	d. 21	czerwca.
Jesień	d. 23	września.
Zima	d. 22	grudnia.

Pory fizyczne, właściwe prawie każdemu krajowi i zależące od położenia geograficznego, nie są teżsame dla całej półkuli północnej, ani dla krajów pod tążsamą szerokością położonych.

Początek Wiosny i Jesieni są oznaczone przejściem temperatury ze stanu jednego do stanu przeciwnego. Z wieloletnich dostrzeżeń meteorologicznych w Warszawie czynionych, podług oznaczenia p. Jastrzębowskiemu, dla naszego kraju wypada:

Początek Wiosny	fizycznej	d. 5	marca.
„	Lata	„	d. 5 czerwca.
„	Jesieni	„	d. 5 września.
„	Zimy	„	d. 5 grudnia.

Dla większej dogodności w dochodzeniu średnich wypadków i łatwiejszego porównania dostrzeżeń w różnych miejscach czynionych, meteorologowie zgodzili się, ażeby początek pór fizycznych zaczynać od pierwszych dni miesiący grudnia, marca, czerwca, września; biorąc:

Za miesiące zimowe: grudzień roku poprzedzającego, styczeń i luty roku następnego:

za miesiące wiosenne: marzec, kwiecień, maj,

za „ letnie: czerwiec, lipiec, sierpień,

za „ jesienne: wrzesień, październik, listopad.

Zima tegoroczna, pod względem wysokości temperatury, bardzo małej ilości śniegu i spokojnego powietrza, wiel-

ką różnicę okazuje w porównaniu z innymi latami, i dla tego zasługuje na bliższą uwagę-

Z dostrzeżeń termometrycznych w ciągu lat 60 przez X. Bystrzyckiego, Ant. Magiera i w Obserwatorium tutejszem w Warszawie robionych, średnia temperatura zimy, otrzymana dla każdego roku, jest następująca:

*Temperatura średnia pory zimowej:*

R.	Stopnie Reaum.	R.	Stopnie Reaum.	R.	Stopnie Reaum.
1778f9	-1.00	1798f0	-7.57	1822f23	-6.55
1779f0	-2.09	1803f4	-2.63	1823f24	-2.61
1780f1	-2.61	1804f5	-5.83	1824f25	-1.66
1781f2	-3.02	1805f6	-0.72	1825f26	-1.86
1782f3	-1.12	1806f7	-0.66	1826f27	-2.71
1783f4	-4.16	1807f8	-2.83	1827f28	-2.91
1784f5	-3.04	1808f9	-4.22	1828f29	-4.85
1785f6	-3.76	1809f10	-1.28	1829f30	-7.55
1786f7	-2.17	1810f11	-3.34	1830f31	-2.68
1787f8	-2.23	1811f12	-3.33	1831f32	-2.30
1788f9	-7.17	1812f13	-5.06	1832f33	-2.73
1789f0	+0.29	1813f14	-3.84	1833f34	-0.06
1790f1	-0.45	1814f15	-3.45	1834f35	-0.01
1791f2	-2.49	1815f16	-4.39	1835f36	-2.84
1792f3	-2.62	1816f17	-1.11	1836f37	-2.17
1793f4	-1.05	1817f18	-1.84	1837f38	-6.83
1794f5	-5.77	1818f19	-2.00	1838f39	-2.47
1795f6	+0.05	1819f20	-6.50	1839f40	-3.55
1796f7	-1.00	1820f21	-5.17	1840f41	-6.24
1797f8	-1.18	1821f22	-1.61	1841f42	-2.41
				1842f43	+1.09

<i>Zimy łagodne.</i>		<i>Zimy mroźne.</i>	
R.	St. Reau.	R.	St. Reau.
1778f9	-1.00	1788f9	-7.19
1789f0	+0.29	1794f5	-5.77
1790f1	-0.45	1798f9	-7.57
1795f6	+0.05	1812f13	-5.06
1805f6	-0.72	1819f20	-6.50
1806f7	-0.66	1822f23	-6.55
1833f34	-0.06	1829f30	-7.55
1834f35	-0.01	1837f38	-6.83
1842f43	+1.09	1840f41	-6.24

Z tych wypadków okazuje się, iż w żadnym z 60 lat upłynionych, pora zimowa nie była tak ciepła jak w roku bieżącym; średnia jej temperatura wynosi  $+ 1^{\circ}09$  R, to jest wyższa o  $4^{\circ}$  R, od stanu normalnego ( $- 3^{\circ}$  R), tak iż właściwej zimy w tym roku nie było. Ilość wody z deszczu i śniegu w tej porze zebrana, wynosi tylko 31.55 lin. par. to jest o 8.04 lin. par. mniej niż w stanie średnim; z deszczu wody było dwa razy więcej niż ze śniegu, którego w początku bardzo mała ilość upadła.

Początek i koniec tej pory tem się jeszcze odznaczył, iż grudzień r. z. cieplejszy był od listopada, a luty r. b. cieplejszy od marca.

*Trzy miesiące zimowe najniższą temperaturę miały w latach.*

GRUDZIEŃ		STYCZEŃ		LUTY	
Roku	St. R.	Roku	St. R.	Roku	St. R.
1788	$-11^{\circ}81$	1795	$-9^{\circ}07$	1782	$-4^{\circ}89$
1798	$-6.85$	1799	$-7.65$	1808	$-4.83$
1799	$-7.05$	1815	$-7.50$	1814	$-7.67$
1804	$-6.30$	1820	$-7.83$	1816	$-5.33$
1808	$-5.50$	1823	$-11.33$	1821	$-6.00$
1812	$-8.50$	1826	$-8.66$	1827	$-5.75$
1819	$-7.83$	1828	$-8.00$	1829	$-5.63$
1820	$-6.17$	1829	$-7.37$	1830	$-5.00$
1829	$-9.75$	1830	$-7.92$	1838	$-5.82$
1840	$-7.96$	1838	$-10.75$	1841	$-7.63$

Grudzień najzimniejszy był w latach 1788, 182

Styczeń " " " " 1823, 1838.

Luty " " " " 1814, 1841.

Największe zimno w miesiącu Lutym i Grudniu r. 1799 dochodziło u nas  $-26^{\circ},5$  R

Największe ciepło w Lipcu r. 1794, 1811, 1826, jako też w Sierpniu r. 1785 i 1795 wynosiło  $+ 28^{\circ}$  R

*Miesiące zimowe najcieplejsze.*

GRUDZIEŃ		STYCZEŃ		LUTY	
Roku	St. R.	Roku	St. R.	Roku	St. R.
1779	+1°10	1790	-0°85	1779	+1°77
1789	+0 75	1791	+0 53	1783	+1.48
1806	+1.07	1796	+2 34	1790	+0 97
1809	+0.83	1804	-0.20	1797	+1.01
1813	+0.83	1806	-0 17	1800	+0 17
1824	+0 67	1817	-0.83	1813	+0 33
1827	+0.93	1824	-0 52	1817	+0 17
1833	+1.57	1835	-0.69	1833	+0 29
1841	+1.53	1843	-0.83	1835	+0 90
1842	+1.22			1843	+2.90

Grudzień najcieplejszy był w latach

1779, 1806, 1833, 1841, 1842.

Styczeń „ „ 1791, 1796.

Luty „ „ 1779, 1783, 1797, 1843.

Grudzień r. z. cieplejszy był o 3°.45 R

Styczeń r. b. „ „ 0 5, 54 „

Luty r. b. „ „ 0 5, 77 „

od stanu normalnego. W żadnym z lat poprzednich luty nie był tak ciepły jak w r. b. temperatura jego jest +2°9 R to jest blisko o 6° R wyższa od stanu średniego. Największe ciepło w tym miesiącu w r. 1779 wynosiło +9° R; w r. b. dnia 24 Lutego ciepło dochodziło + 11°. 5 R; ostatnie dziesięć dni były tak ciepłe jak w porze letniej. Dnia 27 t. m. wieczorem widziano błyskawice, a w okolicy Warszawy słyszano i grzmoty. Wiatr zwykle panujący w tym miesiącu zachodni, w tym roku był południowo-wschodni. Przy tak znacznym cieple, wegetacya roślinna znacznie wyprzedziła czas sobie właściwy; widzieliśmy już murawy zielone, drzewa zaczynające pękać, owady po powietrzu latające; następny miesiąc marzec zmienił stan łagodny atmosfery, był bowiem mroźny, suchy i nierównie zimniejszy od Lutego. J. B.

*Nowo odkryty wiersz Symonowicza.*

Przed dwudziestu kilku laty, nie pomnę od kogo. wpadło mi do rąk dziełko pod tytułem: *Epithalamion, sive Benedictiones Nuptiales, ad Serenissimum Sigismundum III. Poloniae Regem. et Annam Austriacam, conjugem ejus, à St. Socolovio Ca. Cr. misse.*—Cracoviae 1591 in 4to kart 31 na końcu tego zamieszczony był wiersz pod napisem: *Mulier fortis. Carmine explicata per Seb. Felstinium po polsku przez Symona Simonidesa.*

Gdy o wyżej rzezoném dziełku, jako i w końcu jego znajdującym się wierszu, żadnej u Bibliografów naszych niema wzmianki, przeto odpis wiersza jaki dotąd zachowałem, przesyłam do zamieszczenia Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, w celu ochronienia od zagłady tego acz szczupłego, rzadkiego jednak i ważnego w swym rodzaju pisemka, przez sławnego wierszopisa Symonowicza na polski wiersz tłumaczonego, którego brzmienie jest następujące:

Komu kiedy Bóg raczył dać cnotliwą żonę:

Wsystkie skarby iéy ceną nie są odważone,

Serce mężowo na iéy rękę się gruntuie,

Ani krwią okupionych plonów potrzebuie.

Ona téż, póki ieno żywota iéy staic,

Nigdy złym, zawsze dobrym dobroć mu oddaic.

Cienkich przedziw, y drogich iedwabiów nabrała,

I dzielną ręką wiele robót nawiązała.

Stała się iako czuynych kupców rądcze łodzi,

I chleb do domu swego z obcych' stron przywodzi.

Wstała z świtem, y w gmachach porządek sprawiła,

Czeladź y służebnice strawą opatrzyła.

Skupiła żyzne włości, poszczepiła sady

Swą ręką, zamnożyła piękne winohrady.

Uieła się w stateczność, wzięła władzą, siły

Wielmożne, iey szlachetne ramie umocniły.

I poczuła miły smak swoiéy rostopności,

Ani iey świece nocne zgasiły ciemności.

Więc y do więtszych rzeczy pieczę swą podała,

I mocnym gospodarstwem uprzeymie władała.

Jey dłoni niedostatnim zawsze otworzone,

Jey ręce do ubogich zawsze wyciągnione.

Nie straszna iéy domowi zima, bo podwóynym

Swą wszytkę przyodziła czeladź stroiem hoynym.

I sama ochędostwem wprzód inszym niedała, (1)

Szarłatów złotogłowów sobie niesprawiała.

(1) Wyprzedzić się uie dała.



Pełno klenotu na niey: a sława mężowi  
Piękna, gdy każdy dobrze o iey cnotie mówi.  
Nikt oczu niezapluśnie, y między równemi  
Sobie, śmieie usiedzie ludźmi pocziwemi.  
Ziety roboty wychodzą piótna znamienite,  
Od niety tkanice kramarz bierze rozmaite.  
Przystoyność y stateczność iety nadziei (2) przednieysza,  
I wolnie się uśmiechnie, kiedy ostatnieysza  
Chwila przydzie: a skoro rożane rozwinie  
Wargi swe, szczerza mądrość przez iety usta płynic.  
Słowa iety pełne wdzięku, y piękney rosprawy,  
A język, prawie iste (3) cney łaski ustawy.  
Wszystkie ruszenia stóp swych pilnie przestrzegała,  
Ani daremnie swego chleba pożywała.  
Wstały cnotliwe dzieci, y cześć iety czyniły  
Powinną, y mężowe usta ią wielbiły.  
Siła się w wielkich domiech pięknych cór zrodziło:  
Siła szczęście bogatym wianem udarzyło.  
Tyś u mnie nadewszystkie. Co ani moc złota  
Radzi mi, ani krasa, ale sama cnota.  
Omylna iest udatność, uroda zdradliwa,  
Ta sama nie fałuje, (4) która boiaźliwa  
Jest boga, a wstyd święty nad wszystko miłuje,  
Wstydu żaden skarb, żadne złoto nie celuie. (5)

U kogoby całkowite powyższe dziełko znalazło się nie małą dla bibliografii uczyniłby przysługę, gdyby je ze wszelkimi opisał szczegółami, wówczas z pewnością możnaby twierdzić, czyli Stanisław Sokołowski prawdziwym był jego autorem: a możeby nad to i łaciński wiersz Sebestyana Fulsztyńskiego łatwiej dał się wynaleść.

J. R.

---

### Wiadomość Bibliograficzna.

W dziele przezemnie nabytém u Antykwaryuszów tu-  
tejszych, pod tytułem:

*Melchioris Zeidleri, SS. Theol. D. et Prof. Publ.  
Ecclesiae it. Cathedralis Regiomonti Pastoris - Tractatus  
De Polygamia, in quo disquiritur An sit contra jus*

- (2) U Lindego nie ma, zdaje się wzięto za ozdobę, odzież.
- (3) Prawdziwe, niefałszywe.
- (4) Nie błędzi.
- (5) Nie przewyższa.

*naturae, aut contra jus divinum sub N. T. ut circa eam dispensari nequeat? Accessit Ejusdem De Matrimonio cum Sorore Uxoris defunctae Disquisitio: An tale matrimonium sit contra jus naturae, aut contra jus divinum positivum, ut circa illud dispensari nequeat? E. F. Philippus Jacobus Hartmann, Phil. et Med. D. P. P.*

*Helmstad Typis et sumptibus Georg — Wolfgangi Hammi Acad. Typogr. Anno 1690.* złożonem oprócz karty tytułowej ze stronnic liczbowanych 216 i Indexu wraz z małą przy końcu erratą ze stronnic nieliczbowanych 12, wydaném in 4to, z trzema winietami, pomiędzy bardzo licznemi cytacyami wielu starożytnych i owoczesnych autorów, oznaczającemi wielką samego autora tego dzieła erudycyą, na stronicy 179, w paragrafie ostatnim 49, jest przywiedziony Klemens Latinus Polak.

Wypis dosłowny co do tego łacińskiego tutejszego poety, brzmi jak następuje:

„Denique, ut plura adducere exempla nunc supersedemus, et de Bolislao V. Polonorum Principe memoriae proditum est, quod eum Cunegundam Belae, Hungarorum Regis, Filiam uxorem duxisset, primisque nuptiarum diebus eam non attigisset, inde confirmato postea consensu unâ religione ambo perpetuam voverint continentiam. Unde Boleslao (sic) Pudici cognomen fuit inditum. Legi eâ de re potest Cromerus lib. 9. Sed et Clemens Latinus Polonus de eo canit:

*Conjuge consenuit cum Virgine Virgo Maritus, Addictu studiis casta Diana tuis. SED habet Deus et de caetero causas suas, cur nolit interdum etiam magnorum capitum matrimonium prole beare, utut hujus suscipiendae ergo sit ab iis initum. Cujus consilium si qui eludere conantur per aliae illegitima media etc.*

Od stronicy 181 zaczyna się Disquisitio de Matrimonio etc. w języku niemieckim, druk gocki.

W Indexie, pod lit. B. Bolislaus V. R. Polón. in conjugio perpetuam vovet continentiam 179. Pudicus inde cognominatus. *ib.* pod lit. K. Kunigunda Reg. Pol. in conjugio manet virgo 179.

Inne dzieło, pod tytułem naczelnym, w rycinie, wyobrażającej u góry orła pruskiego, u dołu sędziów i sprawiedliwość,

*Tractatus De Processu Fori Prutenici* i pod następnym: *Tractatus Juridicus de Processu Fori secundum Ordinationem stylium et Cosvetudinem tam inferio-*

*rum quam superiorum in Borussia Judiciorum Ritè ac legitime instituendo In gratiam studiosorum Juris cum Theoria Praxin addiscere cupientium conscriptus et usitatissimus hoc tempore Libellorum, Mandatorum, Citationum, Exceptionum, Juramentorum etc. etc. etc. Formulis Nec non variis usque perquam necessariis et utilissimis Observationibus, Cautelis practicis et Praejudiciis Summarum Curiarum in Contradictorio latis illustratus Cum Indice Rerum ac Verborum locupletissimo Georgio Grube, U. J. D. Serenissimi ac Potentissimi Electoris Brandenburgici Consiliario Judiciù aulici.*

*Regiomonti, Impensis Henrici Boyen et Pauli F. Rhoden 1699.*

Składające się ze stronnic nieliczbowanych 6, obejmujących tytuł, przemowę i zbiór rozdziałów, których jest 36, i ze stronic liczbowanych 1,102, tudzież indexu w porządku alfabetycznym nieliczbowanego zawierającego stronic 68 i z erraty stronnic 7, wydane in 4to z winetami, zasługiwałoby na pomieszczenie w zbiorach bibliograficznych: już z powodu iż zawiera w sobie wyciągi, z traktatu pokoju pomiędzy Władysławem Jagiellończykiem Królem Polskim a Pawłem Rusedorff Mistrzem Pruskim r. 1436 sankt.; ze Statutu Polskiego księgi 2 części IV tyt. 2 stron. 219 o karach na występki uczniów Akademii Krakowskiej w języku polskim i t. d.; już dla tego, że mieści w sobie wiele formuł przysięgi w języku polskim a mianowicie w litewskim, którego to języka bardzo mało posiadamy pamiątek piśmiennych z dawnych czasów. Formuły te znajdują się na stronicach, 157, 251, 317, 634, 672, 674, 703, 845 i 863.

W cytacyach autor tego dzieła w wielu miejscach przywodzi Andrzeja Lipskiego.

*Stefan Mackiewicz.*



*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

MARZEC 1843. — DOSTRZEŻENIA w Obserwatorium  
 wzniesion jest 130,6 metrów nad poziom morza  
 17 11 11 0, czyli w dniu 18 11 11 0

# DOSTRZEŻENIA

## METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

MARZEC. — 1843

TERMOMETR		BAROMETR	
w stopniach		w milimetrach słupkowych	
10	0	10	0
10	0	10	0
9	0	9	0
8	0	8	0
7	0	7	0
6	0	6	0
5	0	5	0
4	0	4	0
3	0	3	0
2	0	2	0
1	0	1	0
0	0	0	0
-1	0	-1	0
-2	0	-2	0
-3	0	-3	0
-4	0	-4	0
-5	0	-5	0
-6	0	-6	0
-7	0	-7	0
-8	0	-8	0
-9	0	-9	0
-10	0	-10	0

MARZEC 1843. — DOSTRZEŻENIA W OBSERWATORYUM  
wzniesione jest 114,05 metrów nad poziom morza  
1<sup>g</sup>. 14<sup>m</sup>. 47<sup>s</sup>. 0, czyli w łuku 18°41'45", na

ASTRONOMICZNEM WARSZAWSKIEM. — Miejsce dostrzeżeń  
jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie  
wschód względem południka Paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w Millimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średnia dzienna
	6 go. rano	10 go. rano	4 go. wiec.	10 go. wiec.	6 go. rano	10 go. rano	4 go. wiec.	10 go. wiec.	
1	726,12	726,15	726,68	728,37	+ 5,5	+ 6,1	+ 6,1	+ 3,7	95,5
2	731,72	733,38	737,18	740,35	- 1,2	- 1,2	- 2,6	- 3,8	96,2
3	743,98	745,82	747,26	740,01	- 5,3	- 3,7	- 3,7	- 6,2	96,0
4	750,30	751,90	752,48	754,51	- 5,9	- 3,1	- 2,7	- 6,1	84,2
5	756,15	757,84	759,50	761,37	- 7,4	- 3,1	- 0,2	- 1,1	94,2
6	761,81	762,71	761,93	761,77	- 1,0	+ 1,3	+ 2,1	- 2,5	81,2
7	759,68	759,29	757,28	757,33	- 5,0	+ 0,5	+ 3,4	- 1,0	74,7
8	758,39	759,31	760,48	761,90	- 1,3	+ 0,2	+ 2,9	- 2,0	85,0
9	762,04	763,83	762,57	762,95	- 3,5	+ 1,1	+ 4,8	+ 1,2	79,5
10	762,16	761,94	759,87	759,13	- 2,3	+ 1,0	+ 4,3	+ 0,4	86,5
11	758,66	758,57	756,78	755,64	- 0,1	+ 3,2	+ 5,9	+ 1,0	79,2
12	752,80	752,56	750,08	748,75	+ 0,3	+ 4,0	+ 3,7	+ 2,0	82,7
13	743,98	743,00	741,38	742,20	- 0,5	+ 5,0	+ 4,6	+ 2,1	88,5
14	742,09	742,74	741,20	740,93	+ 2,6	+ 5,3	+ 8,2	+ 6,2	88,2
15	741,35	741,24	739,99	741,56	+ 6,4	+ 8,0	+ 5,6	+ 2,0	92,0
16	744,20	745,59	745,46	749,20	+ 0,3	+ 1,5	+ 0,1	- 1,2	94,0
17	754,44	755,96	755,88	752,57	- 4,0	- 2,2	+ 0,9	- 2,3	88,2
18	746,79	744,97	744,28	746,63	+ 0,5	+ 2,8	+ 7,6	- 0,3	87,0
19	751,68	754,13	757,65	759,78	- 2,4	- 2,3	- 2,4	- 4,1	97,0
20	760,04	760,10	759,58	760,09	- 4,2	- 1,3	- 0,2	- 3,8	97,0
21	760,20	760,26	757,70	756,97	- 8,1	- 2,5	+ 1,7	- 2,7	64,0
22	754,74	754,03	752,13	751,97	- 5,1	+ 0,1	+ 5,5	- 0,7	59,7
23	752,13	752,75	752,51	755,08	- 3,4	+ 6,0	+ 8,7	0,0	57,7
24	758,59	759,71	759,39	760,28	- 6,6	- 3,7	- 0,5	- 4,1	72,5
25	759,54	758,83	757,65	757,04	- 5,3	- 1,0	- 0,4	- 1,9	86,7
26	757,59	757,43	755,28	755,63	- 6,4	- 2,3	+ 0,2	- 4,6	78,5
27	755,21	755,06	752,86	752,26	- 7,5	- 3,4	+ 0,3	- 4,7	73,0
28	750,37	749,93	748,08	747,94	- 7,0	- 1,2	+ 3,7	0,0	67,0
29	748,60	749,10	748,93	750,36	- 1,6	+ 2,2	+ 7,8	+ 1,1	66,5
30	752,58	752,91	750,97	751,39	- 1,8	+ 3,0	+ 10,4	+ 3,5	69,5
31	751,71	751,06	748,89	748,11	+ 0,6	+ 7,3	+ 13,3	+ 6,0	62,7
Sre:	751,950	752,355	751,677	752,289	- 2,60	+ 0,89	+ 3,20	- 0,79	81,4

Dnia	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w millim z	
	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiec.	10 godz. wiec.	6 go. r.	10 go. r.	4 go. w.	10 go. w.	de- szczy	śnie- gu
1	pochmurny	pochmurny	deszcz	deszcz	PnW.	PnW.	Pn.	PnZ.	4,68	8,50
2	śnieg	śnieg	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		
3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pra. pogod.	Z.	Z.	Z.	Z.		
4	pochmurny	pochmurny	na pół pog.	pogodny	PnZ.	Pn.	Z.	Z.		
5	pogodny	na pół pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	—		
6	pochmurny	pochmurny	pra. poch.	pogodny	—	PdZ.	—	—		
7	pogodny	pogodny	pra. pogod.	pogodny	PnW.	W.	W.	PnW.		
8	pr. pochm.	na pół pog.	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	W.	PnW.		
9	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	W.	—	PnZ.		
10	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	—	—	—		
11	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	—	PdZ.		
12	pochmurny	chm. podz.	pochmurny	chmu. podz.	Pd.	Z.	Pn.	—		
13	pogodny	smugi	deszcz drob.	pochmurny	Pd.	Pd.	Z.	PdZ.		
14	pochmurny	pochmurny	deszcz drob.	deszcz dro.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
15	pochmurny	pochmurny	deszcz	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PnZ.	PnZ.	10,0	
16	pra-pochm.	pochmurny	śnieg gęsty	pra. pogod.	Z.	Z.	Z.	PdZ.		1,00
17	pogodny	chmurki	na pół pog.	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnZ.	Pd.		0,50
18	pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg drob.	PdZ.	Z.	PnZ.	Pn.		
19	chm. podz.	na pół pog.	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	PnZ.		
20	pochmurny	na pół pog.	pochmurny	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	—		
21	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
22	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
23	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PnW.	Pn.	Pn.		
24	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
25	na pół pog.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PdZ.	Pn.	W.		
26	pogodny	chmurki	pogodny	pogodny	W.	PnW.	W.	PnW.		
27	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	PnW.		
28	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PnW.	Z.	—		
29	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
30	pra. pogod.	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdZ.	Z.	PdZ.		
31	pogodny	pogodny	smugi	pogodny	—	—	PdZ.	Pd.		
Sre:									14,68	10,00

	milim. czyli c.	l.
Srednia wysokość barometru miesięczna	752,070	27 9,390
Najwyżej barometr dochodził		
d. 9 o 10 g. r.	763,83	28 2,603
Najniżej d. 1 o 6 g. r.	726,12	26 9,886
Srednia zmiana dzienna barometru	4,40	1,99
Najw. zmiana dzien. d. 18—19 o 4 g. w.	13,37	5,93
Srednia wysokość barometru jest wyższa o	3,124	1,385
od stanu normal. z 17 lat poprzedz.	(748,946	27 8,005)
Srednia temperatura Marca jest	+ 0,18 C.	+ 0,14 R.
i ta jest niższa o.	0,77	0,62
od stanu normalnego z 17 lat poprz.	+ (0,953	+ 0,762.)
Najwię. ciep. doch. d. 31 o 4 g. w.	+ 13,3	+ 10,6
Najmniejszych d. 21 o 6 g. r. . . . .	- 8,1	- 6,5
(Termometograf wskazał min. — 6°,3 R. d. 27, max. + 11°,4 R. d. 31)		
Srednia zmiana dzienna temperatury	2,66	2,13
Największa zmiana dzien. d. 18—19 o 4 g. w.	10,0	8,0
Srednia wilgotność powietrza wynosi 81,4 biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną, czyli 4, 44 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.		

Srednia temperatura miesięczna źródła:  
za pałacem Kazimirowskim + 6°64 R.

Dni pogodnych było 13, na pół pogodnych 6, pochmurnych 12.  
— deszczu 6: (d. 1, 13, 14, 15, 18).  
— śniegu 4: (d. 2, 16, 18, 20).  
— mgły 2: (d. 10, 23).

Wody z deszczu spadło 14,68 milim. czyli 6,51 lin. paryz., z śniegu 10,00 milim. czyli 4,43 l. p., razem 24,68 milim. czyli 10,95 linii paryz. to jest o  $\frac{1}{3}$  mniej jak zwykle w tym miesiącu spada.

Marzec r. b. był pogodny, zimny, w deszcz i śnieg nieobfity; od 20 do końca miesiąca przy mroźnym i nader suchym powietrzu pogoda ciągle trwała, początek miesiąca za dość pogodny także uważać można, środek tylko niepogodny był i dzdzysty.

Wiatr panujący Z.

Wicher był 1. t. j. Pn.

Światło zodyakalne w kolorze białym przez cały marzec bardzo wyraźnie się pokazywało.

D. 17 w Manchester i Liwerpolu dało się uczuć lekkie trzęsienie ziemi.



## O STEPACH I PUSTYNIACH

*Przez Alexandra Humboldta.*

tłumaczył

Ludwik Zejszner.

U stóp wzniesłego grzbietu granitowego, który w pierwsiastkowym wieku naszego planety, przy utworzeniu się zatoki Antylskiej sprostał zapędom wód, rozpościera się okiem niezmierną równina. Pominąwszy myślą pagórki Caraccas i pełne wysep jezioro Tacarigua 1), w którym się nadbrzeżne Pizangy przeglądają; pominąwszy dalej obszary strojne łagodną zielonością taickiej trzciny cukrowej, lub poważnym cieniem kakaowych krzaków, spoczywa oko ku południowi na stepach podniesionych pozornie w gubiącej się odległości, a ograniczających widok. Zdumiewa się wędrowiec wstąpiwszy z pośrodku najwyższej obfitości jestestw organicznych, w granice bezroślinnej pustyni. Na niezmierzonej okiem płaszczynie, ani pagórek ani skała nie sterczy. Tu i owdzie leżą połamane warstwy skał, zajmujące przestrzeń około 200 mil kwadratowych,



widocznie wzniesione nad otaczający je poziom 2). Tameczni mieszkańcy zowią je ławicami, przeczuwając niejako duchem mowy pierwotny ich stan; owe wzniesienia bowiem rasami, stepy zaś same dnem wielkiego morza łożniwego były.

Jeszcze i teraz wywołuje często nocne złudzenie te obrazy przeszłości; bo gdy przewodniczące gwiazdy szybko wstępując i chowając się, oświecają krańce widokregu, lub drząc podwajają 3) swój obraz w dolnej warstwie rozkołysanej mgły, zdaje nam się spostrzegać nieograniczony ocean. Morze i step wlewa w nas uczucie nieskończoności. Ale przyjaźniejsze ma wejrzenie czyste zwierciadło oceanu, na którym zwinne, zlekką spienione wiją się bałwany. Martwym i odrętwiałym jest step, jak naga skała zniszczonego planety. 4)

We wszystkich szerokościach potwórzyła natura obszerne równiny, każdej nadała właściwe znamię, a ich fizognomia zawisła od rozmaitości gruntu, klimatu i wzniesienia nad poziom morza.

W północnej Europie uważać można za istotne stepy gajste kraje, swą bujną wegatacją wszystko okrywające od krańców Jutlandyi aż do wypływu Skaldy: są to jednakże stepy małej rozległości, mające znaczniejsze pagórki, w porównaniu z Llanos i Pampas południowej Ameryki, lub też z obszarami rozpostartymi nad Missoury, 5) i rzeką Miedzianą, gdzie kudłaty wół Bizon i mały Piżmowiec bujają. Wspanialszy a zarazem poważniejszy widok przedstawiają płaszczyny środkowej Afryki. Podobnie jak owe niezmierne spokojnego oceanu przestrzenie, usifowano je dopiero w nowszych czasach rozpoznać. Płaszczyny te są częściami piaszczy-





stego morza, które na wschód pasy żyznych krajów przedziela, albo nakształt wysp otacza, jak pustynia przy górach bazaltowych Harudez 6), gdzie bogata w datyle oaza Siwah dzwiga pamiętne zwaliska świątyni Ammońskiego Jowisza, co nam przypomina szanowną dawniej cywilizacyi siedzibę. Ani rosa, ani deszcze nie skrapiają tych postaci (a), a ze spiekłego łona ziemi nie wykłuwa się zarodek roślinny: bo słupy skwarne go powietrza wszędzie podnoszą się w górę, rozpuszczają w sobie wyziewy, i przeciągające chmury rozpraszają. A gdzie się puszcza zbliża do Atlantyckiego oceanu, jak pomiędzy Wadi Nun a Białym przylądkiem, tam wpada wilgotne powietrze morskie, zapelniając próżnię, która powstaje przez wiatry prostopadle wiejące. Nawet żeglarz płynąc na tém morzu podobném do Łaki przez pokrywające Tangy (b), przy ujściu Gambii przeczuwa szeroko rozpostarte, ciepło promieniące piaski, gdy go nagle wschodni wiatr podrównikowy opuści 7). Stada gazellów, prędkonogie strusie, krwiożerze lamparty i lwy przebiegają z nierówną siłą po owych niezmiernych przestworach. Wyjawszy nowo odkryte grupy wysep w źródła obfitujących w tém morzu piaskowém, na których pobrzeżach zielonych roją się koczujące pokolenia Tibbusów i Tuaryksów 8), resztę afrykańskich pustyń za niemieszkalne można uważać. Pobliskie ucywilizowane ludy, tylko od czasu do czasu odważają się je odwiedzać. Drogami przez stosunki handlowe od tysiąca lat niezmiennie wytkniętymi, ciągnie się

(a) Górale tatrowi oznaczają tym wyrazem miejsca bezroślinne, wospolicie torfowe.

(b) Roślina morska.

długa karawańa od Tafieta do Tombuktu, albo od Mourzouh do Bornou. Śmiały te przedsięwzięcia zawisły od wielbłąda zwanego w dawnych powieściach wschodnich, okrętem pustyni 9).

Te afrykańskie równiny zajmują przestrzeń trzy razy większą od pobliskiego morza Środkowego. W części są pod zwrotnikami, w części w bliskości onych, i to położenie nadaje im właściwy charakter. Przeciwnie jest na wschodniej połowie starożytnego lądu stałego: tenże geognostyczny fenomen właściwym jest umiarkowanej strefie.

Najwyższe a zarazem najobszerniejsze stopy około tysiąc mil długie, rozpościerają się na grzbietach gór średniej Azji, od Altaja i Zung—ling 10) i od muru chińskiego aż do gór niebieskich i ku Aralowi; jedne bujna trawa pokrywa, inne zdobią soczyste, wiecznie zielone potażowe rośliny, inne części stepu świecą zdala przez wykwitujące nakształt porostów, sole które miejscami jakoby zwiane śniegi iłową ziemię okrywają.

Te mongolskie i tatarskie stopy rozmaitemi pasmami gór poprzerywane, oddzielają starożytne od wieków ucywilizowane narody Tybetu i Hindostanu od dzikich północno-azyatyckich ludów. Byt ich nawet znakomicie wpływał na zmienne rodu ludzkiego koleje. Skupiwszy bowiem ludność ku południowi, stawily na północy więcej niewzruszoną zaporę, dla rozprzestrzenienia się łagodnych obyczajów i twórczej sztuki, aniżeli Himalaja, lodowate góry Sirinagur i Gorka.

Nietylko za proste zapory winna historia te pła-szczyzny środkowej Azji uważać: nieszczęścia i spustoszenia sprowadziły one nieraz na inne narody. Pasterskie

ludy tych stepów — Awarowie, Mogołowie, Alanowie i Uzowie wstrzęsły całym światem. A jeżeli w przeciągu wieków wczesne wykształcenie ducha, do ożywiającego promienia słońca podobne, ze wschodu na zachód przenosiło się, z téjże strony zagroziły później Europie barbarzyństwo i dzikość. Brunatne plemię pasterzy Hiognu 11) ze szczepu tukiuickiego (t. j. tureckiego), zamieszkiwało w skórzanych namiotach wysokie stepy Gobi. Długo straszni chińskiej potędze, przecież zostali w części ku środkowi Azji wyparci. To falowanie ludów przenosiło się bezprzestannie po nad Uralem aż do Finlandyi. Ztąd wypadli Hunnowie, Awarowie i Chasarowie i rozmaici mieszkańcy azyatyckich pokoleń. Naprzód okazały się nad Wołgą hordy Hunnów, potem w Panonii, dalej nad Marną i brzegami Padu, pustosząc pięknie uprawne niwy, na których od czasów Antenora oświecone narody pomnik obok pomnika stawiały. Gdy tak od mongolskich stepów zawiąły zaraźliwe wyziewy, znikły w Cyzalpińskiej krainie starannie dawno pielęgnowane arcydzieła sztuki.

Od solnych stepów Azji, od gaistych krajów Europy, zdobnych latem czerwonymi miodowemi kwiatami, i od bezroślinnych pustyń afrykańskich wróćmy się do równin południowej Ameryki, których obraz w grubych zarysach kreślić począłem.

Powab, którym badacza zając zdoła ten obraz, jest czystym powabem natury. Nieprzypomina tutaj ani oaza dawniejszych mieszkańców, ni ciosany kamień 12), nawet zdziczałe drzewo owocowe nie świadczy o staranności znikłych pokoleń. Ta z losami ludzi nie połączona ustron zajmując jedynie swą teraźniejszością, jest tylko dzikim widokiem swobodnego życia roślin i zwierząt.

Od nadbrzeżnych łańcuchów gór Caraccas do lasów Guayany rozciągają się owe stepy, i od śnieżnych gór Merydy, na których pochyłości jezioro sodowe Urao leży, przedmiot zabobonów religijnych mieszkańców, aż do niezmierniej Dety, którą Orynoko przy swém ujściu tworzy. W południowo zachodniej stronie ciągnie się ten step podobny do ramienia morza 13); z drugiej strony rzek Meta i Wichada aż do odosobnionych wirchów, które bitne ludy Hiszpanii w ożywionej swój fantazyi nazwały Pazamo de la summa Paz, to jest rokoszne siedlisko wiecznego pokoju.

Ten step zajmuje przestrzeni 16,000 mil kwadratowych. Niektórzy wystawiali go z niewiadomości geograficznej jakby się nieprzerwanie w jednakowej szerokości rozciągał aż do Magielańskiej cieśniny, pomijając zarosłe lasami równiny nad rzeką Amazońską 14) odgraniczone na południu i północy stepami trawnymi rzek Apure i Rio de la Plata. Łańcuch Andów Cochabamby i brazylijskie pasma wypuszczają ku sobie pojedyncze grzbiety, pomiędzy prowincją Chiquitos i śródziemniem Villabella. Wązka równina łączy Hylaę rzeki Amazońskiej z Pampasami Buenosayreskiemi, trzy razy większą przestrzeń zajmującemi, aniżeli Llanos Wenezuelskie. Rozległość ich niezmiernie jest wielką; granice północne zdobią gaje palmowe, południowe zaś wieczyste śniegi okrywają. Tym Pampas właściwym jest do Kazuara podobny Toujon, jako i gromady zdziczałych psów 15) towarzysko mieszkających w podziemnych jamach, napadających ze wściekłością na człowieka, w którego obronie ojcowie rodu ich stawają.

Llanos czyli równina najdalej ku północy posunięta w Ameryce południowej, w gorącym pasie ziemi, podobna jest do puszczy Zahara. Wszakże w obudwóch połowach roku odmienną przybiera postać: raz jest pustą jak step morza piaskowego w Libii, drugi raz zazielenia się i podobna do wzniesionych stepów środkowej Azji.

Wynagradzającem się, jakkolwiek mozolném zadaniem powszechniej jeografii jest porównanie między sobą własności przyrodzonych odległych części ziemi i wyprowadzenie z nich rezultatów w niewielu zarysach. Rozliczne a w części jeszcze nierozwinięte przyczyny 16) zmniejszają ciepło i suszę nowiej części świata.

Wężyzna tego licznie powcinanego kontynentu w północnych częściach podrównikowych okolic, rozległy przestwór aż do lodowatych biegunów, otwarty ocean po nad którym pędzą podrównikowe wiatry, niskie położenie wschodnich pobrzeży, pędy zimnej wody morskiej płynące od ogniowego kraju aż ku Peru na północy, liczne gór łańcuchy z obfitemi źródłami, których szczyty śniegiem okryte wystrzeliły daleko nad wszelkie warstwy obłoków, mnóstwo niezmiernych rzek szukających zwykle po zakrętach najodleglejszych brzegów, stepy niepiaszczyste i dlatego mniej skwarne, nieprzebyte bory co pokrywają pod równikiem płaszczynę poprzerzynaną tysiącem strumieni, a w głębi kraju w największej od gór i oceanu odległości, wzywają niezmierną ilość wody, częścią wsysanej, częścią utworzonej przez siebie; wszystkie te przyczyny razem zebrane nadają równiom amerykańskim chłodny i wilgotny klimat, dziwnie różny od afrykańskiego. Od nich to jedyne zawisły owe soczyste, mocno rozra-

mienione, bujnego wrzostu rośliny, właściwy charakter nowemu światu nadające. Jeżeli z tych przyczyn będziemy brali jedną część naszego planety za wilgotniejszą od drugiej, uwagi wymienione nad teraźniejszym stanem, są dostateczne do wyjaśnienia téj zagadkowej nierówności. Niepotrzebuje już fizyk rozwiązując to nadarzenie natury, osłaniać się szatami geologicznych mitów, nie potrzebuje przypuszczać, że jednocześnie zgubna walka żywiołów nie ustała na zgrzybiałej ziemi, albo że Ameryka owa bagnista wyspa, siedziba krokodyłów i węzów, później od innej części świata wynurzyła się z chaotycznej wód powłoki 17). Nie można zaprzeczyć, iżby Ameryka południowa nie miała już na pierwszy rzut oka uderzającego podobieństwa z południowozachodnim półwyspem dawnego kontinentu, co do kształtu zarysów i kierunku pobrażów. Wewnętrzny wszakże skład gruntów i względne położenie granicznych krajów, sprawiają w Afryce ową dziwną suszę, nie pozwalającą na jój niezmiernych przestrzeniach rozwijać się roślinom i zwierzętom. Cztery piąte południowej Ameryki leży z tamtéj strony równika, a zatem na półkóli chłodniejszej i wilgotniejszej 18) przez większe nagromadzenie się wód i różnych innych przyczyn nie mających miejsca na półkóli północnej. Wielka część Afryki leży z téj strony równika.

Stepy południowej Ameryki czyli Llanos trzy razy są węższe od wschodu na zachód, aniżeli pustynie afrykańskie. Na tamte więcej wiatry podrównikowe, te zaś graniczące z Arabią i południową Persyą stykają się z powietrzem przebywającym skwarne ciepło promieniające krainy. Już ów szanowny, długo niepoznany ojciec historyi Herodot, przenikniony wielkimi pomy-

słami nad naturą, wyobrażał sobie wszystkie pustynie północnej Afryki, Yemen, Kerman i Mekhrą (Gedrozyą Greków) aż do Multan w przednich Indyach jako jedno i nierozłączone morze piasku 19).

Do skutków gorących wiatrów przyłącza się w Afryce, ile ją dotąd znamy, brak wielkich rzek wodne pary wyziewających a zimno sprawujących, lasów i gór wysokich. Wiecznyin śniegiem okrywa się tylko zachodnia część Atlasu 20), którego wązki grzbiet z boku widziany, wydawał się starożytnym pobrzeża trzymającym się żeglarzom, jako odosobniona podpora nieba. Do Dakul ku wschodowi przedłużają się te góry, gdzie w gruzach zagrzebana można-władna Kartagina leży. Jako rozciągnięty łańcuch gór nadbrzeżnych, jako getulskie przedmurze, wstrzymują chłodne wiatry północne z niemi wznoszące się pary wodne z morza Śródziemnego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wznoszą się nad niższe granice śniegów góry Księżycowe 21) Alkomri, o których bajeczne głoszą wieści, że są równoległe z afrykańskiem Quito, czyli wzniesioną równiną Habesz i źródłami Senegalu. Nawet Kordeliera Lupata na wschodnich pobrzeżach Mozambiku i Monomotapa rozpościerająca się jak łańcuch Andów na zachodnich pobrzeżach Peru pokrywa się wiecznymi lodami w bogatej w złoto Manice. Lecz te góry obfitujące w wodę, zbyt są odległe od téj strasznej pustyni, rozciągającej się od południowej pochyłości Atlasu aż do Nigru na wschód płynącego. Możeby te wszystkie razem wymienione przyczyny sprawiające susze i skwary, nie zdołały zamienić równin afrykańskich w tak straszne morze piaskowe, gdyby jaka rewolucya natury np. wdzierający się ocean, nie obdarł kiedyś owych ogromnych równin z roślinnej

powłoki i urodzajnej ziemi. Kiedyby się to nadarzenie przytrafiło, jaka siła sprawiła owe wdarcie? — pomroka czasu okrywa. Może niezmierny wir 22) pędzący od ławicy przy Newfoundland do dawnego kontynentu, cieplejsze wody i zachodnio-indyjskie orzechy do Irlandyi i Norwegii sprowadzający, był tego powodem. Jeszcze w terażniejszym czasie jedno z ramion tego pędu morskiego zwróciło się od Azorów ku południowemu wschodowi, zsypując na zachodnich pobrzeżach Afryki nieprzyjazne żeglarzowi piaski. Wszystkie pobrzeża nadmorskie (przypominam Peruańskie pomiędzy Amotape i Coquimbo) dowodzą, jak wieki a może tysiące lat mijają, zanim na skwarnych a bez dżdżystych krainach, na których ani Lecydije, ani inne porosty nie wschodzą, dozwolą sypkie piaski umocować się korzeniom ziół.

Te uwagi wystarczają do wytłumaczenia powodów, dla których Afryka pomimo zewnętrznie podobnego kształtu, tak ma odmienne stosunki klimatyczne od Ameryki południowej i tak różny charakter wegetacyi. Chociaż stepy południowej Ameryki cienka warstwa urodzajnej ziemi pokrywa, którą peryodycznie skrapiają ulewne deszcze, a bujne trawy zdobią, nie przynęciły przecież do siebie pogranicznych ludów, ani spowodowały do opuszczenia pięknych dolin Caraccas, lub nadbrzeżów morskich i kraju kędy swe wody Orynyoko toczy, aby się gubić w téj pustyni, którą ani drzewo ocienia, ni źródło orzeźwia: dla tego też ten step był prawie bezludnym, dopóki europejscy i afrykańscy koloniści nie przybyli.

Bezwątpienia przeznaczone są Llanos na pastwisko dla bydła; chowu jednakże mlekodajnych 24) zwierząt nie znali pierwotni nowego świata mieszkańcy. Żadne



z pokoleń amerykańskich nie umiało użytkować z tego daru natury. Dwie odmiany krajowych wołów pasają po obszarach zachodniej Kanady, w Quiwira przy kolosalnych ruinach zamku Azteków (Amerykańskiej Palmiry) wznoszących się w pustyni nad brzegami rzeki Gyla.

Z dźugiem rogami Muflon ojciec rodu owczego buja po łąkach skałach Kalifornii. Południowemu półwyspowi właściwe są także do wielbłąda podobne Vicunnas, Alpakas i Lamy. Lecz wszystkie te pożyteczne zwierzęta, prócz Lamy, zachowały tysiące lat swoją przyrodzoną swobodę. Używanie bowiem mleka i sera i uprawa mączystych traw 25) wybitnie cechują narody dawnego świata.

A jeżeli niektóre pokolenia przez północną Azyję do zachodnich brzegów Ameryki przeszły, i nawykłe do zimna 26) posuwały się ku południowi po wysokim grzbiecie Andów, w przechodzie tym nie dotknęły krain w którychby trzody lub *Cerealia* tym nowym przechodniom towarzyszyć mogły. Może po rozpadnięciu długo wstrząsanego wewnątrz zamieszkałymi państwa Hiongnu, wyparcie tego potężnego szczepu dało także początek wędrówkom narodów w północno-wschodnim kierunku od Chin i Korei, w czasie którym mogli się przenieść ukształceni Azyjanie do nowego kontynentu. Gdyby ci przychodnie zamieszkali tylko stepy w których nie znano uprawy roli, mogłaby ta zbyt śmiała, już z porównania języków mało co usprawiedliwiona hipoteza, tłumaczyć ów uderzający brak właściwych *Cerealiów* w Ameryce. Może jedna z kolonii księży mistycznymi ideami do żeglugi pobudzana, burzą zagnana, wylądowała na pobrażu Nowej Kalifornii; tego rodzaju

pamiętny przykład zaludnienia Japonii 27) za czasów Thsing-chihuang-li przechowały dzieje.

A jeżeli życie pasterskie, ów błogi stan pośredni, który koczujące hordy strzelców do pastewnych gruntów przywiązuje, a tém samém do rolnictwa przysposabia, nieznaném było pierwotnym ludom Ameryki, w téj saméj tedy nieznajomości upatrywać należy powody zupełnego braku ludności na południowej Ameryki stepie. Natomiast silnie rozwinęły się na nim przyrodzone siły różnych gatunków zwierząt swobodnych i tylko w sobie ograniczonych, jak rośliny w lasach nad brzegami Orynoka, gdzie Hymeneów, lub olbrzymich drzew laurowych, niszcząca ręka człowieka dotąd nie tknęła; i tylko stawia im zapory bujne rozpiekanie się wijących roślin. Po tych bezdrzewnych przestworach błąkają się Agutis, małe plamiaste jelenie, pancerne Armadyle, które jak szczury wystraszą podziemnego zająca; trzody ociężałych Chigiurów pięknymi pręgami zdobne, co powietrze smrodliwemi wyziewami zarażają, Wiwerry, wielki bezgrzywny lew, pstry a plamiasty Jaguar, tutaj tygrysem nazywany, który wlecze w górę ubitego przy pagórku ciołka, i wiele innych przesuwają się zwierząt 28).

Przez same zwierzęta prawie zamieszkałe, nie mogły do siebie przynęcić nawet jednéj nomadycznój hordy, któraby indyjskim obyczajem pokarmem roślinnym się żywiła, gdyby tu i owdzie rozrzucona nie była wachlarzowa palma, Maurycya 29). Słynne ma zalety to dobroczynne drzewo życia 29). Wyłącznie bowiem żywi przy ujściu Orynoka, niezwyczężony naród Guaranów, którzy z liściowych ogonków Maurycyi uplecione maty rozpinają sztucznie od drzewa do drzewa podczas stot-

nój pory; w czasie wezbrania wody i zalania Deltę żyją na drzewach jak małpy.

Owe wiszące skały wylepiają w części glinę, a ich kobiety rozniecają ogień na wilgotnej powale, ku domowej potrzebie. Kto nocą płynie na tej rzece, spostrzeżga rzędami wysoko w powietrzu migający się płomień nad ziemię wzniesiony. Guaranowie winni swą niepodległość fizyczną, a może nawet i moralną tym uginającym się współpłynnym trzęsawiskom, po których lekką nogą stąpają, i mieszkaniom na drzewach, owęj wysokości siedzibie do którejby pewnie nigdy religijne uniesienie amerykańskiego Stylity 3o) nie zawiodło.

Nietylko bezpieczne mieszkanie ale i rozmaitego rodzaju pokarm daje Maurycya. Zanim przepęknie na męskiej palmie lekka pochwa kwiatowa, zawiera rdzeń tego drzewa mąkę do sago podobną, którą również jako i mąkę z korzenia Jatrofy suszą w cienkich grzankach do chleba podobnych. W tym tylko okresie metamorfozy Maurycyi znajduje się mąka. Skiszony sok tegoż drzewa jest słodkiem upajającym winem palmowym Guaranów. Jej owoce o gęstej łusce do czerwonych szyszek świerkowych podobne, tak jak pizang i prawie wszystkie owoce podrównikowe wydają rozmaity pokarm, jeżeli są w różnych czasach zebrane: po zupełnym bowiem rozwinięciu się zawierają cukrowe, wcześniej mączyste części. A tak byt pokolenia zostającego na najniższym stopniu ukształcenia ludzkiego (podobnego do owadu ograniczającego się pojedynczemi częściami kwiatu), zawisł od jednego drzewa.

Po odkryciu nowego kontynentu zaludniła się ta równina. W celu ułatwienia handlu pomiędzy pabrze-

żami a Gujaną, wybudowano miasta 31) nad rzekami stepowemi. Rozpoczęło się wszędzie chodowanie bydła po tych niezmiernych przestrzeniach. Pojedyncze chaty na dzień podróży od siebie odległe, są z trzeiny i rzemieni splecione, skórami wołowemi pokryte. Niezliczone trzody zdziczałych wołów, koni i mułów bujają po stepach. Niezmierne rozmnożenie zwierząt dawnego świata tém godniejszym jest uwagi, im liczniejsze są niebezpieczeństwa, z którymi one w tych stronach walczyć muszą.

Gdy się pod prostopadłym promieniem nigdy nie zaoblóczonego słońca zwęglona darń w proch rozpada, rozdziera się stężała ziemia jakby ją potężne wstrząśnienia wzruszały; a jeżeli się wtedy przeciwne sobie pędy powietrza spotkają, walka ich kończy się w ruchach wirowych, a równiny dziwne przedstawiają widoki. Jako lejkwate obłoki 32) dotykające się swojemi krańcami ziemi, wznosi się piasek jak para, w skutku rozrzedzonego powietrza, a może nawet elektrycznie naładowanego środka wiru, zupełnie podobnie jak w szumiących trąbach morskich, które trwogą doświadczonego żeglarza przejmują. Na spiekłe niwy rzuca pozornie zniszczone sklepienie niebios, mdłe półświatło słomianego koloru. Horyzont zbliża się nagle i ścieśnia step jak umysł wędrowca. Spiekła, w kurz zmieniona ziemia unosi się w mglistym parokręgu, zwiększając duszące ciepło powietrza 33). Zamiast chłodu sprowadzają wschodnie wiatry nową spiekę, wiejąc po rozpalonych oddawna równinach.

Zwolna wysychają kałuże, które od wyparowania zżółkła palma wachlarzowa wstrzymywała. Jak na lodowatej północy, zwierzęta kostnieją od zimna, tak tu krokodyl i wąż boa od gorąca; w wysuszony ił wkopane drzy-

nią bezwładne. Wszędzie susza śmierć zapowiada i wszędzie ściga mara kołyszących się bałwanów, igraszka łamiących się promieni światła 34). Głodem i piekącym pragnieniem dręczone konie i woły, pędzą przez gęste tumany kurzu; te ponuro rycząc, tamte z wyciągniętą szyją wietrzą, i w wilgotnych prądach powietrza szukają bliskiej, niezupełnie jeszcze wyschłej kałuży.

Przezorniejsze z większym przemysłem muły, starają się przynieść ulgę pragnieniu. Kulista z licznymi żebrami roślina kaktus melonowy 35), ukrywa wodnisty rdzeń pod swą kolczastą powłoką. Przednią nogą odbija muł kolce i dopiero ostrożnie zbliża swe wargi i pije chłodne soki. Jednakże czerpanie z tego żywego roślinnego źródła, nie zawsze jest bez niebezpieczeństwa, często bowiem widać ich kulejącymi po zranieniu kopyt kolcami kaktusa.

A gdy po piekącym upale chłód następuje, w czasie porównania dnia z nocą, konie i bydło rogate nie doznają i wtedy spokoju. Niezmiernej wielkości nietoperze, jak wampiry krew im pod czas snu wysysają, lub czepiają się grzbietu i zadają jątrzące rany, w które załączają się Mosquity, Hipoboski i roje innych kłujących owadów. Tak dolegliwe życie prowadzą te zwierzęta, gdy przed skwarem słońca znika woda z powierzchni ziemi.

Gdy wreszcie po długiej suszy, błogi deszcz się zjawi, zmienia się nagle scena na stepie 36). Rozjaśnia się ciemny błękit niezachmurzonego do tego czasu nieba. Za ledwie w nocy można wysledzić czarną przestrzeń konstellacji południowego krzyża. Gaśnie łagodnie sforyczne migotanie magiellańskich obłoków. Nad głową unoszące się nawet konstellacje orła i nosorożca

drżącym jaśnieją światłem. Jako odległe góry wydają się na południu pojedyncze obłoki. Wyziwy parne rosposcierają się jakby mgła nad zenitem, a zdala luczący piorun deszcz ożywny zapowiada. Po pierwszym zroszeniu się ziemi natychmiast pokrywają step woniejące killiny, wielożeberkowate Paspalum i różne trawy. Zieliste Mimozy światłem dziennym drażniące rozwijają swe uśpione liście, witając wschodzące słońce, jak poranny śpiew ptaków lub otwieranie się kwiatów wodnych roślin. Swobodnie pasają się teraz konie i woły. W bujnej trawie kryje się pięknie plamiasty Jaguar, i lekkim skokiem nakszatft kota chwyta podobnie jak azyatycki tygrys przechodzące zwierzęta.

Niekiedy, opowiadają tamtejsi mieszkańcy, pękają zwolna gliny niedaleko bagien i wznoszą się jak w skiby 37). Z silnym a ponurym szumem wylatuje w górę wzruszona ziemia, jak przy wybuchu małych błotnistych wulkanów. Kto zna to nadarzenie, ucieka przedniem: bo wie, że olbrzymi wąż wodny, albo pancerny krokodyl za pierwszym deszczem z letargu obudzony, opuszcza ukrywającą go pieczarę.

Stopniami nabrzmieją rzeki Arama, Apure i Payara ograniczające w południowej stronie równinę; a tak przyrodzenie przymusza też same zwierzęta, które w pierwszej połowie roku ledwie nie ginęły z pragnienia wśród krain pełnych kurzu, prowadzić teraz życie płazów. Część stepu okazuje się jakoby niezmiernie między morze 38). Klacze z swojemi źrebiętami sadowią się na ławicach wyspowato nad wodami wzniesionych. Codziennie umniejszają się suche miejsca. Z niedostatku paszy w ściśniętych gromadach wiele godzin pływają żywiąc się mizernie trawką unoszącą się nad kisząciami

wodami brunatnego koloru. Mnóstwo żrebców tonie wtedy, mnóstwo chwytają krokodyle, płatając je kolczatym ogonem dla łatwiejszego połknięcia. Często wymykają się z paszczy tej krwiożerczej jaszczurki konie i woły nosząc ślady ostrych zębów na goleniach.

Ten widok minowolnie głębszemu badaczowi natury przywodzi na myśl ową giętkość, którą wszystko umiejąca sobie przyswoić natura wyposażyła pewne rośliny i zwierzęta. A jak mączyste owoce Cerery, tak tutaj i rumak po całym świecie towarzyszy człowiekowi; od Gangesu aż do rzeki La Plata, od pobrzeżów afrykańskich do płaskowzgórza Antyzany 39), leżącego wyżej aniżeli ostrokągowy wirch Teneryffy. Tutaj północna brzoza, tam palma daktylowa osłania cieniem zmordowanego buhaja od promieni południowego słońca. W zachodniej Europie walczy z niedźwiedziem i wilkiem, w ciepłych strefach musi uchodzić przed tygrysem lub krokodylem. Nietylko Jaguar i krokodyle grożą południowo amerykańskim koniom, lecz i w rybach strasznych znajdują nieprzyjaciół. Bagniste rzeki Bera i Rastro 40) napełnia nieprzeliczone mnóstwo elektrycznych węgorzy; ich kleiste, żółtawo płamiste ciała z każdej części podług woli wstrząsające uderzenia wydają. Są to Gymnoty mające 5 do 6 stóp długości. Największe zwierzęta zabijają, jeżeli mają sposobność swe w nerwy obfite organa od jednego razu w dogodnym kierunku wyfadować. Drogę na stepie z Uritucu musiano raz zmienić, gdyż w jednej rzeczułce tak się namnożyły, że corocznie wiele koni odurzonych podczas przeprawy tonęło. Nawet ryby inne unikają tych strasznych węgorzy, nawet łowiącego ryby wędka na stromém pobrzeżu przerażają, zmoczony bowiem sznurek

z odległości służy za przewodnika wstrząśnieniom. Tak to z łona wód wypada elektryczny ogień. Malowny widok przedstawiają łowy Gymnotów. Muły i konie spędzają Indyanie do bagna i ściskają do koła, dopóki niezwyčajne wrzaski, odważnych ryb do natarcia nie-pobudzą. Jak węże wiją się po wodzie i cisną się podstępnie pod brzuchy koni. Wiele z nich pada od razów niewidomój siły, drugie z najeżoną grzywą parskają, a z dzikim przestraczem malującym się w iskrzącem oku, uciekają przed srożącemi się piorunami. Indyanie dłu-giem i kijami bambusowemi wganiają je napowrót do środka bagna. Stopniami zmniejsza się wściekłość nie-równego boju. Jak wyładowane obłoki, rozpraszają się znużone Gymnoty. Długiej spokojności i obfitego pokarmu potrzebują, nim napowrót zbiorą swe roztrwo-nione siły galwaniczne. Słabiej i coraz słabiej wstrzą-sają ich razy. Pluskaniem koni przestraszone uciekają ku pobrażom, i tam rani je harpun, a suchém drze-wem jako złym przewodnikiem wyciągają je na ziemię.

Dziwna to jest walka koni z rybami. Z jednego źró-dła wypływa i zlewa się w jedną odwieczną wszędzie roz-postartą siłę, tak niewidoma broń owych mieszkańców wodnych, jako i siła powstająca z zetknięcia mokrych i różnorodnych ciał (41), która ruch utrzymuje we wszyst-kich organach roślin i zwierząt; siła co z grzmotem zapa-la obszerne niebios sklepienie, żelazo z sobą spaja, i w je-dnoź miejsce wracające spokojnie ruchy igiełki kieruje.

Mógłbym tutaj te może zbyt śmiałe zarysy obrazu stepów zakończyć; ale jako na oceanie chętnie marzy fantazyja o odległych pobrażach, tak i my nim znikną ogromne równiny, wróćmy się myślą do krain step ograniczających.



Północna puszcza afrykańską dzieli dwa rodzaje ludzi, pierwotnie tę część świata zamieszkujące, a których niezagodzona nienawiść zdaje się być tak dawną, jak mity o Ozyrysie i Tyfonie 42). Na północnej pochyłości Atlasu mieszkają prostych obyczajów długowłose pokolenia, żółtawej cery z zarysami kaukazkiemi.

Na południe zaś od Senegalu ku Sudan, osiadły hordy murzynów stojące na rozmaitych stopniach cywilizacji. W środkowej Azji oddziela mongolski step barbarzyństwo syberyjskie od starożytniej cywilizacji półwyspu Hindostańskiego. Równiny południowo-amerykańskie również odgraniczają kraje w pół europejską cywilizacją mające 43). W północnej stronie pomiędzy pasmem gór Wenezueli a Antylskim morzem leżą rękodzielnicze miasta, chędogie wioski; a w okółko nich pełno starannie uprawionych gruntów. Nawet pojęcie sztuki, umiejętne wykształcenie i szlachetne zamiłowanie w obywatelskiej wolności, już się tam od dawna obudziły. Od południa otaczają step straszne dziczyny. Odwieczne bory, nieprzebyte gąszcze składają kraj wilgotny między Orynokiem a rzeką Amazońską. Ogromne masy granitu ołowianego koloru 44) ścieśniają koryto rzek spienionych. Góry i lasy huczą echem grzmiąco spadających wód, rykiem Jaguara i stfumionem deszcz zapowiadającym wyciem małych brodatych 45). Gdziekolwiek na mieliźnie pozostała kępa piaszczysta, tam krokodyl z rozwartą paszczą leży jak kamień nieruchomy, często ptakami obsiadły 46). Ogromny zaś wąż Boa jak tygrys plamiasty, okręciwszy ogon o gałąź czatuje nad brzegiem rzeki, pewny zdobyczy. Nagle rzuca się i chwytą przechodzącego ciotka lub słabszą zwierzynę i połyka z trudnością przez nabrzmiwającą gardziel 47), powlokłszy naprzód śliną swą

zdobycz. W tych obszernych i dzikich jeszcze z łona natury niewydobytych krainach, żyją rozmaite plemiona ludzi, oddzielone od siebie dziwną różnicą mowy. Jedni prowadzą życie koczujące, a nie znając rolnictwa żywią się mrówkami, gummą i ziemią (48). Są to owe rodu ludzkiego wyrzutki Otomakowie i Jaururowie: inni w stałszych siedzibach żyją z uprawnych przez siebie płodów, są rozsądni i łagodniejszych obyczajów. — (Makwiratory i Makosowie). Na obszernych przestrzeniach pomiędzy rzekami Cassquiare i Atabapo, niemasz ludzi, tylko się Tapir i towarzyskie małpy chowają. Ryte na skałach wizerunki (49) dowodzą, że i te pustynie były kiedyś siedliskiem wyższej cywilizacji, świadczą o zmienności losu narodów, jak formy giętkich języków, owych niezagubnych pomników ludzkości.

A jak na stepie tygrys i krokodyl walczy z koniem i bydłem rogatym, tak przeciwnie na zarosłych lasami pobrażach, w dzikich puszczech Gujany, wiecznie się zbroi człowiek przeciw człowiekowi, z dziką i naturze przeciwną chciwością piją całe pokolenia wyssaną krew swych nieprzyjaciół, inne duszą ich, bezbronni napozór, a przecież przysposobieni do mordu, (50) mając trucizną zapuszczone paznokcie wielkiego palca. Słabsze hordy po piaszczystych idąc pobrażach zasypują rękami starannie ślady swych lękliwych kroków. A tak człowiek na najniższym stopniu dzikości zwierzęcej, jak w pozornym blasku wyższego wykształcenia gotuje sobie ciągle żywot pełen trudów. Tak to wędrowca po obszernym ziemiokręgu na morzu i na lądzie, jak badacza dziejów, przez wszystkie wieki ściga jednakowy rozpaczny obraz zwaśnionego rodu.

Dla tego ktokolwiek usiłuje pokój ducha osiągnąć w pośrodku nieuleczonej waśni ludów, zatapia myśl chętnie w spokojnym życiu roślin, lub w wewnętrznych działaniach świętej siły natury, lub oddany odziedzicznemu popędowi, który od wieków ożywia ludzkość, pełen przeczucia, spogląda ku górnym gwiazdom, opisującym w niezmaconej harmonii swe odwieczne drogi.

---

### *Wyjaśnienia i dodatki.*

#### 1) *Jeziro Tacarigua.*

Przebiegając wewnątrz Ameryki południowej od półbrzeźów Caraccas albo Wenezueli ku granicom brazylijskim, czyli od 10 stopnia północnej szerokości aż do równika, napotykamy naprzód wysokie pasmo gór rozciągające się ze wschodu na zachód, następnie niezmiernie bezdrzewne stopy czyli równiny (los Llanos) ciągnące się od stóp wspomnianego pasma, aż do Orynoką; wreszcie następuje pasmo gór dające początek kataraktom przy Atures i Maypures, a pomiędzy źródłami Rio Brama a Rio Esquibo ku holenderskiej i francuskiej Guyanie rozpostartemi. Te ostatnie góry nazywam Sierra Parime.

Jest to siedlisko sławnych mitów Dorada. Do nich przytykają borami okryte równiny, w których Rio Negro i rzeka Amazońska swe koryta wyżłobiły. Kto się bliżej chce obznajomić z temi jeograficznemi stosunkami, niechaj rzuci okiem na wielką mapę przez la Cruz Olmedilla sporządzoną, z której wszystkie nowe mapy Ameryki południowej powstały (1), najważniejszych dozna

(1) Np. mapa Bonnego przy dziele Raynala, mapa pod tytułem la Carte de la Capitainerie générale de Caraccas Poirsona założona przy dziele De Pons: Voyage à la Terre Firme. La Cruz sam (1775) użył poprzedzające prace Solana, a może nawet Caulina mapę Orynoką (1750). W najnowszej mapie Poirsona z r. 1805

tylko zmian przez moje astronomiczne oznaczenia położenia różnych punktów. Pasma nadbrzeżne gór Wenezueli, jeograficznie uważając, jest częścią łańcucha Andów Peruńskich. Przy źródłach rzeki S<sup>t</sup> Magdaleny (szerokość 1°55' do 2°20') na południe od Popayan dzieli się w tym ogromnym węźle gór na trzy łańcuchy, z których najbardziej ku wschodowi posunięty, stanowi śniegami okryte góry Merydy. W okolicach Pазamo de las Rosas, góry Merydy przemieniają się w kraj pagórkowaty Quibor i Tuncyo łączy z Kordeliera, Cundinamarca z nadbrzeżnym pasmem Wenezuelskim, ciągnącym się nieprzerwanie naksztąft muru, od Porto Cabello aż do przedgorzów Paria. Średnia ich wysokość wynosi zaledwo 750 sążni (Toises), pojedyncze wszakże wierzchołki są nieporównanie wyższe. I tak Silla de Caraccas ozdobiona Befariamiami wznosi się do 1350 sążni nad poziom morza; ta góra nosi także drugie nazwisko Cerro de Awilec. Pobrzeża Terra Firma przedstawiają wszędzie ślady spustoszenia, wszędzie poznajemy działania wielkich pędów wód w kierunku ze wschodu na zachód, które po rozdzieleniu się wysep Karaibjskich odnogę Antylską wyrobiły. Języki ziemi w Araya i Chuparipari, mianowicie zaś nadbrzeża Cumany i nowej Barceliony są dla geologa nader ciekawymi. Skaliste wyspy Boracha, Caraccas i Chimanas sterczą z morza naksztąft wież, świadcząc jak niezmierne musiało być parcie wdzierających się wód ku rozbitemu gór łańcuchowi. Kto wie czyli Antylskie morze nie było kiedyś, jak nasze śródziemne—zamkniętem morzem, które się nagle z Oceanem połączyło. Na wyspach Kuba, Hajty, Jamajka pozostały jeszcze szczątki łąpku mikowego, na wysokich górach tworzących północną granicę tego morza. Uderzającą jest rzeczą, iż najwyższe szczy-

powzięta jest szerokość twierdzy San Carlos del Rio Negro z moich astronomicznych listów do Lalanda pisanych, długość zaś błędnie o dwa stopnie przyjęta z mapy Buacha. Prawdziwa długość według moich obserwacji jest 60°58'30" na zachód od Paryża.

ty są właśnie w tém miejscu gdzie się trzy wymienione wyspy najbardziej do siebie zbliżają. Z tego możnaby wnosić, że trzon Antylskiego łańcucha leżał pomiędzy Cap Tiburon a Morant Point. Miedziane góry (Montanas de Cobre) przy St Jago de Cuba nie zostały dotąd zmierzone, lecz niewątpliwie wyższymi są aniżeli niebieskie góry na Jamaice (1138 sążni), i wyższe od wcięcia St Gothard (1065 T.) Moje domniemania o kształcie oceanu Atlantyckiego i dawnym związku kontynentów rozwinąłem bliżej w rozprawie pisanéj w Cumana pod tytułem: Fragment d'un tableau géologique de l'Amérique meridionale, umieszczonej w Journal de Physique Messidor an. 9.

Północna część prowincyi Caraccas bardziej uprawna, jest górzystym krajem. Łańcuch nadbrzeżny podobnie jak Alpy szwajcarskie dzieli się na kilka grzbietów, albo pasm gór, pomiędzy któremi są podłużne doliny. Między niemi najszerszą jest dolina Aragua, produkująca w znacznej ilości indygo, cukier, bawełnę, a co najbardziej uderza, europejską pszenicę. Do jéj południowej części przytyka piękne jezioro Walencyi, w starodawnym języku indyjskim Tacarigua nazywane. Uprawność przeciwległych pobrzeżów nadaje mu wielkie podobieństwo do jeziora Genewskiego. W prawdzie pozbawione roślin góry Guigue i Guiripa mniej są uroczyście aniżeli sabaudzkie Alpy, ale za to nadbrzeża gęsto zarosłe krzewami Pizangowemi, Mimosami i Triplares przewyższają co do malownych piękności winnice kantonu Vaux. Jezioro Tacarigua ma około 10 mil morskich długości (20 idzie na stopień) okryte mnóstwem wysep ciągle powiększających się; bo więcéj ulatnia się wody aniżeli przyptywa. Od kilku lat wystąpiły ławice piaskowe jako prawdziwe wyspy. Stosowną dano im nazwę: nowo okazujące się, Las Aparecidas. Na jednéj z nich nazywanéj Cura uprawiają ciekawy gatunek Solanum z owocami jadalnemi, które Wildenów opisał pod imieniem Solanum Hum-

boltii (Hortus Berolinensis fasc. II). To jezioro leży około 220 sążni nad poziomem morza. Otaczają je piękniejsze i przyjaźniejsze widoki od którychkolwiek na całej ziemi. Kąpiąc się w niem przestraszały często Pana Bonpland i mnie okazujące się bawy. Jestto gatunek dotąd nieopisanej jaszczurki (Dragonne?) 4 do 5 stóp długiej, do krokodyla podobnej; wejście ma szkaradne, lecz nie jest szkodliwą. W jeziorze znaleźliśmy Tyfe, zupełnie podobną do gatunku europejskiego angustifolia: jestto nader ważny przypadek w jeografii roślin.

W około jeziora w dolinie Aragua chodują mieszkańcy dwie odmiany trzciny cukrowej—zwyczajną Canna Creolia i nowo wprowadzoną z morza południowego Canna de Otahaiti. Ostatnia ma jaśniejszą i przyjemniejszą zieloność, tak iż w znacznej odległości można rozemnać pole taickiej trzciny cukrowej od zwyczajnej. Cook i Forster pierwsi dali o niej wiadomość; lecz o ile z rozprawy ostatniego o jadalnych roślinach morza południowego wyrozumieć można, mało znali wartość tej drogiej trzciny. Bougainville sprowadził ją do Isle de France; ztamtąd przeszła do Cayenny, a od r. 1790 do Martyniki, Santo Domingo i reszty małych Antyllów. Śmiały ale nieszczęśliwy kapitan Bligh, wprowadził ją do Jamajki wraz z drzewem chlebowem. Z Trinidad wyspy bliższej stałego lądu przeniosła się ta nowa trzcina cukrowa do Caraccas. To nazywają ją mieszkańcy południowego morza. Dla wymienionych okolic stała się ważniejszą aniżeli drzewa chlebowe ta dobroczynna obfity pokarm dająca roślina, która nawet Pizangom nie ustępuje. Trzcina cukrowa Otahaity słodsza jest od zwyczajnej mającej pochodzić ze wschodniej Azji. Na równej przestrzeni ziemi daje  $\frac{2}{3}$  więcej cukru, aniżeli Canna Creolia, której trzcina cieńsza z liczniejszymi kolkami. Gdy prócz tego wyspy Indyów zachodnich poczynają doznawać braku drzewa (na wyspie Kuba parują cukier drzewem pomarańczowem), więc nowo wprowadzona trzcina tém jest ważniejszą, że ma

trzcinę grubszą i bardziej drzewiastą. Gdyby zaprowadzenie tej nowej rośliny nie przypadło prawie w chwili początku krwawej wojny Negrów na St. Domingo, byłyby ceny cukru wtedy w Europie bardziej poskoczyły, kiedy już znacznego podwyższenia doznały przez utrudnienie uprawy i handlu. Ważnym jest pytaniem, czy trzcina cukrowa z Otahajty oderwana od rodzinną ziemi, nie wyrodzi się zwoina i nie zostanie zwyczajną trzcina cukrową? Wszakże doświadczenie dotychczasowe tego nieudowadnia. Na wyspie Kubie wydaje jedna Casalleria, to jest przestrzeń 34,969 kwadratowych sążni, 870 centnarów cukru, zasadzona trzcina cukrową z wysp południowych. Z 261,795 skrzyń, czyli 4,188,720 Arrobas (każdy po 25 funtów hiszpańskich) w r. 1822 z wyspy Kuba wywiezionych, połowa z taickiej trzciny cukrowej pochodziła. Dziwnym jest to zdarzeniem, że ten ważny płód wysep południowych został uprawianym właśnie w tej części osad hiszpańskich, które leżą najdalej od morza południowego. Od peruańskich nadbrzeżów 25 dni płynąć trzeba do Otahajty, a przecież w czasie mojej podróży nie znano jeszcze ani w Peru, ani w Chili otahajtskiej trzciny. Mieszkańcy wysep Wielkanocnych cierpiący wielki niedostatek słodkiej wody, piją sok trzciny cukrowej pomieszany z wodą morską, (co fizyologicznie uważając, bardzo ważnym jest zdarzeniem). Na wyspach Towarzyskich, Przyjacielskich i Sandwich uprawiają wszędzie ten gatunek jasno-zielonej trzciny cukrowej o grubiej łodydze.

Prócz Canna de Otahajty i Canna Creolia uprawiają w Indyach wschodnich jeszcze czerwonawą afrykańską trzcina cukrową, mającą mniej soku aniżeli pospolita. Wszakże sok afrykańskiej odmiany bardzo jest przydatny do fabrykacji wódki cukrowej. Od jasnej zieloności taickiej trzciny cukrowej odbija bardzo pięknie w prowincyi Caraccas ciemny cień kakaowych krzewów. Mało roślin pod równikiem tak gęste ma liście jak Theobroma Cacao. Ta precudna roślina lubi gorące a wil-

gotne doliny. Obfite urodzaje i niezdrowe powietrze tak w Ameryce północnej, jak na wyspach południowej Azji nie odłącznie chodzą z sobą w parze. Uważają, iż w miarę wzmagania się cywilizacji jakiego kraju i zmniejszenia się lasów, ziemia i klimat bardziej wysychają, a nie tak dobrze udają się plantacje Kakao. I tak w prowincyi Caraccas widocznie się zmniejszają, a w prowincyach wschodnich Nowej Barcellony i Cumany, mianowicie w pasie wilgotnym i leśnym pomiędzy Cariaco a Golfo-triste rozmnażają się szybko.

## 2. Ławice.

Llanos de Caraccas mają za podstawę potężną i bardzo rozległą formacją dawnego konglomeratu. Idąc z dolin Aragua przez najbardziej południowy grzbiet łańcucha nadbrzeżnego Guegne i Villa de Cura ku Parapara, następujące skały spotykamy: naprzód gnejs i łupek mikowy, dalej skały przechodowe składające się z filadu i czarnego wapienia, serpentyn i dioryt kuli-sto podzielony, wreszcie na skraju wielkiej równiny pomniejsze pagórki migdałowca z piroxenem i łupkowy porfir. Te pagórki pomiędzy Parapara a Ortiz, wydają mi się wulkanicznymi wybuchami na dawnym brzegu morskim przy stepie Llanos. Dalej ku północy sterczą poszarpane, głośnie z mnóstwa jaskiń, wzniesione skały dolomitowe wyraźnie ziarniste; nazywają je Morros de S. Juan (1). Można je raczej uważać za pobrzeża, aniżeli za wyspy pierwotnej odnogi morskiej. Ja nazywam te Llanos zatoką morską; bo wzięwszy na uwagę małe wzniesienie onych nad terażniejszy poziom morza, ich kształt prądom wirowym otwarty i niskość wschodnich pobrzeży przy ujściu Orinoka, nie można powątpiewać, że morze zalewało kiedyś całą miedzę (bassin) pomiędzy łańcuchem nadbrzeżnym

(1) Patrz paniętną rozprawę Leopolda Bucha o Dolomicie jako skale, w rocznikach: *Abhandlungen der Berliner Academie der Wissenschaften* z r. 1822 i 1823 i moje *Relation historique* T. II. str. 140.



a Sierra de la Parime; w zachodniej stronie zaś dochodziło aż do gór Merydy i Pampeluny. Pochyłość w morwie będących Llanos zniża się od zachodu ku wschodowi, a wysokość przy Calaborre w odległości 100 mil jeograficznych od poziomu morza zaledwie 30 sążni dochodzi. Poziom Llanów tak jest doskonały na wielu punktach, iż w więcj anizeli na 30 milach kwadratowych nie masz miejsca o stopę wyższego od drugiego. Jeśli sobie wystawimy brak zupełny krzewów, (w Mesa de Pavones nie masz nawet pojedynczo stojących drzew palmowych), dopiero utworzymy sobie obraz téj jak morze równéj zupełnie pustéj płaszczyny. Jak daleko oko sięga, nie może prawie nigdzie spocząć na przedmiocie kilka cali podniesionym. Gdyby horyzont nie był ciągle zmienianym przez drzenie faliste niższych warstw powietrza i załamywanie się promieni światła, możnaby mierzyć wysokość słońca nad równiną jak nad poziomem morza. Przy tak dokładnym poziomie pierwotnego morza, tém bardziej uderzają te ławice. Są to połamane warstwy wzniesione 2 do 3 stóp nad równinę z największą jednostajnością, rozciągają się 10 do 12 mil jeograficznych. Z tych sączą się małe rzeczutki stepowe. Wracając z Rio Negro, gdyżśmy przebywali Llanos de Barcellona znaleźliśmy częste ślady zapadającej się ziemi. Nie były tam ławice wysokie, tylko pojedyncze warstwy gipsu 3 do 4 sążni głębiéj anizeli otaczające skały. Daléj zaś ku zachodowi w bliskości ujścia rzeki Caura do Orinoka zapadł się w r. 1790 przez trzęsienie ziemi wielki kawał lasu na wschód od Missyi St. Petro de Alcantara, i powstało na równinie jezioro mające przeszło 300 sążni średnicy. Wysokie drzewa (*Demanthus Hymenee* i *Uwarye*) długo z zielonym liściem stały pod wodą.

### 3. *Drząc podwajają swój obraz.*

Widok niezmiernego stepu tém bardziej uderza podróżnego, im dłużej zostawał w gęstwinach leśnych; nawykł bowiem jego umysł do ciasnego widokregu bo-

gato uposażonego przyrodzenia. Nie zatartém nigdy pozostanie to wrażenie, które na mnie sprawiły Llanos, gdym w powrocie z wyższego Orinoka ujrzał tę niezmierną przestrzeń z góry naprzeciwko wypływu Rio Negro Apure przy Chato del Capuchino. Słońce właśnie zaszło, zdawało się, że step poczyna tworzyć półkulę. Wschodzące gwiazdy jaśniały w dolnej warstwie powietrza. Rozpalona bowiem równina od prostopadłych słońca promieni, przez całą noc przedstawia grę promieniającego ciepłika, wznoszącego się pędu powietrza i bezpośrednio zetknięcia warstw atmosfery różnej gęstości.

#### 4. *Naga Skąła.*

Niezmierne przestrzenie kraju, na którym tylko nagie skały tablicowato ułożone sterczą, nadają pustyniom afrykańskim i azjatyckim właściwy charakter. W Shamo, kraju oddzielającym Mongolią od Chin, nazywają skały ławicowe, a Tsy na równinach leśnych Orinoka, które najbujniejsza wegetacya wieńczy.

#### 5. *Obszary nad Missouri.*

Nasze widoki fizyczne i geognostyczne nad Ameryką północną w najnowszym czasie sprawdzone zostały przez śmiałe podróże majora Long, i wyborne prace jego towarzysza, Edwina James. Wszystkie ich nowe odkrycia nietylko że nie zostawiają wątpliwości, ale potwierdzają to, com wyrzekł w mojem dziele o nowój Hiszpanii, o północnych łańcuchach gór i równinach. Tak w opisach natury, jak w historycznych badaniach długo stoją odosobnione fakta, aż mozolną pracą uda się je połączyć. Pobrzeża wschodnie Stanów Zjednoczonych ciągną się w południowo zachodnim kierunku ku północno wschodniemu, tak jak z drugiej strony równika nadbrzeża brazylijskie od rzeki la Plata aż ku Olinda. W małej odległości od pobrzeżów ciągną się dwa pasma gór zachowujące między sobą bardziej równoodległość, aniżeli Andy na zachód położone, albo Kordeliery chi-

lijskie i peruańskie, lub też północno-amerykańskie Rocky Mountains. Systemat brazylijskich gór na południowej półkuli tworzy oddzielną grupę, której najwyższe szczyty Itacolumi i Itambe nie przenoszą 900 sążni. Wschodnie tylko wyniosłości bliższe morza, mają stateczny kierunek południowo-zachodni ku północno-wschodniemu. Ku zachodowi rozszerza się owa grupa, natomiast wysokość znacznie się zmniejsza. Pasma pagórków Parecis zbliżają się do rzek Itenes albo Guapore, jak góry Aguapchy i San Fernando (na południe od Villa Bella) zbliżają się ku wysokim Andom Cochabamby i Santa Cruz de la Sierra. Owe dwa systemata gór przy pobrzeżach Atlantyckiego i Południowego oceanu (brazylijskie i peruańskie Korderliery), nie łączą się pomiędzy sobą; i niziny prowincji Chiquitos tworząc dolinę podłużną, ciągnącą się z północy na południe w równej szerokości, otwierają się ku równinom rzeki Amazońskiej i la Plata, oddzielając przycem zachodnią Brazylią od wschodniego Alto Peru. Tutaj podobnie jak w Polsce, często niepozorne wzgórze (po słowiańsku Uwalliż zapewne u wału) rozdziela rzeki w przeciwne sobie części świata, i to się zdarza pomiędzy Pil Comayo a Madeira, pomiędzy Aguapechy a Guapore, pomiędzy Paraguay a Rio Topayos. Ten wał ciągnie się od Chayanta i Pomabamba (szer.  $19^{\circ}$  —  $20^{\circ}$ ) w kierunku południowo-wschodnim przez równiny prowincji Chiquitos, które po wypędzeniu Jezuitów na powrót zostały nieznanym jeografom, a w północno-wschodnim kierunku tworzą w mowie będący wał, gdzie pojedyncze góry dają początek owym Divortia aquarum, przy źródłach rzeki Baurer i przy Villa Bella (szerokość  $15^{\circ}$  —  $17^{\circ}$ ). Tę nader ważną linię dzielącą rzeki, tyle wpływu wywierającą na stosunki handlowe i wzmagającą się cywilizacją, odpowiada na północnej części Ameryki południowej linia (szerokość  $2^{\circ}$  —  $3^{\circ}$ ) oddzielająca systemat rzek Orinoka od Rio Negro i rzeki Amazońskiej. Owo

wzniesienie na równinach, owe wały, można brać słusznie za nierozwinięte systemata gór, przeznaczone łączyć dwie pozornie rozdzielone grupy, to jest Sierra Parime i wzniesione równie brazylijskie z łańcuchem Andów przy Timena i Cochabamba. Te mało dotąd pod uwagębrane stosunki, potwierdzają przezemnie zrobiony podział Ameryki południowej na trzy niziny albo systemata rzek, to jest Orinoka, rzeki Amazońskiej i Rio de la Plata. Tych nizin krańce jak już wyżej wspomnieliśmy są stepami albo łąkami; środkowa zaś pomiędzy Sierra Parime a gruppami gór brazylijskich leśnym krajem (Hylaea). Skreślając obraz natury Ameryki północnej również kilkoma zarysami, szczególniej zwrócić należy uwagę na wązki z początku, następnie rosnący w szerokość i wysokość łańcuch Andów w Panama, Veragua, Guatimala i Nowej Hiszpanii w kierunku południowo-wschodnim ku północno-zachodniemu. Ów grzbiet, niegdyś siedlisko ucywilizowanych ludów, odpiera wielki prąd morski, utrudniając zarazem stosunki handlowe pomiędzy Europą, zachodnią Afryką i Chinami. Od 17° szerokości, czyli od sławnego Istmu Guatualco, skręca się wspomniany grzbiet od pobraż Spokojnego oceanu i zostaje Kordeliera zapuszczającą się wewnątrz kraju z północy na południe. W północnym Meksyku i w zachodniej Kanadzie, tworzą góry Żurawie Sierra de las Grullas część gór Rocky Mountains. Z nich wypływa na zachód rzeka Columbia z Rio Colorado w Californii, na wschód zaś Rio roxo di Natchitoches, Canadian River i płytka rzeka nazwana Platte-River, którą niekrytyczni jeografowie brali jeszcze niedawno za srebro prowadzącą rzekę La Plata. Pomiędzy źródłami tych rzek wznoszą się (szerokość 37° 20' a 40° 13') trzy igły (aiguilles) granitowe (skała ta ma mało miki a obficie amfibol), zwane James i Longs Pic. (1). Ich wysokość przechodzi szczyty

(1) Tanner. Geographisches Memoir 1823 str. 16. Long Pic nazywają Melish i James, albo po prostu Highest Peak, albo Big Horn.

mexykańskich Andów leżących pomiędzy  $18^{\circ}$  a  $19^{\circ}$ , czyli pomiędzy grupą gór Orizaba (2717 Toisow) i Popocateptl (2771 T.) aż do Santa Fé i Taos w Nowym Meksyku, nigdzie granicy wiecznych śniegów nie dotykając. James Pic (szerokość  $38^{\circ} 38'$ , a długość paryzka  $107^{\circ} 52'$ ) ma 1798 sążni wysokości; z tych 1335 sążni wymierzoną jest trygonometrycznie, reszta to jest 463 sążni, w niedostatku barometrycznych obserwacji, zasada się na niepewnym oszacowaniu wziętym z potoczności rzeki (2). Od  $40^{\circ}$  szerokości zwracają się góry Rocky Montaines na północny zachód i zniżają się w okolicy długo zamrożonej rzeki Mackenzie, z morzem zaś Biegunowym stykają się w  $68^{\circ}$  szerokości, a  $130^{\circ} 20'$  długości.

Długość ich od skał granitowych Diego Ramirez i Cap Horn aż do morza Biegunowego wynosi 2800 do 3000 mil morskich. Jestto najdłuższe chociaż nie najwyższe pasmo gór naszej ziemi. Wystąpiło podług wszelkiego prawdopodobieństwa ze szczeliny utworzonej na południku, od jednego do drugiego bieguna; tym sposobem zajmuje jedną połowę naszego planety. Długość jego tyle mil wynosi, co przestrzeń od słupów Herkulesa aż do przylądka Lodowatego Czukczów w północno-wschodniej Azji. Zajmuje wraz z środkowym pasmem północnej Ameryki, meksykańskie i

(2) Gdy prawie nigdy wymiar trygonometryczny przy zwierciadle morza nie da się skutecznie, wyrachowanie wzniosłych a niedostępnych gór jest zawsze w części trygonometryczne, w części barometryczne. Szacowania spadku rzek, ich szybkości i długości biegu tak są niepewne, że równinę u stóp Rocky mountains niedaleko James Pic uważano raz 8000 drugi raz 3,000 stóp wzniesioną. Long Expedition T. II 36, 362, 382 Ap. str. XXXVII. Dla podobnego niedostatku obserwacji barometrycznych wysokość Himalajskich gór była długi czas nieznaną; teraz przy rozkwitaniu umiejętności i cywilizacji w Indyach wschodnich, do tego stopnia posunęły się kunszta, iż porucznik Gerard wstąpił na Tarhigang w bliskości Sutledge, w północnej stronie od Shipke, i chociaż w wysokości 19,411 stóp angielskich trzy barometra stłukł, pozostały mu przeciw cztery również doskonałe. Critical Researches on philology and geography 1824 str. 144.

kanadyjskie Andy, których nie trzeba mieszać z nadmorskiemi Alpami Kalifornii i Nowego Albionu, połączonemi między sobą poprzecznemi grzbieciami pod  $46^{\circ}$  i  $48^{\circ}$  szerokości. Owe Alpy nadmorskie rozciągają go od Cap San Lucas aż do rossyjskiej Ameryki, gdzie góra Eliażowa, jeżeli wymiar Malespiny (2792 sążni) weźmiemy za dokładniejszy, aniżeli Laperousa (1980 sążni) przewyższa śniegiem pokryte góry Anahuac. W tym łańcuchu śnieżnych gór, to jest mexykańskich i kanadyjskich Andów, niemasz teraz żadnego palącego się wulkanu; jednakże w północnej stronie od  $20^{\circ}$  szerokości, podobnież jak w Ameryce południowej, chociaż nie dobywają się z głównego łańcucha podziemne ognie, wybuchają za to z równoodległych. Wulkan Kopolimy (podług wymiaru Kapitana Basil Hall w  $19^{\circ}36'$  szerokości?) ostatni jest w Kordelierach mexykańskich. Od pobrzeżów Mechoacan i Guadalaxara zdaje się, że pozostały tylko otwarte szczeliny dla wulkanów. W Alpach nadmorskich Californii widziano górę zwaną Sierra de las Virgines w dymach, a od New Norfolk, aż do półwyspu Ulaszki i do morza Kamczatki, tak pobrzeża jako i dno morza ciągle wstrząsają siły podziemne. Wyspę w r. 1784 przy Unalaszce wzniesioną, nazywają Rossyanie Gromów Synem. Pomiędzy Mexykańskim łańcuchem Andów, do którego góry Stony Mountains należą, a Alleghanis nie mającemi wierzchu wznoszącego się nad 1100 sążni, rozpościera się niezmierna równina od zatoki Antylskiej aż do Hudsons-baj. Na wschód od rzeki Mississippi panują nieprzebyte lasy, w zachodniej stronie przeciwnie trawiaste stepy, po których hasają trzody Buffalów (*Bos Americanus*) i wołów piźmowych (*Bos moschatus*). Obadwa te największe zwierzęta nowego kontynentu służą za pokarm pasterskie życie prowadzącym Indyanom, nazywanym Apaches—Llaneros i Apeuhes—Lipanos. Bizona amerykańskiego nazywanego przez Mexykanów Cybolo zabijają zwyczajnie li dla języka, będącego poszukiwanym

przysmakiem. Jestto zupełnie właściwy gatunek, a nie lekka odmiana bawołu dawnego świata; chociaż inne gatunki zwierząt, jako to łos (cervus alces), ren (C. tarandus), tudzież człowiek podbiegunowy o krótkim kadłubie, wspólne są wszystkim północnym kontynentom, co dowodzi ich dawniejszego połączenia. Meksykanie nazywają wołu europejskiego w dialekcie Azteków Oquichquaquave, to jest zwierze rogate, od wyrazu quaquaviti, róg. Niezmierniej wielkości rogi wołowe, odkryte, w starożytnych gmachach meksykańskich niedaleko Cuernawaca w południowo-wschodniej stronie od miasta stołecznego Meksyku, zdają mi się należyć do Bos moschatus. Tylko bisona kanadyjskiego można do uprawy roli przyuczyć, parzy się on z wołem europejskim. Niewiadomo wszakże czyli powstający bękart, może zapładniać się i rozmnażać. Ulubionym pokarmem Bisona jest Tripsacum dactyloides, (w północnej Karolinii nosi imię trawy Buffala) i nieopisana dotąd roślina, blisko zpowinowacona z Trifolium repens, którą Barton Trifolium bisonicum (buffalo clover) nazywa.

#### 6. Góry bazaltowe Harudez.

W pobliżności egipskich jezior sodowych, które się za czasów Strabona jeszcze w sześć nie rozdzieliły, wznosi się rząd pagórków; w północnej stronie sterczą ich skały od Libakku, a dalej ze wschodu na zachód przez fezzan łączą się według wszelkiego prawdopodobieństwa z górami Atlasowemi, oddzielając w północno-wschodniej Afryce (jak Atlas w północno-zachodniej) zamieszkałą przez ludzi nadmorską Libię Herodota, od bogatej w zwierzęta Berberyi albo Biledulgeridu. Cały pas kraju od 30° szerokości na granicy środkowego Egiptu jest morzem piaskowém, na którym wyspowato leżą rozrzucone Oazy bogate w źródła i rośliny. Starożytni znali tylko trzy Oazy, które Strabon do płam na skórze rysia prównywa. Liczba ich zwiększyła się wszakże przez odkrycia nowszych podróżujących (1).

(1) Caillaud: Voyage à l'oasis des Thebes. str. 54.

Trzecia Oaza starożytnych Ammońskiego Nomos, nazywana teraz Syouah, zostawała pod rządem kapłanów i służyła na spoczynek karawanom; tam była świątynia rogatego Ammona (2) wraz z peryodycznymi chłodnymi źródłami. Ruiny Ummibidy (Omm. Bajdach) należą bez wątpienia do Karawan - Seraju przy świątyni Ammona; a zatem są to szczątki najdawniejszych pomników z poczynającą rozjaśniać się cywilizacji rodzaju ludzkiego, dotąd zachowane.

Słowo Oasis pochodzi z języka egipskiego i jest jednoczesne z Auasis i Hyasis (Strabon księga XVII p. Alm. 1140. Herodot księga III wyd. Wessel. str. 207). Abulfeda nazywa Oazę al Wahat. W późniejszych czasach za Cezarów wysyłano zbrodniarzy do Aar. Wypędzano ich na wyspy piaskowego morza, podobnie jak teraz Hiszpanie i Anglicy wywożą złoczyńców na Malouiny lub do Nowej Holandyi. Łatwiej jest wymknąć się przez ocean, aniżeli przez pustynie otaczające Oazę. Ich urodzajność zmniejsza się przez ciągłe nawiewanie piasków.

Małe pasmo gór Harudez (3) (Harudje) Pliniusza Mons Ater, składa się z pagórków bazaltowych mocno poszarpanych. Jego zachodnie części nazywane górami Soudah rozpoznał w najnowszym czasie mój nieszczęśliwy przyjaciel Ritchie. Wydobyte się bazaltu z wapieni nowszej formacji (formations tertiares) i ich rzędy pagórków jakoby z żył dobyte, okazują wielkie podobieństwo do kształtów Wicentyńskich. Natura bowiem wywołuje jedneż fenomena w najodleglejszych częściach ziemi. W białym Harudez (Harudie al abiad) znalazł Hornemann niezmierne mnóstwo skamieniałych rybich

(2) Diodor str. Wessel 539. Ten geograf odróżnia świątynię w zamku od świątyni w lesie przy źródle. Porównaj—Caillaud: Voyage à Syouah str. 14 Ideler Fundgruben des Orients T. IV str. 399 411.

(3) Patrz mistrzowskie dzieło Rittera: Die africanische Erdkunde (1822 T. I. str. 885, 988, 993), i wyborną mapę Afryki w której Berghaus nierównie ziemi, sobie właściwym a genialnym sposobem wydał.



głów w najniższych formacjach wapienia. Ritchie i Lyon spostrzegli w górach Sondeh bazalt w wielu miejscach, podobnie jak w Monte Berico ściśle zmieszany z węglanem wapna, co pochodzi bez wątpienia, od przebiecia się bazaltu przez pokłady wapienne. Lyon na swój mappie narysował nawet w pobliżności Dolomit. Nowsi mineralogowie odkryli w Egipcie syenit i pierwotny dyoryt, lecz bazaltu nie dostrzegli. Może być, iż na zachodzie leżące góry dostarczyły materiału do starożytnych naczyń, tu i owdzie z prawdziwego bazaltu sporządzonych; miałyby także lapis obsidius z tamtąd pochodzić? Może wypada obsydyan i bazalt szukać nad morzem czerwonym. Wulkaniczny wybuch gór Harudez na kraju puszczy afrykańskiej, przypomina jeografowi migdałowce zawierające piroksen z mnóstwem pęchryzków, Fonolity i Porfir Dyoritu na północnej i zachodniej granicy step Wenezuelskich i Arkansas leżących jakoby nad dawnymi łańcuchami porzeżnemi (1).

7. *Gdy go nagle wschodni wiatr zwrotnikowy opuszcza.*

Jestto szczególniejszém, a żeglarzom dobrze znanym zjawiskiem w pobliżności nadbrzeż afrykańskich (pomiędzy wyspami Kanaryjskimi, przy Cap Vert leżącemi; mianowicie przy przedgórzu Bajador a wypływem Senegalu), iż zamiast pospolicie wiejącego wschodniego, dmą zachodnie wiatry. Przyczyną tego jest obszerna pustynia Sachara. Nad jej rozpaloną płaszczyną piaszczystą wznosi się prosto w górę rozcieńczone powietrze. Dla zapełnienia tego przestworu rozcieńczonego powietrza przypływa morskie, a tak na pobrzeżach zachodnich Afryki powstają zachodnie wiatry, które są przeciwne okrętom do Ameryki płynącym i dają im uczuwać skutki ciepła promieniują-

(1) Humboldt: Relation historique T. II str. 142. Long: Expedition to the Rocky Mountains T. II. str. 91, 405.

cego piasku, chociaż lądu nie widzą. Z tejsze samej przyczyny pochodzą zmiany wiatrów lądowych i morskich wiejących naprzemian we dnie i w nocy w oznaczonych godzinach przy wszystkich pobrzeżach. W około wysęp przy Cap Vert położonych okrywa się morze niezmierném mnóstwem pływającej morskoczyzny (*Fucus natans*). Inne ławice z morskoczyzn leżą w kierunku północno-zachodnim, prawie na południe dwóch wysęp Azorskich Cureoo i Flores, pomiędzy 23° a 35° szerokości. Starożytni już znali te łąkowate okolice. Wiatrami wschodniemi zapędzeni, mówi Aristoteles (2), żeglarze fenicyjscy po czterodniowej podróży przybyli w okolicę morza całkiem trzcina i morskoczyznami okrytą (*δρυμός και φυκος*). Wielu mniemało że owe zgromadzone morskoczyzny dowodzą istnienie zagubionej wyspy Atlantys. O tém wszystkiém zdaje się za czasów Kolumba zapomniano; bo jego towarzysze przelecieli się, widząc owe części morza roślinami pokryte, co Portugalczykowie Mar de Sargasso nazwali. Miejsca morskoczyznami okryte przy wyspach niedaleko Cap vert opisał Scylax (Gronov str. 126) jak następuje: morze po za Cerno dla płytkości bagnisk i morskoczyzn niezdatném jest do żeglugi. Morskoczyzny tworzą warstwę na pięćdziesiąt grubą, ku górze są kończaste i mocno kłują. Jeżeli Cerne (co także przyjmuje uczony Ideler) jest wyspą Arguin, wtedy to miejsce wskazuje na wyspy przylądka zielonego (Cap Vert).

8) *Lud pasterski, Tibbusowie i Tuaryksowie.*

Te dwa ludy zamieszkują puszcę pomiędzy Bornou Fezzan i niższym Egiptem, i dopiero przez podróże

(2) Aristot. de Mirabilibus auscultationibus du Val str. 1157. W tém ważném miejscu wyraźnie niemasz mowy o wyspach przy Cap Vert położonych, lecz o jakowym płytkim punkcie pomiędzy 34° a 36° szerokości. Podczas opadania morza, mówi Aristoteles, widać dokładnie odsłonięte morskoczyzny, które za wzdymaniem się morza woda pokrywa. Niewiadomo wszakże czyli te głębokie zaginęły przez wstrząśnienia wulkaniczne, lub czy należą do sterczących skał na północ od Madeiru przez Vobonne widzianych. Patrz także Edrisii Geogr. Nub. ed. Paris. 1610 str. 157.

Hornemana i Liona, bliżej zostały poznane. Pokolenia Tibbos albo Tibbous błędzą po wschodnich, Tuaryksów zaś po zachodnich częściach wielkiego morza piaskowego. Pierwszych nazywają ptakami dla nadzwyczajnej zwinności. Tuaryksowie dzielą się na dwa plemiona Aghades i Tagazi, które trudnią się handlem i przewodnictwem przy karawanach. Jednakowy z Berberami mając język, należą niezawodnie do pierwotnych mieszkańców Libii. Ważne fizyologiczne zjawisko na nich daje się spostrzegać: ich pojedyncze pokolenia żyjąc w różnych klimatach, mają stosownie do tego białą, brunatną i prawie czarną kolor skóry, lecz nie są im właściwe ani wlniaste włosy, ani rysy twarzy murzyńskie.

9) *Okrętem puszczy.*

W wschodnich poezjach nazywają wielbłąda okrętem lądowym, albo okrętem puszczy. Chardin Voyage T. II str. 192.

10) *Pomiędzy Altajem a Zung-ling.*

Wielka grupa gór, powszechnie płasko-wzgórzem azjatyckim nazywana, zamykająca w sobie małą Bucharyę, Turkistan, Songaryę, Tybet, Tangut i kraje Mongołów, szczepów Chalechas i Olotów, leży pomiędzy 30° a 50° szerokości. Błędnie utrzymują niektórzy, jakoby ta część środkowej Azji co do wielkości i prawie co do kształtu podobna była do Nowej Holandyi, z jedny składała się połączonej masy gór zajmującej około 160,000 mil kwadratowych, podobnej do płaszczyn Quito i Meksyku, pomiędzy 7 a 9 tysiącami stóp nad poziomem morza rozpostartej. W moich poszukiwaniach o górach północnych Indyj już nadmieniałem, iż niepodzielnego płaskowzgórza w środkowej Azji nie masz. Wprawdzie niezmierne przestrzenie kraju rozpościerające się pomiędzy Himalajskimi a Altajskimi górami wyżej leżą, jeżeli je będziemy brali za płaskowzgórza a nie za boki gór, od daleko znanego płaskowzgórza w prowincyi de los Pastos na grzbiecie Andów. Do-

wody czerpane w jeografii roślin, bujne plantacye bawełny i winnice, którym stosowny stopień ciepła potrzebny, w północnej stronie od gór Zung-ling i Kuen-ling jako i w Haeni pomiędzy 36° a 42° szerokości, przekonywają nas dostatecznie iż znaczne płaszczyny te łańcuchy gór przedzielają. O położeniu owych pasm rzucił w najnowszym czasie wiele światła Juliusz Klaproth przez swoje mozolne a ścisłe poszukiwania. Od zniknięcia z map wątpliwych i miejscowych nazwisk gór Mustag i Mussant (właściwie Mussur, co znaczy-góry lodowe) położenie pasm gór okazało się takim jak je wystawiają Chińscy, Mandczu i Mongolscy pisarze, zajmujący się ze szczególnym zamiłowaniem statystyką i opisem krajów. W niezmiernie wielkiej grupie gór środkowej Azji łączą się wprawdzie środkowe łańcuchy nakształt krat u okien, często skręcają się nagle prawie pod prostym kątem, mają podobieństwo do zachodnich części europejskich Alpów. Aczkolwiek te grupy gór tak się rozgałęziają, cztery wielkie pasma można odróżnić, mające kierunek ze wschodu na zachód i z *ONO* ku *WSW*, których położenie pokrótce skreśliły.

1) Góry Himalaja, w zachodniej stronie nazwane Hindu-Kusch, zniżają się ku Herat i Chorasán, a potem na południe od morza Kaspijskiego wznoszą się znowu ku Demavend i Adzarbidszan.

2) Góry Zung-ling, na wielu mappach noszą imię Mustag i Mussart (szerokości 36°), w zachodniej stronie nazywają ich Kuen-ling; leżą na północ Tybetu i Kóten, na południe zaś od Kóten (Chotian), od jeziora Lop i Turfanu.

3) Góry Niebieskie albo Thran-schan (szerokości 43°) pomiędzy Turfanem a środkowym systematem rzek jeziora stepowego Lop i krainą Songorów, albo jeziorem stepowym Saisan. W północno-wschodniej stronie góry Niebieskie (Alak, Mussart i Bogdo na mappach noszące imię) łączą się z górami Nomchun; w południowo-wschodniej zaś stronie z górami Taugat. Pomiedzy

dwiema dopiero wspomnianemi gałęziami Nomchun i Taugut leży kotlina czyli dółzewszađ górami otoczony — Chamit albo Hami, mająca bardzo ciepły klimat. Do łańcucha gór Niebieskich należy góra lodowa Bogdo Oola, czyli góra Święta, od której Pallas cały ten łańcuch nazwał Bogdo.

4) Wielki i mały Altai (szerokość  $47^{\circ}$  a  $52^{\circ}$ ) połączoney z górami Tagnu i Niebieskimi, a ku wschodowi z wysokim grzbietem In schau, oddzielającym pustynią (Schamo, Gobi a nie Cobi) od doliny rzeki Amur.

Które z tych pasm jest najwyższém — niewiadomo; najwynioślejszych bowiem szczytów Himalajskich dotąd może nie wymierzono, stanowiących część Imausa o którego rozległości starożytni dziwnie systematyzowali. Posłowie angielscy podróżując w lektykach z północnych Indyów do Tybetu, pomimo łatwego nabycia barometrów w Kalkucie, nie pomierzyli wszakże wzniesienia płaskowzgórza Tybetańskiego nad poziom morza. Tém pożądanższemi zato były wyborne trygonometryczne jako i barometryczne pomiary, innych angielskich podróźnych w upłynionych dwudziestu latach; ich imiona są następujące: Colebrook, Webb, Hodgson, Herbert, Gerard i Blake. Bezwątpienia pojedyncze wierzchołki pasma Himalajskiego wyższe są od Chimborazo najmniej o 4000 stóp paryzkich. Rozumiano, że Pic Chamalari niedaleko którego Turner przechodził, udając się z Tissu Lumbu, tudzież Pic Dhawalagiri leżący na południe od Mustung nad źródłami rzeki Gunduck, mają jednakową wysokość 4390 sążni (1). Pomiary pierwszego Piku robione były za pomocą kątów w znacznej bardzo odległości branych. Wysokość góry Dhawalagiri Webba potwierdził nawet Blake; lecz w niżej umieszczonej tablicy wysokich pasm gór wziąłem pomiar Herberta i Hodgsona, Piku Jawahir, jako z nierównie większą ścisłością dokonany.

(1) Journal of the Royal Institut 1821 Vol. II. str. 242.

Łańcuchy gór	Najwyższe szczyty	Srednia wysokość grzbietów
Himalaya (szerokość 30°18' do 31°53'. Długość paryzka 75°23' do 77°38')	4,026 sążni	2,450 sążni
Andy (pomiędzy 5° północnej a 2° południowej szerokości) (1)	3,350 „	1,850 „
Alpy w Szwajcaryi (2) . . . 1	2,460 „	1,150 „
Pirenee . . . . .	1,787 „	1,150 „

Przejścia prowadzące z Hindostanu przez góry Himalajskie do Tartaryi Chińskiej, albo raczej do zachodniego Tybetu, leżą na wysokości 2400 do 2700 sążni. Włańcuchu Andów znalazłem przejście Assuay pomiędzy Quito a Cuenca, przy Ladera de Cadlud 2428 sążni nad poziom morza wzniesione. Znaczną część równin po górach rozpostartych w środkowej Azji, okrywałyby cały rok wieczne śniegi i lody, gdyby nie działania promieniującego ciepłika i wschodniemu kontynentalnemu klimatowi właściwe mocne ciepło słoneczne, nie wyższyło dziwnie granicy śniegów na północnych pochyłościach gór Himalajskich, może do 2500 sążni nad poziom morza, a pastwiska i uprawne role mają się aż do 2334 sążni wznosić. Tymczasem na południowej pochyłości granica wiecznych śniegów zniża się do 1900 sążni. Gdyby tak dziwny podział ciepła nie istniał w wyższych warstwach powietrza, nie mogłyby miliony ludzi zamieszkiwać wzniesionej równiny południowego Tybetu. (3)

11) *Brunatne plemie pasterzy Hiongnu.*

Naród Hiongnu uważa Deguignes, a za nim wielu innych za szczep Hunnów, rozpościerający się po nie-

(1) Humboldt, Relation historique T. III. str. 102.

(2) Ludwig von Welden: Ueber den Monte Rosa 1824 str. 20 (Monte Rosa 2370 T. Mont Cerdin 2309 T. Finster Aarhorn 2206 T.)

(3) Humboldt i Premier Mémoire sur les Montagnes de l'Inde w Annales de Chimie T. III. str. 297. Second Mémoire T. XIV. str. 51. Klaproth: Asia polyglotta str. 147, 205, 210. Quarterly Review N. 41 (1820) str. 415, 430.

zmiernych krajach tatarskich, których granice na wschodzie były Uo-hang-ho, dzisiejsza kraina Mant.szu, na południu mur chiński, na zachód zaś U-suin, w północy kraina Eleutów. Północni Hunnowie, dziki lud pastercki, nie znał rolnictwa, miał cerę czarnawo-brunatną (zapewne od promieni słonecznych?). Bardziej południowe zamieszkujące strony Hiongnu, albo Hajatelak, często wspomniani przez bizantyńskich pisarzy pod imieniem Euthalitów albo Neftalitów, wschodnie pobraża morza Kaspijskiego zamieszkający, mieli białą skórę. Był to lud trudniący się uprawą roli i żyjący w miastach. Nazywają ich często białymi Hunnami, a Herbelot bierze ich za Indo-Scytów. O wodzu Punu, w języku Hunnów nazywanym Tanju, o wielkiej suszy i głodzie, które w r. 46 po narodzeniu Chrystusa przymusiły część tego narodu do przeniesienia się w północne okolice, patrz Deguigne *Historią Hunnów*, T. II. str. 12, 123, 223, 447. Wszystkie wiadomości z tego dzieła powzięte o narodzie Hiongnu w najnowszym czasie, P. Juliusz Klaproth również uczenie jak ściśle roztrząsał. Z poszukiwań jego wypada, że naród Hiongnu należy do obszernie rozpostartych pokoleń tureckich zajmujących góry Altajskie i Tang-nu. W trzecim wieku przed Erą Chrześcijańską imię Hiongnu służyło narodowi Ti albo Turkom, osiadłemu w północnej i północno-zachodniej stronie od Chin. Południowi Hiongnu poddawszy się Chinom zniszczyli wspólnie państwo północnych Hiongnu, którzy parci ustępowali na zachód, i pierwszy dali powód do wędrówek narodów środkowej Azji (1). Hunnów mieszano długo z narodem Hiongnu (podobnie jak Uigurów z Ugami albo Węgrami); należeli podług Klaprotha do pokoleń Finnickich mających siedziby pod górami Uralskimi, które to plemię często za Germańskie, Tureckie i Samoedzkie brano. (2

(1) Klaproth: *Asia poliglotta* str. 211. Tenże: *Tableau historique de l'Asie* str. 109,

(2) *Asia poliglotta* str. 183, 189.

12. *Ani ociosany kamień.*

Nad brzegami Orynoka przy Kaskara, gdzie leśne krainy graniczą z równiną, znajdowaliśmy w skale wykute obrazy zwierząt i słońca. W samych wsakże Llanos ani śladu nie odkryto tych grubych pomników dawniejszych mieszkańców. Załować wypada, że nie mamy bliższej wiadomości o pomniku posłanym przez Hr. Maurepas do Francyi, który podług powieści Kalma (3), Pan Verandier na obszarach trawiastych Kanady, podczas expedycyi do pobrzeż morza południowego odkrył w stronach 900 mil francuzkich odległych na zachód od Montreal. Ten podróżnik znajdował kupy kamieni ręką ludzką ułożone, a na jednej z nich rysy mające mieć podobieństwo do napisu tatarskiego. (Archæologia or miscelaneous tracts published by the society of Antiquarians of London. Vol VIII str. 304). Jak mógł tak ważny pomnik bez dalszych poszukiwań pozostać? Byłyż to istotnie rysy liter albo raczej obraz historyczny, jak ów mniemany przez Court de Gebelin wsfawiony napis fenicyjski nad brzegami Taunton River? Za bardzo prawdopodobną rzecz uważam, że ucywilizowane ludy przeżywały kiedyś w tym stepie. Piramidalne kurhany i niezmierniej długości wały pomiędzy Rocky-Mountains a Alleghany takowe domniemania potwierdzają (4). Verandziera wysłał kawaler de Beauharnais, generalny gubernator Kanady około roku 1746. Wielu Jezuitów w Quebec zapewniało panu Kahn, że mieli w ręku ten mniemany napis. Wyrity był na małej tabliczce w ociosany słup w puszczonej. Bezskutecznie zobowiązywałem wielu przyjaciół we Francyi do rozpoznania tego pomnika, czyli istotnie znajduje się w zbiorze Hr. Maurepas. Verandzier utrzymuje nadto, jako i wielu przed nim podróżujących, iż na obszarach trawiastych zachodniej

(3) Kalman Reisen T. III str. 416.

(4) Dlatego pozbiierałem w najnowszym czasie wszelkie ślady mające jakkolwiek bądź styczność z dawniejszą północno-amerykańską a może i Aztecką cywilizacją. Patrz: Relation historique T. II str. 155.



Kanady przez całe dnie podróżując, widać ślady pług: Zupełna jednakże nieznajomość pierwotnych ludów Ameryki z narzędziami ornemi, brak pociągowego bydła, upoważnia mnie do wniosku, iż nieznanne ruchy wody nadały powierzchni w tych okolicach tak dziwne podobieństwo do ornój roli.

13) *Podobna do odnogi morskiej.*

Ogromny step rozciągając się ze wschodu na zachód, od ujścia Orynoka aż do śnieżnych gór Merydy, skręca się pod 8° szerokości ku południowi, zajmując przestrzeń zawartą pomiędzy pochyłościami wysokich gór Nowej Grenady a rzeką Orynoko, płynącą tutaj ku północy. Część ta Llanos, którą zwilżają rzeki Meta, Vichada, Zama i Guaviare, łączy dolinę rzeki Amazoni z doliną niższego Orynoka. Słowo Paramo często przezemnie używane, znaczy w hiszpańskich koloniach kraj górzysty 1800 do 2200 sążni nad poziom morza wzniesiony, gdzie nadzwyczajnie ostry klimat panuje. W wyższych Paramos codzien padają kilka godzin grady i śniegi. Tam drzewa są karłowate nakszaft rozpiętego parasola, rozrastają się i zawsze świeża zieloność zdoła ich koszlawe gałęzie. Powszechnie, bardzo są podobne do mirtów i laurów. Escalonia tubar, Escalonia myrtiloides, Freziery i nasz Myrthus mierophilla (1) mogą służyć za reprezentantów fizjonomii tych roślin. Na południe od Santa Fe de Bogota leży głośny Paramo de la Summa Paz; jestto oddzielna grupa gór, w której wedle powieści Indyanów niezmierne ukrywają się skarby. Z tego Paramo wytryska strumień, toczący swe spienione nurty przez rozpadlinę skalistą Ycononzo pod zdumiewającym mostem naturalnym.

14) *Pomijając grzbiety gór.*

Niezmierną przestrzeń pomiędzy wschodnimi po-brzeżami południowej Ameryki a pochyłościami wschod-

(1) Humboldt et Bonplandi Plantae aequinoxiales Fasc II.

niemi Andów zawartą zwięzają dwie massy gór, oddzielające w części trzy następujące doliny albo równiny—niższego Orynoka, rzeki Amazońskiej i Rio de la Plata. Bardziej ku północy położone góry, noszące nazwę grupy Parime, leżą naprzeciwko Andów Cundinamarki, rozciągających się daleko ku wschodowi, wznoszą pomiędzy 68° a 70° długości do znakomitej wysokości. Wązki grzbiet Pacarayma łączy je z pagórkami granitowym francuskiej Gujany. Na mapie Kolumba, którą podług moich obserwacji astronomicznych skreśliłem, połączenie to jest wyraźnie oznaczonym. Karaimowie przybywający z Missyi Carona przechodzą przez grzbiety Pacaraima i Quimiropaca wracając do równin Rio Branco lub granic brazylijskich. Grupa brazylijska jest drugą massą gór oddzielającą doliny rzek Amazońskiej i la Plata; która to jama w prowincyi Chiquitos (na zachód pagórków Parecis) zbliża się do podgórze (Vorgebirge) Santa Cruz de la Sierra. Gdy się ani grupa Parime, dająca początek wielkim kataraktom Orynoka, ani góry Brazylijskie nie stykają bezpośrednio z łańcuchem Andów, wynika, że równiny Patagońskie i Wenezuelskie łączą się bezpośrednio. Zobacz mój obraz geognostyczny Ameryki południowej, w dziele: Relation historique T. III str. 188 — 244.

### 15. *Zdziczone psy.*

Na stepach trawiastych (Pampas) w Buenos Ayres zdziczały psy europejskie. Żyją one towarzysko w jamach, w których swe szczenięta kryją, a gdy się zbyt rozmnożą, wynoszą się pojedyncze rodziny, tworząc nowe osady. Zdziczały pies europejski szczeka również głośno jak pierwotny amerykański. Garcillaso opowiada, że Peruanie przed przybyciem Hiszpanów mieli perroz gozques, krajowego zaś psa nazywa Allco. Odróżniając pierwotnego psa w języku Qquichna od europejskiego, nazywają go Run-Allco, to jest pies indyjski (pies krajowy). Run-Allco zdaje się być lekką odmianą naszego psa owczarskiego, lecz jest mniejszym, długą ma sierć,

białe i brunatne plamy, a uszy stojące spiczasto. Zbyt nie szczeka, a zato mniej kąsa. Gdy Inka Pachacu-tec w swych wojnach religijnych zwyciężył Indyanów Xauxa i Huanca i przemocą do czei słońca zniewolił, dostrzegł że ten naród cześć boską psom wymierza. Ich księża trąbili na wyskieletowanych psich głowach, a pełni wiary spożywali owe psy bóstwo (1). Podczas zaćmienia słońca grały psy ważną rolę. Bito ich dopóki nie minęło zaćmienie. Jedyny niemy, ale zupełnie niemy pies pochodzi z Meksyku i nazywa się tam Techichi; jest to mała odmiana zwyczajnego psa, który ma imię Chichi. Być może, że wyraz Techichi pochodzi od pierwiastkowego słowa języka Azteków Techichialitzli—czekać, czatować na nieprzyjaciela. Ten mierny pies służył chińskim zwyczajem wół na pokarm; nawet Hiszpanom stał się tak niezbędnym przed zaprowadzeniem bydła rogatego, że zwolna cała rasa wyginęła (2). Buffon (3) bierze psa Thechichi za zwierze Koupara. Ostatnie wszakże jest to samo co Ursus Cancrivorus, albo muszlami karmiący się Agnara - Gnauza na pobrzeżach Patagońskich (4). Przeciwnie Linneusz pomieszał niemego psa ze zwierzem Itzeiurtepotzoli, mającym być niedokładnie jeszcze opisanym gatunkiem psa z ogonem krótkim, głową małą, a nader wielkim garbem na grzbiecie. Podróżując po Ameryce, uderzała mnie mianowicie w Quito i Peru wielka liczba czarnych bezwłosych psów, które Buffon nazywa Chiens tures (*Canis aegyptius* Lin); nawet pomiędzy Indyanami odmiana ta jest pospolita, lecz w ogóle pogardzają i źle się z nimi obchodzą. Czyli i te psy znajdowały się przed odkryciem nowej części świata przez Europejczyków, lub czy z innymi produktami wprowadzili ich Portugalczykowie z Afryki, czy też powstała ta rasa pod wpływem miejscowego kli-

(1) Commentarios reales T. I. str. 184.

(2) Clavigero: Storia de Messico T. I. str. 72.

(3) Tom XV. str. 155.

(4) Azara: Sur les quadrupedes du Paraguay T. I. str. 315.

matu, niewiadomo; ostatnie mniemanie niema za sobą żadnego prawdopodobieństwa. Wszystkie bowiem psy europejskie bardzo się dobrze rozmnażają w południowej Ameryce, a jeżeli tam niemasz również pięknych psów jak w Europie, przyczyna zawisła od złego pielęgnowania i od wprowadzonych rass, gdyż najpiękniejszych zupełnie niemasz, jako to—chartów. W koloniach hiszpańskich powszechnie utrzymują, że pies bezwłosy pochodzi z Chin lub z Kantonu i Malakki. Nazywają go bowiem *Perro chinesco* albo *Chino*. Rassa ta bardzo jest powszechną podług Klaprotha w państwie chińskim, sięga nawet najdawniejszych czasów jego kultury. W Meksyku był krajowym wilk zupełnie bez włosu, do psa podobny, niezmiernie wielki, nazywany *Xaloitzcuin-tli*. O psach amerykańskich patrz Bartona i *Fragments of the natural history of Pensilvania* T. I. str. 34. Autor tego dzieła uważa uderzające podobieństwo w słowie znaczącym pies tak na nowym jako i na dawnym kontynencie. Łacińskie słowo *Canis* ma bezwątpienia pewne podobieństwo, z niekapne u Kanaadyjskiego narodu zwanego *Wuanaumeeh*, z Kannang azyatyckich *Samojedów* i z chińskim *Kiuan*. Zdziaczałe psy europejskie już na początku hiszpańskiego zaboru znajdowały się na wyspie *St. Domingo* (1) i na *Kubie*; na błoniach trawiastych pomiędzy rzekami *Meta*, *Arama* i *Apare* aż do 16 wieku jadano psy nieme (*perros mudos*). Krajowcy nazywają ich *Majos* albo *Auries*, jakto zaświadcza *Alonso de Herera* który w r. 1535 przedsięwziął wyprawę naukową nad *Orynokiem*. Uczony podróżnik *P. Giesecke* znalazł tę samą odmianę niemego psa w *Grenlandyi*. Psy *Eskimosów* żyją całkiem pod otwartym niebem, podczas nocy wykopują sobie nory w śniegu i wyją jak wilki. W Meksyku trzebiono psy, gdyż tym sposobem stawały się tłustszemi i smaczniejszemi. Na granicach prowincyi *Durango* i nad jeziorem niewolników (*Slavensee*) mieszkańcy mie-

(1) *Gorcillasso* T. I. str. 326.

wają wielkie psy do przenoszenia swych namiotów ze skór, gdy zmieniają swe mieszkania podczas zmiany pór roku. Te kilka rysów wziętem z życia wschodnich azyatyckich ludów. (1)

16. *Łagodniejsza susza i ciepło nowego kontynentu.*

W jeden obraz starałem się zwięźle zebrać rozmaite przyczyny sprawujące wilgoć i mniejszy stopień ciepła w Ameryce. Mowa tu tylko być może, jak się rozumi, o ogólnym stanie higroskopicznym powietrza i temperatury całego nowego kontynentu. Niektóre w prawdzie okolice, jako to wyspa Margaritha, przebrzeża Cumana i Coro również są gorące i suche, jak którakolwiek bądź część Afryki. Najwyższy stopień ciepła, biorąc długi szereg lat, jest prawie jednakowym we wszystkich strefach, czy to nad Newą, czy nad Senegalem lub Gangesem i Orynokiem i 30 do 32° Reaumura nie przechodzi. Spostrzeżenia te powinny być robione w cieniu, w odległych miejscach od ciał promienujących ciepłik, lub powietrza przepelnionego rozpalonym pyłem (ziarkami drobnemi piasku), ani téż termometrem wysokowym pochłaniającym w siebie światło. Średnia temperatura krajów podrównikowych, albo właściwego klimatu palmowego jest 21° do 22° Reaumura; z tego czynią wyjątek spostrzeżenia zebrane nad Senegalem, w Pondicheri i Surynamie (2).

Wielki chłód albo raczej zimno trwające długi czas pod zwrotnikami na peruańskich pobrzeżach, zniża termometr do 12° Reaumura: nie pochodzi jak to niżej zamierzam okazać, od bliskich gór wiecznym lodem okrytych, ale raczej od mgły (garua) otaczającej słońce, i pędu morskiego sprowadzającego gwałtownie wodę od ciążyny Magiellańskiej ku północy do Cap Parinna. Na pobrzeżach Lima, temperatura Spokojnego oceanu

(1) Humboldt. Essai politique sur la nouvelle Espagne T. I. str. 448. Relation historique T. II. str. 625.

(2) Humboldt. Memoires sur les lignes isothermes 1817.

wynosi 12°, 5, a gdzie nie masz pędu pod tą szerokością 21°. Szczególniejszą jest rzeczą, że na tak ważne factum nie zwrócono dotąd uwagi.

17) *Z Ameryki później ustąpiło chaotyczne morze, aniżeli z innych części świata.*

Bystry badacz przyrodzenia p. Benjamin Smith Barton bardzo słusznie twierdzi w swoim dziele: *Fragments of the Natural History of Pensilvania* T. I str. 4 I Cannot but deem i ta puerile supposition unsupported by the evidence of nature, that a great part of America has probably later emerged from the bosom of the Ocean than the others Continents. Niech mi będzie wolno z jednej z moich poprzednich rozpraw o pierwotnych ludach Ameryki następujący uczynić wypis (1).

Często pisarze których słusznie powszechny szacunek otacza, powtarzali, jakoby Ameryka w całym znaczeniu tego wyrazu, nowym była kontynentem. Owa bujność wegetacyi, ów zbytek wody w rzekach, owa burzliwość potężnych wulkanów, mówi: że ta nie zupełnie dotąd wyschła, ciągle wstrząsana ziemia, bliższą jest chaotycznego pierwotnego stanu, aniżeli dawny kontynent. Takie myśli wydawały mi się długo jeszcze przed moimi podróżami, również nie filozoficznemi, jak przeciwnemi fizycznym prawom. Obrazy młodości i niespokojności, powiększenia suszy i ociążałości starzejącej się ziemi, rodzą się w głowach ubiegających się za igraszkowemi przeciwieństwami pomiędzy dwoma półkulami, a nie starających się jednym rzutem oka cały skład budowy ziemskiej ogarnąć. Czyż się godzi południowe Włochy uważać za młodsze od północnych, że w pierwszych wulkaniczne, prawie ciągłe wybuchy i trzęsienia ziemi trwają? Jakże drobnemi są fenomena dzisiejszych wulkanów i trzęsień ziemi w porównaniu z temi, które geognosta przypuszcza podczas chaotycznego stanu ziemi, przy wzniesieniu i rozpadaniu

(1) *Berliner Monatschrift* T. XV str. 100.

się całych stwardniałych pasm gór? Różne przyczyny w odległych klimatach winne wzniecać odmienne działania sił natury. Na nowym kontynencie może dla tego dłużej przetrwały ognie wulkanów (naliczyłem ich teraz jeszcze 54), że wysokie grzbiety z których wybuchają bliższe są morza, i że ta bliskość i wieczne pokrywające je śniegi wpływają nie dokładnie dotąd wyjaśnionemi sposobami, na potęgę podziemnych ogniów. Dotąd trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne poczynają się tylko peryodycznie. Panuje teraz niespokój fizyczny, i cisza polityczna na nowym kontynencie, a na dawnym przeciwnie nieprzyjaźnie ludów nie pozwalają uspokojonej natury używać. Może nadejdą czasy, w których zniknie ta dziwna sprzeczność sił fizycznych i moralnych, i jedna część świata przejmie rolę drugiej (2).

Wulkany spoczywają wieki, zanim się na nowo zbudzą i rozsrożą; a wyobrażenia, jakoby na dawnym kontynencie taki pokój w naturze miał panować, odnieść należy pomiędzy igraszki wyobraźni. Jedna część naszego planety ani starszą, ani młodszą być nie może od drugiej. Wyspy wulkanicznemi siłami na wierzch pchnięte, albo zwolna lepione przez koralowe zwierzęta, jak Azory i mnóstwo wysp morza Południowego, są bezwątpienia młodsze od granitu w środkowym łańcuchu europejskim. Małe przestrzenie kraju jak np. Czechy, albo liczne doliny na księżycu, wkoło otoczone górami, miejscowe zalewy mogły długo tworzyć jeziora, z których gdy woda odpłynęła, możnaby ziemię okrywającą się zwolna roślinami uważać obrazowo jako nowszego powstania. Lecz pokrycia wody (jakie geognosta przyjmuje przy tworzeniu skał warstwowych) według praw hydrostatycznych, jednocześnie musiały po wszystkich częściach świata, a we wszystkich klimatach nastąpić. Gdyby morze zalało niezmierne równiny Orynoką albo rzeki Amazońskiej, zniszczyłoby zarazem nasze krainy nad - bałtyckie. Nadto jednakowość tak

(2) Pisałem w jesieni w r. 1805.

w następstwie jako i w rodzaju warstw w Caraccas, Turingii i Niższym Egipcie dowodzi, że te ogromne osady odbywały się jednocześnie na całej kuli ziemskiej, jakiem to rozwinął w moim geognostycznym obrazie południowej Ameryki.

18) *Południowa półkula jest chłodniejszą i wilgotniejszą od północnej.*

Chili, Buenos - Ayres, południowa część Brazylii i Peru mają prawdziwy klimat wyspowy, — lato chłodne a zimę łagodną; co pochodzi od wąskości kontynentu, który ku południowi mniej jest szerokim. Te bardziej sprzyjające okoliczności na południowej półkuli mają miejsce aż do 40° południowej szerokości; lecz dalej ku lodowatemu biegunowi południowemu, prawdziwie pustym krajem jest Ameryka południowa. Ciąsnina Magielańska leży pomiędzy 53° a 54° szerokości, a chociaż słońce w miesiącach grudniu i styczniu przez 18 godzin świeci, termometr przecież nie więcej jak 4° Reaumura pokazuje. Prawie codziennie pada śnieg na równinie, a najwyższy stopień ciepła przez Churruca w r. 1788 w grudniu obserwowany, nie przenoślił + 9°. Cabo Pilar, skałę do wieży podobną, 218 sążni wysoką, można uważać za koniec południowy łańcucha Andów, a który leży prawie w tejże szerokości jeograficznej co Berlin. (Relation del Viage al Estrecho de Magellanes (Appendico 1793) str. 76).

19) *Nierozłączone morze piaskowe.*

Towarzystwo żyjące wrzosi (Erica) od ujścia Skaldy aż do Elby, od krańców Jutlandyi aż do Haruc, można uważać jako jeden pas roślinny; tymże sposobem łączy się morze piaskowe od Cabo Blanco aż do Indus, zajmujące przestrzeni około 1400 mil jeograficznych. Herodota krainy piaszczyste, od Arabów puszcza Sahara nazwane, mają podobieństwo do wyschlętego ramienia morskiego, ciągną się od 18° do 28° szerokości północnej. Najszerzą jest puszcza z północy na południe, pomiędzy Marokko do średniego Nigru; najwęższą zaś



licznymi wodami przerzynana, pomiędzy Tripolis a Dar-Baghermi. Dolina Nilu jest wschodnią granicą Libijskiej puszczy. Z drugiej strony międzymorza Suez, za skałami góry Sinai złożonej z Syenitu porfirowego i Dyoritu (1), rozpoczyna się pusta wzniesiona równina Nedsied, tworząca wewnątrz półwyspu Arabskiego, którą od zachodu na wschód urodzajne i szczęśliwe pomorskie krainy Hedjaas i Hadramant ograniczają. Eufrat od wschodu zamyka puszcze arabską i syryjską.

Niezmierne morza piaskowe przerzynają całą Persyą (2), począwszy od Kaspijskiego aż do Indyjskiego morza. Do nich liczą się obfitujące w sól kuchenną i potaż puszcze Kerman, Seistan, Beludszystan i Mekran. Ostatnią dzieli rzeka Indus od puszczy nazwanej Multan. Przestrzeń wszystkich tych mórz piaskowych począwszy od pustyń afrykańskich aż ku Jesulmir i Joadpur w Indyach, zdaje mi się po odtrąceniu urodzajnych części kraju czyli Oazów zajmować około 112,000 geograficznych mil kwadratowych.

#### 20) Zachodnia część Atlasu.

Położenie Atlasu było dla starożytnych zagadką, a w nowszych czasach usiłowano ją często rozwiązać. W tych poszukiwaniach mieszają powszechnie uczeni najdawniejsze tradycje fenicyjskie z baśniami późniejszymi o Atlasie Greków i Rzymian. Pan Ideler, mąż głęboki, znawca języków, tudzież gruntownie znający astronomię i matematykę, pierwszy jasno wykazał, jak

(1) Mnichy na tej górze pokazują podróżującym tablice przykazań Mojżeszowych. P. Rosier towarzyszący wyprawie francuskiej do Egiptu posiada z nich ułamki; jestto syenit w którym Amfibol przeważa. Syenit zdaje się spoczywać na porfirze rogowcowym. Głębiej w dolinie występuje filad przechodowy tromat i bardzo stary konglomerat składający się z ułamków granitu i porfiru. Starożytni sycylerze bardzo cenili ów konglomerat. Szanowny podróżny p. Burkhardt rozpoznawał porfiry trapowe góry Sinai, lecz jego opis geognostyczny zawity i mniej ścisły.

(2) W perskiem odróżniają przez wyraz descht równinę: Llano, w ogólności od kraju górzystego; przez Mergzan oznaczają błonie okryte trawą, bejaban zaś równinę pustą, bezroślinną.

dalece te wyobrażenia zostały pomieszczone, Niechaj mi wolno będzie dać wypis z tego co mi w tym ważnym przedmiocie ów pełen bystrości umysłu uczony udzielił.

»Fenicyanie w najdawniejszych czasach żeglując po morzach, puszczali się po za cieśninę Gibraltarską, nad brzegami hiszpańskimi pobudowali Gades i Tartessus, a Lixus i wiele innych miast na pobrzeżach Maurytańskich dotykających oceanu Atlantyckiego. Około tych pobrzeż pływając otrzymali cynę z wysep Kassiteryjskich, a bursztyn z pobrzeż Pruskich; na południe zaś zapuszczali się za Maderę do wysp przylądka Zielonego. Nadto zwiedzili Archipelag wysp Kanaryjskich i tu zwrócił ich uwagę szczególnież Pik Teneryffa, którego znakomita wysokość tém większą się wydaje, iż bezpośrednio wznosi się z morza. Kolonie ich udające się do Grecyi, a mianowicie do Beocyi pod Kadmusem przeniosły razem wieści o górze aż po nad obłoki sięgającej, o szczęśliwych wyspach we wszystkie owoce a mianowicie w złote pomarańcze obfitujących. Ta tradycya przenosiła się w pieśniach bardów od pokolenia do pokolenia, aż do Homera. Mówi on o Atlasie który zna głębie morskie i dzwiga wielkie słupy oddzielające niebo od ziemi (Odyssea X. I. 52), tudzież o polach Elizejskich które wystawia jako nader roskoszną krainę na zachodzie (Od. X. II. 561). Podobnymże sposobem wyraża się Hezyod o Atlasie i czyni go sąsiadem Nimf Hesperyjskich (Theogonia XV 517). Pola Elizejskie kładzie na zachodnich granicach ziemi, nazywa je wyspami szczęśliwemi (opera et dies w 167). Późniejsi poeci bardziej ozdobili te mity o Atlasie, Hesperydach, złotych jabłkach i wyspach szczęśliwych przeznaczonych ludziom dobrym po śmierci na mieszkanie: nadtoz niemi połączyli wyprawę Melicerta boga handlu w Tyrze, który u Greków nosił imię Herkulesa. Bardzo późno poczęli Grecy z Fenijczykami i Kartagińczykami spierać się o pierwszeństwo w żegludze. Zwiedzali wprawdzie pobrzeża oceanu Atlantyckiego, lecz się nie zapu-

szczali w dalekie podróże, i wątpliwą jest dotąd rzeczą czy znali wyspy Kanaryjskie z ich Pikiem. Pomimo tego wszystkiego rozumieli iż ów Atlas wystawiany przez poetów i w powieściach gminnych jako bardzo wysoka góra na zachodnich krańcach ziemi leżąca, na pobrzeżach zachodniej Afryki znajdować się powinien. Tam go sadowili ich późniejsi jeografowie Strabo, Ptolomeusz i inni. A ponieważ w północno-zachodniej Afryce niemasz góry znaczniejszej wysokości, zostawali badacze w wątpliwości o istotnem położeniu Atlasu, szukając go już to na pobrzeżach, znowu w środku kraju, to znów nad morzem Śroziemnem, i znów głębię w Afryce południowej. W pierwszym wieku naszej Ery, kiedy oręż Rzymian do wnętrza Maurytanii i Numidyi doszedł, nazywano powszechnie Atlasem pasmo gór rozciągające się ze wschodu na zachód równo odległe od pobrzeżów morza Śroziemnego. Pliniusz i Solin uczuli wszakże bardzo dobrze, że opisy greckich i rzymskich poetów Atlasu nie odnoszą się do tego pasma gór; i dla tego rozumieli, że tak świetnie wystawiony w poezyi Atlas powinien się znajdować w nieznanach krajach środkowej Afryki, w afrykańskiej terra incognita. Atlas Homera i Hezyoda nie może być inną górą jak Pik Teneryffy, Atlasu zaś greckich i rzymskich pisarzy w północnej Afryce szukać wypada.«

Do tych uczonych wyjaśnień považam się następujące dodać uwagi:

Według Pliniusza i Solina wznosi się Atlas z piaszczystej równiny (e medio arenari); słońce które zapewnie na Teneryffie nigdy nie powstały, pasają się na jego bokach. Góry w terażniejszym czasie Atlasem nazywane, tworzą długi grzbiet. Skądże więc przyszło Rzymianom to pasmo przez Herodota opisane uważać za oddzielnie stojącą ostokręgowatą górę?

Przyczyną tego nie mogło być optyczne złudzenie; każdy bowiem łańcuch gór z jednego końca widziany w kierunku długości, wydaje się ostokręgowatym. Będąc na morzu, wydawały im się często długie grzbiety

jako oddzielne góry. Pod Marokko okrywają Atlas podług Hōsta wieczne śniegi, wysokość jego zatém w téj okolicy musi przenosić 1800 sążni. Dziwna jest okoliczność, że Barbarowie czyli starożytni Maurytanie podług Pliniusza Atlas nazywali Dyris. Dotąd nazywają Arabowie łańcuch Atlasu Daran, słowo mające też same spółgłoski co Dyris. Hornius (de originibus Americanorum str. 195) przeciwnie w słowie Dyris znajduje podobieństwo do imienia Piku Teneryffy w języku Guanchów Aya-Dyrma.

21) *Góry Xiężycowe Al-Komri.*

Góry Xiężycowe Ptolomeusza podług Abulfedy Alkomri nazywane, nakreślili na swych mappach Rennel i Arrowsmith jako niezmierne, nigdzie nieprzerwane pasmo. Ich bytność jest niezawodną, lecz rozciągłość i kierunek dotąd wątpliwe, i nie można je sobie wystawiać, jak to uczynili wspomnieni jeografowie. Hebesz podobnie jak i Quito jest równiną wyniosłą podług Brucea barometrycznych wymiarów, nie zasługujących wszakże na zupełną ufność. Źródła niebieskiego (zielonego) Nilu leżą 1654 sążni nad poziomem morza. Ważną jest ta okoliczność, że kraj ten górzysty stykał się z siedliskiem cywilizowanego narodu, z państwem Meroe. Tak więc w Afryce jako i w nowym kontynencie wykształcone ludy zamieszkiwały kraje górzyste, albo z nimi graniczyły.

22) *Skutek wielkiego wiru morskiego.*

W północnej części oceanu Atlantyckiego, czyli pomiędzy Europą północną, Afryką i nowym kontynentem, obracają się wody, tworząc prawdziwy wir kręcący się wkoło. Pod zwrotnikami ciągnie się główny prąd ze wschodu na zachód, który możnaby nazwać prądem wirowym: ma bowiem jednakową przyczynę z wiatrami peryodycznymi, wiejącymi w tymże samym kierunku. Przyspiesza on żeglugę z wysp Kanaryjskich do Ameryki południowej; prawie nie podobna przeciw niemu płynąć z Cartagena de Yndias do Cúmana. Tutaj tworzy nowy kontynent od Istmu aż ku północnym stro-

nom Meksyku, tamę stawiającą opór parciom morza z zachodu bijącego. Z tych przyczyn przyjmuje prąd przy Veragua kierunek północny, i trzyma się zagięcia brzegów Costa, Ricca, Mosquitos, Campeche i Tabasco. Wody płynące pomiędzy przylądkiem Catoche a wyspą Kuba do zatoki Meksykańskiej, wpadają napowrót do Spokojnego oceanu, przebywszy w północnej stronie kanał Bahama; a pomiędzy Veracruz, Tamiagua, ujściem rzeki Rio bravo del Norte i Mississipi, dając początek miejscowemu wirowi. Tutaj tworzą ciepłą rzekę przez żeglarzy Golfstrom nazwaną; jej wody płyną szybko i w przekątni oddalają się coraz dalej od pobraż Ameryki północnej. Okręty płynąc ku tym pobrażom z Europy, gdy nie są pewne swęj jeograficznę szerokości, dostawszy się na pęd Golfowy, odrazu wiedzą gdzie się znajdują; kierunek jego bowiem Franklin, Williams i Pownall dokładnie oznaczyli. Od 40° szerokości zwracają się owe ciepłe wody, pęd ich zmniejsza się zwolna, a wtedy coraz bardziej rozszerzają się ku wschodowi. Wprzód nim do zachodnich dochodzi Azorów, dzieli się na dwa ramiona; z tych pierwsze w pewnych porach roku ku Irlandyi i Norwegii, drugie zaś ku wyspom Kanaryjskim i zachodnim pobrażom północnej Afryki zmierza. Przez ten wir atlantycki, który w innem miejscu (Voyage aux regions equinoxiales T. I.) obszernię opisałem, wyjaśnia się przyczyna, że pomimo wiatrów peryodycznych pnie drzewa Cedrela odorata z południowej Ameryki i z zachodnich Indyów do pobraż Teneryffy przypływają. Liczne robiłem doświadczenia nad temperaturą wody pędu Golfowego w pobliskości ławicy przy New Fundland, który z wielką szybkością sprowadza wody ciepłe w północne strony. Z tego powodu temperatura pędu, o dwa lub trzy stopnie jest wyższą od spokojnych wód, które wydaje się jakoby tworzyły pobraża płynącej rzeki. Cały ten fenomen zupełnie podobny do peruńskiego, o którym w nocie 16 wspominał.

23) *Lecydie i inne porosty.*

W krajach północnych pokrywa się bezroślinna ziemia różnemi mchami, a mianowicie *Baeomyces roseus*, *Cenomyce rangiferinus*, *Lecidea muscorum*, *L. semadaphila*, i tym podobnemi skrytopęciowemi, przygotowującemi niejako ziemię trawom i ziołom. W krajach podrównikowych zastępują porosty rośliny z liśćmi soczystemi, a w cienistych miejscach zbierają się mchy i porosty.

24) *Chodowanie Mleko-dajnych zwierząt.*

Dwa gatunki wołów, o których już wyżej wspomniałem, to jest wół amerykański i wół piżmowy, właściwe są północnym stronom nowego kontynentu. — Lecz krajowcy

Queis neque mos, neque cultus erat, nec jungere tauros. Virg. Aeneis I. 316.

spijali świeżą krew, a nie mleko tych zwierząt. P. Barton okazał z wielkiem prawdopodobieństwem, że niektóre pokolenia zachodniej Kanady chodowały wołu amerykańskiego dla mięsa i skór (Fragments T. I. str. 4). Jest to szczególnie trafem, że Chińczycy aczkolwiek otoczeni z północy i zachodu pasterskimi ludami, nie znali prawie zupełnie użycia mleka krowiego, owczego, ani końskiego. W Peru jak wiadomo, lama jest zwierzem domowem, nie znaleziono jej nigdzie w pierwotnym stanie dzikości; na zachodnich zaś pochyłościach Chimborasso zdziczały, w czasie gdy spalono Lican dawną stolicę państwa Quito.

Na południe od rzeki Gyla, która wraz z Rio Colorado ku zatoce Kalifornijskiej (Mar de Cortes) zmierza, sterczą samotnie na stepie ruiny owych zagadkowych pałaców Azteków, przez Hiszpanów las Casas grandes nazwanych. Aztekowie około r. 1160 z nieznanego kraju Aztlau wyruszywszy, pokazali się w Anahuac, i przez pewien czas osiedli nad rzeką Gyla (1).

(1) Ciekawą jest ta okoliczność, jak to wielki badacz dziejów Jana Müller uważa, że właśnie w tymże czasie w Azji północnej

Dwaj Franciszkanie Garces i Font po ostatni raz w r. 1773 owe Casas Grandes zwiedzili. Według nich mają te ruiny milę kwadratową przestrzeni zajmować. Całą równinę okrywają skorupy z naczyń glinianych sztucznie pomalowanych. Główny pałac (jeśli na to imię zasługuje dom z niewypalanej gliny ulepiony) ma 420 długości a 260 stóp szerokości. (Patrz rzadką w Meksyku drukowaną kronikę: *Cronica Serafica del Colegio de Propaganda Fide de Queretaro por Fray Domingo Arricivila*). Zwierz Tayé z Kalifornii przez ojca Venegas odrysowany, zdaje się mało różnić od Mufflona (*Capra Ammon*) dawnego kontynentu. Toż zwierze widziano także przy górach Stony Mountains, niedaleko źródła rzeki Pokoju. Odmiernym wszakże od niego jest małe zwierze do kozy podobne z czarnymi i białymi plamami, pasające się nad brzegami Missouri i Arkansas-River.

25) *Uprawa mączystych traw.*

Nie mało bezwątpienia uderzającą jest to okolicznością, iż na jednej stronie naszego planety znajdują się ludy nie znające zupełnie użytku mleka i mąki z kłosowych roślin; gdy tymczasem na drugiej, prawie wszystkie ludy uprawiają cerealia, czyli zbożowe rośliny i mleko-dajne zwierzęta chodują. Uprawa rozlicznych traw cechuje niejako każdą półkulę. Na nowym kontynencie od 45° północnej do 42° południowej szerokości, jedną tylko trawę zasiewają mieszkańcy, to jest Mais. Przeciwnie na dawnym kontynencie (1) znajdujemy wszędzie od

wielkie wędrowki narodów miały miejsce. Wpadnienie Tatarów Niu nazwany zmagliżo chińskich cesarzów Dynastji Sium do przeniesienia stolicy dalej ku południowi do Linegau (*Deguigne's Rech. str. 83*).

(1) Ci którzy w powieściach o Atlantydzie chcą znajdować ciemne wiadomości o wielkim zachodnim kraju (Ameryce), pożądanym znajdują miejsce w Diodorze Sycylijskim w księdze trzeciej. Jeograf ten mówi wyraźnie: Atlantydowie nie znali owoców Cerery, ponieważ się wcześniej od reszty rodzaju ludzkiego oddalili, nim te owoce śmiertelnym dano poznać (*Diod p. Wessel pag. 130*). Guanchowie mieszkańcy wysp Kanaryjskich uprawiali jęczmień, z którego sporządzali swe Gofio (Rodzaj piwa).

najdawniejszych czasów do których dzieje sięgają uprawę pszenicy, jęczmienia, orkisz i owsa.

Że pszenica dziko rośnie na błoniach Leontyńskich jako i w wielu miejscach w Sycylii, wierzyły starożytni ludy; o czém już wspomina Diodor Sycylijski (księga V. wydan. Wessel. str. 199 i 232). Znajdowano także dary Cerery w Alpach Enny. Pan Sprengel zebrał kilkadziesiąt miejsc ciekawych z autorów, z których dowodzi, że najznacniejsza część naszych roślin rosła pierwotnie dziko w północnej Persyi i w Indyach, a mianowicie: pszenica w kraju Musikanów, jednej z prowincyi w północnej Indyi (Strabo księga XV. str. 1077). Jęczmień nazywa Pliniusz *antiquissimum frumentum*, pochodzi podług Mojżesza z Chorene (Geograf. armeni. st. 360) z nad Araxesa albo Kuru w Georgii, a podług Marco Polo z Balascham w północnych Indyach, (Ramusio II. 10). Orkisz zaś z Hamadan. Lecz pan Link okazał w treściwej, pełnej krytyki rozprawie, że te miejsca starożytnych autorów wielu wątpliwościom ulegają. (1) Ja sam dawniej powątpiewałem o bytności dzikich roślin zbożowych, i uważałem je za zdziczałe (2).

Jeden z czarnych niewolników wielkiego Corteza, pierwszy uprawiał pszenicę w Nowej Hiszpanii, której wybrał trzy ziarenka z ryżu przywiezionego z Hiszpanii dla zaopatrzenia armii. W Quito zachowują w klasztorze franciszkanów jakoby relikwią, prosty garnek gliniany z którego franciszkanin Fray Jodoco Rixi de Gante pierwszą pszenicę zasiał w Quito. Rixi urodził się w Gandawie we Flandryi. Pierwszą pszenicę uprawiano w miejscu zwaném *la plazula de S. Francisco*; później zaś po wyrąbaniu lasów u podnóża Wulkanu Pichincha. Mnichy których często odwiedzałem podczas mojego pobytu w Quitto, prosili mnie o wyjaśnienie napisu na garnku, w którym domyślali się tajemniczego związku z pszenicą.

(1) *Abhandlungen der Berliner Academie der Wissenschaften* z r. 1816 str. 123

(2) *Essai sur la Géographie des Plantes* 1807 str. 28.



W starym dyalekcie następujące zdanie wyczytałem: »Kto ze mnie pije, niechaj o Bogu swym nie zapomina.« I dla mnie ten dawny puchar germański wydawał się bardzo szanownym. Bodajby wszędzie na nowym kontynencie przechowały się raczej imiona tych, co pierwsi wprowadzili owoce cerery, aniżeli tych którzy spustoszyli ziemię.

26) *Nawyktę do zimna na grzbiecie Andów postępowaty.*

Po całym Meksyku i Peru, na wzniesionej równinie rozpostartej po górach, widać ślady znakomicie ucywilizowanych ludów; znajdowaliśmy ruiny pałaców i łaźni na wysokości 1600 do 1800 sążni. Północne tylko narody mogą zasmakować w takim klimacie.

27) *Zaludnienie.*

Ze ludy nowego kontynentu zostawały w stosunkach ze wschodnią Azyą przed przybyciem Hiszpanów, zdaje mi się żem tego dowiódł w dziele mojem o pierwotnych pomnikach narodów amerykańskich, (1) przez porównanie kalendarza meksykańskiego z tybetańsko-japońskim i najdawniejszych mitów o czterech wiekach, albo zniszczeniach świata, które miały miejsce przed rozszerzeniem się rodzaju ludzkiego po wielkim potopie. Po wydaniu mojego dzieła, ogłoszono w Anglii nader ważną księgę o owych dziwnych rzeźbach znajdujących się w ruinach Guatimali (2), których styl zupełnie indyjskim odpowiada: co właśnie téj analogii nierównie większą wagę nadaje. Istnienie dawnych stosunków handlowych pomiędzy zachodnimi Amerykanami a wschodnimi Azyanami, uważam za rzecz niezawodną; ale które były drogi i jakie narody azyatyckie zostawały w téj styczności, nie można dotychczas z pewnością wyrzec. Nie wielka liczba indywiduów zukształconej kasty kapłańskiej mogłaby zaprowadzić w zachodniej Ameryce tak wielkie zmiany. Rojono także od dawna

(1) Vues dans les Cordelieres et Monumens. 2 Tomy.

(2) Dr. Antonio del Rio; Description of the ruins discovered near Palenque. London 1821 str. 9 tablica 12 i 13.

o ekspedycyi chińskiej do nowego kontynentu; lecz takowa ogranicza się tylko na żegludze do Fusang albo Japonii. Wszakże Japończykowie i Sian Pi z Korei mogli burzą zapędzeni, na pobraża Ameryki wylądować. Często bowiem Bonzowie i inni awanturnicy żeglowali po wielkiem wschodnio - chińskiem morzu, w celu wynalezienia środka do zapewnienia ludziom nieśmiertelności. I tak pod panowaniem Tschin-chi-huang-ti na 200 lat przed erą chrześcijańską wysłano 300 par młodych mężczyzn i kobiet do Japonii (1), które zamiast wrócenia do Chin, osiedli na téj wyspie. Nie mógłże podobny wypadek zapędzić ekspedycyi do wysp Lisich (Fuchsinsel), do Alaszki, lub do pobrażów nowéj Kalifornii? A ponieważ pobraża amerykańskie ciągną się ze strony północno-zachodniej ku południowo-wschodniej, odległość zatem od krajów rozwinięciu się cywilizacyi sprzyjających pod 45° szerokości jest za bardzo wielką. Z tego powodu wypada przyjąć, że pierwsze wylądowania były w niegościnnéj strefie pomiędzy 52° a 55°, a cywilizacya postępowała szybko w ślad za posuwającemi się ludami ku południowi. (2) Na pobrażach północnych części Dorado (nazywanych Quivira i Cibora) miano nawet znaleźć na początku 16go wieku szczątki okrętów z Caju czyli z Japonii i Chin. (3)

Zanadto mało do tego czasu poznaliśmy języki amerykańskie; dla tego nie należy wyrzekać się nadziei, że kiedyś odkryjemy dyalekt wspólny ludom mieszkającym nad rzeką Amazońską i w środkowej Azji. Takie odkrycie byłoby niezawodnie jedném z najświetniejszych, jakiegoby się spodziewać można w dziejach rodu ludzkiego.

#### 28) *Wiek innych zwierząt.*

Na stepach Karakas biegają stada jeleni nazwanych *Cervus Mexicanus*. W młodości ów jelen ma pstre

(1) Klaproth: Tableaux historiques de l'Asie 1824 str. 70.

(2) To ważne zagadnienie rozbiierałem w inném miejscu (relation historique T. III, str 155, 160).

(3) Gomara: Historia general de Indias str. 117.

plamy i podobieństwo do sarny. Często znajdowaliśmy białe odmiany, co szczególniejszą jest osobliwością w tak ciepłym klimacie. *Cervus Mexicanus* niepokazuje się wyżej na pochyłościach Andów, jak do 700 i 800 sążni. Ale aż do wysokości 2000 sążni żyje wielki, także często biały jelen, którego gatunkowo od europejskiego jelenia ledwie mogłem odróżnić. Zwierze *Cavia Capybara* nazywają w prowincyi Caracas *Chigiure*. Na to nieszczęśliwe zwierze czycha w wodzie krokodyl, a na ziemi Tygrys (*Jaguar*). Bardzo źle biega, tak że często chwytaliśmy je rękami. Mieszkańcy wędzą ich uda na szynki; smak wszakże tego mięsa jest nieprzyjemny dla zapachu piźmowego. Ozdobne pręgowate zwierzęta cuchnące są: *Viverra Mapurito*, *Viverra Zorilla*, *Viverra vittata*.

29) *Palma wachlarzowa Maurycya.*

Piękną palmę *Moriche* (*Mauritia flexuosa*) bardzo niedokładnie opisał Linneusz: uważał ją bowiem za bezlistną. Jój pień miewa 25 stóp wysokości, do której w 150 lub 200 latach zapewne dochodzi. Maurycya tworzy pyszne grupy w wilgotnych okolicach, odznaczając się świeżą pożywkującą zielonością, bardzo podobną do naszej olszy. Ich cień utrzymuje wilgoć ziemi; a Indyanie sądzą, że Maurycya tajemną atrakcją przyciąga wodę w około swych korzeni. Z podobnejże teorii wychodząc wzbraniają zabijania węzów; bo myślą, że za ich wytępieniem wyschną bagna (*Lagunas*). Takto dziki człowiek bierze skutek za przyczynę.

Nad brzegami nie odwiedzanój rzeki *Rio Atabapo* w środku Gujany odkryliśmy nowy gatunek Maurycyi z pniem kolczastym, którą *Mauritia aculeata* nazwaliśmy (1).

30) *Amerykański Stylita*

Szymon *Sassanites* Syryjczyk, założyciel sekty Stylitów, 37 lat przepędził, stojąc na pięciu słupach świę-

(1) Humbolt, Bonpland et Kunth *Nova genera et species plantarum* T. 1 str. 310.

to bliwym rozmyślaniom oddany. Ostatni słupek na którym stał, miał 40 łokci długości. Przez 700 lat znajdowali się ludzie naśladowujący ów sposób życia; nazywano ich Sancti columnares. Nawet w Niemczech około Trewiru usiłowano założyć takie powietrzne klasztory. Biskupi wszakże sprzeciwili się temu niebezpiecznemu przedsięwzięciu. Mosheimi: Institutiones Historiae Ecclesiasticae str. 192.

31) *Miasta nad rzekami stepowemi.*

Familie żyjące z chodowania bydła a nie z rolnictwa, zebrawszy się w środku stepów, potworzyły małe miasta, które zaledwie wioskami mogą się nazywać w porównaniu z miasteczkami w ucywilizowanych częściach Europy. I tak np. Calabozo podług moich astronomicznych obserwacyj, leży pod  $8^{\circ} 56' 14''$  północnej szerokości a  $4^{\circ} 40' 20''$  zachodniej długości; Villa de Pao szerokości  $8^{\circ} 38' 1''$  długości  $4^{\circ} 27' 47''$ . San Sebastian i t. d.

32) *Lejkowatego kształtu obłoki.*

Ów szczególny fenomen trąb powietrznych zawierających w sobie piasek, ma niejaki podobieństwo do europejskich powstających na krzyżowych drogach. Właściwy jest mianowicie peruańskim stepom piaskowym, pomiędzy Amotape i Coquimbo. Takowy obłok kurzu bywa dla podróżnego niekiedy niebezpiecznym, jeżeli go starannie nie wymija. Nadto szczególną jest rzeczą, że te miejscowe przeciwne sobie prądy powietrza, powstają tylko przy zupełnej ciszy. Co do tego, ocean powietrzny podobny jest do morza. W ostatnim można także dostrzedz małe strumienie, kiedy w zupełnej ciszy (calme plat) sączy się woda z zaledwie dającym się usłyszyć pluskiem (filet de courant).

33) *Powiększa duszące ciepło powietrza.*

W folwarku Guadalupe w Llanas de Apure ile kroć uważałem termometr od  $27^{\circ}$  do  $29^{\circ}$  R. podniesiony, tyle razy powiewał z pustyni wiatr ciepły. Wśród pełnego kurzu obłoku, wynosiła temperatura kilka mi-

nut 35°. Wyszłe piaski przy wiosce San Fernando de Apure rozgrzewały się do 42°.

34) *Igraszka łamiących się promieni światła.*

Znajome zjawisko powstające przez odbijanie przedmiotów, mirage, nazywa się w języku sanskryckim, Pragnieniem Gazelli (1). Wszystkie przedmioty zdają się unosić w powietrzu i odbijają się przytém w dolnej jego warstwie. W tedy cała puszcza podobną jest do niezmiernego jeziora, którego powierzchnia zdaje się składać z samych bałwanów.

W ostatniej wyprawie Francuzów do Egiptu, to złudzenie optyczne przyprawiało często spragnionych żołnierzy do rozpaczy. We wszystkich częściach świata objawia się ten fenomen. Nawet starożytni znali to szczególne załamanie się promienia w puszczy Libijskiej. Owe dziwne łudzące obrazy afrykańskie Fata Morgana z jeszcze bardziej dziwaczném tłumaczeniem— o zwijaniu się cząstek powietrza, znajdują się w Dyodorze Sycylijskim X III str. Rhod 184 (str. Wessel 219).

35) *Kaktus melonowy.*

Cactus melocactus dochodzi często do dziesięciu cali średnicy, miewa powszechnie 14 żeber. Ten gatunek i cactus nobilis, niedokładnie Linneusz w swój mantyssie opisał; wiele bowiem nowych blisko spokrewnionych gatunków poopuszczzał.

36) *Zmienia się nagle scena na stepie.*

Początek pory dżdżysty i symptomatów onę zapowiadających, zamierzyłem tutaj skreślić. Nieba kolor ciemno-niebieski pochodzi od niezupełnie rozpuszczonych wyliewów w powietrzu podrównikowém. Cyanometr pokazuje jaśniejszy błękit, gdy tylko pary opadać zaczynają. Czarna plama w konstellacyi południowego krzyża zostaje tém niewydatniejszą, im się bardziej

(1) Patrz moje dzieło: Relation historique T. I str. 296, 625. T. II str. 164.

przezroczystość atmosfery zmniejsza. Tymże sposobem gaśnie żywe światło konstellacyów (nubecula major i minor). Gwiazdy stałe świecące poprzednio spokojném światłem jak planety iskrzą się nawet w Zenicie (1). Wszystkie te nadarzenia wynikają z pomnożenia i unoszenia się wyziewów wodnych w parokręgu.

37) *Iły wznoszą się w skiby.*

Wielka posucha téż same wywiera skutki na rośliny i zwierzęta co zimno. Bardzo wiele roślin pod równikiem tracą liście w czasie upałów, a krokodyle i inne gady kryją się w ziemię lub ify. Pozornie zmarłe spoczywają tym sposobem owe zwierzęta w Afryce północnej, gdzie ich ziemia we śnie zimowym pogaża.

38) *Niezmierne międzymorze.*

Nigdzie bardziej nie rozszerzają się zalewy jak w owej że tak powiem siatce rzek, utworzonej przez Apure, Arachuna, Pajara, Arauka i Cabuliare. Wielkie statki w różnych kierunkach środkiem step jój 10 do 12 mil przepływają.

39) *Do górzystej równiny Antisany.*

Wielka wyniesiona równina Wulkan Antisany otaczająca, liczy 2107 sążni nad poziomem morza; ciśnienie powietrza tam tak nadzwyczajnie jest małym, że buhajom zdziczałym psami szczwanym, płynie krew nozdrzami i pyskiem.

40) *Bera i Rastro.*

Łowienie Gymnotów w inném miejscu obszernie opisałem. Observations de Zoologie et d'anatomie comparée T. I. str. 83, i Relation historique T. II. str. 173 191. To doświadczenie udało się nam zupełnie P. Gay-Lussac i mnie niedawno powtórzyć w Paryżu na żywym gymnocie, bez użycia stosu galwanicznego. Wyfadowanie jednakże zawisło od woli tego zwierzęcia. Wyptywającego światła nie widzieliśmy.

(1) Patrz wytłumaczenie scintyllacyi P. Arago w dziele mojem, Relation historique T. I str. 623.

41) *Zetknięcie mokrych i różnorodnych ciał.*

W całym organizmie stykają się z sobą różnorodne części. Płynne i stałe materye łączą się między sobą; gdzie zatem organizm i życie trwa, tam też ma miejsce natężenie elektryczne i działania stosu Wolty.

42) *Ozyrys i Tyfon.*

O walce dwóch rass ludzi, to jest arabskiej prowadzącej życie pasterskie w dolnym Egipcie, z ucywilizowanymi rolniczymi Etyopami, o białowłosym Xięciu Baby albo Tyfonie, założycielu Peluzyum i czarnym Bachusie albo Ozyrysie, patrz mistrzowskie dzieło Zoegi: de obeliscis str. 575.

43) *Dziedzina europejskiej wótkultury.*

W Capitanea general dé Caraccas ogranicza się cywilizacja przez Europejczyków wprowadzona do wąskiego pasu ziemi rozciągającego się w podłuż pobrzeż morskich. Przeciwnie dzieje się w Meksyku, Nowej Grenadzie i Quito; ślady onej są w głębi kraju na grzbietach Kordellierów. W tych bowiem stronach zastali Hiszpanie w wieku 15 od dawna wykształconych ludzi, i z nimi postępowali: nie zważając czyli cywilizacja podłuż pobrzeży, czyli też daleko od nich siedlisko swe obraża.

44) *Ołowianego koloru massy granitu.*

W rzece Orinoko, a mianowicie w Kataraktach przy Maypure i Atures (ten przypadek nie zdarza się w rzece Czarnéj Rio Negro) przyjmują wszystkie bryły granitu, nawet kawały białego kwarcu, jeżeli je zwilżają wody Orynoka, szarawo-czarną powłokę, około 0,01 linii grubą. Wydaje się jakobyśmy patrzyli na bazalt, albo grafitem powleczoną skałę. Zdaje się nawet że ta powłoka składa się z części węglowych. Mówię *zdaje się*, ponieważ ten przedmiot nie jest dotychczas dokładnie wyjaśnionym. Coś podobnego odkrył Pan Rozier na Syenitach Nilu przy Syenie i Philae. Owe kamienie ołowiano-szarego koloru zwilżone, wydają nad Oryno-

kiem szkodliwe zdrowiu wyziewy. Bliskość ich ma spowodować febrę (2).

45) *Wycie brodatych małp zapowiada deszcz.*

Na kilka godzin przed nastąpić mającym deszczem, słychać melancholiczne wycie małp, a mianowicie z gatunku *Simia seniculus*, *Simia beelzebub*, i innych. Te wycia mają podobieństwo do odległej burzy. Silny głos owych małp zwierzątek pochodzi od znacznej ich liczby, na jednym bowiem drzewie siedzi 70 do 80 sztuk. O torebkach głosowych i kostnych jamkach głosowych tych zwierząt, patrz moją rozprawę anatomiczną w pierwszym poszycie dzieła mojego p. t. *Recueil d'observations de zoologie* str. 18.

46) *Często ptakami obsiadły.*

Często widywałem krokodyle leżące jakoby zupełnie martwe, a na głowie siedziały ptaki z rodzaju flemingów (*Phaeoapterus*), całe zaś ciało jako pniak obsiadło ptactwo wodne.

47) *Przez nabrzmiewający gardziel.*

Slina węża boa, którą powleka swą zdobycz przyspiesza zgniliznę. Mięso takowe zmienia się w ciało galaretowate, a tak całe kawały przeciskają się przez gardziel węża. Kreolowie nazywają tego węża *Traga Venado* t. j. łykacz jelenia, i liczne prawią bajki o węzach, którym z paszczy rogi jeszcze niepołkniętego jelenia wyglądały. Widziałem węża boa płynącego Orynokiem: głowę jak pies podnosi do góry, skórę ma ozdobnie plamistą. Utrzymują, że 45 stóp długości dochodzi; najdłuższe wszakże skóry z boa w Europie starannie mierzone, nie przechodzą 20 do 22 stóp. Południowo-amerykański boa (*Pyton*) różnym jest od wschodnio-indyjskiego. O etyopskim boa patrz *Diodora XIII* wydania *Wessel* str. 204.

(2) *Relation historique T. II* str. 209 — 304.



48) *Gumny i ziemię jedzące.*

Wracający Franciszkanie z Missyi w Gujanie odhwypanych, odwiedzając pobraża Cumana, Nowej Barcelony i Karakas, rozgłosili wieśćo ludziach ziemię jedzących. Gdyśmy wracali z Rio Negro, po odbytej 36 dniowej podróży na Orynoku, strawiliśmy dzień 6 czerwca 1800 w missyi zamieszkałej przez Otomaków ziemię jedzących. Wioska ta nazywa się Conception di Uruana, jest bardzo malowniczo położona, zdaje się jakoby zaczepiona była na granitowej skale. Szerokość jej geograficzną znalazłem pod  $7^{\circ} 8' 3''$ , a długość zachodnią od Paryża  $4^{\circ} 38' 38''$ . Ziemia służąca Otomakom za pokarm, jestto tłusty w dotknięciu łagodny ił, prawdziwa glinka garncarska, żółtawo-szarego koloru, zafarbowana nieco wodnikiem niedokwasu żelaza. Wybierają starannie ów ił z niektórych ławic nad Orynokiem i Metą, różne gatunki za pomocą smaku rozróżniają; nie każdy bowiem jedzą z równą przyjemnością. Ugniatają sobie z glinki kule, mające 4 do 6 cali średnicy a po tém wypalają je przy słabym ogniu, aż do zczzerwienienia powierzchni. Przy jedzeniu na nowo zwilżają. Indyjanie co są dzikimi ludźmi, nienawidzącymi uprawy roślin, najdalej od Orynoka położone narody, chcąc oznaczyć coś bardzo niechlujnego, mówią w przysłowiu: tak brudne, iż go Ottomak może pożreć. Dopóki woda mała jest na Orynoku i Mecie żyją rybami i żółwiami. Ryby pływające na powierzchni wody, strzałami zabijają; temu ich polowaniu przypatrzeć się miałem często sposobność i uwielbiać nadzwyczajną zręczność.

W czasie peryodycznego nabrzmienia rzek, ustaje połów ryb; bo równie trudno jest łowić ryby w głębokich rzekach, jak w głębiach oceanu. W owym czasie połykają Otomaki niezmierne ilości ziemi. Znajdowaliśmy w ich chatach wielkie składy takowych kul w piramidalne kupy poukładane. Indyjanie zjada codziennie  $\frac{3}{4}$  do  $\frac{4}{5}$  funta iłu, o czém nas upewniał pefen rozsądku mnich Fray Ramon Bueno, rodem z Madrytu.

który 12 lat pomiędzy niemi przeżył. Sami Ottomakowie opowiadają, iż ta ziemia służy im głównie za pokarm w dżdżystej porze roku; przytém jedzą jeżeli się zdarzy ułowić jaszczurkę, rybkę, lub korzeń paproci. Nawet tak są łakomi na ił, iż w czasie posuch, chociaż mając ryb podostatkiem, po skończonej wieczerzy jedzą codziennie troszkę ziemi jako miły przysmaczek. Ci ludzie mają kolor ciemno-miedziany. Rysy ich są nieprzyjemne tatarskie, otyli, lecz bez brzucha. Franciszkanin pomiędzy niemi jako misyjonarz żyjący, zaręczał, że zdrowie Ottomaków nie zmienia się w czasie pożywania ziemi. To są proste fakta. Indianie zjadają wielkie ilości iłu, który bynajmniej nie szkodzi zdrowiu, uważają tę ziemię za pokarm t. j. po użyciu jego długo zostają nasyconymi. Sądzą, że ziemia ich tylko syci a nie inne pokarmy, które skromnie spożywają, a które prócz iłu tu i owdzie zbierają. Jeżeli się kto zapyta Ottomaka o jego zapasy zimowe (zimą nazywa się w skwarnej południowej Ameryce pora dżdżysta), natenczas wskazuje w chacie na swe kupy ziemi. Te prosto dane, wszakże nie rozstrzygają pytania, czyli ił może służyć za pokarm? czyli nie leży jako próżny ciężar (Ballast) w żołądku, a rozpychając jego ściany tylko głód odwraca? Wszystkich tych pytań nie umiem rozstrzygnąć (1). Uderzającą jest rzeczą, iż z resztą łatwowierny i nie krytyczny ojciec Gummilla, wprost zaprzecza jedzenia ziemi. (Histoire de l'Orenoque T. I str. 283). Utrzymuje, że owe kule z iłu są pomieszane z mąką kukurydzową i tłustością krokodylową. Lecz misyjonarz Fray Ramon Bueno, tudzież nasz przyjaciel i towarzysz podróży Fray Inau Gonzalez, który z częścią naszych zbiorów utonął nad brzegiem afrykańskim, zapewniali nas, że Ottomakowie nigdy iłu krokodylową tłustością nie nasycają. I o do-

(1) Wszelkie te pytania fizyologiczne roztrząsałem w moim dziele: Relat. hist. T. II str. 608 do 620.

mieszaniu mąki nigdyśmy nic nie sfyszeli. Ziemię tę przywieźliśmy do Europy. Podług rozbioru p. Vauquelin jestto zupełnie czysta, z niczem nie pomieszana glinka.

Miałżeby Gumilla mieszając różne przedmioty, myśleć o sporządzaniu chleba z rośliny o długim strączku z gatunku Inga? Ten owoc istotnie zakopują w ziemię. Że Ottomakowie jedzą znaczną ilość ziemi a nie chorują, najbardziej mnie zadziwia. Może być, że ten lud nawykł od wieków do tego bodźca. We wszystkich krajach podrównikowych mają ludzie dziwną, nie przewyżczoną prawie żądzą pożerania ziemi, a do tego nie alkalicznej (wapno) dla zobojętnienia kwasów, lecz tłustych mocny zapach mających ifów. Dzieci trzeba zamykać często, żeby nie uciekały na pola po świeżo spadłym deszczu dla jedzenia ziemi; kobiety indyjskie nad rzeką S. Magdaleny, w wiosce Banko przy robocie garnków, widywałem wielkie kawały ifu do ust wkładające (1). Prócz Ottomaków Indyanie wszystkich innych pokoleń chorują, jeżeli nie wystrzegają się dziwnego pociągu jedzenia ifu.

W missyi San Borja widzieliśmy dziecię indyanki, nie chcące prawie nic innego jadać jak glinę; ale też było za to wyschłe jak skielec. Czemuż ten pociąg chorobliwy jedzenia ziemi w krajach umiarkowanego i zimnego klimatu nierównie jest rzadszym, i ogranicza się na dzieci i ciężarne kobiety? Można z pewnością utrzymywać, że jedzenie ziemi wszystkim krajom podrównikowym jest właściwe. W Gwinei jedzą murzyni żółtawą ziemię, którą nazywają Caonac. Jako niewolnicy do Indyi zachodnich zaprowadzeni, wynajdują sobie podobną; zapewniają przytém, że jedzenie ziemi w ich ojczystym klimacie jest zupełnie nie szkodliwem.

(1) Toż samo uważał Gilly i Saggio di storia America T. II str. 311. Wilki podczas mocnej zimy jedzą ziemię, a szczególniej if. Byłoby bardzo ważną rzeczą excrementa ziemiożrnych ludzi i zwierząt dokładnie rozpoznać.

Lecz od Caonac na amerykańskich wyspach chorują niewolnicy, a z tąd poszedł zakaz jedzenia ziemi: chociaż w Martynice przedawano ją potajemnie na targach (un tuf rouge jaunâtre). Les Negres de Guinée disent que dans leur pays ils mangent habituellement une certaine terre dont le goût leur plaît sans en être incommodés. Ceux qui sont dans l'abus de manger du Caonac en sont si friands qu'il n'y a pas de chatiment qui puisse les empêcher de dévorer de la terre. Thibault de Chanvallon str.85. Na wyspie Jawie, pomiędzy Surabaya a Samarang widział po wioskach Labelladiere sprzedawane czerwone czworograniaste placki, które mieszkańcy tamtejsi nazywają tanaamp. Po bliższem rozpoznaniu znalazł, że to mniemane ciasto jest czerwonym item, do jadła w placki ugniecionym (Voyage à la recherche de la Perouse str. 322). Mieszkańcy nowéj Kaledonii zaspokajając głód, jedzą kawałami wielkości pięści Steatyt minerał zwany Spektitem, dający się łatwo rozcierać, w którym znalazł Vauquelin znaczną ilość miedzi (L. e. str. 205). W Papajau i w wielu częściach Peru sprzedają Indyanom na targach wapno jako wiktuał, które razem z Cocca spożywają. Cocca są to liście rośliny nazwanéj Erythroxylon peruvianum. A tak znajdujemy jedzenie ziemi upowszechnioném w całym gorącym pasie naszego planety, pomiędzy rassami gnuśnych ludów, zamieszkujących najroskoszniejsze i najurodzajniejsze krainy. Zdaje się, że natura raczéj przeznaczyła ten pokarm dla mieszkańców pustéj północy.

49) *Ryte na skałach wizerunki.*

W środku południowéj Ameryki pomiędzy 2° a 4° szerokości północnéj rozciąga się równina niezmiernemi borami okryta, mająca za granicę cztery rzeki: Orynoko, Atabasso, Rio Negro i Cassiquare. Tam znajdują się skały granitowe i syenitowe, które podobnie jak przy Caicara i Uruana okrywają Symboliczne obrazy t. j. kolosalne figury krokodylów, tygrysów, narzędzi domowych, słońca i księżyca. Ten odległy kawał kraju zajmujący przeszło 500 mil kwadratowych powierzchni,

jest zupełnie nie zamieszkały. Pograniczne ludy na najniższym stopniu cywilizacji zostające, są nagą włóczącą się zgrają, bardzo daleką od rycia heroglyfów w kamieniu.

W południowej Ameryce można całe pasmo skał uważać temi symbolicznemi znakami okryte, rozciągające się od Rupumery i Essequibo aż do brzegów rzeki Yupura. (1) Ciekawe szczątki zatraconej cywilizacji, są także owe naczynia granitowe, zdobne pysznemi labiryntami, jako i gliniane, podobne do rzymskich inasek, które pomiędzy dzikimi Indyanami nad brzegami Mosquito wynaleziono (Archaeologia v. V. str. 95 i v. VI. str. 107). Pierwsze dałem wyryć w Atlasie widoków, do historycznej części mojej podróży przytaczonym. Antykwarze zdumiewają się nad podobieństwem tych a la Grec, z ozdobami pałacu w Mitle przy Oaxaca w nowej Hiszpanii znajdującemi się. Rassy ludzi z wielkimi nosami, tak często w płaskorzeźbach nad Palenque w Guatimala i na obrazach Azteków wyobrażanej, nie znajdowałem nigdy na rzeźbach Peruankich. Pan Klaproth przypomina sobie podobnie wielkie nosy u Chachasów, hordy północnych Mogołów. Ludzie z wielkimi oczami, białawi, na północno-zachodnich pobrzeżach Ameryki osiedli, podług Marchanda pod 54° a 58° szerokości, pochodzą może od narodu Ousun, mieszkającego w środku Azyi, rassy Alano Gotskiéj?

·50) *A przecież do mordu gotowi.*

Ottomakowie zatruwać zwykli często paznokcie wielkiego palca za pomocą Curare. Samo wciśnienie takiego paznokcia śmierć przynosi; gdyż Curare łączy się z krwią. Posiadamy czepiącą się roślinę, z której soku nad brzegami Orynoka w Esmeralda robią Curare; szkoda jednak żeśmy nie znaleźli téj rośliny kwitnącej. Fizyognomia onej zpowinowacona jest ze Strychnos.

Relation historique T. II. str. 547—556.

(1) Relation historique T. II. str. 589 i wyborną rozprawę Martiusa o fizygnomii roślin w Brazylii 1824 str. 14.

## DWAJ KLIFTY

POWIEŚĆ

przez

*Ig. Barankiewicza.*

---

Dziś bez krzywego miecza u boku  
Z cybuchem, w rękę, Harun oddycha  
Po trudach drogi, od bitew wrzawy,  
Zwycięzka w twarzy Haruna pycha:  
Bo tak poraził greckich górali,  
Że długo hufiec się nie wydali  
Z gniazd, rozrzuconych w państwach obłoku,  
By spaść w doliny gdzie Koran chwałą  
Z odgłosem swojej piosenki krwawej  
I ze spragnioną posoki stałą.  
Harun ze sztuką chytrą pająka  
Na swe ofiary zastawił sieci,  
Dobrze się zgubna powiodła przędza,  
W przynę poszły nie jedne siola,  
Trupami Kleftów położył krocie,  
Wyciął bezbronne starce i dzieci,  
Tylko niewiastom życia oszczędza,  
Żeby je wydać na łup sromocie!  
Tam się rozpierzchły Kleft teraz błąka,  
Szczątek swobodnej, walecznej młodzi  
Z skruszonym mieczem, z rozpaczą w twarzy,  
Mniej go niż pierwej wiosek tam stało,  
Smutne spojrzenie po zgłiszczach wodzi,  
I choć po trudach mdleje mu ciało,  
Przecież myśl jego o zemście marzy!

Harun na miękkiej leżał murawie  
Milszej niż cudne Smyrny kobierce;  
W gaju we wschodnich drzewin oprawie,  
Którym krzew wonny stopy oplata

I ta zielona pachnąca szata  
Milęj swobodą pieściła serce  
Niżli przepyszne jego pokoje,  
Co im mozaika ściany odziewa  
Ale gdzie ludzie — duszami drzewa —  
Albo gdzie w piersiach: podłości zdroje.  
Dalej siedziała młoda Fatyma  
Córka Haruna, lilija Janiny.  
Snieżnej jej piersi troski nie gniotą;  
Choć u niej nie jest blada jagoda  
Lecz i rumieńcem żywym nie płonie,  
Zda się że czucie zebrała w łonie  
W łonie dziewiczem — dla tej godziny  
Kiedy jej rokosz puchar swój poda  
Gdy ją kochanka zamkną uściski.  
Przepychu w stroju dziewicy niema,  
Bo na cóż stroje dla tej Huryski  
Po co kwiat krasić i złocić złoto?  
Przy oczach rzęsy. Czarna korona  
Chociaż odsłoni te uczuć światy  
Jedwabna frendzla tak długo sięga  
Że okna widać zawsze z za kraty.  
A gdy Fatyma oko przymruży  
Nie wiesz powieki czy rzęsy dłużej?  
Na cóż ten czarny dyadem służy?  
Czy to żelazna oczu obrona,  
By w nie namiętna nie szła potęga...  
Czy to z magnesu frendzla wycięta  
Co i żelazne wole opęta?...  
Jednego mało czarnej koronie —  
Dla niej to godło „walczę i bronię“  
Usta jej były jak róży pączek  
Co jeszcze czeka letniego hasła.  
Przy drobnych ząbków białej drużynie,  
Urjańskich pereł świetności zgasła;  
A tłumne stado kruczych obrączek  
Niechcąc go zmatwać, wietrzyk pominie.  
Serce jej biło niewinnie śmiało.  
Uczuć miłości jeszcze nie znało,  
Na jej gładziuchném jak marmur czole  
Wstydu, rokoszy nie było pole,  
I jak łabędzia toczona szyja

Szlak z karminowych nosiła nici,  
A jęj powietrznej, gibkiej kibici  
Jeszcze nie dotkła ręka niczyja.  
Kiedy się Harun dymem okłębja  
Pieśń mu Fatymy uszu dotyka,  
Tkliwa jak ślubne nuty gołębja,  
Pełna jak nocne pieśni słowika.

I.

„Harunie! tobie przystał spoczynek!  
W pysznym pałacu, w wonnym haremie,  
Gdzie brodzi pięknych Czerkiesek plemie,  
Gdzie brodzi plemię pięknych Greczynek.

II.

Przystał spoczynek tobie Harunie!  
Na Odalisek pieścotném ręku,  
Pozwól już zgasnąć pożarów łunie,  
Dosyć już dosyć Greckiego jęku!

III.

Spoczynek przystał Harunie tobie!  
Niech inny bułat krwią się napawa,  
Dosyć już wrogów z twęj ręki w grobie...  
Więcój od ciebie nie żąda słowa.“

Harun usypia — piękna Fatyma  
Przez chwilę jeszcze gitarę trzyma  
Jeszcze pół jawne dobywa dźwięki,  
Potem zanikła we mgłę dumania,  
Małą gitarę wypuszcza z ręki  
I na tę rączkę głowę nakłania,  
I potęj główce, sen dumań dziecie  
W girlandy kwiatów myśli jęj plecie.

Fatyma płasa po wonnej łące  
Ze swoich młodych dziewcząt orszakiem,  
Stanie nad każdym kwiatem i krzakiem,  
A wszystkie strojne, wszystkie pachnące.  
Ile razy ziemi dotyka,  
Tylekroć z ziemi tryska muzyka;



Ilkroć oddech w przestwór wyzionie,  
To tyle kwiatów pieszczą jej dłonie.  
I wśród zieleni, braniec łąkowy  
Strumyk się cedił jasnym kryształem.  
Ona spojrzeniem pyta nieśmiałym—  
Czy piękne lica, czy tkliwe oczy?..  
I nagle w pośród wodnych przezroczy  
Spotkała widok nieznaną głowę.  
Z wody już cała wynika postać,  
Srogi jej wyraz Fatymę trwoży,  
Ale coś razem Fatymę nęci...  
Chciałaby uciec — chciałaby zostać.  
I w tym zmieszaniu przeciwnych chęci,  
Ta postać sroga — przy niej się korzy.

A w owym czasie w Haruna myśli  
Obraz się bitew niedawnych kryśli,  
Bułatem zmiata głowy górali  
Ibrnie do kolan w krwawej powodzi,  
Na mord i grabież Turkom przewodzi,  
I w jassyr wiąże, i w popiół pali,  
I wśród tej krwawej sceny postrzega  
Z ostatniej walki — Makara zbiega.  
Makara, który góralów rocie  
Przodkując z sercem co nie zna trwogi  
Położył jego janczarów krocie,  
Długo był jemu zaporą drogi.  
Aż z trudu bitwy i z krwi utraty  
Ustał z placu — poniósł w ukrycie  
Na pół w tej bitwie zwątlone życie  
I duch w zamysły zemsty bogaty!  
Sen Harunowi bliskim go stawia,  
Z skruszonym mieczem, z strawioną siłą.  
Czas wodza Kleftów skarcieć bezprawia —  
Tak się Haruna serce wzruszyło,  
Że się przebudza — liście z szelestem  
Lekkim rozwarło — i przy nim stoi  
Makar wódz Kleftów. — Znasz mnie kto jestem?  
„Zwiastun ostatniej godziny twojej.“  
Makar powiedział. — Harun trze oczy,  
Myśli że senna zmore go tłoczy,

Widząc Makara, w Turka odzieży,  
Zabłysnął bułat — jeszcze nie wierzy.....  
Aż gdy napotkał spojrzenie wroga,  
Jak bodzie konia nowa ostroga  
Tak się porywa Harun z trawnika  
I w koło siebie bułata szuka,  
Lecz w jego ręku niemasz żelaza —  
Makar ramienia Baszy dotyka:  
„Twoich okrucieństw czeka zapłata,  
Po naszych siołach przewiałeś Baszo!  
Jak kiedy krajem wionie zaraza,  
Na naszych trupach sępy się paszą;  
W naszych się zgłiszczach dziki zwierz siedli,  
Kleptów ostatki, bracia wybledli  
Po swęj ojczyzny krążą cmentarzu!  
A tyś to zrobił — ducha zagłady!  
Każden pagórek i każden parów  
Śmiercią jakiegoś Kleptu znajomy...  
Z siłąś się spoić nie wachał zdrady.  
Zdeptałeś żniwa, zburzyłeś domy,  
I na kościołów naszych ołtarzu,  
Wierne małżonki, dziewice skromne  
Konały z chuci twoich Janczarów.  
Wkradłem się Baszo! w twoje ustronie,  
W słodkie twojego cienie harem  
W odzieży turka i z zemstą w łonie!  
Teraz ci Baszo! ostrzem przypomnę  
Ileś dni w naszej przebył krainie...  
Za kaźden, z nowęj rany popłynie  
Krew twoja warta tygrysyich piersi.  
Na ostrym waszych nieb Al-Szyracie  
Ty prorokowi powiedz twojemu,  
Czy jacy ludzie mogą być szczerzi  
Nad greckich Kleptów, w zemsty wypłacie.“

Przed dzikim Klepsem, przed stałą naga  
Harun stał milcząc, z zimną odwagą.  
Bo nieuchronnej wypadek doli —  
Koniec, mniej Turka niżli nas boli.  
Ani się broni — ani się prosi.  
Makar błyszczący kindżał podnosi

I zatrzymana górala ręka...  
I u stóp jego Fatyma kłęka,  
U stóp górala którego głowę  
W wodach tworzyły śnienia różowe.  
„Przebac o Giaurze! woła Fatyma,  
Chociaż do zemsty słuszne masz prawa,  
Lecz dobroć z twego jaśnieje czoła.  
Zachowaj Giaurze! ojca Fatymie!  
Przy krwi twych ziomek, sioł twoich dymie,  
Większa dla ciebie, przebaczyć, sława,  
Niż w piersiach jego utkwic żelazo!  
Nam was niewiernych wytępiac każą,  
A wam się każą rozstać z obrazą,  
Boga z łagodną wielbicie twarzą!“

O! skoro Makar ujrzał Fatymę,  
Jak słońce z wiosną roztapia zimę  
Tak w jego duszy krwawego dzieła  
Od jasnych spojrzeń, żądza pierzchnęła.  
Zapomniał Makar o ostrój stali,  
Że go mścicielem bracia nazwali,  
I w niezgłębionej ócz jej otchłani  
Makar się nurza z miłością dla niej.  
I jak na polu kłosa i kwiaty  
Od żniwiarskiego padają sierpa,  
Tak jego myśli i czucia jego  
Padają ostrzem miłości ścięte...  
Spojrzenia Klefta w oczach zakłete  
W oczach gdzie nowe odkrywa światy,  
I za te zdroje co z myśli biega,  
Pojące zdroje miłości czerpa.

„Tak, ja przebaczam — na twoje modły  
Ja mu przebaczam — choć mnie powita  
Przekleństwo braci — chociaż nie zmyta  
Przyszłość mi w czole wyciśnie „podły“  
Ja mu przebaczam, piękna dziewico!“

W oczach Fatymy dwie łyzy się świecą;  
Na jego szyję rzuca ramiona  
Tak mu do piersi lgnie zapłoniona,  
Jakby dwa ciała w jedno się zrosły.

A Harun srogi, Harun wyniosły  
Na tę rokoszną grupę spoziera,  
I jakby dobroć tknęła go szczerą  
W te do Makara przemawia słowa:

„Fatyma twoją zostać gotowa.  
I Harun, co mu nad życie droga,  
Na twoje śluby z córką zezwoli.  
Ale się twego wyrzeknij Boga  
I twoje czoło okryj turbanem,  
Oderwij dolę od Kleftów doli,  
Bądź naszym sługą — będziesz jój Panem“.

Na te haniebne Baszy rzeczenia,  
Wstydem twarz Klefta się zarumienia  
I ogień gniewu w sercu go pali,  
I ręką znowu sięgnął do stali;  
Lecz z rękajeścią jój nie jednoczy,  
Bo znów Fatymy napotkał oczy.

A Harun jeszcze szydząc przemawia:  
„Więc wasze śpiewy miłości — kłamią?  
Cóż są uczucia, które nie złamią,  
Które nie zerwą zawady, pęta;  
Co kiedy niemi dusza przejęta,  
Na same nawet śmiała bezprawia?  
Głosicie Giaury! że my w haremie  
Naszych Odalisk kochać nie umiem,  
Miłości waszój ja nierozumiem...  
Miłość ofiary stwierdzać powinny,  
Jabym się wstydził takiej dziecinnój,  
Którą ustrasza sumienia brzemię.“

A Makar słucha co on powiada  
I dwa uczucia w piersiach się mąca...  
W serce go gryzie rodaków zdrada —  
Przy sercu — ona z piersią bijącą.  
Przy nim Fatyma z okiem — skarbnica  
Którego skarby w raj go zachwyca.  
Zeby zwyciężyć opór górala  
Ona mu pieczęć z ust w usta kładzie,

Pojący w żyłach ogień zapala,  
Jedne po drugiej kruszy zawadzie,  
Igłos ostatni sumienia kona!...  
W powrót przycisnął piękną do łona,  
I przed Harunem Makar się korzy,  
Odstępca Kleftów — odstępca Boży.

---

Miesiące zeszyły — Haruna niema...  
Makar się zmienił w baszę Selima.  
Selim ogarnął skarbiec rokoszy  
Piękną Fatymę, gmachy i sady  
I braci Kleftów po górach płoszy,  
Groźny jak czarny anioł zagłady.  
A gdy rodaków krwią zabryzgany  
Powróci Selim, to w swoim sadzie  
Głowę na łonie Fatymy kładzie,  
I tylko Selim — stale unika  
Ciernia pamięci, tego chłodnika,  
Gdzie się z szlachetną pożegnał chwałą...  
Jakby coś w sercu wstydu zostało.

Gdy oprze głowę na jój kolana,  
Czemu Fatymy myśl oderwana?..  
Igdy mu dłonią twarz spiekłą głaska  
Czemu jój oko indziej się tuła?  
Czemu Fatyma tak mało czuła  
Gdy odwiązana szaty przepaska?

Bo po uniesień przelotnej chwili  
Pojęcie szczerzej czyny osądza;  
Kobiéta tego cenić nie może  
W kim nad sumieniem przemogła żądza.  
Darmo jój serce posiadać się sili  
Kto z siebie owęj zrobił podnóże.  
Kobieta ofiar z kochanka żąda  
I lubi walkę chęci, rozumu;  
I kiedy tryumf chęci ogląda,  
Na chwilę radość u niej zwycięża,  
Ale niedługo o niej pamięta.  
Jój czci przedmiotem — wola niezgięta.

Ten dla niej wiecznie wyżej od tłumu  
Kto raz nie skłamał wymiarom męża.  
Dopóki jeszcze dziewica trwożna  
W tenczas te myśli drzemią w jej głowie,  
Ale roskoszą zmięte wezgłowie  
Z drzewem poznania porównać można!

Odkąd ust tknęła ognista czara,  
W niej się zbudziły tłumne pojęcia.  
Darmo się Selim miłym być stara...  
Milde są dla niego żony obietcia.  
I całą wartość z tą myślą traci —  
Że się wyprzysiągł Boga i braci.  
I im się więcej kochać ją sili...  
Tęm ona czuje chęć tę nie milęj.  
Bo żeby osiąść serce kobiety  
Trzeba nie kochać — albo kochania  
Trzeba zamykać potęgę w sobie.  
I tylko w swoje jaśnieć zalety,  
W jej blask nie wierzyć, przeczyć ozdobi...  
Bo ona stroni — kto ją ugania...  
Ona za tobą — gdy gonisz nie ty!

..... i Selim wierzy  
Że ona wstydu anioł wcielony.  
Z każdej podróży wiezie strój nowy:  
Perły, bławaty zwozi dla żony;  
W wojnach zacięciój tępi górali,  
Że może sławą przeniknie dalej...  
Zawsze z nadzieją patrzy w wezgłowie  
Że mu miłością równą odpowie.

I czemuż teraz, dawniej milcząca,  
Fatyma słodsza, czuła, pieszcząca,  
Czemu naprzeciw Selima bieży...  
Kiedy i z krótkiej wraca podróży?  
Czemu starania więcej w odzieży,  
Czemu w uścisku trzyma go dłużej?  
Czemu w całunkach dziewicza siła  
Kiedy się pierwój od nich chroniła?

Czy więc Selima donośna sława  
Tak jego żonie serce napawa?..  
I czy ten smutek co miał na twarzy  
Tkliwe Fatymy serce porusza?  
Czy pełnią jego błysnęła dusza,  
Że żyje szczęściem, a już nie marzy?

O! nie Selimie! darma to praca...  
Kobięta z ziemi wstrętu nie wraca!  
O! nie Selimie! miłość zgaszona  
Nigdy na powrót nie grzeje łona...  
Ale dla tego Fatyma czuła,  
Że gdy noc lampę srebrną zapala,  
A ciebie sprawa z domu wywoła,  
Ona po sadzie zaraz się tuła  
Czekając Klefta męzkiego lica,...  
Czekając Klefta dumnego czoła  
Co ciebie gasi ogniem spojrzenia;  
I wtedy twoje całusy zmienia  
Jak miedź na złoto — w ustach górala.

Stąd cię czułością dzisiaj zachwyca  
Bo się niewierna Fatyma boi  
Wstępu podejrzeń do duszy twojej.  
Stąd ona dzisiaj pieszcząca, tkliwa,  
Bo tego raję którego ukrywa  
Lęka się stracić — Oto niewiasta!  
Ileż jęj kwiatów z błota wyrasta.

Właśnie powrócił Selim z podróży  
I w ogród schodzą — Selim i ona,  
Gdzie noc ze wschodnim zesła urokiem.  
Perskich się wonią napoić róży,  
Czystem się gwiazdy ubawić okiem,  
Karmić roskoszą z Fatymy łona.

I gdy altanę ową mijali  
Gdzie im spotkanie pierwsze wypadło,  
Lekkim się ruchem zachwiały drzewa...  
Jakieś wynikło z gaju widziadło...

Widziadło bieży... wyniosłą postać  
Biała, szeroka szata odziewa...  
I nim kindżału Selim mógł dostać  
Ona już przy nich... w chwili spotkania  
Pęd drogi szatę jego odslania,  
I pod nią widać suknię górala.

Błysk jeden bułat, błysnął i drugi,  
Już się żelazo z żelazem składa...  
Walka zacięta — nie było długiej...  
Znikł jeden bułat — Selim upada.

Kłęst w rękę bułat skrwawiony trzyma,  
Święte kadzidło widzi w krwi dymie,  
Jestem, powiedział, brat twój Selimie!  
I milczy potem... ale Fatyma  
Jakby ją bolał ciosów przestanek  
Dodaje jeszcze: to mój kochanek.

Selim się unieść pragnął z murawy,  
Z gniewu mu w piersiach przestał ciek krwawy,  
I znowu upadł... i do Donata  
Rzekł głosem w którym życie ulata:  
„Tyś moim bratem“ — nic nie rzekł do niej...  
„Jestem Donato bracie Makary!  
Przy starym ojcu, syna posługi  
W wypłacie nasze spóźniły długi.  
Przy ojca mego przysięgłem łożu  
Na imię matki, na godło wiary  
Ze cię od zemsty nic nie ochroni.  
I na mego ojca mogile  
Jam tę przysięgę wyrzekł raz wtóry,  
Braciom przyrzekłem, nie wracać w góry  
Aż ze krwią zdrajcy na swoim nożu.  
W sercu mnie gniotły ołowiem chwilk...  
Chwile odwołki — dzisiaj roskosze  
Ziszczonęj zemsty w pełni odnoszę.  
Słuchaj odstępco! już od miesiąca  
Brat się do twoich sadów zakradał  
I twoją piękną Fatymą władał.



Niech ta myśl zdroj ci ostatni zmaca...  
Ostatnie szczęście... które po zgonie  
Mogłoby duszy twój być pancerzem.  
Umieraj z pchnięciem braterskiem w łonie  
Z przekleństwem braci — z jej pchnięciem świeżem.“

Wyzionął ducha — i Kleft ponury.  
Fatyma mówi — uchodźmy w góry...  
Kleft się postrzega że stoi przy niej,  
Piękną Fatymę ręką oddala...  
I zamiast czułych dźwięków górala  
Słysząc wyrazy: „Odstap zdrajczyń!  
Więc nie pojęłaś że czucia moje  
Były udaniem, dla zemsty jeno?  
Ja się krwią zdrajcy z roskoszą poję,  
Ty jej powinnaś płakać — hycno!  
Wszak on dla ciebie odstąpił braci?  
On się dla ciebie wyprzysiął Boga!..  
A twoja zdrada za miłość płaci?..  
Słuchaj Turczynko! chociażby siła  
Waszych powabów serce podbiła,  
Dosyć to serce dumy posiada  
By rzec: niegodnym czuciom zagłada,  
A tyś mojemu nie była droga,  
Ty byłaś tylko zemsty narzędziem  
Które rzucamy gdy czyn odbędziem.“

Piękna Fatyma przed Klefciem klęczy  
I chce go zamknąć w ramion obręczy,  
Ale się góral z ramion wrywa.  
A ona drżąca i jeszcze tkliwa,  
Jeszcze w swém sercu chowa nadzieję,  
Ze łą, czarownym welunem oka,  
Ze łkaniem, silnych uczuć stworzeniem  
„Ja się wyrzeknę, mówi, proroka...  
Ja chcę uklęknąć przed twoim krzyżem.  
Uchodźmy w góry! tam się odmieniem...  
Ty będziesz lepszy, ja sercem świeżem  
Moją ci miłość w serce przeleję“.

Kleft patrzy na nią i mówi do niej:  
„Jak się brat kiedyś korzył przed tobą

Tak się Turczynka przed bratem korzy...  
Ale ja z ciebie żony nie zrobię.  
Wśród naszych dzikich, wolnych przestworzy  
Są wierne żony i skromne córki,  
Ja bym się lękał powieść cię w góry  
Gdybyś i mojem sercem władała...  
Żeby od ciebie, ich szata biała,  
Szata czystości, się nie skalala.“

I Kleft odchodzi — uciehło łkanie...  
Padła Fatyma — czy już nie wstanie?  
Za miesiąc ledwie — o czułe plemie!...  
W nowym Fatyma śpiewa haremie.

---

## BERLIN, WIEDEN I GRAEFENBERG

### POD WZGLĘDEM LEKARSKIM

przez

*Felixa Jabłonowskiego.*

---

Wiedeń i Berlin są dwa jedyne w Niemczech miasta, do których nietylko lekarze z Polski, ale zewsząd prawie udają się: już dla odbycia całkowitego kursu nauk lekarskich, już dla dalszego po odbyciu go gdzieindziej ukształcenia się. Wielka atoli między temi miastami, w rozdzieleniu, wykładzie i terażniejszej dążności nauk lekarskich zachodzi różnica, którą wykazać jest przedewszystkiem niniejszego pisma zadaniem.

W Wiedniu katedry nauk lekarskich są tylko o jednym profesorze, kurs całkowity pięcioletni. Uczniowie nauk na każdy rok przepisanych w tymże roku słuchać i w końcu jego zdawać examina obowiązani; brak stopnia

chociażby z jednego tylko przedmiotu, pociąga za sobą stratę całego roku. Po ukończeniu pięcioletniego kursu, następują *rigorosa*, a po nich napisawszy rozprawę, otrzymuje uczeń stopień Doktora Medycyny. Ubiegający się o stopień z chirurgii, o magisterjat okulistyki lub akuszerji, oddzielny examen zdawać muszą. Uczniowie podlegają prawom policyjnym, opłacają rocznie wpis po złotych 30 monetą konwencyjną (120 złp); rygorozą zaś są daleko droższe, kosztują bowiem do 500 złotych takąż monetą (2000 złp). Uniwersytet zupełnie oddzielono od Josephinum, gdzie kształcą się lekarze wojskowi, którzy osobne mają gabinety, osobne kliniki, osobne na wszystko przepisy i osobnych do wykładu każdej nauki professorów. Kurs całkowity w Berlinie jest czteroletni tylko. Zapisujący się na uniwersytet, oprócz matrykuły otrzymują kartę rozpoznawczą (*Erkennungs-karte*). Zapisani nie podlegają prawom policyjnym; dla tego w razie przekroczenia, policja za pokazaniem karty zanotowawszy tylko nazwisko, odnosi się do władzy szkolnej, a sąd uniwersytecki o skardze i obwinieniu wyrokuje. Ustawa uniwersytecka wskazuje kursa, które każdy uczeń odbyć powinien. Wolno mu atoli odbyć je kiedy i pod którym professorem zechce; każda bowiem nauka najmniej od dwóch a często od trzech i więcej nauczycielów jest wykładaną. Wszyscy professorowie oprócz kursów publicznych, za które płaci się tylko wpisowe do kassy uniwersyteckiej, czytają także kursa prywatne, za opłatą na pół roku stosownie do przedmiotu od jednego do dwóch, a od kursu anatomii praktycznej czterech frydrychsdorów, wnoszoną do kassy uniwersyteckiej za kwitem, który się doręcza professorowi. Niektórzy zaś dają jeszcze kursa zwane *privatissima*, zwykle nie

więcej jak dla sześciu lub ośmiu uczniów, nietrwające dłużej jak cztery do sześciu tygodni, i za które honorarium do rąk professorowi płaci się. Co do egzaminów całokursowych, kandydat po udowodnieniu że uczęszczał do uniwersytetu lat cztery, że słuchał wszystkich nauk ustawą przepisanych, i że zdał examen z nauk przyrodzonych *philosophicum* zwany, składający się zwykle w czwartym lub piątym półroczu, a mogący także składać się i przed samemi rygorozami, przypuszczony bywa do tentaminu piśmiennego; to jest na pytanie przez dziekana wydziału zadane, pod okiem jego opowiada na piśmie. Jeżeli odpowiedź uzna dziekan za dostateczną, odbywa się tentamen ustny, to jest dziekan examинуje sam kandydata ze wszystkich nauk lekarskich i potem dopiero następują rygoroza.

Opłata od rygorozów wynosi 25 fridrichsdorów; połowa składa się do rąk dziekana przed zdaniem, druga po zdaniu examinu. Nie utrzymujący się na examinie traci złożone pieniądze, i do powtórnego za nową opłatą nie prędzej jak w trzy miesiące, a niekiedy dopiero w pół roku dopuszczony bywa. Upadający trzykroć w examinie, prawo do składania go traci na zawsze. Po odbyciu rygorozów kandydat, w obranym według swjej woli przedmiocie napisanej a za pozwoleniem dziekana wydrukowanej rozprawy i teźów publicznie broni; poczem wykonawszy przysięgę otrzymuje stopień Doktora Medycyny i Chirurgii.

Kandydaci na lekarzów wojskowych, będący na koszcie rządu, słuchają tychże samych professorów w uniwersytecie co i uczniowie do cywilnej praktyki kształcący się, do tychże samych uczęszczają klinik, w których zarówno z niemi otrzymują chorych, co jest z wielkim uszczerbkiem

dla prywatnie pobierających nauki; gdyż kandydaci wojskowi, nietylko ucząc się równych z niemi praw używają, ale potem nawet zostając chirurgami, a następnie lekarzami starszemi (Stabsärzte) w Charité, mają łatwość głębszego i rozciąglejszego kształcenia się, której lekarze do cywilnej praktyki sposobiący się mieć wcale niemogą; i pod tym względem zakładowi Józefa II<sup>go</sup> w Wiedniu zupełnie samoistnemu i w niczem nie szkodzącemu kandydatom do prywatnej lekarskiej praktyki sposobiącym się, przyznać należy wyższość nad zakładem Pepinieryi Berlińskim. Główna zatem różnica Wiednia od Berlina co się tyczy urzędu jest ta, że tam uczniowie aż do rygorozów uczyć się mogą prawie darmo, że muszą słuchać jedyne do każdego przedmiotu naznaczonego profesora, a zatem przyzwyczajają się jurare in verba magistri, i że corocznie są obowiązani zdawać examina; w Berlinie zaś uczniowie mając wszelką wolność, słuchają tego z professorów który lepiej wykłada, a tym sposobem utrzymuje się między professorami współubieganie się i dbałość o postęp z nauką, i uczniowie także zapłaćciwszy za kurs starają się ile można korzystać za swoje pieniądze; wreszcie słuchając wykładu w tym samym przedmiocie kilku professorów różniących się, często w zapatrywaniu się na rzeczy, sami własnego nabierają o nich sądu i stają się przez to samodzielni. Uniwersytet berliński ma w swoim gronie mężów, jeżeli nie najśfawniejszych w świecie, to pewnie w całych Niemczech. Jakoż dość wspomnieć Buscha, Dieffenbacha, Ehrenberga, Froripa, Jüngkena, Klugego, Linka, Joh. Müllera, Mütscherlicha, Romberga, Schönleina, Schultza i wielu innych, z których każdy znany medycznemu światu, każdy z zamiłowaniem swemu przed-

miotowi oddając się, już przez własne odkrycia, już przez korzystanie umiejętne z cudzych, stara siebie i swych uczniów utrzymać w równi z postępem czasu i wzrostem nauki. Tęgo jednak zataić nie można, że cudzoziemiec chcący odbyć w Berlinie całkowity kurs nauk lekarskich, albo kształcić się dalej po odbyciu go w innym uniwersytecie, bez znacznych funduszków nie dałby sobie rady; bo tu nigdzie bez karty wejścia (Einlass, Karte) nikogo nie w puszczają; gościnnosc zaś na prelekcjach a tém bardziej w klinikach nie jest tu w modzie (1).

Professorowie wiedeńscy daleko mniej są znani za granicą Austrii; zdaje się to pochodzić od braku emulacyi: otrzymawszy bowiem raz katedrę, łatwo się zaniedbują i nie postępują jakby powinni w równi z nauką i czasem. Może też przyczyny tego złęgo dalej należałoby szukać, to jest w rozwinięciu samego związku oświaty narodowej, czyli systematu nauk szkolnych, w których szczególniej zwracają uwagę na mechaniczną około języków starożytnych pracę, a nie zachowują odznaczającą szkoły pruskie — troskliwość o kształceniu umysłu przez filozoficzne rozwinięcie nauk przyrodzonych i dążność filozofii 19<sup>go</sup> wieku jest jeszcze kamerą obskurą dla Austrii. Przyzwyczajeni do mechanicznego trybu rzeczy, kręcą się jak maszyny pu-

(1) W miesiącu Lipcu 1842 roku, w klinice Schönleina byłem świadkiem następnego zdarzenia. Skoro wszedł do sali chorych i zobaczył kilku słuchaczy co bez zapłaty weszli, w te się odezwał słowami: „Meine Herrn da ich so viele fremde Gesichter hier sehe so schliesse ich für Heute meine Vorlesung, Morgen werde ich wieder anfangen“ poczem zaraz wyszedł. Zdziwiła mnie niezmiernie taka interessownosc w tak sławnym ze swej popularności męzu; ale niestety! widziałem ją własnymi oczyma.

szczone w obieg przez siłę poruszalną, nie czułe na wszystko cokolwiek za ich obrębem dzieje się. Rzekłbyś że Stoll, Brown i Frank jeszcze tam żyją; bo od ich czasów medycyna w Wiedniu ani na krok nie postąpiła, i profesorowie wiedeńscy przejęci zupełnie ich pojęciem rzeczy, przemawiają nieledwie własnymi ich wyrazami.

Kiedy jednakże Wiedeń zdawał się usypiać na dawnych laurach i przed kilkoma jeszcze laty lekarze cudzoziemscy i to okulistyce poświęcający się, przyjeżdżali tylko dla Jaegera i Rozasa, nagle zjawili się na horyzoncie wiedeńskim dwaj mężowie — Skoda i Rokitansky, czujący w sobie dość siły i charakteru do wybicia się z pod miejscowego pedantyzmu i zrównania się z resztą medycznego świata Europy. Silnym i szczerem współdziałaniem i nieugiętą pracą dowiedli cudu niesłychanego dotąd w Austrii; bo zostali profesorami nadzwyczajnymi, otrzymawszy pierwszy klinikę chorób piersiowych, drugi katedrę anatomii patologicznej. Dwaj ci mężowie otworzyli zawód do współubiegania się nie tylko swym rówieśnikom ale nawet i młodszym pokoleniom (2), i oddali wielką przysługę krajowi już to przez osobiste swoje znaczenie, już to, że wzbudziwszy między profesorami emulację, wprowadzili go na drogę ciągłego postępu z czasem. Skoda i Rokitansky są twórcami nowej niejako szkoły wiedeńskiej; do czego wielce im pomogło założenie sali sekcyjnej (Todten - Kammer), do której z jeneralnego szpitalu (Allgemeine - Kranken - Haus) ciała zmarłych nie na sta, ale na tysiące rocznie liczące się, są skfa-

(2) W roku 1841 D. Schuh został nadzwyczajnym profesorem kliniki chirurgicznej.

dane. Rozbiór szczegółowy zasług tych dwóch ludzi byłby za rozwlekły w tym artykule i nie zgadzałby się z celem jego; wszakże kto czytał w ostatnich latach po rozmaitych pismach peryodycznych ich rozprawy, przyzna, że się odznaczają jędrnością stylu i oryginalnością myśli i pojęć, a dzieło Skody o Auskultacyi i Perkussyi, którego już drugie wyszło wydanie, dowodzi, że on godnym jest Auenbruggera i Länneka następcą.

Szkoła Länneka czuła, że Anatomia patologiczna jest światłem z którego promienie racjonalnej teoryi a nawet i wskazań terapeutycznych rozejść się muszą. Jednakowoż, jakkolwiek dużo miała stronników, nie udało się im wyjść z obrębu symptomatycznych postrzeżeń. Obraz choroby powzięty przy łożku chorego, nie odstępował ich przy sekcyi; i dlatego Anatomia patologiczna zapełniała często mamiłami próżnią pomiędzy symptomatami a chorobą. Bo i któryż z lekarzy przystępując do sekcyi z właściwą sobie teoryą i ze spisana przez siebie historią choroby, ustrzeże się aby w trupie nie upatrył zmian potwierdzających jego dyagnozy, a tém samem uwalniających sumienie od ciężkiej odpowiedzialności? Rokitansky pierwszy poznał prawdziwe znaczenie Anatomii patologicznej, pierwszy nadał prawdziwy jój kierunek. W szpitalu ogólnym (Allgemeine - Kranken - Haus) nie lekarz ordynujący robi sekcyę, ale professor Anatomii patologicznej; któremu nic nie zależy na udowodnieniu biegłości dyagnostycznej lekarza i usprawiedliwieniu Terapii jego. Rokitansky znajdując zmiany patologiczne w trupie, zadaje sobie pytanie—dla czego one nastąpiły, jakich fizycznych i fizyologicznych możliwości mogła być ta zmia-



na przyczyną? i gdy jedne z drugimi porównywa, dochodzi do prawdopodobieństwa, którym my w nauce lekarskiej zadowolnieni być musimy.

Jego metoda wnioskowania nie zaczyna się np. od zaziębnienia, po którym wszczął się kaszel a następnie zapalenie płuc, ale od zwałrobienia (hepatisatio) płuc. Poszukuje więc jakim sposobem się ono rozwinąć mogło, jakie przyczyny zmianę tę zrzędziły i jakie oznaki wykształceniu się jęj towarzyszyły. Jest to aprioryczna konstrukcyja postępu choroby i etiologicznych z nią stosunków; jednakowoż różni się ona od owęj aprioryczno-idealnej, do której dawniej przyzwyczajeni byliśmy. Ta daje nam wypadki wykazując możliwości, a tamta ogłaszając się za nieomylną ma tylko same idee; możliwości zaś oparte na realnych wypadkach mogą nam utorować drogę do zbliżenia się do prawdy. Przyzwyczajeni dawniej, analitycznie postępując, patrzyć na ogólny obraz choroby powzięty z przedstawiających nam się symptomatów i ich związku, wnosząc następstwo z poprzedzających, zapomnieli lekarze, że nie było nigdzie punktu stałego oparcia się, że się miało do czynienia z ulotnemi rozmaite znaczenie mogącemi mieć phenomenami. O ile stanowisko z którego Rokitansky wychodzi jest ważnem, czas pokaże; a chociaż dziś byłoby przedwczesnem rozgłaszać nowe teorye, to jednak pewna, że on nadał Anatomii patologicznej to znaczenie, które ona mieć powinna dla Patologii i Terapii, i że przyjdzie czas w którym Patologia otrząsnąwszy się ze spostrzegania tak niepewnych i rozmaicie mogących się tłumaczyć symptomatów, uzasadnioną zostanie na zmianach do udowodnienia łatwych, a co do znaczenia swego na prawach fizyki

i fizyologii opartych. Przyjazném to jest dla nauki zrzędzeniem losu, że Skoda i Rokitansky są współczesnemi sobie. Gdyby bowiem nie wspierali się wzajem, dwa te przedmioty jako nierozdzielném połączone węzłem, nie doszłyby nigdy do tego na jakim dziś są stopniu świetności.

Kto pozna całą wagę dążności téj że tak nazwę nowój szkoły wiedeńskiej, życzyć tak jak my będzie, ażeby i u nas w Polsce po szpitalach ustanowiono biegłych prosektorów, którzyby przystępując do sekcji z zupełną bezstronnością opisywali tylko to co znajdują; a idąc w ślady Rokitanskego, ze znalezionych odmian dyagnozę pośmiertną wyprowadzali. Ten bowiem jest jedyny sposób kontroli nad spostrzeżeniami przy łóżku chorego przez ordynującego lekarza poczynionemi, ten jest jedyny środek podnoszenia coraz wyżej naszej nauki i zbliżenia się stopniowo do nieomylnéj prawdy. Rozwodząc się nad zasługami tych dwóch uczonych wiedeńskich, nie poniżam przez to uczonych berlińskich, owszem oddaję im należną sprawiedliwość. Wyznać bowiem winienem, że kiedy w Wiedniu sam tylko Skoda obznajmiony był z Auskultacją i Perkussją, i nauka ta dla reszty lekarzów wiedeńskich była nie tak nową jak raczéj zupełnie obcą, profesorowie berlińscy już się z nią dostatecznie byli oswoili. A gdy dziś jeszcze w Wiedniu wyliczać z ogółu lekarzów trzeba tych co się tą nauką zajmują, i to tylko z grona młodych lekarzów ponajwiększej części uczniów Skody, w Berlinie krócejby było wyliczyć tych którzy się tą nauką nie zajmują, mianowicie lekarzy w wieku podeszłym; bo młodsze pokolenie ma o ważności przedmiotu przekonanie, zaniedbywać go nie pozwalające. Że Anatomia

patologiczna w Berlinie nie wzięła jeszcze tego kierunku jaki jej Rokitansky nadał, jest łatwo pojąć. Krótkość czasu nie dozwoliła jeszcze wszystkim przekonać się o ważności tego sposobu widzenia i stosowne do tego przedsięwziąć środki; jednakowoż przekonany jestem że w krótcie Berlin uzna całą zasługę Rokitanskiego i pójdzie jego śladem. A jako Berlin nie przejął się jeszcze nową dążnością Anatomii patologicznej, tak znowu życzyłoby należało, aby w Wiedniu Fiziologia na wyższym stanęła stopniu; Berlin bowiem mając Ehrenberga, Müllera, Schultza a z młodszych Roberta Renaka, współziomka naszego, ludzi prawie co chwilę nowe czyniących spostrzeżenia, pochlebiać sobie może, że Wiedeń przy najlepszych chęciach powołnym bardzo krokiem za nimi postępować będzie.

Kiedy uczeni Berlińscy i Wiedeńscy z zapałem i poświęceniem pracowali nad zbadaniem tajników natury, ukazał się w przeszłym dziesiątku lat w Szląsku austriackim, nowy Neptun, zarazem alchimik, który zwalając wszelkie teorie w medycynie, całą jej terapią zredukował do jedności, i dowiódł światu, że i z wody można złoto zrobić. Któż nie wie ile ten nowy sposób leczenia hałasus wszędzie a najwięcej może u nas narobił? przyczynę tego łatwo odgadnąć. W wieku naszym powszechny kierunek wykształcenia jest encyklopedyczny. Wszyscy niemal roszczą sobie prawo, znać wszystko i i wiedzieć o wszystkiem. A że na to geniusz nawet nie jest wystarczający, zwykle też ludzie miernych zdolności, chcąc się o wszystkiem dowiedzieć, po większej części nic nie wiedzą. Któryż z takich encyklopedystów, że dotknął się szkieletu, że widział fizyologiczne dzieło, że kilka kartek z dictionaire de sciences medicales przeczytał,

nareszcie któraś dama przerzuciwszy cztery tomy Buhana (3) niema pretensyi znać medycynę i o niej rozprawić? Tacy to nie wezmą od lekarza recepty, póki im nie wytłumaczy działania każdego z osobna środka, póki im nie dowiedzie, że to lekarstwo jest dla nich konieczne; często i po tak odbytej dyspacie, wymazują jakiś środek z recepty lub też jej nie użyją, jeżeli z ich widziemi się nie zgodna: a lekarz gubi się potem w domysłach, dla czego nie otrzymał pożądanego skutku, i musi kończyć na podejrzeniu aptekarza czyli nie dał starego i zwietrzałego preparatu. Medycyna stawszy się teraz popularną, przestała być jak dawniej tajemnicą, udzielającą się tylko ludziom wyłącznie jej poświęconym; nie zadziwia już nikogo, owszem kto tylko spaścił kilka lub kilkanaście wyrazów technicznych, sądzi lekarza z jego czynności jak sędziego kryminalistę. Wiek zatem ten potrzebował czegoś niezwykłego, nadzwyczajnego, o czém ani słownik medyczny ani Buhau nie pisze, i w samą też porę zjawił się mu Priessnitz, ogłaszając, że bez używania lekarstw to jest trucizna, czystą wodą wszystkie leczy choroby; co większa, że z ciała ludzi, trucizny, któremi ich przesycili lekarze, wodą jakby żelazo magnezem wyciąga i czystych (szkoda że i nie tak niewinnych jak nowo narodzone dzieci) społeczności wraca. Kogoż zaiste nie zwabiłaby taka obietnica równająca się cudom? Czytając rozmaite pisma wychwalające ową hidropatyczną metodę, ogłuszony jeszcze bardziej krzykiem obojój pści wyznawców Priessnitsza, już to wracających z Gracfenbergu i zapewniających jakich byli świadkami cudów, już to leczących

(3) Buhau la medecine domestique.

się podług przepisów Graefenbergskich spisanych przez Munda: chociaż wszystkim tym powieściom w części zaledwie setnej wierzyłem, tłumacząc sobie działanie wody, potów i ich skutki według znajomych nam lekarzom zasad, wzięła mnie przecież ochota przekonać się naocznie o wszystkiém; i dziś na zarzuty czynione mi dawniej przez entuzyastów hidropaty: »nie widziałeś, to nie mów« odpowiedzieć mogę: »widziałem i mówię z przekonania.«

W sierpniu 1841 roku przyjechawszy do Graefenbergu i zostając tam aż do 1<sup>go</sup> grudnia tegoż roku oświadczam szczerze i otwarcie, że wtém przeciągu czasu, nie widziałem cudów o jakich prawiono mi i pisano, ale widziałem zparaliżowanych bawiących po kilka i kilkanaście miesięcy bez najmniejszego ulżenia, chorych na rozmaite chroniczne wysypki (exanthemata) przez dwa i trzy lata napróżno usiłujących je zmyć wodą, skrofulicznych różnego rodzaju bez najmniejszego skutku po długim pobycie Graefenberg opuszczających, artrytyków niektórych doznających wprawdzie jakowejś ulgi, ale nierównie więcej takich, których stan od czasu pobytu w Graefenbergu pogorszył się, hypochondryków, których nerwy, kuracya ta jeszcze bardziej rozdrażniła; wreszcie przekonałem się, że wyleczenie arthritis *ce cheval de bataille* Priessnitza, jak się wyrażają jego entuzyaści, jest zupełnie bajeczne. Że cierpiący na hemoroidy i zatkania brzuszne (Unterleibs-Stokungen) ulgi doznają, nigdy o tém nie wątpię; ależ czyż koniecznym jest do tego użycie wodnej kuracyi? Niech urzędnik, literat, rzemieślnik, słowem kto tylko z przyczyny długiego codziennego siedzenia cierpi na hemoroidy i rozmaite z nimi w związku zostające słabości — chodzi, jeździ, zmieni

sposób życia, a obejdzie się bez Graefenbergu. Ale kiedy takiemu lekarz tych rad udziela, jakaż jest odpowiedź? Urzędnika: »rady te są zbawienne, ale jeżeli ja w biurze siedzieć nie będę stracę urząd;— literata:« książki to mój żywioł, ja bez nich żyć nie mogę;— rzemieślnika: »jeżeli ja nie będę siedział, któż będzie pracował na utrzymanie mojej żony i dzieci?« Ale jak tylko który z nich pojechałszy do Graefenbergu, zmieniwszy sposób życia, biegając po tamtejszych górach, doznaje ulgi w cierpieniu; nuż wysławiać ową wodną kuracją, nuż krzywić na lekarzy, że mu nic nie pomagali. Czasem kto na dowód swego twierdzenia coś skomponuje, drugi to usłyszawszy coś przyda, bajeczka z ust do ust przechodząc, coraz się zwiększa, »mobilitare viget viretque aequavit eundo« Virg. X. I. Aeneid; i ztąd to jak na drożdżach owe bajeczne cuda grefenbergskie urosły. Mówiąc tu przeciwko kuracyi w Graefenbergu bynajmniej nie jestem zdania, ażeby użycie zimnych wodospadów (douche), kąpeli, zawijania chorych w wełniane kołdry dla wzbudzenia potów, przez lekarzy zarzuconemi zupełnie były; bo Hipokrates jeszcze powiedział: »ne pigeat ex plebejis sciscitari, si quid ad curationem utile sit«, mówię tylko przeciwko ich nadużyciom, a raczej przeciwko niewiedomości ich zastosowania przez Priessnitza. Widziałem chorych, których skóra przez nadużycie wzbudzania potów tak była przedrażnioną, że i po cztery i pięć godzin zawinięci leżeli bez najmniejszego ukazania się potu. Widziałem gorączki nazywane przez Priessnitza nerwowemi, które niczém inném nie są, tylko gorączkami wzbudzonemi przez nadużycie wodospadów i kąpeli zimnych, gorączkami z przeziębienia, po wzbudzeniu potów we 24 godzin ustającami. Te to

także gorączki i inne rozmaite zjawiska nazywa Priesnitz przesileniem się choroby (crisis), ale po ich przejściu słabość pozostaje. Jest to najfałszywsze pojęcie crisis; bo któż dziś nie wie, że pod tym wyrazem lekarze rozumieją wysilenie się natury, po którym choroba ustaje? A przecież przyjeżdżający do Graefenberga zapominają o tém, i łudzą się fałszywemi kryzysami Priessnitza. Wszelkie zapewnienia piśmienne i ustne jakoby Priesnitz wyprowadzał z ciała lekarstwa dawniej używane, są jak najfałszywsze, jako i to: że preparata merkuryalne w stanie pierwiastkowym w kąpielach siedzeniowych osiadać mają, że kołdry używane do potów i płótna do obwijania ciała przechodzą zapachem lekarstw dawniej używanych jak np. siarki i asafoetidy. Pomimo najstaranniejszego poszukiwania nigdzie nie mogłem dostrzedz nawet homeopatycznej dozy merkuryuszu. Kołdry i płótna czuć potem każdemu właściwym, ale żadnego zapachu aptecznego odkryć nie mogłem; a przecież z tej to fikcyi wylągnął się przesąd, że przy kuracyi wodnej żadnych lekarstw używać nie można: bo jakżeż do zatrutego już ciała jeszcze dodawać trucizny? Priessnitz nie mający wyobrażenia o działaniu lekarstw, nie mógł inaczej postąpić, tylko je wszystkie za trucizny ogłosić; bujna zaś imaginacya hypochondryków i histeryczek dająca im widzieć lekarstwa w wodzie, w której się moczyli, i czuć ich zapach przez poty się wydobywający, zdanie jego utwierdziła.

Przesąd przeciwko wszelkim używaniom lekarstw tak jest ogólnym w Graefenbergu, iż jeźeliby który z lekarzy radził komu napić się rumianku, ogłoszonoby go natychmiast zbójcą, człowiekiem czychającym na życie chorego, chcącym go otruć; a są nawet i tacy, co na

sam widok lekarza wpadają w furję; bo Priessnitz im nabił głowę, że lekarze są przyczyną ich cierpienia, że lekarze zatruli ich ciało. Priessnitz nie znający nic a nic zasad medycyny, ma takie o niej wyobrażenie, jak ślepy od urodzenia o świetle i kolorach. A chociaż kulawy nie zwykł brać ślepego za przewodnika, zalotna piękność nie zwykła go radzić się jaki jój kolor do twarzy. przystoi, wiedząc że on o świetle i kolorach niema wyobrażenia, z Priessnitzem przecież inaczej się rzecz ma. Nie wie on kulawych widomych, nie radzi przenikliwemu wzrokowi zalotnicy, ale przewodniczy niewidomym jak sam, przystraja ślepe kokietki w strój najdziwaczniejszy i dla nich najniewłaściwszy, i oni temu radzi; bo nie mając sami wyobrażenia o świetle, nie mogą się ujrzeć w zwierciadle prawdy, bo błonę ich rogową oka pokrywa ciemna zasłona niewiadomości. Zwolennicy hydropatyj są to ci sami, a przynajmniej do téj saméj kategorii należący (bo z tamtych wielu już radykalnie wykurowanych przeniosło się do wieczności), co przed niedawnymi czasy hołdowali miészaninie Le Roy; ci sami co pożerali gorczycę i cytryny, ogłaszając je za ogólny środek leczenia wszystkich chorób; ci sami co się chcieli utuczyć pigułkami Morysona; nareszcie ci sami, którzy dziś po odbytej kuracyi w Graefenbergu, przekonawszy się, że im albo nie pomogła, albo też zaszkodziła, udają się do bliskiej wioski pod Graefenbergiem, Lindenwiese zwanéj, do kolegi Priessnitza nazwiskiem Schrott, który wbrew zasadam jego, potępiając użycie wody, zaledwie pozwala chorym ugasić nią pragnienie, zawija ich w kołdry wełniane, poci ich przez 5 lub 6 godzin dziennie, za pokarm daje tylko czerstwe bułki, w początkach jedną, potem dwie



a najwięcej trzy na dzień, i pomimo tak uciążliwej kuracyi, ma przecież zwolenników!; bo zwiedzając jego zakład zastałem do kilkudziesięciu chorych, a z tych niektórzy zapewniali mnie, że im ta kuracya nadzwyczaj pomaga, i miotali pioruny na Priessnitza, że ich swoją wodą chciał otruć. Zwolennicą hydropatii jest klasa ludzi skłonna lgnąć do byle jakiej nowości tak dalece, iż przypuścić można, że gdyby kto ogłosił że leczy gorącą smołą wszystkie choroby, zaraz znalazłby w niej zwolenników; bo każda nowość się im podoba, każda ich bawi i łądzi, póki się druga na jej miejsce nie zjawi. Nie jestże to dziwném, że osoby po trzy i cztery lata w Graefenbergu bez żadnego skutku siedzące i ciągle obiecanych przez Priessnitza kryzysów wyglądające, chwala sobie przecież tę kuracyą; bo powiadają, że przynajmniej lekarstwami nie zatrują swego ciała? Przekonałem się także o fałszywości zwykłego sofizmu entuzyastów Priessnitza: że jego kuracya jeżeli komu nie pomoże, to pewnie nie zaszkodzi. Pominąwszy bowiem co się wyżej rzekło, że stan hypochondryków po tej kuracyi znacznie się pogorsza, widziałem podczas czteromiesięcznego pobytu w Graefenbergu, chorych na wysypki chroniczne, którzy jeżeli wysypka schowała się, doznawali rozmaitych cierpień wewnętrznych, w organiczne słabości przemieniających się. Widziałem bardzo wielu co dawniej nie znając reumatyzmu, po tej kuracyi nabawili się tak mocnego, że go się pozbyć nie mogli; widziałem i takich, których ta kuracya zgubiła. Na dowód czego, nie licząc cudzoziemców, wspomnę tylko o Zygmuncie hrabi Działyńskim i półkowniku Sierawskim; którzy oba skłonni do apoplexyi (lecz mogący żyć jeszcze długo gdyby w Grac-

fenbergu nie byli), padli ofiarą niewiadomości Priessnitza: pierwszy po dwumiesięcznej, drugi po trzech-tygodniowej kuracyi. Chociaż mnie zapewniano, że to nie pierwsze i nie jedyne było tego rodzaju zdarzenie; piszę przecież o tém tylko, czego sam byłem świadkiem. Wypadki zaś takie nie dowodzą zapewne upatrywanój w Priessnitzu przez entuzyastów jego bystrości w poznawaniu chorób, i uciszyć powinny głosy tych ludzi, którzy jak to zwyczajna stronników różnych, w umiejętnościach, udawań, kłamstw i złudzeń, rozgłaszają tylko dobrą ich stronę, a milczą o wypadkach, które niepowetowanych wielu rodzin strat były przyczyną. Niepodobna mi także uwielbiać bezinteresowności Priessnitza; bo przekonałem się, że nie przestał być człowiekiem, że bogatych od których spodziewa się lepszego wynagrodzenia, odwiedza codzien bez potrzeby, a do ubogich po dwa i trzy tygodnie nie zajrzy, chyba, że już gwałtowna zajdzie tego potrzeba. Żałuję mocno iż w żaden sposób nie mogę przystąpić do zdania tych, co przypisują Priessnitzowi geniusz lekarski; widzę ja w nim geniusz ale inny—to jest, geniusz robienia pieniędzy. Jeżeli atoli sztuka jego uwodzenia w rzeczach lekarskich na potępienie zasługuje, przyznać należy z drugiej strony na jego wielką zaletę, że on pierwszy potrafił obudzić w publiczności wiarę w dyetę, w konieczność ruchu ciała, w potrzebę porzuczenia potraw i napojów rozpalających. Od najdawniejszych czasów aż do Hahnemana, żaden lekarz wpływu tego nie wywarł na publiczność; sam nawet Hahneman, pomimo, że dużo miał zwolenników, tak stanowczo nie wpłynął na przekonanie ludzkie. Tę jedyną powtarzam ma zasługę Priessnitz, iż zalecając użycie pokarmów pojedynczych, rozbrat

z napojami spirytusowemi, spowodował przystąpienie do diety najwłaściwszej człowiekowi. Jak Priessnitz absolutnie odrzuca wszystkie lekarstwa, nazywając je truciznami, tak ja wcale, jakem to już wyżej powiedział, nie jestem przeciwko używaniu wodospadów, kąpeli zimnych, zawijania chorych w wełniane kołdry i t. p.; ale jestem tego jednak przekonania, że one same nie są dostateczne do wyleczenia wszystkich słabości, że woda nie jest uniwersalnym środkiem na wszystkie choroby, nie jest owym oddawna szukanym kamieniem filozoficznym.

Każdy naród, każdy kraj, każda niemal prowincya, ma sobie właściwe środki i metody leczenia. Wszystkie według rozmaitych potrzeb, więcej przez przypadek i instynkt aniżeli przez rozumowanie wynalezione; a według tego co Józef Frank dobrze wyraził »Non enim obliviscendum potiora remedia, non ratiocinio sed casui debere,« lekarz i lud nie powinni stanowić dwóch odrębnych kast indyjskich, nie powinni żyć rozdzieleni: lekarz od ludu, a lud od lekarza uczyć się powinien. Prawdziwy lekarz, którego najwyższym celem było i będzie niezawodne wyleczenie swych chorych, dla którego chorzy są najświętszą rzeczą na ziemi, jego życiem, niebem, jego Bogiem i religią, prawdziwy lekarz pocieszyciel cierpiącej ludzkości, przekona się i przyzna, że najlepszych wiadomości więcej z życia, z doświadczenia nabył, aniżeli ze szkoły w jakiegokolwiek się kształcił; przyzna, że praktyka jest probierczym kamieniem wszelkiej teoryi. Przeciwnie, lekarz odrzucający wszelką teoryą, zapominający wszelkich swych poprzedniczych wiadomości, uciekający się do jednego jakiegoś ogólnego środka, nie z przekonania (bo temu nigdy nie uwierzę), ale z wyrachowania, ze spe-

kulacy, przestaje być lekarzem, pocieszycielem cierpiącego człowieka, i staje się spekulantem, uwodzicielem, prawdziwą i srogą plagą rodu ludzkiego. Każdy zwolennik ogólnego środka na wszystkie słabości, niech tylko zawierzy sobie samemu i swojej sztuce, a pewnie znajdzie wiarę u publiczności: jeden tylko mając środek na wszystkie choroby, najmniej potrzebuje czasu do postawienia dyagnozy, a nawet nie potrzebuje go wcale. Środek jego wszystko leczyć powinien; po cóż mu więc wiedzieć co leczy? Dla niego niema ciemnego symptomatu, niema w organizmie tajemnic! Dla tego to cyrulicy i rassowi hydropaci (4) zawsze mają gotową odpowiedź. Piérwszy na zapytanie chorego odpowiada: puścić krew, pijawki przystawić, wziąć enemę, lub przyłożyć dyachylon; drugi, zawinąć w kołdrę, pocić się, wziąć kąpiel zimną w wannie, potem wodospadową i t. p. Choremu ani do myśli nie przyjdzie spytać się takiego lekarza—dla czego to każe robić? Wjakimżeby był kłopotcie Priessnitz, gdyby mu podobne zadano pytanie? Ale entuzyaści wodnej kuracyi, zawczasu ostrzegają, że Priessnitz wie, tylko nie potrafi się wytłumaczyć: dla tego mu wszyscy wierzą i ślepo wykonywają jego rozkazy. Wiara może się obejść bez przekonania, ale przekonanie nigdy bez wiary. Człowiek wiary żyje tylko w terażniejszości, przyszłość nie może wyrokować o prawdziwości jego wiary, ponieważ sama jest czasem: usprawiedliwienie myśli i działań każdego, należy tylko do terażniejszości. O ile uwagi moje o kuracyi w Graefenbergu są prawdziwe,

(4) Pod tym wyrazem rozumiem wszystkich tych, którzy do leczenia swych chorych, prócz wody żadnych lekarstw nie używają, a nawet użycie takowych potępiają.

każdy się będzie mógł przekonać. Prawda sama tylko nie żyje w czasie: jest ona jasnym promieniem Boga i dla tego wieczna jak On. Każdy lekarz, każdy uczoney, zrzucając z siebie obłudny płaszczyk wiary, przez teorią i empiryą dochodzi do świątyni prawdy, i im więcej ślepą wiarę w sobie pokonywa, tém więcej się zbliża do światła prawdy. Ale ta walka jest ciężką, nie jeden upadnie na siłach, wypocznie, pojedyncze światełka olśnią go, i zamiast postępować rakiem lezie; w pół-spiący sądzi że czuwa, a że inni marzą; a kiedy sam marzy, sądzi że to jest na jawie. Kuracya wodna znalazła zwolenników i w samych lekarzach. Ci którzy dali się uwieść jej łudzącym pozorom, którzy nie dla spekulacyi przeszli na wiarę hydropatyi, ockną się z letargu i powrócą do prawdziwego światła i prawdziwej nauki. Tych zaś, którzy przez spekulacyą się od niej oderwali, niema się czego obawiać; bo prawdziwa nauka miała i mieć będzie po wiek wieków swych obrońców i prawdziwych kapłanów, bo prawda jak Bóg jest wieczną.



POMIAR BAROMETRYCZNY  
**Ż U P Y B O C H E Ń S K I É J**

W MIESIĄCU MARGU R. 1843 WYKONANY

przez

*L. Zejsznera.*

---

Z dyplomatów pochodzących z czternastego wieku okazuje się, że starożytna żupa wielicka od sześciu wieków soli kamiennéj dostarcza. Znakomite ilości w tym przeciągu czasu wydobyte tego do życia niezbędnego minerału, dały początek niezmiernym jamom, które zdumiewają podróżujących. Są to największe na świecie próżne przestrzenie w łonie ziemi zawarte. Odmienna budowa pokładu wielickiego od bocheńskiego, wpłynęła na różny sposób dobywania soli w dwóch tych kopalniach; a stąd wynikła każdéj właściwa fizognomia. Pokład wielicki składa się z brył soli zwanéj zieloną, zajmujących wierzchnie onegoż części; w spodniéj zaś spiżowa i szybikowa tworzą pokłady. Wybrana sól z tych dwóch odmiany dała początek niezmiernym jamom, mającym trzy równe wymiary, albo podłużnym ale niskim przestrzeniom, rozciągającym się pod piérwszemi. Pokład bocheński przeciwnie składa się z licznych równoodległych warstw soli 6 do 15 stóp grubych, stojących prostopadle, albo pod znacznym kątem do poziomu nachylonych, iłem szarym i anhydrytem czyli gipsem bezwodnym poprzedzielanych. Wybrane owe cienkie warstwy dały początek podłużnym, nieco pochylonym korytarzom, nie mającym malowniczych widoków

i dlatego żupę bocheńską rzadko kto z ciekawości odwiedza. Nierównie znaczniejsza grubość pokładu wielickiego od bocheńskiego sprawia, że w Wieliczce odbywają się roboty górnicze jeszcze w wierzchnich częściach, w Bochni zaś trzeba się było niżej spuszczać, i dlatego ta kopalnia nierównie jest głębszą. Rzecz ta od dawna jest wiadomą. Sydów w swym opisie jeograficznym Tatrów podał nawet w liczbach głębokość żupy bocheńskiej; gdy jednakże te daty nie są usprawiedliwione jak zostały wykonane i przez kogo, uważałem że nie będzie zbyt cenną rzeczą rozpoznać ze ścisłością stosunki jeograficzne tej małej w powszechności znaną żupę. W rozprawie o pomiarze barometrycznym żupy wielickiej, ogłoszonej w Tomie I. Nowych roczników Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, przez kilkakrotne powtarzanie okazałem, że barometer również zdatnym jest narzędziem do mierzenia wzniesień nad poziom morza wystających, jak do wyznaczenia głębokości kopalń zapuszczających się pod poziom morski. Barometer tylko wprost przeciwnie zachowuje się na górach i kopalniach. Im wyższa góra, tém słup merkuryusza rurki barometru jest niższy; przeciwnie w kopalniach, im ta jest głębszą, tém słup wyższy.

Pokrótkie opowiem jakim sposobem wykonywałem pomiar w żupie bocheńskiej zapomocą barometru, odsyłając bliższą wiadomość powziąć życzących do Rocznika wydziału Lekarskiego T. II. z r. 1839, lub do dziennika Poggendorffa: *Annalen der Physik und Chemie* T. 59 str. 230 Po porównaniu do podróży przeznaczonego barometru, przez Greinera w Berlinie sporządzonego, ze stałym barometrem obserwatorium krakowskiego, udałem się w miesiącu marcu r. b. do Bochni, zapisawszy

poprzednio różnice pomiędzy niemi zachodzące. W czasie podróży robił p. Steczkowski codziennie kilka razy odpowiednie obserwacje na stałym barometrze w obserwatoryum umieszczonym, co godzina zaś począwszy od 6 rano do 6 wieczornej w dniach do zwiedzania żupy przeznaczonych. Tym sposobem każda obserwacja w kopalni robiona znalazła sobie odpowiednią. Po powrocie nie mógł być barometer na nowo porównany, albowiem w końcu podróży został uszkodzonym; aże w ciągu obserwacji nie doznał żadnego wstrząśnienia, poprawka na początku podróży zrobiona tylko wciągniętą została do obrachunku. Prócz barometru uważałem równocześnie stan dwóch termometrów; jednego na barometrze, drugiego wolno zawieszonemu. Po porównaniu obserwacji tak barometrycznych jako i termometrycznych w czasie podróży wykonanych, z obserwacyami nastającym barometrze i termometrze obserwatoryum krakowskiego wykonanymi, obrachował różnice p. Steczkowski według tabliczki Gaussa; i z tego wypadła wyniesienie i zagłębienie dla następujących punktów, wyrażonych na tablicy:



Miejsce obserwacji	Barometr w calach paryżkich	Termometr na barometrze	Termometr zewnętrzny	Liczba obserwacji	Barometr i Termometr w Krakowie	Stopy paryżkie.
7—8 Marzec	329 <sup>o</sup> 26	+ 870 R.	— 0° 8 R.	2	+ 1° 3	— 0° 2
8	332, 47	+ 11,0	— 0, 14	1	+ 2, 8	+ 0, 35
8—10	334, 10	11, 8	+ 1, 58	4	3, 5	0, 87
9	333, 38	7, 5	1, 7	2	2, 8	1, 4
11	333, 46	16, 1	3, 48	4	3, 2	1, 4
10	337, 19	11, 0	10, 1	2	333, 76	2, 9
10	342, 45	14, 3	13, 7	2	334, 20	2, 0
10	345, 86	15, 6	15, 2	3	333, 99	0, 8
9	347, 54	15, 5	15, 1	3	334, 07	— 0, 1
9	348, 70	16, 2	16, 3	2	334, 32	+ 2, 1
—15	329, 18	12, 4	4, 9	12	326, 48	4, 18
15	325, 57	13, 6	8, 9	4	326, 59	7, 45

(1) Znak mniej znaczy, że miejsce znajduje się pod poziomem morza.

Najgłębsze niejsce żupy bocheńskiej, chodnik Grubenthal leży zatém 388 stóp paryzkich pod poziomem morza. Chodnik Lill 314 s. p. również pod morzem; 204 również pod morzem chodnik Podmoście. Miasto Bochnia leży 645 s. p. nad zwierciadłem morza, a zatém kopalnia rachując od poziomu oberży, znajdującój się na drodze prowadzającój się do Wieliczki, jest głęboką 1033 s. p.; od otworu szybu Regis zaś rachując, 997 s. p. od otworu szybu Kampi leżącego na wzgórku północnym 1099 s. p. Mało jest zatem kopalń również głębokich na wschodzie Europy jak Bochnia. Niektóre wprawdzie kopalnie węgierskie są głębsze od bocheńskiej, jakoto: w Szpanej dolinie (Herregrund) przy Bystrycy Bańskiej (Neusohl); ale ta znajduje na wysokości 2,000 s. p. nad poziom morza wyniesionój, i nie sięga nawet powierzchni morza. Kopalnie Uralu za zbyt są nowe, aby dochodzić mogły do znaczniejszej głębokości.

Imię kopalni	Głębokość w stopach paryzkich	Imię kopalni	Głębokość w stopach paryzkich
Grubenthal	388	Podmoście	204
Lill	314	Bochnia	645
Regis	997	Wieliczka	1033
Kampi	1099	Herregrund	2000
Neusohl	2000	Ural	nowe

## ODPOWIEDŹ

NA UWAGI P. DUBROWSKIEGO

przez

A. Tyszyńskiego.

---

Winni jesteŝmy odpowiedź p. Dubrowskiemu. Do sądów o dziełach sztuki pisze zwykle komentarze bieg czasu, z zarzutów na polu nauk winien się usprawiedliwić sam autor. Uwagi Redaktora Jutrzenki o piśmie naszym *Rys oświecenia Słowian* (właściwiej o jednym lub dwóch oddziałach tego pisma) z zajęciem odczytaliśmy. Miłość nauk mamy dla nauk. Uwagi te rozważyliśmy owszem bliżej, i przedstawiamy wnioski.

Najnowsi badacze myśli, nader trafnie rozwinęli to postrzeżenie, iż myśl nasza trzy główne chwile (momenta) przejść musi, nim dojdzie do stanu prawdy. Pierwszym jest — jęj poczęcie (zbudzenie się *wewnątrz*), drugim — odbicie o *przedmiot*, trzecim — powrót i *pojęcie* tego przedmiotu. To postrzeżenie o myśli znakomicie tęż, według nas wpłynąć by winno na sąd o jęj formach; sama forma musi zdradzać *moment* swęj myśli. Myśl zatrzymana np. w czasie spoczynku swego w przedmiocie (w swęj chwili *zgięj*) musi się wydać zewnątrznie w kształcie rozdzielenia, sprzeczności (jakoby rozjątrzenia) tak z sobą jak samym (*nieuznanym* jeszcze) przedmiotem. Kiedyśmy lat temu kilka, uczynili przed sobą zadanie przedstawienia włącym, ogólnym rysie oświaty wszystkich plemion słowiańskich, nie mieliśmy przewodników i wzorów, i nie mogliśmy przyjść do skutków

przed *obmyśleniem*. Przeciwnie myśl Recenzenta, który nas spotkał, zdaje się, iż się tylko *złamała* o przedmiot. Dla tego też ta myśl Recenzenta w jego uwagach przedstawiała się co do kształtu w stanie owego rozdzielenia z przedmiotem i z sobą (sprzeczności, gniewu). Dla tego też nasza odpowiedź na te uwagi nie objawi się w różnym kształcie.

Naszą odpowiedź na rozbiór chcielibyśmy tylko zewnętrznie odziać w dwie główne cechy: krótkość i jasność. Przytoczymy kategorycznie sami, każdy z zarzutów Recenzenta przynajmniej główniejszych i odpowiemy lub objaśnimy je prosto.

### I.

1. P. Dubrowski czyni nam najprzód zarzut: że *wstęp* nasz do Rysu oświaty Słowian, czyli wzmiankę o pierwotnych ich dziejach, uczyniliśmy według badań autora pisma czeskiego *Slowenske starozitnosti* (p. Szaffarzyka). Recenzent miałby przeciwnie prawo powstać, gdybyśmy nie uczynili tego co nam zarzuca. Zasługi dziejbadaczy naszych, ruskich i nawet germańskich, na polu dziejów szczególnych plemion słowiańskich nader znaczące są, ale na polu badań o dziejach pierwotnych Słowian wogóle, jeden p. Szaffarzyk *postąpił*. P. Szaffarzyk zjednoczył w swém piśmie to wszystko, cokolwiek pisarze dawni i nowsi rzekli już wprost, już pośrednio o dziejach ludów Europy północno-wschodniej, dodał owoc ze źródeł które sam posiadał, połączył to nicią krytyki i do pewnych wypadków doszedł. Główném zadaniem żywota p. Szaffarzyka zdaje się, iż było właśnie dojście do tych wypadków. Dotknąwszy tejże kwestyi i drogi, nie mogliśmy się *cofać* na drodze. Zjawiska pism i pisarzy czyliż są *zewnątrz* świata i nie

spełniają *zadań*? Te zadania czyliż być mają bez *związku* wstecz i nadal? W naszym czynieniu wzmianki o dziejach pierwotnych Słowian, rzeczywiście najwięcej winni byliśmy badaniom p. Szaffarzyka w *starożytnościach* i sami *wskazywaliśmy* to.

P. Dubrowski uczyniwszy uwagę, iż wszystko co powiedzieliśmy w oddziale *Plemiona Słowian*, wzięte jest z p. Szaffarzyka, dodaje: »DWA przypiski na str. 8 i 9 znajdują się u p. Szaffarzyka w *starożytnościach*« — »to co autor mówi o Mojmirze i Świętopetku wzięte jest z Szaffarzyka« (str. kryt 215). Czy te dwa ostatnie zdania są zbyteczne? czy pierwsze błędne? O pierwotnych dziejach Morawian powtarzaliśmy według p. Szaffarzyka i to wskazane. DWA przypiski są to dwie wzmianki w Tacycie i Pliniuszu o *Wenedach*, dwie jedynie wyraźne wzmianki o *Wenedach* w starożytności, wzmianki które znajdzie Recenzent nietylko w piśmie p. Szaffarzyka *Starożytności słowiańskie*, ale też w każdym badaczu (jako *Dobrowski*, *Siestrzeńcewicz*, *Szlecer* i t. p.) tego przedmiotu. Wzmianki w starożytnych i nawet nowszych do wieku VIII pisarzach wprost o Słowianach, są nader szczupłe i powtarzać się muszą koniecznie przez pisarzy jeden przedmiot dotykających. Jeżeli sam Recenzent zechce się kiedy zająć pisaniem dziejów pierwotnych Słowian, ujrzy natenczas, iż nie zdoła położyć cytacyi z pisarzy dawnych w przedmiocie Słowian, któraby nie była już w pismach którego z badaczy; tém bardziej w piśmie p. Szaffarzyka—*Starożytności*, które właśnie jest zbiorem wszystkich cytacyj.

2. Robi nam dalej Recenzent zarzut w przedmiocie *Lutyków* i *Rugii*. Powiedzieliśmy, iż *Lutyków* i mieszkańców *Rugii*, p. Szaffarzyk nie załączył do Sło-

wian Leskich jakkolwiek robi wzmianki o ich powinowactwie z Słowianami. Tak jest istotnie; dość jest spojrzeć w *Starożytnościach* na oddział *Słowianie Polscy*. Objaśnień które dołączył Recenzent, dowodząc przeciwnie, nie zrozumieliśmy.

3. Robi nam zarzut Recenzent w przedmiocie wylizania nazwisk plemion słowiańskich. Niewiemy istotnie czyli się mamy smucić, cieszyć lub tylko dziwić z wyszukiwania w ten sposób zarzutów przez Recenzenta? P. Dubrowski zarzuca nam, że zamiast *Korutanie*, *Kraincy*, wyraziliśmy się mieszkańce *Karyntyi*, *Karnioli* (tak jaśniej), że zamiast *Wendów* (jak to wnet niżej mówimy w Rysie) w przypisku umieszczone *Wenedów*, że wreszcie *Albańczyków* zaliczyliśmy niesłusznie do Słowian, alhowiem Albańczykowie-Grecy. Pochodzenie istotną Albańczyków nie jest dobrze udowodnione. Wielu z podróżujących po Grecyi, do Słowian ich zalicza. Nazwisko ich wskazujące na przydomek nadawany sobie przez ludy słowiańskie (*Białoserbowie*, *Białochrobotowie*, *Białorusini* i t. p.) zdaje się stwierdzać to.—P. Dubrowski w wydawaném przez siebie piśmie *Jutrzenka*, sam chwalił wdzięcznie artykuł w *Revue de deux Mondes* p. Cypriana Robert o świecie *Grecko-słowiańskim* (1) P. Robert właśnie w artykule tym zalicza i Albańczyków do Greko-Słowian; owszem Albanią za miejsce pierwotnego pobytu tak Słowian jak Greków podaje (2). W każdym razie nie od Sławianofila mogliśmy się tu spodziewać zarzutu.

(1) Jutr. Stycz. z r. b.

(2) „En effet, dodaje p. Rob. le peuple des Blancs s'étendait autrefois sur la plus grande partie de la prèsqu'île gréco-slave, où son séjour est attesté par les noms albanais de plusieurs villes te bourgades qu'habitent aujourd' hui les Serbes au les Hellénnes. On

4. Wzmiankując o dziejach leskich zwróciliśmy w *wysie* uwagę, że sławne bóstwo rugijskie nazywane dzisiaj *Swiatowid* albo *Swietowid*, winno się wymawiać *Świętowit*: tak bowiem spółcześni kronikarze mają (*Zvantewith*, *Svantewith* i t. p.). Przypisek o Świętowidzie, mówi Recenzent, wymaga »wiele sprostowań«: autor oświadcza tu: iż jest zdania pisarzy ruskich, że się mówić winno *Swietowid*, oraz, że podziela domysł p. *Wostokowa* (który p. Szaffarzyk znalazł dogodnym), że samogłoski nosowe istniały i w starosłowiańskim języku.

5. Wskazaliśmy na ułudę domysłów etymologicznych, przytaczając liczne wywody nazwiska *Rusi*. Najnowsze popisy (np. wywód nazwiska *Rusi* od *Rugii*) są téjże natury. I tu więc nie zrozumieliśmy ani zarzutów ani sprostowań autora. Recenzent wie o tém dobrze, że wywód Nestora od Russów najpowszechniej dziś jest podzielanym w saméj literaturze rossyjskiej. P. *Mogilnicki* w czasopiśmie lwowskim (z r. 1829) w rozprawie swéj o języku ruskim podaje Kijów za najdawniejszą i pierwotną ziemię ruską. Nestor mówiąc o południowej (Kijowskiej) Rusi, mówi: »jeże *nynie* zowiemaja Ruś« t. j. *teraz dopiero* (po rozciągnięciu pod Olegiem władzy Russów) tak nazywana. Pomiedzy domysłem dzisiejszym, a świadectwem spółczesném, rachuj za tém świadectwem idziemy.

## II.

6. Robiąc domysł (zgodny z kądinąd z wnioskiem *Mureta*) o miejscu pierwiastkowego pobytu {plemienia

*trouve même encore sur plusieurs points de la Bulgarie, de la Macédoine et de la Bosnie d'anciens villages où les Albanais, sont mêlés aux Tsintsar (Slaves hellénisés) Monde Greco-Slave art. les Albanais.*

Słowian, powiedzieliśmy, że najnowsi a najdokładniejsi pierwotnych dziejów słowiańskich badacze nie oznaczyli nam tego miejsca; oraz iż p. Szaffrzyk mimo zaliczenie Słowian na czele do pokoleń Indo-europejskich, uważa ich raczej za Tubylców, czyli za pierwotnych w Europie. P. Dubrowski twierdzi przeciwnie, i na dowód wzmiankuje, że p. Szaffrzyk mówiąc o *Górach* (jest to rozdział w *Star.* poświęcony jeograficznemu opisaniu kraju Słow., nie zaś badaniu o plemionach), wyprowadza źródłosłów *Karpat* od *Chrib Chrb wrch* gdzie Słowianie zamieszkiwać musieli od *dawnych* czasów; oraz przytacza text p. Szaffrzyka z początku jego pisma (o którym właśnie wspomnieliśmy), iż Słowianie są pokoleniem Indo-europejskiem.

Tu też dowodzi Recenzent, że przypisek o nazwisku *Serbów* zrobiliśmy według p. Szaffrzyka (?); i wreszcie wzywa nas o wytłumaczenie się ze zdania w r. 1841 w *kronice Bibl. Warsz.* o dziele p. Szaffrzyka objawionego. (3)

### III.

7. Do rozdziału o *wpływie obrzędów na oświatę i jej rodowość wśród Słowian*, zastosował autor recenzji kilka zarzutów historycznych.

Powiedzieliśmy w tym rozdziale, że dwór rzymski do czasu rozdzielenia nie wzbraniał odprawowania obrzędów w mowach krajowych, że przeto obrzęd Metodiuszowy mogący istnieć i w Polsce, nie oznaczał anti-współ-

(3) W kronice Bibl. Warsz. przedstawiane są zwykle jedynie wnioski, zwłaszcza o tłumaczeniach. Że w tém co jest powiedziane o dziele p. Szaffrzyka *Starożytności* nie wyrzeczone fałszy, odwołujemy się do przyznania samego P. Szaffrzyka.



ności z Rzymem. P. *Dubrowski* z jednej strony jest zdania, że autentyczność listu Papieża Jana VIII. (któryśmy na dowód uznania obrzędu słowiańskiego przytoczyli), sprawiedliwie jest zaprzeczoną (przez P. *Blumberger*); z drugiej zaś, że odprawowanie obrzędów w mowach krajowych nie stało się i następnie przedmiotem wyraźnego zakazu.

List Papieża Jana VIII. przywiedliśmy jako najbliżej będący w związku z naszym opowiadaniem dziejowém, zaprzeczenie przez p. *Blumberger* nie jest *dowodem*; zaprzeczenie to zkażdym jest żadne, pod względem przedmiotu listu. Do w. XI obrzędy w mowach krajowych były zawsze przez Rzym zatwierdzone. Fakta świadczą, że troskliwość Papieży ściągała się zawsze do Wiary nie do obrzędów, jeśli się zaś ściągała do obrzędów tedy ze względów wiary. Kraje które w owym wieku (XI) zostały przy pierwotnej spólności związków i dogmatów z Rzymem, otrzymały i zatwierdzenie obrzędów. Istnienie słowiańskiego obrządku do dni obecnych w krajach katolickich słowiańskich, które przed owym wiekiem chrzest przyjęły (jako w części Bułgarii, Dalmacyi czyli Serbii zachodniej i t. p.) jest najlepszym świadectwem istnienia jego i przedtém. Po zajęciu Grecyi przez Ottomanów i przejściu południa Słowian pod jarzmo ich, Stolica Apostolska szczególną owszem troskliwość ku obrzędowi słowiańskiemu zwróciła. Dla Kleru słowiańsko-katolickiego założono liczne seminarya w tym czasie, jako w *Spolato*, *Amisio*, *Lorecie* i t. p. (Farl. Illir. Sacr. T. III. 526 i 563). — Sobory w *Akwilei* (1596), *Spolato* (1688) (4), *Parenzo* (1733)

(4) Z akt Concilium *spolatyńskiego* dowiadujemy się: iż z liczby 30 parafii katolickich w Illiryi, 8 tylko odprawowało obrzęd

zwróciły szczególną bacność na czystość ksiąg liturgicznych słowiańskich. Papież Sixtus V założył w Rzymie kościół dla Słowian (S. Hieronima). Istnąca w Rzymie szkoła duchowna (Collegium graecum) była nie tylko dla Greków ale i dla Słowian. Przy kongregacji *de Propaganda Fide* istniała drukarnia słowiańska i wydawała (tak typami głagolickimi jako i cyrylicy) księgi słowiańskie (5). Bulla owszem Papieża Benedykta XIV (6) z powodu żądanej przez duchowieństwo dalmackie zmiany mowy dawniej na nową, wydana, istnienie obrzędu staro-słowiańskiego na nowo zatwierdziła i niezmiennosc tegoż zawarowała.

Jeśli jednak obrzęd słowiański w krajach w których był już użytym, teje co i łaciński doznawał od Rzymu opieki, względ na zmienność słów mowy potocznej a przeszłość, sprawiły: iż wprowadzanie obrzędów w mowie krajowej (w krajach gdzie się to jeszcze nie było stało) wyraźnie zostało wzbronionem. Liczne o tém listy papiezske, (7) bulle, sobory i wreszcie kanon IX Sessii XXII Soboru Trydenckiego: *Siquis dixerit, etc.* Powiedzieliśmy w tymże rozdziale, iż pod względem przedmiotu naszego

w języku łacińskim: „Quum inter triginta sex parochias hujus diocesis octo tantum sicut latinorum, cetero *illiricorum* aliqua ex dictis repetemus, plura adjungamus. Sforzia Penzenius bon. mem. Praedecessor noster a. 1620 constitutiones eidem Clero prescripsit libello contentas, quas confirmamus, *renovamus*“ etc. (Asvaemanus T. IV p 411).

(5) O drukach słowiańskich w Wenecyi i Rzymie *Dubrowski, Kopitar, Appendini* i t. d.

(6) „Ex pastoralibus munere etc.

(7) Jak np. list Grzegorza VII do Wratysława „króla“ czeskiego, gdzie między innymi ... „Scias nos huic petitioni tuae (o obrzęd w mowie krajowej) nequaquam posse favere ... ne id fiat auctoritate Beati Petri inhibemus“ etc ....



wcześniej (i podźwignęły) mowy krajowe. Fakt ten okazać się nie mógł w Słowiaństwie wschodniem, a mianowicie na Rusi, gdzie język cerkiewny jakkolwiek (jak to wyjaśnia najlepiej sam p. Dubrowski) skądinąd sprowadzony, był jednak zrozumiałym dla ludu i stał się językiem oddzielnym (uczonym), istniejącym tylko dla klasy duchownej. Recenzent na te twierdzenia powstał, lecz tylko powstał. P. Dubrowski zaprzeczył: iż tylko w Słowiaństwie zachodniem narzecz ludu na pismienne się zamieniały do ostatniego wieku, i zarzucił między innymi, żeśmy mowę Jaworskiego, Prokopowicza i t. p. oddzielnym dialektem nazwali. »Przecież wiemy, mówi odpierając Recenzent, że Jaworski, Prokopowicz, Bużyński i inni pisali *pomieszaniem narzeczem*«. Cóż jest właśnie dialekt, jeżeli nie pewien odcień językowy, który się nam wydaje pomieszaniem?

#### IV.

8. Uwagi nad rozdziałem o *Czechach*, Recenzent poświęcił jedynie apologii wpływu protestantyzmu na rodowość oświaty słowiańskiej, i jako na świadectwo dzisiejsze wskazał na *Peszt*, gdzie jest kaznodzieją protestant *Jan Kollar*. Właśnie świadectwo tegoż Jana Kollara jako najwłaściwsze przytaczaliśmy, dla wskazania owego wpływu.

#### V.

9. Zasmucił nas prawdziwie p. Dubrowski rozbiorem następującego rozdziału. Tak mylnie skreślił stanowisko nasze względem przedmiotu. W rozbiórce swym zdaje się, iż p. Dubrowski chciał tu wskazać: jako piszący dzieje, prawie mimowolnie zostawać niekiedy muszą pod wpływem już słów, już pism siebie bliższych; jako ztąd, obfitować w zasób uprzedzeń już względem plemienia

swego, już znow spóplemion. Zgadzaemy, się jeźli tak chce Recenzent; stanowisko to jednak równie spólne być może tak pisarzom jak i krytykom ich. W naszym krótkim obrazie *Słowianie Ruscy* wskazaliśmy na bezprzykładny a nagły postęp oświaty tych Słowian w przeciągu jednego wieku, postęp olbrzymią przyszłość dla krainy nauk niosący, a który odbity być musiał o fakt dziejowy długiiego ściągania się różnorodnych a wpoł jeszcze martwych pierwiastków. Powiedzieliśmy, iż rozpoczęcie 1° Okresu oświaty Rusi piękną podało wróżbę i wróżba ta niemylną się okazała zapewne; kilka jednak następnych wieków nie były jēj jeszcze spełnieniem. P. Dubrowski zarzuca nam, żeśmy przedstawili mylnie ten cały okres, żeśmy dostateczniej liczby faktów nie wyliczyli. P. Dubrowski w którémś miejscu swēj recenzji zrobił uwagę, że cały nasz rys historyczny szczuplejszym jest od jednego rozdziału starożytności p. Szaffarzyka. Tak jest istotnie: obfitość przedmiotu w jaknajciaśniejsze ramy ujęć staraliśmy się. P. Wiszniewski ogłosił już 4 tomy o dziejach oświaty w Polsce przed wprowadzeniem druku. W *rysie* jednak nie przytoczyliśmy z tego całego okresu, nad faktów parę. Dla czegoż pragnął Recenzent abyśmy dla jednego rozdziału tylko uczynili wyjątek? P. Dubrowski zamierzył w recenzji dowieść, że nasz obraz dziejowy był całkiem mylny, i rozwinął w tym celu nie rozpraw, badań i rozumowań, rozpraw może niepróżnych zalet; lecz które byłyby niewłaściwą ością śród *rysu*. Rysy dziejów wymagają nadto: faktów nie rozpraw. Powiedzieliśmy, że jedną z cech uwag autora recenzji, jest zwykle sprzeczność. Ta sprzeczność jest nawet wewnętrzną. P. Dubrowski w całym biegu swych uwag inne zwykle zakłada dowodzenie, inne ma wnioski. Przy

zaczęciu np. uwag Recenzent założenie uczynił, że wszystko w dwóch naszych oddziałach jest tak, jak u p. Szaffarzyka w Starożytnościach, i rozwijał dowody: iż wszystko w tych rozdziałach jest nie tak. Toż czynił z protestantyzmem, dialektami i t. p. Sprzeczności te tém się więcej ścisnęły w dziale obecnym, w którym autor każdy nasz szczególny peryod chciał pogrześć. Powiedzieliśmy iż dawne a z pierwszej epoki pisma Słowian ruskich jakkolwiek znakomite swą treścią, nie były jednak w języku ludu, ale w cerkiewnym, uczonym. Recenzent zaprzeczył i dowiódł: że narzeczce w którym były tworzone te pisma, nie było narzeczem ludu; lecz że: »język ten był wybranym kwiatem *wszystkich narzeczy*, i był językiem *wiary i uczoneści*, Słowian ruskich« (str. 277). Zarzucił nam Recenzent, żeśmy liczbę pomników z epoki I oświaty Rusi, obejmującej lat 300, podali na 8: wyliczył je po nazwisku (str. 275) i właśnie nie okazała się liczba przewyższająca. Zarzucił nam, żeśmy według świadectw pisarzy ruskich wzmienili, że nauka szkolna w tym kraju prawie do wieku XVIII ograniczała się do uczenia pisania i czytania, i mówi: »nauka w szkołach nie ograniczała się *zapewne* na pisaniu i czytaniu« (str. 280). Autor twierdzi iż przez pisarzy rosyjskich a zwłaszcza Kommissyą Archeograficzną mnóstwo uczy-nionem zostało odkryć odnoszących się do owej epoki literatury, lecz nie objaśnia nas (czego owszem istotnie pragnęlibyśmy) chociaż jednym przykładem. (10) Za-

(10) Prace rosyjskiej Ekspedycyi Archeograficznej urządzonój przez akademią nauk, a następnie ogłoszenia tych prac i dopełnień (z Bibl. S. Petersburskich) przez *Kommissyą Archeograficzną*, jako zapo-wiadały tak rzeczywiście przyniosły [nieocenione źródła] do dziejów krajowych. Źródła te (ile je znamy tu) [odnoszą się też tylko do

rzucił téż nam w rozdziale tym p. Dubrowski poraz drugi rachunkową pomyłkę, z której tu tłumaczymy się. Powiedzieliśmy, że użycie t. j. upowszechnienie w Rossyi druku, nastąpiło zaledwie w lat 200 po jego wynalazku, albowiem za Alexandra Michałowicza. Wydrukowanie księgi Apostół, po którym jak mówi sam autor recenzyi, drukarze skryć się musieli, nie może być uważaném za pewne za upowszechnienie.

Te są główne zarzuty, które nam poczynił Recenzent co do szczegółów naszego *Rysu historycznego*. Recenzent przyzna nam, żeśmy nie ukrywali zarzutów. Nie wspominamy tu o uwagach w recenzyi p. Dubrowskiego *przechodnich* (jak np. żeśmy się z kimś zbiegli w twierdzeniach, że przytoczyliśmy za text przekład *wierny* i t. p.), albo *ubocznych* (jak o poezjach ludu i t. p.), nie możemy jednak jeszcze nie wspomnieć o ostrzeżeniu i ostatniej wymówce Recenzenta. Ostrzega p. Dubrowski przy końcu, żeśmy mieli w *Rysie* oczernić pismo Jana Kollara *O wzajemności Słowiańskiej* (Ueber Wechelseitigkeit der Slaven). W biegu dziejów spełniać się musi co okres szczegół jakowys myśli (idea), nader wierzymy w to. Jedna z tych które dziś rosną jest nadejście plemion słowiańskich na

dziejów nie do pismienności. Są to *hramoty, przywileje, nakazy, ustawy metropolitów, soborów, korespondencye* i t. p. Wszystkie odkrycia *Kommissyi* i *Ekspedycyi* dotąd nieogłoszone, ile jednak wiemy ze sprawozdania te nie sięgają owéj epoki lój; najstarsze są z w. XIV „Въ нѣкоторихъ харашейныхъ и бумажныхъ подлинникахъ восходять къ XV и даже XIV столѣттю но ихъ шакъ мало чшо почпи каждой акшъ сего времени соспавляешъ палеографическую драгоцѣнность.“ *Акты собраныя въ Библ. и Архив. Росс. Имперіи археографическою экспедиціею etc. 1836 Przedmowa str. IV.*

kolój moralnego rozwicia, a ztąd wiara przez niektórych żywiona w podźwignienie się ogółu Słowian, i wiara w najwyższość Słowian (*Panslawizm*). Idea która rośnie, ściąga soki, zabłyśka, odbija się o przedmioty światowe i musi nareszcie wydać kwiat, owoc. Cokolwiek ma zaród kwiatu, ma też i śmierci. Śmierć idei nie jest to wprawdzie śmierć kłosa, bo idea to duch człowieka (zbiór duchów) ma pierwiastki w sobie *skończone*, ma też i *wieczne*; właśnie jednak dla tego baczmy na rozróżnienie pierwiastków. Elementem żywota jest miłość, śmierci nienawiść. P. Kollar w swém piśmie »o *Wzajemności*« pięknie rozwinął pomysł, iż myślą, zadaniem Słowian jest urzeczywistnienie idei miłości ogółu ludzi; wzmianki jednak jakie o swych sąsiadach (Magiarach i Niemcach) w témże piśmie dołączył, sam zwrócił przeciwko sobie. P. Dubrowski pyta w uwagach swych, dla czego przypisujemy Kollarowi myśl: iż »zesłaniem, zadaniem Słowian jest *obejmować* ludzkość.« Jest to zarzut który chyba wziętym być musi w dosłowném znaczeniu, a wtedy tém mniej byłby słusznym. P. Dubrowski który podziela myśl p. Kollara sam wyśmiał niedawno ideę *Finnów*(Magiarów), którzy marzą o *Panfinizmie* i udzieleniu swych wiar i oświaty światu całemu (11); nieprzyznaje więc widzimy za prawdę mar jednostronnych. W piśmie p. Dubrowskiego *Jutrzenka* czytaliśmy owszem niedawno ładną pieśń Słowianina z południa, w której ten zapytując sam siebie gdzie jest ojczyzna (domowina) Słowian, zdaje się

(11) „Będzie to śliczne zgromadzenie, mówi autor, Zyrjanie (z północnej Rosyji), Ostjacy, Wogulicze, Finnowie i cała ich drużyna“ etc. *Jutrz. Marz.* 215.



raczej do czasów jakowejś pierwotnej niewinności, nie zaś do zasad nienawiści westchnienie wznosić. (12).

Przedmiotem krytyk o piśmie bywa nie jednokrotnie nie pismo lecz cel uboczny; już podniesienie się własne za cenę obcą, już zła umyślność, już popis i t. p. Nie uczynimy zapewne żadnego z zarzutów tych Redaktorowi Jutrzenki. Uwag Redaktora Jutrzenki zasadą jest owszem (przynajmniej według nas) dobra wiara. P. *Dubrowski* tak przekonany jest zwykle o prawdzie swęj myśli, iż objawienie jęj już poczytuje za tryumf, i mniej troszczy się o dowody. Krytykę Redaktora Jutrzenki moglibyśmy z pewnej strony do *kaskady* przyrównać. Jest ona obrazem rzutów, wykrzyknień, zapytań, oraz wylewu myśli na przedmiot obrany, i w biegu swym unosi i wrzusza wszystko oprócz *przedmiotu*. Przeczytaliśmy i odczytaliśmy wszystko co nam powiedział Recenzent, a tak w ogóle jak i szczegółach myśli pisma naszego nie znaleźliśmy *nic do dodania, nic do zmienienia*. Myśl Recenzenta w uwagach dopiero w momencie swym drugim objawiła się. Tak *rzekliśmy i to powtarzamy*. Co raz *rzekliśmy* nietylko to po raz drugi powtórzyć możemy. P. *Dubrowski* zrobił uwagę, iż mamy jakąś *zasadę* z której wychodzimy niezmiennie, cel i systemat. Tak jest istotnie. W każdym naszym piśmie tém lub inném, mamy *zasadę, cel i systemat*. Ten systemat, cel i zasada są *zawsze* jedne. Tym systematem, celem i tą naszą *zawsze jedną* zasadą jest — *Prawda*.

(12) . . . . . „Tam je Slavska domovina

Gdę ne vlada snaga ina

Nego naraw krotka, mila,

Kâ je parvjm ljudim bila.“

*Jutr. Mar. 5.*

## JAN JERZY WEIHERT

POWIASTKA HISTORYCZNA 1656—1658

przez

*Ad. Am. Kosińskiego.*

---

### I.

Straszna była to wojna, którą przez cały ciąg panowania Jana Kazimierza niebo dręczyło Polską koroną!— Od Baltyku po Dniester, od Dniepru do Odry, wszędzie zniszczenia barbarzyńskie, okrutne. Po jarach na których kiedyś rzeźwe stada bydła hasały, trawa nie tknięta kosą wyrastała swobodnie, lub dziki zwierz krążył nadaremnie żeru szukając, role, które kiedyś tysiące pługów rznąło w zagony, dziś odłogiem puszczone, chwast bez przeszkody pokrywał. W miejscu ludnych i zamężnych sioł, sterty gruzów często dymiących jeszcze. Bogate dworce, obronne zamki, zrabowane, zniszczone, w stopy ruder padały. Gdzie niegdzie tylko jakie ocalało miasteczko; ale dreszcz brał, ulice jego zbiegając. Skromne domy mieszczan, gmachy panów, wspaniałe Boże świątynie, wszystkie w zaniedbaniu, w opustoszeniu: tu bez okien, tam bez drzwi, jednym braknęło dachu, innego świeżym pożarze sterczały niby smętne widma dawnego blasku, niby szpetne skielety dawnego ogromu i chwały; a wśród ruin po ulicach, na których bardzo często wśród bruku rdest wywijał kolczystymi strzypami, błąkała garstka ludu znękanego, schorobłego, wygłodzonego.

Gdy zaś dom jaki mniej zniszczony pozostał, to w nim gwar i hałas ustawny; bo pewno za kwaterę nieprzyjacielowi służył: tym zaś nieprzyjacielem był mieszkaniec odległych stron północy, bitny ale okrutny Szwed. Puszył on wśród zwalisk dzieła swojego, urągał nieszczęśliwym mieszkańcom, odzierał świątynie, rabował co mógł i gdzie i mógł: ni łą, ni wiek, pęć lub stan, były świętymi dla niego. Zniszczenie zdało się być jego żywiołem, krew—życia potrzebą. Rozlewał ją bez miłosierdzia i bezkarnie; bo jakież prawo mogło wiązać najezdnicę zwycięzcę? — Czytając dzieje ówczesne, zabiegając w wspomnienia, łzą nachodzi oko, serce kraje się na myśl — ilu uciskom i nędzy uległa wówczas nieszczęśliwa Lechja; a przecież czy one nie były tylko wstępem do innych, do okropniejszych?...

Lecz gdy miasta legły w ruinach, gdy bogate sioła w gruzy upadły, nie znający stanu kraju a zbiegający przypadkowo odwiecznych lasów rozłogi w miejscach najniebezpieczniejszych, w kniejach, które przeznaczenie dziakiemu tylko zwierzowi za schronienie naznaczyć się zdało, napotykał z zadziwieniem ślady bytności ludzi, świeże ogniska, obozowisko nawet, w którym cała ludność okolicy, każdy wiek, pęć i stan szukały przytułku. Ale jeżeli wędrowiec cokolwiek litości posiadał, jeżeli sam nieubiegał przed okrutnym wrogiem—omijał czémprędzej te miejsca, stronił od nieszczęśliwych, pomiędzy którymi głód, nędza, a częstokroć morowa zaraza rozpościerały swoje władanie.

W owym to nieszczęsnym czasie pożogi i mordów, przy końcu maja 1656 roku, drogą od Częstochowy ku grodowemu miastu Brzeźnicy wiedącą, na rośłym meklemburskim rumaku pośpieszał waleczny rotmistrz

niemieckich rejtarów na zołdzie szwedzkim służących Jan Jerzy Weihert. Był to trzydziesto-letni młodzieniec, lica jego lubo nieco wojennym ogorzałe znojem, dorodne i hoże; w błękitném germańskiem oku łącno mogłeś czytać łagodność charakteru, serce niezamknięte litości i szlachetną duszę. Smutnie niém teraz wokoło porzucał; bo téż kraj który przebiegał, więcej niż inne strony Polski uległ zniszczeniu. Bezustannie od szwedzkich podjazdów trapiiony, szczególnież téż od armii jenerała Möllera, który haniebną swą porażkę przy Częstochowie, mścił łupieżą dóbr księżych, królewsczyzn i szlachty przeciwnéj partyi. Krajobraz zmienił się przecie, gdy podróżny przejechał granice włości Prusieckich. Należały one do Michała Abdańczyka Warszzyckiego łęczyckiego Miecznika, jednego z téj wielko-polskiej szlachty, która jeszcze na początku wojny Radziejowskiego bannity, namowami skłonioną, opuściwszy nieszczęśliwego monarchę, poprzysięgła wierność najeźdźcom, i frymarką sumienia ochroniła wśród powszechnéj klęski swoje majątki. Zradością młody rycerz poglądał dokoła. Wszędzie staranność, dostatek i przemyśl, obszerne pola bujném zbożem pokryte były, na łąkach tu i owdzie rozrzucone stogi siana świadczyły o baczném gospodarstwie i uwadze na przyszłość, droga utrzymywana starannie z jednéj i drugiéj strony odwiecznemi lipami ocienioną była.

Dziwiło przecieź młodziana, że jak tylko okiem zdołał zasięgnąć, nie dopatrywał nigdzie ni śladu człowieka. Cała okolica zdała się być głuchą i pustą: niby ją morowa dotknęła zaraza, niby ją mieszkańcy w jakiejś trwodze, w jakimś panicznym opuścili popłochu. Kiedy niekiedy tylko rozległ w oddalu ponury ryk bydłęcia,

lub smętne psa wycie. Kiedy niekiedy tylko, przerwał monotonną ciszę trzepot skrzydeł gołębi szukających żeru po nad krajem drogi, a zstrachanych rżeniem lub sztukiem kopyt rumaka. Żdziwienie jednak podróżnego nie zmieniło się w obawę. Od czterech dopiero tygodni zmuszony obowiązkami służby, opuścił tę okolicę, i wiedział, że przez ten czas wojną nie była dotknięta, a od ucisku Szwedów broniła ją znana wierność Miecznika dla sprawy ich króla. Nadto, czyż mógł oddawać się smutnym podejrzeniom i myślom, wracając na ziemię do wioski, która mu była miłą jakby rodzinna? W niej on bowiem długi czas przeżył, w niej znalazł przyjaciół, opiekunów, w niej mu miłość rozśmiała. Ciężko raniony na początku tego roku przy oblężeniu Częstochowy, do Prusiecka był zasłany. Przyjęto go chętnie i mile, z tą gościnnością cechującą lud polski, co najzaciepszemu nawet wrogowi odmówioną nie jest. Przez kilka miesięcy nie szczędzono opieki i starań istotnie rodzicielskich. Stary Miecznik polubił go jak syna, córka jego piękna ośmnastoletnia dziewczica — jak brata. I on też ich kochał; lecz jeżeli starcowi dałby chętnie ojca nazwisko, to jego myśl i chęci dorodnej Jadwidze świętsze niż siostry rade były dać miano. Przejeżdżając zatem kraj i obie drogi, witał okiem i duszą każdą stronę, każdą ścieżkę, strumyk, łączkę. Wszystkie on znał, wszystkie kochał; bo mu lubą przypominały Jadwigę, szczęśliwe chwile z nią razem spędzone, jej dobroć i piękność. Ach! ujrzyć ją czémprędzej, powitać, poić ucho dźwiękiem głosu, serce urokiem spojrzeń, było najdroższą i najżywszą chęcią młodziana.

Niedługo przecież w sercu jego miała radość i nadzieja gościć. Koń silnie party ostrogą, dobiegł nareszcie

szczytu wzgorza, co dotąd pięknej wioski widok zasłaniał. Z ciekawą bacznością spojrzął rycerz przed siebie; lecz przestraszony wywił w oku, krew ścięła się w żyłach, drżenie całym ciałem obiegło. Raz jeszcze spojrzął, przetaił głębią źrenice jakby niedowierzając temu co widział; lecz nie, nie było to złudzenie, nie była okrutna igraszka wyobraźni. Cała wieś, kościół i dworzec Miecznika, leżały w ruderze, w opustoszeniu.

Z rozpaczą, nieokreślonym bólem, chwil kilka przysłędał się młodzian okropnemu widokowi. — Boże mój! co to znaczy, wykrzyknął. Jakiż jój los? los jój szlachetnego ojca?! — Wspiął kołcem ostrogi rumaka, że krew dychające jego boki skropiła, i po kilku minutach stanął w sioła ruinie.

Tak! była to tylko ruina! Po obu stronach bowiem szerokiego gościńca — sterty gruzów. Wpół zwalone kominy wskazywały jedynie miejsce chat wieśniaczych niedawno jeszcze przynęcających zamożnością i porządkiem; okrążające je sady wycięte, pasieki rozrzucone, płoty powyrywane, wszędzie zniszczenie straszne, barbarzyńskie. Z modrzewiowego kilku wieków świadka kościoła, jedna tylko murowana ocalała wieża; lecz ściany jój spękane, potrzaskane, zadymione, przejęte ogniem, waliły się w odłamy. Droga była zasłaną rumowiem budowl, nawałem popiołu i węgla.

W oku młodzieńca wiła łza, w piersi było duszno, boleśnie, kiedy zawróciwszy konia, przez mały kamienny mostek, co jeden w śród powszechnego zniszczenia ocalał, zajechał na obszerny dziedziniec, dobrze sobie znajomego dworca. Niestety! w jakże go różnym przed kilku tygodniami pozostawił stanie?... Obszerna budowla wtedy należała do najpiękniejszych w okolicy, mię-

szkanie zamożnego obywatela, upięknioną była ciągłym i gorliwym staraniem; dzisiaj zaległa w popiele i gruzach, barbarzyńska ręka żadnej jej części nie ochroniła, gdzie niegdzie tylko niedopalona tarzała się belka, gdzie niegdzie sterczała ściana muru, a na niej ślad jeszcze dawnego malunku, złocenia: a to była ruderą świeżą, przekonywał o tém lekki dym, co za silnym wiatru poświstem dobywał się jeszcze z pośród rumowisk. Lecz kogo zapytać o los nieszczęśliwych mieszkańców domu, lub o nazwę okrutnego spustoszciciela? Wszędzie głucho i pusto... Stado jaskółek tylko smętnie świergocąc krajało wartkami skrzydłami powietrze, może szukając swych piskląt lub gniazd od wieków spokojnie lepionych w załomkach okien, lub pod gościnnym dachem budowli; tylko jak kiedyś i teraz lotny skowronek wiosenną nucąc piosenkę, wzbijał w obłoki. Młodzian z konia poskoczył, przywiązał go do pobliskiej lipy, jakiś czas z boleścią przyglądał się jeszcze ruderze, gdy nagle o parę staj w oddaleniu, za obszernym, teraz opustoszożonym ogrodem, dojrzał czerwony ceglany dach znanego sobie budynku — kiedyś officyny dworca: ku niemu poniosł swe kroki.

Na ławkach okrążających skromną budowlę, na jej progu i w ganku, kilkunastu spoczywało żołnierzy. Byli oni znajomi młodzieńcowi, bo należeli do jego rotty zostawionej dla obrony Miecznika. Jedni opatrywali broń i zbroje, inni zabijając czas długi w chwilowym odetchu pokoju grali w kości lub przypatrywali się grającym; kilku będących na służbie, przechadzało się przed przyległą stajnią, niosąc koniom trawę lub siano na południową paszę. Wszyscy skoro ujrzeli dowódcę, opuścili natychmiast swe miejsca. Niedoczyszczona broń,

niepoliczona punkta kości, nie zatrzymały ich na chwilę. Okrążyli w spolem: przybywa Rotmistrz! pan Rotmistrz powraca! wykrzykując w niemieckim języku. Była to chwila nie udanej radości, prostych lecz tkliwych serca wynurzeń; byłyby one zapewne miłemi w innym razie młodemu dowódcy, lecz teraz gdy serce krwawiło, ból dusił w piersi, zimno odepchnął garnących się na okół, nie odpowiedział na ich powitanie, lecz wskazując ku ruderze, groźnie, ponuro wykrzyknął:

— Dla Boga! odpowiedzcie co to znaczy? kto tam ponosił zniszczenie?...

Żołnierze gwałtowném pytaniem strwożeni, odsunęli się milcząc. Wtedy wystąpił ich sierżant, krępy, ogorzwały, z szramą na czole, ale pogodném okiem i obliczem żołdak, i odparł:

— Żle panie Rotmistrzul to nasi...

— Nasi! jęknął młodzieniec... Zrenica jego groźnym gniewem prysnęła, dłoń ciężko upadła na rękojęść szabli, gdy mówił:

— Wy to więc?.. moi podkomendni! wy, których zostawiłem na obronę tego miejsca... biada wam!.. znanie mnie... Nie mam litości gdy zbrodnia woła o pomstę... dziś natychmiast, winni, zuchwalstwo śmiercią przypłacą! Sierżant! którzy są?.. broń cię Boże choćby jednego zataić!

Żołnierz lekko wzdrygnął, widząc gniew zwykle łagodnego dowódcy i przysuwając rękę z uszanowaniem do kasku, odparł pośpiesznie:

— Ależ to nie my, nie nasza rota panie Rotmistrzul.. to Szwedzi... major Grotenhauzen.

Na wspomnienie człowieka, który nawet w barbarzyńskiej Skandynawców armii za okrutnika uchodził,



Rotmistrz przeczuł los drogich sobie istot. Zapytał o szczegóły nieszczęsnego zdarzenia — dał mu je sierżant.

— W tydzień po odjeździe pana Rotmistrza, mówił, nadciągnął z swoją rotą major. Rozłożywszy żołnierzy we wiosce, sam się wkwaterował do dworu. Z początku przecież wszystko dobrym szło trybem, Miecznik nie szczydził miodu i wina, lecz na nieszczęście córka jego panna Jadwiga przypadła do gustu Szwedowi. Chciał się z nią żenić, ale jakże dziewczę hoże i dobre mogło pokochać dumnego i okrutnego majora?... Ani słuchać nie chciało zalecanek jego. Z tego zemsta, uciemiężenie chłopów, grabież dobytku i zboża. Myśmy byli za słabi aby stawić jaki opór: zresztą starszemu nie sposób. Lecz ujął się za gnębionych poddanych sam Miecznik, przyszło do sporów a nawet szabel dobycia. Szlachcic choć stary, lecz dziarski, tego karabellą robi, pogłasnął nią nie żartem majora po uchu; ztąd większe rozjątrzenie jeszcze i chęć zemsty. Nadarzyła się do tego sposobność: przejęto listy Miecznika do krewnych przesłane... Podobno w nich nazbyt się rozpisał i nie taił chęci przejścia na stronę dawnego króla; co jak chodzą wieści Szlązko opuścił, i nie żartem chce odzyskać utraconą koronę. Luboć ludzie mówili, że te pisma tylko podrobione były, złożono zatem sąd w Piotrkowie: wyrok jego był ślany do odgadnienia. Ogłoszono szlachcica za zdrajcę i uwięzić kazano; lecz on nie czekał końca sprawy. Zebrawszy swoich poddanych uciekł w bory, a major, jak to widział pan Rotmistrz, nietylko dworzec ale i wieś do gruntu kazał zrabować i spalić.

W ciągu opowiadania żołnierza, nieraz czoło młodziemca głębokie zrysowały bruzdy, nieraz pod stalo-

wym kaftanem serce zakofatało gwałtownie. Przeczuwał niewinność Miecznika, drżał o los miłej jego córki, i chęć ukarania okrutnego Szweda silnie w piersi kipiała. Zapytał o niego sierżanta.

— Od trzech dni, to jest od czasu zniszczenia dworca, odpowiedział mu tenże, ciągle on w ruchu, śledzi po lasach i okolicy ubiegłych Polaków; dzisiaj zarządził obławę w lasach nad Wartą... odkryto tam ślad nieszczęśliwych... biada gdy w jego ręce popadną!

Młodzieniec w tedy nie wahał się ni chwili: »Bracia! krzyknął do zebranych żołnierzy, jeżeli szczęście waszego wodza, jeżeli jego honor jest wam miłym, pośpieszajcie za mną: nie pozwólcie okrutnemu niewinnej krwi rozlewul.. Miecznikowi jak wicie, życie moje winieniem... hańbą więc byłoby opuścić go w niedoli. W Imię Boże! na koń! Siłą nie zrównamy Szwedom, lecz przenieść potrafimy mężstwem.«

Wilkilka już minut szczupła rota rejtarów, a na jej czele Rotmistrz, pędziła ku lasowi, którego mglisty, okiem nieprzejrzany obszar rozciągał się szeroko po nad brzegiem Warty.

## II.

Do tego czasu, do najznakomitszych lasów ziemi Piotrkowskiej należą Prusieckie; łącząc się z innymi przyległemi, zajmują przestrzeń mil kilku. W latach, których moja powieść zasięga, były one jeszcze znaczniesze; ale też częściej niż dziś poprzerzynane bagnami, wydmami i obszernemi stawami. Droga więc przez nie była utrudzająca i mylna; lecz rotę szlacheznego młodzieńca wiodły świeże ślady Szwedów i ich krzyki rozlegające się od czasu do czasu po kniei.

Barbarzyńcy naśladowali polskie wyrazy, a szczególnie chrestne imiona, aby wywabić nieostrożnych z kryjówek, lub przymusić na wzywania niby pobratymcze do odpowiedzi. Po godzinnéj podróży droga dla koni niepodobną stała się: trzeba je więc było zostawić, a postępować pieszo. Las coraz był więcéj gęsty i błotny: to trzeba się było przedzierać krzami łożu leszczyny i karłowatego iglastego drzewa, to znowu brodzić w kałużach i błotnistych topielach. Siły żołnierzy wyczerpały się do szczętu, tchu nie stawało w piersiach, pot grubą i ciężką odzież przesiąkał: sam tylko Rotmistrz nie czuł znużenia, jemu nadzieja i miłość dodawały mocy... Piérwszy darł się przez gąszcze kniei, piérwszy rzucał w topiele. Szwedzkie okrzyki brzmiały już ledwie w éwieré milowém oddaleniu, gdy znajomy nam sierżant wyrzekł dowódcy.

— Niesposób iść daléj... żołnierze całkiem upadli na siłach, las coraz więcéj gęsty i błotny, koniecznie odpocząć wypada; zresztą, czemuż mamy za Szwedami gonąć?.. znużeni, czyż pokonamy dwukrotnie liczniejszych? Mojém zdaniem, lepiej byłoby pozostać na miejscu i zwabić ich do siebie. Nic łatwiejszego niéma; róbmy jak oni, udajmy polskie wykrzyki. Major będzie sądził, że z obozowiska polskiego pochodzą, nie zaniedba tu póspieszyć, a w tedy przyjmiemy go jak pan Rotmistrz rozkaże.

Rada chociaż nie odpowiadała niecierpliwości młodziana, do wzgardzenia nie była. Wydał stosowne rozkazy. Żołnierze z bronią nabitą, z gotowemi szablicami do walki rozsiadłszy na małym nagim wzgórzcu, gęstą otoczonym knieją, zaczęli odpowiadać na wykrzyki Szwedów. Podstęp całkowicie udał się; odgłosy wrogów wi-

jąc na lewo i prawo, zbliżały się widocznie. Już tylko na kilkanaście staj odległemi były, gdy nagła okropna wrzawa rozległa po lesie... Kilka jednoczesnych wystrzałów, foskotliwe echo daleko rozniosło. Wyraźne okrzyki— otóż są! nie oszczędzaj!.. morduj!.. zabijaj!.. doszły ucha Romistrza. Zimny pot wystąpił na jego czoło, trwoga wywinęła w oku!..— Rzucił się w gąszcz kniei, za nim wierni towarzysze. Nie zważano na bagna, topiele, zwalone kłody drzew, tysiączne inne zawady... Przeraziłszy hałas, jęki, wzywianie Polaków o miłosierdzie lub pomoc, barbarzyńskie odkazki, szydercze śmiechy Szwedów i szcęk szabel, rozniesione, zmięszane, zwiększone w okropności, były im drogi wskazówką. Kwandrans przecież upłynął za nim; mogli stanąć na miejscu z kąd' pochodziły; a jakiż okropny widok był przed ich oczyma?..

Kilkudziesięciu rozhukanego sołdactwa, a na ich czele major Grotenhauzen napadłszy tabor zbiegów, puścili natychmiast wodze okrutnej rozpuście, barbarzyńskiej zemście... Pióro wzdryga się chcąc określać katusze, cierpienia, jakim nieszczęśliwi ulegli. Ni wiek, ni płeć, nie były od nich zastoną. Wyrywano niemowlęta od piersi matek i mordowano bez miłosierdzia, w oczach mężów urągano żonom, i dziewicom. Kilka z nich krew oblewała potokiem, hroniącym się barbarzyńska ręka ciężkie rany poniosła. Grubemi postronkami krępowano starców i młodzież; a biada! kto zuchwalcom śmiał jaki opór stawić. Biada ojcu lub mężowi śpieszącemu w obronie córki lub żony!.. Śmierć była ich udziałem, jęk, płacz i prośby rozlegały się wkoło; lecz czyż okrutny Szwed znał litość?.. czy zemście i okrucieństwu umiał łożyć hamulec?..

O kilkadziesiąt kroków dalej, inny był widok... Major zostawiwszy chłopotstwo rozhukanéj woli żołnierstwa, poił swe oko, karmił zemstę cierpieniem Miecznika. Z rozkazu zuclwalca, przywiązano poważnego starca do ogromnego pobliskiego dębu. Dwóch żołnierzy z nabitą bronią stanęło o podal, niecierpliwie czekając na znak dowódcy, aby ponieść strzały mordercze... Już ten znak miał być danym, gdy do nóg Szweda rzuciła się piękna Jadwiga.

Lica jéj śnieżna powlekła błądź, rozpacz i przestrasz jasno wywijają w oku, włos był w nieładzie, tkała ręce łamiąc.

— Zmiłuj się! przebacz mu! — zabij mnie!.. zamorduj!.. ale oszczędź jego.

Z szyderyczym uśmiechem, z okiem iskrzącém roskoszą zemsty Szwed odparł:

— Aha! teraz u nóg mych czółgasz, teraz błągasz łaski, też potoki lejesz... wspomnij przecie kilka dni wstecz, czy tak samo u nóg twych nie byłem, nie błągałem cię, też nie toczyłem? a czyś zmiłowała się, dała na nie baczenie?.. Godzina pomsty nadeszła!.. nie miałaś litości, i ja mieć jéj nie będę; drwiłaś z mych cierpień, i ja z twoich drzwi będę; chciałaś méj zguby, na zgon ojca patrzeć musisz!..

Rospacz nieszczęsnej zdało się granic nie miała. Jéj cierpienia opisać nie sposób... naglesilne jakoweś postanowienie nadzieją zabłysnęło w oku.. ale ono było bolesne, utrapliwe, rozpaczą tylko natchnione, chęcią ocalenia życia kochanego ojca. Ujęła dłoń barbarzyńcy i drżącym głosem mówiła:

— Majorze! słuchaj mnie! jeżeli go ocalisz, okrutnej śmierci oswoobodzisz... ja... dziś, jutro, kiedy zechcesz, twoją żoną będę..

Szwed wzdrygnął na te wyrazy, żądniemi oczyma pogonił dziewicę... Kochał on ją, tą miłością burzliwą, namiętną, którą niekiedy istoty jemu podobne czuć mogą. Lecz złem się wyraził: nie była to miłość. Czyliż ją zbrodniarz okrutnik znać kiedy może?.. Była to raczej chuć szpetna, straszna—jak serce było skalane, jak życie występne zbrodniarza. Ofiara dziewicy była więc nade wszystko miłą dla niego. Nie dawał baczenia, że ni miłość, ni wdzięczność, lecz rozpacz ją wiodła. Już miał dać rozkaz oswobodzenia Miecznika, gdy ten wykrzyknął: »Córko! Jadwigo! zastanów się, co chcesz uczynić?.. Okrutnikowi, barbarzyńcy, mordercy tyłu istot niewinnych, tyranowi ojca, wbrew sercu, wbrew przekonaniu, chcesz oddać twą rękę?.. Zaklinam cię nie czyni tego, zostaw mnie losowi jaki Bóg w słusznym gniewie nazaczy. Ciężkie były przewinienia... ciężką kara być musi; lecz tyś niewinna... występki ojca nie powinien spadać na twą głowę. Ja zginę, lecz Bóg litościwy... ty bądź szczęśliwa!«

Oblicze Szweda rozpełzło gniewem w piersi kipiącym. Kilka chwil milczał... tak obraza silnie wstrząsnęła jego dumą i duszą; lecz wkrótce i on wziął postanowienie... a jakie było—szydny, groźny uśmiech, pałające oko, jaśnie wskazywały. Ujął rękę dziewicy, gwałtownie pociągnął przed nieszczęśliwego starca i mówił:

— Twe słowa duniny Polaku! rozstrzygnęły los twój. Przysiągłem ci zemstę, dotrzymam jęj wiernie: chcesz zginąć—zginiesz; lecz... a tu oblicze okrutnika szatańskięj radości zabłysło wyrazem. Patrz! córka twoja w mym ręku... Zgin więc z przekonaniem, że ona w nich pozostanie na zawsze; bo klnę ci się na me imię, na honor! będzie, musi być moją... ale nie z żony nazwiskiem.

Starzec jęknął boleśnie. Bolesć, srom, na blade wywinęły lica. Silnie wstrząsnął więzami, jakby chciał je rozerwać, ponieść śmierć zuchwalcowi, lub zginąć wspólnym z nieszczęsną swą córką... Wyrwała się ona z rąk Grotenhauzena, poskoczyła ku ojcu, słabemi objęła ramionami, jakby u jego boku, u jego łona szukała zbawienia, opieki. Bolesć i rozpacz obojga były tak straszne, tak przerażające, że tylko kamienne serce Szweda mogło być niewzruszone nimi. Dał znak żołnierzom... w półzemdloną dziewicę oderwali od łona nieszczęsnego starca, porzucili w objęcia Majora. »Już czas! krzyknął on, dajcie ognia!« Lecz za nim rozkaz mógł być wypełniony, dwa dobrze skierowane wystrzały powaliły siepaczków na ziemię. W tej chwili bowiem nadbiegł Rotmistrz z swym hucem i poskoczywszy do Szweda krzyknął mu głosem drżącym od gniewu:

— Nikczemniku! także to dajesz baczenie na obowiązki chrześcianina i człowieka?.. nie wstydzisz się uragać niewiastom, nieś śmierć niewinnym? Twoje zbrodnie winnej oczekują kary... doładź szabli i broń się!

Grotenhauzen oręż z pochew wy dobył... Ciosy jego były silne lecz niezręczne. Gniew kipiący w piersi, świeża obelga, może zrządzenie niebios omyliły wprawną dłoń... Po kilku chwilach walki potoczył się własną krwią zbuczony pod nogi szlachetnego młodziana; oddział zaś jego po krótkiej obronie, przerażony zgonem dowódcy poddał się lub rozbiegł po lesie.

Któżby zdołał opisać radość i wdzięczność ocalałych od hańby i śmierci?!

Gdy przeszedł pierwszy żar uczuć, szlachetny Rotmistrz zajął się zapewnieniem dalszego losu nieszczę-

snój rodziny; lecz pytanie jego, — gdzie chcą aby od-  
prowadzonemi zostali, widocznie zasmuciło i przeraziło  
Miecznika. Czoło jego głębokie zrysowały bruzdy, cier-  
pienie i rozpacz wywijają w oku.

— Gdzie? odparł ponuro. Alboż ja wiem sam?..  
wieś moja zniszczona, dworzec w ruinie... Ach! ciężko  
lecz słusznie karze mnie Bóg... złamałem przysięgę,  
odałem się w opiekę najezdźcom, i otóż jestem tuła-  
czem na rodzinnej ziemi... dachu pod którymby schro-  
nić się, ogniska przy którymby odpocząć, niemać nie-  
szczęsny!..

Głucho jęczał... Dziewica ujęła dłoń jego, przyci-  
snęła do ust, łzami skropiła, i rzekła:

— Ojczy! dla czegoż te straszliwe wspomnienia, te  
bolesne myśli?.. Zapomnij przeszłość, wyrwij ją z pamięci.

— Nie! nie! odparł starzec ponuro, gwałtownie po  
wychudłej piersi uderzając ręką. Nazbyt utkwiała tu ona,  
aby kiedy zapomnianą być mogła. Ach! dziecko! ty nie-  
czujesz, nie pojmujesz ile ja cierpię... Dnie, tygodnie, dwa  
lata już tak cierpię. Każda chwila nową zgryzotę niesie,  
nowe męczarnie... O! Bóg mściwy, srogo karze... czuję  
to teraz... niestety! zapóźno....

Cierpienie starca było tak widoczne, tak przerażają-  
ce, że oko młodzieńca pomimowoli łzami nabiegło. Spo-  
strzegł to Miecznik, i ujmując dłoń jego, smętnie, ale  
razem z dziką rozpaczą tak mówił:

— Posłuchaj mnie młody przyjacielu! Jesteś dobro-  
czyńcą mej córki, jesteś i moim: winniśmy ci życie i  
honor. Biedny, tułacz, czémże wynagrodzić mogę szla-  
chetny postępek jeżeli nie radą?.. Przyjm ją, bo doświad-  
czeniem własnym nabyta, własną troską stwierdzona.  
Wchodzisz w świat, życie się uśmiecha do ciebie, chwata,



roskosze... chceszże zachować ich złudy, pokój duszy i serca?... Błagam cię! bądź wierny twoim przysięgom, zdradą nie obciążaj sumienia... ach! ty nie wiesz, nie rozumiesz ile gorzką ona... Spojrz na mnie... pięćdziesiąt lat bez zakału żyłem, szanowany od sąsiadów, krainy całej, chlubą odwiecznego rodu, a dziś?... dziś jestem żebrakiem, nędzarzem, ciężarem sobie, sromotą rodakom i krewnym. Pięćdziesiąt-letnią budowę szczęścia jedna chwila zniszczyła... kiedy podawszy ucho szatańskim poszeptom własnego interessu, stargałem wiarę jaką własnemu winienem być monarsze, jaką krajowi winienem. Ach! powtarzam ci, Bóg słusznie karze, i nie wiem, czym ci dziękować powinien za życie, któreś zbawił przed chwilą? Ono mi ciężarem, piekłem... Boże mój! lecz gdy mnie karzesz, czemu karzesz i tę biedną! niewinną dziecinę?.. Czyż twoja pomsta i na jej głowę ma spadać?.. nieszczęśliwa! pamięć ojca masz kląć na zawsze?..

Godzina ubiegła, zanim nieszczęśliwy starzec ukoił się nieco: wtedy młodzian znający stosunki jego rodzinne, wyrzekł:

— Czyliż w Dziafoszynie, dziedzictwie stryjecznego brata, nie możesz znaleźć schronienia? Droga niezbyt daleka, dziś jeszcze być tam możemy...

— Tak! jest to jeden dom tylko, co swe drzwi tułaczowi może otworzyć—odparł Miecznik posępnie — szukać w nim opieki, było oddawna mojem życzeniem, to jest od czasu jak własny opuścić musiałem. Przeszkadzała pogoń i straż Majora... A więc niech się dzieje wola Boża; jestem do podróży gotowy.

W jednej chwili Rotmistrz stosownie wydał rozkazy. Zebrano wieśniaków, i pospieszano knieją, która

dla znających miejsce, nie była już tyle, ile poprzednio utrudzającą. Przecież mimo pośpiechu mały orszak ledwie o słońca zachodzie, kraju lasu się dobrał. Tam dosiadłszy konie do oddziału młodzieńca należącego, bezpiecniej już i pospieszniej mógł swą drogę odbywać. Pominąwszy miasteczko Brzeźnicę, niedawno jeszcze zamężne i ludne, teraz w gruzach leżące, przebywszy niwy dwóch wsi Gajęcie i Dworszowie, po trzygodzinnej podróży ustanął wreszcie we wsi Niwiskach, należącej już do Alberta Warszyckiego sieradzkiego kasztelana. Był on stryjecznym bratem Miecznika, równie jak ten sprawie Szwedów uległy: dotychczas mienie swoje i włości ochronił. Rotmistrz wtedy chciał pożegnać starca; zatrzymał go on słowami:

— Nie! tak się rozstać nie mogę: chcesz mnie pozbawić rokoszy przedstawienia znajomym i krewnym, szlacheckiego wybawcy... Droga do Działoszyna niedaleka?.. pojedź z nami, odpocznij po trudach dnia dzisiejszego, uchyl się na jakiś czas zemście Möllera.

Drobną łzą wilgne oko dziewczycy, czułe jej spojrzenie, wymowniej jeszcze od łaskawych słów Miecznika, skłoniły młodzieńca do przyjęcia zaprosin.

### III.

Tydzień upłynął, Rotmistrz gościł jeszcze w Działoszyńskim Zamku. Uprzejmie od kasztelana przejęty, nęcony wdziękami Jadwigi, wdzięcznością Miecznika, ani pomyślał o wyjeździe; a jeżeli pomyślał, to jak o jakim przykrym obowiązku, który im się dłużej odkłada, tém mniej bolesnym dla serca. Pięknego wiosennego poranku, właśnie o wschodzącem słońcu, gdy dopiero co z miękkiej powstał pościeli, niezwykle gwar i hałas,

a nawet brzęk szablic i chrzęst zbroi doszedł jego ucha. Nie wiele na to dawał baczenia, aż wszedł znajomy czytelnikom sierżant... Przestрах wywijał w oku poczciwego żołnierza, głos drżał gdy mówił:

— Dla Boga! panie Rotmistrzu! Szwedzi nadciągnęli.

Lekki dreszcz obiegł żyły młodzieńca, uspokoił się wkrótce przecież, i odparł:

— I cóż to ma cię przestraszać?

— Na ich czele jest sam generał Möller... widziałem go przed chwilą, śmierć w jego oku...

— Wszakże wiesz, że od czasu oblężenia Częstochowy, nie zostaję pod jego dowództwem, gniewu zatem niemam przyczyny obawiania się.

— Lecz ocalenie Polaków?.. śmierć Grotenhauzena?.. pan wiesz, iż on był pokrewnym i pierwszym ulubieńcem generała, mówił żołnierz posepnie.

— Bez sądu przecież nie będę skazany. Jako dowódca osobnej i najemnej rotty, tylko od króla Karola zależę.

Sierżant głową skinął nieufnie i mruzczał:

— Naszych jest ledwo trzydziestu, ich tysiąc obsadziło zamek. Trzy razy tyle jak się dowiedziałem stanęło w mieście i przyległych wioskach. Cóż prawo przeciw sile pomoże?.. lecz czas jeszcze, możesz pan się ratować... granica niedaleko...

Młodziana oko gniewem rozpełzło.—Tyż to mnie radzisz ucieczkę? wyrzekł do sierżanta. Widziałeś mnie przecież nieraz w boju upale, a czy chronilem się przed śmiercią, choć się być pewną zdawała?.. teraz mamże uciekać przed grożącą zdaleka? nie! nigdy!..

Żołnierz milczał, lecz w oku jego łza połysnęła. Kochał on dowódcę jak ojca, wielbił jego męstwo, lecz

drżał słusznie o życie. Przecucie pocziwego spełniło się wkrótce; bo niespełna godziny, drzwi się otworzyły z łoskotem, weszło kilku żołnierzy z dobytymi szablami, a na ich czele adjutant jenerała—Szwed pochmurny i dumny.

— Z rozkazu dowódcy wzywam pana rzekł do młodzieńca, byś natychmiast udał się za mną.

Trudno było opierać się przemocy: okrążony przez żołnierzy, przeszedłszy kilka komnat, ustanął nareszcie Rotmistrz w głównej sali zamkowej—kwaterze nateraz Möllera. Znany ten w naszej historii jenerał, już to daremnem oblężeniem Częstochowy, już okrucieństwami swojemi, rozparty w krzesle, groźną właśnie dokończył przemowę do Kasztelana i Miecznika obok stojących.

Mówił do ostatniego:

— Na ten raz przebaczam Aszmości! przebaczam, mając wzgląd na wierność Kasztelana dla monarchy mojego, i na jednomyślne wstawienie się uległej Aryańskiej szlachty. Konfiskata majątku jedyną tylko karą niech będzie; ale biada Aszmości! biada całemu twemu domowi, jeżeli najdrobniejszy dwuznacznym postępek, najłżejszy wyraz, poda w wątpliwość dobre twoje chęci!... Wtedy... znasz prawa wojenne, znasz mnie, śmierć ci niezawodna!..

Miecznik dojrzał Rotmistrza otoczonego żołnierstwem, pojął uwięzienia powód. Szlachetne serce rozbolało na myśl, że wybawiciel jego w niebezpieczeństwie. Cóż z cicha bratu poszepnął do ucha, lecz gdy ten trwożliwie głową skinął, może na znak niepochwalaniamiaru, zbliżył się sam do Möllera i mówił:

— Jenerale! dziękując ci za własne uwolnienie, przebacz, że prozbą śmiem ci się narzucać. Spostrzegam pod strażą—Rotmistrza von Wejhert: sądzę, iż udział

jaki miał w nieszczęsnej méj sprawie przyczyną uwięzienia jego. Byłeś dla mnie faskawym, nie cofaj i jemu swych względów; jeżeli pobłądził, to tylko z zamiłowania ludzkości, z chęci przyniesienia pomocy nieszczęśliwym.

Blade brwi Möllera ściągnęły się gwałtownie, mdtęj barwy oko przysło pożarem gniewu, odparł ponuro:

— Do wojennego sądu należy rozstrzygnięcie sprawy Rotmistrza... ja, ni hamować jego wyroku, ni łagodzić nie chcę. Przecież mospanie Miecznik! jeżeli mu on śmierć przyniesie, twoje sumienie obciążać ona powinna.

Kasztelan wtedy rzucił także kilka słów proźby. Szwed odparł, gwałtownie uderzając po rękojeści swéj szabli:

— Nie! na biesa nie! przysięgam ci Kasztelanie! — wstawienie się twoje daremne... Uwolniłem Miecznika; bo miał choć pozor słuszności za sobą. Przekonał iż listy któremi obwiniony został, były fałszywe; lecz Rotmistrz zawinił tyle, że litość sprawiedliwości ustąpić powinna... Czy nie znasz jego zbrodni?.. napaść towarzyszy broni, śmierć mojego krewnego, alboż nie wołają o pomstę?.. zginę, lub ona spadnie na jego głowę... śmierć mu, śmierć! to powinność moja, to chęć jedyna...

Obaj bracia jednak nie ustępowali w swych proźbach. Zniecierpliwiony Szwed, groźnie wykrzyknął:

— Dosyć tego panowie! wasza sprawa skończona... ustąpcie więc, nie mięszajcie się do rzeczy, co źle wyłożona zgubę wam obu przynieść by mogła.

Miecznik z łą w oku, Kasztelan z nietajoném oburzeniem, opuścili komnatę.. Co piérwszy czuł oddawna, drugi pojął teraz—co jest zdrada, jakie jéj korzyści, co było panowanie Szwedów?...

Chociaż w ręku człowieka którego znał dobrze okrucieństwo i bezprawia Rotmistrz nie stracił odwagi. Ufał on w słuszność swęj sprawy, ufał w zasługi jakie stronie szwedzkiej, lubo od dawna już niemiłęj sobie, poniósł. Król Karól Xty znał go osobiście i względami swemi zaszczycał. Potomek znakomitej niemieckięj familii, służył on w wojsku jego nie z obowiązku, lecz jako dowódca rotę, którą kosztem swym zebrał i wynajął w czasie wojny w Polsce wybuchłęj. A więc lubo przeczuwał wyrok sądu wojennego złożonego całkiem z zauszników Möllera, miał prawo odwołania się do ostatecznego wyroku monarchy; i nie wątpił aby uwolnionym całkowicie nie był.

Wyznaczeni sędziowie zasiedli swe miejsca. Möller sam był oskarzycielem: wyrok zatęm, jak słusznie przewidział młodzieniec, zwiastował mu—śmierć! »Stosownie do praw moich, odrzekł wtedy spokojnie, żądam, aby cała sprawa, przełożoną była Królowi jegomości«.

Sędziowie zakłopotali się nieco, ale jenerał gwałtownie uniosłszy się z krzesła, wykrzyknął:

— Nie! na piekło nie! — odpowiedzialność biorę na siebie: wyrok nieodwołalnie wykonany być musi.

Młodzieniec wzdrygnął się nieco na te wyrazy, i z oburzeniem odpowiedział;

— Ależ to morderstwo bezprzykładne i oczywiste! morderstwo wołające o pomstę!.. zbrodnia, godna jenerale ciebie, godna człowieka, którego okrucieństwo jak nieprzyjaciele tak i własni podkomendni znają od dawna, i przeklinać muszą.

Szweda oblicze pobladły od gniewu. Wy dobył z pochwy szablę, w krótkce przecieź ukołł się i wyrzekł głosem pysznym i ponurym:

— Kilka kropli krwi do tój com już wylał, nie zastraszy mnie wcale; a jeśli gniew króla dosięgnie, nie wyrówna on słodczy zemsty jaką ci poprzysięgłem, którą niezadługo mieć będę. Przygotuj się więc, bo jutro o wschodzącem słońcu, zginiesz.

#### IV.

Odprowadzono młodzieńca do więzienia — lochu w podziemiach zamkowych, okuto kajdanami jego ręce i nogi, silną straż postawiono przed drzwiami od zewnętrznej strony.

Jak niewinnie osądzonemu i potępionemu bezprawnie spływały godziny, które przecieź ostatniemi życia być miały, pióro nie zdolne wyrazić. Są cierpienia, na których odkreślenie brakuje słów; i zapewne to sprawiedliwe zrządzenie Boga, bo czyż dla wielu istot, znać cudze troski, nie jest cierpieć samym?

Przed sądem wojennym, w obec zaciętego wroga, młodzian stał spokojny i dumny, urągał śmierci; ale teraz zostawiony samotnie, wręcz z nią niejako, zadrażał mimowoli.

Umrzyć w trzydziestym roku życia, gdy się je za ledwie pojęło, zrozumiało, zgodziło z chęciami; gdy wszystkie roskosze, miłość, sława, nadzieja uśmiechały w nióm, to straszliwie!.. okropnie!..

Mało jest osób, a i te mało chwil takich doliczą, kiedy wybierając między bytem a zgonem, zgonby wybrały. Mądre przeznaczenie wlało w nasze serca ro-

zum i chęci, tyle zamięrowania w kłopotliwym istnieniu, tyle nadziei, że rozbrat z niemi dobrowolnie uczynić, chyba rozpaczego szalu może być natchnieniem.

Żołnierze przed drzwiami więzienia pięciokrotnie odmienili wartę, to było wskazówką czasu dla Rotmistrza.

— Już więc północ!.. wykrzyknął, sześć tylko godzin pozostaje dla mnie istnienia... Ojczy! matko, luba siostrzo! już więc nie ujrzę was więcej! nie przycisnę do łona!.. Rodzinna ziemi! już dla mnie zgubionaś na wieki!..

Ach! gdyby jeszcze grot wroga przeciął był życie wboju zapale, śmierć wtedy mniejby straszną dla mnie była; lecz zginąć zgonem występnych, zginąć niewinnie, to okropnie!..

Lecz czemu te ponure myśli?.. ginę daleko od przyjaciół, od rodziny.. Lecz czyliż zgon mój nie będzie zgonem sprawiedliwego?.. Czyliż i tu nie znajdzie się jaka istota, co łzę na mogiłę nieszczęśliwego poniesie, w pamięci go zachowa?.. Jadwiga! ona tak dobra i piękna... anioł... nie będziez tą istotą?.. —

Myślał i marzył długo jeszcze, aż Bóg ulitował się nad cierpiącym, lekkim snem zamknął jego powieki. Niedługo trwał on przecież: nagle uczuł młodzieniec miękkięj dłoni dotknięcie... ocknął się, przetarł źrenice. Jemu się zdało, że sennęj wyobraźni mara go ściga... przed nim stała piękna córka Miecznika, poczciwy sierżant ostrym pilnikiem kruszył jego okowy.

— Dla Boga! cicho!.. poszepnęła dziewczica, widząc że młodzian chciał coś przemówić. Idzie tu o twe życie, o życie nas wszystkich.

W téj chwili więzy roztarte żelazem oswobodziły nogi jeńca. Jadwiga ujęła dłoń jego i rzekła:



— Spiesz się pan!.. jesteś wolny!.. pośpieszaj za nami.

Rotmistrz machinalnie prawie za nią postąpił, i z zadziwieniem ujrzał w murze więzienia nieznacny otwór, żelaznemi opatrzony drzwiami. Wychodził on na kurytarz długi, wilgotny i niski. Weszli. Dziewica postępowała naprzód, niby drogę wskazując. W jej ręku połyskiwał młym blaskiem kaganiec, włos był w nieładzie, oko pełno febrycznie. Kilka minut w głębokim postępowali milczeniu... Kurytarz to raz zwęzał się, że ledwo jednej osobie dosyć miejsca do przechodu zostawiał, to znów rozszerzał się nagle, lub wbiegał w obszerne podziemia zamkowe, pełne wojennego rynsztunku, lub składy prochu. Powietrze było wilgotne i duszne: po kwadransie dopiero przeczyściło się nieco. Niezadługo nawet świeży powiew wiatru twarz młodzieńca owiał, a ucha doszedł szum i plusk, niby wartkim pędem w niedalu toczącej swe nurty — rzeki. Jakoż tak było w istocie. Kurytarz doszedł wąskiej rozpadliny skały; a gdy za dziewczyną wyszedł przez nią Rotmistrz, ujrzał się w gęstwi lasu, tuż po nad brzegiem Warty. Przestrzeń ćwierci mili oddalała go od niedawno opuszczonego zamczy-ska. Piękna córka Miecznika rzekła wtedy:

— Teraz pan jesteś całkowicie bezpieczny. Konie stoją ztąd nie daleko, sierżant zna miejsce: za dwie godziny możesz przebyć szluską granicę, tam cię zemsta wroga nie dojdzie.

Radość młodziana ten tylko pojąć zdoła, kto jak on, o jeden tylko krok od śmierci, uniknąc jej zdołał; lecz powab tej chwili, zatrut wkrótce bolesny wspominek. »Pani!.. ocalając mnie, czyliż nie narażasz się sama?..« zapytał.

— Alboż gromiąc szwedzkich zuchwalców, kilka dni temu, myślałeś o własnem bezpieczeństwie?.. Obowiązek wdzięczności nie masz być równie silny, równie święty dla mnie, jak był dla ciebie szlachetny niedawny postępek?.. Zostaw nas świętemu Boskiemu zrządzeniu, sam ratuj się pókąd czas sposobny.

— Lecz czemu nie unikacie okrutnego wroga sami?.. cóż was tu wiązać może? I wy na cudzej ziemi nierównie bezpieczniejsi będziecie.

— Mój ojciec nie mógł znieść cierpień dnia wczorajszego, w ciężką zapadł chorobę... inaczéj zapewno bylibyśmy towarzyszyli tobie. Ach! los nasz okropny... odparła posępnie dziewica, i usiadłszy na złamku pobliskiej skały, rzewnie płakać zaczęła.

— A więc to być nie może!.. znam Möllera, głucho rzekł Rotmistrz, okrutny! zemście koniecznie musi mieć ofiarę... Szlachetny twój czyn wyda się zbrodnią dla niego... Ratując mnie, gubisz się sama, gubisz ojca!.. Nie! za tę cenę nie przyjmuję życia... pozwól wrócić się!..

Jakoż istotnie postąpił ku rozpadli skały: wstrzymała go dziewica. »Dla Boga! co chcesz uczynić?.. krzyknęła. Czuję dobrze, czuł i mój ojciec na co się narażamy ocalając ciebie; lecz gdy twój zgon był nieomylny, nam jeszcze uśmiecha nadzieja... Król JanKaźmierz z Lubomirskim i walecznym Czarnieckim, jak pewne doszły nas wieści, przed kilku dniami przybył do Częstochowy... wraz z tobą jeden z naszych dworzan pojedzie... błagamy o pomoc monarchę, wyrzekamy się strony szwedzkiej... może ulitować się raczy, przyjmie pod swą opiekę nieszczęśliwych... Czemuż nie mamy mieć ufno-

... Bliższych zguby Bóg nas za twoją pomocą ocalił, i teraz nie poskąpi jój pewnie.

Młodzian wahał się, Jadwiga dodała:

— Największą mamy nadzieję w Czarnieckim: dawnym on towarzyszem broni ojca mojego. Szlachetny, pewno przyjdzie z pomocą... Ach! gdyby ona tylko mogła już jutro nastąpić... ocalenie nasze nieomyślne. Möller jakkolwiek srogi w swój zemście, musi mieć wzgląd na prawa... bez sądu nie potępi nas przecie; a to jakiś czas, dzień przynajmniej zabierze.

Oko młodzieńca zabłyśło rokoszy nadzieją... silne jakoweś postanowienie wybijało w niém jasno. Ujął dłoń dziewicy, przycisnął do ust. »Pani! wyrzekł, teraz wahać się ni chcę, ni powinienem. Los mój rzucony... Bóg powiedzie krokami, i ufam, pozwoli ujrzyć cię wkrótce w szczęśliwej chwili...« Dorzekłszy słów tych przywołał sierżanta, pobiegł ku miejscu, na którym konie czekały, i niezadługo zginął z przed oczu dziewicy. Stała ona jeszcze chwil kilka na miejscu, serce jój kołatało gwałtownie; zdało się jój bowiem, że odgadła znaczenie wyrazów Rotmistrza. Cichą modlitwę przesała niebiosom, i zagrożyła się w podziemnym przechodzie.

## V.

Trzej podróżni, bo towarzyszył Rotmistrzowi dworski Kasztelana wiozący listy braci Warszyckich do polskiego obozu, przeszło godzinę biegli to lasem, to manowcami łąk i niw Działoszyńskiego starostwa. Konie ich dychały szybką utrudzone jazdą, aż wreszcie ustaneły na krzyżujących się drogach granicznych. Rzekł wtedy polski dworzanin:

— Panowie! udajcie się na prawo, trzymając się ciągle szlaku lasu i nieoszczędzając ostróg. Za godzinę już w Ślązku będziecie.

— Nie! żwawo odparł Rotmistrz, pojedziemy z tobą do Częstochowy.

Szlachcic zdziwionemi oczyma zmierzył młodziana, odgadnął zamiar dowódcy poczcziwy sierżant, i wyrzekł spokojnym ale mocnym, zwykłym sobie głosem:

— Dalipan Rotmistrzu! dobrze zrobimy. Już mi się też przyjadł chleb szwedzki... to antychryści gorsi jeszcze od pogan: a z resztą sama wdzięczność to nakazuje... Panna Jadwiga — anioł istotny... nie przynieść jej pomocy, gdy w ręce Möllera dla nas popadła, byłoby hańbą...

Konie ostrogami parte znowu rączo pobiegły. Po dwugodzinnej jeździe stanęli podróżni na obszernym łągu. O cwierć mili tylko Jasnogorski klasztor sterczał przed nimi... do koła niego bieleły namioty polskiego obozu. Kopijnik lekką zbroją i burką odziany zaszedł im wtedy drogę z odwiedzionym pistoletem i »kto jesteście?« zapytał.

Dworski Kasztelana odparł pospiesznie:

— Jestem herbowym szlachcicem a Koniuszym Jegości Sieradzkiego Kasztelana, wiozę zaś listy do Najjaśniejszego Króla i Panów rady. Dwaj moi towarzysze dotąd w szwedzkiej armii służyli, lecz teraz na żołd Rzeczypospolitej przejść pragną.

— Lecz czy to nie szpiegi?.. z podejrzeniem poszepnął kopijnik, mierząc buremi mazurskimi oczyma obudwu orężnych. Rotmistrz, który przez ciąg dwuletniego pobytu w Polsce, dobrze twardego sarmackiego języka

wyuczył się, wzdrygnął na te wyrazy, i machinalnie dłoń jego po rękojeści szabli brzęknęła. To oburzenie, bacności kopijnika nie uszło... wyrzekł, uśmiechając się lekko:

— Jakem wojak, to gracki Jegomość! Takich nam potrzeba, niezawodnie uda się panu Kasztelanowi. (\*)  
W jakimże Aść regimencie służyłeś?

— Byłem Rotmistrzem własnym kosztem utrzymywanej kompanii.

Tytuł Rotmistrza znacznie powściągnął kopijnika rubasznosc. Oddał młodzieńcowi zwykły pokłon wojskowy, a na uwagę dworzana, — że jego interes zwłoki nie cierpi, i że bezzwłocznie chce list panu Czarnieckiemu doręczyć, odparł:

— On ztąd niedaleko być musi. Widziałem przed chwilą jak stanowiska objeżdżał... pośpieszcie za mną mości panowie!

Może o jedno staje drogi dalej, między opuszczone-  
mi bateriami szwedzkimi spotkali podróżni mały orszak rycerski z szlachty i pancerników złożony. Na jego czele, na dereszowatym rumaku harcował pięćdziesiąt-  
letni wojownik. Twarz jego słońcem ogorzałą długie wąsy zdobiły, oko błyszczało żarem młodzieńczej je-  
szcze duszy, na podgolonym czole głęboka szrama ku lewemu zabiegała uchu, z prawej zaś strony policzka skóra żółta, sfałdowana, rozryta świadczyła — że kiedyś kulą naruszoną być musiała. Głowę rycerza zdobiła karmazynowa, o wązkim czarnym baranku, na bakier założona czapka. Stalowy pancerz dzielną pierś pokrywał: na nim niedbale zarzucona burka szamotała się

(\*) Czarniecki był wówczas Kasztelanem Kijowskim.

po tureckim siodle, za każdym silniejszym wichru powiewem.

— To pan Kasztelan, Regimentarz koronny Czarniecki—dworzanin Rotmistrzowi poszepnął, i skoczywszy z konia, z niskim ukłonem, zbliżył się do bahatyrą.

— Cóż Aśc mi powiesz? zagadnął go ten głosem żwawym i silnym.

Dworzanin list wręczył. Szybko przejrzał Czarniecki, i — per Deum immortalem! krzyknął. To źle!.. znam Möllera, żartować nie lubi.

Młodzian zadrżał, przeczył treść pisma.

— A Aśc kto jesteś? spytał go Kasztelan.

— Do dnia wczorajszego byłem Rotmistrzem w służbie Jegomości Króla Szwedzkiego; od dziś zaś, gdy się Waszej Miłości podoba, życzę sobie służyć Królowi i Rzeczypospolitej Polskiej.

— To dobrze! bardzo dobrze!.. potrzebujemy rąk wprawnych i silnej stali. Lecz jakież Aszmości nazwisko?

— Von Wejhert!

— Jakto?.. Rotmistrz niemieckich rejtarów? ten co ubiegł Międzyrzec, odznaczył się pod Krakowem, i przy obleżeniu tej oto fortecy, nie mało naszym dokuczył?..

— Byłem w okazyach, które Wasza Miłosc wspomina; lecz nie wiem, czy błache moje czyny na jego względ zasługiwac mogą?..

— A to byfoby źle Mospaniel!.. Czy sądzisz, że dzielny żołnierz choćby nawet był wrogiem, ujdzie mojej uwagi? Znam cię z wieści Rotmistrzowi i witam z radością; lubo przebac, nie pojmuje co cię skłonić mogło, do przejścia na naszą stronę?..

— Jenerał Möller wczoraj na śmierć innie skazał; szczególnem tylko zdarzeniem uchronił ję się zdołałem

— Bóg i Najświętsza Panna do zguby ich pędzi, korzystać nam z tego wypadu. Pozbawili się dzielnego serca i nieomylnéj dłoni; ale czy to nie Aszeć Miecznika Warszuckiego i jego córkę od sromoty i śmierci ocaliłeś, jak u nas o tém wieści chodziły?

— Tak jest panie Kasztelanie! i to była jedyna ma wina w oczach Jenerała.

— Hańba mu! wieczna hańba! — wykrzyknął wtedy gwałtownie po szabli ciężką ręką dzwoniąc Czarniecki. — Ha! Mospanie Möllerze! dobrze umiesz chronić się, ale przecież doścignę cię kiedyś: wtedy rozrachujemy się, i Bóg świadek, z lichwą odpłacę krew którą przelałeś i jeszcze pragniesz przelewać. Panie Rotmistrzu! dosiądź konia... zostajesz przy mnie. Wacpanowie!.. tu się zwrócił do orszaku — rozjechać się po stanowiskach, porządku doglądać; ja do klasztoru jadę. Możesz mi towarzyszyć Rotmistrzu! będziesz nawet potrzebnym... Oby cię Bóg natchnął wymową, oby świadectwo twoje o troskach Warszuckich znalazło litość w sercu Króla a raczej Królowej.

Kasztelan pogłasnął gęstą grzywę rumaka, wspiął nieco ostrogą wychudłe jego boki, i rzeźki bachmat żwawo poskoczył. Niezadługo przecież ustanął: Czarniecki bowiem w miarę przejazdu obozu, znalazł wszędzie coś do poprawy, nagany lub pochwały. Z ciekawą uwagą przebywszy most zwodzony, oglądał młodzieniec tę forteczkę, która z szczupłą, bo trzystu ludzi nie dochodzącą załogą, kiedy kraj cały uległ przemocy Karola, zwycięzko dwumiesięczne oblężenie siedemnastotysięcznej potęgi Szwedów wytrzymała. Spozrzegł to mężny Czarniecki; bo w trop myśli młodzieńca wyrzwał:

— Dziwisz się zapewne, jak garstka żołnierzy, niewojenni księża i kilku reczkowej szlachty, wśród tych słabych murów, całej waszej potędze opór stawić mogli.

— Prawda Panie Kasztelanie! zwłaszcza iż zwalenie wieży, która nad całym klasztorem góruje, mogłoby go zasypać gruzami, i wszelki opór niepodobnym uczynić.

— Zupełnie myślę tak samo: albo więc Mller głowę utracił, albo ocalenie fortecy między istotne cuda policzyć wypada.

— Möller słynie w całej armii jako wyborny generał, kilkanaście fortec niemieckich daleko obronniejszych od tej, zdobył bez trudu.

— Więc to był cud... i czemuż w niego nie wierzyć?.. Któżby naprzykład przed dziesięcioma laty za panowania nieboszczyka Władysława, kiedy nasz oręż daleko przetrach roznosił, kiedy przerażał Turki, Tatary, i Szwedów zagnał wśród pokoju do oddania pięknych miast pruskich — któżby mówię, mógł być przewidzieć, że ciż sami Szwedzi Polskę całą zagarną?.. że Kozactwo Ruś zniszczy i po Wisłę dzicze swoje rozrzuci?.. Lecz na co tak daleko zachodzić?... Spojrz na mnie, jestem zagonowym szlachcicem, średni z jedenastu dzieci; lat trzydzieści liczyłem, gdy dopiero porucznikiem mianowany zostałem, dziś jestem kasztelanem, dziś gdybym zapragnął i na Wojewody krzesła łacno mógłbym osiąść. Z Porucznika—Regimentarza, z szlachcica częściowego—Kasztelan: alboż to nie cud w tym kraju, gdzie urodzenie więcej niż zasługa do godności wiedzie?.. Wreszcie w własne życie spojrz chwilę młodzieńcze! Przed tygodniem jeszcze alboż mogłeś pomyśleć, że z stronnika szwedzkiego będziesz polskim żołnierzem?.. że do tej fortecy



jako przyjaciel i obrońca wejdiesz, której jako wróg — niedawno zniszczeniem groziłeś?

Domawiając tych wyrazów, wjechał rycerz na główny dziedziniec klasztorny; oddał konia luzakowi i wraz z Rotmistrzem pośpieszył na wschody do komnat Jana Kazimierza wiodące.

— Król Jegomość wstał już? zagadnął jednego z Szambelanów królowej — chudego, niskiego, obficie kwiatkami wstążeczkami i galonami obrzuconego Francuza, który właśnie po wschodach zstępował.

— Ah! monsieur le Castelan, bon jour, c'est dobrze. Leurs Majestés prennent leur café, Król i Królowa ensemble, oni są invisibles, mais dla pana Kasztelana inna rzecz. Monsieur le prince Lubomirski, monseigneur Opaliński, et ce valereux, comment se nomme-t-il, co bronila klasztoru kiedy fojna bila... a ha! Kardecka jest là haut. Odszedł, kłaniając się nisko.

— Niech bies weźmie tych przeklętych Francuzów!.. zrozumiałeś co on szczebiotał?.. to ni do szabli, ni do rady, ni do tańca, ni do różańca.

Młodzian wyjaśnił Kasztelanowi co mu Francuz chciał powiedzieć.

— Dobrze, bardzo dobrze! więc rozumiesz ich barani język? to nam się przyda za chwilę... Mówiłem ci, że ja szlacheic zagonowy z dziada i pradziada, ani z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli wyrośtem. Umiem po łacinie — Pater noster, Ave maria wybornie, w Credo już jąkam się nieco; po polsku to ale... Rąbię niezłe krzyżową sztuką, musiałeś o tém słyszeć?..

Młodzian odparł nieco pochlebstwo; lecz prawda nakazywała, i dodał:

— Czyny pana Kasztelana znane Europie caféj. Król Szwedzki nawet, z jego ust słyszałem, uwielbia je i podziwia.

— Ach! prawda... mówił mi to w oczy po wzięciu Krakowa, a przecież zawiał się gracko, aby w jassy zagarnąć; le cz j nie w ciemię bity... starego lisa nie łatwo ująć w pólapkę.

Zbliżając się do drzwi przez hajduków i oddział gwardyi strzeżonych, dodał zatrzymując się nieco:

— Słuchaj! powiem ci otwarcie czego chcę od Króla i Królowej. Kasztelan i Miecznik Warszycy piszą, iż są w niebezpieczeństwie, że się poddają Królowi i do Tyszowieckiej konfederacyi przystępują; ale oni Aryanie, nadto krewni zdrajcy Radziejowskiego. Jedni z pierwszych do związku Wielko-Polskiego przystąpili. Takich ludzi Król a szczególnie Królowa nienawidzą: wątpię więc, czy w pomoc pójść im dozwolą... Lecz tak niech się stanie: kiedy ja Króla nakłaniać będę po polsku, ty przemów po francuzku do Królowej. Powiedz jej, że wyprawa na Działoszyn jest jednym z warunków twojego poddania; dołoż jaki wyraz pochlebny, naprzykład, że ona dobra, mądra, a co nadewszystko piękna... Będzie to kłamstwo, ale cóż robić, kiedy dobre skutki przyniesie.

— Ocalenie Miecznika świętą jest dla mnie powinnością. — Tu opowiedział w krótkości szlachetny czyn dziewicy.

— A więc w Imię Boże śpieszmy!..

Straż broń sprezentowała, hajducy drzwi na rozszerz otwarli, wszyscy znali Czarnieckiego, i wiedzieli że od dzielnej jego szabli los tych którym służą, a więc i ich własny zależy.

W sali do której z młodzieńcem wszedł Kasztelan przechadzało się kilku dygnitarzy kraju—Biskup Trzebiński, Opat Jan Opaliński, Bogusław Leszczyński Podskarbi wielki koronny, brat jego Jan Wojewoda Poznański, Stanisław Łubiński Sufragan, Krzysztof Tyszkiewicz Wojewoda Czernihowski, Jędrzej Potocki Oboźny koronny, Jan Wielopolski Kasztelan Wojnicki, i wielu innych — wszyscy członkowie Konfederacji Tyszowieckiej i jej gorliwi obrońcy. Okrążyli natychmiast walecznego Stefana, po bratersku witali — o nowiny badając; a gdy dowiedzieli się o niebezpieczeństwie Warszuckich, zdało się, że jako współrodacy, a kilku z nich jako pokrewni, ubolewali nad tém i chętnie widzieliby oswobodzonych z rąk okrutnego Möllera. To dodało nieco otuchy i nadziei młodzieńcowi, jakkolwiek mu czas bez widocznej korzyści spędzony, długim się wydawał.

W téj chwili z królewskiej komnaty, wyszedł wielki podkomorzy koronny Stanisław Jabłonowski. Ujrzawszy Kasztelana serdecznie uścisnął dłoń jego; i mówił:

— Witajże nam z dzisiejszym porankiem waleczny przyjacielu! Król jegomość oczekuje cię z niecierpliwością, hetmani już się na radę zebrali.

— Trzeba więc z burką rozbrat uczynić?.. Bah! panie podkomorzy! wcale do etykiet stworzony nie jestem. Zbroja zdrzewiona... nie wiem jak się to dzieje, przecież nieraz szwedzka szablica ją wytrze. Aksamit téż splotniał; to naturalnie... przed słońcem i burzą nie chronię go nigdy; lecz królestwo przebaczą. Chodź za małą! mówił dalej, obracając się ku Rotmistrzowi.

— Któż jest ten pan? zagadnął podkomorzy. Królestwo ichmość może dziwić się będą.

— Tak!.. prawda — zdziwią się, ale nie rozniewają, za to ci ręczę. Ten pan jest Niemiec szlacheckiego rodu, wczoraj był szwedzkim Rotmistrzem, a dziś pragnie być polskim żołnierzem.

Weszli do komnaty królewskiej.

## VI.

Przy małym okrągłym stoliku, który bogaty hollenderskim pokrywał obrus, siedział w obszernym krześle pięćdziesiąt-letni mężczyzna. Twarz jego była blada, oko duże błękitne, lecz bez wyrazu i duszy. Na wąziem czole głębokie rozbiegały marszczki, wąs siwy, zlekką zakrzywiony, sterczał nad wypukłemi blademi ustami; strzępiasta hiszpańska bródka pokrywała na dwoje rozdzielony podbródek, a ogromna ciemna peruka, według mody z czasów Ludwika XIII trefnie ułożonemi kędziorami zbiegała na bogaty adamaszkowy robbron francuzkiego kroju. Tym mężczyzną był to Jan Kazimierz, monarcha o którym słusznie jeden z naszych poetów wyrzekł—iż pod nieszczęśliwą urodził się gwiazdą. W młodości—kardynał, później—żołnierz, dalej—jeniec, wreszcie—król, zakończył życie na cudzej ziemi—opatem. W żadnym zawodzie nie smakując, każdego pragnął doświadczać. Przeznaczenie wyniosłszy go na tron polski, za cel miało zdaje się, aby nim Polskę, a jego Polską udręczyć koroną: któryż bowiem z monarchów Lechii, więcej był od niego nieszczęśliwym?.. który, prócz ostatniego?..

Obok piątego Kazimierza, na miękkich sparta poduszkach, nalewając z srebrnego naczynia w porcelanowe filiżanki kawę, spoczywała w ogromnym krześle Marya Ludwika z domu Gonzagów de Nevers, małżon-

ka po kolei dwóch królów braci. Była to trzydziestoletnia, średniego wzrostu, nieco nazbyt otyła, lecz jeszcze piękna kobieta. Twarz jej, jak zwykle po niedawnym obudzeniu, lekki powlekał rumieniec; gęste czarne włosy familijnej Gonzagów miękkości i blasku, ocieniały wysokie i białe czoło: na niem najbaczniejsze oko ni jednej nie dojrzało marszczki. Ktoby sądził iż życie królowej w ciągłej roskoszy i szczęściu spłynęło; a przecie jakże było inaczej!.. Młode jej lata przeszły w troskach... miłość zawiadła... pierwszy i najmilszy kochanek zginął na rusztowaniu. Lecz jeszcze nie otarła po nim, a już duma familii, rozkaz monarchy, rzuciły ją za żonę chorowitemu i kapryśnemu królowi. Wdowa po nim, oddała rękę szwagrowi—teraźniejszemu monarsze. Prawda, że nad słabym jego charakterem miała przewagę, że ona istotnym Polsce królem była; lecz korona tej krainy jakże nieraz gniotła jej czoło!..

Po za krzesłem królewskim stał wielki marszałek koronny—Jerzy Lubomirski. Wzniosła postawa, czoło pochmurne, nos orli, dumne ciemne oko, zwiastowały charakter tego magnata, co nie wahał się w źle zrozumianej gorliwości o dobro kraju, zakłócić go w krótkce potem wojną domową. Przy nim, lecz za krzesłem królowej, stał Biskup Olszowski—kapłan dworzanin. Wieczny uśmiech zdał się przylegał do białych ust jego, w oku wybijała dusza żywa, niespokojna, chytróść Jezuity z układem ministra złączona; przymioty, które ubogiego parocha, potomka częściowej szlachty wieluńskiej, na przód biskupią infułą, później podwójnym arcy-biskupim krzyżem i kardynalską ozdobiły purpurą. Trzecim z przytomnych był znany z dziejów przeor Jasnogórskich Paulinów—Augustyn Kordecki. Chociaż pobożnie oczy

w ziemię skłaniał, chociaż dłońią przebierał paciorki różańca zawieszzonego u pasa, łatwo każdy poznał, że ani ta dłoń do paciorków, ani szerokie barki do habitu stworzone nie były. Pierwszej raczej przystałaby szabla, drugim zbroja rycerska.

Dwaj hetmani koronni—Stanisław Potocki wojewoda kijowski wielki i Stanisław Lanckoroński polny, oparci na szerokich szablach, stanęli po drugiej stronie stołu w milczeniu. Oba dzielni rycerze, oba przywódcy Ty-szowieckiej Konfederacyi, przemyślali być może teraz, jakby skuteczniej zuchwałego Szweda wojować i wy-przeć z granic krainy.

Gdy Kasztelan Kijowski wszedł do komnaty, niski chociaż niezgrabny pokłon oddał obójgu Królestwu. Jan Kazimierz przyjął go uprzejmém skinieniem ręki i miłym uśmiechem, Marya Ludwika łamanym polskim wykrzykiem.

— Dzień dobry panie Regimentarzu! pierwszy raz zapewne wstaliśmy raniiej od ciebie? Jakież nam nowiny przynosisz?

— Najjaśniejsza pani! odparł z lekką dumą wojownik, nie przystoi sfudze bezpiecznie łoża zalegać, kiedy państwo czuwają. Mnie pierwszy brzask świtu widział już w obozie; z nowin... jedna tylko. Tu podał Królowi prośbę Warszzyckich... Jan Kazimierz przeczytał ją obo-jętnie i wyrzekł:

— Skrucha nieco za późna, a Bóg wie czy szczerą, kiedy ją bieda i bojaźń wyciska.

Królowa ciekawie pochwyciła z rąk męża papier, przeczytała żwawo, i miotając się po krześle, krzyknęła:

— Nie będzie z tego nic! na jaką zasłużyli, niechaj mają nagrodę. Poprzysięgli wierność Szwedom, niech

czują słodycz ich rządów: czas téż ukarać tę dumną szlachtę, co rozumie, iż z królem igrać może jak dziecko z cackiem. Nie tak jest we Francyi! i westchnęła..

Jerzy Lubomirski czarne brwi zmarszczył, Czarniecki wąsa pomusknął. Nie postrzegła tego królowa, ale dostrzegł baczny Olszowski: coś monarchini zlekka do ucha poszeptała... mówiła w tedy:

— Z resztą wiedzieć ci trzeba Regimentarzu! iż uchwaliliśmy pochód na Warszawę; nie możemy zatém rozdrabniać ani trudzić armii bezpożytecznemi marszami. Wszakże tak panowie?

Obaj hetmani w znaku potwierdzenia, lekko skłonili głowami.

Czarniecki odparł:

— Droga niedaleka: cztery mile nadłożyłbym tylko do Warszawy idąc, a zysk znaczny. Mniejsza pomoc Warszuckim, lecz rozbiecie hufcu, albo nawet schwytanie Möllera, który pozostawiony spokojnie, łatwo nasz pochód mógłby niepokoić. Za pomyslny skutek prawie mogę Waszój Królewskiej Mości zaręczyć, zwłaszcza mając przy swym boku tego pana, byłego Rotmistrza wojsk pretendenta szwedzkiego.

Dokończywszy tych słów, przedstawił obójgu Królestwu młodzieńca, nie skąpiąc mu pochwał, a zarazem wzmiankując za jaką cenę chce przejść na służbę Rzeczypospolitej.

Król według zwyczaju, wahał się co czynić, Królowa baczném okiem zmierzyła Rotmistrza... Złośliwe dzieje wzmiankują, że dorodny mężczyzna rzadko był obojętnym dla niej: uśmiechnęła się zatém, w ład przywiodła gęste pukle włosów spadające na czoło, i rzekła w niemieckim języku, kalecząc go z francuzka:

— A więc pan jesteś Niemcem?.. lubię jego naród... jak bitny, tak jest wierny prawym Monarchom. Ufam, że się nie odrodziłeś od charakteru twych ojców.

— Najjaśniejsza pani! odparł po francuzku młodzian: Wasza Królewska mość nie zawiedzie się w dobrém o mnie mniemaniu. Walczyć za jęj sprawę najgorętszém było dla mnie oddawna życzeniem, przelać krew dla nięj lub nawet życie utracić, niczém dla mnie będzie.

Królowa ucieszona francuzkim językiem, i pochlebną odpowiedzią Rotmistrza, zarzuciła go tysiącem zapytań, na które starał się skromnie, ale z dwornością wyższe cechującą wychowanie, odpowiedzieć; przy czém nie zaniedbał wspomnieć o szlachetnym czynie Jądwi w uwolnieniu go od pewnej śmierci. Zakończył zaś następniemi wyrazami swoją rzecz:

— N. Pani! pojmujesz teraz jak świętym dla mnie obowiązkiem jest wdzięczność, ile winienem Waszą Król. Mość błagać o zezwolenie panu Kasztelanowi poniesienia wsparcia nieszczęśliwym, których życie a przynajmniej bezpieczeństwo od jednego W. K. Mości słowa zależy?.. N. Pani! chcięj je wyrzec... okaż zmiłowanie! i tyle dobroci ile wdziękami niebo Cię obdarzyło!..

— Lecz córka Miecznika nierównie więcęj ma wdzięków i dobroci, a co nadewszystko jest młodszą; nie znam jęj, ale tak sędzę: nieprawdaż panie Rotmistrzu?

Rzeżwy rumieniec oblał lica młodziana.

— Od razu odgadłam, że w tém wszystkiém mały romans gra rolę. Jako kobieta w pomoc przyjść mu powinnam: i odwracając się żwawo do króla, co z Czarneckim plan pochodu na Warszawę układał — dodała:

— Mon cher! inaczej być nie może. Pan Stefan sędzi, iż bez ujmy naszym planom, Möllera ściagać a nawet



zwalczyć potrafi. Daj mu pozwolenie: zysk trzykrotny odniesiesz... naprzód, pokażesz poddanym jak mało na osobiste baczysz urazy, powtóre oswobodzisz całkowiec te strony od Szwedów, a wreszcie pozyskasz żołnierza, którego szabla zapewne tak silną jak wymowa gładką.

Wola żony była prawem dla męża, udzielił żądane pozwolenie, i w kilka chwil później Czarniecki z Rotmistrzem, zaledwie mogącym ukryć swą radość, opuścili komnatę.

Zchodząc ze schodów rzekł trąc ręce Kasztelan:

— Gracko sprawy dopiąłeś, już zważyłem o niej, O! co chce królowa to chce i król... teraz żwawo do dzieła, a oto plan mój. Wezmę moje pułki, sześć tysięcy ludzi, człek w człeka do pałaszy stworzeni, jak ryby do wody. Musimy oskoczyć Möllera, a jeżeli można, przeciąć mu odwrót. Tobie powierzę regiment kopijników: żołnierz ciężki, lecz wprawny... Znasz drogę do Działoszyna, pośpiesz tam i odrazu uderz na zamek: atak nie trudny, bo fossy w złym stanie. Ja w pół godziny najdalej z piechotą i hussarzami przybędę ci w pomoc. O ho! Möller nareszcie musi popaść w me ręce!..

W pół godziny po tej rozmowie, już Rotmistrz na czele dwutysięcznego oddziału śpieszył drogą ku Działoszynowi wiodącą. Mimo mocnego upału, rycerze polscy jakby nie czując znużenia, żwawo na dzielnych harcowali rumakach. Żadna zawada wstrzymać ich nie mogła, przesadzali płoty i rowy, cwałem obszerne stopy piasków mierzyli... O ówieré mili drogi od miasta mały podjazd szwedzki zaszedł im drogę: pokonać go, jednéj chwili było dziełem. Cały regiment cwałem ku zamkowi pośpieszył i właśnie do bramy przedmo-

stowej zbliżał się, gdy nagle w oddalu półtory mili może, usłyszano gęste rusznicze wystrzały, pomiędzy którymi huk armat kiedy niekiedy dworował.

— To pan Kasztelan uciera się z Szwedami, wyrzekł z towarzyszy jeden.

— Ależ nie sposób... jechaliśmy szybko, gdy on wie-dzie piechotę... odparł zdziwiony młodzieniec.

— Nie żałuje koni pan Regimentarz, a w razie po-trzeby i piechotę na nie sadza. Już się to trafiło razy kilka — była odpowiedź.

Zamek stał bez załogi, most nawet nie był zwie-dziony, w baszcie broniącej go ni jednego żołnierza... Zaledwie przecież na obszerny dziedziniec wiechał z częś-cią rycerstwa dowódca, ziemia wstrzęsła się, i z trza-skiem którego niesposób opisać, zamek wysadzony mi-nami, runął w zwaliny.

Gwałtowność wybuchu zwała na ziemię Rotmi-strza. Gdy po kilku minutach przyszedł nieco do siebie jakiś straszliwy widok miał przed oczyma... Obok niego kilkudziesięciu żołnierzy zabitych lub okropnie spa-dłemi belkami i gruzem pokaleczonych tarzało się po ziemi; przed nim jedna część zamku w ruderze zale-gła, drugą płomień ogarnął; z ruin zaś i z płomieni okropne wydobywały się jęki i wzywanie ratunku... Z kil-ku odważniejszymi towarzyszami poniósł Rotmistrz nie-szczęśliwym pomoc... Wtedy poznał całą srogą zemstę Möllera! Okrutnik uprzedzając napad Polaków rozka-zał wszystkim dworzan, Miecznika i Kasztelana, w ró-żnych stronach zamku pozamykać i tak w powietrze wysadzić! Co się stało z Warszycykiem, żaden z oca-lonych sług nie mógł wiedzieć z pewnością. Osadzeni w ściśłym więzieniu właśnie w tej stronie zamku, któ-

ra zrujnowały miny, niezawodnie znaleźli śmierć okrutną w zwałinach.

## VII.

Dwa lata ubiegło... Lechija oswohodka prawie całkiem od Szwedów została, a nawet jój hufce pod dowództwem Czarnieckiego, teraz już Ruskiego Wojewody, przedarły się aż do Holsztynu, niosąc przeważną pomoc Duńskiemu Królowi.

Nad burznemi Bałtyku brzegami na przeciw wyspy Alsen, zalewem morskim ówierć mili szerokim, przedzielonej od lądu, na swoim dzielnym rumaku, stał Wojewoda zajęty rozmową z niedawnym wrogiem a teraz drogo opłaconym przyjacielem—Wilhelmem Elektorem Brandeburskim.

Związkowe wojska, najwięcej z jazdy złożone, szeroko okólne pola zaległy... Na wyspie Alsen wrzała walka podjazdu Brandeburskiego z hufcami Szwedzkimi. Na nie cała uwaga tak Elektora jak i Czarnieckiego była zwróconą... Oba wojska dzielnie walczyły; lecz Brandeburskie orszaki przewyższającą naciskane siłą, coraz na miejscu i odwadze traciły. Elektor niecierpliwił się i zżymał; chciałby słać pomoc, lecz promy wstrzymał wiatr przeciwny u drugiego brzegu. Już Szwedzi hufce jego przyparli do morza, już zupełna porażka ich nieuchronną być się zdawała, gdy pobiegłszy do swego przybocznego regimentu Czarniecki, mocnym głosem wykrzyknął:

— Bracia! nie przeszkodziło Szwedom morze w napaści naszej ziemi... czyliż ono ma nam zawadzać w ukaraniu zuchwałców?.. Śmiało za mną! nietraćmy czasu, pokażmy

że odwaga nie potrzebuje mostu, fal się morskich nie złąknie!..

Dorzekłszy słów tych, pierwszy skoczył w kipiące wody Bałtyku. Jego przykład, znajomy nam Rotmistrz naśladował, dalej kilku towarzyszy pancernych, wreszcie cała jazda polska z dwóch pułków złożona, przy głośnych wykrzykach: — górą! Czarniecki! wiwat Rzeczpospolita!.. w bezdenne morskie rzuciła się fale.

Elektor Brandeburski, Montekukuli dowódzca Austryjacji i wielu oficerów sprzymierzonej armii, pośpieszyło wtrop Sarmackich hufców: nie, aby pójść ich przykładem, lecz aby przyjrzyć się szczególnemu widowi przeprawy ciężkiej jazdy wpływ przez morski zalew; a kto wie, może ucieszyć klęską rycerzy, których choć przyjaciele, z rozpaczą zuchwałą podziwiali odwagę, a zrównać jej nie mogąc, zazdrościli nieraz.

Być może, iż surowo byłby ukaranym polski dowódca, za lekceważenie burznych odmętów Bałtyku. Zimne fale drętwiły rumaki i jeźdźców, bezdenna otchłań pewną zgubą groziła; lecz los nie odstąpił ulubieńca swojego... powiał w tej chwili lekki wietrzyk zachodni, i promy u przeciwnego zatrzymane brzegu, szparko szybować w kierunku śmiałych pułków zaczęły.

— To istna pomoc niebios kochanku! rzekł do towarzyszącego sobie młodzieńca Wojewoda. Dalipan, sądziłem, że moja krew gorąca narazi was wszystkich o zgubę, a o to inaczej się stało. Héj! żwawo Mościwi panowie! konie do nich przytroczyć, i na wyspę.

Rozkaz Wojewody w jednej wypełniono chwili... i w kilka minut później cały hufiec polski, jednego tylko towarzysza w przeprawie straciwszy, stanął na brzegach Alsen. Porażka Szwedów była zupełną, mała tylko

ich liczba zdołała schronić się do warownego zamku stolicy wyspy. Obległ go bezwłocznie Czarniecki.

\* \* \*

Noc była burzliwa i ciemna, zimny wichur grudniowy dął silnie od strony Bałtyckiego morza, pomiatając tunianami chmur, co drobnym śniegiem biły po hełmach i zbrojach małego orszaku rycerzy, dowodzonego przez znanego nam Rotmistrza von Wejhert.

Godzinę przeszło w najgłębszej cichości wspomniany orszak przedzierał się wśród skał i zarośli, aż doszedł do ogromnej opoki na której zamek Alsen dumnie piętrował. Trzy dni nadaremnie oblegał go waleczny Czarniecki, wszystkie ataki dzielnego rycerza udaremnione były, mniej szablą i odwagą Szwedzką, jak raczej niedostępnym położeniem fortocy. Już nawet chciał znieść oblężenie, gdy znajomy nam Rotmistrz ofiarował się śmiałym napadem od strony morza poprobować szczęścia. Istotnie było to zuchwałe przedsięwzięcie: skały bowiem w tém miejscu prostopadle wznosząc się, niedostępnymi być się zdawały. Jedno poślizgnięcie, jeden fałszywy krok, mógł być udaremnić wyprawę: nie wstrzymało to przecież walecznego młodziana, wiedział, że na pewną szedł śmierć; lecz czyliż go ona straszyla? życie nie byłoż mu nudne, bolesne od dawna?.. a to od chwili, kiedy okrucieństwo Möllera, zniszczeniem Działoszyńskiego zamku, roztrąciło wszystkie jego nadzieje, wydarło cel starań i życia; zgon bowiem Warszzyckich niewątpliwym zdawał się. Przez dwa lata Rotmistrz nie szczędził wszystkich usiłowań, aby się o ich losie wywieść; nikt mu nie mógł dać najwątleszej nadziei: nawet jeńcy polscy w Szwecyi dręczeni, a którzy szczęśliwym trafem do rodzinnej ziemi mogli byli powrócić.

Istotnie, — szczęście i dłoń Boża wiodły Rotmistrza w wyprawie teraźniejszej. Po kwadransie niebezpiecznego wysilenia, po kwadransie trudów i znojnego wdzierania się na strome skały, ujrzał się nareszcie pod murami zamku. Nad jego głową wybijała się wysoka wieża: kilka w niej tylko było okien żelaznymi zasłoniętych kratami, nagle w jednym z nich, przy młym blasku księżyca, który właśnie w tej chwili z ciemnych chmur wywinął, dojrzał młodzian wyciągniętą rękę: potoczył się z niej drobny sznurek, a do niego przytwierdzony papier zaszemrał pod nogami Rotmistrza. Zdiąć go i przeczytać, było dziełem jednej chwili. W liście pisano:

— »Od trzech dni z okien więzienia naszego spostrzegamy was bracia!.. Dla Boga! przyjdźcie na ratunek czém prędzej!.. W wieży od strony morza, skałą zakryte znajdują się małe drzwi żelazne, nie obsadzili ich Szwedzi, bo pojąć nie mogą, aby ktobądź po prostopadłej skale mógł się do nich wedrzyć. Przejście tamtędy będzie łatwe, gdy już największa trudność przewalczona szczęśliwie. Śmiało i szybko przecież uskutecznicie napad, gdyż Szwedzi grożą w razie niemożności obrony, wysadzeniem zamku w powietrze. Jest tu nas szlachty piętnastu—Jan Opaliński brat Wojewody, Podkomorzy Mirosławski, dwaj bracia Warszycy—Kasztelan i Miecznik z córką.«

Daléj Rotmistrz nie czytał.. Oko jego pałało radością... w sercu znowu nadzieja roztała... Nie spodziewana a szczęśliwa wiadomość jednakże nie dała mu zapomnieć powinności żołnierza. Przytroczył do żelaznej sztaby zamykającej drzwi, długą supłami opatrzoną linę: za kilka chwil trzech żołnierzy bez szwanku dosięgło

szczytu skały. Wkrótce za ich przykładem cały orszak pośpieszył, i brama silnemi ramionami parta, podsadzona szablicami i oskardami, otwarła się z szczękiem.

W wieży kilku Szwedów strzegło uwięzioną szlachtę, lecz napadnięci znieścacka, nie długi mogli stawić opór. W zamku nie określone zamieszanie powstało... Nagle ze snu obudzona załoga, w miejscu stawienia oporu Polakom, niedbając na rady i zachęty dowódców, w wszystkie rozbiegała strony, lub kryła się w licznych korytarzach zamku. Na głównym dziedzińcu przeciw jenerał Möller komendant załogi zdołał wreszcie mały hufiec zebrać. Rotmistrz to ujrawszy, poskoczył ze swoim oddziałem co żywo. Okrutny Szwed poległ w pierwszym natarciu: reszta załogi broń złożyła, przestraszona szczękiem broni i hukiem wystrzałów całej polskiej armii, co pod dowództwem dzielnego Stefana, w tej chwili nadbiegła pod mury Alsenu aby korzystać z szczęśliwego napadu Rotmistrza i jego towarzyszy.

\*                      \*

W trzy tygodnie później, w jednej z głównych sal zdobytego zamku, Czarniecki z Miecznikiem Warszyckim żwawą zajęci byli rozmową. Przedmiot jej musiał być ważny, bo Wojewoda przeciw zwyczajowi swojemu zdobywał się na piękne słówka, i jednym ciągiem kilka minut prawił. Było to największą ofiarą i wysileniem człowieka, który częściej szablę niż język miał w ruchu. Na wymowne jego słowa, skłaniając siwą głowę, odparł Miecznik poważnie:

— Wstawienie się waszej miłości panie Wojewodo i bracie! jest dla mnie zaszczytne i miłe. Verbum nobile daję ci, Rotmistrza von Wejhert szacuję i kocham niby

rodzonego syna. Wszakże wiesz, ile mu jestem winien... podwójnie życie własne i honor méj córki. Ależ mościwy panie bracie, oddać mu moją Jadwigę! inna rzecz... Dalipan! ja szlachcic z dziada pradziada, mogę ci pokazać nasze genealogiczne drzewo: ani jednej na niémskazy... wszędzie krew czysto polska szlachecka... chcesz więc abym ujme przyniośł pamięci mych przodków?.. krew ich mieszał z cudzą, zagraniczną?..

— Ależ Rotmistrz von Wejhert jest szlachcicem i to dobrym starym szlachcicem w swym kraju: sam czytałem jego dowody.

— Cóż to wszystko znaczy?.. U nas dziedzie na zagrodzie równy Wojewodzie; ale ich wojewoda, dalipan Mosanie! aż strach bierze pomyślcé...

— Lecz gdyby Rotmistrz został polskim nobilitowanym szlachcicem?.. zagadnął nieco żwawo Czarniecki.

Miecznik potarł dereszowątą czuprynę i wyrzekł:

— Wtedy Mospanie Wojewodo i bracie! wtedy... no wreszcie... co innego byłoby. Wczorajszy nasz rodowity szlachcic więcéj u mnie znaczy, niż przedpotowe zamorskie książątko. Jednak długie to z indygenatem korowody. Nie wątpię o wadze wpływów Aszmości, lecz chciał się sobie przypomnieć, ile to czasu i kłopotu kosztowało Batorych, zanim rodzinny węgierski klejnot pomiędzy polskie zaszczyty wpisali?..

— Jeżeli tylko o indygenat rzecz idzie, to chciał zobaczyć Waszmość. — To rzekłszy Czarniecki wydo był z zanadruza pargamin: Warszzycki rozwinął go szybko i znalazł nobilitacyą Rotmistrza.

— Jakże więc?.. zagadnął Czarniecki.

Miecznik pasa poprawił, wás pogłasnął, oko jego zabłyśło radością... największa przeszkoda w połączeniu



córki z Rotmistrem runęła... Przecież aby etykiecie szlacheckiej nie chybił, pragnął nowe dawać pozory i wyrzekł:

— Ależ Mości dobrodzieju! to dobrze... bardzo dobrze... przecież nie wiem czy moja dziewczyna zezwoli?.. Wiesz Aszmość dobrodzieju miły! niewiasty mają częstokroć dziwne kaprysy...

— Gdzie tam Mosanie Mieczniku! niechaj tylko pan młody będzie gracki, rycerski i niedereszowaty jak my... każda panna mile patrzy na niego!.. Ależ przekonać się mogę... zechciej przywołać twą córkę, ja wezwę Rotmistra.

Brzęknął po kłindze szablicy... widać, że to był znak umówiony, bo natychmiast Rotmistrz ustanął w komnacie: za chwilę była w niej i Jadwiga.

Nazajutrz, jak się należy spodziewać, pan Czarniecki wiódł państwa młodych do ślubu. Na biesiadzie zaś niezbędnej przy podobnych obrzędach, kiedy już wino szumiało nieco w głowie, a nowożeńcy oddalić się chcieli, wydobyl z zanadru dwa pargaminy: jeden mianował Rotmistra Wejherta — Oberszterem przybożnej gwardyi Króla Jegomości, drugi nadawał mu bogate starostwo Brzezniekie. Młoda para z Miecznikiem pospołem rzucili się w objęcia bohatera, ocierając łzę w oku wijącą... Wyrzekł on żwawo:

— Bah! i za cóż jest tu dziękować?.. Zrobiłem co słuszność nakazywała. Gdyby nie było nagrody, nie byłoby bodźca do szlachetnych czynów: ależ słuchaj panie Oberszterze! a raczej piękna jego żono! Nowina jaką wam powiem, pewnie miłą będzie... Daję panu Oberszterowi urlop półroczny: czas to miodowy związków małżeńskich, miléj wam zejdzie na łonie pokoju w Krakowie, niż w krwawych Marsa gonitwach. Zatem jutro już w drogę, bo po sześciu miesiącach—na koń panie bracie! jak Bóg trakt pokaże, a honor i powinność wezwie, robota się znajdzie!..

## KRONIKA LITERACKA.

---

*Kirgiz, powieść przez G. Z. 1842, Wilno drukiem  
T. Glücksberga w 12<sup>ce</sup> str. 76.*

Powieść *Kirgiz* wniosła nam nowy przedmiot (świat i niebo kirgiskie) do naszej poezyi. — Tresć jej następująca:

Jakieś dziecko pustyni i stepów (*Kirgiz*) opuszcza tajemnie ściany, które go więziły lat dziesięć, i wraca na stepy. Leci nocą i przebiega przestrzeń stepową. Dla poezyi i poety to żywioł — pustynia i wśród niej człowiek. Tu przyrody obraz *pierwotny*, swobodniejszy, człowieka, ich wzajemny związek jawniejszy. Jeździec-*Kirgiz* rozwija przed nami cały zawód człowieka w pustyni. Widzimy go tu wśród nocy, wśród dnia, wśród świtu, wieczoru; widzimy go pod niebem pogody, wśród burzy; w całych dwóch pierwszych oddziałach powieści jeździec jeden na stepach. *Kirgiz* pierwszą swą radość wylał w słowach do wierzchowca zwróconych, całą piersią wciągał powietrze którym odetchnął, i lękał się, żeby mu tchnień nie zabrakło. Patrzył nocą na tumany pustyni, na niebo; gwiazdy równał do kwiatów na stepie, kwiaty do gwiazd: wracał znowu do pieszczot z wierzchowcem, los jego ze swoim równał, i bieg jego do biegu swęj myśli stosował. Mrok nocny, był, rodzajem snu zmysłów dla jeźdźcy, *myśl* w nim rozwijał. Świt nastał i rozjaśnił przedmioty pustyni. Zda się, że ze znajomością tej natury dalekiej, autor szczególnie jej nam kreślił.

„Zapłonęło się jakby dziewica, mówi poeta, niebo na wschodzie, wiatr lekki poranny powiał.“

„W słupach się wzniosły muszki brzęczące,  
Zaklekotały w dali żurawie,

A promień — którym błysnęło słońce

Przelecił — po całej stepów przestrzeni,

I na miliony rozbrył promieni.  
I wszystkie krople wiszącej rosy  
Ognistém życiem diamentu grały,  
I wszystkich ptasząt zbudzone głosy  
W jednego hymnu ton się zlewały.—

A ranku tego przybył jeszcze nowy szczegół do świętu był to głos najznakomitszej z istot na ziemi (człowieka) władczyni istot,—głos jeźdca. Głos ten lubo z samotnej piersi wznosił się w niebo, opadał i rozlewał się na całą przestrzeń pustyni.

Kirgiz powitał *pieśnią* wschód słońca...

Z szerokich piersi nuta lecąca

Dźwięczna, doniosła, jak srebrny dzwonek

Odbiła w niebo — i jak skowronek

Zawisła w górze, aż drżąca cała

Spadając zwolna tony niższemi,

Jak deszcz wiosenny zesłała ku ziemi,

I gdzieś w dalekiem echu skończyła.

*O dziwna nuto pieśni Kirgizkiej.*

(dodaje autor określając jej cechy wewnętrzne obok zewnętrznych).

Melancholijna—jak te płaszczyzny;

Dzika—jak krwawej zemsty pociski;

Rzewna—jak tęskność do pól ojczyzny,

Gdy cię pierś mężka z siebie wylewa,

Cała natura wyteżę słuchoy;

Niebu się zdaje; że to *step śpiewa*,

Ziemi; że nucą niebieskie *duchy*."

## II.

Dzień minął, noc druga przyszła, i Kirgiz leciał. Trud i głód znużyły go, ale on śmiał się: od lat młodych przywykł był do trudów i głodu. Ku wieczorowi jednak okazały się złowrózbe znaki, znaki burzy. Burza jest straszną w pustyni, gdzie sztuka nie daje *schronień*. Kirgiz wstrzymał się, wbiegł na kurhan z kości przodków złożony, i patrzył czyli też gdzie nie ujrzy pyłu dymu ognisk koczowych? Nie ujrzał i czekał kurzy. Wiatr który co-

raz się wznosił, z chmur ściany zaczął płaty oddzierać, i te z pędem po niebie popychał w kształcie jakowychś dziwnych potworów. Czasem błyskała gwiazda jakoby „uśmiech anioła“ ale w tém zaciągnął się czarny obłok „jakoby w nowy dzień potopu“ oderwał się, i całe stepy widok tylko gry strasznej żywiołów przedstawiły. Błyski i gromy biły co chwila i obejmowały step — w wodę na ziemi zamieniony. Jakiż to duch wśród burzy stał na mogile? co za *głaz* którym burza nawet zachwiać nie mogła? to stał *Kirgiz na koniu*.

### III.

W Aule (koczowisku kirgizkiém) nagłe ożywienie powstało: albowiem przyjechał *gość*. *Gość*: to zjawisko w pustyni i najtłustszy baran na cześć przybycia gościa padł pod nożem. I po za Aulem stała się radość nie mniejsza, radość prawdziwie pustynna: gdzie sam zwierz uczuwa tęsknotę i ucieśnienie gromadne. Tak nam opisał poeta przybycie jezdca —

.....

„O! nie mniej obraz był ożywiony  
 Po za Aulem, gdzie liczne trzody  
 Szukały paszy u brzegów wody. —  
 Koń jezdca wolno z uzdy puszczoney  
 Zarżał i cwałem pobiegł ku stronie,  
 Kędy mu wodzew zarżały konie;  
 Wpadł do ich środka — a całe stado  
 W mgnieniu skupione, zbitą gromadą,  
 Z zdziwionym wzrokiem poważnie kroczy ]  
 I przybyszowi zagłada w oczy.  
 Ale poznawszy z obcej postaci  
 Że to nie żaden z tabunnych braci;  
 Konie uszyma strzygą — prychają, —  
 Postąpią krokiem, to znowu stają;  
 Aż w końcu jakby drucha poznały,  
 Radośnym rzeniem gościa witały.  
 Trzody — jak gdyby chcąc radość zdwoić

Wtórem ryczały — i psy szczekały,  
Długo nie mogąc się uspokoić.

Jeżeli zajmującym był dla nas opis stepów, gdzieśmy widzieli przyrodę lubo naszą (ziemską) lecz nową, tém więcej stać się musiał podobnym: obraz nowego dla nas towarzystwa *ludzkiego*. Obraz grona Kirgizów w jurcie (namiocie) Aułu po raz pierwszy widzimy tu w naszej poezyi. „W największej jurcie mówi poeta, zebrała się ludność Aułu w około ogniska, i zajęła miejsca na ziemi. Bij tylko głowa rodu siadł na *wojłoku* i gościa obok siebie posadził. Malownicie określił nam autor ognisko jurty (tłumione gotującą się strawą), i grono okolne.

.....  
„Ognisko wielkim kotłem zduszone,  
Siląc się dobyć ze szranków ciasnych,  
Ogarnia kotła boki zczernione,  
I wyskakuje w płomykach jasnych  
Jak rój wzruszonych w swém gniaździe węży  
A blask padając w strony — oświca  
Ostre, wydatne, wąsate lica  
Zawiedłych w trudzie stepowym męży,  
I żon ich twarze wychudłe, śniade,  
O oczach lśniących, ukośnych, małych,  
Co tam jak widmy, w swych płachtach białych  
Snuły się, warząc w kotle biesiadę. —  
Blask ten od węgla i iskr lejących  
Nadaje jakieś barwy oddzielne,  
Przez pół zbójcekie, przez pół piekielne,  
Najbliższym kształtom. Dalsze, w półcieniu  
Na tle się ciemném jurty rysują,  
Jak te postacie które w marzeniu  
Nagle się jawią; a — w przebudzeniu  
Chwilkę się jeszcze przez pamięć snują....“

Zastawiono wieczerzę, i grono do wieczerzy usiadło;  
a w gronie tém, tym silniej musiała się odbić córka  
Bija, sąsiadka gościa (Demela) o której mówi autor, iż była *jedyną* na całą przestrzeń koczową.

.....  
„Wzdłuż i w szerz przeleć całą pustynię  
Od ujść *Sir-Darii* i *Ajaguzy*  
Od zapadłego Urganu w gruzy;  
Do siedmiu źródeł, z kądem *Iszym* płynie  
I w całym bujnym stepie *Iszyna*  
Równiej w piękności *Demela* niema.“

Piękność i miłość są *względne*; wrażenia gościa rychło się wzniosły; bo też i gość wśród znanego dotąd a podwładnego grona, córce Bija był równie zapewne mniej powszedniem przed oczy zjawiskiem. Cały ten oddział powieści poświęconym jest określeniu uczucia które się w dwóch młodych sercach (*Demeli* i gościa) zrodziło.

.....  
„Jeździec, okiem w jej się oczy wkłada,  
Tchnieniem, łowi jej dziewicze tchnienia,  
Rosa szczęścia z niebios zachwycenia  
Na płonące jego serce pada.  
*I dziewczyn spojrzeń nie odtrąca,*  
Lecz je biegnie uprzedzić, powitać,  
Ku nim zwraca się jak kwiat do słońca,  
Z nich jak z gwiazdek chce swą przyszłość czytać.“

#### IV.

Śpi Aul, ale jeździec nie zdołał oczu snem skleić. Stała mu przed oczyma ubiegłość, stała obecność: tak go mile łudziła obecność, tym też sroższe były wspomnienia. „Wszak to lat drugi płynie dziesiątek, mówił do siebie, jako mój ojciec w Aule został napadnięty, zabity, jego dobytek wzięty, a mnie małe pacholę odprzedano w niewolę daleką; lat drugi dziesiątek jakem żył w tej niewoli do ostatnich posług użyty, cały dzień na posługach mi schodził, a wśród nocy stawał przedemną trup ojca i wołał „zemsty“. Upatrzyłem nareście porę — uciekłem.

„Jak ptak co skrzydłem swobodnym płynie,  
Lecę, w rodzinne moje pustynie  
Witam step z dawna mi niewidomy,  
Spotykam wichry, burze i gromy;

Aż wycieńczony od trudów, znoju,  
 Spostrzegam wreszcie — widoku czuły  
 Po tylu leciech! — pierwsze Auły!...  
 Wpadam, nie pytam jakiego rodu,  
 Bo w każdym głosie, stroju, postaci,  
 Poznaje swoich — i jak mych braci  
 Ściskam, całuję: łza z ocz mych tryska,  
 Mnie wtenczas urok jakiś czarował!..  
 Wszakżem *zabójcę ojca* całował!..  
 I u jednego siadł z nim ogniska.“

Kirgiz poznał to, iż był w domu zabójcy ojca. Nie mogąc się odjąć myślom, powstał i wyszedł a w jednej jurcie spostrzegł także ognisko, podszedł i ujrzał przy niem stojących *Bija* i starca *Wieszczka*. Bij patrzył blade na czary, a *wieszcz* przerwał je, geśl pochwycił i pieśń zaśpiewał. Pieśń ta przypominała właśnie treścią ów czyn *Bija*, który miał związek z gościem.

V.

„Dziwny, dziwny ja miałem sen, śpiewał starzec: śniło mi się żeś ty *Biju* był młodszy, I jam był młodszy. Wędrowaliśmy po przestrzeni nieba, po gwiazdach i na jednej z tych gwiazd ujrzelśmy — pasące się *koni stado*. Słynni w świecie z *Baranty* (nocnej kradzieży koni) nie usunęliśmy się, podszedli lecz ostrożnie; albowiem sam księżyc stał na straży. Tyś porwał stado, Księżyc ujrzał, pogonił, lecz uciekamy: chwila jeszcze i od pogoni umkniemy (na żywszą młodzieńczą miarę śpiewał *wieszczek* tę pieśń):

„Stado nasze!... ziemia blisko...

I rodzinne koczowisko

Widać z wietrznych gór. —

Wtém — mgła pęka ... *błyskawica*

Jakby z zemstą z za księżycą

Grzmi za nami z chmur.

Grzmi ... lecz nagle kształt swój zmienia

Niby *dziecko* .... a w pół mgnięcia

Zda się *olbrzym* rość .....

Już nas, chwytaj,.... spojrzę w lice  
Biju!... znam tę błyskawicę!....  
To młodzian.... twój gość!....

I cóż począć mam, wysłuchawszy i zrozumiawszy znaczenie pieśni rzekł Bij, wszakże to gość? — Urzekła go Demela odpowie starzec, ludź go — a po chwili zwinij jurty, uprowadź za krąg gościnny, i zabij!..

## VI.

„Za danym znakiem Auly — zdieto —  
Zebrano sprzęty, — jurty zwinieto —  
I na dwukolne złożono wozy.“

Idzie stado, harcuje młodzież, a jednotonność podróży przerywają — *gonitwy*. — Wśród tych *gonitw* Demela wyprzedza wszystkich, i tylko dopędza ją — *gość*.

„Dla ciebie ja zemsty zapomniał, rzekł, zapomniał ojca... uchodź zemną.“ — I uprowadza ją z sobą w półmimo woli. — Bij to widzi i wysyła pogonie, lecz próżno.

„Mamże wrócić i żyć wśród hańby? O! wyślę za niemi takie pogonie, od których nic ich nie zbawi, rzekł Bij.“ Te pogonie to — *pożar stepów*. — Zakończenie powieści: opis pożaru, jest najpiękniejszą zapewne i zarazem najwięcej oryginalną częścią poematu.

W trzech miejscach wsypano trzy *iskry*, te iskry wnet się mienia w trzy *gwiazdy*, wnet w trzy *słońca* i wnet trzy rzeki *ogniste* płyną.

„Luby! woła Demela, cóż to za światło za nami... czy księżyc?“ — „O! droga Demelo, księżyc nie jest tej mocy, to pewnie zorza północna.“

A trzy rzeki zlewają się, łączą, i jedna już tylko raptownie płynie — *ława ognista*. Ptaki się wznoszą i opadają; krzaki i drzewa stawają w ogniu; „trzęsą chwilę złotemi liśćmi jakby gwiazdami“ i wnet w popiół się kładą.



— „Luby! woła Demela, byćże może by tak okropnie zorza świeciła?“ — „Ha! rzekł jeździec, — to *stepy płoną*“ i rzucił się w stronę — wiatr świszcze, pożar w około płynie i dym jak goniec już dolatuje biegnących.

„Droga Demelo! spiesz się!.. twój koń się opóźnia... Allach! już upadł, siadaj na mego, widzisz ten las?... Tam dostanemy się, a pożar przejdzie bokiem.“

Poeta kończąc ten opis, głos zwolnił, i mechaniczną wskazówką (rytmem) wskazał na chwilę poznania pierwszego:

....„Rzekł, — Demela lekko na koń wsiada,  
Jeździec ręką wpół kochankę chwyta,  
Pędzi konia — wzrokiem ognisk bada,  
I drży... a koń, jeździec i kobieta  
Kłębem dymu jak chmurą owiani,  
Fala ognia jak piekłem ścigani,  
Umykają z największym pośpiechem, —  
W tém wiatr z ognisk takim żarem wionął,  
Ze duszącym objęty oddechem  
Padł koń drugi...“

Jeździec został z kochanką na ziemi, dym i płomień nie tuż były, Kirgiz objął swą towarzyszkę, uściśnął; i tak wspólnie jednej śmierci czekali.

„Jak dwie wierzby przy jednym strumieniu  
Gałązkami ujmą się, pochwyca...  
Tak młodzieniec z stepową dziewicą  
W tém ostatniem smutném uściśnieniu  
Pocałunkiem usta do ust zlali,  
Duch się z duchem, tchnienie z tchnieniem,  
Pocałunkiem i tém uściśnieniem  
Tu — na całą wieczność się zegnali...“

„I przeszło przez nich morze płomieni“ dodaje autor i wskazuje wnet na samych nawet smutków czysto — ziemskich znikomość.

„Przeszło, a w miejscu zgasłych pożarów  
Dziś znowu cisza pośród obszarów,  
—“

I jeszcze bujniej step się zieleni.“

Na tém się kończy poemat. — Treść jego nie tylko w uczucie, jest widzimy i w moralny układ odzianą. Stary Bij za porwanie i zbawienie swobody od lat dzieciennych syna obcego, traci tu córkę; — córka za opuszczenie ojca, syn za opuszczenie zemsty za ojca, tracą życie; — sprawiedliwość jest wymierzona widzimy ściśle w poemacie, przynajmniej według sprawiedliwości kirgizkiej; — my wolelibyśmy raczej starego Bija w owej płomienistej lawie oglądać.

Taki jest Kirgiz. Poemat ten przypomniat nam lepsze czasy naszej poezyi. Nasza poetyczna literatura dawno nie oglądała już całkowitego poematu na skalę większą. Myśl nasza postąpiła w powadze widzimy od tego czasu. Zaczęcie nowego autora jest (jak wskazujemy to właśnie) odrazu na skalę większą, od przedmiotu pomyślanego *nowo*, przedstawionego *pełnie*, mamy w nim *rozwinienia* myśli, położeń, uczuć, mamy też i zewnętrznie barw *rozmaitość*. Czyli jednak to spoważnienie *myśli* jest postępem dla *sztuki* której warunkiem jest *piękność* a te *młodzienczość*? Czyli czas tej młodzienczej piękności jest dziś właśnie w poezyi naszej w swym kwiecie, czy jeszcze w niedojsciu do kwiatu? czy już w przekwiciu? — sąd nasz byłby jeszcze za wczesnym *śród chwili*. Co do talentu autora, oczekujemy z zajęciem istotnym dalszych jego objawień. W źródle talentu tego zdaje się nam iż oglądamy dotąd lot wyższy, zarazem zaś i jakoby pewną bojaźń, pewne przybicie w tym locie: pierwsze widzimy w pomyśle, w odzyciu naturą nową; drugie już w szczegółach treści (jako niewolę, klęski, chęć zemsty i cofanie się od niej), już w przejmowaniu ścisłym, naśladowstwie, obcych obrazów i form. Układ, szczególne myśli, miary, ledwie nie słowa, nie jednokrotnie wcielane tu są z innych powieści naszych, jak np. o jeźdźcu *Arabskim* (Farys), o kochankach *Ruciany* i *Azzy* i t. p.

To jednak co powiadamy *wskazując*, nie wskazujemy *czerniąc*. Przenoszenie obrazów i form lubo niekiedy lot zwalnia, rozwleka; jest też nieraz, (i owszem częściej) w po-

wieści Kirgiz) tylko *przesczepem* rozwijającym dalej przed nami piękny krzew nowy; owe naśladowstwo, przybicie, (które się widzą nam), nie są tyle zapewne *fałszem* w talencie Autora ile *zwątpieniem* nie zużyciem lecz powściągnięciem fantazyi, nie oznaką i cechą, słowem sił już przetrawionych, nienakających, ale *dążących*.. *A. Tyszyński.*



*Rzut oka na źródła archeologii krajowej, czyli opisanie niektórych starożytności odkrytych w Zachodnich guberniach Państwa Rosyjskiego przez Eus. Hr. T.... (Eustachego Hrabiego Tyszkiewicza) z 8 tablicami litografowanemi. Wilno, drukiem Józefu Zawadzkiego 1842. w 4<sup>ca</sup> stron VIII 56.*

Autor, wielki miłośnik dawnych dziejów ziemi swojej rodzinnej, trudniąc się od niemałego czasu śledzeniem i zbieraniem zabytków starożytności po różnych jej stronach, postanowił ogłosić wypadek swoich poszukiwań, i jak sam w przemowie oświadcza, dać przykład innym chcącym się poświęcać tego rodzaju pracy. Pismo tedy jego nie jest żadnym wykładem systematycznym archeologii, ani dziełem obszernego zakresu. Pan Tyszkiewicz chciał tylko zdać sprawę z tego, co mu przy zamiłowaniu jego w tym rodzaju badań uczonych, udało się wysledzić; i chciał przekonać współziomków, że i w tej gałęzi umiejętności historycznych można u nas pracować z niemałą korzyścią dla nauk.

Słowem, pismo to wypada uważać za rozprawę o różnych sprzętach i narzędziach z ziemi wydobytych, a niegdyś należących do ludów pogańskich zamieszkujących w odległych mniej więcej epokach Litwę, Ruś litewską, oraz Inflanty Polskie. Autor podzielił swoją pracę na 10 krótkich oddziałów, w których przebiega nader ogólnie przedmioty badań archeologicznych, to jest miejsca poszukiwań

i to co w nich pospolicie znajdują: jak np. kurhany, Łzawnice, ozdoby kobiet, broń metalową, bóstwa, monety, zamki, młotki kamienne i kamienie. Najwięcej zajmujący, który całej pracy autora pewną wartość nadaje, jest początkowy opis kurhanów, czyli kopców z ziemi usypanych. Rozkopanie nawet kilku z tych, które się znajdują w dobrach autora, i odkrycie pod nimi grobów, były istotnie zachęceniem do ogłoszenia niniejszego pisma. „W Gubernii Mińskiej, mówi p. Tyszkiewicz, powiecie Borysowskim nad rzeką Hajną, od niepamiętnych czasów znajdowało się przeszło 30 kurhanów jeden przy drugim usypanych, które lud pospolity szwedzkimi nazywał. Żaden z tych kurhanów zarosłych odwiecznym lasem, przypadkiem nawet nie był rozkopany. Były one różnej wielkości: najwyższy miał sześć wysokości; były i takie które wznosiły się zaledwie nad powierzchnią ziemi. Po rozkopaniu kilku okazało się iż z czystego piasku usypane były, że piasek ten nieprzyniesiony z innego miejsca, lecz z ziemi tejże był brany. Żadnych nie było w nich kamieni na spodzie, po samym środku na pokładzie węgla leżały szkielety ludzkie, przy nich były garnki gliniane wypełnione piaskiem. Przy jednym znalezione ozdoby dały rozpoznać grób kobiety, na rękę miała brązową bransoletkę w kształcie węża, na palcach dwa pierścionki srebrne, na szyi siedm dużych paciorek, z których dwie kamienne, reszta zaś szklane różnego kształtu, koło prawego ramienia duże kółka z plecionego srebra misterniej roboty, zupełnie podobne rzymskim, do utrzymywania draperyi szaty. Wszystko to niebiesko-zielonawym kolorem przez dawność pokryte było. Żadnego śladu drzewa lub rzemienia, kości zaś zupełnie spruchniałe były.“ Ciągnąć dalej opis ten rozkopanych przez siebie kurhanów, autor rozróżnia potem rodzaje owych kopców, a szczególnie tych które sypali u nas Tatarzy, dla oznaczenia szlaku jakim wpadli na ziemię naszą, lub Szwedzi, a ostatecznie Francuzi na pobojowiskach. Następne po kurhanach wspomnienia o Łzawnicach, ozdobach kobiecych i broni metalowej, przedmiotach najwykłej odkopywanych w mogiłach przedchrześcijańskich, cho-

ciała są nadzwyczaj ogólne i krótkie, zawierają wszakże parę uwag dość ważnych, a szczególnieję tę, które się tyczą stopnia cywilizacji Litwy przedchrześcijańskiej. W kilkunastu — wierszowym paragrafie o Bóstwach, szkoda że p. Tyszkiewicz nic nie powiedział o pięknych i osobliwszej postaci posążkach brązowych, które znalezione przed kilkunastu laty w Kownie, złożono potem w Bibliotece Uniwersytetu Wileńskiego. Tu było pole także dodać coś o gajach świętych w Litwie i na Żmudzi, o owych dębach olbrzymich, o sławnym Baublisie. Wszakto wszystko bez wątpienia jest dobrze wiadome autorowi znającemu miejscowość i literaturę krajową! A od badań archeologicznych takich rzeczy wyłączać nie należy. Paragraf o monetach odkopywanych w dawniej Litwie i należących do niej Inflanctach zawiera się tylko w 17 wierszach, gdy tymczasem 17 stronnic możeby za mało było do dokładnego opisania numizmatycznych skarbów, nie gęsto wprawdzie, ale już nieraz znajdujących po ziemiach dawniej dziedziny Olgerda. Jeżeli i *brakteaty* jak autor twierdzi, nie są rzadkie między wykopanemi tu i owdzie skarbami, dla czegożby je sądził niegodnymi publicznej wiadomości? dla czegoż umieszczając wizerunki tyłu zabytków starożytności, odmówił słusznie należnego miejsca numizmatom, znanym może i pospolitym w ogólnem znaczeniu tego wyrazu, ale nie obojętnym dla Numizmatyków z profesyi pracujących nad wyjaśnieniem tego ważnego źródła historyi, ani też dla posiadających zbiory tego rodzaju, równie jak dla wszystkich miłośników dziejów ojczyźtych. Nie wymagamy od p. Tysz. żeby nam w tej rozprawie swojej traktat o Numizmatyce pisał, ale mamy prawo żądać, żeby lekce nie ważąc tak ciekawego przedmiotu, przynajmniej cośkolwiek nad nim się zastanowił; bo czegoż pytamy, nauczy się czytelnik z tych kilkunastu wierszy zwiastujących nam, że numizmata znajduwane są w Litwie? Cokolwiek obszerniej zastanawia się autor nad zamkami: chociaż ma jakiś wstręt od zagłębiania się w swoim przedmiocie, ważne jednakże robi postrzeżenie tyczące się znajdujących się po kraju okopowisk, które jak słusznie twierdzi, nie zawsze były zam-

kami do mieszkania i obrony od napaści; ale nieraz miejscami ofiar i modłów, albo zgromadzeń starszyny na radę lub sądy. Ztąd wywodzi że te okopy (*Kopiszcze* w języku miejscowego ludu) nie od kopania, ale od zgromadzania się tam sześćdziesięciu czyli kopy osób, zostały nazwane. Tu jednak żałować nam przychodzi, że autor nie chciał się zastanowić nad budową pozostałych dotąd w Litwie zwalisk zamków, nie wyliczył miejsc znakomitszych gdzie się one znajdują, i że wreszcie nie starał się pomnożyć szacownych badań Zoryana Chodakowskiego, co do starożytnych grodzisk, w języku miejscowym *horodyszczami* mianowanych.

W opisie młotków kamiennych odkopywanych w grobowych kurhanach słuszny wniosek jest autora, że nie można ich uważać tylko za broń pogan Litewskich i Słowiańskich przed przyswojeniem od nich użytku żelaza. Owszem większa ich część dla zręcznej roboty i małej objętości zdaje się wskazywać, że prędszej do ozdoby i oznaczenia może jakiegoś dostojenstwa, niż do walki służyły. Wzmianka o kamieniach z napisami księcia Borysa, w rzece Dźwinie pod Dżisną znajdujących się, jest już obszerniej w piśmie pod tytułem *Rubon* wydaném objaśniona. W zamknięciu tej rozprawy autor daje ważne przestrogi, jak się mają odbywać rozkopywania kurchanów, a kończy zachęceniem miłośników starożytności krajowych do naśladowania go, oraz przyrzeczeniem że z czasem postara się ogłosić obszerniejsze opisanie źródeł Arheologii miejscowej. Niecierpliwie będziemy oczekiwali ziszczenia tej obietnicy, a tym czasem wdzięczni za chwalebne chęci P. T. i za przełamanie pierwszych lodów, prosimy, aby w następnej swojej pracy starał się porównać opisy Rossyjskich kurhanów p. Köppen w r. 1837 wydane, z własnymi odkryciami; a co jeszcze ważniejsza, żeby się starał korzystać z szacownego dzieła profesora F. Kruse, które pod tytułem *Necrolivonika* odsłoniło nam w roku zeszłym mało dotąd znane starożytności Inflant, Estonii i Kurlandyi przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej.

Jeżeli ten zarys poszukiwań starożytności Litewskich zechce jak się spodziewamy autor w krótkce obszerniejszym zrobić, należałoby ściślej oznaczyć rozmiar odkrytych zabytków, które przy teraźniejszym piśmie wystawiane są w ośmiu tablicach dosyć zręcznie litografowanych.

M. B.



*Gra namiętności, dramat w trzech porach i pięciu aktach z prologiem, przez Kajetana Niepowie (?) z godłem »En quo virtus, quo ferat error:« 1843. Warszawa, str. 338.*

Nasze naukowe teorye o tyle są warunkiem na drodze i warte, o ile do zastosowań prowadzą. Dzieła sztuki są więc wartości głównej; dzieła te są właśnie przewodnikami od odkryć w krainach nauk do zastosowań. Wyznawać, iż dzieła sztuki są bez związku z biegiem ludzkości są celem sobie, (1) jest to wyznawać znajomość teoryi sztuki, dziejów tej teoryi, ale nie sztuki. Z form piśmiennych dwie zwłaszcza najznakomitsze są wpływem, a ztąd znaczeniem: *Dramat* i *Romans*. *Dramat* pierwszy w zesłaniu swém podźwignął niegdyś i pokierował myśl ogółów (cyrk Grecki). *Romans* dziecko lat nowych, ogólniejszą jest jeszcze pod względem wpływu i postępową formą. *Dramat* słowami serca wpada nam w serca, budzi i rozwija uczucia jako zapraganie, tak właśnie jak księga o myśli, nasze odcienia myśli; pieśń epopei, fantazyą. *Romans*

(1) Znakomitsi pisarze nasi przenoszą dziś pomysł ten w literaturze obcej powstały, do naszej (p. np. *Bibl. Warsz. T. I. str. 547 i d. z r. b.*); mamy zamiar więc wytknąć się wkrótce jaśniej w tym przedmiocie. Pewna oddzielność zdania co do szczegółów nauk i sztuk, nie jest zapewne ich potępieniem. Kilka pism uczyniło w tym czasie uwagę, że artykuły umieszczane w *Bibl. Warsz.* różnią się w zasadach i celu; artykuły umieszczane w *Bibl.* mogą się różnić w uznaniu *środków* ale nie w *zasadach* i *celu*.

jednoczy te środki. Romans jest łącznie: dramatem, myślą (chcemy rzecz jedną z nauk oddzielnie wziętych) i epopeją. Dwie formy *dramat* i *romans* są dzisiaj w czasie swjej walki. Wpływ *sceny* dał pewną przewagę piérwszej pod względem miasta, i formie téj stanęli głównie na straży pisarze miasta.

Jakoż, każdy dziś prawie znakomitszy romans społeczny, wnet przerabiają na dramat poeci miasta. Niektórzy przedstawiają owszem sami swój *pomysł* — już w formie romansu, już dramatu. Ten przypadek jest właśnie z treścią dramatu, który mamy przed sobą. *Główny* dziś ulubieniec czytającej publiczności paryzkiej — P. Eugène Sue, który swój *pomysł losów Matyldy* ogłosił lat temu parę w formie *Pamiętników młodej kobiety* czyli *romansu* (*Mathilde memoires d'une jeune femme*, tomów VI), przedstawił go w roku zeszłym w formie dramatu (*Mathilde mélodrame en cinq actes*). Myśl zaś ta jednocześnie i u nas znalazła odbicie; dramat pana K. N. *Gra namiętności*, o którym mówimy jest także na tema *Matyldy*.

Nie mamy nic przeciw zadaniu, które nam wskazał napis i ogół pomysłu autora *Gry namiętności*. Nie mamy zapewne prawa za złe mieć autorowi, jeśli to a nie inne tema za przedmiot swjej sztuki obiera, i nie poczytujemy za złe panu K. N. iż w sztuce jego znaleźliśmy nazwiska osób i dwa lub trzy dialogi przeniesione z romansu *Matylda*; dziwić się wszakże możemy, (mówimy to skądinąd) dla czego autor zatrzymał te podobieństwa: prócz bowiem nazwisk i dwóch lub trzech dialogów, dramat *Gra namiętności* nic nie ma spólnego z romansem i melodramatem P. Sue. Nie poczytujemy tém więcj za wadę zamiaru przedstawienia przed nami: w imionach, związkach i rysach społeczności nam obcej (francuzkiej). Okoliczność ta może znakomicie zmniejszyć wpływy sceniczne, ale ściąga, łączy i łączy w jedné piśmienności różną rodowość ludzką. Wdzięczni zaś owszem jesteśmy istotnie za przedmiot który nam wskazał napis. Zaiste, jeśli jaka część czynów naszych, myśli, i uczuć, w téj mętnej dla człowieczego oka harmonii układów drobnych wymaga rozwikłań, rozja-



śnień i pokierowań, tedy zapewne głównie *Gra namiętności*. Im jednak znakomitsze żądanie, tém téż drażliwsze jest, zwracamy więc tu kilka bliższych uwag na wypełnienie.

Treść dramatu pana K. N. w jego rysach głównych jest następująca:

Dwie towarzyszki życia pośród lat rannych, dwie młode istoty bez matek — *Matylda* i *Ewa*, wychowują się i wznoszą razem pod okiem ciotki *Matyldy* (panny *Maran*). Dalszy zawód światowy miał boleśnie rozłączyć dwie towarzyszki. *Matylda*, to bogata dziedziczka znakomitego imienia i majątku w m. Paryżu; *Ewa*, to biedna Kreolka z którejś hiszpańskiej czy francuzkiej wyspy przywieziona. Panna *Maran* dziewica w wieku, ofiara niełaski przyrody, mścić lubiąca na przyjaźniejszych jej objawieniach, zaspokoiliła w części swe żądze w obmyśleniu partyi dla wychowanek. Panna *Maran* w sercu *Matyldy* obudziła miłość i silną ku młodzieńcowi świata pięknego — *Hr. Gontran de Lancry*, i wydała ją za niego. Panna *Maran* potrafiła tylko ukryć jeden rys charakteru p. *Gontran de Lancry* przed siostrzenicą. *P. Gontran*, ten na pozór powabny miłośnik ludzi, w istocie kochał więcej pieniędzy niż ludzi; więcej ludzi niż przyszłą panią de *Lancry*. *Ewę* wydała panna *Maran* za osobę do której ta czuła odrazę — p. *Schérin*, fabrykanta cukru z buraków.

Jasny z pozoru, smutny jednak w istocie stał się dalszy los życia *Matyldy*. — *P. Gontran*, był to umysł bez zasad, umysł zmienny i niski, ale zwykle spokojny, bowiem bez zasad; straty, zdrady, podstępny, nawet fałszerstwa i zbrodnia wszelka były mu tylko niewinną igraszką, jeśli potrzeba. Owe fałszerstwa i straty zrobiły go już były niewolnikiem jednego z spółników, jednej z istot niemniej ohydnej moralnie, więcej przytém fizycznie — *Lugarta*. *Hr. Gontran* być musiał na zawołanie *Lugarta*; na żądanie *Lugarta* musiał w chwili poświęcać siebie i wszystko około siebie, nawet samą hrabinę de *Lancry*, a przynajmniej sławę hrabiny. *Ewa Secherin* nie darowała położenia wśród zebranych świata swęj towarzyszce, czuła wstręt ku podłości serca *Gontrana*, a jednak chciała uwieść to

serce. Były to wszystko przedmioty szczęścia a powody tkliwej litości dla panny Maran.—Matylda była silną spośród tych ciosów. Umyślnem udaniem pokoju rujnowała złośliwość ciotki, trochę oślepioną miłością wybaczała rychło mężowi, z dumą cnoty odganiała natręctwa namiętnego miłośnika swego (Lugarta). Lugarto ten był jój jednak najcięższym zadaniem. Przekupstwa, zabójstwa trucizny, były to żarty dla czynów a żądy jego. Matylda otrzymała pismo od męża, nakazujące jój zjechać na wieś do majątności pani *Secherin*; i znalazła się rzeczywiście wśród wioski i bezpośredniej władzy ohydnych rysów Lugarta. Matylda obróciła nóż w serce, napój jednak podany poprzednio zbawił ją sił. Ratunek próżnym się zdawał, ale w stanowczej chwili ukazał się anioł zbawca, przyjaciel zmarłej matki Matyldy — pułkownik *Martignac*. Z mieczem nad szyją Lugarta wszelkie zrzeczenia i oświadczenia wymógł na nim na korzyść Gontrana, i zbawił Matyldę.

Uwolnienie się od Lugarta było epoką w domowym pożyciu Matyldy z mężem, lecz nie jój szczęścia. Wrócony Gontran spokojnym był, ale się nudził „barankiem swym“ jak nazywał Matyldę; a przybyła do odwiedzenia swjej przyjaciółki *Ewa Secherin* łacno go odwiódła od nudy. Młoda, piękna i żywa pani *Secherin*, nad wszystko przekładała zaloty młodzieży, przez próżność; głównie zaś, uwodziła hrabiego, przez jakąś towarzyską zemstę nad przyjaciółką. Tymczasem omamiona pochlebstwem, stara panna Maran zarząd majątku i domu oddała hrabiemu *Lancry*. Z dniem oddania została też prawie wygnaną z domu i opuszczoną od wszystkich, oprócz Matyldy. Panna Maran leżała sama kiedy się zjawił i stanął przed nią *Leblanc*, posłaniec daleki. Ten posłaniec uwiadamia ją i składa dowody intrygi, która niszczy towarzysko wszystkie związki dramatu. Objawia: iż rzeczywistą córką i dziedziczką ojca Matyldy jest *Ewa*, zaś Matylda jest jego córką nieprawą. Panna Maran składa pokwitowanie, odprawia posłańca, i ukrywa dowody mówiąc: iż ich nie wyda, bo niszczą szczęście Matyldy.

Mąż Matyldy ale kochanek Ewy tu wchodzi, dostrzegł ślad wyjścia, pióro nie otarte, wpada na jakiś domysł, postrzeżga ukrywane papiery, ścisła dłonią szyję broniącej się stariej, ducha wyciska i unosi dowody ukryte. Uosobiony obrońca i zbawca cnoty Półkownik Martignac zjawia się znowu. Właśnie wesoła Ewa dawała lekcye kokieterji zebranej młodzieży, a Hr. Gontran szeptał jej (na co mniej zważała), iż ma dla niej przy sobie miliony, kiedy się zjawia Pułkownik Martignac z dowodami zbrodni. Ewa spojrziała na Półkownika i zatrzymała się: może po raz pierwszy spojrziała przed sobą na cnotę mężką. Ewa uczuła miłość, miłość istotną, i ta miłość zbawiła ją. Zabójcy i fałszerze papierów publicznych Gontran i Lugarto (który tu się ukazał) zostają na galery skazani. Ewa Secherin przebiera się za starą piastunkę chorych, i pilnuje chorego Martignac. Niewidzianej dosyć jej patrzeć na cnotę. Wzmocniona, poświęciła się dalej jedynie pilnowaniu męża swego p. Secherin, który wpadł w stan obłąkania. Uwolniona Matylda poślubiła p. Martignac.

Takie jest pasmo uczuć, serc, myśli, czynów, które przedstawia nam dramat pana K. N. *Gra namiętności*. Główném zadaniem autora, zdaje się iż było wskazanie nam drogi cnoty (*En quo virtus etc.*), uosobienie téj cnoty w postaci jednej z hochalérek (Matyldy), i pociągnięcie wten sposób serc innych do jój przejęcia. Niektóre sceny dramatu są istotnie dokonaniem tego zadania. Są sceny w dramacie które nie mogą nie godzić z cnotą, z wiarą w istnienie jój, które owszem wlewają myśl szczęścia, iż jesteśmy na ziemi, na której spotkać możemy istoty, jak jest Matylda w niektórych scenach. Znakomitość zadania zwiększa jednak wagę wymagań. Jeżeli w dziele które dajemy, zamierzamy cel jaki, winniśmy przedewszystkiem zapewne, zdać przed sobą sprawę ze szczegółów celu. Jeżeli zamierzamy np. przedstawić jakąwąs cnotę, winniśmy zdać sprawę przed sobą z warunków téj cnoty. Zkilku wzmianek w dramacie wniesć możemy, iż autor chciał przedstawić Matyldę jako typ cnoty Chrześcijańskiej. Zadanie to uczyniłoby jasnymi warunki, a cel równy mógłby

tylko uzyskać poklask. Zdaje się nam jednak, iż cel ten był tylko może w życzeniu autora. Matylda Hrabina Lancry, według nas, nie jest wcale typem Chrześcianki. Jeżeli Matylda Lancry rozwija niekiedy przed nami i pełni cnoty, wypełnianie to idzie raczej z *dumy* nie z *zasad*. Z dwóch młodych istot, z dwóch serc, które nam autor przedstawił jako dwa przeciwieństwa, dusza Ewy zdaje się nam być owszem zbyt więcej duszą Chrześciana.

Pani Secherin była zapewne wad pełną, lecz wady te płynęły ze źródła, które je pierwój lub później zmyć miało. Ewa młoda, żywa, otwarta, czująca nieślusne piętno swego położenia *towarzyskiego*, cały ogień uczucia wylała przeciwko tój, która jój była wskazówką tój niesłuszności; było to może piérwsze i ostatnie jój przewinienie. Ewa lubiła hołdy, lecz dla rozrywki; ściagała i uwodziła młodzież i spoglądała z pogardą na tę młodzież; uwodziła hrabiego Gontran i nazywała go *podłym*. Ewa lubiła co piękne i miała odrazę do tego co było szpetném. Ujrzała półkownika *Martignac* i było to — jój przyjsie godziny. Autor trzymając się prawdy (z natury) nader trafnie przedstawił nam serce Ewy; w chwilach nawet jój obłąkania widzimy w jój słowach: *czułość, otwartość, dziecinność*, te rysy przebijające cechy dusz sprawiedliwych i tych zbłąkanych, które w naznaczeniu swém mają stać się piérwszemi. Cnoty hrabiny Lancry w wydaniu ich płyną przeciwnie z dumy. Matylda odpycha z ręcznie złość ciotki, a to aby jój nawzajem *złość* sprawić; odpycha oświadczenia Lugarta bo *nienawidzi* go; jest w nieszczęściu, dowiadyuje się o nieszczęściach nowych, i obraca *sama* nóż w piersi; kocha męża dopóki się kochaną być sądzi; przekonywa się, iż się rzecz ma odmiennie, i *nienawidzi* go. Zakończenie (nader według nas trafne) najlepiej objaśniło nam naturę dwóch charakterów. Ewa rzuca świat i przedmiot miłości, aby pilnować śród obłąkania tego, któremu wiarę do śmierci zaprzysięgła; *Matylda* korzysta z Roz. IV tytułu V Kodexu Fracnużkiego o śmierci cywilnej, i szczęśliwa oddaje rękę Półkownikowi *Martignac*.

Główne postacie dramatu *Gra namiętności* nie przedstawiają więc nam wcale ideału cnoty chrześcijańskiej. Tém więcéj postacie inne. Fałsze, zdrady, zabójstwa, to są jedyne czyny tych postaci. Sama uosobiona według autora cnota mężka (pułkownik Martignac) na to się tylko zjawia, aby wiązać, mordować i sądzić.

Stroną zbyt lepszą dramatu pana K. N. jest jego część zewnętrzna — dialog. Strona ta owszem jest istotnie piękną w dramacie pana K. N. Dowcip wyższy, godność języka, pełność i siła wyrzeczeń, przejęcie się charakterem, stanem i położeniem figur, to cechy stałe dyalogu i dykcyi dramatu. Dyalog ten w prawdzie jest przeniesieniem niekiedy z roman-su P. Sue — *Matylda*; ale tylko niekiedy. Sceny. np. może najlepsze w dramacie, jak kokieteryi Ewy, są prawie wszystkie własne autora.

Zewnętrzna strona dramatu każe nam żałować wewnętrznej; im więcéj dostrzegamy zdolności autora do przedstawiania zadania, tém więcéj mamy się prawa uskarżać na pokrzywienie tego które obrał. Prawie każdy dyalog autora jest przedstawieniem jakowychś różnorodnych dążeń, krzyżujących się zasad, niezadania przed sobą sprawy, rzec możemy — z tych zasad. W scenach np. wyznaczonych na przedstawienie głównych obrazów i tryumfów cnoty, znajdujemy: już przeciwnie upadek jej, już przymieszane fałsze. Z dwóch scen natarcia Lugarta, *Matylda* odpycha go w 1szej z téj jedynie zasady „że jest z *gminu*“ zga kończy na samobójstwie. Dyalog 1szy jakkolwiek nie znajdujący się w tychże szczegółach w romansie P. Sue, może istotnie być przedstawieniem zasad poważnej francuzkiej damy z jakowychś nękających czasów (arystokratki), ale nie cnoty którą zapowiedział nam autor. *Matylda* na powtarzane coraz zuchwaléj natarcia Lugarta odpowiada skąd inąd pięknie i godnie, i żałować istotnie musimy owych przymieszkań. „Wac Pana to mało ohejdzie, odpowiada odtrącając miłośnika *Matylda*, jeżeli mu powiem: że lice jego jest znośne kiedy je złość szpeci, obrzydliwe kiedy je czułość wykrzywia. — Są twarze ludzkie na tym świecie, godne pocałowania jedz piekielnych, a taką jest twoja Baltazarze Lugarto! Są twarze na któ-

rych nigdy promyk szlachetnego uczucia nie zabłysnął, a taką jest twoja Baltazarze Lugarto! Doszedłeś do wielkiej potęgi finansowej może zbrodnią a niezawodnie podłością. Urodziłeś się w *Gminie*, pnieś się do możnych, kręcisz się w świecie tytułów i herbów, gdzie podobni tobie drzwi ci otwierają. Grozisz mi spójrzaniem i postawą: pogardzam jednym i drugim. Myślisz że wszystko sprzedajne na ziemi... Kupowałeś ludzi, zdaje ci się, że możesz kupić uczucia. Cyfra jest u ciebie dogmatem. Cudownym jakimś zrządzeniem losu wkradłeś się w poufałość mego męża. Jest to rana trawiąca moje życie, ale dla mnie będziesz zawsze istotą godną najwyższej pogardy... człowiekiem, którego bym nie ścierpiała nawet na tylnych stopniach mojej karety.“ *Akt I, scena XV.*

Dla tego też zdaje się nam, iż całkowicie doskonałym jest dyalog, gdzie autor chciał strony słabe, ułomności ludzkie przedstawiać: a takimi jak rzekliśmy, są sceny kokieterji Ewy i t. p. Dla dania rysu bliższego charakteru tego w jego zbłąkaniu, przytaczamy tu część dyalogu między Matyldą i Ewą (z sceny II Aktu III), po ich zamęściu. Matylda dostrzegła podejść bawiącej w domu jej Ewy, zalotów jej do Gontrana: życzyła więc odjazdu swej niegdy towarzyszki, i oświadczyła jej wreszcie wprost, że ma odjechać. Ewa przeczy zalotom, i przypomina w dowód słowa, któremi odstreczyła hrabiego. Matylda twierdzi, iż słowa te były to umyślne przynęty, czary. „Tak! chciałybyś je posiadać, mówi zła Kreolka, bo przyciągnęłybyś serce Gontrana“ Dyalog staje się żywszym.

*Matylda:* Podobna myśl powstać tylko mogła w twój głowie: podobne słowa mogły się tylko wyrwać z ust, co się miłośnicie uśmiechały do takiego kochanka, jak pan *Chopinelle*.

*Ewa porywając się z krzesła—* Spójrz mi w oczy Matyldo! co w nich widzisz?

*Matylda* Wyskok trucizny!

*Ewa.* Co słowo, to obelga! ale co słowo, to prawda.— Niech i tak będzie. — Zerwałaś mi maskę. — Ciesz mię to mocno, gdyż ta maska pali mi twarz od lat wielu.

*Matylda.* Nie rozumiem.

*Ewa.* Rzecz łatwa do pojęcia—tylko słuchać trzeba (*zwolna przybliża się do Matyldy*). Ty myślałaś mieć we mnie przyjaciółkę od serca... siostrę... krewnę. Dowiedz się więc, że zaufanie twoje i wiarę skarbiłaś dla zaciętego nieprzyjaciela! Tak, ja ciebie zawsze nienawidziłam.

*Matylda.* A mój Boże! Mnie! mnie?

*Ewa.* Tak!—ciebie—ciebie! Krzywdy doznane w dzieciństwie zapominają się, ale krzywdy doznane w młodości—kwitną, rosną, żyją wraz z pokrzywdzonym.

*Matylda.* Co ja słyszę! jakie krzywdy?

*Ewa.* Wyliczę je ci zaraz. W czternastym roku zostałam towarzyszką twoją. Dojrzałam wcześniej od ciebie, bo słońce amerykańskie nie jest słońcem europejskiem. Wychowanie moje było jałmużną, którą mi rzucono w twém imieniu. Na samym wstępie do domu od twéj ciotki byłam poniżoną, bo czułam i myślałam jak kobieta, nie jak dziecko. Później dnie, chwile, godziny, liczyłam na zgryzoty... Co krok to nowa krzywda... co krok to nowe poniżenie... co krok byłam poświęconą tobie; a miłość własna moja wytrzymywała co dzień srogie katusze, ciąglem passowaniem się z tobą. Ewa była brzydka—Matylda była ładna! Ewa była kopcuch—Matylda była Dama! Ewa była głupia—Matylda była rozumna!.. Ewa głupia? (*śmieje się*). Nie prawdaż jak to zabawnie!.. I ty myślisz, że ja to wszystko zapomniałam?.. Nie! nie... To nie są draśnięcia—to są rany! głębokie rany!

*Mat.* A mój Boże! mój Boże!.. spełniły się więc piekielne plany panny Maran. Wiedziała ona dobrze w jakie serce rzuciła nasiona zawiści.

*Ewa* Co mnie tam do ręki która mię biła, ja tylko pamiętam uderzenie. Zawsze ty! wszędzie ty—stawałaś mi na drodze... Rok schodził po roku, aż tu nowe męczarnie rozpoczęły się dla biednej sieroty. Pomyślano dla ciebie o mężu z wyższych sfer towarzystwa. Rzecz oczéwista... byłaś bogatą, ja byłam biedną. Wybór padł nakoniec na kawalera otoczonego całym blaskiem urodzenia, całym urokiem

piękności męzkiej;... I ja ci mam przebaczyć twoje zuchwale szczęście?..

*Mat.* Nie Ewo! ja ci nie wierzę... ty się oczerniasz... Czy podobna, żeby tak młode serce, tak zatrutém było?

*Ewa* Wolno ci być kokietką cnoty, co do mnie tego nie umiem.

*Mat.* A więc to jest rzeczywistością wszystko co słyszysz? A więc ta szkaradna nienawiść sięga epoki naszego dzieciństwa?.. A więc każdy uśmiech twój, każde przymilenie, każde pocałowanie, każda łza czułości braterskiej, były kłamstwem, bluźnierstwem?..

*Ewa.* Ja ci więcj jeszcze powiem... Jesteśmy bez świadków... Ta, która sama się oczernia przed tobą, jest zazdrośną i zawistną z urodzenia, tak, jak ty jesteś wspaniałomyślną i szlachetną z natury.

*Mat.* Ale ponieważ wyznajesz tę moją wyższość, dla czegoż mnie nienawidzisz?

*Ewa.* Właśnie dla tego żeś wyższą. Ja cię nienawidzę dla tego—żem w duszy upokorzona przed tobą! Ja cię nienawidzę, boś we wszystkiém szczęśliwa. A najbardziej cię nienawidzę, bom przymuszona była rumienić się w twojej obecności, a to z przyczyny poniżającej mię skłonności dla tego eleganta krotochwilnego, dla tego pana *Chopinelle*... Wydarłaś mi tajemnicę śmiesznej, gminnej, podłej skłonności do człowieka, godnego wygwizdania uliczników. I ja mam ci przebaczyć?.. nie, nigdy! (1) *placze.*

Dramat *Gra namiętności*, nie możemy tego nie widzieć, jest nader pożądaném dla literatury naszej z pewnej strony zjawiskiem. Objawił on pomiędzy nami istnienie jakiegoś pióra talentu dramatycznego;—dramat ten jednak, nie jest tym podarunkiem, jakim myśl kierująca tém piórem obdarzyć nas pragnęła. Autor *Gry namiętności* mówiąc w ogóle, okazał znajomość przed nami sztuki, lecz nie jej celów; znajomość szczegółów serc, ale nie serc; umiał pochwycić i skreślić zjawiska sił, uczuć, czynów w ich oderwaniach i rysach, lecz tylko w oderwaniach i rysach. Mo-

(1) Dyalog ten w części jest w romansie p. *Suo*.



ralny obraz, który przedstawił nam autor, nie jest to obraz pociągów, wskazań i pokierowań, nie jest to upatrzony urywek *jakowy* z harmonijnych wewnątrznie w biegach swych czynów ludzkich;—jest to tylko istotnie przed nami—*gra namiętności*. Dodajemy: iż charakter głównej bohaterki dramatu, Matyldy, nie zdaje się jeden być w związku z napisem dramatu. Słowa i postęпки Matyldy przedstawiają nam: powściągnięcie, powagę, wyrachowanie, rozsądek, ale nie grę namiętności. Wykonanie jakkolwiek piękne, nie wykazało i nie objaśniło nam szczególnych zadań Autora. Wykonanie to wyrzecz może owszem wpływ anti—pragniony.

A. T.

### *Dyplomatarjusze.*

Znanym to jest już powszechnie pewnikiem naukowym, że krytyczne spisanie dziejów każdego narodu, poprzedzone być musi wydaniem zbioru jego dyplomów. W nowożytnych dziejach oświecenijszych krajów, dostrzegamy iż zdolniejsi pisarze i znawcy, umieli pojmować tę kolej pracy historycznej. I nasi historycy zdawna radzi do źródeł odnoszą się. Gallus przywodzi w skróceniu list cesarski do Bolesława Krzywoustego, o (niby) należącym się haraczu Niemcom od Polski. Długosz tę dążność krytyczną upowszechnił. Paprocki chciał krytykę oprzeć na źródłach; oparł ją dopiero Naruszewicz, lecz dyplomatarjusza niezrealizował. Nikt też po nim tego nie dopiął, tak samo, jak nikomu nie udało się dotrzymać wypadły z rąk jego dziejopisarski rylec. Mozolna praca nie strudzonego Dogiela, wstrzymana w samym początku publikacyi, przypadkowym zgorzeniem jego rękopismu, nie w całości została ogłoszona, tak samo, jak następne usiłowania połączone, i niedokonały przerwanych prac Naruszewicza, i nie ogłosiły nie wydrukowanych części dzieła Dogiela, mimo ofiarowaną w tym ostatnim względzie, silną pomoc kanclerza państwa hrabi Rumiancowa.—Uczelni rossyjscy nie przestają tej pracy Dogiela oceniać. Wro-

ku 1837 biograf Teresczanka, pisząc żywoty rossyjskich mężów stanu, często powołuje się na rękopisowe tomy dzieła Dogiela, a zeszłego roku, w numerze listopadowym Dziennika Ministerstwa Narodowego Oświecenia, znajduje się decyzja Kommissyi Archeograficznej, zapowiadająca rychłe wydanie dzieła Dogiela, zaczynając od nie drukowanych tomów.—Wszędzie gruntuje się coraz mocniej dowodne przekonanie, że pierwotne wydania drukowane pierwotnych kronikarzy, niedaleko zawiadą krytycznego badacza. Uznano potrzebę ogłaszania komentowanych wydań wszelkich nieznanych kronik, lub ich odmiennych, albo źle dotąd wyczytanych i sprawdzonych egzemplarzy. Ten sposób drukowania wszelkich wariantów rękopisowych, stał się jedynym środkiem krytycznego rzeczy historycznej badania; czego u nas w prawoznawstwie krajowém, J. W. Bandtkie, swoim *Jus polonicum*, tak piękny dał przykład.—Obok tego ustala się tém większa potrzeba drukowania Dyplomataryuszów. Od najdawniejszych czasów, uznawali ją u nas aż po dziś dzień, pisarze pojedynczych wypracowań historycznych, w których znajdujemy licznie rozrzucone dyplomata, związek mające z ich przedmiotem. Tu, że nowszych przemilczę, z dawnych zaliczają się: Nakielski, Szczygielski, Damalewicz i tylu innych. Po niedośćcu poprzednio zamierzonego wydania całkowitego dzieła Dogiela, nie zastąpiono go dotąd ani w części, żadnym zbiorem odpowiednim. I tak dla mniej dokładnego wyczytania i druku, nie zupełnie powiódł się, temi czasy ogłoszony Dyplomataryusz Wielko-polski, nakładu Edwarda hrabi Raczyńskiego, wydawcy któremu kraj tyle obywatelskich poświęceń zawdzięcza.

Tymczasem przypomnijmy sobie co w tym kierunku postronnie ogłoszono:

1. de Dreger Fr. Codex Pommeraniae diplomaticus. Z dodatkiem Oelrichs'a. Z rycinami. Folio. Berlin. 1768. Dalszy ciąg zbiorn resztujących dokumentów. Folio. 1795. Razem z dalszym ciągiem. 1796. Folio.
2. Wagner C. Analecta Scepusii sacri et profani. Viennae. 1774. 4ka większa.

3. *Sobranie gosudarstwiennych gramot i dogoworow.* Wydanie Mikołaja hrabi Rumiancowa. Moskwa. Tomów 4. 1813 — 1827. Folio.
4. *Urkunden des Klosters Leubus.* Breslau. 1821. Poszyt I. 8ka mniejsza.
5. *Biełoruski, Archiw.* Czast I. Wydanie Mikołaja hrabi Rumiancowa. Moskwa. 1824. 4ka.
6. *Féjer. Codex diplomaticus Hungariae ecclesiasticus ac civilis.* Budae. 1829. Wyszło go do roku 1832. tomów 6, w 13 częściach. 8ka.
7. v. Raumer G. W. *Codex diplomaticus Brandenburgensis* 2. tomy. Berlin 1831—1833. Wielka 4ka.
8. *Urkundensammlung zur Geschichte des Ursprungs der Städte und der Einföhrung und Verbreitung deutscher Kolonisten und Rechte in Schlesien und der Ober-Lausitz von Gustaw Adolf Tzchoppe und Gustaw Adolf Stenzel.* Hamburg. 1832. 4ka.
9. *Joseph Chmel. Materialien zur östreichischen Geschichte.* Linz. 1832 4ka.
10. *Napiersky. Index Corporis historico diplomatici Livoniae, Esthoniae, Curoniae.* Riga und Dorpat 1823. Fol. I część.
11. *Joseph Chmel. Regesta chronologico-diplomatica Ruperti Romanorum Regis.* Francofurti ad M. 1834. 4ka.
12. v. Raumer G. W. *Regesta historiae Brandenburgensis.* 1836.
13. *Codex diplomaticus et epistolaris Moraviae, studio et opera Antonii Boczek, Olomuncii.* 1836—1841. Tomów trzy.
14. *Zbornik Muchanowa.* Moskwa. 1836. 8ka większa.
15. *Akty sobranyje w bibliotekach i archiwach Rossijskoj Imperii Archeograficzekoju Expediciej Imperatorskoj akademii nauk.* Dopóźnieny i izdany wysoczajszeju uczreźdennoju Kommissiej. Petersburg. 1836. Tomów 4. Tomy temieszczą w sobie wszelkiego rodzaju dyplomata, 1838. Tom I. mający obejmować same dyplomata prawne. 1841. Tomy 3. obejmować mające same dyplomata historyczne.
16. *Lisch G. C. J. Meklenburgische Urkunden.* Schwerin. 1837. 1 Tom. 8ka mniejsza.
17. *dr. Riedel. Novus codex diplomaticus Brandenburgensis.* Berlin. 1838.
18. *Codex diplomaticus Moeno-Francofurtanus, 1839.* Francofurti.
19. *Włacho Bolgarskija ili Dako-Słowianskija Gramaty, sobranyja i objasniennyja Juliem Wenelinem.* Petersburg 1840. 1 Tom. 8ka.
20. *Historica Russiae monumenta ex antiquis extraneorum gentium archivis et bibliothecis deprompta ab A. J. Turgenewio.* Petropli. 1841. Tom I. Stanowi on tom dyplomatarjusza Kommissy Archeograficznój.

21. Sobranie drewnych gramot i aktow gorodow Wilny, Kowna, Trok, prawosławnych monastyrej cerkwiej i po roznym predmetam. Wilno. 1843. u Marcinowskiego. 4ka większa. Tomów 2.

Nie mamy pod ręką żadnych dyplomatarjuszków ogłoszanych tegocześnie na ogromną skalę w zachodniej Europie. Ile bądź ich jest, dość silnie przemawiają wszystkie, za tym koniecznym środkiem, bez którego wszelkie usiłowanie dziejopisarskie, zostanie czczym tylko marzeniem. A w czemże leży główna zasługa dyplomatarjuszków? Oto że dyplomy społeczne tak często wątpliwym kronikom pierwotnym, jako akta urzędowe najlepiej rozwidniają zamierchłość odleglejszych czasów, nie dość dokładnie przez owe kroniki przekazanych. Przez dyplom zaś rozumiemy tylko urzędowy pomnik dziejowy, odnosny co najpóźniej po koniec XVgo wieku; później bowiem zaraz pojawiający się druk, upowszechniając dyaryusze i statuta, znosi wyłączość tych rękopism historycznych, jakie przed wiekiem XVIstym głównie w dyplomatach widzimy.— Słowem, dyplomatarzusz dziś jedynie, jest owym polem, na którym krytyka historyczna, dopiero wnioski swoje uzasadniać może.— Warszawa, 24 maj, 1843.— *Fr. St. G.*

---

*Drugi tom Biblioteki Starożytnej wyszedł na widok publiczny i zawiera:*

1. *Facsimil Modlitwa powssednya do Trojce swyętej* przeciwko nyeprzyacyelom Koscyola Swyętego 1532.
2. *Droga do Szwecyi Zygmunta III* odprawiona roku 1594, przez Andrzeja Zbylitowskiego 1597.
3. *Przypowieści Polskie* przez Salomona Rysińskiego zebrane 1629 r.
4. *Oekonomia albo porządek zabaw Ziemiańskich* według czterech części roku Wład. Jeżowskiego 1648.
5. *Relacya prawdziwa o weszeiu Woyska Polskiego do Wotoch*, przez Teofila Szamberga spisana 1621
6. *Pamiętniki do panowania Jana III* (z rękopismu).
7. *Przywilej cechu Rzeznickiego w Sandomierzu 1620 roku* (z rękopismu).

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

WARSZAWA.

46. *O Tarnowie mazowieckim (Thorn) do Kopernika, przez Dominika Szulca Czł. Kor. T. N. Kr. p. z U. Jagiel. 8. str. 39. Warszawa r. 1843.*

Rozprawa ta, jest odbiciem w małej liczbie exemplarzy, artykułu zamieszczonego w Pamiętniku Religijno-Moralnym w poszycie za miesiąc kwiecień r. b. Zawiera ona wyjaśnienie krytyczne ważnego pytania względem Tarnowa, należącego niegdyś do kapituły mazowieckiej, a przezwanego później *Thornem, Toruniem*; tudzież, czém była ziemia chełmińska do puszczenia jej krzyżakom, a tém samém przedstawione dowody potwierdzające rodowość Kopernika. Ważna ta i gruntowna rozprawa tém więcéj zasługuje na uwagę, że porusza żywotną w obecnym czasie o Koperniku kwestyą.

47. *Historja biblijna w kształcie rozmów, część I. 8. str. 58 w drukarni XX. Missyonarzy angielskich. Warszawa r. 1843.*

Tu Professor w rozmowie wyjaśnia przedmioty historyi biblijnej używając wielu cytacyi w języku hebrajskim.

48. *Rys biograficzny życia Alexandra I Cesarza Wszech Rossyi i Króla Polskiego etc. etc. etc. zebra-ny przez I. H. Kurzewskiego, 8 str. 150, w drukarni J. Wróblewskiego, z 5 rycinami. Warszawa r. 1843. (cena r. sr. 1 kop. 50, czyli złp. 10).*

Na końcu téj książki zamieszczony jest śpiew historyczny tegoż autora o Cesarzu Alexandrze I. z muzyką Józefa Damse, i lista prenumeratorów.

49. *Memoire sur la conservation des céréales et sur la nécessité d'établir des reserves de grains par le Baron Galichet. Imprimerie de la Banque de Pologne. 8. str. 24. Varsovie 1843.*

WILNO.

50. *Reszty rękopismu Jana Chryzostoma na Gosławcach Paska, Deputata z powiatu Lelowskiego na koło rycerskie za Króla Michała Korybuta, a pierwój Towarzysza pancernego 1656 — 1688 z egzemplarza w Cesar. Publ. Bibliotece w Petersburgu znajdującego się, spisane i wydane przez Stanisława Augusta Lachowicza: nakład i druk Teofila Glücksberga Księgarza i Typografa szkół Białoruskiego nauk. okręgu. 8. str. 411. Wilno r. 1843. (cena rub. sr. 2 kop. 70 czyli złp. 18).*

Wydawca w przedmowie ostrzega, że rękopism niniejszy, nie jest bynajmniej resztą, czyli pierwszą częścią, której niedostaje w ogłoszonych przez Hr. Raczyńskiego *Pamiętnikach Paska*, jakby to mógł ktoś z tytułu wnieść. Tytuł ten zachowany został, jako znajdujący się na samym oryginale, a porównanie tej książki z ogłoszonym exemplarzem Hr. Raczyńskiego, przekona, że wydanie to uczynione zostało, jeżeli nie z tegoż samego, to przynajmniej z najbliższej jego kopii.

51. *Mieszaniny obyczajowe przez Jarosza Bejłę Tom II 8 str. 219. nakład i druk Teofila Glücksberga Wilno r. 1843. (Cena rub. sr. 2 kop. 25 czyli złp. 15).*

Na wstępie umieszczone są uwagi z powodu krytyki na tom I w Bibliotece Warszawskiej przez pana F. Z. napisanej, które zajmują str. XXXIV, dalej przedmioty następnej treści: Arystokracja—Rzut oka na literaturę starożytną—Honor—Wolność—Obmowy—O postępie cywilizacyi—Pasibrzuch—Gospodarz samochwał—O wielkich mężach.

52. *Korrespondencya literacka M. Gr . . . . skiego. Tomów 2 12. str. 228—242 nakład i druk Teofila Glücksberga. Wilno r. 1843. (Cena r. sr. 3 kop. 30 czyli złp. 22).*

Korrespondencya ta obejmuje 21 listów pisanych przez P. Grabowskiego w przedmiotach literatury bieżącej, do

rozmaitych osób, mianowicie: do PP. Germana Hołowińskiego, Kazimierza Bujnickiego, Romualda Podbereskiego, Alexandra Grozy, Janiszowskiego w Warszawie, J. Kraszewskiego, Ks. Hołowińskiego, Augusta Bielowskiego, Hr. Henryka Rzewuskiego, Świętorzeckiego, Karola Drzewieckiego, Hr. Józefa Krasieńskiego i P. E. Ziemęckiej.

53. *Legendy zebrał X. J. Hołowiński*, 8 str. 144 nakład i druk Teofila Glücksberga, Wilno r. 1843. (Cena r. sr. 1 kop. 35 czyli złp. 9).

54. *Powiatki i obrazki historyczne przez J. I. Kraszewskiego*. 8. str. 206, nakład i druk Teofila Glücksberga Wilno r. 1843. (Cena r. s. 1. kop. 35 czyli złp. 9).

Mieszczą się tu następujące rzeczy: Wieczór w Czarnym lesie, obrazek XVI w. Dyalog wielkanocny z pamiętników pana Jacka Hreczyny 1610. Marcin Kaptur, szkic historyczny z XVI w. Stańczyk biografia XVI w. Albertus 1596—1625. Komedia rybałtowska. 1615. Synod klechów podgórskich 1607. Dziady. Dorotka.

55. *Ułana, powieść polska przez J. I. Kraszewskiego*, 8. str. 274 nakład i druk Teofila Glücksberga, Wilno r. 1843. (Cena r. s. 1. kop. 35 czyli złp. 9)

56. *Pielgrzymka do ziemi świętej odprawiona przez X. Hołowińskiego*. Tom. 3. 8. str. 478, nakład i druk Teofila Glücksberga, z ryciną—widok z góry Karmelu. Wilno r. 1843. (Cate dzieło r. s. 9 czyli złp. 60).

57. *Ołtarzyk nowy czyli zbiór nabożeństwa katolickiego, mieszczący w sobie nabożeństwo poranne, mszalne, nieszporne, wieczorne i t. d. także różne nauki duchowne, z różnych ksiąg krajowych i zagranicznych przez kościół ś. potwierdzonych dla użytku wiernych ułożony*, 12. str. 754 nakład i druk Teofila Glücksberga. Wilno r. 1843. (Cena r. sr. 2 czyli złp. 13 gr. 10).

#### POZNAŃ.

58. *Dwór wiejski, dzieło poświęcone gospodyniom polskim, przydatne i osobom w mieście mieszkającym, przerobione z francuzkiego Pani Anglae Adanson z wielu dodatkami i zupełnem zastosowaniem się do naszych*

obyczajów i potrzeb, przez panią z P. K. N. w 3ch tomach, 8. 1. str. 262 w nowej Księgarni. Poznań r. 1843. (Cena, całe dzieło r. sr. 4 kop. 80 czyli złp. 32).

Lwów.

59. *Opowieści i legendy Jadama z ziemi zatorskiej, zbiór I., wydanie Kajet. Jabłońskiego, 8. str. 178, Lwów r. 1843.*

60. *Historja biblijna dla dzieci, wyciąg z dzieła obszerniejszego Pana Krzysztofa Schmida. Dwie części z których pierwsza obejmuje powieści starego, druga zaś nowego przymierza, z 50 winiętami i obrazkiem na czele dzieła, 8. I. str. 88, II. str. 103, nakładem Franciszka Pillera i spółki. Lwów r. 1843. (Cena r. sr. 1 kop. 10 czyli złp. 7 gr. 10).*

61. *Święta droga krzyżowa Jezusa Chrystusa, podzielona na 14 stacyj aż dogrobu świętego, ze 14 rycinami tych stacyj, 8. str. 48, nakładem Franciszka Pillera i spółki. Lwów r. 1843. (Cena kop. 20 czyli złp. 1 gr. 10).*

62. *Robinson dla dzieci, albo najciekawsze wypadki Robinsona Krusoe opowiadane dzieciom przez ojca. Dziełko z VIII rycinami, 16 str. 51, nakładem Franciszka Pillera i Spółki. Lwów, bez roku. (Cena r. 1 kop. 10 czyli złp. 7 gr. 10).*

63. *Sybilla, czyli zręczna wróżka, nauczająca sposobu wróżenia, z 32 kart; tak jasno, iż każdy w bardzo krótkim czasie, bez obcej pomocy, sobie i drugim kabatę ciągnąć potrafi. Przedmiot ciekawości, rozrywka dla smutnych, pociecha dla cierpiących, doradca dla kochających i zakochanych; z niemieckiego przetłóżył na język polski St. Mr. z siedmiu tablicami, 8. str. 40, nakładem Franciszka Pillera i spółki. Lwów r. 1843. (Cena kop. 37½ czyli złp. 2 gr. 15).*

KRAKÓW.

64. *Upominek od matki dla dobrych dzieci, 16 str. 122, z ryciną, w drukarni Józefa Czecha, Kraków r. 1843. (Cena kop. 67½ czyli złp. 4 gr. 15). J. B.*



# ROZMAITOŚCI.

## SPIEWAK - WĘDROWIEC.

Poezya, która jest objawieniem się myśli niezależnem od woli człowieka, równie jednak jako czyn każdy przez połowę jest z woli *skończonej*, przez połowę z nieskończoności. Czyściej duchowa, jaśniej tylko istotę rzeczy odkreśla. Poezya pierwiastkiem swoim wskazuje nam na *pierwotną* siłę stworzenia, trwaniem na *wieczność*, węzłem z ziemią (porządkiem objawiania się i kształcenia) na *szyk* rzeczy jawnie widomych. Zdolność albo raczej przywilej poczynania i objawiania pieśni (poezyi) otrzymują tylko szczególne istoty; a duch w ciele, pewnym stałym przejściom (momentom), według ustaw woli przedwiecznej został poddanym. Jakoż przyroda i nuta pieśni szczególnych osób różni się według osób. Skład i odcienia myśli wewnętrznej, bieg i przyroda wrażeń zewnętrznych, czas, wiek i miejsce sprawiają i odkreślają barwę i znaczenie śpiewaka. Tak: mimo tajnie poczęcia, inną pieśń wyda śpiew dziecka, inną głos starca, inną męża o siłach kwitnących; inne tło oznaczy nutę i słowa śpiewaka z krainy słońca, inne z kraju gór i tumanów; innym w pieśni swjej będzie śpiewak wioski, śpiewak jedności wrażeń, strzegący i opiewający bogów domowych, innymi zaś *Śpiewak mały — Wędrowiec*.

Barwa pieśni wędrowców, dopiero za dni niedawnych, w czasach kiedy w miejscu migracyi bojowych, istot w pód dzikich, nastały i wędrowki — *Śpiewaków*, objawiać się i odkreślać poczęła. Duch śpiewaka wędrowca zbyt żywiej czuje, zbyt rychlej przerabia, rozwija bieg wlane go weń pierwiastku poetycznego. Duch ten nagłej wyswobadza się z więzów zmysłowych, i jawniej pozostaje sam sobą. *Wędrowiec* opuszcza ciałem te miejsca do

których wolą przyrody był przybity, przedmioty wśród których urosł, z którymi łącznie byt, wzrost, i przejście części przyrodzenia nakreślił. W innej nowej dla siebie stronie wędrowiec jest jako gałąź na piasku, lub między drzewa obcego dla siebie lasu, rzucona. Wędrowka a zwłaszcza *stała* (i o tej mówimy tu) jeśli jeszcze nie śmiercią, tedy jednak jest już jakoby półśmiercią dla ciała człowieka, i pieśń jego już tylko współziemską być musi.

*Treść* pieśni śpiewaka wędrowca tak objawi się *rychło* — *zmiennie*, jak bieg jego ducha. Będzie ona przekształcać się nagle w kierunku wrażeń, wyzwalając się z wpływów nikłości w kierunku wiary. Żywioł ducha poetycznego *czułość* i *miłość* przez zawarcie się *w sobie*, rychłej swe momenta przejścia przebędą. Miłość ta przez uczucie sił swoich zwrócona ku *sobie*, wnet rozciągnie się do *przy:aciół* (kraju), przylgnie chwilę do związków nowych i przejdzie w *ludzkość*, wnet jednak nie krępowana grą ułud, wzniesie się i przejdzie w *nad ludzkość*. W treści tej pozostanie już tylko jako odcień, odbicie porannych natchnień, roślinnych wspomnień, dawnych pamiątek domowych.

*Szata* pieśni tych (Słowa i Sztuka) w tymże rychłym stosunku *ziemsko* osłabną. Nie będą to już w swém przedstawieniu owe ulubione niegdyś dla myśli poety barwy ziemskie, owe zwroty słowa dziwiące, myśli przenośne; wszelka owszem siła wyrazu nieraz tu zniknie. Niebędzie to już tyle przed nami widok ciała i duszy, jak raczej jedynie duszy; jeśli nieuleciałej jeszcze z ciała tedy ulatującej.

Niedawno jeszcze słyszeliśmy tu między sobą: pieśnio - twórcę od stron południowych, słowika od wód ukraińskich — Poetę Wędrowca. Śpiewak ten, z namaszczenia śpiewak, zanucił pomiędzy nami, zatęschnił i poszedł dalej; a w słowach i nucie jego odkreśliły się nam dobitnie duch i typ śpiewaków wędrowców. Pierwszą treścią jego nucenia były dumki tęskne, *miłosne*; te dumki oznaczające już miłość, lecz zbyt blisko z własną związaną: treść też ich zamieniły w krótkce *kraj*, *ludzkość*, i wnet

duch świat i ludzkosc obejmujący. Ostatnie słyszane przez nas pieśni (1) tego śpiewaka: to zbiór kwiatów i jasnych kamieni miłosnego, wkładanego na skroń ludzkości wieńca: *Pieśni Chrześcijańskich*.

Zbiór ten miłosno-religijnych pieśni jest światłem tego, co rzekliśmy o przyrodzie pieśni wędrowców.

Twórca pieśni nieraz w nich zwraca myśl na uczucie, które mu śpiewać każe, i przystępując do rozpoczęcia śpiewów sam je tłumaczy:

„Już dusza moja, więziń, dzwoni w pęta,

Ku początkowi się swojemu miota.“

Każda z pieśni szczególnych zbioru śpiewaną jest sercem urosłym z zasad chrześcijańskich, jest poświęconą chwale i utwierdzeniu tych zasad. Poddanie się, pokora, ufanie, owe zwłaszcza główne cnoty chrześcijańskie — miłość, nadzieja, wiara, oraz cześć pańska, jest to stały i jedyny przedmiot tych pieśni. Jedna z nich najobszerniejszego zawarcia, ma nadto za przedmiot obraz *dziejowy*, wielki dziejowy. Być może, że nie wyrażamy się jasno mówiąc *wielki*. Pieśń ta nie ma bowiem za przedmiot jakowejś okresowej głośności, kolosalności, potęgi; ma ona owszem za przedmiot kilka postaci, faktów światowo-wątkowych społecznie-głuchych, których ślad i znaczenie dopiero z upływem wieków na coraz rozmaitsze i szersze, na coraz więcej olbrzymie pośród ludzkości rozrosły się miary. Ma ona za przedmiot czasy pierwszego zawiązku Chrześcijaństwa, rodzinę która otrzymała zestanie ziemskie utworzenia tego zawiązku.

Opiewanie nutą poezji przedmiotu równego, nie jest zapewne niegodnym pieśni chrześcijańskiej. Przedstawianie w obrazie faktów, śród których każdy znaczącym jest szeregami i naturą swych następstw, przypominanie słów z których każde jest związane z losem ludzkości, mało sprzyjającym, żywotnym, zdaje się być dla poezji. Poezja jednak nie jest (lubo być może) jedynie *fikcją*.

(1) Trafne według nas, i ze stanowiska w prost religijnego ocenienie tych pieśni, czytaliśmy jeszcze w roku zeszłym w *Tygodniku Petersburgskim*.

Obraz *Przenajświętsza Rodzina*, nie jest to poetyczne przedstawienie jakowychś wypadków, osób zmyślonych, węzłów lub machin, jako to bywa w innych z przedmiotów religijnych, obrazach. Treść pieśni tej nie przedstawia nam *całości* rzeczywiście nawet istnących osób, całości ich żywota, faktów szczególnych: jest ona jakby wylaniem się tylko myśli wdzięcznej, kochającej, chrześcijańskiej, zwróconej ku szczegółom źródła, ku owym czasom. — W pieśni tej stają tylko przed nami rysy jakkolwiek główne, lica, myśli i słowa rodziny Chrystusa, i sama objawiająca się światu postać Chrystusa.

Słowa w których wylaną jest myśl poety w tej pieśni, są proste, szczere i jasne: są to słowa naszej mowy codziennej, a jednak mniej powszednie, poważne, snąc samą powagą przedmiotu. Poeta przenosi nas w czas dawny jakby naocznie, przedstawia nam opiewanych osób mowę, odcienia czynów, a te czyny i mowa, zaledwie to rzec możemy, że są *tworzone*.

Autor np. w pieśni tej obrazu *Przenajświętsza Rodzina*, przedstawiając nawiedzenie Elżbiety przez Maryą, powtarza nam słowa Elżbiety i słowa Maryi, a każde z tych nawet obojętne, nie widzimy dla czego by *nie być* miało. Przytaczamy losem urywek:

„Elżbieta dalej: u mnie pusto, cicho,

Sędziwy mąż mój od wczoraj w Jerycho;

Jan jako cudzy, daremna, oh! praca,

Wieści ni słychu, kędy się obraca.

Młode swe latka na pustyni trawi

W postach, modlitwie — o moi łaskawi!

Co nie obwieszcza o ludzkim niewstydzie,

A jest poprzednik tego, który idzie“...

Maryja słuchając tych słów, wzniosła ku niebu oczy i ręce, i zginając kolana zawołała:

„Uwielbia dusza moja Boga Pana

Wielce, o! wielce w nim rozradowana:

Albowiem pojrzał na sługę swą drobną

Przyodział łaską wielką i osobną:

Że Przenajświętszą ziemią mię nazowie

I błogosławić będą narodowie.“

Podzielili, dodaje Poeta, te słów wzniesienie—*Elżbieta*  
i *Józef*

„I rozdzwięk strojny, rozciąęły, *troisty*,  
Mąci się wespół jak w strunach lutnisty,  
Dawne, promienne proroctwa rozstrzela,  
Jeremiasza i Ezechiela.“

Opowiadanie podobne, mówimy, nie zdaje się nam  
być niegodne prawdy chrześcijańskiej. Dla wskazania  
na małowność kreślenia a razem szczerłość obrazów, przy-  
toczymy tu tylko jeden: Obraz Przenajświętszych Rodzi-  
ców i Dzieciątka Jezus w Świątyni Salomona.

Autor opisuje nam wejście do tej świątyni Rodzi-  
ców i pierwsze kroki Missyi ich Syna:

Niepostrzeżenie, w cisnącym się tłumie  
Do odzwiernego w kościele filara  
Jakś przysionkiem pomyka się para:  
Starzec poważny, wzniosły, siwobrody,  
Obok niewiasta przecudnej urody,  
Postawa skromna, polotna, dziewicza,  
Kiedy niekiedy owal jój oblicza  
I blask od oczu odsuwa zasłonka —  
Jezus z Maryą...

Przed Arką, która chroni przykazania,  
Z góry chorągiew jedwabna się słania,  
Olśniona słońcem, w blask mieni się paw;,  
W półkole siedzą mistrzowie ciekawi;  
Na kobiercowém, kwiecistém wzniesieniu  
*Stoi Pacholę w błękitném odzieniu.*  
Każe powolniej nieco — i umilka,  
I wypoczynku — podziwienia chwilka;  
Oczka ku Niebu, a w skroni od oczek  
Nieme dumanie buja jak obłoczek,  
Niby z włosami jasnemi się wije  
Na obnażone ramiona i szyję.  
Skinął młodzieńczyk, i ozwał się w mowie,  
A mowy jego język nie wypowie,  
Na wieki wieków nie wysnuje wątku:  
„I było, wołał, Słowo na początku!

Słowo to było u Boga! To słowo  
Bóg — było Bogiem! (i wołał na nowo)  
Słowo to było światłem i żywotem.“

W innych, oddzielnych pieśniach, poeta te obrócone ku czasowi dawnemu słowa w obecność wciela. Zwraca myśl na zawód swój ziemski, swój los wędrowny, a myśl ta, wpływ złączeń, treści zawodu, wiar serca, staje się jedną z głównych cech pieśni. Mus ciągnięcia bytów skończonych, tęskność ku innym, uczucie niskości własnej wśród blasków obcych, uczucie wdzięczności ku Temu, który tę niskość wcielał, uczucie pokory i dumy, tęsknot i ucieśnienia, obiawiają się, płaczą wśród pieśni i jednoczą w śpiewie *Chwalenia*. Mimo własne zwątpienie w głosie, śpiewak nieraz rozradowuje się, patrząc na przedmiot swych pieśni, na to naznaczenie które wypełnia, nawet uczuciu pychy chwilowej oprzeć się niekiedy nie może.

W jednej z pieśni unosząc się myślą przez następstwo uczuć, ku pierwszemu wrażeniu prawd wiary, czasem dzieciństwa, matce, woła:

„Święć się nam w sercu domowa pamiętko!

Ow syn, o matko! ledwo przeżegnany,

Twe pogrzebowe, gromniczne dzieciątko

Piastuje lutnię między Chrześcijany.

Błogosławieństwem twojem buja w dumie

I służy panu i chwali jak umie.“

W opiewaniu pamiętek obchodu świąt uroczystych, czasów umartwień i świąt znowu, tych pamiętek, wspomnienie których tak się łączy żywo i rzewnie z czasami dzieciństwa, poeta znajdował się zdaje rozkosz nawet w powtórzeniu *tonu* tych nut, miar pieśni, które w głosie ludu, wśród którego stworzonym został, słyszał w dzieciństwie. (2)

(2) W jednym np. z obrazów autora *najtkliwszych*, albowiem w obrazie Matki stojącej przed Synem *umęczonym* przez ludzi bez winy ludzkiej, znajdujemy i ową miarę pieśni religijnych ludo-krałowych.

„Stała Matka bolejąca

Tuż pod krzyżem, w głos łkająca

Za Synem na katuszy.“ i t. d.

Barwa pieśni Spiewaków Wędrowców (przynajmniej śpiewaków duszy tkliwszej, żywszej i doskonalszej), jest oddzielną, widzimy, sobie właściwą. Dusza Spiewaka Wędrowca o stopień bliżej zdaje się wznosić ku stronie tajnej przyrody, czystziej i miłośniej ku *Temu*, który rozkazanie jej daje, ku *miejscom* na których to rozkazanie stworzyło go (dla swych celów).

Ten *podwójny kierunek*, to jest główna cecha ich pieśni; w każdym miejscu i czasie znaleźćby zapewne winien odbicie — równy kierunek. A. Tyszyński.

### O muzyce.

(ułamek)

Ja z serca i duszy mego narodu piję  
 Kanary estetyczne . . . . .  
 Celem moim jest sztuka swojska, samo dziel-  
 nością mój jaźni do życia wywołana.

Das Gute aus der Fremde mag zwar als Mu-  
 ster dienen, soll aufgenommen und zur Beleuch-  
 tung geduldet werden, muss aber den Sinn  
 nicht verbannen aus welchem einzig Originalität und Nationalität hervorgehen kann. J. E.

Mysł urobiona w łonie człowieka, wysnuta jak pajęczyna i na zewnątrz w zmysłowej wylana formie, budząca w nas uczucie piękności, niby tętno głosów co tę myśl stworzyły — to jest prawdziwa sztuka, to kwiaty. Gdzie brak tego działania na uczucie, tam sztuka jest spekulacją, bukietem obranym z farb i woni, artysta rzemieślnikiem. Wszędzie gdzie oddycha człowiek, jedyna w stworzeniu istota, co w podziale uczucie piękności wzięła, — mnóstwo jest poetów i artystów. Któż nim nie był przynajmniej raz w swoim życiu? Wprawdzie był nim może dla siebie tylko; ludzie otaczający nie widzieli płomienia, co jak błędny ogień mignął światłem i zagaśł na zawsze; nie odgadli ukrytego skarbu, bo im nie dano przejrzeć powierzchnię skorupę co go otacza; jak nie zgadują bogactw zamkniętych może w łonie ziemi, którą deptają, boby wzięli ten skarb jako objaw raz tylko wydarzonego w życiu zagłębienia się w samym sobie,

obraz w jednym rysie całego istnienia, może potwór nawet, ale pełen właściwego porządku, jedną myślą stworzony. Ale go nie dojrzeli, stracili na zawsze. Był to wulkan nieznan, co cały zapas materiałów palnych zużył sam w sobie; zbyt ich miał mało by płomień na świat zewnętrzny wyrzucić, zalać go lawą, lub chociaż grzmo-tem podziemnym dać znać o swoim bycie.

I znów są inni, co jak nigdy nie wygasną, na chwilę tylko spoczywające wulkany, za każdym wybuchem olbrzymią kolumną światła rozświecą okolice ducha. Są oni jak słońce coby zawsze czyste światło na nas lało, gdyby obłoki materialnego życia, wycieńczenia chwilowego lub niechęci, nie zasłaniały nam jego tarczy. Ale wewnętrzny, niezwalczony pociąg, jak wiatr spędza obłoki, a świetna gwiazda znów w całym blasku jaśnieje. Takim jest artysta prawdziwy. Jak słońce podrównikowe martwy nawet kamień swym żarem przejmuje, tak byleś miał wzrok, słuch, geniusz artysty wkradnie się okiem lub uchem w twe serce, drobną iskierkę z popiołu rozbudzi, swym własnym tchnieniem ją roznieci, ogarnie cię pieką jaką jego samego pożera, stworzy cię na chwilę równym sobie artystą — poetą. Jemu nie koniecznie trzeba wprawnej ręki lub głosu, ani tego nawet co ukształconym snakiem zwiemy; jego myśl jest wszystkim; zarys jakkolwiek dziwaczny, jedna nuta jakkolwiek osobliwa — podbije; tę on ci wmówi pewność, że to jest piękne, bo niem jest w istocie; on ci smak ukształci, narzuci. Tęm chętniej to jarzmo ogół przyjmuje, im geniusz co mu je wkłada, podobniejszym doń jest charakterem, im więcej przesiąkł temi co i on pojęciami; słowem, im więcej jest narodowym. Narodowość w sztukach pięknych nie da się schwytać i opisać, jak ubior i zwyczaj; nie polega jak różnice szkołami zwane, na kolorycie, porządku, ozdobie, metodzie, ale jest tęm dla charakteru narodowego, czem woń dla kwiatu. Wonią roślinę od rośliny rozróżnisz, opiszesz nawet ogólnie przyczynę działania i skutek jaki ona wywiera, ale obiaśnij bez porównania i przykładu czem się różni woń róży i fiołka — bzu i dziewanny?!



Narodowość w architekturze objawi się budynkiem do klimatu, szczegółowego przeznaczenia (gdyby się jakie znalazło), i zwyczajów mieszkańców zastosowanym; w malarstwie — obrazem, do którego pomysł z dziejów własnych jest wzięty, portretem sławnego męża, lub sceną z domowego życia; też z właściwą różnicą w snycerstwie. Wszystko to odziane ozdobą wynikłą z ukształcenia narodu i jego pojęcia piękności, wierne prawdą historyczną, napiętnowane podobieństwem fizynomii do typu narodowego, nakoniec wydatne myślą, którąby każdy członek narodu bez mozołu odgadł i pojął.

Poezya narodowa, o ile się przedmiotem do malarstwa zbliża, o tyle jego cechy zatrzymuje; co innego gdy się uczuciami zatrudnia. Wówczas ograniczoność środków (wyrazów) zbliża ją do muzyki (której organem są dźwięki muzyczne) i forma muzycznie (w deklamacyi) pojmowana.

Poeta, malarz, snycerz, dziełem swém przemówi do umysłu i uczucia: trudno mu wprawdzie to oboje zadowolnić; ale dla pierwszego rozsądkiem obierze — zdarzenie, charakter, formę, koloryt, ubiór; dla drugiego ma — natchnienie. Muzyk swym utworem tylko na czucie działa; bo w czasie poruszająca się forma prawie żadnej pomocy mu nie przynosi, i tylko dla artystycznego wykończenia zdaje się być wynalezioną. Ma jednak i muzyka cechy zmysłowo wydatne. Rytm między niemi główną gra rolę, tworzy wyrazy, myśli i okresy, które się w ustępy wiążą, a te znowu w rozliczne formy zlewać się mogą. Instrumenta muzyczne miejsce farb zastępują, lub charakter wydatniej stopniują, który wszakże głównie dźwiękami, nic określonego umysłowi nie przedstawiającami, malować trzeba. Może wprawdzie muzyk dźwięki te szykować dowolnie; mało go kto jednak zrozumie, jeśli pomocniczej mimiki albo nawet wyrazów umysłowo rodzaj i stopień uczucia malujących, nie użyje. W takim stanie rzeczy trudno jest być w muzyce narodowym, trudniej jeszcze może narodowość tę dotykalnie, że tak powiem, przedstawić. Zastanowiwszy się nad budową rytmiczną naszych melodyj gminnych, można z niej wysnuć prawidła ogólne; bo wprzód była sztuka niż prz

pisy do niej Pole to u nas nie tknięte jeszcze, a sam przedmiot znacznieby przeszedł zakres niniejszego pisma. Idźmy raczej za geniuszem narodu, i przypatrzmy się pamiątkom; jakie nam zostawił w melodyach gminnych, (1) w tej muzyce pierwotnej, co najmniej wpływom zewnętrznym uległa.

Chociaż człowiek ciałem do ziemi przywiązany, ziemi najwięcej myśli poświęca, dosyć często jednak spotykają go zdarzenia, co duszę i serce jego do wszechwładnego Boga zwracają. Ztąd melodye gminne naturalnie rozpadają się na dwa oddziały — światowy i religijny. Ten ostatni mniej ma wystających charakterystycznych rysów: już to dla tego, że powolność śpiewu nabożnego zaciera i roztapia w sobie rytmiczną cechę; głównie jednak dla tego, że się odnosi do początku i końca jednostki i ogółu stworzenia — do Boga, którego pojęcie w każdej duszy jest jednakie. Chwilowy namysł wskaże nam zaraz mnóstwo z życia ludzkiego zdarzeń, które jako bodźce do tworzenia pieśni nabożnych służyły. Nie ulega wątpliwości, że po największej części pieśń i melodia do niej, dziełem były jednej i tej samej osoby. Tę utworzył obywatel zgięty pod ciężarem nieszczęść domowych, tę rolnik pracujący w pocie czoła na wyżywienie dziatwy i czeladzi, błagając odwrócenia klęsk przyszłym plonom grożących; tę pobożny wędrowiec co w dalekiej krainie miejsca święte nawiedzał, tę znowu pleban bogobojny utworzył i między lud wprowadził, korząc się z nim razem pod różgą karzącą sprawiedliwości przedwiecznej, dziękując za otrzymane łaski, i czcząc tajemnice wiary zbawienie zapewniającej. Pienia te, to najwznioślejsza muzyka religijna, jaką każdy naród posiada; to muzyka narodowa, bo jej nie skaził smak obcy. Ona jest wypadkiem naszej czystej indywidualności w strumieniu pocieszającej religii skąpanej. Pienia te są daleko wyższe nad wszelkie utwory mistrzów, bo do nich nie

(1) Pod tę nazwę podciągamy także melodye autorów do gminu nie należących, które jednak jako geniuszowi narodu odpowiadające, powszechnie są znane.

wchodzi rachuba naukowa i spekulacja ducha, bo płyną z serca nie mogącego pomieścić swych uczuć; są też serdeczne, wielkie błaganiami i napojone wdzięcznością. Kto by nie widział tego wszystkiego w samej melodii, i efekt na rachunek tekstu położył, niech idzie posłuchać objającego się o sklepienia świątyni — Sty Boże, Sty mocny, Sty nieśmiertelny! nad co w całej muzyce kościelnej nic wznioślejszego nie znam: albo — Kto się w opiekę — Twoja cześć chwala — Witaj królowo nieba — i t. p. Tu jest bogaty zasób do uczonej muzyki kościelnej, która im więcej do tego źródła zbliżona, tem więcej będzie religijno-narodową.

Ustęp wielkiego poety do pieśni gminnej nie do samego tylko tekstu rozciągam. Człowiek z gminu, nie ma czasu jak poeta ze skłonności lub zawodu, myśleć nad pieśnią; on stwarza w chwili natchnienia, nie jak improwizator wychodowany w szklarni wielkiego miasta, wychuchany tchnieniem cywilizacyi, ale jak człowiek — co-wszystko winien naturze jak dziecko matce. Dla tego też nie deklamuje swych tworów tonem wyrachowanym, ale śpiewa; bo śpiewać natura sama go nauczyła. Uczucie mu się leje jak strumień z gór spadający, bryka jak rumak stepowy; dla niego mało wyrazów do odmalowania myśli, jemu muzyki potrzeba, coby podparła znaczenie wyrazów. To też nie improwizuje bez śpiewania, a nawet samém śpiewaniem tylko: gdy mu wyrazów nie staje, albo ich znaleźć nie może, a wtenczas, textem ogólnym do smutnej lub wesołej pieśni, bywa — oj! da! da! da-na — hej! li! li! li — albo inny jaki ogólnik prowincjonalny tego rodzaju. Rytmicznie nim odznacza melodyą, która wtenczas sama tylko maluje jego uczucia.

Jak strumień wyssawszy śniegi i deszcze — ustaje, jak rumak zhasany — spoczywa, tak i nasz improwizator wylawszy co czuł, wraca do prozy swego położenia. Ale każde zdarzenie ogólnie kraj jako wielką rodzinę obchodzące, każda okoliczność osobista, znów go budzi do nowej pieśni: niekiedy przy towarzyszeniu znaniej już nuty, (w której jednak obecna chwila ważne odmiany czyni) najczęściej zupełnie nowej, która w przyjaznych okoliczno-

ściach od tłumy pojęta i powtórzona, zrazu miejscową się staje, coraz dalej ją sioła siołom podają, aż nareszcie ogólnie znaną bywa. (2) Na utworzenie charakteru tych pieśni, wieki się składały. Dzieje i cywilizacja jak niańka, co kilka lat dziesiątków nowe bayały dziwy swemu dziecinnemu wychowankowi — ludowi; on je pojmował i powtarzał coraz wykształcényszim językiem, aż doszedł do lat, w których skłonności wyrostka zlewają się w charakter męża co się już nigdy nie zmieni. Dla tego, podsytu do naszych pieś i gminnych nie szukajmy w terażniejszości: ona je zastała już w pewnej sile. Wroćmy się do lat upłynionych, jak to czynimy badając charakter człowieka; wszakże wówczas okoliczności na przeszłość wpływające, wielkiej są dla nas wagi.

Charakter prowincjonalny, więcej niż indywidualny, wyciska na pieśni swe piętno; bo pieśń, albo jest tłumaczem uczuć ogółu, i w ten czas cechę jego na sobie nosi, albo jest skutkiem pojedynczego uczucia, które przecież jest wypadkiem uczuć i pojęć tłumy, na który znowu położenie jeograficzne i stopień pomyślności jaknajmocniejszą wpływ wywiera. Łupieżkie zagony hord tureckich i tatarskich, niewola w jakiej lud jęczał pod okrutną szlachtą na Ukrainie, kozackie wicherzenia i mordy, zład nędza i dzikość, dobitnie malują się w smutnej i jednotonnej prawie jak step jednostajny — nucie Ukraińców. Zamknięty sam w sobie Litwin mieszkaniec ziemi w obszerne knieje i liczne wody bogatej, pożywienie i opiekę podczas częstych dawniej zawieruch w nich znajdując, przejął coś w swym śpiewie, do echa borów i krzyku wodnego ptastwa podobnego. Przeciągłą zawodzi nutę, i akcent ten nawet w mowie zwyczajnej zatrzymał. Spokojniej żyjący mieszkaniec kraju, który Wisła, Narew, Bug, Wieprz, Pilica, Bzura, Warta i Gopło użyznia — weselej nuci: nie może się jednak otrząsnąć ze smutku i rzewności jaką

(2) Niekiedy do jednego tekstu jest kilka melodyi całkiem od siebie różnych: snąc inne nie odpowiadały charakterowi prowincjonalnemu lub indywidualnemu; wszystkie jednak barwą są do siebie podobne.

swój śpiew cieniuje, porównywając swój los z losem często spotykanego magnata, zlorzcząc a może zazdroszcząc zbyt komu, którym pracą w piaszczystej często ziemi dostarczać musi. Jak wszędzie lud okolic górzystych, tak i u nas Krakowiak najweselszym. Przyzwyczajony walczyć ze skalistą ziemią i narowami strumieni, mający srebro w Olkusz, sól w Wieliczce, żelazo w około siebie, a Króla do pożalenia się pod bokiem, na nic nie dba, że wszystkiego żartuje. Zawsze czynny, przebiegły, krnąbrny, najwcześniej i najdłużej patrzący na słońce, tańczy i śpiewa wesoło, a kóteczka u pasa, podkóweczka u obcasa, dziarsko mu wtorują. Najsuciej żyjący Kozak, gdzie może jutro z ojcem: hetmanem na tatarski taniec, albo na lotną czajkę zdobywać haremy i meczety carogrodzkie popłynie: i tu i tam gorąco; ale on hula, bo i cóż straci jak głowę położy? To szalone i hulackie życie pozostawiło nam pamiątkę w właściwej muzyce. Wychowanie Dniepru łamie się tańcząc jakby kości nie miał, a śpiewa wykrzykami i wyskakuje głosem; szafuje nim jak życiem, wypręża go i przedłuża jak lot po stepie, którego zdarzenia wojenne i czarnobrewę siół mieszkanki w swjej poezji kreśli, i tylko mu torban pomrukuje jak Dniepr w gęstwinach porobów, a janczary brzęczą jak szczęk oręża.

Jakby przecuciem zasłużenia się narodowości wiedzeni — Wacław z Oleska, Wojcicki i wydawca pieśni ludu Krakowskiego, dołączyli do swych zbiorów niektóre melodye gminne. Dołączyli je jednak jako zabawkę, jak dołączają inni portrety i widoki do pism swoich. Nie mieli na celu sztuki, a dowodząc potrzeby i korzyści tekstu, nikt kilkoma wyrazami nawet, nie wskazał artystycznej takich melodyi wartości. A przecież już Górczyn w przedmowie do swego dziełka w r. 1647 wydanego pod tytułem: Tabulatura muzyki albo zaprawa muzyczna etc. tak się wyraża. „Bo jeśliż tylko sami postronni wiedzieć principia kunsztów będą, a my tylko od nich zrak wszystkiego patrzeć, jakichże pośmiewisk słyszeć nie będziemy: których i teraz dosyć się nasłuchamy, gdy porywamy to z chciwością co w nich jest najlichszego, a nasze własne inwen-

cyc, gdy tylko po Polsku zarzucamy i nikczemnie szacujemy, lubo one nad tych wszystkich daleko bywają melodyjniejsze.“ Tak pisał przed dwustu prawie laty. Dziś już podobne skargi miejsca mieć nie mogą; bo niwa bogata muzyki domowej dawno przestała leżyć odłogiem, Jak w poezji ludu leży zaród do poematu narodowego, tak w melodyach gminnych jest wątek do muzyki narodowej. Czuli to już Elsner i Kurpiński, ich staraniem mieliśmy na chwilę muzykę narodowo-dramatyczną: dziś salonowa bogatsza; bo jedyne z późniejszych narodowo-dramatyczne dzieło Dobrzyńskiego „Wyspa czarów“ dotąd tylko w ustępach publiczności jest znane. Niech nam wolno będzie w tém miejscu wyrazić powszechne życzenie — postyszenia całości co prędej.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli, niech nikt nie wnosi, że obrobienie techniczne tematu żywcem z naszój domowej muzyki wziętego i w pewną wplątanego formę, już całą tu jest zasługą. Nie, samodzielność pomysłu przedewszystkiem iść powinna, a jednak oryginalności tej największą zaletą jest nieopisane podobieństwo do tego, co już w tym rodzaju znamy. Tak bracia rysami rodzinnymi objawiają jedno pochodzenie, ale każdy z nich ma charakter sobie właściwy.

Jak melodia narodowa ze szczupłych form Mazura, Krakowiaka i Poloneza (pod którymi wyłącznie tylko wielu jeszcze muzyki narodowej szuka) oswobodzona, ożywia przestronne formy w świecie muzycznym przyjęte, mamy przykład w Symfonii, Kwartecie, Fantazyi Dobrzyńskiego, ujrzymy we wszystkich dziełach Chopina, z których jednemu przypatrzymy się bliżej. Weźmy np. jedno z najnowszych dzieł tego kompozytora — Fantazyą na sam fortepian, dzieło 49 u Breitkopfa i Härtel'a w Lipsku wydane. Już w rozpoczynającym Fantazyą marszu znajdują się tu i owdzie zwroty naszą muzykę cechujące; ale główny temat zaczyna się na stronicy 4tój. Wyjdź za mury Warszawy, a naokoło siebie usłyszysz znajomą nutę, myśl pozornie ubogą, którą geniusz Chopina w ogromne wykształcił drzewo, co korzenie swoje głęboko po gruncie całego dzieła rozpostarło, pozwalając pod swą

opieką krzewić się tu i owdzie mniejszym roślinom. Po *agitato* na stronie 6tej występuje zachwycającej piękności melodya, która jednak przemija, równie jak i ustępy na stronicach 8ej i 9ej. Każdy z nich mniej więcej nacechowany jest naszą narodowością. Daleko jednak wydatniejszy pod tym względem jest ustęp na stronie 10tej zaczęty, gdzie śpiew w basie zamieszczony, za serce porywa.

Tu kończą się prawie materyały, z których się Fantazyja składa. *Sento sostenuto* stronicę 15tą zajmujące, jest tylko niejako wytchnieniem, a może odstępniem od głównego planu, do którego autor znów na następnej stronie powraca, poprzednie myśli znowu wprowadza: inaczey jednak ubarwione—to rozmaicie powikłane, to bardziej zwięzłe. A puszczając wodze wyobraźni, jak szumiący na górach wicher rozcinając się o wyskakujące skały, spada na dolinę i więźnie w gęstych uplotach pierwiastkowego tematu.

J. Sikorski

---

*O ważnym wynalazku używania gazów ulatujących dotąd próżno z wysokich pieców, do przetapiania i fryszowania żelaza.*

Użycie stosowne gazów wywiązujących się i próżno ulatujących z pieców wysokich, już od dawna było przedmiotem gorliwych usiłowań wielu hutników.

Pierwsze w tej mierze doświadczenia z pożądanym skutkiem zrobił we Francyi p. Auberton posiadacz hut w departamencie Cher, które spowodowały ich opis przez p. Berthier w r. 1814: — *Sur plusieurs moyens pour employer la flamme des hauts fourneaux, des foyers* (*Journal des mines* N 210 Juin 814). Pomyślny skutek tych doświadczeń spowodował w krótkce używanie we Francyi i innych krajach, nietylko płomienia i gazów pieców wysokich do wypalania wapna, cymentu i t. d. ale na takiż cel obracano gazy wywijające się i próżno ulatujące z fryszerek. Później używano gazów tych we Francyi do węglenia i suszenia drzewa i do opalania maszyn parowych służących, do dostarczania wiatru potrzebnego do pieców wysokich.

Lubo przy pomocy sposobu tego, wielkie massy dotąd próżno ulatującego materyału palnego, do celów użytecznych obrócone były; jednakowoż ilość użytego gazu nie wydawała skutku, jakiego się spodziewać można było: a wyższego stopnia żaru wcale w piecach zrzędzić nie było można sposobem dotąd znanym.

Wielki i oryginalny postęp w użyciu gazów ulatniających się z pieców wysokich, winno się dłużej usiłowanom Radcy górniczego wirtenberskiego Faber de Feun w Wasteralfingen — Jemu to udał się wynalazek, podług którego palenie gazów w ogólności bez pomocy kominów wysokich, zgęszczonym płomieniem i powietrzem skutecznia się. Również za pomocą tego wynalazku można gazy ulatniające dotąd próżno z pieców wysokich, w niezapalnym stanie, tak jak gaz do oświetlania, we wszelkich kierunkach prowadzić do pieców osobnych, ku rafinowaniu, pudlingowaniu, spajaniu (szwejsowaniu) i przetapianiu żelaza służących; i temiż palenie i żar przeszło do 3000 stopni Celsyusza podnosić — który jest większy nawet od temperatury pieców wysokich.

Przy pomocy tego nowego wynalazku prowadzenia gazów od pieców wysokich, a więcéj jeszcze palenia ich i użytkowania z nich, udało się p. Faber, bez nakładu materyałów palnych ilości większéj jak dotąd, znaczną część żelaza z pieca wysokiego otrzymywanego, przetapiać lub na szyny wyrabiać, pudlingować lub spajać; a to jedynie gazem z tegoż pieca, który dotąd bezużytecznie ulatywał. Wypada także tu dodać, że używając gazów do odlewów lub szyn, więcéj się utrzymuje wyrobu, aniżeli podług dotychczasowych najlepszych sposobów.

Do oszczędności materyału palnego, i zysku mianego na lepszym wydatku żelaza i lepszym jego gatunku, i ta jeszcze przybywa korzyść, że przy płomieniu gazowym — pudlingarze, kowale i walcownicy z nierównie większą łatwością pracują, lepsze szyny robią, a odlewacz podług upodobania wydaje mniej lub więcéj twardy biały odlew.

Liczne doświadczenie gazem dopełnione w Wasteralfingen, wszelkich tych korzyści dokładnie dowiodły: mianowicie, doświadczenia tamtejsze co do użycia gazów pieców wysokich, takie skutki wykazały:

1. Za pomocą gazów nierównie lepsze szyny otrzymuje się, jak przy sposobach dotychczasowych. Professor Degen znalazł żelazo w Wasteralfingen wyrabiane — wytworne, tak pod względem giętkości jako też miękkości: moc jego oznaczył na 86757 funtów na cal kwadratowy, kiedy dobre żelazo szwedzkie ledwie znosi 80000 fun.

2. Gazem z pieca wysokiego, wydającego tygodniowo 700 cent. żelaza, i mającego dęcie dokładne, może iść piec do rafinowania, pudlingowania i spajania.

3. Piec do rafinowania (Weissoffen) tygodniowo 600 cent. żelaza przerafinuje, skoro żelazo doń w rozpalonym stanie, jak być powinno, wkładane będzie, z ubytkiem



2½ procentów surowego żelaza z piaskiem i żużlem pomieszane, a z ubytkiem tylko 1½ z żelaza surowego czystego.

4. Piec pudlingowy może żelaza przez piec rafinacyjny wydane, 200 do 220 cent. w lupy i materyalne żelazo przerobić, gatunku wytwornego.

5. Piec do spajania, przy pomocy dobrego młota lub walcowni, może tygodniowo wyrobić do 350 cent. lup na żelazo szynowe. Podług dokładnych doświadczeń Radcy górniczego Degen, delegowanego Kommissarza rządu Wirtemberskiego, oraz podług tabelli utrzymywanych w Wasteralfingen, okazuje się ubytku żelaza przez odpadki i spalenie 15½ na pudlingowaniu i spajaniu; a ubytku od surowego żelaza do szynowego — 18½ o. Przystępnie wspomnieć wypada, iż w wielu przypadkach będzie stosownem zamiast pieca do spajania i do pudlingowania, raczej z pudlingarnie urządzić: gdyż zwykle mechaniczne urządzenie do młotowania i walcowania szyn, bywa oddalone od wysokich pieców — kiedy młot pudlingowy łatwo poruszany być może za pomocą pary, którą znowu wydaje bez kosztu zbyteczny żar z pieców gazowych ulatujący.

6. Co do nakładów na piece gazowe, podług p. Faber, te, doświadczenia w Wasteralfingen tak oznaczyły:

- |   |           |
|---|-----------|
| a. Apparat gaz chwytający . . . . .           | złp. 3600 |
| b. Piec do rafinowania (Weissoffen) . . . . . | „ 5200    |
| c. Piec do pudlingowania. . . . .             | „ 6800    |
| d. Piec do spajania. . . . .                  | „ 4000    |

7. Co do pracy przy piecach gazowych, już wyżej powiedziano, że ta dla pudlingarzy i kowali mniej jest uciążliwa jak przy terażniejszym postępowaniu.

8. Odprowadzanie gazów przy każdym już istniejącym piecu wysokim w czasie biegu jego, urządzić można jednak mniej dokładnie jak w nowych budowach.

Objasnijmy teraz stronę ekonomiczną tego wynalazku znamienitego:

Wiadomo powszechnie, iż podług najnowszych dotąd znanych sposobów, do wyrobienia szynowego żelaza, najmniej 3 centnary dobrego ziemnego węgla potrzeba, aby z surowcu jeden centnar szyn wyrobić, i że na centnar szyn, wychodzi 1½ centnara surowcu. Przypuściwszy więc, iż za pomocą chwytanych gazów z wysokiego pieca 700 cent. surowcu tygodniowo wydającego, tylko 175 centnarów szyn wyrobimy; więc naprzód w ten sposób oszczędzimy 525 centnarów węgla ziemnego. Następnie — przy gazie, daleko mniej surowcu na szyny potrzeba, bo tylko 214 centnar na 175 centnarów żelaza szynowego: a więc oszczędza się surowcu 31 centnarów w porównaniu ze sposobami dotąd używanymi — bez gazów.

Kładąc wartość centnara węgla w pieniądzech złp. 1 gr. 6, a surowcu centnar złp. 12, więc okaże się zysku przy tém arcy skromném założeniu 1300 złp. a więc na 200,000 cent. żelaza sztabowego u nas wyrabianego, rocznie około złp. 1,482400.

Co do węgla drzewnego, stosunek również okaże się korzystnym: gdyż do wyrobienia 175 cent. szyn sposobami dotąd używanymi, potrzeba najmniej 2500 stóp kubicznych węgla drzewnego; zaś na wyrobienie 175 cent. szynowego żelaza, wychodzi przy dzisiejszych sposobach 242 cent. surowcu.

Rachując stopę kubiczną węgla gr. 12, a surowcu złp. 12 centnar, — okaże się oszczędności tygodniowo 1336 złp, czyli na 200000 cent. żelaza sztabowego rocznie u nas wyrabianego, złp. 1,533,728; nie rachując korzyści dla kraju, jaka z zaszasowania i oszczędzenia lasów wynika.

Każdy hutnik zresztą wie, iż założenie to, jako przybliżone przecięcie oszczędności uważać należy, stosownie do miejscowej wartości węgla i żelaza, które przecież w każdym razie i wszędzie, na korzyść urządzenia pieców do gazu wypadnie.

Z tego co wyżej okazuje się, jak dalece zbawienny i korzystny jest, szczęśliwy pomysł i wynalazek p. Faber.

Ktokolwiek pragnie się przekonać o rzeczywistości tych korzyści, niech się uda na miejsce do Wasteralfingen, i przyjrzy się całemu sposobowi działania, niech tabelle wydatku dokładnie utrzymywane przeczyta, a zobaczy, iż rezultata są większe od wyż przytoczonych podań. P. Faber każdemu skłonnemu do użycia gazów w swych zakładach, wygotuje plany potrzebne; a nawet swego inżyniera do urządzenia pieców da, za wynagrodzeniem stosowném tak ważnego wynalazku.

Spodziewać się należy, że to wyjaśnienie rzeczy, zachęci naszych właścicieli hut żelaznych, do użycia gazów w swych zakładach, bez straty czasu: które i im i krajowi w ogólności, tak znaczne niemyślne korzyści przynosić będą. (\*)

Wyjaśnienie to na wyrachowaniach numerycznych oparte, ogłoszone w niemieckim języku, spowodowało mnie do przetłumaczenia i podania go do wiadomości moich współziomków.

K. L. Wolicki.

d. 28 Kwiet. 1843 r.

(\*) Korzyści z wynalazku o którym tu mowa, sprawdzają od znacznego już czasu fabryki w Węgrzech w okolicach Szczytnika (Csetnek), pod Krompachem na Spiżu, gdzie Polak fabrykę prowadzi i t. d.

P. R.

## WIZYTA U PAŃSTWA OŚLIKOWSKICH

przez *Au. Wi.*

22 Maja o 1éj z północy

Wczoraj, równo ze wschodem słońca, wyjechaliśmy z noclegu. Pawełkowi i Grzeli powiedziałem, że pan Edwin którego zabieram, jest podróżny literat szukający starożytności krajowych. Cztery mile za Siennicą,—(miejsć i osób po ich prawdziwém nazwisku wymieniać nie będę: gdzie dla gładkości opowiadania wypadnie, pożyczę imion zmyślonych; a chociaż się kaźden pozna w swoim obrazku, wdzięczen mi przynajmniej będzie, żem go obcą nazwą zastonił)—w Pakułach, pan Oślikowski zapominając że mi w roku zeszłym na jarmarku w Łukowie, kulawego konia, pod słowem honoru, za zdrowego sprzedał, przyjął nas z szaloną radością. Hałas powstał w całym domu, jakby się palito; Jéjmość z córkami uciekła do sypialni, iżby zamiast usmolonych, strojne włożyć sukienki, Jegomość zrzuciwszy grubo watowany i srodze zużyty szlafrok, w naszej obecności wrzucił się w porządniejsze ubranie, wołając donośnie:

— Przepraszam! przepraszam! — a to mi gość niespodziany... Héj! Janie! niechaj Mateusz wyda obroku dla koni, bryczkę wtoczyć na wozownię. Héj! Janie! Janie! zawołać ze stodoły kucharza, mogą na tém klepisku młócić bez pilnowania... cóż to nie dałes mi parzystych ciżemkóv?... Jéjmości proście aby się długo nie stroiła, — panowie wybaczą.. a nie raz mówiłem, — gdzie panny na wydaniu, zawsze powinny być czyste sukienki. — Zaraz panom służyć będę... podaj mi atlasową chustkę na szyję... panowie przebaczą żem nieogolony, człowiek przy gospodarstwie, — mój Boże! dopóki byłem kawalerem... Weronika! słyszysz kołowata! połóż ten czepek, przynieś mi wody! — ja jeszcze się nie umył. — Jakoś przy gospodarstwie, człowiek niema czasu się i umyć. — Darujcie panowie! zaraz podadzą wódeczki: panowie zziębli...

*Edwin.* O! tak przezacny panie! jechaliśmy pod wiatr, a deszcz zacinął w oczy: nie zawadzi kieliszeczek! anyżówki.

*Oślikowski.* Zaraz, zaraz..... a to istotnie gość niespodziany.

Wkładając drugą rękę po za rozdartą podszewkę, wybiegł z pokoju.

*Edwin.* Poczekamy z pół godziny: ręczę, że w tym rozhowrze klucze od szafki zgubili... Złaje żong, zelży cór-

ki, wybiję Weronikę, i dopiero poślę po kowala aby zamek odbijał.

I zgadł djabeł co do joty: najprzód słyszeliśmy przez cienkie ściany „klucze! klucze! gdzie Jójmość klucze podziała?!“ — potem „a do rejmient djabłów, gdzie są klucze?!“

— „Ja tam twoich kluczy pilnować nie będę, Weronika! wyprasuj mi haftowany kołnierzyk“ — „mnie tę jedwabną chusteczkę“ — „i łał mnie pelerynkę“ — „tylko się śpiesz Weronisiu!“

— „Ja kluczy chcę, bo wam te wszystkie tiule na ogień wrzucę“ — „Zawsze byłeś i jesteś *impertynentem*.“ — „Ale ja Jójmości powiadam że kluczy! natychmiast kluczy potrzebuję!“ — „Emilko! poszukaj ojcu kluczy“ — „Papo! może to te klucze?“ — „Zwaryowała, klucze od sypania, a ja chcę kluczy od szafki, gdzie mam dubeltową wódkę“ — „Niema już tej dubeltowej... wypij resztę pan Porucznik.“

— „Niedobra kobieto! kiedyś ty też resztę wódki wyczęstowała!“ — „Papo! jest jeszcze w oplatanej butelce likier różowy z imienin mamy.“ — „To także trzecia głupia... słodkim likierem jak na muchy, każe mężczyznę częstować, a jeszcze byłego żołnierza... a i ten drugi marsowaty kawaler...“ — „Mężu! czy ty wiesz, że on kawaler?...“ — „A bodajże ci się język przekreśli z twojem pytaniem: ja kluczy chcę, a ona się wywiaduje czy on kawaler! mówię kluczy!“

Potem zaczęli odstawić kufry, szafy, łóżka. Jegomość pokłócił się z Jójmością na *de grubis*... panny płakały. Weronika wracająca po sukno do prasowania, dostała w policzek: Jegomość wydarł jej żelazko z ręki, uderzył niem o ziemię, i wypadł na dziedziniec wrzeszcząc co gardła: „Bartek! Bartek!... a zawołaj mi tam kowala, niechaj zaraz przyjdzie otworzyć szafę, bo klucze zginęły... a śpiesz, jeno się śpiesz!“

Odrzekłbym się i dubeltowej wódki, i całej gościności pana Oślikowskiego... i gdyby Grzela nie był już wyprzągnił koni, możebym był odjechał bez pożegnania. Edwin śmiał się do rozpuku i zacierał ręce. Mocne uderzania młotem przekonały nas, że kowal ślósarstwa nigdy się nie uczył. Pękły drzwi... Jegomość potraçał szkło, krzyknął „Janie! kieliszka!“ i wszedł do pokoju z dwiema butelkami w rękę.

Oślikowski. Panowie darują... ale chyba z araczkiem zmieszamy, bo likier za słaby.

Edwin. Sam araczek podobno będzie najlepszy.

Ja. Mylisz się pan! — jestto bardzo szkodliwy trunk... napijemy się likieru.

*Oślikowski*. Ale panie Majorze! jakżeż można sam likier...

*Ja*. Bardzo proszę o sam likier.

*Oślikowski*. Już to pan Major znów kilka lat w mieście, przywykłeś od tych słodyczy... chociaż jedną kropelkę...

*Ja*. Dziękuję, — ani kropli.

Wtém ukazała się z najmiłszym uśmiechem na twarzy, gospodyni domu — pani Oślikowska i dwie mocno wysznurowane córeczki, zupełnie młode dziewczątka, ale już panienki na wydaniu. Edwin, jak uważałem, podobną się mamie od razu. Panienki się zarumieniały, oczki na dół spuszczać, i tylko z ukosa wyłączenie także na Edwina, od chwili do chwili spozierały. Mnie więc pozostał pan Oślikowski, któren też chętnie i skwapliwie ucho moje na całe przedobiedzie zadzierzawił... Opowiadał mi nowiny, które przed 3 miesiącami w gazetach czytałem; zapewnił mnie, że skoro odbierze spadek po swojej ciotce na Podolu, która i w 3 małżeństwie jest bezdzietną, przyczem genealogią dwóch nieboszczyków i żyjącego wuja, obszernie przytoczył... że natychmiast postawi na granicy od Paździerza — karcznię; że przypozowie sąsiada o 1½ morgi leszczyny; że powydaje córki za męża, i że chce odpocząć na stare lata.

— A przecież Pan Dobr, w samój sile wieku... ileż sobie panie lat liczysz?

— Tak na pamięć nie wiem: urodziłem się w dzień trzech Króli 1800 roku.

— A proszę pana Oślikowskiego? to krótka rachuba: weź Pan Dobrodziej kródkę. napisz u góry 1841, pod spodem 1800, — i odciągnąć: zero — od jednego jeden, — zero...

— Nul się mówi Panie Dobrodzieju!..

— Zgoda! niech będzie — nul. Zaczniemy więc od początku: nul od jednego — jeden, nul od czterech — cztery. A za-tém Pan Dobrodziej ma — 41 lat. A że od 3 Króli upłynęło już miesiący 4 i dni 16, przeto dzisiaj liczysz pan wieku swojego — lat 41, miesiący 4, dni 15.

— A! tak, tak... mój Boże! dawniej człowiek z książką wstawał, z książką jadał, z książką się spać kładł; teraz przy gospodarstwie już i matematyki zapomina... Ale nie dziw... od ożenienia się, zupełnie się człowiek w naukach zaniedbał.

— Dawno się Pan Dobrodziej ożenił?

*Oślikowski do żony*. Nimciu! nie pamiętasz w którym my się to roku pobrali?

*Oślikowska*. Nie prowadzę kalendarza, ale łatwo policzyc.. Stefcia ma lat 14...

*Oślikowski*. Ba! ba! cóż znów gadasz?.. tożże młodsza siedmnasty zaczęła.

Nie wiem jakiby ta sprzeczka obrot wzięta,—szczęściem chłopak wyrostek otworzył drzwi i do objadu zaprosił. A że i panna Eugenia na małym klawikorcie wielką uwerturę już odegrała, udaliśmy się więc nie bez wielkich ceremonii na salę jadalną, która miała rozmiaru 8 łokci wszerz, 5 łokci w podłuż.

Po obitém jedzeniu, za które Oślikowscy 10 razy niepotrzebnie przepraszali, po kilku toastach za zdrowie szanownych gości, czegośmy jednakże przed zdrowiem pani domu, a następnie pięknej konsolacyi, w żaden sposób przyjąć nie chcieli,—po czarnej kawie, i po jednym jeszcze kieliszku na słodką pamięć miłej z panem Edwinem Zbrodniewskim znajomości... trzykrotnie upewniwszy, że nam jest bardzo pilno... obdarzeni zbyt czułymi uściskami...—wyjechaliśmy z Paku o 3 z południa.

— I cóż mi powiesz o tych ludziach?..

— Oślikowski jest to sobie głupiec z najlepszym w świecie sercem. Było ich siedmiu braci.. rodzice nie naglili żadnego do nauk, i ledwie że który z klasę ukończył; obsadzali zaraz na dzierżawie, i o ile możność dozwalała, najspieszniej żenili, pragnąc za swojego życia wszystkie dzieci postanowić. I szczęśliwie się im powiodło... bo obywatelstwo istotnie siedmią rodzinami Oślikowskich zwiększone zostało.

Wprawdzie, pan Bonifacy, u któregośmy co dopiero byli, bezpośredniej korzyści nie wiele dla nas rokuje; bo grupiec i w karty nie grywa, i pić wiele nie może dla słabego organizmu płuc;—ale pośrednio—i on i jego bracia i jeńcu podobni obywatele, wielkie nam wyświadczają usługi:

— Powiedz mi Spiriantus! jakiego to rodzaju są te wielkie usługi?..

— Oto widzi pan Dobrodziej!.. ci ludzie zajmują stanowisko z którego mogliby sprawom naszym niezliczone czynić przeszkody, ale oni szanując moc czarta, nie chcąc się diabłom narażać,—drzemią w najniedołężniejszej obojętności... a to tchnienie ich roślinnego życia, jest to tą pośrednią, wielką i niezmierną usługą dla Lucypera.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

## SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM.

R. 1843.

	Strona.
<b>Z DZIEJÓW.</b>	
Uwagi <i>Piotra Dubrowskiego</i> nad artykułem p. <i>Tyszyńskiego</i> : Rys historyczny oświecenia Słowian, umieszczonym w Bibliotece Warszawskiej w r. 1841 . . . . .	248
Odpowiedź na uwagi P. <i>Dubrowskiego</i> , przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	565
<b>Z PODROŻY</b>	
Wspomnienie Kaukazu, przez <i>Adama Idźkowskiego</i> . . . . .	225
Neuchatel przez *** . . . . .	352
<b>Z LITFRATURY.</b>	
<b>Poezye.</b>	
Do Pani *** w drugą oktawę jej dnia imiennego, przez <i>J. D. M.</i>	80
Ustęp z poematu Lorda Bajrona <i>Don Juan</i> z angielskiego przełożony przez <i>Jg. Barankiewicza</i> . . . . .	90
<i>Zbigniew</i> , wyjątek z dramatu przez <i>G. Ż.</i> . . . .	348

	Strona.
Walka Michała z Szatanem przez <i>A. Czajkowskiego</i> . . .	350
Do Liszta przez <i>Fr. Wężyka</i> . . . . .	384
Dwaj Klefity powieść, przez <i>Jg. Barankiewicza</i> . . . . .	528

### *Powieści i inne artykuły.*

Powstanie w <i>La Chiesa</i> , wyjątek z pamiętników mojego ojca, podany przez <i>Ad. Am. Kosińskiego</i> . . . . .	1
Przeiszew, szkic historyczny 1701—1709 przez <i>Ad. A. Kosińskiego</i> . . . . .	360
Jan Jerzy Wejher, powiastka historyczna 1650—1658 przez <i>Ad. Am. Kosińskiego</i> . . . . .	580
Spojrzenie na literaturę dramatyczną polską, przez <i>Kaź. Wł. Wojcickiego</i> . . . . .	293
Odpowiedź na artykuł umieszczony w 4tym numerze Przeglądu Naukowego pod tytułem: „Dostowny przedruk z autografu podpisanego przez <i>W. Lindego</i> o jego słownika,“ napisana; przez <i>Jana Papłoińskiego</i> . . . . .	129

### Z NAUK UMIEJĘTNOŚCI I PRZEMYSŁU.

Myśli o statystyce, przez <i>Wincentego Dawida</i> . . . . .	41
O podatku gruntowym z dóbr ziemskich w Królestwie Polskim przez <i>L.</i> . . . . .	105
Telegrafy galwaniczne, przez <i>S. Przystańskiego</i> . . . . .	323
O stepach i pustyniach, przez <i>Alexandra Humboldta</i> tłumaczył <i>Ludwik Zejszner</i> . . . . .	457
Berlin, Wiedeń i Graefenberg pod względem lekarskim, przez <i>Folixa Jabłoińskiego</i> . . . . .	540
Pomiar barometryczny Żupy Bocheńskiej w miesiącu Marcu 1843 r. wykonany przez <i>L. Zejsznera</i> . . . . .	560

### KRONIKA LITERACKA.

Kwiecień . . . . .	146
Fizyka <i>Józefa Żochowskiego</i> przez <i>S. P.</i> — Kobieta w stanie dojrzałości <i>Weinberga</i> przez <i>X.</i> — Barwinki poezye <i>Maurycego W.</i> przez <i>S.</i> — Pisma peryodyczne w Warszawie w r. 1842 — <i>Gazeta Rządowa</i> , <i>Kurjer Warszawski</i> , <i>Gazeta Codzienna</i> , <i>Gazeta Warszawska</i> , <i>Gazeta Powszechna</i> , <i>Le Glaneur de Varsovie</i> przez <i>S.</i> — Pamiętnik religijny, przez <i>M. B.</i> — <i>Pielgrzym</i> , <i>Jutrzenka</i> , przez <i>F. Z.</i> — <i>Kronika bibliograficzna</i> przez <i>J. B.</i>	



	Strona.
Maj . . . . .	386
Ojciec i syn, czyli wspomnienia z czasów przeszłych i naszych, przez <i>Fran. Wikł. Dmóchowskiego</i> , majstra krawieckiego w Przemyślu. — Obraz Swiata pod względem jeografii, statystyki i historii, wydanie Merzbacha, <i>M. B.</i> — Odpowiedź na rozbiór Jutrzenki przez <i>Piotra Dubrowskiego</i> . — Kronika bibliograficzna, przez <i>J. B.</i>	
Czerwiec . . . . .	628

Kirgiz powieść G. Z. przez *A. T.* — Rzut żoka na źródła Archeologii krajowej czyli opisanie niektórych starożytności odkrytych w zachodnich guberniach państwa Rosyjskiego Eustachego hrabi Tyszkiewicza przez *M. B.* — Gra namiętności dramat Kajetana Niepowie przez *A. T.* — Dyplomatarysusze, przez *Fr. St. G.* — Kronika bibliograficzna przez *J. B.*

#### ROZMAITOŚCI.

Kwiecień . . . . .	195
Gilsomina i Reinigiusz przez <i>Au. Wi.</i> — Uwagi nad piśmie p. Rosta: O prawdopodobieństwie odkrycia soli i solanek w Królestwie Polskiem przez <i>L. Zejsznera</i> — Odpowiedzi na zarzuty przeciw Kompasowi Polskiemu przez <i>J.</i> — Wyniesienie miasta Lublina nad poziom Morza Bałtyckiego wyznaczone z dostrzeżeń barometrycznych przez <i>J. B.</i> — Połączenie Oceanów przez <i>Z.</i> — List do Redakcyi i wiersz: co ja lubię — Banki szkockie i różnice ich od angielskich przez <i>Z.</i> — Wyciąg z listu z Wilna —	

Maj . . . . .	419
O domach ochrony w Stanach Zjednoczonych Ameryki przez <i>K.</i> — O sposobie obłaskawienia bawołów i koni dzikich u Indyan w Ameryce północnej. — Uwagi nad recenzjami Pseudonima Kostrowca, umieszczonemi w Tygodniku Petersburgskim r. 1842 przez <i>J. Sowińskiego</i> . — Kilka słów do p. Tarszy przez <i>Adama Słowikowskiego</i> . — Porównanie pór zimowych lat poprzednich z zimą tegoroczną pod względem temperatury przez <i>J. B.</i> — Nowo odkryty wiersz Symonowicza przez <i>J. R.</i> — Wiadomość bibliograficzna przez <i>Stefana Maćkiewicza</i> .	

Czerwiec . . . . .

Spiewak-Wędrowiec przez *A. Tyszyńskiego*.—O muzyce (ułamek) przez *J. Sikorskiego*.—O ważnym wynalazku używania gazów ulatujących dotąd [próżno z wysokich pieców do przetapiania i fryszowania żelaza przez *K. L. Wolickiego*.—Wizyta u Państwa Oslikowskich, przez *Au. Wi.*

Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc Luty 1843 . . . . . 217

„ „ „ Marzec 1843 . . . . . 453

„ „ „ Kwiecień 1843 . . . . . 081

SPROSTOWANIE.

pomyłek drukarskich w tomie drugim 1843.

Stronnica	Wiersz	zamiast	czytaj
246	18	Kranijacy	Kraniacy
247	26	dasat	deset
—	27	pat	pet
248	22 i 23	posadnika na Ostromira	posadnika Ostro- mira.
282	24	Potocki	Połocki
292	22 i 23	zasłaniem	zasłania
248	11	w miejsce liter ж і р-ж	starosławiańska litera <i>jus</i>
458	4	rasami	mieliznami
459	3	Harudez	Harudez
462	10	Pazamo	Paramo
469	8	skały	chaty
476	10	Cassquiare	Cassiquare
480	21	Harudez	Harudez (i następnie)
498	9 i 25	Verandier	Verandrier
523	21	co	ci
524	32	Jnau	Juan
526	6	dout	dont
520	11	Labelladiere	Labilladiere
626	18	Spektitem	Speckstein
520	20	Papayau	Popayan
527	22	Chachasów	Chalchasów
540	20	Ucznowie	Uczniowie
552	14	viretque	viresque
552	15	aequivit	acquirit



**KWIECIEŃ 1843. — DOSTRZEŻENIA W OBSERWATORYUM**  
wzniesione jest 114,05 metrów nad poziom morza  
1<sup>s</sup> 14<sup>m</sup>. 47<sup>s</sup>. 0, czyli w łuku 18°41'45", na

**ASTRONOMICZNEM WARSZAWSKIEM. — Miejsce dostrzeżeń**  
jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie  
wschód względem południka Paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w Millimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w millim z	
	6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	6	10	4	10	de- szczy	śnie- gu
	go. rano	go. rano	go. wiec.	go. wiec.	go. rano	go. rano	go. wie.	go. wie.		godz. rano	godz. rano	godz. wiec.	godz. wiec.	go. r.	go. r.	go. w.	go. w.		
1	747,30	746,96	746,39	747,98	+ 0°6	+ 10°7	+ 15°7	+ 9°0	63,7	smugi	smugi	na pół pog.	na pół pog.	Pd.	PdZ.	PdZ.	Z.		
2	751,07	751,19	748,65	747,02	+ 5,4	+ 12,2	+ 17,0	+ 9,1	72,0	pra. pogod.	smugi lekk.	lek. zachm.	pra. pogod.	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
3	746,36	756,96	746,00	745,88	+ 10,4	+ 13,4	+ 11,4	+ 7,8	84,2	smugi mgli.	na pół pog.	pra. pochm.	na pół pog.	Z.	Z.	Z.	Z.		
4	745,21	745,33	744,44	745,63	+ 0,7	+ 10,0	+ 11,2	+ 3,6	84,2	na pół pog.	pochmurny	pochmurny	pra. pogod.	Z.	Z.	Pn.	Pn.		
5	747,31	748,90	749,37	752,66	+ 1,6	+ 3,2	+ 5,0	+ 0,2	72,7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	na pół pog.	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.		
6	754,80	755,34	755,46	753,84	- 2,4	+ 4,0	+ 8,5	+ 4,0	76,0	pogodny	pogodny	pochmurny	pra. pogod.	W.	PdW.	Pd.	-		
7	750,77	748,90	744,18	741,37	+ 2,9	+ 10,0	+ 8,8	+ 8,8	87,5	chm. podz.	pogodny	deszcz	deszcz drob.	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.		
8	738,04	737,40	734,77	738,41	+ 10,3	+ 11,5	+ 13,0	+ 8,9	85,8	pochmurny	deszcz	pra. pochm.	pra. pochm.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	1,60	
9	739,94	739,30	738,79	738,29	+ 6,3	+ 10,9	+ 10,4	+ 6,5	75,7	pra. poch.	na pół pog.	pra. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Pn.	11,24	
10	735,13	733,04	733,50	742,11	+ 0,6	- 0,3	- 0,4	- 1,2	98,7	śnieg i des.	śnieg gęsty	śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.		
11	744,63	745,33	744,27	744,73	- 7,7	- 1,7	+ 3,8	- 0,6	88,7	pra. pogod.	pogodny	smugi	smugi	-	-	PdZ.	Z.	32,00	
12	744,77	745,21	745,02	746,64	+ 0,2	+ 3,8	+ 2,9	+ 1,1	83,7	lek. zachm.	lek. zachm.	na pół pog.	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	PdZ.		
13	748,38	748,42	747,96	747,32	+ 0,5	+ 4,7	+ 4,7	+ 0,3	83,5	na pół pog.	smugi	stoń i chm.	pogodny	PdZ.	PdZ.	Z.	Pd.		
14	741,53	741,11	741,30	742,79	+ 1,3	+ 0,6	+ 2,0	+ 0,2	92,0	pochmurny	śnieg gęsty	pochmurny	pochmurny	PdW.	Z.	Z.	PdZ.		0,50
15	737,69	744,06	751,82	756,65	- 0,4	+ 1,9	+ 3,2	+ 0,1	83,7	śnieg	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		3,30
16	758,44	754,84	756,68	756,38	- 1,1	+ 2,6	+ 6,4	+ 2,8	72,0	pogodny	pogodny	na pół pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	-		
17	754,50	753,73	749,98	748,64	+ 0,2	+ 7,6	+ 14,5	+ 5,9	68,5	pogodny	pogodny	smugi	smugi	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
18	747,93	748,73	748,67	750,56	+ 4,6	+ 10,5	+ 16,9	+ 11,1	67,0	lek. zachm.	smugi	smugi	pogodny	PdW.	-	PnZ.	Pn.		
19	752,66	753,17	752,03	751,40	+ 6,5	+ 11,5	+ 15,8	+ 9,4	67,0	pogodny	chmurki	stoń i chm.	pogodny	Pn.	-	Z.	-		
20	751,39	751,53	749,65	748,86	+ 6,4	+ 12,5	+ 16,5	+ 10,0	61,7	lek. zachm.	smugi	lek. zachm.	pogodny	-	PdZ.	Z.	-		
21	747,61	747,04	745,80	746,02	+ 7,9	+ 13,0	+ 19,7	+ 12,3	66,5	pochmurny	na pół pog.	smugi	na pół pog.	-	PnZ.	Pn.	Pn.		
22	747,93	749,46	751,18	753,69	+ 7,8	+ 7,3	+ 6,5	+ 4,4	68,7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnW.	PnW.		
23	755,58	756,05	756,01	756,58	+ 2,7	+ 6,2	+ 7,6	+ 4,2	55,7	pochmurny	na pół pog.	stoń i chm.	na pół pog.	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
24	756,66	756,41	754,72	755,28	+ 0,2	+ 6,9	+ 9,9	+ 4,4	58,2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	W.	W.	W.		
25	755,94	755,20	752,65	752,67	+ 3,3	+ 9,6	+ 12,8	+ 7,1	54,0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	W.		
26	751,29	750,92	750,53	749,66	+ 6,4	+ 11,7	+ 12,7	+ 9,3	57,5	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
27	749,55	749,17	748,61	749,94	+ 8,2	+ 14,7	+ 17,6	+ 10,9	48,2	stoń i smug	smugi	smugi	pogodny	PdW.	PdW.	W.	PdW.		
28	751,48	752,26	751,74	752,95	+ 8,7	+ 14,8	+ 19,3	+ 9,6	50,5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	W.	-		
29	754,27	754,62	753,74	755,19	+ 8,2	+ 16,2	+ 20,3	+ 10,5	55,0	pogodny	pogodny	smugi	pogodny	W.	PdW.	PdW.	-		
30	756,55	755,24	756,15	756,57	+ 9,6	+ 14,7	+ 18,3	+ 9,8	49,2	stoń i chm.	smugi	smugi	pogodny	PdW.	PdW.	W.	W.		
Śred.	748,825	748,906	748,502	749,191	+ 3,85	+ 8,49	+ 11,07	+ 6,06	71,1									12,84	35,80

	millm. czyli c.	l.
Srednia wysokość barometru miesięczna	748,878	27 7,975
Najwyżej barometr dochodził		
d. 16 o 10 g. r.	758,84	28 0,391
Najniżej d. 10 o 10 g. r.	733,04	27 0,954
Srednia zmiana dzienna barometru	4,07	1,80
Najw. zmiana dzien. d. 15—16 o 6 g. r.	20,75	9,20
Srednia wysokość barometru jest wyższa o	0,048	0,106
od stanu normal. z 17 lat poprzedz.	(748,772	27 7,927)
Srednia temperatura Kwietnia jest	+ 7°36 C.	+ 5,89 R.
i ta jest niższa o.	0,15	0,12
od stanu normalnego z 17 lat popr.	+ (7,509 „	+ 6,007.) „
Najwię. ciep. doch. d. 29 o 4 g. w.	+ 20,3	+ 16,2 „
Najmniejsze d. 11 o 6 g. r. . . . .	— 7,7 „	— 6,2 „
(Termometograf wskazał min. — 6°2 R. d. 11, max. + 16°2 R. d. 29)		
Srednia zmiana dzienna temperatury	2,80 „	1,96 „
Największa zmiana dzien. d. 21—22 o 4 g. w.	13,20 „	10,6 „
Srednia wilgotność powietrza wynosi 71,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną, czyli 6, 14 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.		

Srednia temperatura miesięczna źródła:  
za pałacem Kazimirowskim + 6°0. R.

Dni pogodnych było 5, na pół pogodnych 16, pochmurnych 9.

- deszczu 5: (d. 1, 3, 7, 8, 9).
- śniegu 3: (d. 10, 14, 15).
- gradu 1; (d. 8).
- mgły 1: (d. 18).
- grzmotów 1: (d. 8).

Wody z deszczu spadło 12,84 milim. czyli 5,69 lin. paryz., z śniegu 35,80 milim. czyli 15,87 l. p., razem 48,64 milim. czyli 21,56 linii paryz. to jest o  $\frac{1}{3}$  więcej jak zwykle w tym miesiącu spada.

Kwiecień r. b. był szczególny ze względu stanu atmosfery. Dni pierwsze tego miesiąca były łagodne co do temperatury. a deszcze niekiedy padające do wczesnej vegetacyi znacznie się przyczyniały. W d. 8 deszcz ulewny z grzmotami i gradem, obraz dnia letniego przedstawił. We dwa dni później t. j. d. 10 śnieg nadzwyczaj obfity przez cały dzień padał, temperatura nagle się zniżyła i taki stan atmosfery trwał do d. 17.

Odtąd do końca miesiąca dni były pogodne, suche i ciepłe.

Wiatr panujący Zachodni, dość częsty Południowo-Wschodni.

Wichrów było 6; W 1; Pd 1; PdZ 1; Z 2; PnZ 1.

Koło wielkie otaczało słońce d. 20.

Takież koło około księżycy d. 11, 13 i 14.



# HISTORIA NAPOLEONA.

NOWE DZIEŁO.

PROSPEKT.



APOLEON! Jakiż urok otac  
 wielkie imię! jaka sława ucz  
 je głośnem we wszystkich  
 ściach świata, w każdym  
 odludniejszym zakątku z  
 Zaledwo dwadzieścia lat m  
 jak spoczęły w grobie z  
 olbrzyma wieków, a już un  
 wszelkie skargi, wszelkie za  
 wszelkie obwinienia, jakie  
 bistość, lub chwilowe w  
 wywoływały przeciwko n  
 nieprzyjazne nawet naro  
 które boleśnie ucierpiały z jego powodu, dziś hołd należy o

o geniuszowi. Sprzeczne zdania, sądy nietrafne lub uprzedzone, nieć krzywd i uraz, wszystko ucichło, a raczój złało się w jeden szlachetny okrzyk: **WIELKI! NAPOLEON** nie do samej Francji tylko; wszystkie narody, ludzkość cała do niego mają prawo: on bowiem jest z rzędu tych mężów, których Opatrzność zsyła w długich przebiegach wieków dla wzruszenia świata i spełnienia niedościgniętych celów zamiarów.

Ważne są dzieła opisujące czyny Napoleona; niniejsza Historia mieć może własny, odrębny charakter. Da ona poznać nie tylko bohatera, człowieka, ciężką, prawodawcę; lecz obok tego człowieka w domowym pożyciu, w stosunkach rodzinnych; nie tylko powie o Naczelnym Wodzu francuskiej armii, o Konsulu, Cesarzu, ale i o małym chłopczyku na wyspie Korsyce, i o uczniu szkoły w Brienne, i o oficerze pod Tulozą. Nie same świetne dzieła, ale i uczucia i poufale obcowanie z przyjaciółmi i myśli wynurzone w otwartej rozmowie przez wielkiego męża, znajdują miejsce w tej historii.

Postępując kolejną zmiennych losów Napoleona, obok wypadków historycznych zgromadzą się tu podrzędne, owe szczegóły charakterystyczne, które służą częstokroć ku wyjaśnieniu zdarzeń najważniejszych, nadając barwę epoce, przedstawiają jej obyczaje i ducha, oświetlają światło, i poważne opowiadanie w powab i wdzięk oblekają.

Wiedzieć takiego męża jakim był Napoleon, niewyczerpanym jest źródłem dla badań nie tylko wojownika, męża stanu, prawodawcy; ale i filozofa, dla miłujących wglądać w tajniki serca, w uczucia. W *Płec Piękna* w wielkiej czci ma Napoleona. Niemało znajdzie w niniejszym dziele wiadomości, jakich by nadaremno w innych szukała: zbliżona się tu przypatrzy bohaterowi, jak zszedłszy z pola bitew, lub opuściwszy głębokie roztrząsanie spraw politycznych, wchodzi w rodzinne koło, jakim jest małżonkiem, ojcem i przyjacie-

Wydawca ze swej strony niczego nie oszczędzi ażeby i powierzoność zewnętrzną godnie odpowiadała wysokiemu przedmiotowi. Ozdobi je przeszło dwieście rycin rozmaitej wielkości, porządnie rysunku znakomitego Jul. Davida, wykonanych przez najlepszych rytowników paryzkich Porreta i Brugnot. Piękny papier druk nowy umyślnie na ten cel przygotowany, poprawność i staranniejsza: wszystko to, obok wartości wewnętrznej, przyda się dziełu. Spodziewa się zatem wydawca iż światła Publiczność,

która niejedno wsparła już pożyteczne jego przedsięwzięcie, nie od  
mówi uprzejmych swych względów i dla tej nowój Historji Napoleon

w Warszawie dnia 1 Marca 1843 roku

August Emmanuel Glücksberg.



JULES. DAVID

A. PEGAPD. SO



## WARUNKI PRENUMERATY.

Historya Napoleona; z wykwintnością drukowana, na najpiękniejszym welinowym papierze, składać się będzie z dwunastu poszytów, z których każdy zawierać ma od trzech do czterech arkuszy, formatu 1-8 *wielkie*. Dzieło to ozdobi dwieście przeszło rycin, wyobrażających sceny najciekawsze z życia tak publicznego jako i prywatnego sławnego męża.

GALE DZIEŁO WYJDZIE W CIĄGU ROKU.

Cena prenumeraty wynosi w Warszawie: Rub. sr. 6. (złp. 40), a na prowincyi z pocztą Rub. sr. 6. Kop. 60 (złp. 44).



PRENUMERATA PRZYJMUJE SIĘ W WARSZAWIE:

U AUGUSTA EMMANUELA GLÜCKSBERGA, Nr 497, ulica Miodowa, pod filarami.

U GUSTAWA LEONA GLÜCKSBERGA, Nr 483, ulica Miodowa, wprost Kapucynów.

I we wszystkich innych księgarniach.

NA PROWINCYI:

Po wszystkich Urzędach i Stacyach Pocztowych.

ZA GRANICĄ:

U znaczniejszych księgarzy.

